

WILLIAM FAULKNER

MIASTO

tłumaczyła Maria Skibniewska

I. CHARLES MALLISON

Mnie jeszcze nie było wtedy na świecie, ale był kuzyn Gowan, już dość duży! żeby wszystko widzieć, zapamiętać i potem opowiedzieć mnie, kiedy podrosłem i mogłem już coś z tego zrozumieć. A właściwie opowiedział mi to kuzyn Gowan plus wuj Gavin czy może raczej wuj Gavin plus kuzyn Gowan; Kuzyn Gowan miał trzynaście lat. Jego dziadek był bratem mojego dziadka, ale nie mogliśmy się połączyć, jak to pokrewieństwo określić w następnych pokoleniach. Toteż Gowan po prostu o nas wszystkich mówił „kuzyn” albo „kuzynka”, z wyjątkiem dziadka, a my nawzajem nazywaliśmy go kuzynem, i tak już się utarło.

Jego rodzice mieszkali w Waszyngtonie, gdzie ojciec pracował w Departamencie Stanu; nagle Departament Stanu postanowił wysłać ojca Gowana na dwa lata do Chin czy może do Indii, czy coś w tym rodzaju, matka miała jechać z nim razem, więc Gowana wyprawili do Jefferson, żeby mieszkał u nas i chodził tutaj do szkoły, dopóki nie wróci. U nas, to znaczy z moim dziadkiem, moją matką i ojcem, i z wujem Gavinem. Tyle wiedział o tych sprawach Gowan, zanim ja urodziłem się i podi'osłem tak, że mogłem także tego się dowiedzieć. Kiedy więc mówię „my” albo „myśleliśmy”, chcę przez to powiedzieć: miasto Jefferson, w Jefferson tak myśłano.

Początkowo myśleliśmy, że zbiornik wody jest tylko nagrobkiem Flema Snopesa. Nie wiedzieliśmy nic więcej. Dopiero później zrozumieliśmy, że ta budowla, rysująca się na niebie ponad Jefferson, w Missisipi... wcale nie była nagrobkiem. Była śladem stopy.

Pewnego letniego dnia wjechał do miasta od południo-wschodu wozem zaprzężonym w dwa muły, a w wozie była jego żona, niemowlę i trochę domowych sprzętów. Nazajutrz stał za kontuarem małej restauracji mieszczącej się w bocznej uliczce i należącej do V. K. Ratliffa. Właściwie tylko w połowie do niego, a w połowie do jego współnika, bo Ratliff miał przedstawicielstwo fabryki maszyn do szycia i większość czasu musiał spędzać na bryczce (dopóki nie kupił Forda, model T) objeżdżając okolicę i demonstrując tę maszynę. A jeszcze dokładniej mówiąc, myśleliśmy, że Ratliff jest nadal współwłaścicielem restauracji, dopóki nie zobaczyliśmy za kontuarem obcego przybysza w wytłuszczonym fartuchu, krępego, mrukliwego człowieka z krawatem zawiązanym w elegancką muszkę, z mętnymi oczyma, z niewielkim nosem wojowniczo zakrzywionym jak dziób małego jastrzębia; w tydzień później Snopes rozstawił za restauracją płócienny namiot, w którym zamieszkał z żoną

i dzieckiem. I wtedy też Ratliff powiedział do wuja Gavina:

— Poczekaj trochę. Za pół roku wygryzie także Grovera Clevelanda (Grover Cleveland Winbush był współwłaścicielem restauracji).

Działo się to pierwszego lata, pierwszego lata Snopesów — jak je wuj Gavin nazwał. Wuj Gavin był wtedy w Harvard, przygotowywał się do dyplomu. Potem miał skończyć wydział prawa uniwersytetu Missisipi i zostać współnikiem dziadka. Ale już teraz podczas wakacji pomagał dziadkowi w jego pracy prokuratora municypalnego; nie zdążył się jeszcze przyjrzeć pani Snopes, więc nie wiedział, że go czeka wyjazd do Niemiec na studia w Heidelbergu; nie wiedział nawet, że chce tam jechać, jeśli czasem o tym mówił, to tylko jak o przyjemnym projekcie, który warto mieć w pamięci albo wspomnieć w rozmowie.

Wuj Gavin dużo rozmawiał z Ratliffem, Ratliff, co prawda, nigdy nie uczył się wiele w szkołach i spędzał czas w rozjazdach po całej okolicy sprzedając maszyny do szycia (handlował zresztą czym się dało, wymieniał albo sprzedawał różne artykuły), ale obu ich jednakowo interesowali ludzie — jak mówił wuj Gavin. Bo mnie się zawsze zdawało, że była to po prostu ciekawość. A w tym przypadku nawet niepokój.

Właśnie od Ratliffa usłyszeliśmy pierwszy raz o Snopesie, a raczej o Snopesach. Ale nie. Wcześniej już, w roku 1864, jeden Snopes

służył w kawalerii pod komendą pułkownika Sartorisa, w oddziale, którego zadanie polegało na porywaniu Jankesom koni. Tymczasem patrol konfederacki przyłapał go — tego Snopesa — na kradzieży koni konfederatów i, jak mówiono, powiesili go za to. Ale i to była nieprawda, bo mniej więcej przed dziesięciu laty (Ratliff opowiedział o tym wujowi Gavinowi) nie wiedzieć skąd zjawił się nagle Flem z jakimś staruchem, zapewne swoim ojcem, i wydzierżawił małą farmę od pana Willa Varnera, do którego należało niemal całe osiedle i cały rejon zwany Sadybą Francuza, położony o jakieś dwadzieścia mil od Jefferson. Farma była nędzna i mała, tak że tylko najbiedniejsi farmerzy godzili się brać ją w dzierżawę, ale i ci dłużej niż rok nie wytrzymywali. Jednakże Ab i Flem wzięli ją i oczywiście (zdaniem Ratliffa) jeden z nich znalazł czy może obaj razem znaleźli...

— Co? — spytał wuj Gavin.

— Nie wiem — rzekł Ratliff. — Coś, co wuj Billy i Jody tam zakopali i, jak im się zdawało, schowali bezpiecznie. Bo tej zimy Flem był subiektem w sklepie wuja Billa. Musieli znaleźć na farmie niezły skarb, a może nawet obeszliby się bez niego, bo kto wie, czy Flem nie znalazł czegoś innego, co Varnerowie schowali, jak im się zdawało bezpiecznie, pod ladą w samym sklepie. W rok potem przecież stary Ab przeprowadził się do Sadyby Francuza i tam osiadł z synem i innym jeszcze Snopesem, który zjawił się nie wiadomo skąd i objął farmę; w dwa lata później nowy Snopes został kowalem w kuźni pana Varnera. W ten sposób było już w Sadybie Francuza tylu Snopesów co i Varnerów, a w pięć lat po przybyciu Flema do Jefferson było już więcej Snopesów niż Varnerów, bo córka pana Varnera wyszła za jednego ze Snopesów i wkrótce karmiła piersią następnego małego Snopesa.

Ostatnie bowiem znalezisko trafiło się Flemowi w domu wuja Billa. Jedyna córka i najmłodsze jego dziecko, najpiękniejsza dziewczyna nie tylko w osadzie, ale w całej okolicy. Snopes nie złasił się po prostu na ziemię i pieniądze starego Willa. Wiem, bo ja ją też widziałem, i rozumiałem to, chociaż wtedy była już nie najmłodsza, dawno zamężna, miała dziecko starsze ode mnie, a ja miałem, dopiero jedenaście, dwanaście, trzynaście lat. (Takj tak — powiedział wuj Gavin — nawet dwunastoletni chłopak nie powinien myśleć, że on pierwszy na świecie gryzie pięści i cierpi przez taką kobietę jak ona.) Nie była wielka, wspaniała, w typie, jak to mówią, Junony. Ale za dużo w niej było urody jak na jedno kobiece ciało, taka biel, taka kobiecość, tyle, można by powiedzieć, blasku, że wystarczyło ją raz zobaczyć, a już człowiek był wstrząśnięty i wdzięczny po prostu za to, że żyje, że jest mężczyzną i znalazł się w czasie i przestrzeni obok niej; ale w następnej chwili i już na zawsze ogarniała go rozpacz, bo rozumiał, że nigdy żaden

mężczyzna jej nie dorówna, nie zatrzyma jej przy sobie, nie będzie jej wart, i smutek pozostawał na zawsze, bo potem nic mniej wspaniałego nie mogło już zadowolić.

To znalazł tym razem Snopes. Pewnego dnia — jak mówił Ratliff — rozeszła się w Sadybie Francuza wiadomość, że Flem Snopes i Eula Varner poprzedniego wieczora pojechali samochodem do sąsiedniego okręgu, wykupili licencję i wzięli ślub; tego samego dnia — wciąż wedle relacji Ratliffa — dowiedziano się w Sadybie Francuza, że trzech młodzi ludzie, starający się od dawna o rękę Euli, nagle, także nocą, opuścili kraj udając się do Teksasu, jak mówiono, w każdym razie na zachód, i to daleko, tam, gdzie by ich wuj Bill albo Jody Varner nie mógł dogonić, gdyby uznał za właściwe próbować. W miesiąc później Eula i Flem także wyjechali do Teksasu (bo to był wówczas — jak mówił wuj Gavin — cel podróży wszystkich ludzi skompromitowanych, niewypłacalnych czy po prostu optymistów) i następnego lata wrócili stamtąd z niemowlęciem, dziewczynką, troszkę większą, niżby wypadało się spodziewać po trzymiesięcznym dziecku...

— Iz końmi — powiedział wuj Gavin. Wiedzieliśmy o tym procederze, głównie dlatego, że nie pierwszy Flem Snopes zaczął go uprawiać. Co roku ktoś sprowadzał do naszego okręgu skądś z zachodu tabunik dzikich, nie ujeżdżonych stepowych koników i sprzedawał je z licytacji. Tym razem konie, prowadzone przez człowieka, w którym łatwo było poznać Tekszańczyka, nadeszły właśnie wtedy, kiedy państwo Snopes wrócili z Teksasu. Ten tabunik zdawał się wyjątkowo dziki, bo nie poskromione i nie dające się poskromić pstrokate konie rozproszyły się nie tylko po Sadybie Francuza, ale także po całej wschodniej połowie okręgu. Do końca jednak nikt nie wykrył żadnych namacalnych dowodów, że Flem Snopes miał z tą sprawą coś wspólnego. — Nie, nie — powiedział wuj Gavin — tyś nie należał do tej trójki, która zwała, nie chcąc wachać prochu ze strzelby Willa Varnera. Nie mów mi też, że Flem Snopes dał ci jednego z tych koni w zamian za twoją połowę restauracji, bo nie uwierzę. Co to było?

Ratliff siedział z grzeczną miną, opalony, gładko wygolony, w porządnej niebieskiej koszuli, bez krawata, a jego łagodne, inteligentne i bystre oczy omijały wuja Gavina.

— Ten stary dom — powiedział. Wuj Gavin czekał. — Dwór starego Francuza. — Wuj Gavin czekał. — Te zakopane pieniądze.

Wreszcie wuj Gavin zrozumiał; w całym Missisipi, a nawet na całym Południu nie było na żadnej plantacji takiego starego domu sprzed Wojny Domowej, o którym by nie krążyły legendy, że w ogrodzie zakopane zostały niegdyś na wypadek najazdu Jankesów pieniądze albo srebra; musiało to także dotyczyć rozwalonego starego dworu, który dawniej górował nad okolicą i nadał nazwę

całemu obszarowi, znanemu jako Sadyba Francuza, teraz w ręku Varnerów.

— Henry Armstid sam sobie był winien. Miał z Flemem na pieńku z powodu konia, którego kupił od Teksańczyka i który mu złamał nogę. Ale — powiedział Ratliff — ja także byłem winien, nie mniej niż inni. Chciałem dojść, dlatego Flem wziął tę starą posiadłość, chociaż wszyscy wiedzieli, że nic nie jest warta. Nie mówię: dlaczego ją kupił. Dlaczego ją przyjął, kiedy wuj Bill ofiarował jemu i Euli ten ślubny prezent. Kiedy więc Henry zaczął tropić i śledzić Flema, i w końcu przyłapał go nocą kopiącego w starym ogrodzie kwiatowym, nie twierdzą, że kazałem się długo prosić, zanim następnego nocy poszedłem także podpatrywać go przy tej robocie.

— A kiedy Flem wreszcie miał dość kopania i odszedł, wy z Henry’em wyleźliście z krzaków i zaczęliście kopać na swoją rękę — powiedział wuj Gavin. — I znaleźliście. Część przynajmniej. Coś niecoś. W sam raz tyle, że ledwie mogłeś doczekać się ranka, żeby wymienić z Flemem twoją połowę restauracji na połowę posiadłości starego Francuza. Jak długo potem jeszcze kopaliście z Henry’em, zanim daliście za wygraną?

— Ja miałem dość po drugiej nocy — powiedział Ratliff. — Bo wtedy nareszcie przyjrzałem się tym pieniądzom.

— No właśnie — powiedział wuj Gavin. — Pieniądze.

— Wykopaliliśmy srebrne dolary. Niektóre nawet stare. Henry znalazł jedną monetę wybitą prawie trzydzieści lat temu.

— Fałszywa kopalnia złota — powiedział wuj Gavin. — Jeden z najstarszych kawałów pod słońcem, a tyś dał się nabrać. Nie Henry Armstid. Właśnie ty.

— Tak — powiedział Ratliff. — Kawał prawie równie stary jak ten z chusteczką, którą Eula Varner upuściła. I jak strzelba wuja Billa Varnera.

Tyle powiedział Ratliff na razie. Ale w rok potem zatrzymał wuja Gavina na ulicy i rzekł:

— Za pozwoleniem wysokiego sądu. Chciałbym wprowadzić pewną poprawkę. Chciałbym zmienić czas przeszły na teraźniejszy.

— O co chodzi? — spytał wuj Gavin.

— Rok temu powiedziałem: kawał z tą chusteczką, którą pani Flemowa Snopes upuściła. Chcę zmienić na: którą nadal upuszcza. A pewien facet, nasz znajomy, podnosi.

Bo w ciągu pół roku Flem nie tylko pozbył się współnika z restauracji, ale sam ją opuścił, przekazując zatłuszczony kontuar i namiot innemu Snopesowi, który z Sadyby Francuza przeszczepiony został na puste miejsce po awansującym poprzedniku w tym procesie swoistej osmozy, jak ją nazywał Ratliff opowiadając, że tak właśnie Snopesowie rozplenili się w Sadybie Francuza, nieprzerwanym łańcuchem posuwając się wzwyż, szczebel po szczeblu, zawsze najniższy zostawiając

dla następnego Snopesa, który zjawiał się nie wiedzieć skąd, żeby go zająć; z pewnością teraz też tak się stało, ale Ratliff nie zdążył jeszcze pojechać do Sadyby Francuza i sprawdzić.

Flem z żoną zamieszkał w małym wynajętym domu przy bocznej uliczce, blisko krańca miasta, i był obecnie dyrektorem miejskiego przedsiębiorstwa obejmującego stację pomp i elektrownię. Byliśmy nie tyle oburzeni, co zaskoczeni, nawet nie tym, że Flem dostał tę posadę, ale tym, że dotychczas nikt o istnieniu tego stanowiska nie wiedział i że było w Jefferson miejsce dla dyrektora miejskiego przedsiębiorstwa. Bo całe to urządzenie' — kotły, maszyny poruszające pompy i dynamo — obsługiwał stary mechanik z tartaku, nazwiskiem Harker, a dynamem i siecią rozprowadzającą prąd po mieście opiekował się prywatny elektryk, zgodzony do tych funkcji przez władze miejskie, i wszyscy byli z tego stanu rzeczy zadowoleni, odkąd w Jefferson wprowadzono wodociągi i elektryczność. Aż nagle i bez uprzedzenia dowiedzieliśmy się, że jest nam potrzebny dyrektor. A jednocześnie równie nagle i też bez uprzedzenia tym dyrektorem został człowiek ze wsi, który od niespełna dwóch lat mieszkał w mieście i (jak podejrzewaliśmy) po raz pierwszy w życiu zobaczył światło elektryczne dopiero tego dnia przed dwoma laty, gdy przybył do Jefferson.

Tylko to nas zaskoczyło. Nie to, że czło-
wiekiem tym był Flem Snopes. Bo już wtedy wszyscy wiedzieliśmy, jak wygląda pani Snopes, każdy ją zdążył chociaż raz czy dwa razy zobaczyć, najczęściej za kontuarem w restauracji, w wytłuszczonym fartuchu, jak smażyła siekane kotlety albo jajka na szynce czy też twarde rumsztyki na kuchence naftowej obrosłej zakrzepłym tłuszczem; a czasem też, raz na tydzień, można ją było spotkać na Rynku, zawsze samą; nie spieszyła, o ile nam było wiadomo, do określonego celu, po prostu szła przed siebie owiana aurą godności, skromności i osamotnienia, dziesięć razy bardziej nieskromną i sto razy bardziej podniecającą niż kostiumy kąpielowe, które młode kobiety miały zacząć nosić w latach dwudziestych, jak gdyby dopiero na sekundę przed ukazaniem się jej twoim oczom ubranie zdążyło w ostatnim, gorączkowym i chaotycznym zrywie doścignąć ją i okryć. Ale tylko na chwilę, bo zaraz potem, jeśli szedłeś za panią Snopes dość długo, wędło i opadało, odtrącone płynnym, swobodnym ruchem, który je rozdzierał jak wirująca konstelacja strzępek wiotkiej, pospolitej chmurki.

A burmistrza, majora de Spain, znaliśmy jeszcze dawniej. Jefferson w Missisipi, jak zresztą całe Południe, roiło się podówczas jeszcze od obywateli, którym nadawano tytuł generała, pułkownika lub majora, ponieważ ich ojcowie czy też dziadkowie byli generałami, pułkownikami, majorami, a może szeregowcami w konfederackiej armii, albo

też dlatego, że dostarczyli poważnych środków finansowych na kampanię wyborczą

- zwycięskiego gubernatora stanu. Ojciec majora de Spain był rzeczywiście majorem w kawalerii konfederacji, a sam de Spain ukończył akademię wojskową w West Point, w randze porucznika brał udział w wyprawie na Kubę i odniósł tam ranę: wrócił z blizną przebiegającą spod włosów koło lewego ucha w dół, aż na dolną szczękę; mogła to być pamiątka po cięciu szabłą albo stemplem od czyszczenia lufy, zadany, jak oczywiście przypuszczaliśmy, przez jakiegoś wojowniczego Hiszpana, albo też mógł to być ślad od siekiery, którą rąbnął go pewien sierżant grając z nim w kości, jak głosili polityczni przeciwnicy kandydata na burmistrza w okresie walki przedwyborczej.

Kiedy wrócił w rodzinne strony i zrzucił niebieski jankesowski mundur, wkrótce zrozumieliśmy, że między nim a miastem panuje nieuleczalna i nieprzezwyciężona wzajemna niechęć i że ktoś będzie musiał ustąpić. Ale nie on, bo on ani się z». Jefferson nie usunie, ani się nie zmieni, żeby do Jefferson lepiej pasować; raczej spróbuje urabiać miasto tak, żeby się do niego dostosowało, a młodzież w Jefferson miała nadzieję, że się to majorowi uda.

Aż do tej pory Jefferson było podobne do ■! wszystkich innych małych miast na Południu; j nic się tu nie zdarzyło, odkąd ostatni awan- j turnik z Północy dał za wygraną i wrócił !

i do domu albo też upodobnił się do innych i niepoprawnych obywateli Missisipi. Mieliliśmy i tradycyjnego burmistrza i radnych miejskich,

| którzy młodym wydawali się odwieczni, tkwiący na swoich miejscach od czasów po- ! topu, a w każdym razie od 1820 roku, kiedy j • to ostatni Chickasaw wyjechał do Oklahomy,

| już wtedy równie starzy jak teraz; burmistrz,

! pan Adams, patriarcha z długą, siwą brodą, był w oczach rówieśników kuzyna Gowana i starszy niż sam Pan Bóg, prawie wierzyli, że jest naprawdę pierwszym człowiekiem na ziemi. Wuj Gavin opowiadał, że nie tylko dwunasto- i trzynastoletni chłopcy iak Go- wan wymawiając nazwisko burmistrza opusz- I czali końcowe s, a jego starą, grubą żonę nazywali „Ewą Adamową?”; ale tej grubej starej Ewie od dawna nie groziło już niebezpieczeństwo, że wąż albo ktokolwiek zechce ją kusić.

Zastanawialiśmy się, jakiej siekiery użyje porucznik de Spain, żeby obciosać kanty miasta i dopasować je do siebie. Pewnego dnia znalazł sposób. Miejski elektryk (ten sam, który obsługiwał w mieście dynamo, generatory i transformatory) był geniuszem. Pewnego popołudnia w roku 1904 wyjechał ze swego podwórka na ulicę pierwszym samochodem, jaki zobaczono w Jefferson, a wszystko w nim ręcznie zmajstrował, silnik i resztę, od prądnicy do urządzenia kierującego, i wyjechał na Rynek w chwili, gdy pułkownik Sartoris, bankier, przejeżdżał tamtędy w dro-

dze do domu powozikiem zaprzężonym w rasowe, dobrane maścią konie. Chociaż ani pułkownik Sartoris, ani jego stanget nie doznali szwanku, a konie, jak się okazało, gdy je schwytano, nie były nawet drażnione. chociaż elektryk ofiarowywał się naprawić powozik (a nawet podobno proponował, że przy okazji zaopatrzy go w silnik gazolinowy). pułkownik Sartoris zjawił się we własnej osobie na następnym posiedzeniu rady miejskiej, która uchwaliła, że pojazdom

0 napędzie gazolinowym zabrania się odjazd

1 na zawsze wstępu na ulice miasta Jefferson.

To była szansa dla porucznika de Spain. I nie tylko dla niego. Na taką okazję czekało całe pokolenie ówczesnej młodzieży, nie w Jefferson, ale wszędzie, bo młodzi w tym hałaśliwym, małym samochodziku domowej roboty, który pan Buffaloe (elektryk) w wolnych chwilach sklecił z kawałków na podwórku za domem, ujrzeni nie ciekawostkę, lecz przepowiednię, obietnicę losu czekającego Stany Zjednoczone. De Spain nie potrzebował nawet wysilać się na agitację, żeby zostać burmistrzem. Wystarczyło, że zgłosił swoją kandydaturę. Przedpotopowi ojcowie miasta także to zrozumieli i dlatego chwycili się desperackiego podstępu komponując, odgrzebując czy też powtarzając (mniejsza o to) historię z Kuby o grze w kości i o siekierze sierżanta. A de Spain ukręcił łeb tej plotce raz na zawsze, i to wcale nie uciekając się do politycznych zabiegów: sam Cezar nie mógłby tego lepiej załatwić.

Było to rankiem w porze przyjazdu dyliżansu pocztowego. Burmistrz Adams ze swoim najmłodszym synem, Theronem, który liczył sobie mniej lat niż de Spain i niewiele był od niego cięższy, chociaż wyższy, wychodził z biura poczty, gdy natknął się na de Spaina. A raczej de Spain czekał na niego pośród zbiegowiska gapiów i w chwili, gdy go Adams spostrzegł, dotykał już palcem swojej blizny.

— Dzień dobry, panie burmistrzu — powiedział. — Co to za historia krąży po mieście na temat gry w kości i jakiegoś przypadku z siekierą?

— Właśnie o to chcieliby wyborcy z Jefferson pana zapytać, poruczniku — odparł Adams. — Jeżeli może pan znaleźć dowody przeciw tej pogłosce gdzieś bliżej niż na Kubie, radziłbym panu je przedstawić.

— Znam sposób szybszy — powiedział de Spain. — Pan, panie burmistrzu, jest trochę za stary, ale Theron już wyrósł na schwał. Niech będzie łaskaw zająć razem ze mną do sklepu towarów żelaznych pana McCaslina, wybierzemy dwie siekiery i przekonamy się, ile jest prawdy w tej legendzie.

— Ależ, panie poruczniku — rzekł Theron.

— W porządku — odparł de Spain. — Zapłacę za obie.

— Panowie! — powiedział Theron. I na tym się skończyło. W czerwcu wybrano de Spaina na burmistrza. Było to miażdżące

zwycięstwo, nie tylko sukces wyborczy. Nowa era wkraczała do Jefferson, on był jedynie jej bojownikiem, Godfrydem de Bouillon, Tankredem, jeffersonowskim Ryszardem Lwie Serce dwudziestego wieku.

Nosił ten płaszcz świetnie. Nie. To nie był płaszcz, ale chorągiew, sztandar, który de Spain rozwinął nad miastem, zanim Jefferson spostrzegło się, że już jest gotowe go przyjąć. Mianował pana Buffaloe elektrykiem municypalnym wyznaczając mu stałe miesięczne pobory, lecz pierwszy oficjalny akt nowego burmistrza dotyczył pułkownika Sartorisa i jego edyktu przeciw samochodom. Oczywiście spodziewaliśmy się, że de Spain i jego nowi radni zniosą ten zakaz, choćby dlatego, że to przecież stary żubr, pułkownik Sartoris, podbechtał drugiego starego żubra, burmistrza Adamsa, do przeprowadzenia tej uchwały, a ten drugi stary żubr posłuchał. Ale nowy zarząd miasta zrobił coś innego. Mówiłem już, że de Spain odniósł miażdżące zwycięstwo w wyborach; jak gdyby ta poranna rozmowa o siekierze ze starym burmistrzem Adamsem i Theronem przed biurkiem pocztowym otworzyła oczy wszystkim młodym ludziom w Jefferson. Mam na myśli tych, którzy jeszcze nie byli właścicielami sklepów i szynków, szanowanymi adwokatami czy lekarzami, ale na razie subiektami i kancelistami w cudzych sklepach, szynkach i biurach, tych, którzy ciułali, żeby móc się ożenić; im to de Spain zawdzięczał, że został

burmistrzem. Nie dość na tym, zrobili coś więcej: ani się spostrzegli, jak — może nawet mimo woli — wysadzili z siodła wszystkich przedpotopowych radnych i sami zajęli ich miejsca, zdobyli pozycje ojców miasta trzymając się poły, czy może raczej siekiery, de Spain. Można więc było się spodziewać, że zaczną od zniesienia raz na zawsze ustawy przeciw samochodom. Ale oni zamiast ustawę anulować, przepisali ją na pergaminie niby dyplom honorowy czy pochwalną laurkę, oprawili w ramki i powiesili w oszklonej gablocie na ścianie w hallu siedziby władz miejskich, i wkrótce zaczęli tam zjeżdżać samochodami ludzie z daleka, nawet z Chicago, żeby się uśmieć z tego okazji. Bo, jak mówił wuj Gavin, była to bajeczna, legendarna epoka, gdy nie istniał rozbrat między samochodem a śmiechem, gdy nie każdy jeszcze Amerykanin chciał koniecznie mieć auto. A samochody nie zabijały więcej ofiar niż wojny.

Sam de Spain nie poprzestał na tym. Sprowadził do Jefferson pierwszy prawdziwy samochód, czerwony roadster typu E. H. F.

Z przedsiębiorstwa wynajmu powozów, odziedziczonego po ojcu, sprzedał konie, w stajniach usunął przegrody, żłoby i zasieki na obrok, urządził pierwszy garaż i założył pierwszą w mieście agencję samochodową, tak że jego radni i wszyscy inni młodzi ludzie, którym, choćby byli najzupełniej wypłacalnymi klientami, żaden bank nie udzie

~S n'

ypr

liłby pożyczki na zakup pojazdu mechanicznego, mogli teraz posiadać również własne auta. Tak, tak, era automobilizmu wkroczyła do Jefferson, a de Spain poprzedał ją w swoim czerwonym roadsterze; był to pojazd obcy, lekkomyślny, uparcie, nieodwołalnie poligamiczny i kawalerski, jak sam de Spain. De Spain taki też miał zawsze pozostać, mieszkał samotnie w wielkim drewnianym domu po zmarłym ojcu, z kucharką i służącym w białej kurtce; wodził rej na balach i był zawsze na pierwszym miejscu w balowych karnetach dam; gdyby już wtedy istniał świątek kawiarniany — nie Rejestr Towarzyski i nie Cztery Rodzin, lecz świątek kawiarniany — stałby pewnie na jego czele; gdyby nie urodził się za wcześnie o jedno pokolenie, zostałby przez aklamację obwołany arcykapłanem nowego narodowego kultu fotografii prasowej, dzięki któremu różne panie Harlow, Grables czy Monroe żywcem wyniesiono do chóru amerykańskich cherubinów.

Kiedy więc po raz pierwszy zobaczyliśmy panią Snopes idącą przez Rynek, doznaliśmy przerażającego wrażenia, że ciało jej lada chwila przepali ubranie, nie zachowując nawet welonu popiołu między nią a światłem dnia, zdawało nam się, że ujrzeliśmy uosobiony los; los, którego pierwszymi ofiarami byli ci dwoje: pani Snopes i burmistrz de Spain. Nie wiedzieliśmy, kiedy się poznali, kiedy pierwszy raz spotkały się ich oczy. Nie były

22

nam potrzebne te informacje. Właściwie nie pragnęliśmy ich nawet, przypuszczaliśmy, rozumie się, że de Spain jakimś podstępem czy sposobem wpuszcza ją ukradkiem do swego domu w nocy, lecz o tym także nic nie wiedzieliśmy. Gdyby w grę wchodziła inna para, ktoś z naszego kółka, my wszyscy — chłopaki, chłopcy czy młodzieńcy — na pewno podpatrywalibyśmy ją z ukrycia, żeby po prostu zaspokoić ciekawość. Ale nie w tym przypadku, gdy dotyczyło to de Spaina. Staliśmy po jego stronie. Nie chcieliśmy nic wiedzieć. Byliśmy jego sojusznikami, jego współnikami; całe miasto pomagało w tym przyprawianiu rogów, co do którego zresztą nie mieliśmy żadnych dowodów, w tym wiarołom- stwie, które nasza wyobraźnia stworzyła z powietrza. To samo wiarołomstwo widzieliśmy obserwując wspólne przyjacielskie spacerunki de Spaina i Snopesa, podczas gdy (ale tego wtedy nie wiedzieliśmy) de Spain obmyślał i planował, jak stworzyć stanowisko dyrektora elektrowni, którego braku miasto nie tylko nie odczuwało, lecz nawet nie spostrzegło, i jak na nim osadzić Snopesa. Nie byliśmy źle usposobieni do Snopesa; jeszcze- śmy wówczas nie odczytali znaków wróżebnych, które powinny by nas ostrzec, zaalarmować, pobudzić do solidarnego, gwałtownego zrywu w obronie miasta przed tym czło- wiekiem. Nie byliśmy też w gruncie rzeczy zwolennikami cudzołóstwa, grzechu; po prostu sprzyjaliśmy burmistrzowi de Spain

23

i Euli Snopes, boskiemu charakterowi — jak wyrażał się wuj Gavin — prostej, nie zafalszowanej niczym, niepohamowanej, nieśmiertelnej żądzą, którą oni ucieleśniali; sprzyjaliśmy tym dwojgu ludziom, z których każde znalazło w drugim swój jedyny, wyznaczony z góry los, jedyną na ziemi istotę zdolną dorównać jego płomiennym uniesieniom; byliśmy dumni, że to właśnie Jefferson stało się polem ich bitwy.

Nawet wuj Gavin, wuj Gavin także. Powiedział do Ratliff a:

— Miasto nie jest takie duże. Dlaczego Flem ich nie przyłapał?

— Bo nie chce — odparł Ratliff. — Jeszcze mu to nie potrzebne.

I wtedy właśnie dowiedzieliśmy się, że miasto — burmistrz, rada miejska, ktokolwiek i jakimkolwiek sposobem to sprawił — stworzyło stanowisko dyrektora elektrowni i że powołano na nie Flema Snopesa.

W nocy ruchem elektrowni kierował pan Harker, dawny mechanik tartaku, z pomocą Murzyna Toma Turla Beauchamp, palacza, który dokładał węgla pod kotły, podczas gdy pan Harker czuwał przy manometrze, bo tej czynności Tom Turl nie mógł i nie chciał się podjąć, najwidoczniej nie zgadzając się traktować serio związku między paleniskiem pod kotłem a tą małą brudną tarczą zegara, który na dobitkę nie wskazywał nawet godziny. Za dnia inny Murzyn, palacz Tom Tom Bird sam obsługiwał elektrownię, a pan Buffaloe

zaglądał wprawdzie od czasu do czasu, ale tylko dla formalności, bo Tom Tom nie tylko palił pod kotłami, lecz również umiał odczytywać wskaźniki ciśnienia z manometru i nie gorzej od pana Harkera i Buffaloe czyścić i oliwić łożyska maszyny parowej oraz dynamo; taki porządek wszystkim dogadzał, ponieważ pan Harker jako człowiek stary bez przykrości pracował na nocnej zmianie, a nawet wołał ją od dziennej, a Tom Tom — chłop jak byk, dwieście funtów żywej wagi, lat sześćdziesiąt, na oko jednak nie więcej niż czterdzieści, przed dwoma laty ożeniony, po raz czwarty w życiu, z młodą kobietą, którą niby Turek trzymał w zazdrosnym odosobnieniu w chacie przy torze kolejowym,

o dwie mile od elektrowni — słyszeć nie chciał o innej zmianie niż dzienna. Ale trzeba przyznać, że w okresie, gdy kuzyn Gowan przyłączył się do nocnej załogi pod kierunkiem pana Harkera, Flem Snopes umiał już także odczytywać dane z manometru i nawet wlewać oliwę do oliwiarki.

Było to mniej więcej w dwa lata po objęciu przez niego stanowiska dyrektora. Gowan wtedy właśnie postanowił od jesieni wstąpić do drużyny piłki nożnej i ktoś — on sam, jak się zdaje, nie wiedział kto — wmówił mu, że ładowanie po nocach węgla do kotłów elektrowni jest najlepszą i najstosowniejszą zaprawą, dzięki której będzie mógł udaremnić lub pokonać wszelkie zamachy ze strony graczy przeciwnej drużyny.

Moi rodzice nie podzielali tego przekonania, dopóki nie wdał się w sprawę wuj Gavin. (Skończył już wtedy Harvard i wydział prawa na uniwersytecie w Missisipi, został przyjęty do palestry, a dziadek wycofywał się po trosze z pracy i funkcje prokuratora municypalnego pełnił teraz właściwie sam wuj Gavin. Trwało to już od roku; był czerwiec, wuj Gavin wrócił ze studiów do Jefferson i tego lata nie widział jeszcze pani Snopes, skoro nadal traktował wzmianki o Heidelbergu jako przyjemny temat konwersacji.)

— Czemu nie? — powiedział. — Gowan ma już trzynasty rok, pora, żeby zaczął spędzać noce poza domem. A gdzie mógłby to robić z lepszym skutkiem niż w elektrowni, pod okiem pana Harkera i palacza, którzy mu nie pozwolą zasnąć?

Tak więc Gowan został pomocnikiem palacza Toma Turla i niezwłocznie pan Harker zaczął spędzać sen z jego oczu opowiadając mu historie o panu Snopesie, mówiąc o nim z takim amoralnym zdumieniem, z jakim naoczny świadek mógłby opowiadać o zderzeniu planet. Wedle słów pana Harkera zaczęło się to przed rokiem. Pewnego popołudnia Tom Tom skończywszy czyszczenie paleniska siedział na korytarzu ćmiąc fajkę, ciśnienie rosło, ze środkowego kotła przez zawór bezpieczeństwa szła para, gdy nadszedł pan Snopes i zatrzymał się chwilę żując tytoń i patrząc w górę na gwizdzący zawór.

— Ile też waży ten gwizdek? — spytał.

— Jeśli pan ma na myśli zawór, to waży około dziesięciu funtów — powiedział Tom Tom.

— Solidna miedź?

— Tak, z wyjątkiem małej dziurki, przez którą ten gwizdek, jak pan powiada, gwizdże.

Na razie na tym się skończyło — opowiadał pan Harker; dopiero w^f dw^a miesiące potem przyszedłszy pewnego wieczora na służbę — on sam — pan Harker — stwierdził, że z kotłów⁷ zniknęły trzy zawory bezpieczeństwa, a wyloty wentyli zatkało stalowymi krążkami, grubymi na cal i zdolnymi wytrzymać ciśnienie tysiąca funtów-; Tom Turl tymczasem najspokojniej ładow^Tał coraz więcej węgla pod kotły, ponieważ jak dotąd z żadnego z nich nie usłyszał jeszcze gwizdka.

— A w^f każdym z tych trzech kotłów⁷ w górnej części można by słomką od lemoniady przebić dziurkę na wylot — mówił pan Harker. — Kiedy zobaczyłem manometr na pierwszym kotle, straciłem nadzieję, że zdążę przed śmiercią dosięgnąć injektora.

Kiedy więc w^T końcu w^białem Turlowi do głowy, że kiedy wskazów^Tka dojdzie do 100. nie tylko Turl straci miejsce w elektrowni, ale nikt już nigdy nie zobaczy ani tego miejsca, ani Turla, ochłonąłem na tyle, żeby zapytać, gdzie się podziały zawory bezpieczeństwa.

— Pan Snopes je zabrał — powiedział Turl.

— Po jakiego diabła?

— Nie wiem. Powtarzam, co mi mówił Tom Tom. Pan Snopes powiedział, że w zbiorniku pływaki są za lekkie. Że lada dzień woda zacznie przeciekać, więc trzeba je obciążyć trzema ciężkimi zaworami.

— Co ty mówisz — powiedziałem. Na nic więcej nie mogłem się zdobyć. — Co ty mówisz...

— Tak mówił Tom Tom. Ja tam nic nie wiem.

W każdym razie klapy znikły, a czy obciążały pływak, czy nie, za późno było sprawdzać. Aż do tej pory obaj z Turlem nie przejmowaliśmy się za bardzo, skoro ciśnienie spadło i wszystko się jako tako uspokoiło. Sie-dzieliśmy sobie obaj na kupie węgla, skąd mogliśmy obserwować wszystkie trzy manometry na raz. Ale możecie mi wierzyć, że żaden z nas nie zmrużył oka do rana. Od północy, kiedy ciśnienie spadło, nie mieliśmy już ani przez chwilę we wszystkich trzech kotłach nawet tyle pary, żeby uruchomić suszarkę do orzeszków. Nie mogłem zasnąć nawet wtedy, kiedy już się znalazłem w domu i w łóżku. Co zamknąłem oczy, to widziałem tarczę manometru, wielką jak balia, na niej igłę czerwoną, grubą jak trzonek szufli do węgla, posuwającą się w górę, ku setce, i zrywałem się z krzykiem, żłany potem.

Wreszcie się rozwidniło; nie posłałem Turla, ale sam wdrapałem się na zbiornik i przyjrzałem się pływakowi. Nie był obciążony zaworami, Snopes chyba nigdy napraw-dę nie zamierzał ich umieścić tam, gdzie pierwszy lepszy gość, który by je zobaczył, mógł się do nich dostać. Co prawda, chociaż zbiornik miał czterdzieści dwie stopy głębokości, mogłem odkręcić kurek i spuścić wodę. Ale cóż, byłem pracownikiem, a pan Snopes dyrektorem, zresztą zaczynała się dzienna zmiana, Tom Tom miał odpowiedź na każde pytanie, jakie zechciałby zadać Joe Buffaloe, gdyby się zjawił i spostrzegł stalowe krążki na miejscu, gdzie powinny być zawory bezpieczeństwa.

Poszedłem więc do domu, a następnego dnia z trudem udało mi się namówić Turla na doprowadzenie igły manometru dostatecznie wysoko, żeby poruszyły się chociaż tłoki niskiego ciśnienia, nie marząc nawet o dynamo; to samo powtórzyło się drugiego dnia, trzeciego i tak dalej, aż w dziesięć mniej więcej dni później dostaliśmy ekspresem paczkę; Tom Tom czekał, we dwóch otworzyliśmy skrzynkę (było na niej napisane: „Płatne przy odbiorze” wielkimi czarnymi literami, ale sama nalepka, oderwana, zginęła. „Wiem, gdzie ją wyrzucić” — powiedział Tom Tom), oderwaliśmy krążki i założyliśmy z powrotem trzy zawory bezpieczeństwa. Tom Tom rzeczywiście znalazł zgniecioną nalepkę: „Pan Flem Snopes, Elektrownia w Jefferson, Missisipi, opłata przy odbiorze dolarów dwadzieścia trzy, centów osiemdziesiąt jeden”.

Ale to jeszcze nie wszystko, a reszty tej historii pan Ilarker nie znał, dopóki mu wuj .

Gavin nie opowiedział, co usłyszał od Toma Toma. Pewnego popołudnia, gdy Tom palił fajkę siedząc na kupie węgla, zjawił się pan Snopes niosąc w rękę coś, co on w pierwszej chwili wziął za podkowę numer trzy dla muła i zrozumiał pomyłkę dopiero, gdy Snopes poszedł w kąć za kotły, gdzie gromadzono rozmaite niepotrzebne części — zawory, pręty, sworznie — chyba od dnia, w którym pierwsza elektryczna żarówka zaświeciła w Jefferson; pan Snopes na klęczkach próbował magnesem każdą sztukę i każdy metalowy odpadek w całej kotłowni, oddzielając na osobną kupkę żelazo od miedzi. Potem kazał Tomowi Tomowi zebrać wszystką miedź i przynieść do biura.

Tom Tom zgarnął miedziane kawałki do skrzyni. Snopes czekał w biurze żując tytoń. Tom Tom mówił, że Snopes nie przerywał żucia ani na chwilę, nawet nie odpluwał.

— Żyjecie w zgodzie z Turlem? — spytał.

— Ja robię swoje — powiedział Tom Tom — a co robi Turl, to nie mój interes.

— Turl jest innego zdania — powiedział pan Snopes. — Chce, żebym dzienną zmianę odebrał tobie i dał jemu. Skarży się, że męczy go robota nocami.

— Niech pali pod kotłami tyle lat co ja, to dostanie dzienną zmianę — powiedział Tom Tom.

— Turl nie chce tak długo czekać — odparł pan Snopes. I opowiedział Tomowi Tomowi, że Turl zamierza nakraść żelastwa

z siłowni, a winę zwalić na Toma Toma, żeby go wyrzucono z posady. Właśnie tak. Tom Tom właśnie tak to powiedział wujowi Gavinowi, pan Snopes wtedy mówił o żelazie. Może pan Snopes sam dopiero poprzedniego dnia dowiedział się o sposobie z magnesem i myślał, że Tom Tom go nie zna, więc nie zrozumie, co się święci. To znaczy, że nic nie wie o magnesie ani o miedzi i nie odróżnia miedzi od żelaza. A może po prostu myślał, że Toma Toma, jako Murzyna, nie będzie to obchodziło. Albo też, że jako Murzyn nawet rozumiejąc, co się święci, i nawet gdyby go to obchodziło, nie zechce się wtrącać w sprawy białego człowieka. Ale co do tej części historii możemy tylko snuć domysły. Nietrudno to zresztą sobie wyobrazić: Tom Tom ze wzrostu, figury i koloru (a także z humoru) podobny był do czarnego byka i patrzył z góry na białego. Turl natomiast miał skórę brunatną jak rzemień i nawet z szuflą pełną węgla w rękach nie ważyłby więcej niż sto pięćdziesiąt funtów.

— Takie to plany knuje Turl — powiedział pan Snopes. — Dlatego chcę, żebyś zabrał ten złom do swojego domu, schował go dobrze i nie pisał słowa nikomu. Jak tylko zbiorę wystarczające dowody przeciw Turlo- wi, wyrzucę go z pracy.

— Znam na niego lepszy sposób — powiedział Tom Tom.

— Jaki? — spytał pan Snopes i prędko dodał: — Nie, nie, to na nic. Jeżeli wdasz się

w jakieś awantury z Turlem, wyrzucę was obu. Chcesz przecież zostać. A może sprzykrzyła ci się ta robota i wolisz ją odstąpić Turlowi? Powiedz.

■ — Nikt jeszcze się nie skarżył, że źle palę — powiedział Tom Tom.

— Więc zrób, co ci każe — powiedział Snopes. — Weź dzisiaj wieczorem z sobą do domu ten złom. Uważaj, żeby cię nikt nie podpatrzył, nawet żona. A jeżeli nie chcesz tego zrobić, powiedz szczerze. Znajdę kogoś innego, kto mi to chętnie załatwi.

Więc Tom Tom zgodził się. I potem, ilekroć uzbierał się znów stos odrzuconych części, Tom Tom widział, jak Snopes bada je przy pomocy magnesu i oddziela miedź, żeby Tom Tom zabrał to do domu i schował. Tom Tom palił pod kotłami od czterdziestu lat, odkąd wyrósł na mężczyznę, a pod tymi trzema kotłami palił od dwudziestu lat, odkąd je tutaj ustawiono, bo nie kto inny, lecz on rozpałił pod nimi pierwszy ogień. Z początku obsługiwał jeden kocioł i płacono mu za to pięć dolarów miesięcznie. Teraz obsługiwał trzy i dostawał miesięcznie sześćdziesiąt dolarów, a lat miał także sześćdziesiąt, był właścicielem małej chaty, półka kukurydzy, muła i wozu, którym w każdą niedzielę dwukrotnie jeździł do kościoła, ze złotym zegarkiem i z młodą żoną, która prawdopodobnie była już ostatnią młodą żoną w jego życiu.

Pan Harker wiedział wtedy tylko tyle, że złom metalowy gromadzi się z wolna w kącie za kotłami, a potem w ciągu jednej nocy nagle znika; toteż co wieczór wchodząc do elektrowni z miną zaaferowaną i energiczną powtarzał ten sam dowcip zwracając się do Turla:

— Jak widzę, maszynka jeszcze się kręci. Sporo miedzi w tych tulejach i sworzniach, ale w ruchu nie zdążyłby przytknąć magnesu. Mamy szczęście. On gotów by przehandlować także całe kotły, gdyby znalazł sposób, żebyście wy z Tomem Tomem bez kotłów mogli fabrykować parę.

Ale to, co się potem stało, pan Harker opowiedział dokładnie, a zaczęło się wszystko w pierwszym dniu nowego roku, kiedy przeprowadzono kontrolę rachunków miejskich.

— Przyszli do nas dwaj faceci w okularach. Przejrzeli księgi, obeszlą wszystkie kąty, każdą rzecz policzyli i zapisali. Potem wrócili do biura i tam jeszcze tkwili, kiedy ja o szóstej po południu przyszedłem. Coś jakoby nie zgadzało się, jakieś stare miedziane kawałki figurowały w inwentarzu, ale nie było ich na swoim miejscu czy coś w tym rodzaju. W książkach wszystko w porządku, nowe zawory i inne części, które wymieniono, były zapisane. Ale starych ani rusz nie można było odnaleźć, z wyjątkiem jednego pękniętego kurka spustowego, który się nie wiadomo jakim sposobem w kącie zawieruszył pod warsztatem tak, że umknął, można by powiedzieć, przed magnesem. Doprawdy, dziwna historia. Wróciłem więc z kontrolerami

i przyświecałem im latarką, gdy raz jeszcze szperali po wszystkich zakamarkach brudząc sadzami, smarami i pyłem węglowym swoje białe koszule. Ale oczywiście ani śladu miedzi nie znaleźli. Wreszcie poszli sobie.

Nazajutrz rano wrócili. Tym razem przyprowadzili sekretarza miejskiego, wezwali pana Snopesa i czekali, dopóki nie przyszedł, w kraciatej czapce, z prymką w gębie, żując tytoń i przyglądając się kontrolerom, gdy ci, chrząkając i jękając się, tłumaczyli, o co chodzi. Ogromnie im przykro, z prawdziwym ubolewaniem, nie mogli jednak inaczej postąpić i musieli do niego się zwrócić, jako do dyrektora; czy chce, żeby mnie, Toma Toma i Turla natychmiast aresztować, czy też odłożyć to do następnego dnia? Snopes stał, żuł tytoń, oczy jego wyglądały jak dwie duże i krople oliwy w surowej klusce, a tamci wciąż tłumaczyli, jak im jest okropnie przykro.

— Ile to wynosi? — zapytał.

— Dwieście osiemnaście dolarów i pięćdziesiąt dwa centy, panie Snopes.

— I to już wszystko?

— Dwa razy sprawdzaliśmy rachunek.

— Dobrze — powiedział. Sięgnął do kieszeni, wy dobył pieniądze i zapłacił dwieście osiemnaście dolarów, pięćdziesiąt dwa centy gotówką, a potem zażądał pokwitowania.

Gowan dopiero w rok później został uczniem palacza Turla, toteż zobaczył wszystko na własne oczy i usłyszał bezpośrednio od Turla; pewnego wieczora niespodziewanie

w progu kotłowni stanął pan Snopes i kiwnął palcem na Turla, a w chwilę później Turl dla odmiany rozmawiał sam na sam z dyrektorem w jego biurze.

— Co to za nieporozumienia wynikły między tobą a Tomem Tomem? — spytał Snopes.

— Między mną a kim? — powiedział Turl. — Jeżeli Tom Tom chce się kłócić, niech lepiej rzuci kotłownię i zostanie kelnerem. Do kłótni trzeba dwóch ludzi, a Tom Tom, chociaż taki duży, jest tylko jeden.

— Tom Tom myśli, że chcesz go wygryźć z dziennej zmiany — powiedział pan Snopes.

Turl rozglądał się wkoło, nie patrząc jednak na nic.

— Ładuję węgiel nie gorzej niż Tom Tom — powiedział.

— Tom Tom też o tym wie — odparł pan Snopes. — Wie, że się starzeje. Ale wie także, że nikt inny nie może go stąd wygryźć, tylko ty. — I pan Snopes opowiedział mu, że Tom Tom od dwóch lat kradnie miedź z elektrowni, żeby zwalić winę na Turla i spowodować wyrzucenie go z pracy; dzisiaj znowu Tom Tom mówił dyrektorowi, że Turl jest złodziejem.

— Kłamie — powiedział Turl. — Żaden Murzyn na świecie, nawet taki wielki jak Tom Tom, nie może mnie oskarżyć o kradzież, jeżeli niczego nie ukradłem.

— Racja — powiedział pan Snopes. — Nie ma więc innej rady, jak znaleźć tę miedź.

— Nie moja rzecz — powiedział Turl. — Za to płacą Buckowi Connorowi. Buck Connor był szefem policji w mieście.

— W takim razie pójdziesz do więzienia — powiedział Snopes. — Tom Tom przysięgnie, że nic nie wiedział o tej ukrytej miedzi. Okaze się, że tylko ty wiedziałeś. Jak ci się zdaje, co sobie pomyśli Buck Connor? Tylko ty wiesz, gdzie miedź jest schowana, a Buck Connor wie, że nawet najgłupszy złodziej miałby dość rozumu, żeby nie chować ukradzionych rzeczy we własnej dzieży na kukurydzę. Nie ma dla ciebie innego ratunku, musisz tę miedź zwrócić. Idź tam za dnia, kiedy Tom Tom jest tutaj przy robocie, znajdź miedź i przynieś do mnie, a ja ją schowam, żeby mieć dowód przeciwko Tomowi Tomowi. Ale może nie chcesz dostać dziennej zmiany? Powiedz szczerze. Znajdę kogoś innego.

Turl nie palił pod kotłami od czterdziestu lat. Niczego nie robił od czterdziestu lat, bo sam miał dopiero trzydzieści. A gdyby nawet miał sto lat, nikt by go nie mógł posądzić, że jakiegokolwiek robocie poświęcił aż czterdzieści.

— Chyba, żeby mu doliczyć nocne przygody, bo włóczy się jak kocur w marcu — powiedział Harker. — Jeżeli kiedyś pech sprawi, że Turl się ożeni, będzie musiał wdrapywać się do własnego domu przez okno od podwórka, bo inaczej nie wiedziałby, po co tam przyszedł. Prawda, Turl?

A więc, jak mówił pan Harker, nie tyle Turl zawinił, ile się Snopes pomylił.

— Bo zapomniał — powiedział pan Harker — przypomnieć sobie w porę o młodej Mulatce, nowej żonie Toma Toma. Pomyśleć, że z wszystkich Murzynów w Jefferson wybrał właśnie Turla, który nie przepuścił — a przynajmniej próbował nie przepuścić — żadnej dziewczynie w promieniu dziesięciu mil od miasta, i jemu właśnie kazał iść do domu Toma Toma, a przecież Turl wiedział, że przez cały ten czas Tom Tom tkwi w kotłowni, pod okiem pana Snopesa, i ładuje węgiel aż do szóstej po południu, a potem jeszcze ma dwie mile drogi piechotą do domu przy torach kolejowych; jakże Snopes mógł się spodziewać, że Turl spędzi ten czas (Gowan wtedy właściwie sam po całych nocach palił pod kotłami. Musiał, bo Turl musiał po północy przespać się trochę na kupie węgla w bunkrze. Chudł w dodatku, a na to mógł sobie pozwolić jeszcze mniej niż na niedospianie) na poszukiwaniu czegoś, co nie było schowane w łóżku Toma Toma. A kiedy pomyśle, że Tom Tom krzątał się tutaj koło kotłów, podczas gdy w domu przyprawiano mu rogi w ten sam przyjacielski sposób, w jaki, wedle słów twojego wuja, pani Snopes z burmistrzem de Spain przyprawiała rogi Snopesowi, i że Tom Tom kradł miedź, żeby utrzymać się na posiadzie, którą mu rzekomo Turl chciał odebrać, a tymczasem Turl za dnia odrabiał nocną domową szychtę Toma

Toma — kiedy o tym pomyślę, to mam wrażenie, że zdechnę ze śmiechu.

Zostało mu to oszczędzone; wszyscy wiedzieliśmy, że taka sytuacja długo trwać nie może. Pytanie tylko, co się stanie najpierw: czy Tom Tom przyłapie Turla, czy pan Snopes przyłapie Turla, czy pana Harkera rzeczywiście krew zaleje. Wygrał Snopes. Pewnego wieczora stał w drzwiach biura, gdy pan Harker, Turl i Gowan stawili się na swoją zmianę; znowu kiwnął palcem na Turla i znowu Turl stanął przed nim w jego gabinecie, w cztery oczy.

— Znalazłeś tym razem? — spytał pan Snopes.

— Kiedy miałem znaleźć? — spytał Turl.

— Dzisiaj, na chwilę przed zmierzchem — powiedział pan Snopes. — Stałem za szopą, kiedy wypełzłeś z kukurydzy i wdrapałeś się przez okno od podwórka do domu. — Teraz Turl naprawdę nic nie widział rozglądając się pilnie wkoło. — Możeś ty nie tam szukał, gdzie trzeba — powiedział pan Snopes. — Gdyby Tom Tom schował żelazo w łóżku, znalazłbyś je już trzy tygodnie temu. Zajrzyj no raz jeszcze. Jeżeli i tym razem nie znajdziesz, będę musiał chyba poprosić Toma Toma, żeby ci pomógł.

Turl rozglądał się pilnie, nic nie widząc.

— Jutro wieczorem przepracuję dodatkowo trzy godziny — powiedział. — A przed południem niech pan tutaj przetrzyma Toma Toma, dopóki nie wrócę.

— Już ja to załatwię — powiedział Snopes.

— Ale niech pan go stąd nie wypuści, dopóki nie przyjdę i nie dotknę go — rzekł Turl — choćby już było nie wiem jak późno.

— Już ja to załatwię — powiedział Snopes.

Ale ta historia za długo już się ciągnęła i musiała się wreszcie skończyć. Nazajutrz wieczorem, gdy Gowan i pan Harker przyszli na nocną zmianę, pan Harker szybko rozejrzał się po kotłowni. Nie zdążył jednak powiedzieć słowa, kiedy w drzwiach biura stanął pan Snopes i spytał:

— Gdzie jest Tom Tom?

Bo na nocną zmianę czekał wcale nie Toni Tom, lecz zastępca Toma Toma, który palił w kotłach zwykle w niedzielę, gdy Tom Tom woził swoją nową żonę do kościoła. Gowan mi mówił, że pan Harker wtedy powiedział:

— O, do diabła!

I puściwszy się pędem, wymijając pana Snopesa, wpadł do biura, chwycił za telefon. Wybiegł stamtąd po chwili, nie zatrzymując się krzyknął do Gowana:

— W porządku. Otis — to był jego kuzyn czy siostrzeniec, czy coś w tym rodzaju, który odziedziczył tartak i od czasu do czasu zastępował w elektrowni pana Harkera, gdy ten chciał mieć noc wolną — Otis będzie tutaj za kwadrans. Tymczasem radź sobie, jak umiesz.

— Niech pan poczeka! — zawołał Gowan. — Idę z panem.

Nic nia mowy — odpowiedział w biegu pan Hoj-ker. — Najpierw sam się przekonam. — I rus.-yi w;:dłuż szyn bocznicy kolejowej prowadzącej z dziedzica elektrowni do głównego toru. drogą, którą Tom Toni co rano i co wieczór przemierzał między swoim domem a miejscem pracy: teraz tamtędy biegł pan Harker przy świetle księżycy, bo księżyc był prawie w pełni. A następnego wieczora, kiedy pan Harker i Tur! najspokojniej stawili się o zwykłej godzinie, żeby złuzować zastępcę Toma Toma. księżyc był dokładnie w pełni.

— Tak — powiedział pan Harker Gowa- nowi — zdążyłem w samą porę. Widzisz. Tur! był już w desperacji. To miała być ostatnia jego wyprawa. Tym razem musiał albo znaleźć miedz, albo wrócić z niczym i przyznać się panu Snopesowi, że nie potrafi spełnić jego polecenia. W obu wypadkach oznaczało to koniec zamiejskich wycieczek. Zdążyłem w samą porę, żeby zobaczyć, jak wypelza z kukurydzy, skrada się w świetle księżycy przez podwórko, włazi niby kocur przez okno. Potem minęło tyle czasu, ile potrzeba, żeby przebiec od okna do łóżka, odchylić koldrę, dotknąć ręką ciała śpiącej tam osoby, szepnąć: „Nie bój się. kochanie, to tatuś”. — Gowan mówił, że chociaż słuchał o tych zdarzeniach w dwadzieścia cztery godziny po ich zakończeniu, dreszcz go przeszedł, jak gdyby razem z Turlem przeżywał moment tej okropnej niespod?*anki: Tur!. pewny, że Tom Tom jest w tej chwili o dwie mile od domu i czeka, żeby on — Tur! — zjawił się złuzować go przy szufli, odchylając koldrę zobaczył nagle pod nią Toma Toma. w ubraniu, z nagim rzeźnickim nożem w garści.

— Dokładnie co do sekundy — powiedział pan Harker — jak dwa parowozy przy przetaczaniu pociągu towarowego: Tom Tom musiał zerwać się z furią w tym samym momencie. kiedy Tur! rzucił się do uciezki, wyskoczył przez okno z powrotem na oświetlone księżycem podwórko, a Tom Tom z nożem siedział mu na karku, tak że wyglądali zupełnie jak ten... no jak się nazywa, taki półczłowiek i półkoń z obrazków w historii starożytnej?

— Centaur — powiedział Gowan.

— ... wyglądali zupełnie jak centaur gnający na tylnych nogach i usiłujący przebić się rzeźnickim nożem trzymanym w przednim kopycie, i tak przebiegli przez oświetlone podwórko, aż zniknęli w ciemnym lesie. Tak. mój panie., Tur!, chociaż o połowę mniejszy od Toma Toma, niósł go na grzbiecie. Gdybyś się chociaż raz potknął, ten rzeźnicki nóż sam by cię zadzgał. nawet gdyby Tom Tom te'go nie zrobił, rozumiesz?

— Tom Tom jest chłop jak dąb — powiedział Tur!. — Trzy razy taki jak ja. Ale go niosłem. Musiałem. Com się obejrzał i zobaczył. jak w księżycu błyszczy ten nóż, to mi sił przybywało, tak że nawet dwa razy większego chłopca bym udźwignął i nie łożolni 1 bym kroku. — Tur! opowiadał, że z poc/.at-

ku tylko biegł, a dopiero jak się znalazł — czy raczej znaleźli — w lesie, między drzewami, wpadł na pomysł, żeby zrzucić z siebie Toma Toma tłukąc nim o pnie. — Ale tak przyciskał się do mnie jednym ramieniem, że com próbował grzmotnąć nim o drzewo, grzmociłem także sobą. Potem wybiegliśmy z lasu i . znów mignęło mi przy księżycu ostrze noża, więc nie było innej rady, jak biec dalej.

Mniej więcej w tej chwili Tom Tom zaczął ryczeć, żebym mu pozwolił zleźć ze swojego karku. Obejmował mnie teraz obu rękami, więc zrozumiałem, że bądź co bądź od noża uciekłem. Ale się już tak dobrze rozpędził, że nogi same biegły i nie słuchały ani Toma Toma, chociaż wciąż ryczał, że chce zsiąść, ani mnie. Wtedy Tom Tom obu rękami złapał mnie za głowę i zaczął ją skręcać, jakbym był mułem, co poniósł jeźdźca, i nagle ja też zobaczyłem przed sobą rów. Miał ze czterdzieści stóp głębokości, a szeroki był chyba na milę, ale za późno go spostrzegłem. Nogi nawet nie zwolniły biegu. Przebierały w powietrzu jak stąd do tej tam kupy węgla, zanim się zwaliliśmy w dół. I jeszcze się czepiały pazurami księżycowego światła, kiedy już my obaj z Tomem Tomem leżeliśmy na dnie.

Gowan przede wszystkim był ciekawy, czym się posłużył Tom Tom zamiast noża rzeźnickiego, który po drodze zgubił. Turl mu to powiedział. Niczym. Po prostu siedzieli z Tom Tomem na dnie rowu w blasku księżycy i gadali. A wuj Gavin tak to wytłumaczył: osiągnęli uświęcenie, racjonalny punkt widzenia, który zwierzęta, a także ludzie nie tylko osiągają, lecz na który zasługują przeszedłszy przez nieznośne stany emocjonalne, jak szalona furia lub szalony strach, i siedzieli we dwóch na dnie rowu zespoleni przyjaźnią, jak mówi wuj Gavin, wiążącą rogacza i uwodziciela, a co ważniejsze, całkowicie z sobą zgodni; dom Toma Toma został pogwałcony nie przez Turla z Tomey, ale przez Flema Snopesa; życie i całość Turla zostały narażone na straszliwe niebezpieczeństwa nie przez Toma Toma, ale przez Flema Snopesa.

I wtedy nadszedłem ja — powiedział pan Harker.

— Pan? — spytał Gowan.

— To on nam pomógł — rzekł Turl.

— Diabła tam pomógł — rzekł pan Harker. — Czyście już obaj z Tomem Tomem zapomnieli, co wam powiedziałem wczoraj wieczorem w rowie? O niczym nigdy nie wiedziałem, nie chcę o niczym wiedzieć, choćbyście na głowach stawali, o niczym nie wiem.

— Dobrze — powiedział. Gowan. — I co dalej?

Wtedy Turl opowiedział. Obaj razem wrócili do domu Toma Toma, który uwolnił żonę, bo przedtem uwiązał ją do krzesła w kuchni, we troje zaprzęgli muła do wozu, wyciągnęli miedz ze skrzyni na kukurydzę, załadowali ją, żeby wywieźć. Było tego niespełna pół

tony; reszta nocy zeszła im na przewożeniu tego towaru.

— Dokąd? — spytał Gowan. Ale Turl odparł, że poczeka, aż to pytanie zada mu sam pan Snopes: dzień już świtał i wkrótce miał nadejść wzdłuż bocznego toru od strony głównej linii kolejowej Tom Tom z drugim śniadaniem w puszcze, żeby objąć dzienną zmianę; rzeczywiście zjawił się, z podniesioną głową, drobną, twardą, okrągłą i upartą jak armatnia kula, a gdy wszyscy się odwrócili, zobaczyli także pana Snopesa stojącego w drzwiach kotłowni. Jak mówił Gowan, nawet pan Snopes, sądząc z jego miny, już zrozumiał, że próżno by tracił czas kiwając w tej chwili znowu palcem na kogokolwiek; toteż po prostu spytał Turla:

— Dlaczego nie znalazłeś?

— Bo tam nic nie było — rzekł Turl.

— Skąd wiesz? — spytał pan Snopes.

— Bo Tom Tom mi powiedział, że nic tam nie ma.

Bo już teraz nie pora było tracić czas. Pan Snopes tylko patrzył długo na Toma Toma. Potem rzekł:

— Coś z tym zrobił?

— Wrzuciliśmy tam, gdzie pan kazał — powiedział Tom Tom.

— My? — spytał pan Snopes.

— Ja i Turl — powiedział Tom Tom. Pan Snopes z kolei patrzył dość długo na Turla. Potem spytał:

— A gdzie ja kazałem to wrzucić i kiedy?

— - Wtedy, kiedy pan mówił, co zamierza zrobić z kłapami bezpieczeństwa — powiedział Tom Tom.

Woda w zbiorniku nabrała już smaku miedzi tak wyraźnie, że komuś powinno by przyjść do głowy, iż trzeba zbiornik opróżnić i oczyścić; komuś, ale nie panu Snopesowi. Bo Snopes nie był już dyrektorem elektrowni, podał się do dymisji, jak wyraziłby się pan de Spain, gdy był jeszcze porucznikiem de Spain — „dla dobra służby”. Odtąd więc mógł całe dni przesiadywać na werandzie swego wynajętego domu przy bocznej uliczce i przyglądać się sylwetce zbiornika zarysowanej na tle nieba ponad dachami miasta — patrząc na własny nagrobek, jak mógłby ktoś pomyśleć. Ale to nie był nagrobek, to był ślad stopy. Nagrobek mówi tylko: „Bądź co bądź tak daleko doszedłem”, ale ślad stopy mówi: „Tu byłem i stąd ruszyłem dalej”.

— I nawet teraz nie zrobił tego? — powiedział wuj Gavin do Ratliffa.

— Nawet teraz nie — odparł Ratliff. — Nie przyłapał swojej żony z Manfredem de Spaih; to tak, jakby ktoś zaszył w podszewce złotą dwudziestodolarówkę wybierając się w pierwszą dziewiczą podróż do miejsca, które, jak ma nadzieję, okaże się burdelem w Memphis. Jak dotąd, nie potrzebował jeszcze wypruć dwudziestodolarówki.

II. GAVIN STEVENS

ie wypruł jej dotychczas. Toteż wszyscy zadawaliśmy sobie pytanie, z czego on żyje. Skąd ma pieniądze, jeśli przesiaduje (jak się zdawało) całymi dniami przez resztę lata na nadpróchniałej werandzie wynajętego domku i patrzy na zbiornik wody. Dopóki władze miejskie nie postanowią w końcu opróżnić i wyczyścić zbiornika, żeby woda straciła metaliczny smak, nikt też nie dowie się, ile właściwie było tej miedzi, którą każdy z dwóch murzyńskich palaczy miał dla niego kraść, szantażowany i podżegany przeciw drugiemu, a którą potem obaj Murzyni, sprzymierzając się dla wspólnego bezpieczeństwa, wrzucili do zbiornika, skąd on nigdy, przenigdy nie odważyłby się go z powrotem wyciągnąć.

Po dziś dzień nie wiemy, czy cała skradziona miedź utonęła w zbiorniku, czy tylko jej część. Nigdy nie dowiemy-się, ile mógł na- kraść i sprzedać cichcem (zanim wpadł na pomysł skaptowania Toma Toma albo Turla do pomocy), czy to przedtem, czy potem, gdy ktoś — prawdopodobnie Buffaloe, bo stary Harker, gdyby dość uwagi poświęcił odrzuconym luźnym częściom i spostrzegł brak którejs z nich, z pewnością byłby przechytrzył Snopesa; tak myślę, bo chociaż udawał, że bawi się, po prostu jako widz, tą komedią, naprawdę był wściekły, że dał się tak wywieść w pole — a więc, gdy Buffaloe zawiadomił kogoś z zarządu miejskiego i przysłano kontrolerów. Wiadomo tylko, że pewnego dnia trzy zawory bezpieczeństwa zniknęły z kotłów; łatwo sobie wyobrazić, co potem nastąpiło: Manfred de Spain — na pewno Manfred de Spain — wezwał go i powiedział: „No, bracie”... albo: „dyrektorze”... albo: „chłopy- siu”, czy jak tam Manfred de Spain nazywał tego swojego, powiedzmy, szwagra, kto wie? może nawet mówił do niego: „Panie dyrektorze”? „Panie dyrektorze, części miedziane warte dwadzieścia trzy dolary i pięćdziesiąt jeden centów — oczywiście sprawdził cenę w cenniku, zanim go wezwał — zginęły podczas pańskiego urzędowania, a pan, niewątpliwie, chce być, jak żona Cezara, poza wszelkim podejrzeniem, co może pan osiągnąć przedstawiając nalepkę z napisem: »Opłata przy dostawie« na paczce zaadresowanej do pana”. Wiadomo też, z relacji Harkera, że dwaj kontrolerzy przez dwa dni szperali po elektrowni i chrząkali, zanim się odważyli powiedzieć Snopesowi, że wedle ich skrupulatnych obliczeń brakuje miedzi, i wiadomo, że Snopes wtedy wyciągnął z kieszeni pieniądze i zapłacił z miejsca.

Tak więc, nie biorąc pod uwagę pensji wynoszącej pięćdziesiąt dolarów miesięcznie, posada kosztowała Snopesa dwieście czterdzieści dwa dolary i trzydzieści trzy centy z własnej kieszeni, czyli niejako z gotówki bieżącej. Gdyby nawet całą pensję co do centa odkładał, odejmując od tego stratę przeszło

u

dwusiu doło rów, i przypuściwszy, że udało mu się ukraść w ciągu uradowania więcej miedzi za dalszych dwieście dolarów, widzimy, że nie mógł w rezultacie zarobić tyle, by utrzymać siebie i swoją rodzinę przez czas dłuższy. A jednak od dwóch lat już siedział na werandzie patrząc (jak nam się zdawało) na zbiornik wody. Zagadnąłem na ten temat Ratliffa.

— Żyje z roli — powiedział.

■— Z roli? — powiedziałem (przyznaję, jeśli chcecie: krzyknąłem). — Z jakiej roli? Siedzi przecież od wschodu do zachodu słońca na werandzie i patrzy na zbiornik.

— Jego rola to Snopesowie — powiedział Ratliff. Snopesowie, cała ta sztywna hierarchia nieprzerwanie posuwająca się w górę na każdy szczebel przez niego opuszczony, z tym zastrzeżeniem, że następcą, który odziedziczył restaurację, nie był Snopesem. Niewątpliwy, niezbity fakt: to nie był Snopes; nieuzasadnione, oburzające i niewybaczalne byłoby go o to posądzać, bo jego matka (jak w następnym pokoleniu jej nieprawdopodobna bratowa) z pewnością, mówiąc słowami starożytnego sielankopisa, rozwiązała dzie- | wiczą przepaskę, zanim wyszła za jednego ze j Snopesów, uchodzącego w oczach prawa za f jego ojca.

J

Na imię miał Eck. Eck z przetrąconym kar- i kiem; sprowadził się do miasta jako bezpo- | średni następca Flema, sztywny w gorsecie j ze stali i rzemieni. Można ręczyć głową, że nie Snopes. Ratliff opowiedział mi jego historię; złamał kark pracując w tartaku. (Jak widać, nawet rodzina, nawet Flem wiedział, że to nie jest Snopes, skoro wyprawiono go, zesłano do tartaku, gdzie sam właściciel musiał być geniuszem finansów, żeby uniknąć bankru- ' ctwa, gdzie łajdak nie ma. nic do roboty, bo nic nie ma do ukradzenia prócz desek, a wywieźć cichcem wóz naładowany drewnem jest tak nieporęcznie, jak ukraść szafę ogniotrwałą albo, dajmy na to, miejski zbiornik z wodą.)

Flem posłał więc Ecka do tartaku wuja Billa Varnera (miał, jak myślę, do wyboru albo go tam wyprawić, albo uśpić chloroformem czy też zastrzelić jak chorego psa lub starego muła) i Ratliff opowiedział mi, jak doszło do wypadku. Pewnego dnia Eck zaoferował się, za dolara na głowę, wspólnie z murzyńskim robotnikiem (jednym z najroślejszych i oczywiście zarazem najgłupszych) podnieść i umieścić na platformie olbrzymi pień cyprysu. I zrobili to (jak już mówiłem, jeden nie był nawet Snopesem, a drugi był skończonym idiotą), pień prawie już znalazł się bezpiecznie na platformie, gdy w ostatniej chwili Murzyn pośliznął się czy potknął, dość że się osunął; Eck powinien był wtedy puścić swój koniec pnia i co prędzej uskoczyć w bok.

Ale nie, on nie był taki, nie był Snopesem, diabli wiedzą, kim był; naprężył kark i podtrzymywał jak mógł najwyżej pień od swego końca, wytrzymał nawet wstrząs w momencie, kiedy drugi koniec uderzył o ziemię, pod-

pieral dalej pień, dopóki kłós nic pomyslni
0 wyciągnięciu spod niego Murzyna.

Ale nic miał dość rozumu ani toż nie byt dość Snopesem, żeby chociaż wtedy odskoczyć, jakby nie wiedział, że nawet Jody Varner nic zapłaci mu nic. za uratowanie Murzyna, chociaż to był Murzyn Varnerow; dalej tkwi! w miejscu i dźwiga! ton potężny pień, już mu z ust po trosze krew zaczęła płynąć, kiedy wreszcie ludzie znów się opamiętali

1 podłożyli pod ten pień gruby kłoc, a jego odciągnęli na bok; skulił się pod jakimś drzewem plując krwią i skarżąc się na ból głowy. („Nie mów mi, że zapłacili mu dolara — powiedziałem; zresztą dobrze, przyznam się — krzyknąłem do Ratliffa: — Nie mów mi tego”.)

Głową rękę, że to nie był Snops: zamieszkał z żoną i synem w namiocie za restauracją i z kolei on teraz stał za kontuarem w swoim gorsecie ze stali i rzemieni i w wytłuszczonym fartuchu. Smażył na oblepionym skwarkami ruszcie jajka lub mięso, a w tej swojej sztywnej uprząży nic mógł nawet dostrzec, czy mięso ma już dość smażenia, czy nie, i kucharzował tak, jak ślepy pianista gra, ze słuchu, i był tutaj bardziej jeszcze nie na miejscu niż w tartaku, bo w tartaku mógł co najwyżej połamać własny kręgosłup, a tutaj zagrażał starej tradycji rodzinnej Snopesów, tradycji cierpliwej i nieustępliwej chciwości; niewiarygodnie naiwny, łudził się, że wszyscy ludzie postępują w życiu odważnie i uczciwie,

po prostu dlatego, że w przeciwnym razie świat żyłby w ustawicznym strachu i zamęciu. Do tego się posunął ten Eck, że kiedyś, nawet: nie szeptem, ale głośno, wobec kilku obcych osób, nie krewnych i nie powinowatych Snopesów, powiedział: „Jeśli się nie mylę, goście płacą za to jak za kotlety wołowe? Nic wiem, co to jest, ale na pewno nie wołowina”.

Wobec tego oczywiście tamci — a kiedy mówię „tamci”, mam na myśli Snopesów; a kiedy w Jefferson mówi się: Snopesowie, znaczy to Flem Snopes — wkrótce go z restauracji wyrzucili. Musieli, był na tym miejscu niemożliwy. Ale oczywiście nasuwa się pytanie, gdzie w Jefferson, nie w systemie gospodarczym miasta, ale w systemie gospodarczym Snopesów (tak, tak, Snopesowie w Jefferson to znaczy Flem Snopes) Eck byłby możliwy, gdzie nie zagrażałby Snopesom. Ratliff także to rozumiał, bo uwaga na temat kotletów wołowych obiegła w ciągu dwudziestu czterech godzin całe miasto, każdy więc zdawał sobie sprawę, że z tym Eckiem coś trzeba zrobić, i to prędko, jak najprędzej, no i załatwili to (ponieważ naprawdę chcieli), niemal zanim Flem połapał się, o co chodzi. Tak mi powiedział Ratliff, właśnie on, z tą swoją cholernie uprzejmą miną, cholernie bystrymi, łagodnymi, naiwnymi, inteligentnymi oczyma, zanadto naiwnymi, zanadto inteligentnymi.

— Teraz jest nocnym stróżem przy zbiór-

nikli nafty na dworcu towarowym w Ren- frow. Nie musi tam męczyć swojego przetrąconego karku usiłując patrzeć w dół, żeby sprawdzić, co się pali. Nie potrzebuje też zadzierać głowy, żeby się przekonać, czy cysterna stoi jeszcze na swoim miejscu, czy nie, wystarczy podejść i dotknąć jej. A nawet może sobie siedzieć w fotelu pod drzwiami i posyłać od czasu do czasu swojego chłopaka, żeby go wyręczył. Tego koniarza.

— Kogo? — powiedziałem, a właściwie krzyknąłem.

— Koniarza — odparł Ratliff. — To syn Ecka. Wallstreet Panic. Byłem przy tym, jak ten facet z Teksas wyprzedawał na licytacji dzikie konie Snopesa. O zmierzchu, po kolacji w pensjonacie pani Littlejohn rozbie- rałem się w swoim pokoju do snu, a tymczasem Henry Armstid, Eck i ten jego chłopak poszli na okólnik po swoje konie. Eck miał dwa; jednego Teksaszczyk mu podarował, żeby rozruszać licytację, więc Eck przez wdzięczność za prezent czuł się w obowiązku zgłosić pierwszy, gdy wystawiono na sprzedaż drugiego, no i nikt go nie przelicytował. Kiedy więc Armstid otworzył bramę i całe stado tratując go rzuciło się nagle do ucieczki, Eck znalazł się, jak sobie wyobrażam, w okropnej rozterce, bo nie wiedział, którego konia przede wszystkim gonić: tego, którego mu Teksaszczyk podarował i który by reprezentował najczystszy zysk, gdyby się go udało złapać, czy też tego, na którego już wydał z własnej kieszeni pięć albo sześć dolarów; innymi słowy, czy więcej wynosi sto i ileś tam procent wartości darowanego konia, czy też sto procent wartości konia kupionego za sześć dolarów. Czy opłaca się ryzykować stratę pierwszego konia, od którego ceny sprzedażnej, lepszej lub gorszej, trzeba odliczyć sześć dolarów — po to, żeby gonić drugiego, który przy sprzedaży da najczystszy zarobek?

Możliwe, że w tym kłopotcie zdecydował się korzystając z pomocy syna spróbować pościgu za obu końmi naraz. To w każdym razie wiem na pewno, że kiedy po ściągnięciu spodni, w samej koszuli wyglądałem przez okno, ciekawy, co tam się dzieje, usłyszałem za swymi plecami dziwny głos i spojrzawszy przez ramię zobaczyłem w progu pokoju konia; stał i patrzył na mnie, a za nim w sieni skradał się syn Ecka z kawałkiem postronka w garści. W oka mgnieniu skoczyliśmy obaj,

Ś ja w koszuli przez okno, a koń, zakręciwszy w miejscu, w głąb sieni; przypominając sobie, że jestem bez portek, puściłem się pędem wokół domu w stronę drzwi frontowych i w tym samym momencie koń spotkał się oko w oko z panią Littlejohn, która wyszła na kuchenny ganek z tobołkiem bielizny pod jedną pachą, z tarą do prania pod drugą; podobno krzyknęła: „A pódziesz stąd, łobuzie!” i nawet nie wypuszczając tobołka zamachnęła się, grzmotnęła konia w łeb tarą, a potem jej szczytka cisnęła za nim, gdy pomknął z po-

wrotem do sieni, w chwili gdy ja dopadłem schodków od frontu; przeskoczył przez chłopaka — który wciąż tkwił w sieni z postronkiem w garści — nie musnąwszy mu nawet włosów na głowie, znalazł się znów na frontowej werandzie, nie zatrzymał się nawet na mój widok, tylko znów w miejscu skręcił, pogalopował do końca werandy, przesadził barierę, spadł z powrotem na okólnik, w poświacie księżycy jak ogromny pstry jastrząb w trzech susach przeżegłował nad nim i wy dostał się z zagrody przez bramę, której nikt nie zamknął do tej pory; raz jeszcze go usłyszałem, kiedy kopyta zadudniły na drewnianym moście przed zakrętem, gdzie się rozgałęzia droga do Bookright. W chwilę potem z domu wyszedł chłopak, wciąż z postronkiem w garści. „Dzień dobry, nie widział pan czasem, panie Ratliff — powiada — w którą stronę on uciekł?”... Ale ty się chyba mylisz...

Koniarz, psiarz, kot, małpa czy słoń, wszystko, tylko nie Snopes. A teraz spróbujcie to sobie wyobrazić, spróbujcie, a na samą myśl ciarki wam przejdą po plecach: w bezpośrednim potomku Ecka Snopesa ta sama co u ojca naiwność i wiara w praktyczną konieczność odwagi i honoru zdążą przyblednąć i ochłonąć tak, że zostanie tylko nawyk do odwagi i honoru; dodajcie naturalne dziedzictwo tego plemienia, dziedzictwo zimnej chciwości, instynktownej jak oddech, i zadrzyjcie wobec tej perspektywy: nawyk odwagi i honoru skojarzony z chciwością podniesioną do n-tej

potęgi przez odwagę i honor; to już będzie nie koniarz, ale szczenię lwa czy też tygrysa, Dżyngiz-chan, Tamerlan, Attyła pośród bezbronnego, niestrzeżonego miasta. Ratliff patrzył na mnie; właściwie nie odwrócił ode mnie wzroku przez cały ten czas, ale teraz dopiero nagle to spostrzegłem, bo przerażony tamtymi myślami zapomniałem o nim na chwilę.

— Co? — zapytałem. — Co mówiłeś?

— Że się mylisz. Co do tej posady nocnego stróża, którą Eck dostał. W tym wypadku pomógł mu nie Manfred de Spain, ale masoni.

— Co? — powiedziałem, krzyknąłem.

— Tak jest. Eck był grubą szyszką w masonerii, w łoży wuja Billa Varnera w Sadybie Francuza. Toteż wuj Bill napisał parę słów do masonów w Jefferson, żeby znaleźli odpowiednie zajęcie dla jego przetrąconego karku.

— A więc taki był niebezpieczny? — powiedziałem. — Taki był niebezpieczny następny na drabinie w tej wspinaczce bezczelnej, groźnej i przerażającej, że sam Will Varner musiał swoimi wpływami sięgnąć na odległość dwudziestu dwóch mil, byle uratować Sadybę Francuza? Bo następny po Ecku zjawił się za kontuarem restauracji I. O., kowal — nauczyciel — bigamista w jednej osobie, a właściwie podwojony przez bigamię, chudy, mały, gadatliwy człowieczek, podobny do łasicy, któremu z ust płynęły ciurkiem wytarte frazesy i powiedzonka, zwykle bez-

sensowno, ani z sobą, ani z sytuacją nie związane. Człowieczek tak niepozorny, że nawet z młotem w reku nie ważył tyle, co kowadło, które mu najpierw powierzono, a potem odebrano. Człowieczek ten (oczywiście Ralliff mi to mówił, jak zawsze Ralliff) gadał już wjeżdżając do Sadyby Francuza, a raczej padał, gdy zobaczono go niespodzianie w kuźni. Varnera, którą przez pięćdziesiąt poprzednich lat prowadził Turnbull, najpierw jako młody chłopak, a w końcu jako staruszek.

Ale I. O. nie był kowalem. Tyle tylko, że się utrzymywał z kuźni. W robocie zastępował go ktoś inny, nasz Eck, jego kuzyn (nie wiadomo, jakie łączyło ich pokrewieństwo, może wystarczyło, że obaj byli Snopesami i żaden jeszcze nie okazał się niegodny, jak to potem Eckowi się zdarzyło, bo Snopesowie trzymali z sobą jak masoni, związani przysięgą, że zawsze będą trzymali wspólny front wobec świata, dopóki któryś nie zdradzi, jak Eck to zrobił). Aż pewnego dnia, pewnego ranka, czy to wikary gdzieś wyszedł, czy proboszczowi, wielkiemu kapłanowi, strzeliło do głowy, że ma prawo i władzę sprawować nabożeństwo i nikt mu w tym nie może przeszkodzić, dość że gdy w kuźni zjawił się Zuck Houston ze swoim wyścigowym ogierem do podkucia, I. O. od razu pierwszym hufnolem skaleczył kopyto do żywego, a wtedy Zuck podniósł Snopesa do góry i razem z młotem wrzucił go do kadzi z wodą; jakimś cudem potrafił jedną ręką przytrzymać rozdrażnione zwierzę, drugą wyrwał gwóźdź i podkowę, potem wyprowadził ogiera na dwór, uwiązał, wrócił i raz jeszcze wpakował Snopesa do wody.

Nauczycielem także nie był. Nie tylko uzurpował to stanowisko w okolicy, gdzie go nikt nie znał, ale jakby ukradł tę szansę własnemu rodowi. W Sadybie Francuza jednak o tym jeszcze nie wiedzano. Wiedzano za to, że ledwie wyleciał z kuźni (albo też: ledwie zdążył przeschnąć po kąpiel, którą mu Zuck Houston zafundował), a już został nauczycielem („profesorem”, jak w Sadybie Francuza nazywano każdego nauczyciela) w jednoizbowej szkole, stanowiącej integralną część księstwa starego Varnera — nie dlatego, żeby stary Varner lub ktokolwiek inny w Sadybie Francuza odczuwał brak albo potrzebę społeczną kształcenia młodzieży, ale dlatego, że osada nie byłaby kompletna bez szkoły, tak jak pociąg towarowy bez wozu słuźbowego.

Tak więc I. O. Snopes został nauczycielem; wkrótce potem ożenił się z pewną miejscową piękną, w rok później popychał po ulicach wioski wózek domowej konstrukcji, a żona jego znowu była w ciąży; można by myśleć, że nie tylko osiadł na dobre, ale przykuty był beznadziejnie do tej osady, a tymczasem pewnego dnia w trzecim roku zajechał przed sklep Varnera powozik, w którym siedziała kobieta tłusta i wypłowiała, mimo że jeszcze młoda, z tłustym i wypłowiałym pięcioletnim chłopczykiem...

— To była jego żona — rzekł Ratliff.

— Żona? — powiedziałem, krzyknąłem. — Zdawało mi się...

— Wszystkim się zdawało — rzekł Ratliff. — Obwoził przecież w wózku domowej konstrukcji dwoje dzieciaków, tym razem bliźnięta, ochrzczone już imionami Bilbc i Vardanian, nie mówiąc o pierwotnym, Clarence. Tak, mój panie, dorobił się trójki, chociaż mógł się spodziewać, że pierwsza żona odnajdzie go i zjawi się razem z czwartym; i to kto, facet suchy jak trzaska, mały jak krewetka, druga żona, to znaczy ta, z którą żył w Sadybie Francuza, póki pierwsza nie przyjechała — siostrzenica szwagra pani Vernon Tuli — także nie była duża, a jednak rodziła mu tłustych, wypłowiałych synów w tym samym typie co chłopak, który przyjechał powozem przed sklep razem ze swoją mamą; no i ta mama przy gromadzie ludzi obecnych właśnie na werandzie powiedziała:

„Poznaję głos I. O. (Rzeczywiście I. O. był w sklepie. Słyszeliśmy go wszyscy.) Proszę go zawiadomić, że przyjechała żona”.

Nic więcej. To wystarczyło. Kiedy I. O. przybył do Sadyby Francuza dokładnie co do dnia trzy lata temu, miał z sobą dużą podróżną torbę; przez te trzy lata pewnie się czegoś więcej dorobił, nie mówiąc już o trzech potomkach. Ale po nic do domu nie występował. Jak stał, wymknął się zo sklepu tylnymi drzwiami. Flem już od downa zwrócił Var- nerowi starego Turnbulla do kuźni, teraz jednak otwierał się wakans na stanowisko profesora, a raczej miał się ten wakans otworzyć, gdy I. O. zniknie za pierwszym rogiem ulicy z oczu świadków i będzie mógł zwiać na przełaj polem. Co też zrobił niewątpliwie, bo nikt nie widział, aby się za nim na którejkolwiek drodze kurzyło. Krążyła pogłoska, że I. O. na chwilę wtedy umilkł, ale wątpię. Nie trzeba przesadzać.

Nie trzeba. I. O. jednak przesadził. To zna- czy, że znów gadał jak najęty, gdy go następnym razem ujrano, a było to w^T restauracji, za kontuarom. Miał na sobie wytłuszczony fartuch, przyjmował zamówienia, pich- cił i pichcił źle albo też nie to, coś zamówił, a mylił się nie z pośpiechu, lecz dlatego, że nigdy nie zamykał ust na dość długo, żeby ktoś zdążył go poprawić albo powstrzymać; znów lal/ się z niego poprzekęcane i wy- świechtane powiedzonka albo przenośnie bez związku i bez sensu.

Była z nim żona, to znaczy żona numer jeden, że tak powiem pierwotna, która pierwsza figurowała na afiszu, chociaż na scenie pokazała się jako druga. Numer dw^a z afisza, mimo że pierwszy na scenie, siostrzenica szwagra żony Tulla, matka drugiej serii wypłowiałego — jak mówił Ratliff — potomstwa, Clarence^a oraz bliźniaków, Vardamana i Bilba, słowem druga żona została w* Sadybie Francuza. Pierwszą, która objawiła się w Sadybie Francuza siedząc w powozie i siedząc w powozie stamtąd zniknęła, ujrano znów

siedzącą, przeniesioną nie wiadomo jakim sposobem i niejako bezpośrednio z powozu, w którym ją Ratliff widział dokładnie co do dnia pięć lat przedtem w miejscu odległym od Jefferson o dwadzieścia dwie mile, na bujający fotel i na frontową werandę pensjonatu, gdzie ją teraz oglądaliśmy, tak samo z rękoma złożonymi na podołku, nachyloną pod kątem prostym, jak gdyby brakowało jej w biodrach zawiasów; zdawało się, że ta kobieta ma gęstość i nieruchomość ołowiu czy uranu i że nie mogła jej przenieść z powozu na fotel żadna siła ludzka, nawet siła dziesięciu I. O.

Bo Snopesowie szybko teraz pięli się po szczeblach w górę. I. O. ze swoją potężną, wypłowiałą, siedzącą żoną i potężnym, wypłowiałym synem (na imię miał Montgomery Ward) nie zatrzymał się nawet w namiocie za restauracją, gdzie mieszkał jeszcze Eck ze swoją żoną i dwojgiem dzieci. („Czemu nie? — mówił Ratliff. — Prócz smażenia kotletów różne rzeczy można robić nie schylając głowy”). Stadło I. O. przeskoczyło ten etap, żona od razu zasiadła w bujającym fotelu na frontowej werandzie pensjonatu — mniej lub bardziej obdrapanego sześciennego budynku opodal Rynku, gdzie zatrzymywali się wędrowni poganiacze bydła, handlarze koni i mułów i gdzie podczas sesji sądowej zamykano co ważniejszych świadków dając im tutaj nocleg oraz wikt; żona I. O. bujała się wytrwale w fotelu nic nie robiąc, nie czytając, nie przyglądając się nawet przechodniom, nie zwracając specjalnej uwagi na to, kto wchodzi w drzwi lub wychodzi, po prostu kołysała się przez pięć następnych lat, a nawet i potem, gdy dom ten przeobraził się ze zwykłego pensjonatu w istną królikarnię i-gdy na jednym ze słupów frontowej werandy przybito sosnową deskę z pokrętnym, ręcznie wykonanym napisem, w którym oba S były odwrócone:

HOTEL SNOPESA

Wreszcie Eck, którego naiwność lub uczciwość, czy też może obie te cnoty razem, wyгнаły już od dawna z restauracji na fotel nocnego stróża dworcowej cysterny z naftą, zabrał z namiotu za restauracją żonę i synów. (Wallstreet Panic. Dla mnie tak samo jak dla Ratliffa brzmiało to niewiarygodnie, chociaż imię młodszego, Admiral Dewey, nie dziwiło nas wcale.) Restauracji nie sprzedano razem z całym inwentarzem i firmą, lecz wypatroszywszy wewnątrz i nie przerywając ani na jeden dzień ruchu w interesie, przeniesiono wszystko, łącznie z klientelą, do nowego pensjonatu, gdzie gospodarowała teraz żona Eck; przeniesiono wszystko przez frontową werandę omijając fotel na biegunach i bujającą się w nim postać, która kołysała się nadal, obrastając legendą i pełniąc funkcję drogowskazu, jak godła nad staroświeckimi gospodami w Anglii; ludziom przybyłym do miasta z okolicy i pytającym o hotel odpo

wiadano po prostu, żeby szli w tym kierunku, dopóki nie zobaczą bujającej się w fotelu na werandzie kobiety: to właśnie tam.

I wówczas zjawił się kolejny Snopes, ten, którego tytuł, jeśli nie zawód, przywłaszczył sobie przedtem I. O. Właściwy Snopes-na-uczyciel. A raczej ten, który na nauczyciela rzeczywiście wyglądał. A może i to nie prawda, może raczej wyglądał jak John Brown z nieuleczalną i nie dającą się ukryć skazą: wysoki, chudy, ■ w wyplamionym surducie, z tasiemką zamiast krawata, w kapeluszu z szerokim rondem, jakie noszą politycy, z zimną furią w spojrzeniu i z długą szczęką mówcy; nie cierpiał na biegunkę słów jak jego kuzyn (choć nie wiem, jakie było między nim a I. O. pokrewieństwo, żaden ze Snopesów nie wydawał się do drugiego podobny, byli to po prostu Snopesowie, jak w gromadzie szczurów wszyscy są szczurami, a w mrowisku mrówkami). Ale posiadał szczególny dar: w dyskusji nieomylnie dobierał nikczemne i złośliwe argumenty, trafnie czytał myśli osób, z którymi miał do czynienia, z talentem demagoga umiał posłużyć się ludźmi, żeby zaspokoić własne apetyty, a wszystko to maskował pokostem kultury i religii; nawet imiona jego synów, Byron i Wergiliusz, były nie tylko dowodem, lecz zarazem ostrzeżeniem. W dodatku także nie był nauczycielem. Ale w przeciwieństwie do swego kuzyna, przebywał między nami tak krótko, że nie musiał nas przekonywać o swoim braku kwalifikacji. Czy też może zjawił się w lecie i zniknął, zanim się lato skończyło, wypełniając tylko lukę między dwiema nominacjami. A może urządził się po prostu w ten sposób na okres wakacji. Albo też kręcił się tylko między gospodą a Rynkiem w krótkich chwilach wolnych od prawdziwej swojej sielankowej misji, której terenem były rozproszone po wsiach kościoły, strumienie i sadzawki, gdzie na brzegach w gorące letnie niedziele odbywały się religijne zebrania i obrzędy chrztu; to właśnie on (miał dobry baryton i ostatni chyba używany w północnej części Missisipi ustny kamerton) przy tych okazjach poddawał ton i recytował teksty, dopóki pewnego dnia sfera rozjątrzonych ojców nie przyłapała go w pustej szopie na bawełnę z czternastoletnią dziewczynką, a wytarzawszy rozpustnika w smole i w pierzu przepędziła go z okolicy. Podobno zapalczywi wsi chcieli go wykastrować, ale ktoś mniej śmiały, a bardziej konserwatywny odwiódł mścicieli od tego zamiaru, więc tylko zagrożono Snopesowi kastracją na wypadek, gdyby kiedykolwiek wrócił.

Tak więc zostali po nim jedynie dwaj jego synowie, Byron i Virgil. Byron zresztą również długo wśród nas nie zabawił, bo pojechał do Memphis kształcić się w szkole handlowej. Miał się tam nauczyć księgowości. Z niedowierzaniem przyjęliśmy pogłoskę, że sam pułkownik Sartoris umaczał w tym palce. Sam pułkownik Sartoris, który urzędował

w swoim gabinecie w głębi bankowego gmachu; nasza niewiara domagała się, żądała sprawdzenia wiadomości, bo pamiętaliśmy, a przynajmniej najstarsi z nas, między innymi mój ojciec, nie zapomnieli, że pierwszy Ab Snopes, patriotyczny zdobywca czy też pospolity złodziej koni (zależnie od tego, po której stronie stoimy), został powieszony (nie przez federalną żandarmerię, ale przez kon- federacką, wedle dawnej legendy) służąc w kawalerii pod komendą starego pułkownika Sartorisa, który był prawdziwym pułkownikiem i ojcem naszego obecnego bankiera, pułkownika tylko tytularnego, w rzeczywistości jedynie adiutanta przy ojcowskim sztabie w rozpaczliwym schyłkowym okresie 1864— 1865, kiedy to wielu ludzi, nie tylko Snopesowie, nie mając do wyboru życia z honorem, musiało wybierać między czczym honorem a niemal równie czczym życiem.

Koń wrócił do żłobu. Tak, tak, mówiliśmy to, oczywiście, my, miejscowi dowcipnicy, nie pominęliśmy okazji. Nic wierzyliśmy w to ani też nie wątpiliśmy o tym, mówiliśmy tak po prostu w obronie pamięci Starego Pułkownika; chcieliśmy głośno i w swoim gronie pierwsi powiedzieć to, co, jak myśleliśmy, Snopesowie od dawna między sobą szepczą śmiejąc się w kułak. Na pewno żaden konfe- deracki żandarm nie zdołał zmienić owego pierwszego Snopesa, ale sami Snopesowie złożyli go w ofierze, żeby przerzucić brzemię rodzinnego sekretu na barki potomka do wódcy Aha, doczekawszy się dnia, gdy ród jego wyrobił sobie plecy dostatecznie krzepkie, inaczej mówiąc, gdy powstał nowy bank, założony około pięć lat temu przez naszego pułkownika Sartorisa.

Oczywiście nie wierzyliśmy w to naprawdę. Wiedzieliśmy, że naszego pułkownika Sartorisa nie trzeba szantażować tajemnicą rodzinną. Wszyscy przecież w naszych stronach, mimo że upłynęło pół wieku, wspominaliśmy z senlymentem bohaterów naszej chlubnej, nieodwołalnej, ostatecznej klęski, i byli to prawdziwie nasi bohaterowie, bo ówczesny pułkownik Sartoris zwerbował swój pułk spośród naszych ojców, stryjów, dziadków rodzonych czy stryjecznych, w naszym okręgu i w jego najbliższym sąsiedztwie. A któż miał większe prawo do tych sentymentów niż nasz pułkownik Sartoris, syn tego pułkownika Sartorisa, który ów pułk zwerbował, wyćwiczył, prowadził, starając się w bitwach szcędzić $\$5^{\wedge}$ cie każdego człowieka, a w okresach bezczynności między bitwami broniąc tych prostych ludzi przed niebezpieczeństwem ich własnych apetytów i złych skłonności, a przynajmniej pomagając im wydobyć się z tarapatów, jeśli w nie z własnej winy wpadli. Spośród potomków żołnierzy z tych kompanii i batalionów, z tego pułku, Byron Snopes nie był pierwszym, który skorzystał ze wspaniałomyślności naszego pułkownika Sartorisa.

Ale powiedzonko o koniu, który wrócił do

złobu, brzmiało lepiej. Nie było dowcipne, lecz wyrażało pogardę jednoczącą nas natychmiast i na zawsze we wspólnym froncie przeciw temu, co nazwisko Snopes oznaczało dla nas i dla wszystkich, dla każdego, kto czuł się zbrukany i skażony już samym mechanicznym połączeniem tego nazwiska ze swoim. W każdym razie koń wrócił do złobu w porę, uzbrojony w dyplom szkoły handlowej; widzieliśmy go przez kratkę, za nią, we wnętrzu strzegącym naszych pieniędzy i skomplikowanych rejestrów, oddanych pod straż pułkownikowi Sartorisowi; widzieliśmy Byrona Snopesa za biurkiem księgowego, pochylonego nie w pozie modlitwy ani uległości, nawet nie w pokorze przed tym oślepiającym blaskiem ślepych pieniędzy, lecz raczej z jakąś pełną szacunku, choć wolną od pokory pilnością, w skupionej, nieodpartej ciekawości, która mu kazała śledzić mechanizm buchalterii; nie tyle czołgał się w blasku tajemnicy, ile próbował niepostrzeżenie uchylić rąbka jej szat.

A ponieważ zajmował w hierarchii szczebel najniższy, musiał posługiwać się do tego celu długim wędziskiem, oczekując, że kiedyś podejdzie dość blisko, by sięgnąć ręką; powiedzmy, do reszty macąc i załamując naszą metaforę, że posługiwał się skromnym wędziskiem dobytym z tego samego kołczana, w którym niegdyś znalazło się stanowisko dyrektora elektrowni, bo przecież pułkownik Sartoris należał do pierwszego kółka

miłośników polowania na niedźwiedzie i jelenie, gdy stary major de Spain wkrótce po wojnie zainicjował doroczne myśliwskie spotkania w Big Bottom; przed pięciu zaś laty, kiedy pułkownik Sartoris zakładał bank, Manfred de Spain użył całego odziedziczonego po ojcu majątku, żeby zostać jednym z pierwszych udziałowców i członków rady nadzorczej tego banku.

Ach, tak, koń wrócił nareszcie do złobu i zadamowił się w stajni. Z czasem (czekaliśmy na to; nie dowiemy się nigdy, jak tego dokonał, mimo że mieliśmy go wciąż na oku, ale wiemy, bądź co bądź, kiedy się to mniej więcej stało), z czasem miał objąć stajnię w posiadanie, wypędzić z niej pułkownika Sartorisa, jego z kolei pozbawić miejsca i obroku, tak jak przedtem Ratliffa i Grovera Clevelanda ich praw do restauracji. Nie wiemy, jak to się stało; oczywiście nie była to nasza sprawa, nikt nawet nie mógł przypuszczać, że ktoś z nas chciałby się tego dowiedzieć; bo już wtedy rozumieliśmy, że nie obronimy miasta od Snopesów, i mówiliśmy sobie: niech tam, oddajmy całe Jefferson Snopesom, razem z bankiem, ratuszem, radą miejską i kościołem, a wtedy Snopesowie broniąc się od Snopesów będą musieli bronić i ochraniać także nas, swoich wasali, swój dobytek.

Manfred de Spain nosił kołczan, ale strzały z niego wyciągała kolejno ręka tej przekłetej, niewiarygodnej kobiety, tej pięknej Heleny

z Sadyby Francuza, tej Semiramidy... Nie, nie była Heleną ani Semiramidą. To była Lilith, poprzedniczka Ewy, Lilith, którą sam Stwórca w rozpacz, zdumieniu i przerażeniu musiał usunąć, zetrzeć i zgładzić z powierzchni ziemi, aby Adam mógł spłodzić potomstwo i zaludnić świat...

Znaleźliśmy się we dwóch w moim gabinecie, dokąd go nie wzywałem ani nie zapraszałem. Po prostu wszedł za mną i siadł po drugiej stronie biurka w swojej czystej, wy-pełzłej niebieskiej koszuli bez krawata, ze swoją uprzejmą, smagłą, łagodną twarzą, śledząc mnie oczyma o wiele zbyt przenikliwymi, o wiele za inteligentnymi.

— Ty się też dawniej z nich wyśmiewałeś — powiedział.

— Czemu nie? — odparłem. — Cóż innego mogliśmy zrobić? Ty oczywiście możesz się teraz śmiać najszczerzej: nie potrzebujesz już smażyć kotletów. Ale poczekajmy. Może już znaleźli kandydata na korespondencyjny kurs prawa. Może, ja też wkrótce nie będę już musiał pełnić funkcji prokuratora w mieście.

— Powiedziałem „też” — rzekł Ratliff.

— Co? — krzyknąłem.

■— Z początku ty też się z nich śmiałeś — powiedział Ratliff. — A może się mylę? Może śmiesz się po dziś dzień? — Patrzył na mnie, o wiele za przenikliwy, o wiele za inteligentny. — Dlaczego nie mówisz tego?

— Czego?

— „Wynoś się z mojego gabinetu, Ratliff” — powiedział.

— Wynoś się z mojego gabinetu, Ratliff — powiedziałem.

III. CHARLES MALLISON

oże dlatego, że matka i wuj Gavin byli bliźniętami, matka zawsze zgadywała, —~ prawie tak szybko jak Ratliff, co wujowi Gavinowi dokucza.

Mieszkaliśmy wtedy wszyscy razem z dziadkiem. To znaczy, że dziadek żył jeszcze i z wujem Gavinem zajmował połowę domu, dziadek miał swoją sypialnię i tak zwaną kancelarię na parterze, a wuj Gavin swoje pokoje nad nim, na piętrze, ale dobudował zewnętrzne schody, żeby dostawać się tam wprost z podwórka; w drugiej połowie domu mieszkali moi rodzice i kuzyn Gowan, który chodził do szkoły średniej w Jefferson i miał jechać potem do Waszyngtonu, żeby się przygotować na uniwersytet stanowy Wirginii.

Matka siedziała u szczytu stołu, na dawnym miejscu babki, dziadek naprzeciw niej u drugiego końca, ojciec po jednej stronie, a wuj Gavin i Gowan po drugiej (mnie jeszcze nie było na świecie, a choćbym już był, jadałbym jeszcze w kuchni z Aleckiem Sanderem); jak mówił mi Gowan, wuj Gavin nawet nie udawał, że je, siedział tylko i gadał o Snopesach, od dwóch tygodni podczas wszystkich posiłków

ków o niczym innym nie gadał. Można by myśleć, że mówił do siebie, jakby ktoś nakręcił mechanizm, który nie mógł już wyczerpać rozprędu ani zatrzymać się, i jak gdyby on sam ani nikt z obecnych nie chciał, żeby się zatrzymał. Nie był to gniew. Gowan nie wiedział, co to było. Jak gdyby wuj Gavin miał do powiedzenia coś ważnego, ale tak śmiesznego, że musiał wciąż pilnować się, żeby to nie zabrzmiało znanadto śmiesznie, bo wtedy słuchacze razem z nim wybuchnę- liby śmiechem i nie słyszeliby jego słów. Matka także nie jadła; w milczeniu patrzyła na wuja Gavina, aż w końcu dziadek wyciągnął róg serwety zza kołnierza i wstał; ojciec, wuj Gavin, Gowan wstali również, a dziadek zwracając się do matki jak zwykle powiedział:

— Dziękuję ci, Margaret — i odłożył serwetę na stół, Gowan podbiegł do drzwi, otworzył je i stał przy nich, dopóki dziadek nie wyszedł; później, kiedy ja się urodziłem i podrosłem, ten obowiązek spadł na mnie. Gowan zwykle tak samo otwierał drzwi przed matką, ojcem i wujem Gavinem. Ale tym razem nie musiał tego robić. Matka nie drgnęła z miejsca, wciąż tylko patrzyła na wuja Gavina, i tak patrząc na wuja powiedziała do ojca:

— Jeśli chcecie, ty i Gowan możecie wyjść.

— Nie — powiedział Gowan, bo zdarzyło się, że był w gabinecie wuja Gavina tego dnia, gdy wszedł Ratliff i rzekł:

— Dobry wieczór! Wstąpiłem na chwilę, żeby usłyszeć najświeższe nowiny o Snopesach.

A wuj Gavin spytał:

— Jakie nowiny?

— Może raczej: o jakich Snopesach? — powiedział Ratliff. Usiadł i także wpatrywał się w. wuja Gavina, a potem dodał: — Dlaczego tego nie mówisz?

— Czego? — spytał wuj Gavin.

— „Wynoś się z mojego gabinetu” — powiedział Ratliff.

Dlatego właśnie Gowan teraz zawołał: „Nie”.

— W takim razie pozwólcie, że ja wyjdę — powiedział wuj Gavin odkładając serwetę. Ale matka w dalszym ciągu nie drgnęła z miejsca.

— Czy chciałbyś, żebym jej złożyła wizytę? — spytała.

— Komu? — spytał wuj Gavin.

I nawet Gowan zauważył, że wuj Gavin zbyt żywo zadał to pytanie. Bo nawet ojciec wtedy coś zrozumiał. Ale może Gowan nie miał racji. Gdybym był przy tym, nawet nie starszy od Gowana, od razu bym zrozumiał; gdybym miał dwadzieścia jeden lat czy nawet trochę mniej tego dnia, kiedy pani Snopes pierwszy raz przeszła przez Rynek, nie tylko bym zrozumiał, co się dzieje, ale czułbym to samo, co wuj Gavin. Ale Gowan twierdził, że ojciec dopiero wtedy się połapał, o co chodzi. Powiedział do wuja Gavina:

— Tam do Lidia. Więc to cię gryzie od paru tygodni? — I zwrócił się do matki: — Nie, do diaska! Żeby moja żona składała wizyty takiej...

— Jakiej? — prędko i ostro spytał wuj Gavin. Matka i teraz nie drgnęła, siedziała bez ruchu między mężem i bratem, którzy obaj stali.

— Mój drogi — powiedziała.

— Jakiej? — powtórzył wuj Gavin.

■ — Jakiej, mój drogi? — powiedziała. A może tylko: „mój drogi”, ale szczególnym tonem.

— Sam sobie odpowiedz — rzekł ojciec do wuja Gavina. — Dobrze wiesz, jak ją całe miasto nazywa. Co wie całe miasto o niej i o Manfredzie de Spain.

— Kto to jest: całe miasto? ■ — spytał wuj Gavin. — Ty i kto jeszcze? Może te same osoby, które wobec Maggie zadzierają nosa, a nie wiedzą więcej niż ty?

— Mówisz o mojej żonie?

— Nie. Mówię o mojej siostrze i o pani Snopes.

— Chłopcy, chłopcy, chłopcy, — powiedziała matka. — Mo'glibyście przynajmniej oszczędzić uszu mojego siostrzeńca. — I zwróciła się do Gowana: — Czy ty naprawdę nie chciałbyś wyjść?

— Nie — odparł Gowan.

— Mniejsza o twojego siostrzeńca — powiedział ojciec. — Nie pozwolę, żeby jego ciotkę...

— Czy mówisz wciąż o swojej żonie? — spytał wuj Gavin. Teraz matka wstała rozdzielając ich, gdy obaj, nieco wychyleni nad stołem, patrzyli sobie z wściekłością w oczy.

— Dość tego — powiedziała matka. — Obaj macie mnie przeprosić. — Przeprosili. — A teraz przeproście Gowana.

Gowan twierdził, że jego też przeprosili.

— A swoją drogą ani myślę pozwolić... — powiedział ojciec.

— Przeprosiłeś, skończone — powiedziała matka. — Nawet jeżeli pani Snopes jest kobietą, za jaką ją uważasz, skoro ja jestem kobietą, za jaką obaj z Gavinem zgadzacie się mnie uznać, bo dzięki Bogu przynajmniej co do tego się zgadzacie, cóż ryzykujecie spędzając dziesięć minut w jej salonie? Sęk w tym, że żaden z was nic nie wie o kobietach. Kobiet nie interesuje moralność. Nie interesuje ich nawet niemoralność. Pań w naszym mieście nie obchodzi, co ona robi. Nie mogą tylko darować jej, że tak wygląda. A właściwie nie tego, ale że wszyscy panowie z naszego miasta za nią się oglądają.

— Mów o swoim bracie — powiedział ojciec. — Ja na nią w życiu nie spojrziałem.

— Tym gorzej dla mnie — powiedziała matka. — Mam kreta za męża. Nie. Krety mają krew gorącą. Rybę, ogromną głębinową rybę...

— O, do licha! — powiedział ojciec. —

A więc tego sobie życzysz? Męża, który by wszystkie noce z soboty na niedzielę spędzał w Memphis kursując tam i z powrotem między Gayoso a Mulberry Street?

— Teraz poproszę, żebyście wyszli, czy macie ochotę, czy też nie — powiedziała matka. Wuj Gavin wyszedł na podwórko i skierował się ku schodom prowadzącym do jego pokoju. Matka zadzwoniła na Guster, Gowan otworzył przed matką i ojcem drzwi, a potem razem z matką poszedł na frontową werandę (był październik, jeszcze dość ciepło, żeby w południe siedzieć na werandzie), matka sięgnęła po koszyk z przyborami do szycia, a ojciec pokazał się w kapeluszu na głowie i powiedział:

— Żona Flema Snopesa wejdzie do salonów Jefferson trzymając się spódnicy córki sędziego Lemuela Stevensa. — Iz tymi słowami oddalił się, idąc do sklepu w mieście. Wtedy zjawił się wuj Gavin.

— A więc zrobisz to? — spytał.

— Oczywiście — powiedziała matka. — Aż tak źle z tobą?

— Staram się nie dopuścić, żeby było gorzej — powiedział wuj Gavin. — Jesteś wprawdzie tylko kobietą, ale widziałas ją. Musiałas zauważyć.

— W każdym razie zauważyłam, że mężczyźni ją zauważają — powiedziała matka.

— Tak — powiedział wuj Gavin. Nie powiedział zwyczajnie, ale jakby się zachłusnął tym „tak”.

— A więc uratujesz ją — powiedziała matka nie patrząc na wuja Gavina, lecz na skarpetkę, którą cerowała.

■—• Tak — powiedział wuj Gavin żywo, szybko, nie zachłystując się tym razem, ale z takim pośpiechem, że omal nie zdążył dokończyć, zanim go matka wyręczyła mówiąc :

— ... od Manfreda de Spain.

Ale wuj Gavin już się opamiętał i głos jego zabrzmiał teraz ostro.

— Ty także. Ty i twój małżonek także. Najlepsi, czyści, bez skazy. Charles, jak twierdzi, nawet na nią nie spojrzął, a ty, wobec tego, jesteś nie tylko córką sędziego, ale w dodatku żoną Cezara.

— O co ci... — powiedziała matka i urwała, jak mi mówił Gowan, spojrzawszy na niego. — Czy nie poprosisz, żebym ci pozwoliła iść się pobawić? Zrób to dla mnie.

— Nie — odparł Gowan.

— Ty także już uległeś, co? — powiedziała. — Musisz być także mężczyzną, prawda? —

I potem już nie zważając na Gowana mówiła do wuja Gavina. — Czego ty nie możesz znieść? Tego, że pani Snopes nie jest cnotliwa, czy też tego, że, jak się zdaje, wybrała Manfreda de Spain, żeby z nim stracić cnotę?

— Tak — powiedział wuj Gavin. — To znaczy, nie. Wszystko to kłamstwa... plotki. Wszystko to...

— Tak — powiedziała matka. — Masz ra

cję. Bardzo możliwe. Sobota nie jest najodpowiedniejszym dniem do odwiedzania fryzjera, mimo to radziłabym ci wstąpić po drodze.

— Dziękuję — powiedział wuj Gavin. — Ale jeżeli mam rozpocząć swoją krucjatę z jaką taką szansą zwycięstwa, muszę chociaż wyglądać jak kudłaty dzikus, żeby mi uwierzono. A więc zrobisz to?

— Oczywiście — powiedziała matka.

— Dziękuję ci — rzekł wuj Gavin. I odszedł.

— Czy teraz mogę wyjść? — spytał Gowan.

— Teraz? Po co? — powiedziała matka. Patrzyła wciąż jeszcze na wuja Gavina, który oddalał się aleją i już skręcał w ulicę. — Powinien by się ożenić z Melisandrą Backus — powiedziała. Melisandra Backus mieszkała na plantacji o sześć mil od Jefferson w towarzystwie ojca i butelki whisky. Nie był to pijak. Dobry farmer. Po prostu czas wolny od pracy spędzał latem na werandzie, a zimą w bibliotece z butelką whisky, nad łacińskimi poezjami. Melisandra kształciła się w tej samej co matka szkole elementarnej, potem średniej i wreszcie w Seminarium. Ale zawsze o cztery lata później niż matka. — Kiedyś myślałam, że się z nią ożeni. Jeszcze go nie znałam tak dobrze jak dziś.

— Kuzyn Gavin? Kuzyn Gavin miałby się ożenić? — powiedział Gowan.

— No, cóż — powiedziała matka. — Trochę jeszcze jest za młody. Mężczyźni tego typu skazani są na małżeństwo z wdową, matką dorosłych dzieci.

— Mógłby jeszcze i teraz ożenić się z panną Melisandrą — powiedział Gowan.

■ — Za późno — powiedziała matka. — Nie wie nawet o jej istnieniu.

— Stale ją widuje, bo panna Melisandra codziennie przyjeżdża do miasta — powiedział Gowan.

— Można widzieć nie patrząc, tak jak można słyszeć nie słuchając — powiedziała matka.

— Tego dnia, kiedy spotkał panią Snopes, na pewno i widział, i patrzył — powiedział Gowan. — Może czeka, żeby jej się urodziło więcej dzieci, bo ona ma tylko jedną Linde, i żeby te dzieci dorosły?

— Nie, nie — powiedziała matka. — Z Semiramidą nikt się nie żeni, dla niej popełnia się tylko samobójstwo w tej czy innej formie. Jedynie dżentelmen, który ma tak mało do stracenia jak pan Flem Snopes, może zaryzykować małżeństwo z Semiramidą... Szkoda, że jesteś już taki duży. Parę lat temu wzięłabym cię bez ceremonii z sobą na tę wizytę. A teraz musiałbyś otwarcie przyznać się, że tego sobie życzysz, może nawet musiałbyś mnie poprosić.

Ale Gowan nie poprosił. Była to sobota

i po południu miał się odbyć mecz piłki nożnej; Gowan co prawda nie należał do drużyny, nigdy jednak nie wiadomo, mogłoby się zdarzyć, że któryś z graczy złamie nogę

albo dozna jakiejś kontuzji, albo po prostu zatrzymają go z powodu dwójki z arytmetyki. Zresztą, jak mówił Gowan, jego pomoc wcale nie była matce potrzebna, miała całe miasto do pomocy; nazajutrz idąc rano do kościoła nie zdążyli dojść do Rynku, kiedy pierwsza napotkana pani zagadnęła z ożywieniem:

— Nadzwyczajną nowinę słyszałam wczoraj po południu.

A matka z nie mniejszym ożywieniem odparła:

— Doprawdy?

Druga pani, którą spotkali (członkini Klubu Kotylion i Towarzystwa Imienia Byrona), powiedziała:

— Zawsze mówię, że bylibyśmy szczęśliwsi, gdybyśmy wierzyli tylko w to, co na własne oczy widzimy, a i wówczas nie bezkrytycznie.

Matka znów z tym samym ożywieniem odparła:

— Doprawdy?

Panie z Klubu Kotylion i z Towarzystwa Imienia Byrona, o ile możliwości z obu na raz, a co najmniej z jednego, dyktowały ton w mieście. Od tego dnia wuj Gavin przestał mówić o Snopesach. Według relacji Gowana w ogóle przestał mówić. Jak gdyby nie miał już czasu, żeby poświęcać uwagę na polerowanie zdań i podnoszenie ich do godności konwersacji, sztuki, która w jego przekonaniu obowiązywała każdego. Jak gdyby na nic już nie miał czasu, bo wszystek czas zajmowało mu czekanie; dążył do pewnego celu i żeby go osiągnąć, nie widział innego sposobu, jak czekać. Nie czekał jednak biernie, nie pomijał żadnej okazji usłużenia matce, a nawet sam się o te okazje starał, jeśli więc zdobywał się czasem na kilka słów, można by powiedzieć, że piekł przy jednym ogniu dwie pieczenie.

Bo teraz, jeśli się odzywał, zwykle niespodzianie i bez związku z tym, o czym przed chwilą właśnie mówili ojciec, matka i dziadek, nie była to już, jak Gowan określał, wymiana strzałów. Wuj Gavin wygłaszał dytyramby tak bezwstydnie przesadne, że nawet Gowan, chociaż miał zaledwie trzynaście lat, poznawał się na przesadzie. Wychwalał damy z Jefferson, które oboje z matką znali od urodzenia, jeśli więc jedno z nich miało o którejś z tych osób wyrobione zdanie, drugie na pewno od dawna było o nim poinformowane. Mimo to wuj Gavin przez kilka dni następnego miesiąca przerywając jedzenie wyciągał znienacka, że tak powiem, za włosy, coraz to inną damę, żeby ją rzucić w sam środek rozmowy ojca, matki i dziadka; nie zwracał się do ojca ani do dziadka, ani do Gowana, lecz zawiadamiał matkę, jak dobra, ładna, inteligentna, dowcipna jest osoba, z którą matka razem się wychowała lub którą w^T najgorszym przypadku znała od dzieciństwa.

A zawsze wchodziły w grę członkini Klubu Kotylion oraz Towarzystwa Imienia Byrona albo przynajmniej jednego z nich (zapewne tylko matka wiedziała, że zależy mu głównie

na Kotylionie) i zawsze przy tej sposobności dowiadywaliśmy się, że jedna więcej dama z Jefferson złożyła wizytę pani Flemowej Snopes. Aż w końcu Gowan w giowę zachodził, skąd wuj Gavin wie, że ta lub inna pani odwiedziła panią Snopes i że może jedno więcej nazwisko skreślić z listy osób, które jeszcze tego nie zrobiły, albo dodać na liście tych, które już spełniły obowiązek, słowem, wciągnąć do swoich rejestrów. Gowan podejrzewał, że wuj Gavin śledzi dom Snopesów. Był listopad, piękna pora do polowania, a że Gowan wreszcie zrezygnował z piłki nożnej, spędzał wszystkie popołudnia w^Tolne od lekcji w towarzystwie pary psów, których mu wuj Gavin użyczył do polowania na króliki, oraz Topa (Top był starszym bratem Alecka Sander, tylko że Aleck Sander urodził się dopiero później, tak jak i ja. Inaczej mówiąc, był synem Guster, a jego ojciec także nazywał się Top, więc dla odróżnienia mówiło się Top Duży i Top Mały). Ale zamiast polować na króliki, Gowan niemal przez tydzień spędzał wszystkie popołudnia w wielkim rowie za domem Snopesów, nie po to, żeby śledzić dom, ale żeby sprawdzić, czy wuj Gavin także nie czai się w rowie i nie podpatruje gości pani Flemowej. Gowan miał wtedy zaledwie trzynaście lat, więc tropił wuja Gavina; dopiero później, jak mi opowiadał, zrozumiał, że, tropiąc dłużej i wytrwalej, mógłby przyłapać Manfreda de Spain na włożeniu lub wyłożeniu przez okno, bo całe Jefferson wyobrażało sobie, że tak się to właśnie odbywa; a to byłaby sensacja, którą mógłby sprzedać za dolara czy nawet za dwa niejednemu obywatelowi w mieście.

- Nie wiadomo, czy wuj Gavin czaił się gdzieś w rowie, czy nie, w każdym razie Gowan nigdy go nie wytropił. A co lepsze, wuj Gavin nie wytropił nawzajem Gowana. Bo gdyby matka odkryła, że Gowan czyha w rowie za domem pani Snopes, podejrzewając wuja Gavina o to samo, nie wiadomo, co by powiedziała wujowi Gavino wi, ale Gowan dobrze wiedział, co by się jemu od niej dostało. Mogło też zdarzyć się coś jeszcze gorszego, gdyby pan Snopes odkrył, że Gowan podejrzewa wuja Gavina o przesiadywanie ukradkiem w tym rowie i szpiegowanie domu Snopesów. Albo coś najgorszego: gdyby miasto dowiedziało się, że Gowan czai się w rowie, ponieważ ma nadzieję przyłapać tam wuja Gavina.

Kiedy się ma trzynaście lat, człowiek nie jest dostatecznie rozsądny, żeby zdawać sobie sprawę z tego, co robi, i żeby drzeć przed możliwymi skutkami. Po dziś dzień, gdy wspomnę, co na przykład ja do spółki z Aleckiem Sanderem wyprawiałem bez zmużenia oka, nie rozumiem, jakim cudem tacy chłopcy mogą się uchować. Pamiętam, co się działo, kiedy miałem dwanaście lat. Dostałem wówczas od wuja Gavina pierwszą moją strzelbę myśliwską; wuj Gavin był już wtedy po studiach w Heidelbergu (dokąd go, jak mówił

ojciec, pani Snopes wysiała dla ukończenia edukacji), wrócił z wojny i został wybrany formalnie na prokuratora okręgowego. Nasza piątka — prócz mnie trzech białych chłopców

i Aleck Sander — polowała pewnego sobotniego popołudnia na króliki. Było zimno, jeden z najzimniejszych dni, jakie się w naszych stronach kiedykolwiek zdarzyły; kiedy przyszlismy nad Harry kin Creek, strumień był pokryty grubą taflą lodu. Zaczęła się rozmowa, kto i za ile zgodziłby się wykąpać. Aleck Sander powiedział, że zrobi to, jeśli każdy z nas da mu po dolarze, a my niewiele myśląc zgodziliśmy się i zanim go zdążyliśmy powstrzymać, Aleck rozpędził się, skoczył

i przebijając lód wpadł do wody, w ubraniu, tak jak stał.

Wyciągnęliśmy go, rozpaliliśmy ognisko; Aleck zdjął mokre ubranie, owinał się w nasze myśliwskie kurtki, a my tymczasem staraliśmy się osuszyć jego rzeczy, zanim zamarzną. Wreszcie mógł włożyć swoje łachy z powrotem i wtedy powiedział: „Dobra jest. Płaćcie”.

Ale o płaceniu nie mogło być mowy. W tych czasach w Jefferson, mieście w stanie Missisipi, nie znałem chłopca, który by często miał całego dolara, a już na pewno nie znalazłoby się czterech takich bogaczy naraz w naszym towarzystwie. Musieliśmy więc potargować się z Aleckiem. Najpierw zaczął z nim rokować Buck Connors. Stało się na tym, że jeśli Buck także skoczy na lód, Aleck

zwolni go z opłaty. Buck skoczył, a «dy suszyliśmy jego rzeczy, powiedziałem: „Skoro tak, skaczymy wszyscy razem i będziemy kwita”. Już się rozpędziliśmy, gdy Aleck zaprotestował. Mówił, że chcemy go nabrać, ponieważ jesteśmy biali, a on jest Murzynem,

i że nie mamy prawa bez jego pozwolenia robić tego, co 011 pierwszy zrobił. Trzeba więc było znów się targować. Następny miał się wykupić Ashley Holcomb. Laźł na drzewo, dopóki Aleck nie oświadczył, że już dosyć wysoko. Wtedy zamknął oczy i skoczył, a za to Aleck zwolnił go z opłaty. Przyszła kolej na mnie, lecz wtedy któryś z chłopców powiedział, że nie ma tak dobrze: matka Alecka jest u nas kucharką, Aleck ze mną się stale bawił niemal od urodzenia, gotów mnie potraktować ulgowo. Aleck oświadczył, że nic ma takiego zamiaru i że właśnie z tych wszystkich powodów zażąda ode mnie trudniejszej sztuki niż od Ashleya; mam skoczyć z drzewa, pod którym rośnie kępa kolczastych krzaków. Skoczyłem. Miałem wrażenie, że wpadłem w lodowaty ogień, podrapałem twarz i ręce, rozdarłem spodnie, ale myśliwska kurtka, prawie nowiuteńka (przysłał mi ją z Niemiec wuj Gavin tego dnia, kiedy dostał od matki telegraficzną wiadomość o moich narodzinach; była to najlepsza myśliwska kurtka w Jefferson, wszyscy to przyznali, gdy w końcu dorosłem na tyle, żeby ją nosić), wyszła cała, jeśli nie liczyć oderwanej kieszeni.

Został już tylko John Wesley Roebuck, ale widocznie Aleck Sander nagle uprzytomnił sobie, że mu ostatni dolar ucieka, bo nie chciał się zgodzić na nic, co John Wesley proponował. Nie i nie. Wreszcie John Wesley ofiarował się zrobić wszystko po kolei: najpierw skoczyć na łód, potem z drzewa Ashleya, potem z mojego. Aleck jednak znowu powiedział: „Nie”. W końcu dobili targu, lecz niezupełnie było to w stosunku do Johna Wesleya sprawiedliwe, bo stary Ab Snopes dwa lata przedtem wpakował mu już garść śrutu w plecy, więc chłopak miał już trochę doświadczenia i może to była jedna z przyczyn, dla których teraz się zgodził. Odbyło się to tak: John Wesley pożyczył ode mnie kurtkę i włożył ją na swoją, ponieważ moja kurtka okazała się już w innych próbach najmocniejsza; od Ashleya pożyczył sweter i owinał nim sobie głowę i szyję. Odliczyliśmy dwadzieścia pięć kroków, potem Aleck Sander strzelił Johnowi Wesleyowi w płacy; John Wesley zwrócił Ashleyowi sweter, a mnie kurtkę i ruszyliśmy ku domowi (bo już się zrobiło późno). Co do mnie, to musiałem całą drogę biec (nie pamiętam drugiego dnia równie zimnego w naszych stronach), bo kurtkę musieliśmy spalić; łatwiej wytłumaczyć, że kurtki nie ma, niż wyjaśnić, dlaczego jest podziurawiona jak sito śrutem numer sześć.

W końcu dowiedzieliśmy się, jakim sposobem wuj Gavin zdobywał informacje o wizytach składanych pani Snopes. Ojciec je dla

niego liczył. Nie chcę przez to powiedzieć, że ojciec szpiegował dla wuja Gavina. Ani mu było w głowie pomagać wujowi Gavino- wi łagodzić jego udrękę. Przeciwnie, jeszcze surowiej go traktował, niż potraktował, jak mu się zdawało, matkę tego dnia, gdy oświadczyła, że złoży wizytę pani Snopes. Jakby chciał się zemścić na nich obojgu, na matce

i na wuju Gavinie: na nim za to, że ośmielił się życzyć sobie, aby matka odwiedziła panią Snopes; a na niej, ponieważ w obecności wuja Gavina i Gowana powiedziała głośno, że nie tylko pójdzie do pani Snopes, ale w dodatku nie widzi w tym nic złego. Gowan mówił mi, że ojciec zdawał się nawet bardziej jeszcze niż wuj Gavin zaprzątnięty myślami o pani Snopes. Ilekroć wchodził do domu zacierając ręce i wołał: „No, mały”, albo: „Już cię tu nie ma”. — wszyscy wiedzieli, że musiał przed chwilą spotkać na Rynku panią Snopes albo usłyszał o nowej wizycie (jednej) z członkiń Kotyliona czy też Towarzystwa im. Byrona. Gdyby już wtedy istniał zwyczaj gwizdania na widok przechodzącej pięknej kobiety, ojciec na pewno by przy tej okazji gwizdał.

Nadszedł grudzień. Matka właśnie skończyła opowiadać, że w Klubie Kotylion przegłosowano propozycję, aby wysłać do państwa Snopesów zaproszenie na gwiazdkowy bal, a dziadek wstał, złożył serwetę i powiedział: „Dziękuję ci, Margaret”, Gowan zaś otworzył przed dziadkiem drzwi, gdy odezwał się ojciec:

— Na bal? A jeśli ona nie umie tańczyć?

— Po co miałyby jeszcze tańczyć? — powiedział Gowan. Wszyscy umilkli i jednocześnie spojrzeli na niego. Matka i wuj Gavin byli rodzeństwem, ale matka była kobietą, wuj Gavin mężczyzną, a ojciec wcale z żadnym z dwojga nie spokrewniony. Mimo to, jak mówił Gowan, wszyscy troje mieli zupełnie taki sam wyraz twarzy. W końcu ojciec zwrócił się do matki:

— Potrzymaj go, niech mu zajrzę w zęby. Twierdzisz, że on nie ma więcej niż trzynaście lat?

— Co ja takiego powiedziałem? — spytał Gowan.

— Rzeczywiście — powiedział ojciec. —

O czym mówiliśmy? Aha, o balu gwiazdkowym w Kotelionie. — Zwrócił się teraz do wuja Gavina: — Jeden punkt przewagi dla ciebie nad Manfredem de Spain, co? On, biedny sierota, nie ma żony ani siostry bliźniaczki należącej do grona założycielek literackich i snobistycznych klubów w Jefferson. Dla pani Flemowej Snopes nie może zrobić nic, prócz tego, że ją... .

Jak mówił mi Gowan, matka aż do tego momentu trzymała jedną rękę na piersi wuja Gavina, a drugą na piersi ojca, rozdzielając ich w ten sposób. Teraz jednak razem z wujem Gavinem zwróciła się przeciw ojcu, jedną rękę położyła mu na ustach, a drugą usiłowała osłonić ucy Gowana. Oboje też jednocześnie krzyknęli, tylko że wuj Gavin użył innego wyrażenia niż matka:

— Nie waż się.

— Dalejże, powiedz.

Ojciec nie dokończył zdania. Ale nie przewidział, co z kolei zrobi wuj Gavin; bo wuj Gavin zaczął namawiać matkę, żeby skłoniła komitet balowy do nieposyłania zaproszenia panu de Spain.

— Do diabła! — powiedział ojciec. — Tego nie można zrobić.

— Dlaczego? — spytała matka.

— Jest burmistrzem — powiedział ojciec.

— Burmistrz to sługa miasta — powiedziała matka. — Oczywiście najwyższy ze sług, kamerdyner. Nie zaprasza się na przyjęcia kamerdynera dlatego, że jest kamerdynierem. Zaprasza się go, mimo że jest kamerdynierem.

Ale burmistrz de Spain otrzymał także zaproszenie. Może matka wbrew życzeniom wuja Gavina nie zapobiegła temu, właśnie z powodu, który już ogłosiła, przedstawiła i wyjaśniła: skoro ani ona, ani cały Klub Kotelion nie ma obowiązku zapraszać go tylko dlatego, że jest burmistrzem, może go zaprosić mimo to, by dowieść dobrowolności swego gestu. Ale ojciec nie uwierzył w ten powód.

— Nie, moje panie — rzekł. — Nie zwiedziecie ani mnie, ani reszty świata. Szukacie guza. Chcecie doprowadzić do awantury. Lu-

bicie to. Nie macie nic przeciw temu, żeby dwa rozwścieczone koguty skakały sobie do oczu, byle się biły nie o co innego, lecz

o jedną z kwoczek. Nie gardzicie żadnym sposobem, żeby zmusić któregoś z mężczyzn do rozlewu krwi. Każde podbite oko, każdy podarty na oczach ludzkich kołnierzyk, każda para poszarpanych albo umazanych w błocie spodni zaspokaja po trosze waszą żądzę zemsty na rodzie męskim za to, że trzyma was w niewoli i że całe Boże dni w przerwach między posiłkami nie macie nic do roboty prócz plotkowania przez telefon. Do diaska, gdyby żaden klub nie urządzał z okazji świąt balu, wymyśliłybyście jakąkolwiek imprezę, żeby tylko zaprosić panią Snopes, Gavina i Manfreda de Spain jednocześnie. Ale tym razem szkoda waszego czasu i atłasu. Gavin nie umie zrobić awantury.

— Gavin jest dżentelmenem — powiedziała matka.

— Otóż to — rzekł ojciec. — O tym właśnie mówię. Nie twierdzą, że nie miałby ochoty, ale nie umie. Co zresztą nie znaczy, że nie będzie próbował. Zrobi, co może. Ale nie uda mu się wywołać takiej awantury, żeby człowiek pokroju de Spaina potraktował ją serio.

Pan de Spain zrobił jednak ze swej strony wszystko, co mógł, żeby wuja Gavina tej sztuki nauczyć. Zaczął tego dnia, gdy rozesłano zaproszenia i gdy w końcu jedno z nich otrzymał. Gdy kupił czerwonego Forda, kazał wmontować w rurę wydechową tłumik z kła

pą do włączania i wyłączania i dopóki nie wybrano go po raz pierwszy na burmistrza, ilekroć de Spain ruszał sprzed swego domu, całe miasto słyszało strzelaninę, nieustającą na całej trasie aż do Rynku. Wkrótce później Lucius Hogganbeck uprosił kogoś (zapewne pana Rotha Edmondsa albo samego Manfreda de Spain, bo ojciec Luciusa, stary Boon Hogganbeck, był łowczym, psiarkiem i totumfackim ojca Rotha Edmondsa, jego stryja, i starego majora de Spain za czasów, gdy stary major urządzał swoje polowania) o podżyczenie weksła na zakup samochodu; nabył model T Forda i zaczął wozić płatnych pasażerów; Lucius także miał otwartą klapę na rurze wydechowej. W niedzielne popołudnia co najmniej połowa mężów z Jefferson wymykała się żonom, żeby na prostym odcinku szosy, o jakieś dwie mile za miastem (mimo to było słychać samochody przy wietrze z tamtej strony), brać udział w wyścigach między panem de Spain a Lucusem. Pasażerowie Luciusa musieli za tę przyjemność płacić po pięć centów od lebka, ale de Spain swoich brał darmo.

Ale kiedy de Spain został burmistrzem, natychmiast wydał zakaz jazdy bez tłumika w obrębie miasta. Toteż od wielu lat nie słyszeliśmy już hałasów rury wydechowej. Aż nagle, pewnego ranka, usłyszeliśmy je znowu i to przed naszym domem. My — to znaczy dziadek, matka, ojciec, wuj Gavin i Gowan. Było to w porze, gdy wszyscy spieszą do

/■

szkoły albo do pracy, i Govvan, zanim jesz- c/c podbiegł do okna, zgadł, czyj samochód tak strzela, bo Ford Luciusa miał inny głos, a zresztą nikt prócz burmistrza nie ryzykowałby jazdy bez tłumika wbrew zakazowi. Tak, czerwony wóz właśnie zniknął w głębi ulicy, to był de Spain i natychmiast włączył z powrotem tłumik, gdy minął nasz dom; wuj Gavin tymczasem kończył śniadanie i nie ruszył się od stołu, jak gdyby wcale nie zauważył niezwykłego hałasu.

W południe Gowan wracając ze szkoły i dochodząc do rogu naszej ulicy usłyszał go znowu. Pan de Spain nadłożył sporo drogi, żeby przejechać na drugim biegu i z otwartym tłumikiem przed naszym domem. I znów było to w porze, gdy dziadek, ojciec, matka i wuj Gavin siedzieli przy stole, tym razem kończąc obiad; matka milczała i nie patrzyła na nikogo, ojciec patrzył na wuja Gavina, a wuj Gavin mieszał cukier w kawie, jak gdyby nie słysząc żadnego innego hałasu prócz brzęku łyżeczki o filiżankę.

I jeszcze raz powtórzyło się to około wpół do szóstej, o zmierzchu, gdy kupcy, lekarze, adwokaci, burmistrze i tym podobno osobistości wracają po pracy do domów, by w spokoju zjeść kolację i trzymać się z dala od miasta aż do następnego rana. Tym razem Gowan stwierdził, że wuj Gavin nasłuchuje strzelaniny samochodu przed domem. Bo tym razem wuj Gavin nie ukrywał już, że słyszy, spojrział znad gazety, a potem ją podniósł

i trzymał tak, by zasłaniała jego twarz, dopóki trwał hałas, aż wreszcie pan de Spain minąwszy granicę naszego trawnika włączył tłumik. Obaj, dziadek i wuj Gavin, podnieśli wzrok, kiedy czerwony samochód przejeżdżał przed domem; dziadek tylko zmarszczył lekko brwi, wuj Gavin nawet tego nie zrobił, po prostu czekał, niemal ze spokojem, tak że Gowan prawie zgadywał jego myśli: „Nareszcie koniec. Czwarty raz, tym razem pojechał już do domu”.

Rzeczywiście na tym się skończyło, zjedli spokojnie kolację i przeszli do kancelarii, gdzie matka siadywała zwykle w bujającym fotelu i szyła, przeważnie cerując skarpetki i pończochy Gowana, a dziadek z ojcem, po obu stronach biurka, grali w szachy. Wuj Gavin niekiedy dotrzymywał im towarzystwa z książką w ręku, jeśli nie miał ochoty uczyć matki gry w szachy, bo próbował tego, dopóki ja nie urodziłem się w rok potem i nie podrosłem? ia tyle, żeby mógł ze mną zacząć te same próby. Było już późno, kto miał się wybrać do kina, dawno już to zrobił, mężczyźni po kolacji ciągnęli do miasta, żeby wałęsać się koło drugstore'u Christiana albo pogadać z komiwojażerem w hallu Holston House czy też napić się kawy w kawiarni, zdawało się więc, że nic: więcej już nam nie grozi. Ale tym razem nawet nie ojciec, lecz dziadek, podrywając nagle głowę, powiedział: Co, u diabła? Drugi raz dzisiaj ta sama historia.

— Piąty — poprawił ojciec. — Pewnie mu się noga osunęła.

— Jak to ? — spytał dziadek.

— Chciał nacisnąć hamulec, żeby przejechać cicho przed domem — powiedział ojciec — ale noga mu się osunęła i wyłączył tłumik.

— Zatelefonuj do Connorsa — powiedział dziadek. Miał na myśli Bucka Connorsa. — Nie myślę tego tolerować.

— To sprawa dla Gavina — powiedział ojciec. — Kiedy ojciec gra w szachy, on pełni funkcję prokuratora. Niech Gavin porozmawia z policją. Albo lepiej jeszcze z burmistrzem. Czy nie mam racji, Gavinie?

Wszyscy patrzyli na wuja Gavina i Gowan mówił, że wstydził się nie za wuja Gavina, ale za wszystkich, za resztę towarzystwa. Jak gdyby gapili się na kogoś, komu spodnie opadły, podczas gdy obie ręce miał zajęte podtrzymywaniem sufitu; Gowanowi było przykro, że ten widok jest śmieszny, i wstydził się przyglądać wujowi Gavinowi, który nie ostrzeżony niczym, że będzie musiał ukryć nagość swojej twarzy, dał się zaskoczyć w tej chwili, gdy samochód, strzelając z rury wydechowej, z wolna, na drugim biegu, przesunął się przed domem; wszyscy przecież mieli prawo spodziewać się, że poprzedni raz, przed kolacją, był ostatni, przynajmniej do następnego ranka, toteż ten hałas tłumika zabrzmiał jak szyderczy śmiech, który nie umilkł nawet wówczas, gdy samochód do

jechał do zakrętu i pan de Spain, jak zwykle, zdjął stopę z pedału rury wydechowej. Bo to był rzeczywiście śmiech; ojciec siedząc przy szachownicy i patrząc na wuja Gavina śmiał się głośno.

— Charley — powiedziała matka. — Przestań!

Ale już było za późno. Wuj Gavin szybko wstał, niepewnie, jak gdyby na oślep, skierował się ku drzwiom i wyszedł.

— Co się, u diabła, dzieje? — spytał dziadek.

— Pobiegnął zatelefonować do Bucka Connorsa — rzekł ojciec. — Skoro ta historia powtórzyła się po raz piąty, doszedł zapewne do wniosku, że temu facetowi nie przypadkiem noga wciąż się osuwa.

Matka stanęła tuż nad ojcem z grzybkim do cerowania i skarpetką w jednej ręce, z igłą niby ze sztyltem w drugiej.

— Będziesz łaskaw zamilknąć wreszcie, mój skarbie? Będziesz łaskaw przymknąć buzię, mój skarbie? Przepraszam ojca — zwróciła się do dziadka — ale mój mąż... — I znów natarła na ojca: — Będziesz łaskaw uspokoić się wreszcie? Tak czy nie?

— Ależ tak, dziecinko — powiedział ojciec. — Ja też jestem zwolennikiem pokoju i ciszy.

Matka wyszła, była już pora kłaść się do snu, ale Gowan zobaczył jeszcze wuja Gavina siedzącego w nieoświetlonym salonie, gdzie tylko przez otwarte drzwi z hallu padało tro-

ehę światła, tak że nie mógłby czytać, choćby chciał. Ale — jak mówił Gowan — nie próbował czytać, siedział tylko w półmroku, dopóki matka, w negliżu, z rozpuszczonymi włosami, nie zeszła ze schodów i nie spytała:

— Dlaczego nie idziesz spać? Jazda do łóżka.

— Już idę — od]3arł Gowan.

Wtedy matka przechodząc przez salon zatrzymała się obok fotela, na którym siedział wuj Gavin.

— Chcę do niego zatelefonować — powiedziała.

— Do kogo? — spytał wuj Gavin.

Matka wróciła do hallu.

— Już cię nie ma! — zawołała i poczekała, aż Gowan wszedł na piętro. Kiedy leżał już w łóżku i zgasił lampę, podeszła do drzwi i powiedziała mu dobranoc; nie mieli już teraz nic innego do zrobienia, musieli tylko czekać. Pięć to, co prawda, liczba nieparzysta, a dla spokoju nocy wuja Gavina potrzebna była liczba parzysta, lecz nie mogło to już trwać długo, bo drugstore zamykano wkrótce po ukończeniu ostatniego seansu w kinie, a nawet najbardziej bezzenny obywatel musiałby się w Jefferson gęsto tłumaczyć, jeśliby zasiedział się w hallu Holston House nocą, kiedy komiwojażerowie już rozeszli się spać do swoich pokojów. Gowan, jak mówił, myślał z satysfakcją, że on i wuj Gavin czekają przynajmniej w miłym, ciepłym, wygodnym rodzinnym wnętrzu, chociaż wuj Gavin siedzi samotnie w ciemnym salonie, i nie muszą korzystać z drugstore'u albo z hotelowego hallu, żeby odwlec jak się da najdłużej powrót do domu.

Tym razem pan de Spain wyłączył tłumik natychmiast po wyruszeniu z Rynku; Gowan słyszał z daleka hałas, coraz głośniejszy, gdy samochód skręcał na jednym, potem na drugim rogu i wjeżdżał w naszą ulicę, strzelając z rury i zgrzytając, ale bądź co bądź już teraz nie na drugim biegu, prędko tocząc się wzdłuż domu, pod oknami salonu, w którym siedział wuj Gavin, znów skręcając dwukrotnie, żeby się dostać z powrotem na właściwą drogę, cichnąc stopniowo, aż w końcu nie było już słyhać nic, tylko noc i potem kroki wuja Gavina wspinającego się cicho po schodach. Światło w hallu zgasło i tak skończyło się wszystko.

Skończyło się na tę noc. Bo nawet wuj Gavin nie spodziewał się, że to już naprawdę koniec. Wszyscy przekonali się wkrótce, że wuj Gavin nie zamierza na tym spi'awy zakończyć, nazajutrz przy śniadaniu pierwszy podniósł głowę i powiedział:

— Oto Manfred de Spain wraca do naszej kopalni złota. •— I zagadnął Gowana: — Pan de Spain tak się bawi swoim samochodem, jak niezadługo ty się będziesz zabawiał, gdy kuzyn Charley kupi sobie auto, bo kupi na pewno, prawda?

Zdawało się to jednak wątpliwe, bo wuj

Gavin jeszcze nie skończył zdania, gdy ojciec j wykrzyknął:

— Ja? Ja miałbym kupować taką hałaśliwą, cuchnącą maszynę? Nigdy bym się nie 'odważył. Zbyt wielu moich klientów używa ! dotychczas koni i mułów. — Ale Gowan po- f wiedział, że gdyby ojciec kiedyś rzeczywiście kupił samochód, on znalazłby dla niego lepszy j użytek niż paradowanie tam i z powrotem jj przed jakimś domem z wyłączonym tłumie- | kiem. j I

I znów powtórzyła się ta historia, gdy de] Spain wracał w południe do domu na obiad, a potem raz jeszcze, gdy nasza rodzina siedziała przy stole. I nie tylko Gowan wiedział, że wuj Gavin nie zamierza pozwolić, by na tym się skończyło, bo matka przyłapała Go- wana niemal natychmiast, ledwie wuj Gavin zdążył się od niego odsunąć. Gowan nie miał pojęcia, jak matka to zgadła. Aleck Sander zawsze twierdził, że jego matka widzi i sły- szy przez ściany (gdy podrósł, mówił, że Gu- ster przez telefon umie zwęszyc jego oddech); możliwe, że każda matka, a nawet każda kobieta zastępująca matkę, jak moja matka Go- wanowi, gdy mieszkał u nas, ma taki dar, i że tym się tłumaczy również ten przypadek. Matka wyszła z salonu w chwili, kiedy Gowan wsuwał rękę do kieszeni.

— Gdzie to schowałeś? — spytała. — To, co ci dał Gavin? Pudełko gwoździ. Do rozrzucania na ulicy, na jego drodze. Prawda? Zachowuje się jr.k sztubak. Lepiej by zrobił żeniąc się z Melisandrą Backus, inaczej gotów ściągnąć wstyd na całą rodzinę.

— Kuzynka przecież mówiła, że już za późno — powiedział Gavin. — Kobieta, z którą ożeni się kuzyn Gavin, musi być wdową i mieć czworo dzieci.

— Może chciałam raczej powiedzieć, że jeszcze na to za wcześnie — odparła matka. — Melisandra na razie nie ma nawet męża. — Nagle jakby zapomniała o Gowanie. — Manfred ,de Spain zachowuje się nie lepiej. Jak sztubak. — Gowan mówił, że patrzyła na niego, ale wcale go nie widziała. Nagle wydała mu się bardzo ładna, młodzieńka. — Właściwie jak my wszyscy. — Znów spojrzała na Gowana. — Żebyś cię na tym nie przyłapała. Ani mi się waż. Słyszysz?

— Słyszę — powiedział Gowan. Sztuka nie była trudna. Po prostu wychodząc ze szkoły podzielili się z Topem gwoździami, każdy swoją część trzymał w garści, powalęsali się chwilę na środku ulicy, jak gdyby rozmyślając, co dalej z sobą robić, i ukradkiem siali gwoździe na śladach opon samochodowych. Pan de Spain zdążył już dziewięć razy tędy przejechać i Gowan twierdził, że wyłobił dwie koleiny. Uciążliwe było tylko to, że obaj z Topem musieli marznąć na dworze, bo chcieli koniecznie zobaczyć, co z tego wyniknie. Top przepowiedział, że kiedy pękną opony, cały samochód wyleci w powietrze. Gowan w to niezupełnie wierzył, ale pewności nie miał, ostatecznie w prorocत्वach Topa

m

mogło być trochę prawdy, chociaż tyle, żeby opłaciło się czekać.

Stali więc za dużym krzakiem jaśminu, a tymczasem zaczęło się ściemniać i było coraz zimniej; w dodatku Guster otworzyła kuchenne drzwi i wołała Topa, a po jakimś czasie wyjrzała przez frontowe drzwi wołając obu chłopców. Noc już na dobre zapadła, mróz aż trzeszczał; wreszcie w głębi ulicy błysnęły światła, a gdy zbliżyły się do granicy naszego ogródka, de Spain wyłączył tłumik i samochód powoli, z hałasem przetoczył się przed domem; wyteżali oczy i uszy, ale nic się nie stało, nic a nic, samochód sunął dalej i po chwili przestał strzelać z rury. Gowan myślał, że może trzeba trochę czasu, by gwoździe zrobiły swoje i w końcu przebiły gumy; czekali więc jeszcze długą chwilę, ale w dalszym ciągu na próżno. Wreszcie nie było już na co czekać, musieli wrócić do domu.

Po kolacji cała rodzina jak zwykle zebrała się w kancelarii, ale cisza panowała na ulicy, nikt nie przejeżdżał pod oknami; Gowan pomyślał, że może samochód wyleciał w powietrze dopiero przed domem de Spain, a w takim razie wuj Gavin nie będzie wiedział, kiedy można już bezpiecznie opuścić ciemny salon i pójść na górę do swego pokoju. Zaryzykował więc szepnąć wujowi Gavinowi do ucha:

— Może lepiej pójde do niego i sprawdzę?

— Co mówisz? O czym tam szepczecie? —

spytał ojciec. I w ten sposób plan Gowana upadł. Nazajutrz rano znów samochód przedefilował z wolna z wyłączonym tłumikiem i zdawało się, że następnym razem wjedzie chyba do jadalni. W południe cała scena powtórzyła się dwukrotnie; gdy więc po południu Gowan przyszedł ze szkoły, Top kiwnął na niego głową i zbiegli obaj do piwnicy. Top miał tam stare połamane grabie ze sterczącą jeszcze resztką kija; rozpalili za stajnią ogień, spalili kij do końca i zaraz po zmroku wyszli na ulicę; Gowan stał na straży, a Top wydłubał w koleinie dołek, wsadził w niego grabie zębami ku górze, przyrzucił dla niepoznaki liśćmi; potem znów obaj schowani za krzakiem jaśminu doczekali się przejazdu de Spain. I znów nic się nie stało, chociaż, jak sprawdzili po odjeździe samochodu, koła przeszły po grabiach.

— Spróbujemy jeszcze raz — powiedział Gowan. Spróbowali następnego ranka, ale bez skutku. Po południu Tom trochę majstrował przy grabiach starym pilnikiem, potem jakiś czas obrabiał je Gowan, ale wkrótce zrozumieli, że tym sposobem nie zdążą wyostrzyć należycie zębów nie tylko przed najbliższym dorocznym balem Klubu Kotylion, ale nawet przed następnym.

— Bez szlifierki nie damy rady — powiedział Gowan.

— Chodźmy do wuja Noona — powiedział Top.

— Weźmiemy strzelbę, niby że idziemy na

króliki — rzeki Gowan. Tak też zrobili. Poszli aż na kraniec miasta, do kuźni wuja Noona Gatewooda. Wuj Noon był tęgi, cerą miał żółtawą, a kolano wykręcone tak, że w sam raz mieściła się w jego zgięciu część końskiej nogi, od pęciny do pierwszego stawu; podnosił zadnią nogę końską, ścisnął kopyto pod kolaniem, jedną ręką chwycił się najbliższego słupa, i byle słup wytrzymał, koń mógł wierzgać i przysiąść, ile mu się podobało, wuj Noon z nim razem chwiały się to naprzód, to wstecz, ale kopyto nie drgnęło. Wuj Noon pozwolił Topowi i Gowanowi użyć swego kamienia szlifierskiego; Top go obracał i polewał wodą, a Gowan przykładął zęby grabi jeden po drugim, dopóki tak ich nie wyostrzył, że przebiłyby chyba każdą rzecz, która by na nie trafiła, a tym bardziej oponę samochodu.

Gowan uważał, że tym razem trzeba koniecznie czekać na wieczorne ciemności. Na ciemności i na późną porę, żeby nikt ich nie mógł wypatrzeć. Bo jeżeli wyostrzone grabie poskutkują, samochód na pewno się rozsypie, lecz może nie tak doszczętnie, by pan de Spain nie zdołał poszukać przyczyny i znaleźć jej na drodze. Z początku myśl zdawała się dobra, grudniowa noc była długa, lecz gdy się zabrali do roboty, okazało się, że ziemia zamrzła na kość, a w dodatku musieli wykopać rowek przez całą szerokość ulicy, nie tylko na długość grabi, jak przedtem, bo chcieli do nich przywiązać sznurek i za jego pomocą ściągnąć grabie na nasz dziedziniec natychmiast po przedziurawieniu koła, zanim pan de Spain zacznie swoje śledztwo. Gowan powiedział, że skoro nazajutrz jest sobota, będą mieli całe przedpołudnie na przygotowanie zasadzki i zza krzaka jaśminu zobaczą wszystko doskonale w świetle dziennym.

Tak się też stało: czekali za krzakiem, grabie były umocowane na jezdni, koniec sznurka w garści Gowana, gdy najpierw usłyszeli, a potem zobaczyli samochód; pan de Spain wyłączył tłumik i wóz sunął charcząc jak gdyby szyderczo cha, cha, cha. Już myśleli, że znów podstęp zawiódł, ale koło nagle jęknęło: bang! i Gowan nie zdążył szarpnąć sznurka, który wyrwał mu się z ręki, śmignął w powietrzu i owinał się niby wąż wokół krzaka jaśminu; samochód charczał: cha, cha, cha trach, cha, cha, cha trach, bo grabie przyssane do opony za każdym obrotem koła waliły

o błotnik. Wreszcie pan de Spain zatrzymał wóz. Wtedy, jak opowiadał Gowan, okno salonu otwarło się za nimi i pokazali się tam rodzice.

— Gowan! Top! — zawołała matka. — Idźcie pomóc, przy okazji nauczycie się czegoś, to wam się przyda, jak kuzyn Charley kupi samochód.

— Ja miałbym kupować taką hałaśliwą
1 cuchnącą maszynę? — powiedział ojciec. — Straciłbym wszystkich klientów, którzy używają koni albo mułów.

— Nie pleć — powiedziała matka. — Wiesz

dobrze, że kupiłbyś samochód choćby jutro, gdybyś miał nadzieję, że Papa na to się zgodzi... Nie, Gowan sam niech idzie pomóc panu de Spain. Top będzie mi potrzebny w domu.

Top zawrócił do domu, a Gowan wyszedł na ulicę, gdzie pan de Spain stał obok rozharatanego koła z grabiami w ręku i przyglądał im się wydymając wargi, jak gdyby pogwizdywał z cicha. Po chwili zjawił się Top. Miał na sobie białą kurtkę, którą matka kazała mu wkładać, gdy usługiwał do stołu, i niósł na tacy filiżankę z kawą, dzbanuszek ze śmietanką oraz cukiernicę.

— Pani Maggie zapytuje, czy nie napiłby się pan kawy, marznąc tu na tym zimnie — powiedział.

— Bardzo dziękuję — rzekł pan de Spain. Zwinął do końca sznurek, wziął tacę z rąk Topa, postawił ją na błotniku i oddał kłębek sznurka Topowi. — Masz — powiedział — przyda ci się do wędk.

— To nie moje — odparł Top.

— Będzie twoje, skoro ci to podarowałem — rzekł pan de Spain.

Top wziął sznurek. Pan de Spain polecił mu zdjąć czystą białą kurtkę, otworzył bagażnik i pokazał obu chłopcom lewarek i narzędzia do zmieniania opon; potem pił kawę, a Top tymczasem wczółgawszy się pod samochód wsunął we właściwe miejsce lewarek i razem z Gowanem odkręcił koło. Wtedy pan de Spain odstawił filiżankę, zdjął płaszcz, z narzędziami w ręku kucnął przy sflaczałej oponie i zabrał się do reperacji. Ale Gowan i Top nie nauczyli się niczego prócz kilku przekleństw, których nigdy w życiu jeszcze nie słyszeli, bo pan de Spain wkrótce podniósł się, odrzucił narzędzia i koło, i tym razem dał polecenie Gowanowi:

— Pobiegnij do domu, zatelefonuj do Bucka Connorsa, niech Jabbo natychmiast tutaj przyjdzie.

Tymczasem nadszedł już ojciec.

— Zdaje się, że ma pan już za wielu specjalistów do pomocy — rzekł. — Niech pan wejdzie do domu, napijemy się razem. Wiem, że trochę na to za wcześnie, ale bądź co bądź mamy święta.

Poszli więc wszyscy do domu i ojciec zatelefonował do Bucka Connorsa, żeby przysłał Jabba. Jabbo był synem wuja Noona Gate-wooda. Kierował się na kowala, dopóki pan de Spain nie sprowadził do miasta pierwszego samochodu, swojego czerwonego wozu, i nie „zbałamucił Jabba” — jak mówił wuj Noon. Ale zdaniem Gowana wuj Noon nie miał racji, bo Jabbo, dopóki był kowalem, upijał się i łądował kilka razy do roku w więzieniu, odkąd zaś pojawiły się samochody, stał się najlepszym mechanikiem na cały okręg, a chociaż w dalszym ciągu popijał i trafiał do aresztu nie rzadziej niż przedtem, nigdy go tam nie zatrzymywano dłużej niż na jedną noc, ponieważ rano zawsze któryś z automobilistów tak pilnie go potrzebował, że chętnie za niego płacił grzywnę.

W jadalni zastali już przez matkę przygotowane szklanki i karafkę.

— Chwileczkę! — powiedział ojciec. — Poproszę Gavina.

— Gavina już nie ma — skwapliwie poinformowała matka. — Niech panowie usiądą i napiją się grogu.

— Może jeszcze jest — powiedział ojciec i mimo wszystko wyszedł.

— Proszę, niech pan nie czeka na nich — zwróciła się matka do pana de Spain.

— Poczekam chętnie — odparł pan de Spain. — I tak za wczesna godzina na alkohol, kilka minut nie robi różnicy.

Ojciec wrócił.

— Gavin przeprasza, że nie dotrzyma nam towarzystwa, ale ma od paru dni zgagę — oznajmił.

— Niech mu pan powie, żeby zażył soli, to dobre na zgagę — rzekł de Spain.

— Jak to? — spytał ojciec.

— Niech pan go przyprowadzi. Pani Maggie postawi między nami solniczkę.

Na tym się sprawa skończyła. Pan Connors przyszedł ze strzelbą, a Jabbo w kajdanach; obaj zbliżyli się do samochodu. Pan Connors dał strzelbę do potrzymania Jabbowi, żeby mieć swobodę ruchów; wyjął z kieszeni klucz, otworzył kłódkę przy kajdanach, odebrał swoją broń. Jabbo chwycił za narzędzia i ani się obejrzelśmy, gdy ściągnął oponę z koła.

— Szkoda — powiedział ojciec — że nie

można Jabba zabalsamować troszkę, rozumie pan, żeby nie czuł zimna ani głodu, przywiązać go z tyłu do auta jak zapasowe koło albo silnik; miałby go pan pod ręką w razie dziury w oponie czy innej awarii, po prostu odwiązywałby go pan, stawiał na nogi i od- balsamowywał. Czy jest takie słowo?

— Jak załatasz oponę — rzekł pan de Spain do Jabba — odniesiesz mi ją do biura.

— Tak, proszę pana — powiedział Jabbo. — Pan Buck mógłby za jednym zamachem przynieść protokół.

— Podziękuj ode mnie swojej ciotce za kawę — zwrócił się pan de Spain do Gowana.

— Kuzynce — poprawił Gowan. — I za grog.

— Pojadę z panem do miasta — rzekł ojciec do pana de Spain. Była to sobota. Bal Klubu Kotyliion miał się odbyć w środę. W poniedziałek, wtorek i środę powstał w mieście taki popyt na kwiaty, jakiego nie notowano w Jefferson nawet z okazji śmierci starego generała Compsona, który nie tylko był kon- federackim dowódcą brygady, lecz także przez dwa dni gubernatorem Missisipi. Nikt z nas nie pomógł panu de Spain odkryć zamiaru wuja Gavina ani też mu nie doradził, by go w tym naśladował. Przyjemnie byłoby uwierzyć, że po prostu obaj jednocześnie wpadli na ten sam pomysł. Ale to byłoby za piękne, żeby mogło być prawdziwe.

Musiała więc przyczynić się do tego pani Rouncewell. Prowadziła kwaciarnię, nie dla

tego — jak wyjaśniał wuj Gavin — że kochała kwiaty, ani też nie dlatego, że kochała pieniądze, lecz dlatego, że kochała pogrzeby; pochowała dwóch mężów, po drugim zainicjowała premię ubezpieczeniową, otworzyła kwaciarnię i odtąd dostarczała kwiatów na wszystkie pogrzeby w Jefferson. Z pewnością ona właśnie powiedziała panu de Spain, że wuj Gavin chciał posłać pani Snopes bukiet do przypięcia do sukni, lecz matka zaprotestowała mówiąc, że pani Snopes ma męża i nie wypada, by wyłącznie jej posyłał kwiaty. Zgoda — odparł wuj Gavin. — Czy to znaczy, że ma posłać kwiaty również panu Snopesowi? Na to matka powiedziała, że wuj Gavin doskonale wie, co miała na myśli; wtedy wuj Gavin przyznał jej znów rację i oświadczył, że pošle kwiaty wszystkim paniom z Klubu Korymbion. Wobec tego pan de Spain musiał zrobić to samo i w końcu nie tylko pani Snopes, lecz każda członkini Korymbion dostała po dwie wiązanki do butonierki.

Nie mówiąc już o reszcie towarzystwa, bo sprawa dotyczyła, prócz mężów i adoratorów dam z klubu, również mężów i adoratorów wszystkich innych zaproszonych pań; a w szczególności dotknęła małżonków, którzy raz poślubiwszy swoje wybranki nie czuliby się zobowiązani do obdarzania ich kwiatami; one wcale też nie oczekiwałyby od nich bukietów, gdyby wuj Gavin i pan de Spain nie podjęli swojej akcji. Zwłaszcza wujowi Guwinowi miano za złe, bo on pierwszy wszystko rozpętał, toteż przysłuchując się, co mówili panowie u fryzjera, gdzie strzygli się przed balami, i w zakładzie krawieckim pana Kneelanda, gdzie wynajmowali fraki, można by pomyśleć, że zlinczują wuja Gavina.

Znalazły się też osoby, które nie poprzestały na przeklinaniu wuja Gavina, a mianowicie pan Grenier Weddel i pani Maurice Priest. Ale to wyszło na jaw później, dowiedzieliśmy się o tym dopiero nazajutrz po balu. Na razie wiedzieliśmy tylko o niezwykłym popycie na butonierki w sklepie pani Rouncewell, czyli, jak mówił ojciec, o nowym popłochu w Rouncewell*.

(„Musiałem sam to wymyślić — powiedział ojciec. — Z prawa należałoby to do Gavina, on powinien by się na tę grę słów zdobyć, ale chwilowo jest równie dokładnie wyprany z dowcipu jak ten kalambur”. Ojciec także wściekał się na wuja Gavina, bo chociaż nie zamierzał ofiarowywać matce bukietka, teraz musiał to zrobić, skoro wuj Gavin dla niej kwiaty zamówił; miała w ten sposób dostać trzy wiązanki — trzy, jeśli inni mężczyźni, wybierający się na bal, oprą się owcemu pędowi i nie dojdą do wniosku, że wszyscy muszą posyłać kwiaty wszystkim damom.) W poniedziałek wieczorem w sklepie pani Rouncewell nie było już ani jednego kwiatka,

— a we wtorek, gdy popołudniowy pociąg jadący w kierunku północnym odbył swój kurs, wszystkie miasta, leżące na jego trasie przed i za Jefferson, ogłoszone zostały z kwiatów; wczesnym rankiem w środę przybył z odsieczą specjalnie wynajęty samochód, który nocą wystartował z Memphis, dowożąc brakujące kwiaty, i wreszcie pani Rouncewell mogła rozpocząć dostawę bukietów z pomocą swojego chłopca na posyłki, samochodu Lu- ciusa Hogganbecka oraz wózka domowej roboty pożyczonego od panny Eunice Habersham, która zwykle rozwoziła nim klientkom warzywa. W ten sposób udało się w porę wykonać zamówienie; do naszego domu dostarczono pięć bukietów i wszyscy byli pewni, że są przeznaczone dla matki, która jednak po odczytaniu adresów na pudełkach powiedziała:

— Jeden jest nie dla mnie, ale dla Gavina. Wszyscy patrzyli na wuja Gavina, gdy w milczeniu spoglądał z góry na pudełko, wszyscy widzieli, jak wyciągnął ku niemu rękę i jak wpół gestu znieruchomiał z dłonią w powietrzu. W końcu zerwał sznurek, podniósł wieczko, odsunął bibułkę i nagle, chociaż nie gwałtownym ruchem — jak opowiadał Gowan — z powrotem nakrył bukiet bibułką i wieczkiem, po czym zabrał całe pudełko z sobą.

— Nie pokażesz nam? — spytała matka.

— Nie — odparł wuj Gavin. Ale Gowan zdążył zobaczyć. W pudełku były grabie i dwa kwiaty związane w bukiet paskiem czy strzępkim cienkiej gumy; dopiero w rok czy dwa później Gowan, już większy, dowiedział się, co to naprawdę było; mimo to od razu zgadł, co to jest, i — jak twierdził — zrozumiał, że ten kawałek gumy był przedtem użyty, a przynajmniej, że nadawca paczki chciał, aby wuj Gavin w to uwierzył, i że właśnie dlatego mu tę rzecz przysłał; czy wuj Gavin słusznie domyślał się, w jaki sposób została użyta, czy też się mylił, w każdym razie nigdy nie mógł się co do tego upewnić i zawsze miało go to nękać.

Gowan miał wtedy trzynaście lat; dotychczas w głowie mu nawet nie powstało, żeby mógł się dać zaprowadzić na bal Klubu Kotyliion, za pieniądze ani przemocą. Teraz jednak — jak mówił — po tym wszystkim, co już wiedział, chciał koniecznie tam być, na wypadek, gdyby miało zdarzyć się coś więcej, gdyby miał nastąpić jakiś ciąg dalszy, chociaż nie wyobrażał sobie, co by jeszcze mogło się zdarzyć, i to w dodatku na balu. Włożył więc swoje granatowe odświętne ubranie i przyglądał się matce, gdy uczesana strojnie, w brylantowych kolczykach po babce, usiłowała z ojca wydusić decyzję, który z czterech bukietów ma przypiąć do sukni: ten, który od niego dostała czy też jeden z trzech pozostałych, najlepiej, wedle niej, dobrany do toalety. Potem Gowan poszedł do sypialni wuja Gavina, który dał mu biały krawat, taki, jaki sam nosił, i kwiat do butonierki.

i\ a dolo już cmokał wynajęty powóz i wśród mroźnego wieczoru pojechali wszyscy na Rynek, do Opery; inne pojazdy, a między nimi parę samochodów, także już tam zajeżdżały, wysiadali z nich inni goście, panie podobnie jak matka strojne, ufryzowane, w szalach, kolczykach, obłokach perfum i długich białych rękawiczkach, panowie podobnie jak ojciec i wuj Gavin (a jeśli chodzi o białe krawaty, także jak Gowan) we frakach, sztywnych gorsach, białych krawatach, świeżo ostrzyżeni, a przy wejściu gromadzili się gapie, Murzyni i biali chłopcy, żeby posłuchać muzyki, gdy zagra orkiestra.

Dyrygował profesor Handy z Beale Street w Memphis, jego orkiestra grywała na wszystkich balach w północnej części Missisipi. Sala była udekorowana gwiazdkowo, a panie z Klubu Kotylion w asyście panów czekały, by witać gości; Gowan mówił, że nim wszedł na schody, czuł zapach wszystkich bukietów przypiętych do sukien dam, a gdy znalazł się na sali balowej, niemal widział obłok woni unoszący się jak mgła nad moczarami w zimny poranek. Pan Snopes był tam również, ubrany w wynajęty frak, a towarzystwo z Jefferson pewnie w pierwszej chwili pomyślało, że wypożyczony frak jest drugim z kolei śladem stopy pana Sno- pesa w mieście, lecz po pewnym czasie zrozumiano, że tak jak zbiornik wody nie był nagrobkiem, frak nie był śladem stopy, lecz czerwonym sygnałem. A może raczej zna- kiom ostrzegawczym na przejeździe' kolejowym: „Uwaga. Lokomotywa”.

Dalej Gowan opowiedział, jak wszyscy spodziewali się, że matka, która tego roku była przewodniczącą klubu, ofiaruje wujowi Gavi- now.i pierwszy taniec z panią Snopes. (Odkąd pani Rouncewell wreszcie zrozumiała, na jaką kwietną żyłę złota natrafiła, wszyscy już w Jefferson znali sekret pana de Spaina, wuja Gavina i pani Snopes.) Ale matka tego nie zrobiła. Wybrała do pierwszego tańca z panią Snopes Greniem Weddela, który był kawalerem. Następne tańce rozdzielała sprawiedliwie między wuja Gavina a pana de Spain, dopóki pań de Spain nie zburzył całego porządku. Bo on także był kawalerem. W tym sensie, w jakim rozumiał o wuj Gavin, mówiąc, że niektórzy mężczyźni są niepoprawnymi i uporczywymi kawalerami, choćby nie wiem ile razy się żenili, podobnie jak inni są uległymi pantoflarzami, nawet jeśli nie znajdą kobiety, która by chciała ich posłubić. Do takich mężczyzn należał pan de Spain. Oczywiście mam na myśli pierwszą kategorię, niepoprawnych i wytrwałych kawalerów, niebezpiecznych w każdych okolicznościach, ponieważ — jak mówił wuj Gavin — zdarzenia, okoliczności i warunki nie decydują o postępkach ludzi tego pokroju co pan de Spain, lecz odwrotnie, oni to wpływają na okoliczności i warunki.

W tym wypadku los mu dopomógł. Nie byłem świadkiem tego zdarzenia, a Gowan, jak

teraz rozumiem, nie zdawał sobie sprawy z tego, co się przed jego oczyma rozgrywa. Bo ja dopiero potem się »rodziłem, a gdy podrosłem, zobaczyłem panią Snopes i dojrzałem do wieku, w którym zrozumiałem, co czuli patrząc na nią wuj Gavin i pan de Spain (a także inni mężczyźni z Jefferson, z Sadyby Francuza i z wszystkich innych miejsc świata, każdy, kto ją zobaczył: i ci mali, ostrożni mężczyźni, którzy nie mieli odwagi i nieszczęścia wuja Gavina, i ci odważni i szczęśliwi jak pan de Spain, chociaż pewnie nazwaliby swoją przewagę nie szczęściem, lecz zdrowym rozsądkiem). A jeszcze później, gdy umiała, i pan de Spain opuścił miasto w żałobie, którą nosił jawnie, jak gdyby była jego żoną, gdy w Jefferson w końcu przestano o niej mówić, mogę się założyć, że nie tylko we mnie samo jej wspomnienie budziło to dawne uczucie i żal. Żal, ponieważ córka jej nie miała już tego daru, na czymkolwiek on polegał; ale w końcu zrozumiałem, że nie brak tego uroku w córce nas bolał, i nie to, że już go nie ma, lecz to, że nie mógłby wśród nas zjawić się ponownie; bo przecież Jefferson, miasto zaludnione przez słabych, małych, lęklwych mężczyzn, nie mogłoby znieść w swoich granicach drugiej pani Snopes w ciągu jednego stulecia. Myślę, że nawet pan de Spain przeżył na początku taki moment, gdy przestraszył się i powiedział sobie: „Uwaga. Czy nie trafiłem przypadkiem, na coś nie tylko czystsze, ale także odważniejszego i silniej -

szego, ponieważ jest czystsze, bardziej niż ja niewinne?” A tak właśnie było.

Gowan opowiedział mi, jak pani Snopes i pan de Spain tańczyli. A raczej, jak pan de Spain w pewnej chwili zaczął tańczyć z panią Snopes. Przedtem wuj Gavin, pan de Spain i wszyscy panowie, których matka posyłała, żeby wpisali się do karnetu pani Snopes, spokojnie i zwyczajnie po kolei prosili ją do tańca. Aż nagle wszystkie inne pary przerwały taniec i jak gdyby usunęły się pod ściany, i wówczas Gowan zobaczył panią Snopes i pana de Spain tańczących pośrodku kręgu osłupiałych widzów. Gdy byłem starszy, gdy miałem już czternaście, piętnaście czy szesnaście lat, zrozumiałem, czego świadkiem był wówczas Gowan, nie zdając sobie sprawy, na co patrzy; oto w tej właśnie sekundzie pan de Spain, zdumiony, oszołomiony, zdjęty zgrozą, z niedowierzaniem przyłapał się na postępowaniu, którego wcale się po sobie nie spodziewał, bo przecież tańczył z panią Snopes w ten sposób, aby się zemścić na wuju Gavinie, który go przestraszył i zmusił do sztubackich złośliwości, takich jak jazda bez tłumika i posłanie grabi oraz kawałka zużytej gumy w bukietu; pan de Spain zląkł się o siebie, bo odkrył, że nie jest tylko tym człowiekiem, za jakiego się miał przez wiele lat, skoro dał się skusić na takie psie figle. A tymczasem pani Snopes tańczyła w ten sposób, pozwalała się panu de Spain prowadzić w ta-

kim tańcu na oczach ludzkich, po prostu dlatego, że przepełniała ją życie i że nie czuła wstydu, jaki prawdopodobnie w tym momencie i nieraz w ciągu ostatnich dwóch tygodni nękał pana de Spain i wuja Gavina; była sobą, wyglądała tak, jak wyglądała, nie tylko nie wstydziła się tego, ale nie bała się i nie wstydziła się z tego cieszyć, nawet nie wzdrygała się swoim zachowaniem tego okazywać, skoro ten brak lęku i wstydu był, jak się zdawało, jedynym sposobem udowodnienia prawdy, inaczej nie zrozumieliby jej ci wszyscy mali, słabi ludzie, którzy zastygli w milczeniu otaczając tańczącą parę zgorszonym kręgiem; ci wszyscy mali, skazani na przeciętność, tchórzliwi żonaci i nieżonaci małżonkowie, przybierający maski oburzenia i zgrozy, aby wzajemnie przed sobą ukryć, że naprawdę chcieli im się krzywić, płakać nad własnym brakiem odwagi, bo każdy z nich wiedział, że nie tylko na sali balowej, ale nawet, gdyby był jedynym mężczyzną na ziemi, nie mógłby przeżyć podobnego cudu, podobnie cudownego bezwstydu, a już na pewno nie dorównałby mu aniby mu nie umiał stawić czoła.

Powinien by zareagować oczywiście pan Snopes, mąż, władca, opiekun z urzędu. Ale zrobił to wuj Gavin, który nie był mężem, władcą, rycerzem ani obrońcą, ani opiekunem, chyba tylko własnych praw; i nie obchodziło go w gruncie rzeczy, ile ucierpi w tej awanturze pani Snopes, byle została żywa, gdy on w końcu zdepcze ostatnią iskrę; życia w piersi pana de Spain. Gowan widział, jak wuj Gavin dopadł pana de Spain, chwycił go za ramię, szarpnął; słyszał pomruk, który podniósł się wśród tłumu, zobaczył, jak wszyscy mężczyźni ruszyli ławą ku zapasowemu wyjściu i schodom, prowadzącym do zaułka na tyłach Opery; damy krzyczały, ale wiele z nich spieszyło śladem mężczyzn, toteż Gowan na schodach z trudem torował sobie drogę wśród spódnic i nóg. I tak wypatrując spomiędzy nóg ludzkich zobaczył wuja Gavina, który właśnie podnosił się z ziemi w zaułku, a kiedy Gowan przepchał się w tłumie do pierwszego rzędu, wuj Gavin po raz drugi podnosił się, z twarzą zalaną krwią, a dwaj mężczyźni pomagali mu czy przynajmniej próbowali mu pomóc, bo odepchnął ich i znów rzucił się na pana de Spain. Gdy byłem starszy, rozumiałem także i to, że wuj Gavin nie usiłował zabić czy chociaż zranić pana de Spain, ponieważ wtedy już wiedział, że tego nie osiągnie. Wuj Gavin był już znowu sobą. Teraz po prostu bronił własną krew zasady, że czystości i cnoty kobiet trzeba bronić, niezależnie od tego, czy są czyste i cnotliwe, czy nie.

— Do diabła! — powiedział pan de Spain. — Niechże go ktoś trzyma, żebym mógł stąd odejść.

Więc ojciec przytrzymał wuja Gavina, ktoś inny przyniósł kapelusz i płaszcz pana de Spain, który zaraz odszedł. Gowan był pew-

ny, że usłyszy warkot; samochodu ruszającego bez tłumika. Ale nie usłyszał. Było cicho i tylko wuj Gavin wycierał krew z twarzy najpierw własną chustką, a potem chustką ojca.

— Wariacie! — powiedział ojciec. — Czy nie wiesz, że nie powinieneś się wdawać w bitkę? Przecież nie umiesz się bić.

— Znasz lepszy sposób, żeby się nauczyć tej sztuki, niż ten, którego spróbowałem? — spytał wuj Gavin.

Kiedy w domu, w łazience, zdjął frak, kołnierz, krawat i koszulę i przykładał mokry ręcznik do zakrwawionej twarzy, weszła matka. W rękę trzymała kwiat, czerwoną różę wyjętą z któregoś bukietu.

— Masz — powiedziała. — To ona ci przysłała.

— Kłamiesz — powiedział wuj Gavin. — Sama to wymyśliłaś.

— To ty kłamiesz — powiedziała matka. — Kwiat jest od niej.

— Nie — powiedział wuj Gavin.

— No, tak, ale powinna by ci go ofiarować — powiedziała i Govan spostrzegł, że matka płacze; jednocześnie ścisnęła wuja Gavina i biła go obu zwiniętymi w pięści rękoma, szlochając: — Ty wariacie, ty wariacie! Ona tego niewarta. Niegodna ciebie. Żadna z nich niewarta ciebie, choćby nie wiem jak wyglądała, choćby się zachowywała jak... jak w burdelu. Żadna niewarta, niewarta.

Pan Snopce jednak w tę noc balową naznaczył miasto dwoma innymi jeszcze śladami: drugim krwawiącym nosem i parą pod- siniaczonych oczu. Czwartą bukiet dostąpiła matka tego wieczora od Greniera Weddela. Był on podobnie jak pan de Spain kawalerem, i to tego gatunku, który, wedle określenia wuja Gavina, nie przestaje być kawalerem, choćby się wiele razy ożenił. Może właśnie dlatego Sally Hampton dała mu kosza. W każdym razie odesłała mu zaręczynowy pierścionek i wysłała nie za niego, lecz za Maurice'a Priesta, kiedy więc wuj Gavin i pan de Spain rozpętały, jak mówił ojciec, popłoch w sklepie pani Rouncewell, Grenier postanowił skorzystać z okazji i posłał pani Priest nie zwykły, „paniczny” — jak mówił ojciec — bukiet, lecz cały bukiet. Może dlatego nie przypięła go do sukni idąc na bal, był do tego celu za duży. W każdym razie nie przypięła tych kwiatów, a kiedy wuj Gavin i pan de Spain opuścili zaulek, spotkali się tam Grenier i Maurice Priest i Grenier wyszedł ze spotkania z podbitym okiem, a Maurice Priest wrócił do domu z krwawiącym nosem, nazajutrz zaś Sally Priest pokazała się na mieście również z sińcem pod jednym okiem. Nie chciała wprawdzie publicznie obnosić bukietu od Greniera, ale sińiec obnosiła niewątpliwie. Nie tylko rano, ale także po południu przechadzała się z nim po mieście, toteż całe Jefferson miało sposobność go obejrzeć czy przynajmniej o nim usłyszeć.

Gowan mówił, że Sally Priest była chyba z niego dumna.

XV. V. K. RATLIFF

yla dumna. Ciotka (bo nie żaden z dwóch wujów ani dziadek, ale któraś z kobiet w rodzinie) mogłaby to Gowanowi wytłumaczyć. Sally była dumna, że jej mąż jeszcze umie i chce podbić jej oko, była dumna, że jej mąż ma żonę, która jeszcze może dać mu do tego powód.

Flem też nie był pierwszym Snopesem w Jefferson. Pierwszym był Mink, który spędził dwa i pół miesiąca w tutejszym więzieniu po drodze do Parchman, gdzie miał dożywotnio pokutować za zabicie Żacka Houstona. I przez całe - dwa i pół miesiąca był ofiarą pomyłki.

Nie nazywam pomyłką zabójstwa, które popełnił. Wtedy wiedział, co robi. Zack zawsze był dumnym człowiekiem, a wówczas stracił właśnie młodą żonę, o którą bardzo długo mu siał starać się, bo rodzice nie chcieli jej za niego wydać; była najmłodszym dzieckiem Cala Bookrighta, nauczyciela, a chociaż Zack miał własną farmę i gospodarował dobrze, był tylko farmerem: prosty farmer, bez wykształcenia, a na dobitkę znany hulaka za młodu i nawet później, dopóki nie zajął się poważnie Lettą Bookright i nie odkrył, że z jej ojcem również nie ma żartów. A gdy w końcu, prawdopodobnie z jej po mocą, przechytrzył starego Cala i mógł się z dziewczyną ożenić, nie cieszył się nią nawet roku. Stracił ją, a przy tym zginęła okrutną, najokrutniejszą śmiercią: zabił ją w stajni uderzeniem kopyta ten sam rasowy ogier, z którego wkrótce potem, w inny poranek, kula Minka zwała Żacka. W swoim nieszczęściu Zack sposepniał jeszcze bardziej. Z natury dumny, a na domiar złego nieszczęśliwy, zachowywał się trochę wyzywająco. Ale w Sadybie Francuza wszyscy prawie wiedzieli, jaki jest dumny i jak ciężko się napracował, zanim starego Cala namówił, żeby mu dał Lettę za żonę, więc dużo mu uchodziło płazem, dopóki nie zadarł z Minkiem Snopesem.

Bo Mink Snopes był nikczemny. Jedyny do gruntu nikczemny z wszystkich Snopesów, jakich poznaliśmy. Trafił się między nimi popędliwy do szaleństwa podpalacz stodoł, jak stary Ab; trafił się łagodny i naiwny Eck, który co prawda nie był Snopesem, chociaż jego matka za Snopesa go podawała, Eck, który znalazł się w tym rodzie nie na swoim miejscu, jak wróbel w jastrzębim gnieździe; trafił się też skończony dureń, jak I. O. Ale nigdy przedtem nie spotkaliśmy między nimi takiego, który by dopuszczał się podłości bez znacznej korzyści czy bodaj widoków zysku.

Uważam Minka za jedyne go z gruntu nikczemnego Snopesa, bo popełnił zbrodnię bez widoków zysku dla siebie. Zdaje się jednak, a nawet z pewnością tak być musiało, że po-

dobnie jak jego kuzyn I. O., był po trosze durniem, bo inaczej nie zdarzyłaby mu się taka pomyłka. Nie nazywani pomyłką samego zabójstwa, ale że zastrzelił Houstona nie kiedy indziej, lecz właśnie, w tym czasie, gdy Flem bawił jeszcze w podróży poślubnej w Teksasie. Mink wiedział niewątpliwie, że Flem jeszcze nie wrócił. A może poprzedniego wieczora rozeszła się wśród Snopesów pogłoska, że Flem nazajutrz przyjedzie do Sadyby Francuza i Mink dlatego chwycił swoją starą wysłużoną dwururkę i zaczął się w krzakach, a gdy Houston przejeżdżał, strzelił z ukrycia i zwałił go z siodła. Nie wiem. Może w tym momencie nic go nie obchodziło i chciał tylko wziąć Houstona na muszkę i poczuć odrzut kolby na ramieniu.

W każdym razie zrobił to. Może dopiero wówczas, gdy Houston leżał w błocie na drodze, a spłoszony koń z uzdą puszczoną swobodnie, z pustym siodłem i objadającym się o jego brzuch strzemionami gnał w stronę sklepu Varnera, żeby zanieść nowinę o śmierci swego pana, może dopiero wówczas Mink zrozumiał grozę swego położenia i uświadomił sobie, że przedwcześnie zrobił coś, co już za późno było odrabiać. Tym by się tłumaczyło, że próbował ukryć trupa, strzelbę cisnął w wodę i poszedł do sklepu, i koło niego kręcił się przez parę dni, podczas gdy szeryf szukał Houstona; Mink nie interesował się, czy szeryf odnalazł trop, czy nie, ale czekał, by Flem wrócił z Teksasu i uratował krewniaka. Aż się doczekał, że pies Houstona zaprowadził szeryfa do ciała swojego pana, a kłusownicy łowią ryby wyciągnęli z wody strzelbę; wszyscy wiedzieli, że to własność Minka, bo nikt inny takiej dwururki nie miał.

Można sobie wyobrazić, jaki go porwał gniew, jakie oburzenie, jak czuł się skrzywdzony i zdradzony, gdy wywnioskował czy zrozumiał, czy w jakikolwiek sposób odgadł, że Flem musiał dowiedzieć się o zabójstwie i umyślnie trzymał się z dala od Sadyby Francuza, a nawet w ogóle od Missisipi, bo nie zamierzał mu pomóc, nie chciał go wyciągać z tego kłopotu. Nawet nie z rozpaczy, ale z gniewu i urazy, żeby pokazać Flemowi, że na niego gwizdże, skuty kajdanami na bryczce szeryfa, w drodze do więzienia znalazł okazję, żeby wsunąć głowę między zbite w kształt V deski, i spróbował przerzucić na zewnątrz nogi i tors, ale go na tym przyłapano.

Ale to był tylko piei-wszy szał oburzenia i zawodu, nie mógł trwać długo. Prawdopodobnie rozsądek go o tym przekonał i może nawet Mink w pewnym sensie był zadowolony, że musi uspokoić się i posłuchać głosu zdrowego rozsądku. Posłuchał go, skoro nie miał wyboru, i starając się urządzić znośnie w więzieniu czekał na powrót Flema, bo przecież nawet Flem Snopes i nawet w podróży poślubnej nie mógł wiecznie przebywać w Teksasie.

Cóż więc robił? Zamknięty na najwyższym

piętrze więzienia (jako niewątpliwy morderca, przestępca pierwszej kategorii, nie był wyprowadzany na miasto i zatrudniany przy zmiataaniu ulic, jak pospolici murzyńscy szachraje), przez długi czas nawet się nie niecierpliwił. Stał tylko w oknie zaciskając ręce na kratkach i patrzył na ulicę, na chodnik, którym Flem mógłby nadejść od strony Rynku. Nie niecierpliwił się przez cały pierwszy miesiąc, nie bardzo się niepokoił przez drugi, gdy już przysięgli orzekli, że jest winien; od czasu do czasu krzychał tylko z okna do przechodniów pytając, czy Flem Snopes jest już w mieście. Nie wpadł w popłoch nawet pod koniec drugiego miesiąca, chociaż wtedy zaczął podejrzewać, że Flem nie przyjechał jeszcze; nadal wykrzykiwał do przechodniów, prosząc, by ktoś posłał do Sadyby Francuza karteczkę i zawiadomił Willa Varnera, że Mink życzy sobie jego odwiedzin.

Tak trwało przez dwa miesiące, ale gdy do ostatecznej rozprawy brakowało niespełna dwa tygodnie, a Will Varner, ani nikt inny nie przyszedł go odwiedzić, Mink zrozumiał, że nie może dłużej wierzyć, jakoby Flem do tychczas nie wrócił do Sadyby Francuza; było to po prostu nie do wiary, więc nie wierzył. Wolał myśleć, że żaden z dorosłych ludzi, do których krzychał z okna swoje polecenia, nie przekazał ich dalej; mało teraz sypiał i mając czasu pod dostatkiem, do późna, nieraz przez całą noc stał w oknie (w celi na najwyższym piętrze było ciemno, tylko na ulicy świeciły latarnie, a w górze majaczyła biała plama jego twarzy i dwie białe plamy rąk zaciśniętych na kracie); stał czekając, żeby zjawił się ktoś godny zaufania, komu by mógł powierzyć ważną misję; liczył na chłopców, na takich chłopców jak kuzyn goszczący w domu Stevensów, siostrzeniec adwokata Stevensa, jeszcze nie zepsuty, nie skażony wpływem dorosłych, a więc nie usposobiony do niego wrogo; do takich chłopców szeptał z okna, póki się nie zatrzymali i nie spojrzeli na niego; nie przestawał szeptać nawet wówczas, gdy umykali wystraszeni: „Chłopcy. Koledzy. Tak, do was mówię. Chcecie zarobić dziesięć dolarów? Zanieście wiadomość do Sadyby Francuza, powiedzcie Flemowi Snopesowi, że jego kuzyn Mink prosi, niech przyjdzie tutaj i niech się pospieszy, niech się pospieszy...” Tak się to ciągnęło aż do dnia rozprawy. Kiedy go wprowadzili w kajdanach na salę, już od progu zaczął wyciągać szyję i rozglądać się wśród obecnych, a potem wciąż wyciągał szyję i wciąż rozglądał się, bo pojawiały się coraz to nowe twarze, ludzie tłoczyli się nawet wtedy, gdy nie było już miejsc siedzących i gdy przystąpiono do wyboru przysięgłych; posunął się do tego, że próbował wleźć na krzesło, żeby lepiej widzieć, ale kazano mu siedzieć spokojnie, więc tylko wyciągał szyję i wypatrywał jak mógł, a tymczasem już odczytano akt oskarżenia i padło pytanie: „Winny czy niewinny?” Teraz zdążył się poderwać, zanim go wstrzymano, i wy-

chylony w stronę publiczności, wpatrzony

- w twarze ludzi cisnących się w głębi, w ostatnich rzędach, zawołał:

— Flem!

Sędzia stukał swoim urzędowym młotkiem, obrońca, którego mu sąd wyznaczył, wstał, woźny krzyczał: —

Proszę o spokój! Proszę

o spokój!

A Mink powtarzał swoje:

' — Flem! Flem Snopes!

Tym razem sam sędzia poprzez stół nachylił się ku niemu i spytał:

— Czy oskarżony przyznaje się do winy?

— Kto, ja? ■ — spytał Mink.

— Czy oskarżony zabił Żacka Houstona, czy nie? — spytał sędzia.

— Proszę mi teraz nie zawracać głowy — powiedział Mink. — Czy pan nie widzi, że jestem zajęty?

I znów odwrócił się ku sali, gdzie ludzie cisnęli się z ciekawości, czy mimo wszystko nie ominie go strycalek, ten i ów mówił, że to przecież wariat, bo rzeczywiście zachowywał się, jakby chciał za wariata uchodzić, zresztą przedtem już także udawał pomyłonego. Nie było innej rady, sąd musiał pobłażliwie słuchać, jak Mink powtarzał:

— Jest tam ktoś, kto ma samochód? Niechże ktoś skoczy do sklepu Varnera po Flema Snopesa. Flem zapłaci każdą cenę, dołoży dziesięć, dwadzieścia dolarów...

Już poprzedniego lata prokurator Stevens czuł, że powinien coś zrobić, ale nie wiedział co. Teraz musiał coś zrobić i było mu wszystko jedno co. Nie myślał, żeby specjalnie szukał okazji. Po prostu wyciągnął rękę i chwycił pierwszą z brzegu rzecz, która mu się nawinęła, a przypadkiem były to miedziane części z tak zawrotną szybkością znikające z elektrowni, te miedziane odpadki, o których wszyscy w Jefferson, włącznie z Flemem Snopesem — na pewno włącznie z Flemem — usiłowali zapomnieć ze zwykłej, ludzkiej grzeczności.

Kiedy jako prokurator miejski Stevens wytoczył sprawę towarzystwu asekuracyjnemu burmistrza de Spain oskarżając go o wykroczenia służbowe i tolerowanie przestępstw, czy coś w tym rodzaju, wszyscy oczywiście byli pewni, że zmierza tylko do tego, by zgromadziwszy akta wejść do gabinetu Manfreda de Spain i położyć mu je na biurku. Ale wszyscy mylili się, prokurator Stevens nie chciał nic od de Spaina kupować, tak samo, jak nie chciał nic od niego kupić w noc bału gwiazdkowego, gdy w ciemnym zaułku Charles Mallison powiedział mu, że nie powinien brać się do bicia, bo nie umie; dla prokuratora Stevensa nie była to zresztą nowina, przyzwyczał się do tej prawdy od dwudziestu dwóch czy trzech lat. Niczego więc nie chciał od de Spaina, bo chociaż była jedna jedyna rzecz, którą de Spain miał i której Stevens pragnął, on sam nie wiedział, że tego

właśnie pragnie, dopóki mu ojciec oczu nie otworzył tego popołudnia.

A więc prokurator wdrożył dochodzenie. Najpierw przyjechał układny młody facet przysłany przez towarzystwo asekuracyjne, w eleganckim wielkomijskim ubraniu wysiadł z rannego pociągu z elegancką wielkomijską walizką mówiąc:

— No, przyjaciele, zacznijmy od skosztowania razem doskonałej tutejszej whisky i zastanówmy się, czy nie możemy całej sprawy załatwić między sobą polubownie.

A potem spędził pracowicie straszliwy dzień przeważnie prowadząc rozmowy międzymiastowe i wypytując dwóch murzyńskich palaczy, Toma Toma Birda i Toma Turla Beauchamp, w oczekiwaniu na powrót Flema Snopesa, któremu nagle wypadło pojechać w odwiedzinach do sąsiedniego okręgu.

Trzeciego dnia przybył inny przedstawiciel towarzystwa ubezpieczeń, gruba ryba, sądząc z tego, że miał siwe włosy, podróżował pull- manowskim wagonem, nosił spodnie w prążki, złoty zegarek z dewizką grubą jak powróż, okulary w złotej oprawie i nawet wykałaczkę ze złota, a także żakiet i cylinder; wieczorem nikt w Hotelu Holston nie mógł się doprosić choćby szklanki wody, bo cały personel, portier i kelnerzy kręcili się tylko pod drzwiami jego pokoju gotowi do usług, i mógłby łatwo w ciągu jednego dnia stać się właścicielem wszystkich Murzynów z Jefferson, gdyby miał dla nich jakiegokolwiek za trudnienie; ale on powtarzał tylko wciąż: „Panowie, panowie, panowie”. Burmistrz nadszedł, gdy całe grono już siedziało wokół stołu; stanął i zaśmiał się na ten widok, po czym rzekł:

— Proszę mi wybaczyć. Nawet w Jefferson w stanie Missisipi burmistrz miewa od czasu do czasu coś niecoś do roboty.

Prokurator Stevens siedział spokojny i blady i miał zupełnie taki sam wyraz twarzy, jak tamtego wieczora, gdy odpowiadał swojemu szwagrowi: „Znasz lepszy sposób, żeby się nauczyć tej sztuki niż ten, którego właśnie spróbowałem?”

Flem Snopes dotychczas nie wrócił i nie wiadomo, gdzie go szukać, najwidoczniej urządził sobie wczasy wędrowne w lasach, gdzie nie można było go osiągnąć przez telefon. Dygnitarz w białej kamizelce i ze złotą wykałaczką w kieszonce powiedział:

— Jestem pewny, że pan de Spain zechce zrezygnować ze stanowiska. Czy nie możemy po prostu zgodzić się na jego ustąpienie i puścić całą sprawę w niepamięć?

Ale prokurator Stevens odparł na to:

— Pan de Spain jest dobrym burmistrzem. Nikt nie życzy sobie, żeby ustępował z urzędu.

— Więc czego pan sobie życzy? — spytał dygnitarz w białej kamizelce. — Musiałby pan udowodnić, że przedstawiciel naszego klienta ukradł miedz, bo tymczasem na poparcie oskarżenia ma pan tylko słowa dwóch

Murzynów, skoro samego pana Snopesa nie ma w mieście.

— Zbiornik z wodą został — odpowiedział prokurator. — Możemy opróżnić zbiornik.

Zwołano więc posiedzenie nadzwyczajne rady miejskiej. Wyglądało to trochę tak, jak masowe wybory królowej piękności spośród dwóch rywalek, dzwon ratuszowy zaczął dzwonić o ósmej rano, jakby oznajmiał wieczorną sesję trybunału, a ludzie ciągnęli ulicami i zapełnili Rynek śmiejąc się i wymieniając dowcipy; wiedząc, że gabinet burmistrza nie pomieściłby nawet małej części publiczności, przeniesiono posiedzenie do wielkiej sali sądowej na piętrze.

Trzeba wiedzieć, że działo się to w styczniu, w trzy tygodnie niespełna po gwiazdkowym balu. Nawet po rozpoczęciu obrad gwar nie ucichł, bo większość ludzi przyszła tylko po to, żeby się pogapić i posłuchać; wiele razy stuknął młotek przewodniczącego, zanim wreszcie uspokoiły się śmiechy, żarty i rozmowy, a wtedy jeden z radnych powiedział:

— Nie wiem, ile będzie kosztowało opróżnienie zbiornika, ale niech mnie kule biją...

— Ja wiem — odparł prokurator Stevens. — Już się co do tego poinformowałem. Budowa pomocniczego zbiornika, dostatecznie dużego, żeby zmieścić w nim całą wodę, wypompowanie starego zbiornika, napełnienie go z powrotem i rozbiórka prowizorycznego zbiornika, wszystko to razem będzie kosztowało trzysta osiemdziesiąt dolarów.

Wynajęcie człowieka, który zejdzie do zbiornika i zbada go, nic nie będzie kosztowało, ponieważ to zrobię ja sam.

— W takim razie — rzekł radny — niech mnie kule biją, jeśli...

— Dobrze — odparł prokurator. — Pokryję wszystkie koszty z własnej kieszeni.

Starszy pan w białej kamizelce powiedział:

— Panowie, panowie, panowie!

A młody, który pierwszy przyjechał, wstał i zawołał:

— Czyż pan nie rozumie, Stevens? Czyż pan nie rozumie? Jeżeli pan tam znajdzie miedź, nie będzie w ogóle przestępstwa, bo miedź należąca do miasta spoczywa w należącem do miasta zbiorniku.

— Owszem, pomyślałem już o tym — odparł prokurator. — Miedź jest nadal w posiadaniu miasta, nawet jeśli nie opróżnimy zbiornika, ale gdzie się znajduje i dlaczego?

— Chwileczkę, chwileczkę — powiedział młody człowiek. — Nie w tym rzecz. Jeśli miedź tam leży, nie ma przestępstwa, bo nie została skradziona.

— Tom Tom Bird i Tom Turl Beauchamp zeznali, że ją ukradli — powiedział prokurator.

Na to dwaj radni jednocześnie zakrzyknęli:

— Jak to? Jak to? — A potem ten, który miał głos silniejszy, zagłuszając drugiego zapytał: — Kogo ty chcesz oskarżyć, Gavin?

Czy za tych dwóch Murzynów może być odpowiedzialny Manfred de Spain?

• iwrfMfe

■— Przede wszystkim nie ma żadnego przestępstwa, skoro wiadomo, że miedź jest w zbiorniku, gdzie ją złożyli dwaj Murzyni! — krzyczał młody facet z towarzystwa asekuracyjnego, a stary dygnitarz w białej kamizelce powtarzał: — Panowie, panowie, panowie! — ale brzmiało to jak bardzo odległy basowy werbel i nikt nie zwracał na niego uwagi, aż nagle Henry Best wrzasnął:

— Co do diabła! — tak głośno, że wszyscy umilkli, a wtedy mógł ciągnąć dalej: — Murzyni zeznali, że ukradli tę miedź, ale nie ma dowodu kradzieży, póki nie opróżnimy zbiornika. Na razie więc nie można powiedzieć, że coś ukradziono. Ale jeżeli opróżnimy ten cholerny zbiornik i znajdziemy w nim miedź, wyjdzie na to, że nikt niczego nie ukradł, bo miedź nie tylko będzie w posiadaniu miasta, ale nigdy ani na chwilę nie przestała być w jego posiadaniu. Bój się Boga, Gavin, czy o tym nas usiłujesz przekonać? A jak nie, to o czym? O co ci, u diabła, chodzi?

Prokurator Stevens siedział spokojny, opanowany, z twarzą bladą i sztywną jak papier. Możliwe, że nie nauczył się do tej pory, jak walczyć. Ale nie słyszał, żeby jakiś przepis zakazywał mu próbować tej sztuki.

— Sprawa tak wygląda — powiedział. — Jeżeli w zbiorniku znajduje się miedź, cenne mienie miasta, bezprawnie tam ukryte z wiedzą i milczącą zgodą urzędnika miejskiego, to popełniono przestępstwo. Jeżeli znajdziemy

w zbiorniku miedź — cenne mienie miasta bezprawnie ukryte tam z wiedzą i milczącą zgodą urzędnika miejskiego, to pomimo odzyskania przez miasto mienia stwierdzimy, że jeden z urzędników miejskich winien jest usiłowania przestępstwa. Ale nie chodzi o zbiornik per se i nie o tę miedź per se, znajdującą się w nim lub nie. Pytanie, które zadajemy szanownemu towarzystwu ubezpieczeń, brzmi: Jakiego, ściśle mówiąc, wykroczenia służbowego dopuścił się nasz szanowny burmistrz? Jakie przestępstwo i przez kogo popełnione, milcząco zaaprobowala głowa naszego miasta?

Bo prokurator Stevens sam także nie wiedział, czego chce. A kiedy nazajutrz ojciec powiedział mu, co, sądząc z zachowania, jest przedmiotem jego dążeń, prokurator na chwilę ojcu uwierzył, lecz to również nie była prawda.

Na tym stała sprawa tego popołudnia, bo nic więcej nie mogła doraźnie zrobić gromada laików, jakimi byli rajcy miasta. Trzeba tu było zawodowego, wytrawnego sędziego; czy rada tego chciała, czy nie, doprowadziła do punktu, w którym już nie mogło obejść się bez sądu. Nie wiedziałem, że sędzia Dukinfield znajduje się w tłumie, dopóki Henry Best zwracając się do publiczności nie zawołał:

— Sędzia Dukinfield! Czy jest na sali sędzia Dukinfield?

A sędzia Dukinfield z ostatnich rzędów odezwał się zaraz:

— Jestem, Henry.

— Sądzę, że będziemy potrzebowali pomocy sędziego — rzekł Henry. — Słyszałeś wszystko, co i my słyszeliśmy, mam nadzieję, że zrozumiałeś więcej od nas...

— Owszem, zrozumiałem — powiedział sędzia Dukinfield. — Jutro o godzinie dziewiątej rano w tej sali odbędzie się rozprawa. Myślę, że ani powodowi, ani pozwanemu nie potrzeba adwokatów prócz tych, którzy dzisiaj przemawiali w imieniu obu stron, ale jeśli chcą przyprowadzić pomocników — czy też może należałoby powiedzieć: świadków? — proszę bardzo.

Wszyscy, wstali i zbierali się do wyjścia wciąż wśród śmiechów, rozmów i żartów, nie opowiadając się ani za, ani przeciw, traktując sprawę jako dobrą zabawę, ale z zasady skłonni poprzeć każdego, kto był przeciw dwóm obcym gościom z towarzystwa asekuracyjnego, dla tej prostej przyczyny, że to byli obcy; nikt nawet nie zwrócił uwagi na siostrę bliźnię prokuratora, która stała obok i spoglądała na Henry'ego Besta, jakby mówiła: „Zadowolony jesteś? Może byś go już teraz zostawił w spokoju”. I nikt też nie zwrócił uwagi na chłopca — nie wiem, co to był za jeden — który przecisnął się do stołu i podał coś prokuratorowi, a prokurator to przyjął; dopiero nazajutrz ludzie zrozumieli, że między tym wieczorem a następnym rankiem coś się zdarzyło, coś, o czym nic bliższego nie dowiedzieliśmy się i moim zdaniem nigdy się nie dowiemy; rozeszliśmy się do domów, zajęli własnymi sprawami, rynek opustoszał, a świeciło się tylko okno w biurze prokuratora i jego ojca, nad składem towarów żelaznych, okno, za którym prokurator Stevens czuwał samotnie... jeśli to rzeczywiście on tam był, jeśli rzeczywiście był sam i... jakże to się mówi?... rozmawiał z własną duszą?

V. GAVIN STEVENS

oeci myślą się oczywiście. Wedle nich powinien bym przeczuć, że ten bilecik jest w drodze, nie mówiąc już o tym, że'powinienem od razu zgadnąć, kto go przysyła. Ale w rzeczywistości nie wiedziałem tego nawet po przeczytaniu bileciku. Otóż to właśnie, poeci prawie zawsze myślą się co do faktów, bo nie fakty ich w gruncie rzeczy interesują, lecz prawda; dlatego prawda, którą wypowiadają, bywa tak prawdziwa, że porywa i przeraża nawet ludzi nienawidzących poezji.

Nie, to nie jest tak. Człowiek nie śmie, boi się pozwolić sobie na nadzieję. Boi się nie ogromu nadziei, do jakiej jest zdolny, lecz do tego, że on — wąła osnowa z kości i mięśni zamykająca w pułapce słabego śmiałka, któremu bezgraniczne aspiracje, marzenia i nadzieje spędzają sen z oczu — nie sprostą marzeniom; jakby powiedział Ratliff: „Zawsze wiesz, że nigdy nie będziesz dość męski, aby

wyrządzić tyle szkody i krzywdy, ile byś wyrządził, gdybyś był bardziej męski”. I mógłby dodać — albo ja mógłbym za niego dodać: „Dzięki Bogu”. Tak, dzięki Bogu czy też czemuś innemu za tę odrobinę spokoju, którą osiągniesz, by ukołysać i tą wątłą osnowę, i uwięzioną w niej udrękę, szepcząc jej: „Cicho, cicho, wszystko w porządku, wiem, że jesteś męzny”.

Wszedłszy do gabinetu najpierw zaświeciłem wszystkie lampy; gdyby to nie był styczeń i gdyby termometr nie spadł do trzydziestu stopni, pewnie bym także otworzył na oścież i zastawił drzwi, broniąc jej dobrej sławy z większą troskliwością niż przystało dżentelmenowi z Missisipi. W następnej chwili pomyślałem: „O Boże, całe miasto zauważy tę iluminację” — pewny, że zaraz zjawi się Grover Winbush (nocny policjant), tak jakbym go specjalnie wezwał; jedna lampa na biurku dałaby mu do zrozumienia, że po prostu pracuję, więc zostawiłby mnie w spokoju, ale wszystkie lampy zapalone musiałyby go zwabić, nie dlatego, że chciałby zaskoczyć włamywacza, ale dlatego, że chciałby wziąć udział w rozmowie.

Powinienem więc co prędzej pogasić światła,* ale wiedziałem, że jeśli raz się poruszę i wstanę z fotela, prawdopodobnie ucieknę, pobiegnę do domu, do Maggie, która od śmierci naszej matki usiłuje ją wobec mnie zastąpić i której kiedyś może nawet to się uda. Siedziałem więc i myślałem, jak poro zumieć się z Eulą, jak znaleźć czas i sposób, żeby jej, gdziekolwiek się teraz znajdowała w drodze między swoim domem a moim biurem, podsunąć, narzucić radę, by stłumiła odgłos swoich kroków gumowymi podszewkami, osłoniła się od ludzkich oczu ciemnym, stapiającym się z nocą płaszczem i szalem; ale zaraz potem przyszło mi na myśl, że już sama propozycja użycia bezszelestnych bucików i dyskretnego płaszcza wystarczyłaby, żeby na zawsze usunąć, przekreślić ich potrzebę, bo chociaż ja może zostałem sobą, ona musiałaby być kobietą mniej wielkoduszną i szlachetną, żeby się zgodzić na nikczemną obelgę sekretu, na strach i ciszę.

Toteż gdy usłyszałem jej kroki na schodach, nie pomyślałem: „Na litość boską, zdejmij buciki albo przynajmniej staraj się iść na palcach”. Pomyślałem: „Czy to możliwe, że stukasz lekko obcasami, tak samo jak pospolite ludzkie istoty, ty, która powinna być płynąć jak bohaterka opery Wagnera, nie przy akompaniamencie muzyki, ale na jej fali, w huku piorunów albo w fanfarze trąb, a rytm twoim ruchom powinien nadawać szum wichru, burza i dźwięki ogromnych harf”. Mówiłem sobie: „Skoro sama wpadła na pomysł, żeby spotkać się ze mną tutaj, na mniej lub bardziej tajnej schadzce, będzie chyba musiała na mnie spojrzeć”. Bo dotychczas nigdy na mnie nie spojrzała. Może wcale mnie nie spostrzegła, nie wiem, zbyt byłem zajęty szaleństwem z jej powodu, rolą

jej błazna, rozrzucaniem gwoździ na ulicy, jak złośliwy smarkacz, a w dodatku, żeby wciągnąć do spisku prawdziwych smarkaczy, nie skusiłem ich lojalnie obietnicą nagrody, lecz własną zapóźnioną sztubacką złośliwość zaszczerpiłem na gruncie ich naturalnego, normalnego okrucieństwa (i ciekawości, nie zapominajmy o ciekawości). I po co? Co chciałem zyskać? Czego pragnąłem, o co zabiegałem? Postępowałem jak dziecko, które przytyka zapalkę do stogu siana, drząc jednocześnie ze strachu, że naprawdę ujrzy całopalną ofiarę.

Rozumiecie? Strach. Nie zdążyłem nawet zastanowić się, czego ona chce ode mnie, tylko drżałem ze strachu od chwili, gdy goniec wsunął mi kopertę do ręki i gdy mogłem bez świadków rozedrzyć tę kopertę i przeczytać list; strach zmieszany z odwagą, z desperacją, z rozpaczą — nazwijcie to, jak wam się podoba, nie wiem, co to było i skąd się wzięło — strach towarzyszył mi, gdy podchodziłem do drzwi, otwierałem je i jak zawsze, ilekroć do niej się zbliżałem, czy to, by z nią zatańczyć, czy to, żeby wyzwąć do walki człowieka, który jej uchybiał, a który ważył o dwadzieścia, trzydzieści funtów więcej niż ja, jak zawsze zdziwiłem się w duchu: „Czy to możliwe? Przecież ona jest mała, drobna”. Bo chociaż zaledwie o parę cali niższa ode mnie — a ja mam sześć stóp wzrostu — była drobna, mała, za mała, żeby tak zakłócić mój spokój, wypełnić mi tyle bezsennych nocy,

zburzyć to, co było, co przynajmniej wydawało mi się spokojem. Mógłbym powiedzieć, że staliśmy twarzą w twarz, gdyby patrzyła na mnie przez dość długą chwilę, ale nie, raz tylko objęła mnie żywym, lecz niespiesznym błękitnym spojrzeniem (miała oczy ciemno- błękitne) i odwróciła wzrok, nie potrzebowała przyglądać mi się dłużej — jeśli w ogóle mnie widziała — wystarczyła jej ta chwila, żeby przeniknąć mnie całkowicie, ale określenie to jest równie trywialne jak przymiotnik „mokre” zastosowany do błękitnego morza; tym jednym rzutem oka podsumowała mnie, objęła, przekreśliła, jak gdyby spokojna, beznamiętna niebieska fala ogarnęła mnie całego, obmacała z przodu, z tyłu, z obu boków i odrzuciła na brzeg. Eula nie usiadła. Nie zrobiła dotychczas żadnego gestu. Nagle zrozumiałem, że po prostu rozgląda się uważnie po moim gabinecie, jak zwykle kobieta w nie znanym pokoju.

— Zechce pani usiąść? — zaproponowałem.

— Dobrze — powiedziała. Ale siedząc w tym banalnym fotelu po drugiej stronie mego biurka była wciąż jeszcze za mała, żeby pomieścić, nie rozrywając szwów, całą tę bezsenność, całą przeżywaną gorycz poety, który w udęce gryzie palce, w udęce nie swojej tylko, lecz wszystkich mężczyzn z Jefferson, a w ich osobach wszystkich ludzkich istot połączonych wspólnym losem, zasłużonym lub zdobytym prawem do miana mężczyzny; była za mała, za drobna, żeby pomie-

ścić, znieść tak dużo... Widywałem ją, musiałem ją widywać co najmniej od pięciu lat, chociaż dopiero ostatniego lata naprawdę ją zobaczyłem; przyjmijmy, że stało się to dopiero ostatniego lata, bo przedtem byłem zanadto zajęty adwokackimi egzaminami i nie miałem czasu, żeby ulec, poddać się naprawdę; a więc powiedzmy, z grubsza dwieście nocy od czerwca do stycznia, odjawszy kilka nocy na sen (nie było ich wiele), dwieście nocy gorączkowych usiłowań, żeby osłonić ją braterskim płaszczem i uratować jej dobre imię, które tamten splamił.

Czy rozumiecie? Dotychczas nie powstało mi w głowie, żeby spytać ją, czego sobie życzy. Nie czekałem nawet, że mi to powie. Czekałem tylko, żeby tych dwieście nocy osiągnęło swoje apogeum, bo wiele z nich spędziłem, przynajmniej częściowo, na marzeniu o tym momencie, który nadejdzie — jeśli w ogóle miał nadejść — który musiał przyjść, który był nieuchronny; marzyłem, że huragan czy burza porwie mnie wtedy, rozszarpie, pochłonie, zedrze ostatnią lekką niewrażliwą łupinę, która potem przez krótki czas jeszcze będzie unosić się w pustce, bezwolna i nieważka, aż w końcu zginie.

Nic takiego jednak się nie zdarzyło, nie zostałem porwany, rozszarpany, pochłonięty i odarty tak, by przetrwała tylko ostatnia niezniszczalna, dumna łupina, pełna wdzięczności; zostałem po prostu unicestwiony tak, jak balsamując trupa unicestwia się nietykalną istotną część tego, co było życiem, co mimo wszystko było życiem, choćby tylko życiem robaka. Bo ona nie powróciła do obserwacji mojego gabinetu, lecz, jak to wreszcie zrozumiałem, ani na mgnienie oka nie przestała się po nim rozglądać bystrym, uważnym spojrzeniem kobiety, któremu żaden szczegół nie może się wymknąć.

— Myślę, że to miejsce odpowiednie — powiedziała. — Lepiej tutaj niż gdzie indziej.

— Tutaj? — powtórzyłem.

— Tutaj, w pańskim biurze. Może pan zamknąć drzwi na klucz. O tej porze nie kręci się chyba po mieście nikt tak wysoki, żeby mógł zajrzeć przez okno. Zresztą... — wstała, a ja w tej chwili nie byłem zdolny poruszyć się, patrzyłem tylko, jak Eula podchodzi do okna i ściąga już storę.

— Tutaj? — powtórzyłem jak papuga. — Tutaj? W tym pokoju?

Spojrzała na mnie przez ramię, właśnie tak, nie odwróciła nawet głowy, nie zwróciła w moją stronę twarzy, tylko spojrzała przez ramię, zajęta w dalszym ciągu zasłanianiem okna storą, którą ściągała drobnymi ruchami starannie w dół aż na parapet. Właściwie nie patrzyła na mnie. Raz tylko przyjrzała mi się wszedłszy do pokoju. Za drugim razem po prostu przez ramię przeciwstawiła mi błękitne spojrzenie, nie pytające, nie czekające na odpowiedź, tak samo jak morze nie potrzebuje pytać ani żądać odpowiedzi, bo wystarcza, że jest morzem.

— Och — powiedziałem. — Niech się pani spieszy, przecież powinna pani w tej chwili być w łóżku z mężem albo z Manfredem, jeśli dzisiaj przypada jego noc.

Patrzyła na mnie, odwróciła się wreszcie, oparła się chyba lekko o parapet okna i patrzyła na mnie poważnie, może z odrobiną zaciekawienia.

— Oczywiście — powiedziałem. — Oczywiście, że dzisiejsza noc należy do Manfreda, skoro to jego przyszła pani ratować, a nie Flema... Nie. Chwileczkę... Możliwe, że się mylę, możliwe, że chodzi o nich obu, że obaj panią do mnie przystali; obaj przestraszyli się, obaj są przyparci do muru. Obaj znaleźli się w tak krytycznej sytuacji, że strach usprawiedliwia nawet to ostatnie, rozpaczliwe posunięcie na szachownicy, zaryzykowanie damy, wspólnej damy, czy tak? — Patrzyła na mnie bez słowa; spokojny, niezgłębiony błękit czekał, czekał nie na mnie, lecz po prostu na upływ czasu. — Nie, nie myślę tego — powiedziałem. — Pani wie, że tego nie myślę. Wiem, że chodzi o Manfreda. I wiem, że on pani tutaj nie przysłał. Kto jak kto, ale on na pewno by tego nie zrobił. — Wreszcie mogłem wstać. — Niech pani mi przebaczy.

— Przebaczam — odpowiedziała. Podeszedłem do drzwi, otworzyłem je.

— Dobranoc — rzekłem.

— A więc pan nie chce? — spytała.

Omali się nie roześmiałem.

— Myślałam, że tego właśnie pan chce — powiedziała. Teraz patrzyła naprawdę na mnie. — Po cóż pan to wszystko robił?

Ach, tak, omali nie wybuchnąłem śmiechem stojąc tam, przytrzymując ręką otwarte drzwi, przez które zimna noc jak niewidzialna chmura płynęła do pokoju; jeśli Grover Winbush kręcił się gdzieś w pobliżu po Rynku (ale to mało prawdopodobne w taki mróz, Winbush nie był lekkoduchem), mogło go zwabić nie tylko światło wszystkich lamp. Patrzyła na mnie teraz naprawdę; ocean lada chwila mógł mnie zniszczyć, nie umyślnie, nie jakąś widzącą, obdarzoną wyczuciem falą, ale dlatego tylko, że znalazłem się na drodze ślepej siły. Ale w tym także się myliłem. Bo Eula przemówiła.

— Niech pan zamknie drzwi — powiedziała idąc w moją stronę, chociaż bez pośpiechu. — Jest zimno. A więc myśli pan, że dlatego przyszedłem? Ze względu na Manfreda?

— Czy to nie prawda? — spytałem.

— Może — odpowiedziała, wciąż z wolna zbliżając się do mnie. — Może w pierwszej chwili. Ale to nie ma znaczenia. Dla Manfreda. Sprawa tej miedzi nie ma dla niego znaczenia. On się nie przejmuje. Nawet go to bawi. Niech pan zamknie drzwi, bo zmarzniemy tutaj.

Zamknąłem drzwi i szybko odwróciłem się do niej, cofając się o krok.

— Niech mnie pani nie dotyka — powiedziałem.

— Dobrze. Bo pan nie... — urwała. Nawet nieczuły ocean miewa litość, ale ja nie tylko to zniosłem, lecz dokończyłem za nią:

— Manfred nie miałby nic przeciw temu, ponieważ ja nie mogę mu zaszkodzić, jestem nieszkodliwy. Cokolwiek by się stało, czy takiemu człowiekowi jak Manfred może coś zrobić taki jak ja? Zrezygnowałby ze stanowiska, to mu jest obojętne, jeśli tego nie robi, to tylko dlatego, żeby pokazać mi, że ja nie mogę go do tego zmusić. Dobrze. Zgoda. Dlaczego więc pani nie wraca do domu? Czego pani tutaj szuka?

— Bo pan jest nieszczęśliwy — powiedziała. — Nie lubię, żeby ktoś był nieszczęśliwy. Sprawia mi to przykrość. Zwłaszcza jeżeli ode mnie zależy...

— O tak! — krzyknąłem. — Rada prosta i niewiele kosztuje. Nikomu nic od tego nie ubędzie, a już najmniej Manfredowi, skoro ustaliliśmy, że Gavin Stevens nie może zranić Manfreda de Spain, nawet przyprowadzając mu rogi. A więc przyszła pani tylko ze współczucia, z litości, nawet nie z uczciwego strachu i nie z lojalnego respektu. Tylko współczucie, tylko litość. — W końcu zrozumiałem wszystko. — Nie po to, żeby udowodnić mi, że to, czego, jak mi się wydaje, pragnę, nie może mnie uszczęśliwić, ale by mnie przekonać, że to, czego, jak mi się zdawało, pragnąłem, nie jest warte cierpienia. Czy to dla pani tak mało znaczy? Nie mam na myśli Flema, ale nawet z Manfredem? — powiedziałem, krzyknąłem. — Proszę mi teraz nie wyjaśniać, że Manfred przysłał panią, by się pani pozbyła w ten sposób przykrego skrupułu.

Stała ogarniając mnie tym błękitnym, niezmaconym, okrutnym spojrzeniem.

— Za wiele czasu stracił pan na czekanie — powiedziała. — Niech pan nie czeka. Niech pan po prostu będzie sobą, a jeśli pan czegoś potrzebuje, bardzo pragnie, trzeba to wziąć. Tylko tyle. Nie tracić czasu na czekanie.

Znów zbliżała się do mnie, uwięzionego jak w pułapce nie tylko za zamkniętymi drzwiami, lecz także w kącie za biurkiem.

— Proszę mnie nie dotykać — powiedziałem. — A więc gdybym miał dość rozsądku, by przerwać wcześniej oczekiwanie albo lepiej jeszcze: nigdy nie czekać, nie karmić się nadzieją, nie marzyć; gdybym zamiast tego rozsądnie rzekł: „Jestem, chcę, biorę i na tym koniec”, gdybym był tak postępował, mógłbym stać się dla pani tym, czym jest Manfred? Czy pani nie rozumie? Przecież wtedy nie byłbym sobą!

Ale nie słuchała, co mówię, patrzyła tylko na mnie — nie do zniesienia głębokim, zamyślonym, pogodnym błękitem!

— Może dlatego, że pan jest dżentelmenem, a ja nigdy dotychczas nie znałam dżentelmena.

— Manfred także jest dżentelmenem — powiedziałem. — I dżentelmenem był tamten trzeci, ten pani pierwszy, ojciec pani dzie

cka — nie trzeci, jedyny poza Manfredem — pomyślałem, bo nagle zrozumiałem, że Snopes jest impotentem. I powiedziałem głośno: — Jedyny poza Manfredem, tamten z Sadyby Francuza, o którym Ratliff opowiadał, że pobił sam pięciu czy sześciu mężczyzn, gdy chcieli z zasadzki napaść na panią jadącą powozem, odpędził ich biczem, jedną ręką, bo drugą osłaniał panią, chłostał łajdaków, mimo że rękę miał złamaną, a ja nie umiałem nawet do końca doprowadzić walki, którą sam zacząłem i z jednym tylko przeciwnikiem. — Eula wciąż stała bez ruchu naprzeciw mnie i czułem nie zapach kobiecy, lecz to straszliwe, zagarniające mnie spojrzenie. — Tamci dwaj są do siebie podobni — powiedziałem. — Inni niż ja. Trzej dżentelmeni, ale tylko dwaj mężczyźni.

— Niechże pan zamknie drzwi na klucz — powiedziała. — Ja spuściłam już story. Niech pan się przestanie bać. Dlaczego pan się boi?

— Nie! — powiedziałem, krzyknąłem. Omal nie uderzyłem jej nagłym zamachem ramienia, ale dzieliła nas dostateczna odległość; wydostałem się już z pułapki, okrążyłem ją, dosięgłem klamki i otworzyłem drzwi. Tak, teraz myślałem jasno: — Mógłbym od pani wykupić Manfreda, ale nie chcę wykupywać Flema — powiedziałem. — Bo to Flem, prawda? To on? — Ale nie usłyszałem odpowiedzi, tylko wciąż ogarniało mnie to błękitne spojrzenie i dogasająca muzyka Wagnera, fanfara trąb, burzliwe diminuendo miedzi na rozkaz

podniesionego ramienia, otwartej dłoni dyrygenta, i blednący tęczyowy krąg. — Pani każe mi nie czekać dłużej. Dlaczego sama pani tak nie postępuje? Wszyscy tutaj kupowaliśmy Snopesów, czyśmy tego chcieli, czy nie. Pani wie o tym lepiej niż ktokolwiek. Nie wiem, dlaczego ich kupowaliśmy. Dlaczego musieliśmy to robić, jakie wartości, kiedy i gdzie roztrwoniliśmy lekkomyślnie i nieprzezornie tak, że potrzebni nam się stali Snopesowie. Ale tak jest. Pani jednak nic nie może stracić odrzucając tę transakcję, odrzucając tego Snopesa, złodzieja miedzi. Nie ma wartości to, co nic nie kosztuje, może więc pani oszacuje tę moją odmowę wedle ceny, jaką ja za nią płacę. — Poruszyła się i wtedy dopiero zauważyłem, że nie przyniosła nic z sobą; nie było żadnych rekwizytów, rękawiczek, torebek, woalek, drobiazgów, które kobiety zwykle mają przy sobie i dzięki którym chwila przed odejściem bywa kłopotliwa, jak wielkie sprzątanie. — Niech się pani o swego męża nie martwi — powiedziałem. — Proszę zrozumieć, że reprezentuję miasto, więc czuję się odpowiedzialny także za Flema Snopesa. Tyle przynajmniej mogę zrobić, żeby pani być godny, przyznaję mu znaczenie równie duże jak pani, skoro zechciała pani w jego sprawie przyjść do mnie. Dobranoc.

— Dobranoc — powiedziała. Niewidzialna zimna chmura znów wtargnęła do pokoju. Zamknąłem drzwi.

axa jut rz dowiedzieliśmy się? przede wszystkim, że sędzia Dukinluid wycofał się odstępując funkcję przewodniczącego sędziemu Stevensowi, ojcu prokuratora. Oczywiście tym razem musieli ogłosić sesję dzwonem, bo jeśli poprzedniego wieczora można było mieć co do tego wątpliwości, teraz było jasne, że rozgrywa się sprawa obchodząca całe społeczeństwo i bardzo pilna. Posiedzenie miało się jednak odbyć w pokoju sędziego, a izba, która służyła Du- kinfieldowi za sędziowski pokój, nie mogła nas pomieścić. Nie było innej rady, musieliśmy tylko kręcić się niby przypadkiem w okolicy Rynku, przystawać u wejścia do sklepu albo próbować na chybił trafił, czy nie uda się czegoś podpatrzeć z okien w mieszkaniu doktora na pierwszym piętrze czy też z innych; tymczasem stary Job, od- dźwierny sędziego Dukinfielda od zamierzonych czasów zatartych w pamięci nie tylko najstarszych obywateli w Jefferson, lecz także obu zainteresowanych, stary Job w surducie, odziedziczonym po swoim panu i używanym od wielkiego dzwonu, krzątał się po małym ceglany domku stojącym w głębi za gmachem sądu i nazywanym „sędziowskim pokojem” sędziego Dukinfielda, zamiatając, ścierając kurze, dopóki nie doprowadził wnętrza do takiego stanu, że mógł bez wstydu pokazać je ludziom.

Widzieliśmy, jak sędzia Stevens opuścił swoje biuro i przędą wszy Rynek zniknął w drzwiach lego domku, zaraz potem dwaj przedstawiciele towarzystwa ubezpieczeń wyszli z hotelu na Rynek z teczkami, jakie zwykle noszą adwokaci, przy czym młody elegant swoją niósł sam, lecz za starszym dygnitarzem w białej kamizelce kroczy! służący hotelowy, Samson, obarczony jego teczką, a za Samsonem najmłodszy jego syn niósł plik papierów, jeśli się nie mylę, gazetę z Memphis, którą starszy pan w białej kamizelce czytał pewnie podczas śniadania. Oni też weszli do sali sądowej, oczywiście bez Samsona i jego syna. Potem zjawił się samotnie prokurator i również tam wszedł, a potem niezbyt długo już czekaliśmy na warkot samochodu, zajechał burmistrz de Spain, zaparkował wóz, wysiadł i powiedział:

— Dzień dobry panom. Czy ktoś może ma do mnie interes? Proszę mi wybaczyć, że najpierw wstąpię na chwilkę do sądu i przywitam gości spoza miasta, potem będę panom służył.

Wszedł do sądu i wtedy całe grono było tam w komplecie. Sędzia Stevens siedział za biurkiem w okularach na nosie, z jakimś pismem w ręku, dwaj panowie z towarzystwa ubezpieczeń zajęli miejsca naprzeciw niego, cisi, grzeczni i zaniepokojeni, prokurator u jednego końca stołu, a burmistrz do Spain nawet nie siadł, tylko stał oparty o ścianę, z rękami w kieszeniach, z miną, jakby mówił

„mam was w nosie” i jakby lada chwila gotów był parsknąć śmiechem. Wreszcie sędzia Stevens z wolna i z namysłem odłożył papiery na bok, zdjął okulary, także je odłożył, splótł ręce przed sobą na biurku i rzekł:

— W dniu dzisiejszym powód wycofał powództwo i pozew, w którym przedstawił sprawę. Proces — jeśli w ogóle był jakiś proces — został umorzony. Zwalnia się strony: powoda, pozwanego, i aresztanta — gdyby był aresztant. Sąd prosi panów przybyłych z Saint Louis o wybaczenie, że pobyt ich w naszym mieście upłynął w tak nieprzyjemnych okolicznościach, i wyraża nadzieję, że następnym razem będzie inaczej. Sąd zamyka rozprawę. Żegnam panów.

Dwaj przedstawiciele towarzystwa ubezpieczeń wstali i przez dłuższą chwilę dziękowali sędziemu Stevensowi, potem zabrali swoje teczki i opuścili pokój nieomal na palcach. Zostali więc sami: prokurator, nieco zgarbiony w krześle, z twarzą bladą jak papier, sędzia Stevens na swoim miejscu, z oczyma utkwionymi w jakimś nieokreślonym punkcie przestrzeni, i Manfred de Spain, w dalszym ciągu oparty o ścianę, ze skrzyżowanymi stopami i z taką miną, jakby powstrzymywał się od śmiechu. W końcu sędzia Stevens spojrzął na niego.

— Manfredzie — powiedział — czy chcesz zrezygnować z urzędu?

— Oczywiście, panie sędzio — odparł de Spain. — Bardzo chętnie. Ale nie ze względu na miasto, wyłącznie dla Gavina. Zrobię to dla Gavina. Jeśli mnie o to poprosi.

Prokurator nie drgnął nawet; siedział wciąż na tym samym miejscu blady jak papier, z twarzą zdrętwiałą, z rękoma znieruchomiałymi na stole; nie tulił jednej dłoni w drugiej, jak jego ojciec, położył je zwyczajnie przed sobą. Wtedy Manfred zaczął się śmiać, niegłośno i niegwałtownie, nie zmieniając pozy, ze skrzyżowanymi stopami, z rękoma w kieszeniach; ze śmiechem po chwili oderwał się od ściany, przeszedł przez pokój do drzwi, otworzył je, wyszedł, zamknął drzwi za sobą. Prokurator został sam na sam z ojcem i wtedy właśnie to powiedział.

— A więc nie chodzi ci o to, żeby przestał być burmistrzem — rzekł sędzia Stevens. —

O co ci chodzi? Żeby nie było go na świecie? Czy tak?

I wtedy Gavin Stevens powiedział:

— Co ja mam teraz zrobić, tatusiu? Tatusiu, co ja mam teraz zrobić?

Coś więc musiało zdarzyć się między wieczornym posiedzeniem rady miejskiej a poranną nadzwyczajną sesją trybunału. Ale jeżeli kiedykolwiek dowiemy się, co to było, nie będziemy mogli obwiniać prokuratora Stevensa o wyjawienie sekretu. To znaczy, że domyślamy się czy wręcz zgadujemy, co zaszło i gdzie to się odbyło, bo wszystkie lampy świeciły się na piętrze w biurze, cho

cięż wszyscy inni mieszkańcy Jefferson od dawna poszli spać; kto wie, czy pewnego dnia sam prokurator o tym nie opowie, bardzo prawdopodobne, że kiedyś zechce się komuś zwierzyć, po prostu, żeby ten ciężar zrzucić z serca. Ale nigdy nie dowiemy się, jak to się stało naprawdę. Bo gdy prokurator wreszcie przemówi, nie będzie musiał opowiedzieć, co się zdarzyło, wystarczy, że powie cokolwiek, wszystko jedno co, komukolwiek, kto zechce słuchać, wszystko jedno komu.

Z nich trzech tylko Flem ją rozumiał. Bo to, żeby między nimi potrzebne lub pożądane było wzajemne zrozumienie, nigdy nie powstało w głowie ani jej, ani Manfredowi de Spain. Wystarczyło im obojgu najzupełniej, że się porozumiewali, gdzie i kiedy spotkają się następnym razem i jak długo mają na to czekać. Poza tym nie potrzebowali nigdy tracić czasu na próby zrozumienia się nawzajem, tak jak słońce i woda nie potrzebują naradzać się, żeby spadł deszcz. Jak słońce i woda nie musieli o zbliżenie zabiegać. Zresztą większą część pracy odrobił za Manfreda tamten chłopak z Sadyby Francuza, McCarron, który zjawiał się w jej życiu wcześniej niż Manfred, ale poza tym mógł być jej młodszym bratem; nie mieszkał nigdy w Sadybie Francuza i nie widziano go tam ani też o nim nie słyszano aż do tego lata, jak gdyby los posłał go do tej miejscowości w tym właśnie momencie tylko po to, żeby mógł ją spotkać, podobnie, jak, można by powiedzieć, posłał później Manfreda de Spain do Jefferson, żeby z kolei Manfred spotkał ją we właściwej chwili.

McCarronowi także ktoś inny znacznie sprawę ułatwił, sama Eula mu pomogła tej nocy, gdy pięciu młodych ludzi z Sadyby Francuza zaczęło się na nich w krzakach przy drodze, żeby wyciągnąć chłopaka z powozu, obić go czy wręcz wypłoszyć raz na zawsze z okolicy. Po trochu cała ta historia wyszła na jaw, opowiadano więc, że McCarron mimo złamanej ręki przepędził pięciu napastników, zawrócił powóz i odwiózł ją do domu, całą i zdrową, tj[^]lko tyle, że zemdlą, jak to dziewczyna. Naprawdę jednak było trochę inaczej. Najlepszy dowód, że owych pięciu młodzieńców (z których dwóch znałem) trzymało języki za zębami. Bo kiedy złamali rękę McCarronowi, dziewczyna chwyciła biczysko w garść i grubszym jego końcem poczęstowała ostatniego czy też dwóch ostatnich niedobitków, i ona to zawróciła powóz na gościńcu, by stamtąd umknąć. Wcale też nie ujechała daleko, a w każdym razie nie prosto do domu, bo ukoronowała, jakby powiedział poeta, zwycięstwo na dymiącym jeszcze polu bitwy; tam, na ziemi, w ciemnościach pośrodku drogi, skoro trzeba było trzymać spłoszonego konia, tuż obok tego stojącego nad nimi konia, którego pewnie też pomagała trzymać, bo McCarron miał przecież złamaną rękę; nie był to dla niej pierwszy raz, ale tym razem nabawiła się dziecka.

Przynajmniej tak ludzie mówią, że mało jest prawdopodobne, by od pierwszego razu poczęło się dziecko, co do mnie, to nie wiem, ale między tym, co się stało a co się stać powinno, wolę zawsze wybierać drugą możliwość.

Prokurator Stevens nigdy jej nie rozumiał i nie zrozumie; nie rozumiał, że ma przeciw sobie nie Manfreda de Spain, ale po prostu żywiołową siłę, która się wcielała kolejno w McCarrona, de Spaina, w innych, w kogokolwiek, zaspokajając pustkę czy głód żywy w niej aż do ostatniego jej tchu; nie rozumiał, że może tę siłę uosabiać byle kto, lecz nigdy nie on.

Nie zdawał też sobie sprawy, że ona go rozumiała, bo nigdy nie mogła mu tego powiedzieć, sama nie wiedząc, jak do tego doszła. Kobiety w wieku dwóch, trzech lat zdobywają tę wiedzę o sobie, by zaraz o niej zapomnieć, ale mężczyźni ją odkrywają dopiero po czterdziestu kilku latach, przypadkiem i tak są zaskoczeni, oszołomieni tym odkryciem, jakby znaleźli dwadzieścia pięć centów w kieszeni starych spodni, które mieli właśnie wyrzucić na śmietnik. Źle powiedziałem, że kobiety o tej wiedzy zapominają, one ją tylko odkładają na bok i w dwadzieścia albo czterdzieści lat. później, gdy jest im potrzebna, wystarczy sięgnąć ręką, żeby ją odnaleźć, posłużyć się nią i z powrotem na bok odłożyć, nawet nie pamiętając, co to było, tak jak żadna z nich nie pamięta, którym pal

cem podrapała się wczoraj, ale jeśli jutro znowu ją skóra zaświerzbi, będzie wiedziała, czym się podrapać.

Zresztą nie upieram się, możliwe, że Gavin Stevens wszystko to rozumiał i że zdobył to, czego pragnął. Nie mam na myśli tego, czego naprawdę pragnął, lecz to, co, jak wiedział, mógł osiągnąć, niejako namiastkę, lepszą bądź co bądź niż nic, chociaż to była tylko namiastka i tyle co nic. Bo Heleny, Julie, Izoldy i Guinewry znały też innych mężczyzn prócz Parysa, Romea, Tristana i Lancelota. Ci inni nie przeszli do historii, poezja nie uwieczniła ich imion, chociaż oni także pocili się i wzdychali. A być drugim po Parysie, to wprawdzie rola drugorzędna, ale mimo wszystko nie najgorsza. Nie każdy zdobył Helenę, ale też nie każdy ją stracił.

Tak się złożyło prawie przypadkiem, że byłem na dworcu tego dnia, gdy zajechał tam samochód Luciusa Hogganbecka i wysiadł z niego prokurator Stevens, z teczką i walizą, z biletem do Mottstown, gdzie miał przesiąść się na ekspres idący z Memphis do Nowego Jorku, a stamtąd popłynąć statkiem do Niemiec, na uniwersytet, o którym od dwóch lat napomykał mówiąc, że to niezła myśl, oczywiście dla kogoś, kto ma ochotę studiować na niemieckim uniwersytecie tego typu; tak o tym mówił aż do poprzedniego ranka — czy też może do ranka sprzed dwóch dni — kiedy to zapytał ojca: „Co ja mam teraz zrobić, tatusiu? Co ja mam teraz zrobić?”
Było

jeszcze zimno, więc zaprowadził swą siostrę do poczekalni, sam jednak wrócił przed dworzec, gdzie ja się znajdowałem.

— Świetnie, że jesteś — powiedział, rześki i energiczny, aż miło. — Miałem nadzieję, że zobaczę cię przed wyjazdem i będę mógł przekazać pochodnię w twoje dzielne ręce. Teraz ty musisz bronić twierdzy. Odtąd na twoich barkach spoczywa całe brzemie.

— Jaka twierdza? — spytałem. — Co za brzemie?

— Jefferson — odparł. — Snopesowie. Myślę, że poradzisz sobie z nimi sam aż do mojego powrotu.

— Ani ja, ani stu takich jak ja nie da im rady — powiedziałem. — Jedyne sposoby, to pozbyć się ich raz na zawsze, zlikwidować.

— Nie, nie — zaprotestował. — Wyobraź sobie, że w okręgu Yoknapatawpha pojawiło się nagle stado tygrysów; czy nie byłoby

o wiele lepiej zamknąć je w zagrodzie dla mułów, gdzie przynajmniej możesz je mieć stale na oku, pilnować ich, nawet jeśli ryzykujesz stratę ręki lub nogi za każdym razem, gdy zbliżysz się na dziesięć stóp do drutów, niż pozwolić, żeby się rozproszyły i grasowały swobodnie po całej okolicy? Mamy ich w mieście, należą do nas. Nie wiem, jakimi grzechami i kiedy Jefferson zasłużyło na tę karę, nabyło to prawo, zyskało ten przywilej. Ale tak jest. Na nas więc spada obowiązek trzymania ich w ryzach, stawiania im oporu.

Musimy wytrwać i — jeżeli się uda — wyjść z życiem.

— Ale dlaczego ja? — spytałem. — Dlaczego z całego Jefferson mnie wybrałeś?

— Bo w całym Jefferson tobie jednemu mogę zaufać — powiedział prokurator.

Ale ostatecznie nigdy nie stracił Heleny, bo do końca swego życia nie mogła się go naprawdę pozbyć.

Zapewne dlatego, że nie chciała.

VII. CHARLES MALLISON

amiętam, co mi kiedyś Ratliff powiedział: że Heleny naszego świata nigdy w gruncie rzeczy nie tracą na zawsze mężczyźni, którzy je pokochali i utracili; prawdopodobnie dlatego, że Heleny nie chcą naprawdę ich stracić.

Nie było mnie jeszcze na świecie, kiedy wuj Gavin wyjechał do Heidelbergu; jeżeli mnie pamięć nie myli, włosy mu już zaczynały siwieć, gdy go zobaczyłem po raz pierwszy. Wprawdzie zdążyłem się urodzić, zanim podczas wojny wrócił do domu na krótko z Europy, żeby zaraz wyruszyć z powrotem, ale tego spotkania z nim nie pamiętam. Z początku i aż do ostatniej chwili łudził się — jak opowiadał — że po uzyskaniu doktoratu zgłosi się jako sanitariusz do służby w niemieckiej armii; do ostatka bronił się przed świadomością, że Niemcy, które tak

bardzo kochał, umarły gdzieś między Liège a Namur już około 1848 roku. A raczej, że tych Niemiec, które urodziły się między rokiem 1848 a upadkiem belgijskich twierdz, nie kocha wcale, ponieważ nie jest to już ojczyzna Goethego, Bacha, Beethovena i Schillera. To był dla niego cios, jak mówił, ciężko mu było tę prawdę uznać nawet wtedy, gdy dotarł do Amsterdamu i mógł się dowiedzieć czegoś bliższego o amerykańskiej armii ekspedycyjnej, o której przedtem coś niecoś zasłyszał.

Mówił, że my, Amerykanie, nie rozumiemy się na europejskich wojnach i bierzemy je wciąż jeszcze poważnie; w dodatku on przecież spędził dwa lata na niemieckim uniwersytecie. Francuzi traktowali to inaczej, dla nich wojna z Niemcami była kolejnym nawrotem starej, chronicznej plagi; są narodem praktycznym i praktykującym pesymizm, toteż pozwalają każdemu, niezależnie od jego politycznych przekonań, robić, co chce, zwłaszcza jeśli gotów jest im służyć bezpłatnie. Tak więc wuj Gavin przez pięć miesięcy dźwigał nosze z rannymi pod Verdun, a potem znalazł się sam w łóżku w amerykańskim szpitalu, aż wyleczony wreszcie z zapalenia płuc mógł wrócić do domu, żeby w Jefferson czekać — jak powiadał — na przystąpienie Ameryki do wojny, bo nie wątpił, że stanie się to już wkrótce.

Miał słuszność. Młodzi Sartorisowie, bliźniacy, wnukowie starego pułkownika Sartorisa, już byli w Anglii, gdzie służyli w lotnictwie królewskim, a w kwietniu wuj Gavin otrzymał nominację na sekretarza YMCA i miał w tym charakterze udać się do Europy z pierwszymi amerykańskimi oddziałami; wtedy niespodzianie zgłosił się do niego Montgomery Ward Snopes, najstarszy z wypłowiałych, tęgich potomków I. O. — jak ich nazywał Ratliff, jeden z tych Snopesów, których matka nadal bujała się w fotelu na biegunach za frontowym oknem hotelu, - ponieważ za zimno jeszcze było, żeby wystawić bujak na werandę. Co prawda, Jackson McLendon sformował kompanię ochotników z Jefferson i został wybrany jej kapitanem, więc Montgomery Ward mógł zgłosić się do niego. Wolał jednak przyjść do wuja Gavina, z nim i z YMCA pojechać do Francji i przy tej okazji właśnie Ratliff wygłosił znów to swoje zdanie o mężczyznach, którzy kochali i utracili Helenę, ale łudzą się, jeśli myślą, że ją naprawdę stracili. Powinien by dodać: ją i jej powinowatych. Bo wuj Gavin zgodził się, to znaczy zabrał Montgomery'ego Warda z sobą do Francji.

— Bój się Boga, przecież to Snopes — powiedział Ratliff.

— Właśnie — odparł wuj Gavin. — Czy mógłbyś mi wskazać miejsce odpowiedniejsze dzisiaj dla Snopesa niż północno-zachodnia część Francji? Jak najdalej na zachód od Amiens i Verdun?

— Ale dlaczego? — spytał Ratliff.

— Nad tym także się zastanawiałem — powiedział wuj Gavin. — Gdyby mi oznajmił, że chce tam jechać, by bronić ojczyzny, poleciłbym Hubowi Hamptonowi zakuć mu ręce i nogi w kajdany i pilnować go, a sam zatelefonowałbym do Waszyngtonu. Ale on podał inne motywy: „Wkrótce uchwalą taką ustawę, że wszyscy, czy chcemy, czy nie chcemy, będziemy musieli się zaciągnąć do wojska, ale jeżeli pojedą tam z panem i z YMCA, będę na miejscu wcześniej i zdążę się trochę rozejrzeć”.

— Rozejrzeć się? — powiedział Ratliff. Spojrzeli na siebie. Ratliff mrugnął parę razy.

— Właśnie — powiedział wuj Gavin, a Ratliff znowu mrugnął.

— Rozejrzeć się — powtórzył.

— Właśnie — rzekł wuj Gavin.

I tak się stało, że wuj Gavin zabrał Mont- gomery’ego Warda z sobą i w tym momencie Ratliff zrobił uwagę o ludziach, którym się tylko zdaje, że stracili na zawsze Helenę Trojańską. Gowan wtedy jeszcze mieszkał u nas; może z powodu wojny w Europie Departament Stanu nie pozwolił jego rodzicom wrócić z Chin czy z innego kraju, bo nie wiem dokładnie, gdzie wówczas byli; bądź co bądź Gowan wtedy co najmniej raz na tydzień idąc ze szkoły do domu spotykał na Rynku Ratliffa, jak gdyby specjalnie czyhającego na jego drodze, i przekazywał mu wiadomości od wuja Gavina.

■— Napiszcie mu, żeby dobrze uważał — mówił Ratliff. — Napiszcie mu, że ja tutaj robię, co mogę.

— Ale właściwie co? — pytał Gowan.

— Bronię i dźwigam — odpowiadał Ratliff.

— Czego pan broni? Co pan dźwiga? — pytał Gowan. I wtedy Gowan pierwszy raz naprawdę zauważył Ratliffa, bo — jak mówił — Ratliff należy do takich ludzi, których się latami nie zauważa, ale w pewnym momencie nagle trzeba się nimi zainteresować, przynajmniej tak się stało z Gowanem w tym wypadku. Odtąd sam Ratliffa szukał. Bo przy następnym spotkaniu Ratliff zapytał go:

— Ile ty masz lat?

— Siedemnaście — powiedział Gowan.

— W takim razie ciotka z pewnością już pozwala ci pić kawę — rzekł Ratliff. — Co byś powiedział...

— Nie ciotka. Kuzynka — prędko sprostował Gowan. — Rozumie się, pijam kawę. Ale nie przepadam za nią. O co chodzi?

— Co do mnie, to lubię od czasu do czasu wsunąć porcję lodów — powiedział Ratliff.

— Chyba to nic złego? — spytał Gowan.

— Może byśmy wstąpili do drugstore’u na lody? — powiedział Ratliff.

Tak też zrobili. Ratliff zawsze jadł lody truskawkowe, jeśli były do wyboru, i od tego dnia Gowan spotykał go na Rynku niemal codziennie, nie było rady, czy chciał, czy nie chciał, musiał jeść lody, fundując na prze-

mian z Ratliffem, aż wreszcie kiedyś Ratliff, trzymając w opalanej ręce wafel z różową zawartością, powiedział:

— To jest najwspanialszy wynalazek, jaki znam. Taki wspaniały, że człowiek nie chciałby za nic go sobie zbrzydzić. Nie wyobrażam sobie gorszej tragedii niż znużenie się truskawkowymi lodami. Jak myślisz, może byśmy postanowili jadać lody tylko raz na tydzień, a w inne dni po prostu pogadamy?

Gowan zgodził się, więc potem spotykali się na Rynku i Gowan dzielił się z Ratliffem ostatnimi wiadomościami od waija Gavina.

— Kazał panu powiedzieć, że on także robi, co może, ale pan miał rację, bo jeden człowiek nie da rad!'. Ale nie rozumiem, co za jeden i czemu nie da rady — powiedział Gowan. Skończył wtedy siedemnaście lat i chociaż dorośli nie bardzo w to chcieli wierzyć, miał mnóstwo innych rzeczy do roboty; mimo to chętnie pośredniczył w przekazywaniu Ratliffowi poleceń, które moja matka odczytywała mu z listów Gavina i powtarzał je, ilekroć Ratliffa spotykał, a raczej ilekroć Ratliff go przyłapał, co zdarzało się prawie co dzień, tak że Gowan nawet zastanawiał się, kiedy Ratliff znajduje czas na pracę zarobkową. Pośredniczył więc chętnie, ale nie zawsze uważnie słuchał tego, co mu Ratliff opowiadał, toteż później nie umiał dokładnie wyjaśnić, jak i kiedy Ratliff nakładł mu w uszy całą tę historię, która była interesująca jak jakaś gra, rywalizacja czy wręcz bitwa i z której wynikało, że Snopesów nie wolno ani na chwilę z oka spuścić, jakby chodziło o plagę żmij czy dzikich kotów, i że ten obowiązek wzięli na siebie wuj Gavin i Ratliff, ponieważ nikt inny w Jefferson nie rozumie grożącego niebezpieczeństwa. Toteż gdy zimą wreszcie ogłoszono pobór do wojska i Byron Snopes musiał opuścić bank pułkownika Sartorisa, Gowan dobrze rozumiał, co ma na myśli Ratliff mówiąc:

— Nie wiem, jak on to zrobi, ale mogę założyć się o milion dolarów, że nie da się wywieźć ze Stanów Zjednoczonych, o sto, że nie zajedzie dalej od Missisipi niż do fortu Arkansas, gdzie na początek wszystkich rekrutów odsyłają. Albo daj mi dziesięć dolarów, a ja oddam ci jedenaście, jeśli on za trzy tygodnie nie będzie z powrotem w Jefferson.

Gowan nie przyjął zakładu, ale później tego żałował, bo Ratliff przegrałby, ponieważ Byron Snopes dopiero w dwa dni po terminie znalazł się z powrotem w banku. Ani Gowan, ani nawet Ratliff nie wiedzieli na razie, jak Byron to urządził; odkryli sekret dopiero później, kiedy okradłszy bank uciekł do Meksyku, bo, jak wówczas Ratliff stwierdził, Snopesowie zawdzięczali swoje powodzenie temu, że zawarli zgodny sojusz w celu wydzwignięcia się z poziomu zoologicznego gatunku Snopesów na wyższy szczebel, na którym obowiązuje ta jedyna zasada, metoda, solenna przysięga zachowania w tajemnicy środków prowadzących do sukcesu.

Byron osiągnął swój cel w ten sposób, że co wieczór zasypiał z świeżą bryłą tytoniu do żucia pod lewą pachą, wskutek czego serce rano biło mu tak przyspieszonym tętnem, że lekarze wojskowi uznali go w końcu za niezdolnego do służby i odesłali do domu.

Wreszcie więc mieliśmy nowinę o Snope- sach do przesłania wujowi Gavin owi i przy tej sposobności Ratliff zauważył, że już od paru miesięcy Gavin nie wspominał w listach ani słowem o Montgomery'm Wardzie Sno- pesie. Tym razem wuj. Gavin tak na tę uwagę odpisał: „Nigdy więcej nie wymawiajcie przy mnie jego imienia. Nie chcę o nim mówić. Nie będę”. Ale wówczas mieliśmy już coś nowego do zakomunikowania w następnym liście.

Tym razem dotyczyło to Ecka.

— Twój wuj miał rację — powiedział Ratliff.

— Nie wuj. Kuzyn, już panu mówiłem — sprostował Gowan.

— Niech będzie kuzyn — rzekł Ratliff. — Eck nie był Snopesem. Dlatego musiał umrzeć. Jak gdyby na świecie nie było naprawdę właściwego miejsca dla Snopesów, zdobyli je sobie tylko dzięki spiskowi, którym się związali, a gdy jeden z nich zawiedzie i nie umie być Snopesem, nie potrzebują nawet rzucać się na niego jak stado wilków, wystarczy, że otoczenie czuwa, by wykorzystać pierwszą z brzegu p okazję.

Eck nosił stalowy gorset od czasu, jak kłó

da przygniotła mu kark, i był stróżem nocnym zbiornika benzyny na dworcu. O tym już wiem z własnych wspomnień, bo miałem wtedy cztery lata. Tego dnia o szarej godzinie siedzieliśmy przy kolacji, gdy nastąpił straszliwy wybuch, rozległ się huk, jakiego w Jefferson nigdy jeszcze nie słyszano, toteż od razu zrozumieliśmy, że nie może to być nic innego, tylko niemiecka bomba, na którą od dawna czekaliśmy, a przynajmniej, którą burmistrz de Spain zapowiadał od dnia, gdy Niemcy zatopili „Lusitanię”, a nasz kraj wreszcie przystąpił do wojny. Burmistrz de Spain skończył szkołę wojskową w West Point i walczył niegdyś w randze porucznika na Kubie; kiedy zaczęła się ta wojna, chciał w niej także wziąć udział. Jak się zdaje, nie chcieli go, próbował więc zorganizować kompanię Straży Obywatelskiej, ale nikt go nie traktował zbyt poważnie. Jednakże założył urządzenia alarmowe i w razie napaści niemieckiej dzwon na ratuszu miał niezwłocznie ogłosić o tym miastu. Tak więc tego dnia, gdy rozległ się huk eksplozji i uderzono w dzwon, a my wszyscy wiedząc, co to znaczy, czekaliśmy na następną bombę, z ulicy dobiegł tupot nóg i krzyki: „Gdzie? Gdzie trafili?”, i wkrótce potem okazało się, że katastrofa wydarzyła się na dworcu. Wybuchł zbiornik z benzyną. Zbiornik ten miał kształt ogromnego walca, o średnicy około trzydziestu stóp, a wysoki był na dziesięć, i stał na podmurówce z cegły. Teraz nic

z niego nie zostało, nawet podmurówki. Z trudem uspokojono panią Nunnery na tyle, żeby mogła opowiedzieć, co się stało.

Pani Nunnery była matką małego Cedryka. Chłopiec miał pięć lat. Mieszkali w małym domku na wzgórzu, wprost nad zbiornikiem; w końcu udało się panią Nunnery posadzić na krzesło, ktoś jej podał szklanekę whisky, i kobieta przestając spazmować opowiedziała, że około piątej po południu nie mogąc nigdzie odnaleźć synka zeszła do pana Snopesa, który siedział w fotelu przed domkiem, małym jak wygodka, ale uchodzącym za jego kancelarię, dyżurując przy zbiorniku. Pani Nunnery spytała, czy nie widział gdzieś Cedryka, a wtedy Eck zaraz wstał, żeby pomóc jej w poszukiwaniu dziecka, zaglądał do wszystkich wagonów towarowych odstawionych na boczny tor i do magazynów, nawoływał chłopca po imieniu. Ale pani Nunnery nie przypominała sobie, kto z nich dwojga pierwszy pomyślał o zbiorniku. Prawdopodobnie Eck Snopes, ponieważ tylko on wiedział, że

rezewuar jest pusty, albo może pani Nunnery, gdy zauważyła drabinę opartą

o krawędź, bo właśnie pan Snopes niedawno wspinał się, żeby otworzyć w górze klapę

1 wpuścić świeże powietrze, a wypuścić gazy.

. Prawdopodobnie też pan Snopes był pewny, że gaz zdążył się już ulotnić, chociaż oboje rozumieli, że nawet mała resztką wystarczyłaby, żeby zabić Cedryka, jeśli tam się za puścił. Tak mówiła pani Nunnery: oboje myśleli, że Cedryk wlaź do zbiornika i że już nie żyje; pani Nunnery tak była o tym przeświadczona, że nie miała siły czekać na potwierdzenie przeczecucia, nie chciała patrzeć na to, co się stanie, więc uciekła, biegła bez celu, po prostu przed siebie, podczas gdy pan Snopes przyniósł z kancelarii latarnię; biegła dalej, gdy on wchodził na drabinę, biegła, gdy wyciągnął rękę z latarnią nad otwartą klapę; biegła, aż w pewnej chwili wybuch (nie słyszała huk, nic nie słyszała, inaczej byłaby się zatrzymała) powalił ją na ziemię i grad odłamków gwizdnął koło jej uszu jak rój trzmieli. Pan Harker z elektrowni, który pierwszy zjawił się na miejscu wypadku i natknął się na panią Nunnery, opowiadał, że gdy ją podniósł, natychmiast znów rzuciła się do ucieczki, krzycząc, szlochając, wrywając się ludziom, którzy ją próbowali zatrzymać, aż w końcu zdołano ją posadzić na krzesło i napoić wódką; tymczasem inni ludzie krzatali się przeszukując gruzy podmurówki, usiłując odnaleźć jakiś ślad Cedryka i Ecka Snopesa. I nagle od strony torów pędem nadbiegł Cedryk, który bawił się o pół mili dalej nad kanałem i tam usłyszał wybuch.

Ślad Ecka Snopesa odkryto dopiero nazajutrz, kiedy Tom Tom Bird, palacz dziennej zmiany w elektrowni, idąc do pracy ze sw^{ego} domu, który stał przy torach około dwie mile od dworca, spostrzegł jakiś przedmiot wi-

szący na drutach telegraficznych, o dwieście kroków od zbiornika; Tom Tom za pomocą długiej tyczki ściągnął ten przedmiot i pokazał w elektrowni panu Harkerowi; był to stalowy gorset Ecka Snopesa, ale nie zostało na nim ani strzępka rzemieni.

Samego Ecka Snopesa nigdy nie odnaleziono: był dobrym człowiekiem, wszyscy go lubili i pamiętali, jak przesiadywał w fotelu pod drzwiami swej kancelarii pilnując z tego miejsca zbiornika albo też obchodząc go w koło, jak nalewał benzynę do baniek, beczek lub samochodów-cystern, z szyją uwięzioną w sztywnym stalowym gorsecie tak, że nie mógł poruszać głową i, chcąc spojrzeć w bok, musiał obracać się cały niby słup. Wszyscy chłopcy z miasta znali go dobrze, bo prędko się zwiedzieli, że Eck Snopes trzyma pod ręką cały worek surowych orzechów ziemnych, przywiezionych ze wsi, i zaprasza przechodzące dzieci, żeby dać każdemu garstkę.

Poza tym Eck był masonem. Należał do masonerii od tak dawna, że pozyskał sobie niemały autorytet, chociaż nie osiągnął wysokiego stopnia. Pochowano więc jego stalowy gorset w trumnie z całym ceremoniałem, pogrzebem zajęli się masoni i nadszpodziewanie dużo osób przysłało kwiaty, nawet towarzystwo naftowe nie pożałowało wieńca, mimo że Eck Snopes zniszczył zbiornik zupełnie bez potrzeby, skoro Cedryk Nunnery wcale do niego nie wpadł.

Pogrzebano więc to, co zostało z Ecka Snopesa, w asyście pastora baptystów i masonów, którzy w obrzędowych fartuchach rzucali grudki ziemi do grobu mówiąc: „Niestety, bracie”, i okryto kopczyk czerwonej gliny kwiatami (jeden wieńiec uwito w kształt wolnomularskich symboli); zbiornik był ubezpieczony, więc towarzystwo naftowe mimo narzekania, że pan Snopes, dorosły mężczyzna, nie miał więcej rozsądku niż dziecko, wypłaciło wdowie tysiąc dolarów na dowód, jak bardzo jej współczuje, chociaż poślubiła głupca. Ściśle mówiąc wręczono pani Snopes tę sumę, ponieważ najstarszy syn Ecka, Wallstreet, nie miał jeszcze szesnastu lat, ale pieniądze przeznaczone były dla niego.

Wszystko to jednak działo się później. Na razie stało się tylko tyle, że burmistrz de Spain został w końcu dowódcą oddziału przynajmniej na dość długo, żeby użyć dzwonu alarmowego, a my mieliśmy nowe wiadomości o Snopesach do przesłania wujowi Gavi- nowi. „My”, a właściwie teraz już ja, bo rodzice Gowana w końcu wrócili z Chin czy z innego kraju, Gowana w Waszyngtonie przygotowywał się (a była właśnie jesień) do wstąpienia w następnym roku na Uniwersytet Wirginijski, gdy matka pewnego popołudnia zawołała mnie do salonu i tam zobaczyłem Ratliffa, w czystej spłowiełej niebieskiej koszuli bez krawata, z gładką, smagłą twarzą, siedzącego jak na oficjalnym przyjęciu (na tacy zastawiono wszystkie przybory do

podwieczorku, a przed Ratliffem stała filiżanka z herbatą i na talerzyku leżał sandwich z ogórkiem; teraz już wiem, że wielu ludzi z Jefferson, a tym bardziej w okręgu, z którego Ratliff pochodził, nie miałyby pojęcia, co zrobić z filiżanką herbaty o czwartej po południu, Ratliff prawdopodobnie także w dotychczasowym swoim życiu nie zetknął się z takim zwyczajem, ale, przyglądając mu się, nikt by tego nie zgadł).

— Przywitaj się z panem Ratliffem, ptaszku — powiedziała matka. — Pan Ratliff przyszedł do nas z wizytą.

— Tak państwo tego chłopca nazywają? — spytał Ratliff.

— Nie, mówimy do niego różnie, jak się zdarzy — powiedziała matka.

— Ma na imię Charlie, jak pójdzie do szkoły, koledzy pewnie pi'zezwą go Chic-kiem — powiedział Ratliff i zapytał mnie: — Lubisz lody truskawkowe?

— W ogóle lubię lody — powiedziałem.

• — W takim razie może twoja kuzynka... — Ratliff urwał i zwrócił się do matki: — Przepraszam, pani Mallison, ale tyle razy w ostatnich czasach mnie poprawiano, że już sam nie wiem, jak mówić.

Odtąd więc zamiast Gowana ja chodziłem na lody z Ratliffem, który musiał teraz fundować już nie dwie, ale trzy porcje, bo do miasta, jeżeli nie szedłem z matką, towarzyszył mi zawsze Aleck Sander. Nie wiem, jak Ratliff to zrobił, nie pamiętam, oczywiście,

bo miałem wtedy zaledwie pięć lat, ale mnie także wbił do głowy, tak jak przedtem Gowanowi, że Snopesowie mnożą się w Jefferson niby węże czy robactwo ciągnące z lasów, że tylko wuj Gavin i Ratliff rozumieją całą grozę położenia i że Ratliff sam dźwiga odpowiedzialność, dopóki nie skończy się wojna i nie wróci wuj Gavin, żeby z nim ten ciężar podzielić.

— Toteż słuchaj i uważaj już teraz, chociaż masz dopiero pięć lat — powiedział Ratliff. — Nasłuchasz się o nich niemało, zanim dorośniesz i zmężniejesz tak, że będziesz mógł także się im opierać.

Było to w listopadzie. Pewnego dnia dzwon z ratusza znów się odezwał, ale tym razem zawtórowały mu pełnym głosem i chaotycznie wszystkie dzwony kościelne, chociaż nie była to niedziela, lecz dzień powszedni, a także rozległy się pojedyncze wystrzały ze strzelb i pistoletów, jak kiedyś, gdy w dzień odsłonięcia pomnika konfederatów strzelali wszyscy żyjący jeszcze weterani tamtej wojny, tylko że tym razem wiwatowali ci, którzy nie zdążyli wziąć w wojnie udziału, może więc dawali wyraz radości, że wszystko skończyło się, zanim oni musieli do tego ręki przyłożyć. Teraz mogliśmy oczekiwać prędkiego już powrotu wuja Gavina i Ratliff zamierzał go zapytać, co takiego zbroił Montgomery Ward Snopes, że nie wolno wspominać jego imienia i rozmawiać o nim. Wtedy właśnie Ratliff powiedział do mnie: — Słuchaj

i uważaj już teraz, chociaż masz dopiero pięć lat. — Wtedy też powiedział:

— Jak myślisz, co on zrobił? Twój kuzyn obserwuje Snopesów od dziesięciu lat, jednego zabrał z sobą do Francji, żeby nie stracić ich z oczu i wiedzieć, co knują. Jak myślisz, co mógł zrobić Snopes, żeby po dziesięciu latach doświadczeń jeszcze zaskoczył i oburzył Gavina tak, że nie może nawet ścierpieć wzmianki o tym?

A może Ratliff powiedział to później, bo wuj Gavin wprawdzie wrócił do domu, ale tylko na dwa tygodnie. Już był ubrany po cywilnemu, zwolniony z armii, z YMCA, zaraz jednak powołano go do jakiejś instytucji, komisji czy biura odbudowy Europy, ponieważ spędził tak długi czas w Europie i przez - dwa lata studiował w Niemczech. Może nie przyjechałby wcale do domu, gdyby nie to, że w ostatnim roku wojny umarł dziadek, więc wuj Gavin chciał zobaczyć się z rodziną, jak zwyczaj każe, we wspólnej żałobie. Wtedy jednak wydawało mi się, że przyjechał specjalnie, żeby Ratliffowi opowiedzieć o postępkach Montgomery'ego Warda Snopesa, o postępkach tak haniebnym, że w liście nie mógł go opisywać. I wtedy Ratliff kazał mi słuchać uważnie tej historii, bo skoro znowu musiał sam dźwigać całą odpowiedzialność, chciał we mnie przynajmniej mieć powiernika.

Wówczas już matka pozwalała mi samemu chodzić do miasta. Ścisłe mówiąc tylko w tych wypadkach, kiedy nie spostrzegła w' porę, że się tam wybieram, i nie zdążyła krzyknąć: „Wracaj, Chick!” A jeszcze ściślej mówiąc, nie tyle pozwalała, ile mniej się gniewała odkrywając, że sobie pozwoliłem na taką samodzielność. Ratliff wtedy sprzedał swój wózek i konia, a kupił samochód, model T Forda, i na podwoziu zamiast tylnego siedzenia wmontował pomalowaną małą budkę, w której stała maszyna do szycia; dzisiaj nazwalibyśmy to półciązarówką, ale ten wehikuł był pomysłem i robotą Ratliffa i wuja Noona. Pewnego więc dnia spotkałem Ratliffa, który czekał już siedząc w szoferce z otwartymi drzwiczkami, a kiedy wsiadłem, zatrzasnął je i ruszyliśmy bocznymi ulicami, objeżdżając śródmieście wkoło.

— Ile masz lat? — spytał, a gdy mu odpowiedziałem, że pięć, dodał: — No, cóż, nic na to nie poradzimy, prawda?

— Na co? — spytałem. — I dlaczego trzeba coś poradzić?

— Jak się zastanowić, to może i racja — rzekł. — W takim razie przejedziemy się trochę po prostu. Trzeba ci wiedzieć, że Montgomery, Ward Snopes ni mniej, ni więcej, tylko opuścił szeregi walczących i zajął się interesami.

— Jakimi interesami? — spytałem.

— No, handlem... w kantine. Tak, prowadził kantine. Tym się trudnił podczas pobytu z twoim kuzynem we Francji. Działo się to w mieście, które nazywa się Chalons. Twój kuzyn musiał tam stałe przebywać, kierując

biurem, a Montgomery'ego Warda, który miał sporo wolnego czasu, wyprawił do pobliskiego miasteczka i polecił mu tam prowadzić kantynę, bo tak było wygodniej dla żołnierzy. Kantyna mieściła się w baraku, urządzona była jak sklep, z kontuarami, i żołnierze mogli w niej kupować słodczyce, wodę sodową, skarpetki ręcznej roboty; oczywiście wtedy, kiedy odpoczywali po walce, jak nam to twój kuzyn opowiadał przed tygodniem, pamiętasz? Wkrótce kantyna Montgomery'ego Warda zdobyła taką popularność, jakiej nie miała żadna inna w armii, nawet żadna z prowadzonych przez YMCA, we Francji czy też gdziekolwiek na świecie. Cieszyła się tak niezwykłym powodzeniem, że wreszcie twój kuzyn również chciał ją poznać, a gdy pojechał tam, zobaczył, że Montgomery Ward oddzielił część baraku w głębi, z osobnym wejściem od tyłu, i urządził tam taką świetlicę, gdzie dyżurowała pewna młoda Francuzka, jego przypadkowa znajoma. Każdy żołnierz, któremu sprzykrzyło się kupowanie skarpetek i pogryzanie czekolady, mógł kupić u Montgomery'ego Warda bilet wstępu, obejść barak i tylnymi drzwiami dostać się do tej świetlicy.

Takie odkrycie zrobił twój kuzyn. Ale w armii i w YMCA obowiązują przepisy zakazujące rozrywek tego rodzaju; władze uważają, że żołnierzom w kantynie powinny wystarczyć skarpetki i woda sodowa. A może to twój kuzyn był tego zdania, to bardzo do niego podobne. Bo gdyby władze wojskowe czy też YMCA odkryły sekret tej kantyny, Montgomery Ward wyleciałby z takim hukiem, że znalazłby się z powrotem w Jefferson w kajdankach, jeśli go nie przetrzymano po drodze w forcie Leavenworth, w Kansas. Ale w związku z tą historią przypomina mi się coś, co powiedziałem, jak mi się zdaje, innemu twojemu kuzynowi, Gowanowi, przed laty, kiedy ciebie jeszcze nie było: że mężczyźni, którzy stracili Helenę, pewnego dnia mogą pożałować, że ją kiedyś znaleźli.

— Dlaczego? — spytałem. — Gdzie ja byłem, kiedy mnie nie było?

— Ciebie wtedy nie było, ale był twój kuzyn. Montgomery Ward z pieniędzy pobieranych za wstęp do tej świetlicy uciulał zapewne dość, żeby się wykupić. Nie potrzebował jednak tego robić. Miał obrońcę w twoim kuzynie. Czy chciał, czy nie chciał, świadomie czy bezwiednie, był dla Gavina włosienicą utraconej miłości i zawiedzionego uwielbienia. A może chodziło mu też o Jefferson. Może Gavin nie mógł pogodzić się z myślą, że Jefferson będzie reprezentowane w więzieniu w forcie Leavenworth, chociaż w ten sposób miasto pozbyłoby się bądź co bądź jednego Snopesa. Prawdopodobnie więc twój kuzyn sprawę umorzył, a Montgomery'ego Warda odprawił mówiąc: „Uważaj, żebyś mi się więcej na oczy nie pokazał w'e Francji”.

Co znaczyło: nie chcę cię nigdy więcej w życiu oglądać. Bo Montgomery Ward był dla niego włosienicą. Może twój kuzyn śle

dząc występki tego Snopesa czuł się tak samo dumny ze swojej zgrozy, ze swego upokarzającego tryumfalnego obrzydzenia, jak dawni pustelnicy w skwarze pustyni na widok własnej krzepnącej krwi i własnych usychających nóg, i obserwował z dala, jak Montgomery Ward dobiera coraz więcej młodych dam do swojej nowej kantyny, którą założył potem w Paryżu...

— W kantynach jest czekolada i woda sodowa — powiedziałem. — Tak mówił wuj Gavin. A także guma do żucia.

— W armii amerykańskiej — rzekł Ratliff. — Amerykanie od niedawna wojują, więc możliwe, że jeszcze nie przywykli. Nowe przedsiębiorstwo Montgomery'ego Warda było, że tak powiem, kantyną francuską i z woj-
skiem amerykańskim utrzymywało tylko stosunki prywatne. Francuzi od wieków prowadzili mnóstwo wojen, toteż wiedzą, że najlepszym sposobem uporania się z wojną jest nieprzywiązywanie do niej zbytnej wagi. Fi-
ancuzi pewnie w gruncie rzeczy myśleli, że taka kantyna, jaką zorganizował Montgomery Ward, jest najbardziej dochodowa i ekonomiczna, że tak powiem, samowystarczalna i niekłopotliwa, bo choćby ze sprzedaży cze-
kolady i wody sodowej wpływało nie wiem ile pieniędzy i choćby pieniądze jeszcze były na świecie, słodczy, lodów i wody sodowej może wreszcie zabraknąć, bo wszystko, co raz zostanie zjedzone i wypite, trzeba na no-
wo wyprodukować i dostarczyć, wydając na

to część wpływającej gotówki, ale przyjemności, którymi handlował Montgomery Śno-
pes, nie powodują ubytku towaru, nie wymagają organizowania dostaw ani produkcji i nie pociągają specjalnych kosztów ani do-
datkowej pracy, a materiał zużywa się tylko normalnie, tak jakby się zużył z czasem i bez tego.

— Może Montgomery Ward już nie wróci do Jefferson — powiedziałem.

— Ja, gdybym był w jego skórze, nie wróciłbym — rzekł Ratliff.

— Chyba że przywiezie z sobą tę swoją kantynę — powiedziałem.

— W takim razie tym bardziej nie wróciłbym — rzekł Ratliff.

— Czy pan wciąż ma na myśli wuja Gavina? — spytałem.

— O, przepraszam — rzeki Ratliff.

— To dlaczego pan o nim mówi „kuzyn”? — spytałem.

— Przepraszam — powtórzył Ratliff. — Twój wuj. To wina twojego kuzyna Gowa-
na (nie pomyliłem się chyba tym razem, co?), który mi wszystko pomieszał w głowie, ale już będę uważał. Obiecuję ci.

Montgomery Ward nie wracał przez dwa lata. Ale musiałem jeszcze trochę podrosnąć, zanim zrozumiałem, co miał na myśli Ratliff mówiąc, że Montgomery Ward przywiózł z sobą do ojczyzny swoją paryską kantynę w postaci, jak mu się zdawało, najmożliwszej do przyjęcia w Missisipi. Z wszystkich żo-

merzy okręgu Yoknapatawpha on ostatni wrócił z wojny. Jeden z szeregowców kompanii kapitana McLendona, ranny w pierwszej bitwie, w której uczestniczyli Amerykanie, wrócił z naszywką za ranę na mundurze w roku 1918. Resztę żołnierzy z tej kompanii, z wyjątkiem dwóch zmarłych na gripę i paru pozostałych jeszcze w szpitalu, ujrzeliśmy w początkach roku 1919 paradujących jeszcze przez czas jakiś w mundurach na Rynku. Potem w maju jeden z bliźniaczych wnuków pułkownika Sartoris (drugi zginął zestrzelony razem z samolotem w lipcu poprzedniego roku) wrócił przesłużwszy całą wojnę w lotnictwie brytyjskim, ale tego nigdy nie widzieliśmy w mundurze, tylko w długim, niskim samochodzie wyścigowym, przy którym mały czerwony E.M.F. burmistrza de Spain wyglądał jak zabawka; młody Sartoris jeździł po mieście w szalonym tempie, o ile nie siedział w areszcie za przekroczenie dozwolonej szybkości, przyłapany przez Con- norsa, ale przede wszystkim kursował mniej więcej raz na tydzień do Memphis i z powrotem i wtedy mówiono, że się ustatkował. A raczej, jak mówiła matka, starał się ustatkować.

Zdaje się jednak, że tego nie osiągnął, jak gdyby wojna raz na zawsze wytrąciła go z równowagi. Montgomery Ward nie mógł się z wojny przez dwa lata otrząsnąć na tyle, żeby wrócić do kraju, a Bayard Sartoris wprawdzie wrócił, lecz nie odzyskał spokoju i szalał w samochodzie między przystankiem Sartoris a miastem, aż w końcu jego dziadek, pułkownik, który nienawidził automobili- lizmu podobnie jak mój dziadek, pułkownik Sartoris, który nigdy nie zgadzał się nikomu przyznać z banku pożyczki na kupno samochodu, wyrzekł się powozu i dobranej pary koni, by jeździć z domu do Jefferson wyścigowym wozem wnuka w nadziei, że może w ten sposób skłoni go do zwolnienia tempa, zanim chłopak zabije siebie lub kogoś innego.

Gdy w końcu Bayard zabił kogoś, zgodnie z naszym przewidywaniem (to znaczy z przewidywaniem wszystkich dorosłych mieszkańców okręgu Yoknapatawpha), jego ofiarą stał się rodzony dziadek. Bo chociaż nikt z nas

- o tym nie wiedział, pułkownik Sartoris był chory na serce; doktor Peabody ostrzegł go przed trzema laty, żeby unikał jazdy samochodem. Ale pułkownik Sartoris nikomu
- o tym słowa nie pisał, nawet siostrze, pani du Pré, która zajmowała się w jego domu gospodarstwem; jeździł po prostu co dzień do banku i z powrotem, żeby skłonić Bayarda do rozsądniejszego tempa (rodzina Bayarda namówiła też nie wiadomo jakim sposobem pannę Narcisę Benbow, żeby go poślubiła, myśląc, że małżeństwo wpłynie na niego uspokajająco), aż wreszcie pewnego ranka dotarli z szybkością około pięćdziesięciu mil na szczyt wzgórza i nagle zobaczyli tuż przed sobą pośrodku drogi kryty wóz z całą rodziną murzyńską. Bayard krzyknął: „Niech się

dziadek trzyma!” i skreślił do rowu. Wóz nawet się nie przewrócił, nic wielkiego się nie stało, zwyczajnie stanął w rowie, a pułkownik Sartoris siedział dalej na swoim miejscu i oczy miał otwarte.

Tak więc bank został bez prezesa. Wtedy też wyszło na jaw, do kogo należą udziały: pułkownik Sartoris i aż do swojej śmierci major de Spain, ojciec burmistrza, posiadali dwa z trzech najgrubszych portfeli akcji, a właścicielem trzeciego był Will Varner z Sadyby Francuza. Przyszło nam więc do głowy, że może Byron Snopes zawdzięczał posadę w banku nie tylko temu, że ojciec pułkownika Sartorisa dowodził oddziałem kawalerii, w którym służył jego dziadek, ale także wpływom starego Willa Varnera. W głębi duszy nikt w to jednak nie wierzył, bo znaliśmy dobrze pułkownika Sartorisa i wiedzieliśmy, że wspomnienie jednej wyprawy tamtej dawnej kawalerii lub choćby jednej nocy spędzonej na biwaku przy ognisku poruszyłoby go dostatecznie...

Oczywiście było poza tym sporo akcji rozproszonych w rękach kilkunastu rodzin takich, jak Compsonowie, Benbow, Peabody; miała ich trochę panna Eunice Habersham i nasza rodzina, a także setka farmerów z okolicy. Ale dopiero gdy na miejsce opuszczone przez pułkownika Sartorisa wybrano prezesem burmistrza de Spain, odkryliśmy, że Flem Snopes od wielu już lat skupował udziały, pojedynczo i dziesiątkami; jego pakiet dodany do pakietu Willa Varnera i do tego, co burmistrz de Spain odziedziczył po swoim ojcu, wystarczyłby, żeby zapewnić panu de Spain awans ze stanowiska wiceprezesa na prezesa (w zamieszaniu nikt nie zauważył, dopóki kurz nie opadł, że sam Flem Snopes przy tej okazji dostał wiceprezeturę), nawet gdyby przeciw niemu głosowały pani du Pré i żona Bayarda (bo Bayard Sartoris ostatecznie zabił się także, wypróbowując na doświadczalnym lotnisku w Ohio nowy typ samolotu, na którym nikt inny nie chciał latać i od którego Bayard powinien był także trzymać się z daleka).

Burmistrz de Spain zrezygnował z urzędu, sprzedał swoje przedstawicielstwo samochodów i został prezesem banku w samą porę. Bank pułkownika Sartorisa był bankiem narodowym, ponieważ, jak domyślał się Ratliff, pułkownik Sartoris wiedział, że to wzbudzi zaufanie w ludziach ze wsi i zachęci ich do zaryzykowania paru dolarów więcej, nie mówiąc już o wdowach i sierotach, bo kobiety w żadnych sprawach, a tym bardziej w pieniężnych, nigdy zanadto nie ufają mężczyznom, nawet przed owdowieniem. Wobec zmiany prezesa rząd, jak mi Ratliff wytłumaczył, musiał przysłać kogoś, żeby sprawdził księgi, chociaż termin regularnej kontroli jeszcze nie nadszedł; dlatego pewnego ranka dwóch kontrolerów zjawilo się o godzinie ósmej rano przed drzwiami banku czekając, by je otworzono. Powinien to zrobić Byron

Snopes, lecz niestety wcale się tego dnia nie pokazał. Kontrolerzy czekali więc na następnego urzędnika banku rozporządzającego drugim kluczem, a był nim pan de Spain.

Kwadrans po ósmej, czyli w trzynastcie mniej więcej minut od chwili, gdy kontrolerzy postanowili zacząć od przeglądu ksiąg prowadzonych przez Byrona, pan de Spain telefonując do Hotelu Snopes odkrył, że nikt nie widział Byrona od godziny dziesiątej dwadzieścia dwie poprzedniego wieczora, kiedy to odszedł z Jefferson pociąg na południe. W cztery godziny później wszyscy już wiedzieli, że Byron zapewne jest w Teksasie, chociaż do Meksyku nie zdąży dotrzeć wcześniej niż nazajutrz. Ale dopiero w dwa dni później starszy kontroler mógł z grubsza określić, ile pieniędzy brakuje w kasie; zwołano wtedy posiedzenie rady nadzorczej i przybył na nie nawet pan Varner, którego w Jeffei'son nie widywano częściej niż raz do roku, a wysłuchawszy raportu kontrolera powiedział bez namysłu:

— Na diabła nam policja. Niech no ktoś skoczy do mojego domu po pistolet i objaśni mnie, w którą stronę ten łajdak zwiął.

Ale to była mucha w porównaniu z oburzeniem samego pana de Spain; całe miasto nadstawiało' uszu i otwierało szeroko oczy, a po trzech dniach Ratliff powiedział coś, czego na razie nie zrozumiałem:

— A więc aż tyle, co? Wreszcie wiemy, ile jest warta pani Flemowa Snopes. Twój wuj po powrocie do domu nie będzie musiał głowić się, ile stracił, bo dowie się z dokładnością do jednego centa, ile oszczędził.

Sam bank nie poniósł straty. Ponieważ był to bank narodowy, rząd musiał pokryć manko, niezależnie od tego, ile Byron Snopes ukrapł i czy złodzieja udałoby się schwytać, czy nie. Czekaliśmy jednak, co zrobi pan de Spain. Jego ojciec swoimi pieniędzmi pomógł pułkownikowi Sartorisowi w założeniu banku, on sam był wiceprezesem, chociaż prezesem został ledwie na parę dni przed przybyciem kontrolerów i decyzją sprawdzenia ksiąg prowadzonych przez Byrona Snopesa, toteż spodziewaliśmy się, że zechce z własnej kieszeni pokryć stratę co do centa. Spodziewaliśmy się lada dzień usłyszeć, że pan de Spain obciążył swój dom hipoteką, a gdy to się nie stało, myśleliśmy, że widocznie pan de Spain więcej niż się zdawało zarobił na przedstawicielstwie samochodów i miał w rezerwie gotówkę. Bo niczego innego po nim nie mogliśmy oczekiwać i kiedy następnego dnia na zwołanym nadzwyczajnym posiedzeniu rady nadzorczej ogłoszono, że brakujące pieniądze nazajutrz po stwierdzeniu kradzieży zostały wpłacone dzięki osobistej i dobrowolnej inicjatywie prezesa, wcale się nie zdziwiliśmy. Jak mówił Ratliff, byliśmy tak mało zdziwieni, że dopiero w parę dni później ten i ów zauważył, iż przy tej samej okazji oznajmiono o powołaniu pana Flema Snopesa na stanowisko wiceprezesa banku.

Upłynął jeszcze rok i dwaj ostatni żołnierze Jefferson powrócili do domu na stałe czy przynajmniej tymczasowo na stałe: wuj Gavin, uwolniony wreszcie od obowiązku odbudowywania zniszczonej Europy, wrócił i został wybrany na prokuratora okręgowego, a w parę miesięcy po nim zjawił się Montgomery Warci Snopes, ale on właśnie, jak się okazało, tymczasowo tylko wrócił na stałe, podobnie jak Bayard Sartoris. On także nie miał na sobie munduru, lecz czarne ubranie, czarną pelerynę i czarne welwetowe nakrycie głowy przekrzywione na bakier i z kształtu przypominające puste wymię krowy, krawat związany w kokardę z długimi zwisającymi miętko końcami; poza tym miał długie włosy i brodę, a z jego przybyciem Sno- pesowie zyskali nowe przedsiębiorstwo w Jefferson. Na oknie wystawowym ukazał się napis, którego nie tylko ja, ale nawet Ratliff nie rozumiał, a kiedy pobiegłem do biura, gdzie wuj Gavin czekał na pierwszy dzień stycznia, żeby objąć funkcję prokuratora okręgowego, i powiedziałem mu

o tym, wuj Gavin na dłuższą chwilę skamieniał w fotelu, a potem, zrywając się z miejsca, rzekł:

— Zaprowadź mnie tam.

Poszliśmy razem, a Ratliff już czekał na nas przed sklepem mieszczącym się na rogu bocznej uliczki, od której prowadziły do wnętrza drugie drzwi. Malarz właśnie kończył wypisywanie na szybie dziwacznymi literami tych słów:

ATELIER MONTY

Za oknem zobaczyliśmy Montgomery'ego Warda we francuskiej czapce (wui Gavin powiedział, że to jest beret baskijski), ale bez marynarki. Nie weszliśmy wtedy do wnętrza.

— Chodźmy stąd — rzekł wuj Gavin. — Pozwólmy mu skończyć.

Co prawda Ratliff zaproponował:

— Moglibyśmy mu pomóc.

Wuj jednak chwycił mnie za ramię.

— Jeżeli „atelier” znaczy „pracownia”, dlaczego po prostu tak nie napisze? — spytałem.

— Ja też chciałbym to wiedzieć — rzekł wuj Gavin.

Ratliff wszedł do środka, lecz niczego więcej się nie dowiedział, i powtórzył niemal dokładnie moje słowa:

— Pracownia. Ciekaw jestem, dlaczego nie nazwał tego po prostu pracownią.

— Wuj Gavin także nie wie — powiedziałem.

— Pewnie — rzekł Ratliff. — Ja się też nikogo nie pytam. Macam tylko, że tak powiem, grunt, żeby się odbić do skoku. — Spojrzał na mnie i mrugnął parę razy. — Pracownia. Ty nawet jeszcze nie rozumiesz, że chodzi o pracownię fotograficzną. — Znowu mrugnął. — Ale dlaczego? Sądząc z jego wojennych przygód, nie jest to facet, który by się zadowolił nudnym, zwyczajnym drep-

taniem w kieracie, do jakiego my, zamurovani w tej dziurze w Yoknapatawpha, przywykliśmy.

Ale na razie nie dowiedzieliśmy się niczego więcej. Nazajutrz Montgomery Ward zalepił okno wystawowe gazetą, żeby nie można było zajrzeć do środka, a drzwi trzymał zamknięte i uchylił je tylko na chwilę, kiedy wnosił paczki, które odebrał z poczty i które pochodziły z firmy Sears and Roebuck z Chicago.

Potem, gdy w czwartek ukazał się nowy numer pisma „Clarion”, ujrzeliśmy zajmujące prawie połowę pierwszej strony ogłoszenie

o formalnym otwarciu salonu fotograficznego. „Panie szczególnie mile widziane” — brzmiało zaproszenie, a na dole było dopisane: „Herbata”.

— Jak to? — spytałem. — Myślałem, że to ma być zakład fotograficzny.

— To właśnie jest zakład fotograficzny — powiedział wuj Gavin. — Goście na uroczystości otwarcia dostaną filiżankę herbaty. Ale ten Snopes niepotrzebnie wyrzuca pieniądze na reklamę. I tak wszyscy, kobiety i mężczyźni, pobiegną co prędzej, żeby się przekonać, dlaczego trzymał drzwi zamknięte.

Matka rzeczywiście już zapowiedziała, że tam pójdzie.

— Ty się przecież nie wybierasz? — zwróciła się do wuja Gavina.

— Masz rację. Nie wszyscy, tylko większość — przyznał wuj Gavin.

Nie mylił się, bo Montgomery Ward mu

siał przeciągnąć uroczystość otwarcia na cały niemal dzień, żeby wszystkich, co się cisnęli, przyjąć w swoim zakładzie. Nawet gdyby sklep był pusty, trzeba by gości podzielić na grupy, ale w obecnym stanie mieściło się naraz co najwyżej kilkanaście osób, bo wewnątrz było zastawione różnymi sprzętami, ściany obwieszane czarnymi kotarami sięgającymi od sufitu do podłogi, gdy się zaś je rozsunęło za pomocą sznurków i rolek, otwierał się widok jakby przez okno, a Montgomery Ward objaśniał, że z jednej strony widzimy dachy Paryża, z drugiej mosty na Sekwanie i jakieś „ke”, z trzeciej Wieżę Eiffla, a z czwartej katedrę Notre Dame; były też kanapy zarzucone czarnymi poduszkami, stoły zastawione wazonami i misami, w których paliło się kadzidło rozsiewając słodki zapach. Wśród tego wszystkiego w pierwszej chwili nie dostrzegało się kamery. W końcu jednak trzeba ją było także zauważyć, a poza tym drzwi w głębi, co do których Montgomery Ward udzielił wyjaśnienia szybko i kręcąc się nerwowo, jakby wół zdania pożałował, że zaczął mówić.

— To ciemnia. Jeszcze nie otwarta.

— Co takiego? — spytał wuj Gavin.

— Ciemnia. Jeszcze nie otwarta — powtórzył Montgomery Ward.

— A czy należy się spodziewać, że będzie otwarta dla publiczności? — spytał wuj Gavin.

Ale Montgomery Ward był zajęty podawa-

niern pani Rouncewell drugiej filiżanki herbaty. Bo zapomniałem powiedzieć, że nie brakowało również kwiatów. Ogłoszenie w „Clarion” o uroczystym otwarciu „Atelier” zawierało wzmiankę: „Kwiaty z firmy Rouncewell”, tak że nawet czytając ją zapytałem wuja, czy w Jefferson można dostać kwiaty w innym sklepie niż u pani Rouncewell, a wuj Gavin na to wyraził przypuszczenie, że pani Rouncewell zapłaciła połowę ceny reklamy i jeszcze dostarczyła bezpłatnie wazon z sześciu nieco przekwitłymi różami, które zostały z jakiegoś innego pogrzebu, i zapłacą za to ostatecznie klienci. Dodał, że ma na myśli jej klientelę i wołałby się co do tego nie mylić. Chwilę przyglądał się drzwiom, a potem Montgomery’emu Wardowi napełniającemu filiżankę pani Rouncewell.

— Na początek herbata — rzekł. Wyszli- j śmy. Musieliśmy wyjść, żeby zrobić miejsce j dla innych. !

— Jak on wytrzyma takie wydatki, jeżeli j będzie wszystkich częstował herbatą? — spy- j tałem.

— To tylko dzisiaj — odparł wuj Gavin. —

Na przynętę dla dam. Ale z kolei ja zadam pytanie: dlaczego zależało mu na tym, żeby wszystkie panie z Jefferson ściągnąć jednocześnie i pokazać im swoją spelunkę?

Jakbym słyszał Ratliffa, który zresztą właśnie nam się w tej chwili nawinał przed sklepem towarów żelaznych.

— Byłeś na herbatce? — spytał wuj Gavin.

— Herbata — rzekł Ratliff. Nie było to pytanie. Po prostu wymówił to słowo mrugając do wuja Gavina.

— Tak — rzekł wuj Gavin. — Właśnie wracamy. Ciemnia jeszcze nie jest otwarta dla publiczności.

— A będzie? — spytał Ratliff.

— Tak — powiedział wuj Gavin. — Myśmy się też zdziwili.

— Może się czegoś dowiem — rzekł Ratliff.

— Doprawdy masz tę nadzieję? — powiedział wuj Gavin.

— Może coś dojdzie moich uszu.

— Doprawdy masz tę nadzieję?

— Może ktoś inny czegoś się dowie, a ja może będę przypadkiem stał tak blisko, że usłyszę, jak będzie o tym opowiadał — rzekł Ratliff.

Na tym się skończyło. Montgomery Ward nie podejmował już gości herbatą, ale wkrótce w oknie wystawowym zaczęły się ukazywać fotografie, znajome twarze: panie z małymi dziećmi albo same, grupy uczniów kończących szkołę średnią, najładniejsze dziewczęta w czapkach i togach absolwentek, a także od czasu do czasu młode pary ze wsi, sztywne, onieśmiałe, chłopcy z minami troszkę wyzywającymi, z wąską białą kreską między świeżo ostrzyżonymi włosami a opalonym czołem; niekiedy też stare małżeństwa, które przeżyły z sobą pół wieku i które znaliśmy od dawna nie spostrzegając dotychczas, jak bardzo wszystkie są do siebie po-

dobne i wszystkie jednakowo zdziwione, nie wiadomo, czy tym, że ich fotografują, czy tym, że ich małżeństwo trwa tak długo.

I nawet wtedy, gdy zaczęliśmy sobie uświadamiać, że nie tylko te same twarze, ale te same fotografie figurują na wystawie już od przeszło dwóch lat, jak gdyby nagle po otwarciu zakładu fotograficznego ludzie przestali kończyć szkoły, żenić się, a nawet trwać w małżeńskim stanie, Montgomery Ward nadal prowadził swoje przedsiębiorstwo, czy to robiąc zdjęcia, których nie wystawiał w oknie, czy może sprzedając odbitki z dawnych klisz, by opłacić czynsz i utrzymać firmę. Bo firma istniała, chociaż, jak się zdawało, fotograf przeważnie pracował w ciemni, bo spostrzegliśmy, że najżywszy ruch panuje wieczorami, jak gdyby interesy wymagały ciemności, i że klientela rekrutuje się w większości z mężczyzn; frontowa część sklepu, gdzie odbyła się uroczystość inauguracyjna, tonęła w mroku, klienci wchodzili i wychodzili przez boczne drzwi, od zaułka, i rzecz dziwna, należeli do typu mężczyzn, których trudno było posądzać o chęć lub potrzebę uwieczniania się na fotografii. Przy tym interesy wyraźnie się rozwijały: w lecie drugiego roku zauważyliśmy, że przyjeżdżają coraz liczniej klienci z innych pobliskich miast, mężczyźni, młodzi ludzie tego samego pokroju, co bywalcy „Atelier Monty” z Jefferson, i kręcą się koło sklepu, zapewne zostawiając lub odbierając zdjęcia, negatywy czy odbitki, a że Wsze wchodząc i wychodząc przez boczni' drzwi.

— Nie, to niemożliwe — powiedział do Ratliffa wuj Gavin. — W Jefferson to po prostu niemożliwe.

— Wiele osób myślało, że okradzenie banku także jest niemożliwe w Jefferson — odparł Ratliff.

— Ależ musiałyby coś jeść — powiedział wuj Gavin. — Musiałyby ją przecież od czasu do czasu wyprowadzać, nie mogłaby żyć bez powietrza i odrobiny ruchu.

— Kogo? Dokąd wyprowadzać? — spytałem.

— Alkohol wykluczony — rzekł Ratliff. — Pierwsze twoje przypuszczenie jest mimQ wszystko bardziej prawdopodobne, bo to dałoby się urządzić po cichu, ale wyszynk whisky nigdy w świecie.

— Jakie pierwsze przypuszczenie? — spytałem. — Kogo musiałyby wyprowadzać?

Nie chodziło tu o whisky ani o hazard; Grover Cleveland Winbush (ten sam, który kiedyś był wraz z Ratliffem współwłaścicielem restauracji, póki go Flem Snopes nie wygryzł, a teraz pełnił służbę nocnego policjanta) również się nad tym zastanawiał. Przyszedł do wuja Gavina, zanim wuj Gavin zdecydował się wezwać jego lub Bucka Con- norsa; przyszedł i powiedział, że lwią część nocnego dyżuru spędza na obserwacji, śledzeniu i pilnowaniu „Atelier Monty”, i stwierdził ponad wszelką wątpliwość, że w ciemni

Montgomery'ego Warda nie odbywają się popijawy, nie ma handlu wódką, nikt nie gra w kości ani w karty; mówił, że wszyscy szcycimy się dobrą sławą naszego miasta, pragniemy je uchronić od wielkomięjskiego zepsucia i rozpusty, a już on sam gorliwiej niż ktokolwiek o to zabiega. Do czwartej nad ranem zamiast siedzieć wygodnie na krześle w' lokalu posterunku policyjnego w oczekiwaniu na porę następnego obchodu, kręci się koło zakładu fotografa, lecz ani razu nie słyszał podejrzanych odgłosów gry w kości lub pijaństwa, a żaden z wychodzących stamtąd klientów ani nie pachniał alkoholem, ani nie wyglądał na podpitego. Kiedyś nawet w dzień — mówił Grover Cleveland — chociaż miał prawo, a nawet w pewnym sensie obowiązek po nocnej służbie spać. w domu, tak samo jak w tej chwili, gdy wyrzekając się zasłużonego i przepisowego odpoczynku wrócił do miasta, żeby o wszystkim zameldować wujowi Gavinowi jako prokuratorowi okręgowemu, mimo że nie miał takiego rozkazu i pomijając fakt, że przepisowo nie on, lecz Buck Connors powinien by się tym zająć; kiedyś więc w dzień wkroczył do zakładu fotograficznego przez frontowe drzwi, zdecydowany wejść do ciemni, choćby musiał drzwi wyważyć przemocą, bo przecież obywatele Jefferson powierzyli mu funkcje nocnego policjanta po to, by chronił miasto od wielkomięjskiego zepsucia i występków, takich jak na przykład pijaństwo lub hazard; tymcza sem, ku zdziwieniu Grovera Clevelanda, Montgomery Ward nie tylko nie próbował go zatrzymać, lecz sam, nie czekając na wezwanie, otworzył drzwi ciemni, zaprosił go do wnętrza i zachęcał, żeby sobie wszystko tam obejrzał.

Tak więc Grover Cleveland przekonał się naocznie i pragnął upewnić mieszkańców⁷ Jefferson, że w ciemni nie praktykuje się pijaństwa, hazardu ani żadnej rozpusty czy występków; chrześcijańscy obywatele miasta nie mają powodu żałować, że zaufali Groverowi Clevelandowi mianując go nocnym policjantem i powderzając mu pod przysięgą służbową obowiązek, który on i tak by spełnił, ponieważ dobra sława Jefferson leży mu na sercu jak każdemu uczciwemu obywatelowi; Grover Cleveland oznajmił, że gotów jest zrobić w granicach swoich zaprzysiężonych obowiązków służbowych więcej jeszcze, wszystko, co wuj Gavin jako prokurator generalny może mu polecić. Po czym wyszedł przystając w progę na chwilę, żeby powiedzieć:

— Jak się masz, V. K!

I Ratliff mijając się z nim w drzwiach wszedł do pokoju.

— Kiedy szedł przez Rynek i wchodził tu na schodki — powiedział Ratliff — miał tak ucieszoną minę, jakby coś wykrył. Ale nie przypuszczam. Nie przypuszczam, żeby Montgomery Ward miał większe trudności z wyproszeniem go ze sw'ego zakładu niż Flem

Snopes, kiedy go wykiwał z połowy naszej kawiarni.

— Tak — powiedział wuj Gavin i dodał: — Ale co tam mogło tak ubawić Grovera Cle-velanda?

— Co go ubawiło? — rzekł Ratliff. — Ano podochocił sobie przyjemnie.

— Czym? — spytał wuj Gavin.

— Rozmową o rzeczach zachęcających — odparł Ratliff. Właściwie nie patrzył na mnie. Trochę jednak patrzył. Nie, chyba nie, bo nawet obserwując go pilnie nie można było stwierdzić, żeby chociaż na sekundę przestał patrzeć na wuja Gavina. Dwa razy przymrużył oko. — O kobietach — powiedział.

— Słusznie. Ale jak? — spytał wuj Gavin.

— No właśnie. Jak? — spytał Ratliff.

Miałem dopiero osiem lat, zacząłem rok

dziewiąty, więc jeśli wuj Gavin i Ratliff, obaj trzy razy starsi ode mnie, jeden mający za sobą podróż po Europie, a drugi wędrowni po wszystkich chyba bocznych drogach, ścieżkach i zaułkach okręgu Yoknapatawpha, nie domyślili się, na czym rzecz polega, dopóki ktoś im tego w końcu nie powiedział, trudno się dziwić, że ja nic nie rozumiałem.

Było w mieście inne jeszcze przedstawicielstwo firmy Snopes — jak to określał Ratliff — ale wuj Gavin nie chciał tego uznać, ponieważ w dalszym ciągu nie wierzył,

aby Eck był Snopesem. To drugie przedstawicielstwo prowadził syn Ecka, Wallstreet Panic, który na pewno nie był Snopesem, sądząc z jego postępowania od początku, odkąd przybył do Jefferson, rozejrzał się tutaj i odkrył, jak sędzę po raz pierwszy w swym życiu, że człowiek, aby przetrwać, nie musi zachowywać się jak Snopes, niezależnie od tego, czy ojcem jego był Snopes, czy nie.

Mówiono, że zaraz po przybyciu do miasta (miał ze dwanaście lat, gdy rodzina jego przeprowadziła się tutaj z Sadyby Francuza), zasięgnął wiadomości o szkole i nie tylko uprosił rodziców, żeby pozwolili mu się uczyć, ale wziął ze sobą także młodszego brata, Admirala Deweya, który miał ledwie sześć lat, i obaj zaczęli od przedszkola, gdzie matki przyprowadzały dzieci, za małe, żeby dłużej niż pół dnia tkwić w klasie, a Wallstreet Panic wyglądał między nimi jak koń w kaczym stawku.

Nie wstydził się wstąpić do przedszkola, za to wstydził się w nim pozostać i nie został wiele dłużej niż pół tygodnia, bo potem przeniesiono go do pierwszej klasy szkoły elementarnej, od Bożego Narodzenia już był w drugiej, i nauczycielka tej klasy, panna Vaiden Wyatt, zajęła się nim, wytłumaczyła mu, co znaczy Wallstreet Panic, i powiedziała, że może się tych imion pozbyć, jeśli zechce, toteż gdy z jej pomocą ucząc się przez całe lato przeszedł kurs trzeciej klasy i jesienią znalazł się w czwartej, nazywał się już po

f

prostu Wall Snopes, bo panna Wyott wyjaśniła mu, że Wall to nazwisko dobrej rodziny z Missisipi, szczytającej się nawet generałem, i że wolno mu skrócić swoje imię wykreślając nie tylko Panic, lecz również Street. Od pierwszego dnia w szkole i zawsze później na pytanie, po co chce się kształcić, odpowiadała: „Żeby umieć liczyć pieniądze”. Wuj Gawin, gdy mu to opowiedziano, rzekł:

— Rozumiesz? To dowód, że mam rację: żaden Snopes nie potrzebuje się tego uczyć, wie, że inni będą za niego liczyli pieniądze, a przynajmniej powinni to robić we własnym interesie. ■

Ale jemu — to znaczy Wallowi — rzeczywiście ta umiejętność okazała się potrzebna. Już tej pierwszej zimy, gdy w szkole przeskoczył dwie klasy, wziął posadę. W sąsiedztwie restauracji Snopesa, przy której rodzina Ecka mieszkała- w namiocie, znajdował się sklep spożywczy mniej więcej tej samej kategorii co restauracja. Wall co rano przed pójściem do szkoły, wstając nawet po ciemku, gdy dni były krótsze, rozpałał ogień w żelaznym piecu i zamiatał sklep, a po lekcjach, po południu, biegał na posyłki i rozwoził towary na taczkach, aż wreszcie sklepikarz kupił młodocianemu pracownikowi używany rower, którego cenę potraçał potem z jego tygodniówki.

W soboty i święta, a także w ciągu tych wakacji letnich, gdy z panną Wyott przerabiał kurs trzeciej klasy, prowadził też rachunki w sklepie i jeszcze mu tego było mało, więc znalazł wśród kupców na rynku poręczycieli

i wystarał się o kolportaż gazet przysyłanych z Memphis, ale wówczas miał już tyle spraw na głowie, że roznosicielem gazet mianował swojego brata. Następnej jesieni, będąc już w czwartej klasie, zdobył ponadto kolportaż gazety z Jackson i zatrudnił prócz Admirała Deweya dwóch innych chłopców, odtąd więc kupcy, pośrednicy handlowi, misjonarze

i kandydaci na urzędy z wyboru, chcąc rozpowszechnić swoje ulotki propagandowe, zwracali się zawsze do Walla, ponieważ miał gotową i już sprawną organizację.

Umiał liczyć pieniądze i umiał oszczędzać. Gdy skończył szesnaście lat, ojciec jego zginął od wybuchu pustego zbiornika benzynowego, a firma wypłaciła wdowie tysiąc dolarów, i mniej więcej w miesiąc później dowiedzieliśmy się, że pani Snopes została współwłaścicielką sklepu spożywczego, Wall zaś, już ze świadectwem szkoły średniej w ręku, pracuje tam na prawach wspólnika. Nadal jednak wstawał przed świtem w zimowe ranki, palił w piecu i zamiatał. Potem, gdy miał lat dziewiętnaście, pierwotny właściciel odprzedał pani Snopes swoją połowę sklepu

i wycofał się z interesów, a chociaż ze względu na niepełnoletność Walla firma nie została przepisana na jego imię, wiedzieliśmy, kto jest naprawdę właścicielem sklepu

i zwierzchnikiem nowego chłopca, przycho

dzącego przed świtem w zimowe ranki, by napalić w piecu i zamieść.

Było jeszcze trzecie przedsięwzięcie, ale nie sposób go nazwać przedstawicielstwem firmy Snopes, ponieważ nie dawało dochodów. Może jednak się mylę, bo zmuszało nas do ciężkiej pracy, a wuj Gavin twierdzi, że każde przedsięwzięcie, w które ludzie wkładają tyle trudu, przynosi jakieś korzyści, nawet jeśli nie można ich zamienić na dolary i centy i nawet jeśli nikomu z uczestników na zyskach nie zależy.

Ostatni Snopes, którego ten klan przyciągnął do Jefferson, właściwie do miasta nie doszedł. Zatrzymał się w miejscu, skąd widać już było zegar ratuszowy, ale dalej nie chciał zrobić ani kroku; podobno nawet odgrażał się, że wróci do Sadyby Francuza, jak stara krowa czy też jak muł, co pozwala się doprowadzić aż' do otwartych wrót zagrody, ale tu zapiera się czterema nogami w ziemi.

Był to człowiek stary. Niektórzy twierdzili, że jest ojcem Flema Snopesa, inni, że tylko stryjem; krępy, brudny staruch z dzikimi oczyma, pod krzaczastymi brwiami, a tak zapalczywy, że, jak mówił Ratliff, kark nabrzmiewał mu i czerwieniał, zanim zdążyłeś zamienić z nim słowo. Kupiono dla niego mały dom o milę od miasta i tam osiadł z córką, starą panną, i z dwoma chłopcami, którzy mieli na imię Vardaman i Bilbo i byli bliźniakami, synami I. O. Snopesa i jednej z jego żon, nazwanej przez wuja Gavina numerem drugim w odróżnieniu od żony numer pierwszy kołyszącej się całymi dniami w fotelu na biegunach na frontowej werandzie hotelu Snopesa.

Na skrawku ziemi należącym do tego domu stary Snopes założył ogród warzywny i hodowlę arbuzów. Hodowla arbuzów była tym trzecim przedsięwzięciem Snopesów. A raczej powodem, dzięki któremu rozwinęło się inne przedsiębiorstwo. Bo stary Snopes, jak się zdawało, nie hodował arbuzów na sprzedaż ani na własny użytek, lecz jako przynętę, dla zabawy, dla sportu, dla rekordów czy wręcz dla wariackiej przyjemności chwytania chłopców na gorącym uczynku kradzieży; sadił, pielęgnował, hodował arbuzy po to, żeby siedzieć w zasadzce z nabitą strzelbą, zza gęstwy pnącego wina na tylnej werandzie nasłuchiwać szmerów dochodzących z plantacji i strzelać w razie najmniejszego alarmu.

Pewnej księżycowej nocy dostrzegł nawet złodzieja i wpakował garść śrutu w Johna Wesleya Roebucka, a nazajutrz szeryf, Hub Hampton, przyjechał tam i zapowiedział staremu Snopesowi, że jeśli raz jeszcze użyje w ten sposób broni palnej, on, jako szeryf, nie tylko odbierze mu strzelbę, ale zamknie go w więzieniu. Odtąd staruch nie śmiał używać strzelby. Musiał poprzestać na rozmieszczeniu w kilku punktach pod płotem

stosów kamieni i na czatowaniu za zasłoną wina z ciężką laską i latarką elektryczną w ręku.

Tak powstało to przedsięwzięcie. Szeryf polecił wszystkim rodzicom w mieście, żeby synom zabronili wypraw na tę przeklętą plantację; oświadczył, że jeśli chłopcy mają tak wielką chętkę na arbuzy, sam gotów jest im je fundować, byleby nie doprowadzali Sno- pesa do furii, bo w końcu może starucha szlag trafić z irytacji, a wtedy wszyscy winowajcy pójdą do kryminału. Ale stary Sno- pes o niczym nie wiedział, ponieważ Varda- man i Bilbo nie pisnęli mu ani słówka. Czekali, aż wrócił do domu i położył się, na przykład po obiedzie, by uciąć drzemkę,

i wpadali wówczas z wrzaskiem, wykrzykując, że jacyś chłopcy buszują w arbuzach; stary zrywał się rycząc i klnąc, chwycił gruby kij dębowy, pędził na plantację, ale nie zastawał żywej duszy ani w arbuzach, ani w pobliżu, tylko Vardaman i Bilbo przyczajeni za rogiem domu pokładali się ze śmiechu, a w chwilę później znów biegali z tupotem

i wciąż chichocząc wśród zarośli, ścigani gradem kamieni, które staruch podnosił ze stosów i miotał w niewidocznych napastników.

Nigdy nie udało mu się złapać nikogo, przeciwnie, sam wpadał zawsze w pułapkę. Nie chciał ryzykować, ilekroć bliźniacy wbiegali wrzeszcząc: „Dziadku, dziadku! Złodzieje w arbuzach”; bał się odmówić im wiary, bo ostatecznie mogła to być prawda. Zrywał się więc, chwycił za kij, pędził, chociaż zapewne z góry wiedział, że nie zobaczy nikogo prócz Vardamana i Bilba za rogiem domu, i że :nawet tych dwóch łobuziaków nie złapie, co :najwyżej ciśnie w ich stronę kilka kamieni

i przekleństw, aż w końcu wyczerpie zapas pocisków i powietrza w płucach, i zdyszany, roztrzęsiony, z karkiem nabiegłym krwią jak grzebień indora, będzie mógł już tylko szeptać przekleństwa. Dlatego właśnie my — to znaczy chłopcy z Jefferson w wieku od sześciu do dwunastu lat, a nawet i starsi — biegaliśmy tam, żeby czatować za żywopłotem

i śledzić te sceny. Nigdy jeszcze nie widzieliśmy, jak kogoś szlag trafia, chcieliśmy więc być na miejscu, gdzie coś takiego mogło się zdarzyć, i zobaczyć, jak to wygląda.

Coś innego zdarzyło się w mieście, już po powrocie wuja Gavina do kraju z odbudowywanej Europy.

Szliśmy przez Rynek i zobaczyliśmy ją. Nie wiem, czy spojrzała na wuja Gavina, ale na mnie z pewnością nie patrzyła i nic nie powiedziała mijając nas. Nie zdziwiło mnie to, nie spodziewałem się, że na mnie spojrzy, tak samo jak tego, że mnie zauważy; czasem do mnie zagadywała, czasem do nikogo się nie odzywała, byliśmy już do tego przyzwyczajeni. Tak właśnie zachowała się tym razem, -po prostu przeszła koło nas jak wyżeł biegnący za ptakami

o pierwszych przymrozkach. Ale wuj Gavin przystanął i odwrócony patrzył na nią. Dopiero wtedy uprzytomniłem sobie, że przebywał z dala od Jefferson od 1914 roku, przez osiem lat, więc widział ją ostatni raz jako pięcio- czy sześciolatek dziecko.

— Kto to jest? — spytał.

— Linda Snopes — powiedziałem. — Wie wuj, córka Flema Snopesa. — Teraz ja także patrzałem za nią. — Idzie jak wyżeł. Jak wyżeł, który właśnie...

— Rozumiem, co masz na myśli — rzekł wuj Gavin. — Rozumiem doskonale.

VIII. GAVIN STEVENS

ozumiałem doskonale, co miał na myśli. Szła zdecydowanie, prosto przed siebie, w pełni świadoma naszej obecności, ale nie spojrzała ani razu na żadnego z nas, chociaż jej oczy nie były surowe ani nieruchome, raczej skupione, obojętne, utkwione bez zmruczenia powiek w jakiś punkt poza nami, nad nami; tak młody wyżeł wpada na człowieka, jeśli mu się nie usunie z drogi, bo na kilka kroków przed upatrzonym celem nie musi już polegać na zawodnym, mylnym tropie, widząc już stadko kuropatw Spłoszone, zdane na strzał myśliwego. Przeszła koło nas wydłużonym krokiem jak młoda wyżlica, dziewicza jeszcze, oczywiście dziewicza, nietykalna w swoim

dziewictwie, nie gardząca ziemią, nie odtrącająca jej, bo ziemia była potrzebna, żeby mogła deptać ją w swej nietykalności; po prostu oddalała się od niej i od nas, nawet nie dumna i nie obojętne, tylko niedosięgalna w swoim skupieniu i niewinności, i niewiedzy, jak lunatyk jest chwilowo niedostępny lękom i udrękom życia.

Musiała wtedy mieć trzynaście, czternaście lat, a ja nie poznałem jej i nie mogłem poznać, nie dlatego, że nie widziałem jej chyba od ośmiu lat, a dziewczęta bardzo się zmieniają w okresie między dziesiątym a piętnastym rokiem, ale dlatego, że była córką Euli. Dlatego że ja — i zapewne nie tylko ja — nie mogłem uwierzyć, by taka kobieta urodziła inną istotę, a nie dokładnie własną kopię. Eula Varner. Rozumiecie? Eula Varner. Nie Eula Snopes, choćbym ją zobaczył, choćbym musiał ją zobaczyć w łóżku z mężem. Nie mogła być Eulą Snopes, to byłoby po prostu niedopuszczalne, nie zgodziłbym się nigdy tego uznać. Eula Varner nie mogła niczego, nawet nazwiska zawdzięczać tylko męskiej żądzy, którą rozpalala aż do udręki samym swoim istnieniem, tym, że żyła i oddychała; raz spłodzona i urodzona, stała się częścią Ruchu — głodu, którego nigdy nie zdołałaby nasycić, skoro była w swoim rodzaju jedyna, a głodnych było wielu. A przecież ta jedyna także podlegała przemijaniu i jako istocie śmiertelnej z góry było jej sądzone, że nie zaspokoi wszystkich pożądań,

nie będzie ich zaprzeczeniem, nigdy nie usunie ze świata udręki i głodu nawet wówczas, gdy sama zniknie i swą nieobecnością wypełni bolesną pustkę, którą niegdyś rozplomieniał jej gorący kształt.

Dlatego oczywiście w pierwszej chwili narzucała się myśl, że musi nieuchronnie powtórzyć siebie, zrodzić drugą siebie, jeśli w ogóle da życie nowej istocie. Ale już w następnej chwili zjawiało się zrozumienie, że nie powinna, nie może urodzić drugiej takiej kobiety, jaką jest sama; natura nie dopuściłaby do tego. żeby dwie podobne istoty żyły w mieście tak małym jak Jefferson w stanie Missisipi, w jednym stuleciu, nawet jednocześnie, w okresie życia jednego wydanego na udrękę pokolenia. Bo nawet natura, chociaż się kocha w burzach namiętności i żądy jak nikt inny w świecie, dba bądź co bądź o dostarczanie coraz to nowej paszy rozpetanym głodom, a to wymaga czasu, tyle czasu, by zdążyło dojrzeć do żniwa nowe ziarno, skoro Eula pochłonęła, wyczerpała, spaliła to, które jej przypadło w udziale. I myśląc o tym, przypomniałem sobie, co powiedziała do Go- wana moja siostra Maggie w odległej, umarłej już przeszłości, kiedy ja sam przeżywałem mękę całopalnej ofiary: „Nie można się ożenić z Heleną ani z Semiramidą; dla nich tylko popełnia się samobójstwo”.

Bo ta dziewczynka wcale nie była. podobna do matki. I w mgnieniu oka uprzytomniłem sobie jasno, do kogo jest podobna. Pamięć

■ nr 'i

tam, że niegdyś, w epoce mojego durnego

i spóźnionego dojrzewania (wcale nie mniej durnego przez to, że było spóźnione), nie mogłem z dwóch nie do zniesienia okrutnych możliwości wybrać bardziej znośnej; mówiąc słowami poety, nie wiedziałem gryząc palce, który z nich jest mniej gorzki. Czy Manfred de Spain uwiódł cnotliwą kobietę, czy też po prostu został porwany mimochodem w wir bachantek. Dręczyłem się tym. Jeżeli pierwsze przypuszczenie było słuszne, jakież to męskie zalety miał Manfred, których mnie brakowało? A jeżeli przyjąć drugie, dlaczego ślepy i zabójczy grom losu trafił Manfreda de Spain, ale nie mógł, nie chciał osiągnąć, a w każdym, razie nie osiągnął raczej Gavina Stevensa? Albo: także Gavina Stevensa, bo tak wówczas było ze mną źle, tak byłem śmieszny, że zgodziłbym się nawet na podział, gdybym nie mógł jej mieć wyłącznie dla siebie.

Wówczas (to znaczy wtedy, gdy rozmyślałem, dlaczego zamiast Manfreda ja nie znalazłem się tego dnia — kiedykolwiek wybiła ta godzina — na jej drodze, by na mnie zatrzymał się jej leniwy, rozstrzygający o moim losie wzrok) zdawało mi się, że Eula musi być cnotliwą, wierną, nieskałaną żoną. I myślałem: „To przeklęte dziecko, wszystko przez to przeklęte dziecko” — bo niewinne dziecko samym swoim niewinnym istnieniem, tym, że oddychało i żyło, raniło, szarpało, niweczyło mój spokój; gdybyż nie było wątpliwości,

kto jest jego ojcem albo — lepiej jeszcze — gdybyż nie było tego dziecka. Tak więc mogłem na chwilę odpocząć od gryzienia palców. bo potrzebowałem ich do moich obliczeń. Ratliff powiedział mi, że wyjechali natychmiast po ślubie do Teksasu, a gdy w dwanaście miesięcy potem wrócili, dziecko już chodziło. Nie uwierzyłem w to (przynajmniej w to, że dziecko już chodziło), nie dlatego, że mnie to bolało, nie z zazdrości i nie z rozpacz, ale po prostu dlatego, że mówił to Ratliff. Jemu zawdzięczałem pociechę nadziei czy też, jak kto woli, ulgę w męczarni. Przyznaję się, także łyzy łagodne, ale łyzy, to błyskotki do zabawy błazna i kaboty, zapóźnionego w rozwoju młodzieńca, w chwilach wytchnienia. Bo nawet gdyby niemowlę urodziło się poprzedniego dnia, Ratliff zmyśliłby anegdotkę o chodzącym dziecku, inaczej nie byłby sobą. Tak, nawet gdyby dziecko wcale nie istniało, Ratliff byłby je zmyślił i opowiadałby, że chodziło, po prostu z zamiłowania do paradoksów i z poczucia humoru, pewny, że nie da się sprawdzić faktów z odległości, dzielącej Jefferson od Sadyby Francuza i dzień dzisiejszy od tamtego, sprzed dwóch lat. Wolałem wówczas uwierzyć, że było to dziecko Flema. Wolałem z dwojga złego, by Eula była ofiarą Manfreda de Spain niż kobietą lekką, ale wystarczyło zakosztować smaku tego palca, żeby zrozumieć, że każdy inny byłby mniej gorzki; niechby już przyjmowała wszystkich Manfredów świata i odtrącała Gavina Stevensa, ale niech się nie godzi na Flema Snopesa odtrącając Gavina Stevensa.

Widzicie, ile wysiłku dokonuje człowiek, ile sobie zadaje trudu, żeby obronić się od nudy spokoju ducha. A raczej widzicie, jak zachowuje się człowiek przewrotny, umyślnie nabawiając się wszy, nie po to, żeby zaznać przyjemności pozbycia się ich w końcu, bo nawet szaleństwo młodości nie przesłania nam prawdy, że nic nie trwa wiecznie, ale ponieważ nawet w tym szaleństwie boimy się, że może Nic trwać będzie wiecznie, a wszystko, nawet wszawica, lepsze jest niż Nic. A więc, jak mówi inny poeta: „W przelocie musnął mnie ten Sen i cóż zostanie z niego? Nic”; ale to, dzięki Bogu, kłamstwo, dzięki bogom, to nieprawda. Nic nie może nigdzie pozostać, bo nic to próżnia, a próżnia jest paradoksem i pojęciem niemożliwym do wyobrażenia, czymś, czego nigdy nie osiągniemy, choćbyśmy chcieli, to Nic przeklętego, szalonego poety wiecznie i nieustannie pełnego wiecznie nowej i wiecznie odnawiającej się udreki, z którą mogę się mierzyć, sprawdzając własną miarę, ilekroć zapragnę potwierdzenia, że ja także jestem częścią Ruchu.

Druga możliwość była o wiele lepsza. Jeżeli ja nigdy jej nie zdobędę, Flem Snopes także jej nigdy nie będzie miał. Wbrew słowom poety: „W przelocie musnął mnie ten sen i cóż zostało z niego? Nic” — została pa

mięć, która będzie trwać zawsze i nigdy nie będzie całkowicie wolna od dawnej udreki. Choćby krew we mnie nadal stygła, choćby wspomnienia piekły jeszcze bardziej, krew mimo wszystko na zawsze pamięta, że była kiedyś gorąca, a przynajmniej zdolna do takiego cierpienia. Ta mała nie była więc dzieckiem Flema Snopesa, lecz moim; jednocześnie córką i wnuczką, skoro młody McCarron, który ją spłodził (o tak, wierzę Ratliffowi, gdy jego wersja mi dogadza), był w owych dawnych straconych latach Gwinem Stevensem ze straconych lat; a ponieważ trwanie musi trwać, bo inaczej nie byłoby trwaniem, Gwin Stevens utrwalaony jest we własnym dziecku na zawsze w tym właśnie wieku, w tym momencie. Młodzieniec jest ojcem mężczyzny, więc McCarron utrwalaony został na zawsze, na wieki, w swojej zmarłej młodości, tak jak Gwin Stevens dzisiejszy jest nieuchronnie synem Gwina Stevensa z jego młodych lat, a dziecko McCarrona jego wnuczką.

Wszystko to niezależnie od tego, czy Gwin Stevens chciał być tym ojcem-dziadkiem, czy nie. Ale nie przewidział również, że jedno obojętne spojrzenie Euli Varner, która go nawet nie zauważyła przechodząc obok niego, narzuci mu rolę przybranego wuja wszystkich przeklętych Snopesów, każdego, kto się zechce powołać na przynależność do tej przeklętej rodziny, spowinowaony z nią przez jej małżeństwo z Flemem. Byłem dla nich przybrany wujem w pewnym sensie, bo wściekłość i oburzenie, i obsesja z natury rzeczy troszczą się o swój przedmiot, tak samo jak z natury rzeczy troszczy się o swoich bieda i (podobno) cnota. Ale to odnosiło się tylko do męskich przedstawicieli rodziny Snopesów, nigdy do kobiet. Nie po raz pierwszy przy tej okazji myślałem, że Snopesami są tylko mężczyźni, jak gdyby zwykły, przypadkowy boski przywilej kobiecości wykluczał snopeszczyznę i był z nią w sprzeczności. A raczej jak gdyby miano Snopes oznaczało jakiś ukryty, bezsporny hermafrodytyczny pierwiastek, niezbędny do przedłużenia rasy-, gatunku, pierwiastek dany jako cecha fizyczna samcom, jakiś bezimienny organ uczestniczący w dziele zapłodnienia, poczęcia, rozwoju zarodka, reprodukcją tę zasadniczą cechę i potem ginący; kobiety z rodziny Snopesów, niezdolne urodzić Snopesa, były więc nieszkodliwe, w przeciwieństwie do moskitów, wśród których samiczka jest uzbrojona i zdolna przekazywać zarazki malarii. Może jednak było to zrzędzenie nie tyle przyrody, ile boskie, dzieło czujnej i nieomyślnej ręki Boga, bo inaczej Snopesowie od dawna posiadliby nie tylko miasto Jefferson w Missisipi, ale całą ziemię.

Teraz bowiem Flem Snopes był już wiceprezesem instytucji, zwanej nadal bankiem pułkownika Sartorisa. Tak, nasz bank, jak wszystkie inne na świecie, miał wiceprezesów. Tylko że dotychczas nikt na nich nie

zwracał uwagi w Jefferson; nowy wiceprezes należał niejako do kategorii ludzi, którzy zdobyli prawo do tytułu majora czy też pułkownika przez osobisty wkład czasu lub pieniędzy lub wpływu podczas kampanii wyborczej gubernatora, w przeciwieństwie do tych, którzy jak Manfred de Spain lub nasz Sartoris prawo do tytułów odziedziczyli po ojcach czy dziadkach, rzeczywistych uczestnikach kawaleryjskich szarż na jankeskie pułki.

Tak więc z żyjących wiceprezesów banku Flem Snopes pierwszy ściągnął na siebie powszechną uwagę. Dowiedzieliśmy się, że przejął tę godność w spadku po awansującym o szczebel wyżej Manfredzie de Spain. i znaleźliśmy przyczynę: sprawił to pakiet akcji starego Billa Varnera dodany do udziałów, które (jak teraz odkryliśmy) Flem skupywał od pewnego czasu gdzie się dało, a także głos samego de Spaina. Wszystko w porządku, fakt dokonany, za późno, by go odrobić; byliśmy przyzwyczajeni do naszej miejscowej rasy czy odmiany wiceprezesów i po żadnym z nich, choćby nazywał się Snopes, nie oczekiwaliśmy niczego prócz dostosowania się do przyjętego szablonu.

Tymczasem ku naszemu zdumieniu nowy wiceprezes usiłował spełniać te funkcje tak, jak je sobie Snopesowie wyobrażali czy przynajmniej, jak je Flem Snopes pojmował. Zaczął spędzać większą część dnia w banku. Nie w gabinecie, gdzie przesiadywał niegdyś pułkownik Sartoris a po nim Manfred de Spain, lecz w hallu, stojąc w pewnej odległości od okna i obserwując klientów, jak wchodzili i wychodzili, przynosili i odbierali swoje pieniądze, a zawsze miał na sobie małą sukienną czapkę i krawat związany w muszkę, jak wtedy, gdy przed trzynastu laty przybył do miasta, i zawsze ruszał nieznacznie i nieustannie szczękami, jak gdyby coś żuł, chociaż w ciągu tych trzynastu lat nigdy nie spostrzegłem, żeby odpluwał.

Pewnego dnia zobaczyliśmy go na tym posterunku w hallu bankowym i nawet go nie poznaliśmy. Stał na zwykłym miejscu, nieco na uboczu, tak, by nie zagradzać drogi od drzwi wejściowych, lecz by je mieć na oku. (Nie wiedzieliśmy, czy śledzi, ile pieniędzy napływa, czy też, ile ucieka; może przykuwała go do tego miejsca po prostu troska

o wypłacalność banku, który — z tytułu mandatu czy pełnomocnictwa — do niego teraz należał: może czuł się dumny, że chociaż ludzie wynoszą pieniądze, zawsze znajdzie się ktoś, kto wpłaci w porę swego dolara wyrównując ubytek; a może był przekonany, że nadejdzie nieuchronnie ta chwila, gdy de Spain lub ktoś inny, na kogo spadnie ten obowiązek, podejdzie z głębi banku do okienka kasy i powie: „Bardzo mi przykro, moi państwo, ale nie możecie podjąć swoich pieniędzy, bo już ich nie ma”. Może bojąc się tej chwili Flem chciał upewnić się, że nie ma powodu do obaw.)

'Tym razem nic poznaliśmy go. Miał jak zwykle krawat, związany w muszki,' szczeki jego poruszały się, nieznacznie i nieustannie, ale na głowie czapkę zastąpił kapelusz, nowy czarny lilcowy kapelusz z szerokim rondem, jaki noszą wiejscy kaznodzieje i politycy. Nazajutrz Klem był już we wnętrzu okratowanej kabiny, w której znajdowały się pieniądze i z której stalowe drzwi prowadziły do betonowego skarbcza, gdzie je przechowywano przez noc. Wtedy zrozumieliśmy, że Klem już nie śledzi ruchu pieniędzy, bo na ten temat wie już wszystko, co trzeba. Teraz chciał poznać rachunki, sposób prowadzenia ksiąg.

Myśleliśmy, a przynajmniej paru z nas myślało, że przygotowuje się, aby pouczyć swego siostrzeńca czy też kuzyna Byrona, jak obrabować na dobre bank. Ale Ratlil (oczywiście Ru tili) szybko nas wyprowadził z błędu.

— Nic, nie — powiedział — on tylko próbuje zrozumieć, jak można do tego stopnia lekceważyć pieniądze, by dopuścić, że je ukradł ktoś tak mało sprytny jak Byron Sno- pes. Wy, moi drodzy, nie znacie Flema. On zanadto czci i szanuje nie tylko pieniądze, ale także chytrych, żeby jedno i drugie obrazić i poniżyć przez ordynarne złodziejstwo lub rabunek.

Od tego dnia widywano Snopesa we wnętrzu okratowanej kabiny, jak gdyby był pracownikiem pobierającym w każdą sobotę ty

1. »

godniówkę; siał bez marynarki, z szelkami na koszuli, lecz zawsze w kapeluszu, za plecami Księgowych j studiował sztuki; prowadzenia banku. Dowiedzieliśmy się, że ilekroć ktoś; przychodził zwrócić dług lub zapłacić odsetki czy też zaciągnąć pożyczkę (z wyjątkiem starych krewkich klientów pamiętających czasy pułkownika Sartorisa, bo ci przepędzali Kleina z gabinetu na tyłach banku nie czekając, aż zrobi to de Spain, i nawet nie pytając de Spaina o pozwolenie), Klem był przy tym, ruszał szczękami, patrzył i uczył się pilnie. Wtedy właśnie Itatilit powiedział, że fejnopsowi pozostało już tylko nauczyć się takiego wypisywania kwitów dłużniczych, żeby klient zaciągający pożyczkę nic mógł odczytać ani terminu spłaty, ani stopy procentowej; tak robił to pułkownik Sartoris (krążyła nawet legenda czy anegdota, że kiedyś pewien klient ze wsi, iarmer, wziął kwit, obejrzał, odwrócił, znów obejrzał i oddał pułkownikowi mówiąc: „Co tu napisano, panie pułkowniku? Nie mogę odczytać”. Pułkownik wziął kwit, popatrzył, odwrócił papierek, znów popatrzył, wreszcie przedarł i rzucił do kosza. „Niech mnie diabli ---- powiedział jcsJi ja to mogę odczytować. Wiesz co, Tomie, spróbuję napisać drugi”). Gdyby Snopcs to umiał, nie potrzebowałby się już niczego więcej uczyć, żeby zostać w .Jefferson dyplomowanym bankowcem.

Niewątpliwie nauczył się także tej sztuki. Pewnego dnia zauważyliśmy, że nie ma Sno-

pesa w banku. Nie pokazał się nazajutrz ani trzeciego, ani czwartego dnia. Przed dwudziestu laty, gdy otwarto bank, pani Jehnie du Pré, siostra pułkownika Sartorisa, ustawiła w kącie hallu ogromny figowiec. Roślina, wyższa od człowieka, zajmowała tyle miejsca, co ustęp, i przeszkadzała wszystkim, a latem z jej powodu nie można było otworzyć szeroko drzwi wejściowych. Pani du Pré nie pozwalała jednak pułkownikowi ani żadnemu członkowi zarządu usunąć tej zawalidrogi, należała bowiem do wyznawców teorii, że w każdym zaludnionym wnętrzu powinna znajdować się zieleń wchłaniająca z powietrza trujące wyziewy. Nikt co prawda nie umiałby wytłumaczyć, dlaczego tę funkcję musi spełniać potwornie wielki figowiec; może pani du Pré uważała, że tylko tak 'duże, trwałe, krzepkie i żywiczne drzewo może pomóc na miazmaty niepokoju i podniecenia wydzielane wokół góry pieniędzy, którymi oczywiście będzie operował bank jej brata, Sartorisa, syna starego pułkownika Sartorisa.

Gdy więc dni 'mijały, a Snopes wciąż nie pokazywał się na posterunku, z którego śledził przedtem wszelkie operacje kredytowe i pożyczkowe, wpłaty i wypłaty (a raczej, kto pieniądze przynosi, kto wynosi i ile, bo, zdaniem Ratliffa, głównie to interesowało Flema), mieliśmy wrażenie takiej pustki, jakby figowiec pani du Pré zniknął nagle z hallu porzucając wartość. A gdy czas dalej płynął i zrozumieliśmy, że Snopes na to miejsce już nie wróci, byliśmy wstrząśnięci, jakby nam powiedziano, że figowiec wywleczono stąd, spalono, unicestwiono raz na zawsze. Można by pomyśleć, że cały długi łańcuch splatających się z sobą zdarzeń: założenie banku przez takiego sentymentalnego człowieka, jak pułkownik Sartoris, po to — jak twierdził Ratliff — żeby facet nie sprytniejszy niż Byron Snopes miał okazję do kradzieży; wyścigowy samochód, którym Bayard Sartoris jeździł za szybko po naszych wiejskich drogach (panie z Jefferson tłumaczyły, że Bayard nie mógł przeboleć straty poległego w boju bliźniego brata i sam też szukał śmierci, ale ja myślę, że Bayard polubił wojnę i gdy się skończyła, nie mogąc wojować wzdragał się przed okrutną perspektywą podjęcia jakiejś pracy), tak że w końcu jego dziadek zaczął jeździć z nim razem pragnąc zmusić go do zwolnienia tempa; wynikała z tego regulaminowa kontrola przed reorganizacją banku i wykrycie popełnionych przez Byrona Snopesa kradzieży; w konsekwencji broniąc dobrego imienia instytucji, do której ufundowania przyczynił się jego ojciec, Manfred de Spain musiał dopuścić Flema Snopesa na stanowisko wiceprezesa — można by pomyśleć, że cały ten splot okoliczności zmierzał jedynie do tego, by Flem Snopes zmienił kraciatą czapkę na czarny kapelusz polityków i kaznodziejów, który, jak się zdawało, musiał mu grać głowę.

Bo stale odtąd nosił ten kapelusz. Mogli

śmy o tym się przekonać codziennie na Rynku. Ale nigdy już nie widywano go w banku, w jego banku, gdzie nie tylko zasiadał w radzie nadzorczej, ale także zajmował drugi w oficjalnej hierarchii szczebel, tuż poniżej szczytu. Nie bywał tam nawet po to, żeby zdeponować własne pieniądze. O tak, wiedzieliśmy to, za prawdziwość tej informacji ręczył nam Ratliff, a Ratliff z pewnością już wtedy musiał znać fakt tej wagi. Po wielu latach pracy, żeby zdobyć i utrwalić jedyną w swoim rodzaju pozycję, jaką zajął w Jefferson, Ratliff nie pozwoliłby sobie, nie ośmieliłby się pokazać na ulicy, jeśli by nie miał wyrobionego zdania o wszystkich ogólnych i poszczególnych sprawach, które w gruncie rzeczy nie były jego sprawami. Ratliff wiedział, że Flem Snopes nie tylko nie jest już klientem banku, w którym piastuje godność wiceprezesa, ale w drugim roku przeniósł swoje konto do konkurencyjnej instytucji w Jefferson, do starego banku.

A więc wszyscy znaliśmy odpowiedź na to pytanie. To znaczy, że od początku mieliśmy rację wszyscy, z wyjątkiem Ratliffa, który usiłował nam wyperswadować wspólnie powzięte przekonanie. Obserwowaliśmy Flema, gdy za okratowanym okienkiem banku uczył się zawitych metod bankowości, sondując pracowicie, by odkryć prostacki i niezgrabny sposób, jakiego użył jego kuzyn czy siostrzeniec Byron w swej drobnej, mało ambitnej malwersacji; obserwowaliśmy Fle-

i ma, jak wchodził i wychodził ze skarbca badając rytm nurtu, przyplawy i odpływy gotówki, żeby wybrać moment, gdy rabunek najbardziej się opłaci; myśleliśmy teraz, że j w oczekiwaniu na ten moment Flem chce zabezpieczyć sobie stuprocentowy zarobek urządzając się zawczasu tak, by wśród ukradzonej sumy ani jeden cent nie pochodził przypadkiem z jego własnej kieszeni.

! — Nie — rzekł Ratliff. — Nie.

— W takim razie sam sobie zaszkodzi — powiedziałem. — Czy nie przewiduje, co się stanie, gdy inni klienci, zwłaszcza ignoranci, j którzy mało wiedzą o sprawach bankowych, i dobrze poinformowani, którzy za dużo wiedzą o Snopesach, odkryją, że wiceprezes banku nie trzyma w nim nawet kieszonkowych i pieniędzy?

— Nie. Mówię wam, że nie — powtarzał Ratliff. — Wy, moi drodzy...

— A więc ma nadzieję, życzy sobie, marzy, że spowoduje run na swój własny bank. Chce go nie obrabować, ale spustoszyć, zniszczyć. Przypuśćmy. Ale po co? Żeby zemścić się na Manfredzie de Spain za uwiedzenie mu żony?

[— Nie, nie. Przecież wam mówiłem — powiedział Ratliff — że wcale nie rozumiecie Flema, wy wszyscy go nie rozumiecie. Wiercie mi, on nie tylko szanuje pieniądze, ale ma dla nich prawdziwą cześć. Za nic w świecie nie chciałby zaszkodzić bankowi. Bo każdy bank, ten czy inny, reprezentuje pieniądze, a Flem nigdy nie znieważy ani nie poniży

pieniędzy przez złe obchodzenie się z nimi. Raz mu się to zdarzyło i nigdy tego nie powtórzy, bo tego jednego postętku wstydzi się w całym swoim życiu. Mam na myśli tę dawną historię z miedzią w elektrowni. Myślę, że Flem po dziś dzień budzi się czasem w nocy i na samo wspomnienie tamtej sprawy kuli się i wiję w łóżku. Nie dlatego, że stracił na tym interesie, bo nikt nie wie i nigdy się nie dowie, czy rzeczywiście stracił, czy nie, bo nikt dotychczas nie wie, ile tej miedzi zdążył sprzedać, zanim popełnił błąd próbując jej się pozbyć hurtem za pośrednictwem Toma Toma Birda i Toma Beauchamp. Wstydzi się, ponieważ zdobywając pieniądze tym sposobem, spadł w błoto, pomiędzy ludzi, którzy pieniądze marnują, bo najpierw je kradną, a potem nie mają gdzie ich ulokować tak bezpiecznie, żeby nie zniknęły, gdy je na chwilę spuszcza z oczu.

— Więc o co mu chodzi? — spytałem. — Co on knuje?

■— Nie wiem — powiedział Ratliff. I nie tylko ta odpowiedź, to przyznanie się, że nie umie odpowiedzieć na jakieś pytanie, brzmiało w jego ustach obco, ale Ratliff mówiąc to nie był do siebie podobny; jego zwykle uprzejma, gładka, drwiąca, nieprzenikniona twarz miała wyraz może nie speszonej, ale niewątpliwie poważny. — Po prostu nie wiem. Możemy tylko się domyślać. Właśnie dlatego dzisiaj do ciebie przyszedłem, licząc, że może ty coś przypadkiem wiesz. — I Ratliff znów stał się sobą, kpiarzem pełnym humoru i niewyczerpanych zasobów... może powinien bym powiedzieć nie optymizmu, odwagi czy nawet nadziei, lecz raczej zdrowego rozsądku i może wręcz naiwności. — Ale oczywiście ty także nic nie wiesz. Do licha, w tym właśnie sęk, że gdy o niego chodzi, nigdy nic z góry nie wiadomo, nie sposób przewidzieć. Zupełnie jak z królikiem albo z grubszą zwierzyną, czy ze stworzeniem bardziej jadowitym, z ostrzejszymi zębami, gdy się na nie poluje w wysokiej trawie czy też w zaroślach. Zauważysz, że krzaki się poruszają, ale nie widzisz, co tam przemyka i dokąd zmierza, dopóki zwierzak nie wychynie. Wtedy jednak widzisz go wreszcie i zwykle nie jest jeszcze za późno. Oczywiście trzeba się spieszyć, gdy tylko go zobaczysz, on ma nad tobą przewagę, bo już jest w ruchu, wie, dokąd idzie, a ty stoisz w miejscu, bo nic nie wiesz. Ale zwykle nie jest jeszcze za późno..

Wówczas to po raz pierwszy krzaki się poruszyły. Następny raz zdarzył się niemal w rok później. Ratliff wszedł, powiedział: — Dzień dobry. — Był znów sobą, łagodny, gładki, uprzejmy i trochę zanadto, diabelnie inteligentny.

— Wyobrażam sobie, że chcesz pierwszy usłyszeć ostatnie nowiny jako, można by powiedzieć, członek rodziny z nieszczęśliwego przypadku i przez nieostrożność. Nikt do tej pory o tym nie wie, z wyjątkiem dyrekcji banku Jefferson.

— Banku Jefferson? — spytałem.

— Właśnie. Chodzi o tego nieprawdziwego Snopesa, syna Ecka, również nieprawdziwego Snopesa, który wyleciał w powietrze od wybuchu pustego zbiornika po benzynie. To było wtedy, kiedy ty wojowałeś gdzieś daleko. Eck tracił próżno czas na szukanie dziecka, które wcale nie zginęło, tylko tak się jego mamusi uroiło...

— Wiem — powiedziałem. — Wallstreet Panic. — Bo już znałem jego historię: nieprawdziwy Snopes, syn nieprawdziwego Snopesa, miał szczęście natrafić wcześniej w życiu na dobrą kobietę (a może to ona go wyszukała), nauczycielkę w drugiej klasie szkoły podstawowej, która poznała się widocznie na niezwykłym zjawisku Snopesa-nie-Snopesa i nie tylko wyjaśniła, co znaczy Wallstreet Panic, ale też wytłumaczyła, że, jeśli chce, może się pozbyć tego imienia, żeby jednak zmiana nie była zbyt gwałtowna, poradziła mu po prostu skrócić je na Wall, bo Wall jest szacownym nazwiskiem, nosił je z honorem dzielny generał z Missisipi, uczeń bitew pod Chickamauga i Lookout Mountain; nie przypuszczała, żeby nie będąc Snopesem potrzebował specjalnego przypomnienia o cnotcie odwagi, ale pamięć o niej nikomu nie może zaszkodzić.

Wiedziałem, że Wall podjął pieniądze, które towarzystwo naftowe przyznało wdowie tytułem odszkodowania za dziwaczną, niepotrzebną i niegodną Snopesa śmierć jego ojca, z czego stał współwłaścicielem skromnego sklepiku spożywczego przy bocznej ulicy, gdzie popołudniami pracował jako rachmistrz i chłopiec na posyłki w godzinach wolnych od zajęć szkolnych i w soboty; nadal ciułał tak, że po zgonie i starego współnika mógł wykupić jego udział i odtąd sam gospodarował w sklepie. Wiedziałem, jak się ożenił ten Snopes, który nigdy nie był Snopesem i nie miał nic wspólnego ze Snopesami, ale był tak przewrotny, że święcie wierzył nie tylko we wsapaniałomyślność, ale także w dobry smak; i nie tylko dobry smak, ale zwyczajną głupią, naiwną, bezinteresowną wsapaniałomyślność cenił wyżej niż własną reputację; nie dbał o to, co powie miasto, kiedy się dowie, że oświadczył się o rękę kobiety starszej od siebie o dziesięć lat.

Zrobił to nie czekając nawet na uroczystość rozdania dyplomów — na ten dzień, gdy pojechał się w sztywnym nowiuteńkim sukiennym garniturze przedelfilował wśród ciszy konających ciętych kwiatów przez estradę w auli szkolnej i z rąk dyrektora otrzymał swoje świadectwo — zrobił to tego samego dnia, gdy stwierdził, że skończył szkołę i raz na zawsze wychodzi z kręgu jej dobroczynnego czy też złego wpływu. (Miał dziewiętnaście lat; siedem lat upłynęło, odkąd Wall i jego sześciu letni brat wstąpili do tej samej klasy. W ostatnim roku uchodził za tak dobrego ucznia, że i nie wymagano od niego składania egzaminów.) Tego więc dnia opuścił sklep, którego

był już wówczas faktycznym, chociaż nieoficjalnym właścicielem, i pospieszył, żeby w chwili, gdy dzwonek szkolny ogłaszał koniec roku, stanąć obok niej na rogu ulicy i patrzeć, jak wybiega najpierw gromada malców z przedszkola, a potem dzieci z pierwszej i drugiej klasy, jak ten tłum liliputów rozdziela się omijając ich stojących razem, niby strumień opływający parę czapli, i nie próbując nawet dotknąć jej ręki na oczach całej tej dzieciarni z Jefferson, zaproponował małżeństwo nauczycielce, wychowawczyni drugiej klasy; ale ona — podobnie jak inna nauczycielka, która przypadkiem znalazła się w pobliżu — spojrzała na niego oszołomiona i podniosła obronny gest ramię, a potem wybuchnęła płaczem nie zważając na miejsce i na obecność setki uczniów, którzy wszyscy w ciągu ostatnich kilku lat przeszli przez jej klasę, dla których była nauczycielką, niezawodnym autorytetem.

Wreszcie odprowadził ją stamtąd na ustronne, puste boisko i osłonił własną osobą, gdy ocierała jego chustką oczy i usiłowała się opanować, a później, wbrew przepisom szkolnym i z pogwałceniem przyjętych zwyczajów, schronili się oboje w pustej klasie, w zapachu kredy, w atmosferze napięcia umysłowego i suchych, nieustępliwych faktów; nauczycielka tam go zaprowadziła, ale nie po to, żeby przypieczętować zaręczyny pocałunkiem, nie po to, żeby mógł jej bodaj dotknąć i nawet nie po to, żeby mu przypomnieć, że miała już skończone dwadzieścia dwa lata, kiedy on siedem lat temu zgłosił się do szkoły, że po dwunastu miesiącach ocknąłby się i zrozumiał, iż jest od roku pośmiewiskiem dla całego miasta. Ta kobieta, która okazała się dość domyślna, żeby przed siedmiu laty odgadnąć, co jest naprawdę wart Wallstreet Panic, była czymś więcej: prawdziwą damą, toteż otarłszy łzy stała się znowu panną Wyott, a raczej „panną Vaiden”, jak nazywały ją dzieci z południowego miasta, i nie uraczyła go żadnym z tych małostkowych argumentów, ale po prostu oznajmiła, że jest już zaręczona i że pragnęłaby zapoznać go ze swoim narzeczoną, ponieważ z pewnością zaprzyjaźnią się ze sobą.

Na razie musiał na tym poprzestać, a lepiej zrozumiał jej zachowanie dopiero później, gdy mu przybyło sporo lat i rozsądku. Nie można jednak powiedzieć, że odkrył prawdę poniewczasie, nie, nie stało się tak, bo czyż nie mówiłem już, że panna Wyott była osobą rozumną, a nawet obdarzoną czymś lepszym od rozumu, bo darem przewidywania? Trzeba też pamiętać, że rodzina jej pochodziła ze wsi (rodzice nadal tam mieszkali, obok brodu na rzece, gdzie mieli prom, zanim jeszcze Jefferson rozwinęło się i stało takim miastem, jakim jest obecnie), bardzo więc możliwe, że panna Wyott miała upatrzoną już dziewczynę dla Walla, bo w tydzień później zawiozła go do niej i prawie dosłownie powiedziała mu: „To jest żona dla ciebie”, a w miesiąc później

Wall prawdopodobnie nawet nie spostrzegł, że nic nie wie o losach panny Wyott, która tymczasem po dziesięciu latach pracy w tej samej wciąż drugiej klasie porzuciła szkołę w Jefferson i przyjęła pracę w Bristolu, w Wirginii; nie myślał o tym, bo nim nadszedł jesienią początek nowego roku szkolnego, był już od dwóch miesięcy mężem energicznej, ognistej i wcale niebrzydkiej dziewczyny, dorównującej mu ambicją i płonącej bardziej jeszcze — o ile to możliwe — namiętną wolą wydobycia się z tego bagna, z tego grzęzawiska, z tego cuchnącego błota, z którego mąż jej (wierzyła w to oczywiście) już się wyrwał własnym wysiłkiem; ona teraz prowadziła rachunki w sklepie, podczas gdy matka Walla gotowała i gospodarowała w domu; ona, chociaż nie ważyła wówczas nawet stu funtów, zastępowała chłopaka w zamiataniu, przetaczaniu beczek z mąką i melasą, w posyłkach i rozwożeniu zamówionych telefonicznie towarów na rowerze, póki nie zdobyli się w końcu na zakup używanego Forda; dzięki temu młodszy brat Walla, Admiral Dewey, mógł chodzić do szkoły, do której bratowa posyłała go nie pytając nawet, czy chce, czy nie chce.

Tak, wszyscy to wiedzieliśmy, to była część składowa naszego folkloru czy też, jak kto woli, wiedzy o Snopesach. Wiedzieliśmy, że drugą osobą, która odkryła, że jest w rodzinie młody mężczyzna zdecydowany dorobić się uczciwością i pracą, był sam Flem; Flem więc próbował wkupić się do przedsiębiorstwa czy przynajmniej pożyczyć Wallowi pieniędzy na jego rozbudowy; wiedzieliśmy też, kto odrzucił tę ofertę. Właściwie, znając już trochę Walla, pragnęliśmy wierzyć, że on sam i tak by odrzucił propozycję Flema. Ale odkąd poznaliśmy jego żonę, byliśmy pewni takiego obrotu rzeczy. Wall w pocie czoła nauczył się być rachmistrzem i współnikiem, teraz w pocie czoła musiał się uczyć, jak samodzielnie rządzić sklepem; niewątpliwie w tym początkowym okresie nakupił za wiele towarów i musiał zwrócić się o pomoc do banku pułkownika Sartorisa.

Wtedy po raz pierwszy uświadomiliśmy sobie, że , Flem Snopes jest rzeczywiście członkiem rady nadzorczej banku w Jefferson. To znaczy, że Flem Snopes rzeczywiście zdolny jest pełnić te funkcje. Oczywiście, już przedtem widywaliśmy jego nazwisko pomiędzy innymi na dorocznym sprawozdaniu, nad facsimile nieczytelnego podpisu pułkownika Sartorisa, prezesa banku, ale wyciągaliśmy z tego tylko logiczny wniosek, że stary Will Varner znalazł sobie w zięciu pełnomocnika, aby nie fatygować się osobiście do miasta na głosowanie. Inaczej mówiąc, Manfred de Spain będzie mógł rozporządzać także udziałami w mja Billa, jeśli zechce coś przeprowadzić.

Wiedzieliśmy, myśleliśmy, oczywiście, że Flem próbował wkupić się do przedsiębiorstwa Walla, dopomóc mu prywatną pożyczką,

zanim jako członek zarządu banku odmówił mu pożyczki bankowej. Zdawało nam się, że wszystko rozumiemy doskonale; ale nie zdawaliśmy sobie sprawy, jaki wpływ miał Flem na akwizytora, którego skłonił, żeby Walla namówił na wielkie zakupy, i na hurtownika z St. Louis, którego skłonił, żeby Wallowi sprzedawał towary na kredyt; prawdopodobnie użył tych samych zaklęć i czarnej magii, do jakiej zamierzał się uciec, żeby uniemożliwić Wallowi po odmowie banku Sartorisa uzyskanie pożyczki w drugim banku, w banku Jefferson.

Nigdy jednak nie istniały wątpliwości co do tego, które z małżonków odrzuciło ofertę Flema. Wszyscy widzieli tego ranka żonę Walla, chudą, nie tyle zdenerwowaną, ile wściekłą, nie ważącą więcej niż sto funtów i mimo sześciu miesięcy małżeństwa lekką jak nimfa, jak łania, biegnącą nie wokół Rynku chodnikiem dla pieszych, lecz na przełaj, śmigającą między samochodami, końmi i wozami, prosto do banku. (Nie mieliśmy pojęcia, w jaki sposób dowiedziała się, zgadła tak szybko, że mężowi jej odmówiono pożyczki, ale, jeśli się zastanowić, wydaje się to zupełnie jasne: czysta, żywiołowa, odruchowa antypatia do Snopesów ocknęła się natychmiast, gdy zdrowy rozsądek powiedział kobiecie, że odpowiedź przychylna nie wymagałaby tak długiego czasu, i przypomniał, że nie darmo Flem Snopes jest członkiem zarządu.) Wpadła do hallu krzycząc: „Gdzie on jest? Gdzie jest Wall?” — a kiedy odpowiedziano jej: „Już wyszedł” — wybiegła nie w desperacji, ale w furii i pośpiechu, na ulicę, gdzie ktoś inny z kolei wskazał jej, w którą stronę Wall poszedł, a mianowicie ku bocznej ulicy, gdzie Flem mieszkał w wynajętym domu i gdzie załatwiał wszelkie interesy, nie mając innego biura czy przedsiębiorstwa; biegła, póki nie dogoniła męża, i zatrzymała go w porę. Wszyscy też mogli widzieć tę scenę: objęła go ramionami na ulicy, w biały dzień, czego nie zrobiłaby w Jefferson żadna najbardziej zakochana dziewczyna, i krzyczała takie słowa, jakich żadna szanująca się kobieta nie wymawia publicznie (płakała też, ale bez łez, szlochała tylko, jakby łyzy w zetknięciu z rozgorączkowaną, napiętą, nieustępliwą twarzą parowały i schły błyskawicznie). Krzyczała: „Nie waż się tego robić! Przeklęte Snopesy! Niech ich diabli wezmą! Niech ich diabli!”

Myśleliśmy, oczywiście, że ojciec jej, drobny farmer, ale ciułacz, znalazł dla nich jakimś sposobem gotówkę. Bo Wallstreet uratował swój sklep. I dzięki temu doświadczeniu nauczył się nie tylko, jak gospodarować kapitałem obrotowym, ale także odkrył inny sekret powodzenia. W następnym roku wynajął (a potem kupił) sąsiedni sklep i urządził w nim magazyn; odtąd mógł kupować towary hurtem po tańszych cenach. W rok później wynajął na magazyn budynek ostatniej w Jefferson firmy wynajmu koni i powozów,

zburzył ścianę dzielącą dwa sklepy i stał się właścicielem pierwszego w naszym mieście samoobsługowego sklepu kolonialnego, tego typu, jaki później rozpowszechnił się w handlu spożywczym, gdy przejęły go wielkie firmy mające filie rozrzucone po całym kraju. Ulica, przy której sklep się mieścił, stykała się pod kątem prostym z boczną uliczką, gdzie była dawna restauracja Snopesów, tak że namiot, w którym Wall spędził pierwsze noce po przybyciu do miasta, znalazł się teraz tuż na tyłach jego magazynu. Wall kupił czy może wynajął ten plac (w Jefferson było już wtedy mnóstwo samochodów) i urządził na nim parking, zachęcając w ten sposób gospodynie, aby nawet z daleka przyjeżdżały tutaj na zakupy i zabierały je do domów własnymi środkami lokomocji.

Tymczasem my sądziliśmy — a przynajmniej ja wciąż jeszcze myślałem — że to teść zdobył pieniądze, by wyratować Walla od bankructwa, lecz pewnego dnia wreszcie dowiedziałem się prawdy.

— Nie może być — powiedziałem. — A więc to ty.

— Ja — rzekł Ratliff. — Nie chciałem nic prócz kwitu. Ale on uparł się, żeby mnie przyjąć na wspólnika. Powiem ci, co zamierzamy teraz zrobić. Otworzymy hurtownię.

— Co takiego?

— Spółkę akcyjną na wielką skalę, taką jak są w St. Louis, ale na miejscu, w Jefferson. W ten sposób kupcy z naszego okręgu,

zamiast przepłacać za transport każdej garstki towarów albo też dla oszczędzania kosztów przeciążać ciężarówki i narażać delikatniejsze artykuły na zniszczenie, będą mogli kupować wszystko, co zechcą, w pobliżu, po umiarkowanych cenach, nie dopłacając za przewóz.

— Nadzwyczajne — powiedziałem. — Dlaczego sam nie wpadłeś na ten pomysł już przed laty?

— Rzeczywiście — odparł Ratliff. — A dlaczego ty na to nie wpadłeś?

— Nadzwyczajne — powtórzyłem. I dodałem: — Do stu piorunów, macie jeszcze akcje na zbyciu?

Moglibyście kilka mnie sprzedać?

— Czemu nie? Przecież nie nazywasz się Snopes — powiedział Ratliff. — Może nawet dopuścilibyśmy cię, gdybyś nazywał się Snopes, byleś nie miał na imię Flem. Ale przede wszystkim musisz znaleźć łaskę w jej oczach. Mówię o żonie Walla. Powinieneś czasem zajrzeć do nich i usłyszeć chociaż raz, jak ona mówi: „Niech diabli wezmą Snopesów”. Pewnie, my wszyscy nieraz to myśleliśmy, a niejednen z nas nawet mówił głośno. Ale z nią inna sprawa. Ona im tego naprawdę życzy. I nie pozwoli Wallowi nigdy przejść na ich stronę.

— Owszem — powiedziałem. — Mówiono mi o tym. Dziwię się, dlaczego nie zmieniła nazwiska.

— Nie, nie rozumiesz — odparł Ratliff. — Ona nie chce zmieniać nazwiska. Chce je

przewyciężyć. Nie usiłuje Walla za włosy wyciągnąć z gniazda Snopesów, uciec od nich. Chce Snopesów obmyć z brudu. Zwalczyć na ich własnym polu. Zajrzyj do nich i posłuchaj.

— Hurtownia — powiedziałem. — A więc dlatego Flem...

Byłbym palnął głupstwo, lecz Ratliff mi je wyjął z ust.

— ... dlatego Flem przeniósł rachunek do innego banku? Nie, nie. My nie uciekamy się tym razem do pomocy tutejszych banków. Nie potrzebujemy ich. Flem pierwszy w Jefferson przekonał się o tym. Wall ma kredyt u wielkich hurtowników i pośredników, z którymi mamy do czynienia. Oni rozumieją, że nie będziemy nikomu szkodzili w interesach, przeciwnie, pomożemy. Bank nam niepotrzebny. Ale chcemy... to znaczy Wall chce zachować całą sprawę w swoim kółku. Więc jeśli masz ochotę na te akcje, pogadaj z nim.

— Pogadam — rzekłem. — Ale co knuje Flem? Dlaczego zaraz po wejściu do zarządu banku de Spaina odebrał stamtąd swoje pieniądze? Jest przecież nadal wiceprezesem, musi mieć udziały. Ale pieniądze nie trzyma w tym banku. Dlaczego?

— Och, to cię niepokoi? — powiedział Ratliff. — No cóż, jeszcze nie wiemy na pewno. Tymczasem obserwujemy tylko krzaki i widzimy, że się kołyszają. — Twarz Ratliffa i j^g glos zawsze jak gdyby należały do dwóch różnych ludzi. Ten drugi Ratliff dawał ci lojalnie szansę zrozumienia, co ma na myśli pierwszy, ale musiałeś być sprytny. Tym razem jednak drugi Ratliff usiłował mi powiedzieć coś, czego pierwszy, nie wiem dla jakiej przyczyny, nie chciał albo nie mógł wyrazić słowami. — Dopóki ta kobieta żyje, Flemowi nie uda się chwycić Walla nawet za mały palec. Tak więc Ecka Snopesa możemy wykreślić. I. O. Snopes nigdy się nie liczył, bo ten nawet sam sobie nie umie radzić, więc tym bardziej nie jest wart dla kogoś, kto musiałby dzielić się z nim zyskiem. Nie ma więc już Snopesów w zasięgu ręki człowieka, który by chciał zaprząć ich do roboty i orać w nich płacąc cząstką plonów.

— Jest jeszcze ten... — powiedziałem.

— Rozumiem — rzekł Ratliff. — Wymówię to imię za ciebie. Montgomery Ward. Zakład fotograficzny. Ale Flem od początku nie był tam ani razu, więc jasne, że nie zamierza interesować się tą imprezą. Zauważ, że od przeszło roku nie pokazała się na wystawie ani jedna nowa fotografia, a Jason Compson od drugiego miesiąca po otwarciu zakładu zgłasza się w imieniu swojej matki po czynsz bardzo punktualnie, więc Flem niewątpliwie od pierwszej chwili zorientował się, że na ten interes szkoda tracić czasu. Toteż nie widzę w mieście nic, co by mogło nęcić Flema, prócz jednej jedynej rzeczy.

— Coś tu wydaje się nie w porządku, ale mów dalej — powiedziałem.

Została mu jeszcze ta cenna dwudziestodolarówka.

Jaka znów dwudziestodolarówka?

— Nie pamiętasz? Opowiadałem ci kiedyś, że wiejski chłopak wybierając się pierwszy raz w życiu do Memphis zaszywa pod podszewkę banknot dwudziestodolarowy, żeby mieć pieniądze na powrót do domu.

— Mów dalej, teraz już musisz powiedzieć coś więcej.

— Jaka jest w Jefferson jedyna rzecz, której Flem jeszcze nie zdobył? Z tych, rozumie się, których mógłby pożądać. Rzecz, o którą zabiega może od dawna, od tego dnia, kiedy pułkownika Sartorisa wyniesiono z rozbitego samochodu i kiedy Flem wykorzystując akcje wuja Billa przegłosował kandydaturę de Spaina na prezesa banku?

— Godność prezesa — powiedziałem. — Nie! To niemożliwe! Do tego nie można dopuścić. — Ratliff tylko patrzył na mnie. — Nonsens! — powiedziałem.

— Dlaczego? — spytał Ratliff.

— Dlatego, że gdyby chciał użyć tej cennej dwudziestodolarówki, jak ty to nazwałeś, musiałby także użyć swojej żony. Wykluczam, żebyś ty bodaj na sekundę mógł uwierzyć, że jego żona zgodziłaby się z nim spiskować przeciw Manfredowi de Spain. — Ale Ratliff wciąż bez słowa patrzył na mnie. — Czy nie zgadzasz się z moim zdaniem? — spytałem. — Jakże Flem mógłby na to liczyć?

Ratliff tylko patrzył na mnie.

— To się okaże, kiedy on wreszcie wyjdzie z krzaków — powiedział. — Na światło dzienne, żebyśmy go mogli zobaczyć. Na otwartą polaną. A co jest dla niego tą polaną?

— Jaką polaną? — spytałem.

— Co jest jego celem? Powiedzmy, bodźcem, który go pcha przez chaszczki do celu?

— Głód. Chciwość. Pieniądze — rzekłem. — Czegóż innego mógłby pożądać?

Ale Ratliff tylko patrzył na mnie i dosłownie widziałem, jak wyraz napięcia znika i twarz Ratliffa znów staje się znajoma, łagodna, gładka, nieodgadniona i uprzejma. Sięgnął po swój zegarek, wart jednego dolara, uczepony na zasupłanym sznurowadle między dziurką od guzika i kieszonką na piersiach.

— Słowo daję, pora na kolację — powiedział. — Chodźmy.

IX. V. K. RATLIFF

o nic nie rozumiał. Nie rozumiał ani w zab.

X.

CHARLES MALLISON

końcu przyłapali Montgomery'ego Warda Snopesa. A właściwie przyłapali Grovera Clevelanda Winbusha. Jak mówił Ratliff, jeśli ktoś jest takim głupcem, że szmuglowany towar sprzedaje Groverowi Clevelandowi Winbushowi, to nie zasługuje na nic lepszego niż przyłapanie.

Ale wuj Gavin mówi, że i bez Grovera Clevelanda prędzej czy później Montgomery Ward musiał wpaść, bo Jefferson po prostu nie jest glebą, na której mógłby przyjąć się taki zawód, taka rozrywka czy też takie zainteresowanie, jakie Montgomery Ward próbował tutaj zaszczerpić. W Europie — owszem; u nas może w wielkich metropoliach, między bogaczami i cyganerią. Ale nie w okolicy zaludnionej przez cnotliwych baptystów.

A więc przyłapano Grovera Clevelanda. Pewnego wieczora, niezbyt późno, sklepy już były zamknięte, ale publiczność dopiero wracała do domów po drugim seansie w kinie; ten i ów, a może ■ nawet wszyscy po drodze zaglądali do sklepów i widzieli w drugistorze wuja Willy'ego Christiana dwóch mężczyzn majstrujących przy szafce z środkami medycznymi, z których wuj Willy Christian przyrządzał lekarstwa; a chociaż to byli jacyś obcy ludzie, chociaż nikt z przechodniów >■ ich nie znał, ci, co ich tam zauważyli, mówili nazajutrz, że nie mieli żadnych podejrzeń, bo godzina była wczesna, światła się paliły, a Grover Cleveland jako nocny policjant nie ma przecież nic innego do roboty, jak obchodzić rynek i zaglądać w okna, więc prędzej czy później z pewnością musiałby spostrzec obcych mężczyzn w drugistorze i zając się nimi, jeżeli tam weszli bezprawnie.

Dopiero nazajutrz, kiedy wuj Willy otworzył drugstore, stwierdził, że ktoś włamał się do kasy, z której wygarnął gotówkę, a co gorsza także do szafki aptecznej, skąd ukradł cały zapas morfiny i proszków nasennych. I właśnie to stało się przyczyną awantury. Ratliff twierdził, że gdyby złodzieje zabrali tylko pieniądze, a nawet wszystkie inne towary ze sklepu włącznie z alkoholem, który murzyński dozorca, Walter Christian, od dawna podkładał, bo lubił popijać jeszcze od czasów, gdy obaj, on i wuj Willy, byli chłopcami i razem zaczęli prowadzić drugstore, wuj Willy oczywiście krzyczałby i kłął, a może wreszcie wezwałby policję, ale na tym by się cała historia skończyła. Ponieważ jednak naruszono szafkę apteczną, gdzie przechowywał morfinę, narobił istnego piekła. Wuj Willy był starym kawalerem, lat około sześćdziesięciu; jeśli trafiło się na jego zły humor, potrafił nawet dzieci zwymyślać od ostatnich, ale jeśli ktoś uważał i wybierał na odwiedziny odpowiednią porę dnia, dostawał od wuja Willy'ego piłki i kijki do baseballu, a po meczu cała drużyna jadła u niego za darmo lody, zarówno zwycięzcy jak zwyciężeni. Tak bywało, póki pewnego

lata panie z komitetu kościelnego nie zaczęły wuja Willy'ego nawracać. Bo potem już nikt nie wiedział, kiedy można do niego zagadać, a kiedy nie. W końcu jednak panie dały mu na jakiś czas spokój i wuj Willy odzyskał humor.

Na dobitkę federalni inspektorzy narkotyków od dawna wuja Willy'ego napominali i karali za to, że trzyma morfinę w małej, kruchej drewnianej szafce, którą każdy może otworzyć za pomocą śrubokrętu, szczyrka czy wręcz szpilki do włosów, chociaż wuj Willy zamykał ją i klucz chował pod dużym słojem opatrzonym napisem „Nux Vomica”, na półce w zakamarku tak ciemnym, że nikt prócz właściciela tam się nie miał po co zapuszczać, nawet Walter, bo wuj Willy i tak w ciemnościach nie poznałby, czy ten kątek jest zamieciony, czy nie; za każdym upomnieniem wuj Willy musiał obiecywać inspektorom, że odtąd już na pewno będzie zamykał morfinę w sejfie.

Teraz więc czekały go dodatkowe kłopoty i tłumaczenie się przed inspektorami, dlaczego nie schował morfiny do sejfu, tak jak przyrzekł; mógł im dowodzić, że gdyby nawet to zrobił, włamywacze i tak by się do morfiny dobrali, ale nic by to nie pomogło, bo — jak mówił Ratliff — urzędników federalnych wcale nie interesuje, czy coś jest skuteczne, czy nie, a tylko na tym im zależy, żeby wszystko działało się w ścisłej zgodzie z ich przepisami.

Prawdziwym sprawcą przyłapania Montgo- mery'ego Warda Snopesa był więc wuj Willy. W pierwszej chwili wpadł w istny szal. Do tego stopnia, że nikt nie mógł dowiedzieć się od niego, co i ile ukradziono, ani zrozumieć, o czym on mówi, zwłaszcza że zebrał się tłum, bo ludzie napływali z ulicy, nie po to nawet, żeby obejrzyć ślady rabunku, ale żeby popatrzeć na wuja Willy'ego. W końcu nie kto inny, lecz oczywiście Ratliff powiedział: — Wujowi Willy'emu nie szeryf jest na razie potrzebny, ale przede wszystkim doktor Peabody.

— Racja — rzekł do Ratliffa a wuj Gavin. — Ale dlaczego zawsze i wszędzie ty jesteś pierwszy?

Wrócił do drugstore'u, gdzie Sketts McGowan, subiekt wuja Willy'ego, obsługujący też kontuar z wodą sodową, i dwaj inni chłopcy stali wtykając głowy do rozprutego sejfu i oglądali miejsce, z którego ukradziono pieniądze, wyciągnął stamtąd Skeetsa i kazał mu co prędzej skoczyć na górę i poprosić doktora Peabody, żeby zszedł zaraz do sklepu. Potem wuj Gavin i inni obecni mężczyźni otoczyli wuja Willy'ego starając się go uspokoić, ale nie bardzo im się to udawało, póki nie nadbiegł doktor Peabody ze strzykawką już przygotowaną w rękę; wypędził większość gapiów, odwinął rękaw wuja Willy'ego, spuścił go z powrotem i w końcu wuj Willy ochłonął na tyle, że już po prostu był tylko wściekły.

A więc wuj Willy przyczynił się do złapania Montgomery'ego Warda. A bardziej jeszcze ci dwaj osobnicy, którzy ukradli morfinę. Wtedy już wiedzieliśmy, że mnóstwo przechodniów wracających z kina spostrzegło dwóch obcych ludzi w drugstorze, więc wuj Willy pytał, gdzie przez ten cały czas przebywał Grover Cleveland Winbush. Tak, tak, wuj Willy już nie miotał się w szale. Po prostu był wściekły, ale opanowany, stanowczy i zawzięty jak koński giez. O tej porze, o dziewiątej godzinie rano, Grover Cleveland powinien być w domu i w łóżku. Ktoś zaproponował, żeby do niego zatelefonować, zbudzić go i wezwać natychmiast do stawienia się w sklepie na Rynku.

— Do diabła, to by za długo trwało — powiedział wuj Willy. — Sam po niego pójde. Obudzę go i ściagnę do miasta. Nie będzie się musiał troszczyć o pośpiech, bo już ja tego przypilnuję. Kto ma samochód?

Ale był przy tym obecny Buck Connors, szef policji.

— Chwileczkę, wuju Willy — powiedział. — Wszystko można załatwiać przepisowo albo nieprzepisowo. Chcemy, żeby tym razem odbyło się to przepisowo. Ludzie już pewnie zdeptali tutaj większość śladów. Możemy jednak co najmniej przeprowadzić wstępne dochodzenie zgodnie z regulaminem. Zresztą wiadomo, że Grover Cleveland Winbush całą noc spędził na służbie. Wieczorem będzie musiał wstać i znów objąć dyżur na następną noc. Ma prawo teraz się wyspać.

— Właśnie! — rzekł wuj Willy. — Właśnie! Czuwał całą noc, ale nie zauważył, jak ci dwaj dranie zrabowali mój sklep na oczach całego tego głupiego miasta. Ukradzono mi cenne lekarstwa, warte trzysta dolarów, ale Grover Winbush...

— Ile zabrali gotówką? — spytał Buck Connors.

— Co? — krzyknął wuj Willy.

— He gotówki było w sejfie?

— Nie wiem — odpowiedział wuj Willy. — Nie liczyłem, A więc Grover Winbush, któremu płacimy sto dwadzieścia pięć dolarów miesięcznie za to, żeby w ciągu nocy obudził się na godzinkę i obszedł wkoło Rynek, musi się teraz wyspać. Jeśli nikt tutaj nie ma samochodu, sprowadźcie mi taksówkę. Ten sukinsyn już mnie kosztuje trzysta dolarów, niech tam, dołożę jeszcze ćwierć dolara.

Ale udało się go przytrzymać za poły, podczas gdy ktoś telefonował do Grovera Cleve-landa. Z początku myśleliśmy, że ten, kto z nim rozmawiał i zbudził go ze snu, postarał się napędzić mu stracha, potem jednak, kiedy poznaliśmy resztę historii, zrozumieliśmy, że nie trzeba było specjalnie go straszyć, wystarczyła nowina, że w Jefferson poprzedniej nocy zdarzyło się coś, co powinien by widzieć i słyszeć, gdyby podówczas był tam, gdzie obowiązeć nakazywał mu być i gdzie wedle powszechnego mniemania w nocy się znaj

dował. W chwilę bowiem później Ratliff powiedział:

— Ależ on tutaj jest. Widziałem go.

— Gdzie? — zapytał ktoś.

— Właśnie cofnął głowę z powrotem w tę boczną uliczkę — rzekł Ratliff. Wszyscy spojrzeliśmy w stronę bocznej uliczki. Prowadziła na Rynek i Grover Cleveland idąc z pensjonatu, gdzie mieszkał, i skracając sobie drogę przez puste parcele tamtędy mógł nadejść. Rzeczywiście pokazał się wkrótce, szedł spieszonym krokiem. Nie miał na sobie, jak Buck Connors, munduru, był w zwykłym ubraniu i jak zwykle marynarkę miał zadartą na rękojeści pistoletu, a z kieszeni w spodniach sterczała mu gumowa pałka; dreptał szybko i podnosił wysoko nogi jak kot na rozpalonej blasze pieca. Jeśli myślicie, że to Buck Connors albo nawet szeryf, pan Hampton, wziął go zaraz na spytki, to się mylicie, bo zrobił to sam wuj Willy. Z początku Grover Cleveland próbował bluffować. Potem zaczął kłamać. - W końcu skapitulował.

— Jak się masz, synu — powiedział wuj Willy. — Wybacz, że cię zbudziliśmy wśród nocy po to, żeby zadać ci parę pytań. Po pierwsze, chcemy wiedzieć, gdzie byłeś tak mniej więcej około pół do jedenastej zeszłej nocy.

— Kto? Ja? — rzekł Grover Cleveland. — Byłem tam, gdzie zawsze bywam o tej porze, stałem naprzeciwko, w drzwiach posterunku policyjnego, bo jak ludzie wychodzą z kina po ostatnim seansie, to czasem ktoś potrzebuje mojej pomocy, na przykład zgubi kluczyk od samochodu albo zauważy, że mu opona siadła...

— Pięknie, pięknie — powiedział wuj Willy. — Stałeś naprzeciwko i nie widziałeś światła w moim sklepie ani tych dwóch łajdaków...

— Zaraz, zaraz — przerwał mu Grover Cleveland. — Pomyliło mi się. Jakem zobaczył, że publika zaczyna wychodzić z kina po ostatnim seansie, wiedziałem, że musi być już pół do jedenastej albo za pięć wpół do jedenastej, więc postanowiłem skorzystać z wolnej chwili i pójść do „Niebieskiej Gęsi” i przypilnować, żeby zamknęli lokal. — „Niebieska Gęś” była to murzyńska restauracja, położona dość daleko od Rynku, za odziarniarnią bawełny. — Przedtem mi się pomyliło — rzekł Grover Cleveland. — Poszedłem do „Niebieskiej Gęsi”.

Wuj Willy nic na to nie odpowiedział. Odwrócił tylko głowę i huknął: — Walter!

Wszedł Walter. Jego dziadek należał do dziadka wuja. Willv'ego przed kapitulacją, byli mniej więcej rówieśnikami i nawet trochę do siebie podobni, tylko że Waltera nie morfina ciągnęła, lecz spirytus leczniczy, ilekroć wuj Willy odłożył klucz i patrzył w inną stronę, a przy tym z nich dwóch Walter b¹ jeszcze bardziej porywczy i niecierpliwy. Przyszedł z głębi sklepu i spytał:

— Kto mnie woła?

— Ja — powiedział wuj Willy. — Gdzie byłeś wczoraj wieczorem o wpół do jedenastej?

— Kto? Ja? — odparł Walter zupełnie tak samo jak przedtem Grover Cleveland, tylko że on powiedział to z takim zdziwieniem, jakby wuj Willy pytał go, gdzie się znajdował, kiedy Albert Einstein opublikował po raz pierwszy swoją teorię względności. — Zeszłej nocy? Gdzie miałem być? W domu. W łóżku.

— Byłeś w tej przeklętej knajpie, w „Niebieskiej Gęsi”, gdzie co wieczór przesiadujesz — rzekł wuj Willy — dopóki Grover Cleveland nie przyjdzie, żeby rozpedzić murzyńską bandę i zamknąć tę spelunkę.

— Jeżeli pan wie, to po co pan pyta? — powiedział Walter.

— Mniejsza z tym — rzekł wuj Willy. —

O której godzinie wczoraj pan Winbush zamknął „Niebieską Gęś”?

Walter stał mrużąc oczy. Zawsze miał oczy zaczerwienione. Robił na staroświeckiej ręcznej maszynie lody, które wuj Willy sprzedawał przy kontuarze z wodą sodową. Odbywała się ta robota w piwnicy, w ciemnym, chłodnym lochu, z którego jednoskrzydłowe drzwi prowadziły na zaułek na tyłach sklepu; tam Walter spędzał dni w mroku kręcąc korbą, i przechodząc widziało się zawsze tylko jego czerwone oczy, nie złośliwe i nie dzikie, ale po prostu groźne jak smok albo jak krokodyl dla każdego, kto by zabłąkał się poza własny żywioł i wpadł do jego królestwa. Walter więc stał i mrużył oczy.

— O której godzinie Grover Winbush zamknął wczoraj „Niebieską Gęś”? — powtórzył wuj Willy.

— Wyszedłem, zanim budę zamknęli — powiedział Walter. Nagle zauważyliśmy, że jest między nami pan Hampton, który widocznie nadszedł przed chwilą i rozglądał się w sytuacji. Nie mrużył oczu jak Walter. Był tęgim mężczyzną, miał ogromny brzuch, a jego małe, blade, twarde oczy nie czuły nigdy, jak się zdaje, potrzeby mrugania. Teraz patrzyły na Crovera Clevelanda.

— Jesteś tego pewny? — spytał Waltera.

— Do stu diabłów — powiedział wuj Willy. — Odkąd otworzyli tę spelunkę, nigdy jeszcze Walter nie opuścił jej przed zgaszeniem świateł.

— Wiem o tym — rzekł pan Hampton. Wciąż jeszcze wpatrywał się w Grovera Clevelanda twardymi, bladymi oczkami, które nigdy nie mrugały. — Od dawna jestem tutaj szefem policji i szeryfem. — Zwrócił się do Grovera Clevelanda: — Gdzie byłeś zeszłej nocy, kiedy cię ludzie potrzebowali?

Ale Grover Cleveland próbował nadal się wykręcać, chociaż nikt mu już nie wierzył; trzeba mu oddać sprawiedliwość, niełatwo się załamywał.

— Aha, chodzi o tych dwóch gości w sklepie wuja Willy’ego o pół do jedenastej wieczorem. Rozumie się, że ich widziałem. Oczy

wiecie pomyślałem, że to nie może być nikt inny, tylko wuj Willy i Skeets. Więc wtedy...

— Co wtedy? — spytał pan Hampton.

— Poszedłem na posterunek... wziąłem wieczorną gazetę — powiedział Grover Cleveland. — Tak, tak było. Siadłem sobie w dyżurce na posterunku i czytałem wieczorną gazetę z Memphis...■ -'

— Whit Rouncewell, kiedy zobaczył tych dwóch drabów, zaszedł na posterunek po ciebie — rzekł pan Hampton. — Czekał tam godzinę. Tymczasem w sklepie światła zgasły, ale nie widział nikogo wychodzącego przez frontowe drzwi. A tyś się nie pokazał. Walter zeznał, że w „Niebieskiej Gęsi” także się nie zjawileś. Gdzieś ty był tej nocy, Grover?

Tak przyparli go do muru. Stał przed nimi z kurtką zadartą nad rękojeścią pistoletu i z pałką sterczącą jak poła koszuli ze spodni małego chłopca. Rzecz jednak w tym, że Grover Cleveland był za stary, żeby wyglądać jak mały chłopiec. Wuj Willy, pan Hampton i my wszyscy patrzyliśmy na niego długo, aż wreszcie zrobiło nam się wstyd patrzeć na Grovera Clevelanda, wstyd odkrywać to, co za chwilę mieliśmy odkryć. Tylko pan Hampton wcale się nie wstydził. Może dlatego, że od dawna był szeryfem i wiedział, że nie za Grovera Clevelanda trzeba się wstydzić, ale za siebie, za nas wszystkich.

— Którejś nocy doktor Peabody wracał od chorego około pierwszej i widział, jak wycho-
dziłeś z bocznych drzwi sklepu, który Montgomery Ward Snopes nazywa swoim „atelier”. Kiedy indziej ja sam wracałem późno do domu i około północy widziałem, jak tam wchodziłeś. Co tam się dzieje, Grover?

Grover Cleveland w dalszym ciągu stał jak słup. Niemał szeptem odpowiedział:

— Tam jest taki klub.

Teraz pan Hampton i wuj Gavin patrzyli na siebie wzajem.

— Nie patrz na mnie — powiedział wuj Gavin. — Do ciebie należy wykonywanie prawa.

Dziwna rzecz: żaden z nich nie zwracał uwagi na pana Connorsa, choć był szefem policji i już od dawna powinien by w tej sprawie interweniować. Może właśnie dlatego.

— Ty jesteś prokuratorem okręgowym — rzekł pan Hampton. — Ty musisz wydać nakaz, a dopiero wtedy ja będę mógł go wykonać.

— Więc na co czekamy? — spytał wuj Gavin.

—' Może na to, żeby Grover powiedział, co tam się dzieje, i w ten sposób zaoszczędził nam czasu — odparł pan Hampton.

— Do diabła, nie — rzekł wuj Gavin. — W każdym razie daj mu na chwilę spokój. — I zwrócił się do Grovera Clevelanda: — Idźcie na posterunek i tam czekajcie, aż was wezwiemy.

— Możesz przez ten czas doczytać do końca

gazetę z Memphis — powiedział pan Hampton. — Ty także nie jesteś nam już potrzebny — dodał zwracając się do Connorsa.

— Co to, to nie, szeryfie. — odparł Connors. — Waszej jurysdykcji podlega okręg. Sprawy w Jefferson należą do mnie. Mam takie samo prawo... — Urwał, ale za późno. Pan Hampton przyglądał mu się twardymi, bladymi oczkami, których nigdy nie potrzebował przymrużać.

— Dokończ — rzekł pan Hampton. — Masz takie samo prawo jak ja i Gavin zobaczyć, co ukrywa Montgomery Ward Snopes. Dlaczego więc nie namówiłeś Grovera, żeby cię wprowadził do tego klubu? — Ale pan Connors miał zwyczaj przymrużać oczy. — Chodźmy — powiedział pan Hampton do wuja Gavina. Wuj Gavin ruszył z miejsca.

— Ty także wyjdź stąd — zwrócił się do mnie.

— Wszyscy niech wyjdą — rzekł pan Hampton. — Wszyscy niech się teraz wyniosą i nie przeszkadzają wujowi Willy'emu, który musi sporządzić wykaz ukradzionych rzeczy dla kontrolerów narkotyków, a także dla towarzystwa ubezpieczeń.

Staliśmy więc na ulicy i patrzyli, jak pan Hampton i wuj Gavin spieszą do zakładu Montgomery'ego Warda Snopesa.

— Co? — spytałem Ratliffa.

— Nie wiem — odparł. — Właściwie to się domyślam. Ale musimy czekać, aż Hub i twój wuj znajdą dowody.

— A czego się domyślasz?

Spojrzał na mnie.

— Słuchaj no — powiedział. — Wprawdzie skończyłeś dziewięć lat i zacząłeś rok dziesiąty, ale chyba jeszcze nie wyrosłeś z zamilowania do lodów. Chodźmy. Nie trzeba przeszkadzać wujowi Willy'emu i Skeetsowi. Pójdziemy do „Café Dixie.”

Poszliśmy do „Café Dixie”, kupiliśmy dwie porcje lodów i znów zatrzymaliśmy się na ulicy.

— Co? — spytałem.

— Na mój rozum to jest kolekcja francuskich pocztówek, które Montgomery Ward przywiózł po wojnie z Paryża. Ale ty pewnie nie rozumiesz, o co chodzi, co?

— Nie rozumiem.

— Fotografie różnych panów i pań zabawiających się z sobą. I nie bardzo ubranych. — Nie wiem, czy patrzył na mnie mówiąc to, czy nie. — Teraz rozumiesz?

— Nie — powiedziałem.

Ratliff zgadł. Wuj Gavin mówił, że był tam gruby album takich fotografii, a Montgomery Ward na tyle znał się na fachu, że z niektórych zrobił klisze, które za pomocą latarni magicznej mógł wyświetlać w powiększeniu na białym ekranie w pokoiku za sklepem. Montgomery Ward podobno śmiał się z pana Hamptona i z wuja Gavina. Ale odzywał się przeważnie tylko do wuja.

— Oczywiście — powiedział. — Nie spodziewam się, żeby Hub...

Proszę i/iiii nazywać panem Hamptonem przerwił mu pan Jiampton.

- ... znał si i; na tym...

- Pari Hampton dla ciebie -- rzekł pan I iampton.

- I'ari Hampton powiedział Montgomery Ward - - nic zna się, ale ty jako prawnik chyba nie przypuszczasz, że wdałem sir; w l.f; historir; nie przestudiowaśy przedtem ustaw. Możecie. - skonfiskować to,, wszystkie rzeczy, któro tutaj znajdziecie. Pana IJamptona pewnie od tego nie powstrzyma laka drobnostka, jak przepisy prawne...

Wtedy I lub go uderzył.

— Przestań, Hub! — krzyknął wuj Gavin. — Ty wariacie, przestań!

— Proszę bardzo, niech sobie pozwoli — rzekł Montgomery Ward. — Procesować sir; z poręczycielami jest łatwiej niż obsługiwać latarnię magiczną, i ryzyko mniejsze. O czym to ja mówiłem? Aha. Nawet gdyby te rzeczy zostały mi przysłane pocztą — ale tak nie było — .sprawa należałaby do jurysdykcji federalnej, a nie widzę tu przedstawicieli federalnej policji. A gdybyście chcieli mnie oskarżyć na tej podstawie, że ciągnąłem z tego zyski, gdzie macie Świadków? Nie macie nikogo prócz Grovera Winbusha, ale ten nie odważy sir; świadczyć, nie ze strachu o posadę, bo już ją prawdopodobnie i tak stracił, ale dlatego, że mu na to riie pozwolą bogobojni chrześcijańscy, świątobliwi obywatele Jefferson, którzy nie zechcą, aby świat dowiedział sir;, co naprawdę robi ich policjant, gdy rzekomo pełni służbę. Nie mówiąc już. o moich klientach i nie wymieniając nazwisk różnych osobistości z banków, sklepów, odziarniarek, stacji benzynowych i larrri na obszarze dwóch okręgów i z całej okolicy. A skoro o tym rnowa, dobrze, nałóżcie na mnie grzywnę, przekonacie sir;, jak prędko będzie zapłacona... — Przerwał i jak gdyhy * tłumionym zdumieniem powiedział: Chryste Panie! Potem zaczął mówić coraz szybciej: Dobrze, zamknijcie rnie i dajcie mi tysiąc kopert ze znaczkami pocztowymi, a w ciągu trzech dni zbiję tyle forsy, ile jej nie widziałem przez dwa lata majstrowania przy tej przeklętej latarni magicznej. — Zwrócił się do pana Hamptona: ~ Możc właśnie tego chcecie przede wszystkim, nie moich fotografii, ale listy moich klientów, żeby zrezygnować ze stanowiska szeryfa i wolny czas spędzać nad albumom. Nie, nie, radziłbym zatrzymać odznaki urzędowe, żeby lepiej przyciskać opieszłych płatników...

Tym razem wuj Oavin nie potrzebował zabierać głosu, bo pan Tlampton nie próbował dać w pysk Montgomery'emu Wardowi. Stał spokojnie i tylko te swoje twarde oczka zamknął czekając, żeby tamten skończył mówić. Wtedy powiedział do wuja Gavina:

- • Czy to prawda? Czy nie możemy działać bez policjanta fedeialnego? Czy nie znajdzie się coś w ustawach, żebyśmy mogli go

oskarżyć? Pomyśl. Może w przepisach miejskich?

Teraz z kolei wuj Gavin powiedział: — Boże święty.

— Jest ten zakaz dla samochodów — rzekł. — Ustawa Sartorisa — dodał, bo pan Hampton patrzył na niego. — To zarządzenie, które wisi w ramce tuż obok drzwi twojego biura. Czyś nigdy go nie zauważył? Zakaz jazdy samochodem po ulicach Jefferson...

— Co takiego? — powiedział Montgomery Ward.

— Głośniej. Pan Hampton nie dosłyszał — rzekł wuj Gavin.

— Ale to obowiązuje w mieście — powiedział Montgomery Ward. — Hampton jest szeryfem okręgu. Nie ma prawa aresztować nikogo za wykroczenie przeciw przepisom miejskim.

— Tak ci się zdaje — odparł pan Hampton. Położył rękę na ramieniu Montgomery'ego. Wuj Gavin mówił, że na miejscu Montgomery'ego Warda wolałby już dostać drugi policzek. — Powiesz to swojemu adwokatowi, ale nie nam.

— Chwileczkę. — Montgomery Ward zwrócił się do wuja Gavina: — Ty też masz samochód. Hampton także.

— Załatwiamy te sprawy w porządku alfabetycznym — rzekł wuj Gavin. — H już skończyliśmy. Jesteśmy właśnie przy S, a Sn jest przed St. Zabieraj go, Hub!

Montgomery Ward nie mógł już nic na to odpowiedzieć, wyczerpał całą amunicję; teraz on stał bezradnie, a wuj Gavin przyglądał się, jak pan Hampton zdjął rękę z ramienia Snopesa, chwycił album i koperty z fotografiami, wrzucił to wszystko do miski — w której Montgomery Ward od czasu do czasu wywoływał zdjęcia — a potem zaczął szperać wśród butelek i puszek z chemikaliami stojących na półce nad zlewem.

— Czego szukasz? — spytał wuj Gavin.

— Spirytusu, nafty, czegokolwiek łatwopalnego — powiedział pan Hampton.

— Chcesz to spalić? — rzekł Montgomery Ward. — Bój się Boga, człowieku, to są cenne rzeczy!

Zastanów się, proponuję ugodę: oddajcie mi te rzeczy, a ja wyniosę się do diabła z tego przeklętego miasta i noga moja nigdy tu już nie postanie. A nawet — dodał — mam niespełna sto dolarów" w kieszeni. Kładę je na stole, a wy obaj odwróćcie się plecami i dacie mi dziesięć minut czasu...

— Jeżeli masz ochotę znówu dać mu w pysk — powiedział wuj Gavin — nie będę ci przeszkadzał. On zresztą sam prosi, żebyśmy się odwrócili, więc odwrócę się. Wystarczy, jeśli wtedy machniesz ręką. — Ale pan Hampton zdjął z półki następną butelkę, odkorkował ją i powąchał. — Tego zrobić nie możesz — rzekł wuj Gavin. ■ — To są dowody rzeczowa.

— Jedna sztuka nam w-ystarczy — powiedział pan Hampton.

— To zależy — odparł wuj Gavin — czy chcesz dla niego tylko wyroku skazującego, czy też chcesz go naprawdę wykończyć... — Pan Hampton znieruchomiał z butelką w jednej ręce, z korkiem w drugiej. — Wiesz, jak sędzia Long postąpił z człowiekiem, który przechowywał jedno takie zdjęcie. — Long był sędzią federalnym w naszym okręgu. — Wyobraź sobie, jak postąpił z człowiekiem, który ma cały wór takich fotografii.

Więc pan Hampton odstawił butelkę, a po chwili przyszedł ieden z jego ludzi z walizą, zapakowali do niej album i koperty, zamknęli je na kluczyk, a potem całą walizę pan Hampton zamknął w swojej kasie pancerniej, gdzie miała czekać aż do czasu, gdy będzie ją można przekazać panu Gambault, sekretarzowi objazdowego sądu federalnego, po jego powrocie do miasta; Montgomery'ego Warda Snopesa osadzono w więzieniu okręgowym pod zarzutem, że jeździł samochodem po ulicach wbrew obowiązującemu w Jefferson zakazowi. Montgomery Ward najpierw próbował dyskutować, potem grozić, a w końcu rozdawać łapówki wszystkim ludziom, którzy mieli coś do gadania w więzieniu albo w mieście i którzy chcieli je przyjąć. Zastanawialiśmy się, czy nie wezwie .prędzej czy później także pana de Spain jako człowieka ustosunkowanego. Bo to wiedzieliśmy, że ostatnią osobą na świe- cie, od której mógłby spodziewać się pomocy, jest jego stryj czy też kuzyn Flem; Flem już kiedyś pozbył się z karku pewnego Snopesa korzystając z tego, że krewniaka skazano za morderstwo, czemuż by więc miał gardzić następną okazją, chociaż tym razem chodziło tylko o plugawe fotografie.

Toteż nawet wuj Gavin, o którym Ratliff mawiał, że ślubował sobie uroczyście nigdy nie okazać miastu, iż go Snopes może czymkolwiek zaskoczyć, nie spodziewał się ujrzeć Flema tego popołudnia, gdy ten wkroczył do jego gabinetu, położył swój nowy czarny kapelusz na brzegu biurka i usiadł, lekko i wytrwale poruszając szczękami, jak gdyby usiłował coś przeżuwać nie rozwierając zębów. Nie sposób było nic wyczytać w oczach pana Hamptona, ponieważ wpatrywały się w ciebie zbyt surowo; nie sposób było ich uniknąć, jak konia w uliczce zbyt wąskiej, by pomieścić obok niego człowieka, ledwie wystarczającej dla samego konia. Nie sposób było wyczytać nic w oczach Flema Snopesa, ponieważ nigdy w gruncie rzeczy nie patrzyły na ciebie, jak kałuża stojącej wody nie patrzy na człowieka. Wuj Gavin — jak mówił — dlatego właśnie przez dłuższą chwilę nie zorientował się, że obaj mają dokładnie ten sam cel na oku; rzecz w tym, że oko było nie to samo.

— Chodzi mi o Jefferson ■— powiedział pan Snopes.

— Mnie także — odparł wuj Gavin. —

O tego głupca Grovera Winbusha i o wszystkich innych zahamowanych w rozwoju mło

dzieńców w wieku od czternastu do pięćdziesięciu ośmiu lat na obszarze północnego Missisipi, którzy za dwadzieścia pięć centów fundowali sobie przyjemność zajrzenia do tego albumu.

— Zapomniałem o Groverze Winbushu — powiedział pan Snopes. — On straci tylko posesję, ale wtedy ludzie zechcą wiedzieć, za co go wyrzucono, i cała historia się rozgłosi. — Właśnie na tym polegała bieda. To znaczy nasza bieda z Flemem Snopesem. Nie widziało się nic, nawet gdy człowiek miał wrażenie, że on na niego patrzy. — Nie wiem, czy panu o tym wiadomo, czy nie. Jego matka mieszka w Whiteleaf. Grover Cleveland posyła jej co sobotę rano paczkę prowiantów za dolara.

— A więc ratując go, ratujemy ich oboje — rzekł wuj Gavin. — Matka Grovera Winbusha powinna nadal otrzymywać co sobotę kawałek boczku i melasę za dolara, ktoś więc musi wyratować pańskiego kuzyna czy też siostrzeńca... bo nie wiem, jakie to pokrewieństwo? —

Jak twierdził Ratliff, pan Snopes nie słyszał zapewne wielu rzeczy, które ludzie mówili o nim za jego plecami, ale dobrze słyszał zawsze to, czego mu nie mówili w oczy. Bądź co bądź nie był głuchy na ironię i sarkazm. Przynajmniej tym razem.

— Tak sobie myślałem. Ale pan jest prawnikiem — powiedział. — Pan jest od tego, żeby inaczej to wykombinować.

Wuj Gavin także nieźle rozumiał to, czego mu w oczy nie mówiono.

— Zwrócił się pan pod niewłaściwym adresem — rzekł. — Tę sprawę będzie rozpatrywał sąd federalny. Zresztą w żadnym wypadku ja bym się nie mógł podjąć obrony, bo otrzymuję miesięczne pobory od strony przeciwnej. A wreszcie... (Póki był tylko prokuratorem miejskim, mówił językiem wyniesionym z Harvardu i Heidelbergu, ale odkąd przez całe lato razem ze mną objeżdżał okręg kaptując sobie głosy przed wyborem na prokuratora okręgowego, zaczął mówić tak, jak ludzie, z którymi gawędził, podpierając się jak oni łokciami o płot lub przysiadłszy w kucki pod murem wiejskiego sklepu: „my żeśmy” zamiast „myśmy”, a nawet „wykombinować” — jak przed chwilą wyraził się pan Snopes.) — A wreszcie my żeśmy się chyba zrozumieli: ja chcę go wpakować na dłuższą odsiadkę.

I wtedy dopiero wuj Gavin odkrył, że obaj z panem Snopesem mają ten sam cel na oku, tylko patrzą każdy z innego punktu widzenia, bo w tym momencie pan Snopes powiedział szybko i równie spokojnie, jak wuj Gavin:

— Ja także.

Montgomery Ward, zarówno jak Wallstreet, był przapież jego rywalem, obaj w tym sensie, że w Jeffersonie nie było miejsca jednocześnie dla nich i dla Flema. Ale wuj Gavin, jak twierdził Ratliff, tego nie dostrzegł. —

Ja także — powiedział pan Snopes. — Ale 7, innych powodów. Mnie zależy na Jefferson.

— W takim razie współczuję temu miastu — rzekł wuj Gavin. — Jego będzie sędził sędzia Long, a gdy sędzia Long zobaczy choćby jedną z tych fotografii nie mówiąc już o całej walizce, będę chyba współczuł nawet Montgomery-’emu Wardowi. Nie pamięta pan sprawy Wilbura Provine’a w zeszłym roku?

Wilbur Provine mieszkał także w Sadybie Francuza. Ratliff mówił, że Provine w gruncie rzeczy był Snopesem; że gdy Opatrzność zobaczyła, jak Eck Snopes zawodzi swój ród i jego tradycje, rozejrzała się co prędzej i znalazła Wilbura Provine’a do zatkania tej dziury. Provine miał tajną gorzelnię schowaną w suchym łożysku potoku obok źródła, około półtorej mili od swego domu; od jego drzwi kuchennych do źródła prowadziła ścieżka gładka jak wstążka i na sześć cali wdeptana w ziemię, bo przez dw^a lata chodził tędy dwa razy dziennie, aż go w końcu przyłapali i postawili przed sądem federalnym i przed sędzią Longiem, ale Wilbur stanął tam ze zdumioną i niewinną miną, jakby w ogóle nie miał pojęcia, co to jest „samogon”, i na pytanie adwokata odpowiedział, że nie słyszał nigdy o istnieniu żadnej tajnej gorzelni w promieniu dziesięciu mil, a już na pewno nic nie wie o ścieżce prowadzącej od jego kuchennych drzwi do alembiku, bo od dzie sięciu lat nie był u źródła, nawet na polowanie ani na ryby tam nie chodził, jest. chrześcijaninem i uważa, że chrześcijanin nie powinien zabijać stworzeń boskich, a co do ryb, to zbrzydził je sobie jeszcze w dzieciństwie i po dziś dzień na nie patrzeć nie może.

W końcu sam sędzia Long spytał, jak wobec tego wytłumaczy istnienie tej ścieżki, a wówczas Wilbur mrugnął na sędziego raz i drugi i odparł, że nie ma pojęcia, skąd wzięła się ścieżka, chyba że wydeptała ją jego żona nosząc wodę ze źródła; wtedy są- dzia Long (nazwisko pasowało do niego jak ulał, bo miał sześć i pół stóp wzrostu i nos niewiele krótszy) wychylił się zza stołu w okularach zsuniętych na czubek nosa i długą chwilę przyglądał się Wilburowi, a potem rzekł:

— Pójdziecie do więzienia nie za pędzenie whisky, ale za to, żeście pozwalali żonie dźwigać wodę ze źródła odległego o półtorej mili.

Taki człowiek miał sędzić Montgomery’ego Warda na rozprawie przed trybunałem fe- dei- alnym, i można by się założyć, że historię Wilbura znali wszyscy w całym okręgu Yoknapatawpha, a cóż dopiero w Jefferson. Ale pan Snopes widocznie jej nie znał. Bo nawet szczęki przestały mu chodzić w^f za- wiasach.

— Słyszałem, że sędzia Long wlepił mu pięć lat — rzekł. — Może cztery dołożył właśnie za te ścieżkę.

- Może — powiedział wuj Gavin.
- Pięć lat. prawda? — spytał pan Snopes.
- Pięć — potwierdził wuj Gavin.
- Niech pan odprawi tego dzieciaka — powiedział pan Snopes.
- Nie — odparł wuj Gavin.

Szczęki pana Snopesa znów poszły w ruch.

- Niech pan go odprawi — rzekł.

— Mnie także zależy na Jefferson — powiedział wuj Gavin. — Pan jest wiceprezesem banku pułkownika Sartorisa. O pana też się troszczę.

— Mocno obowiązany — rzekł pan Snopes. Nie patrzył na nic specjalnie. Nie trwonił na próżno czasu, ale też się nie spieszył: po prostu wstał, wziął z biurka swój nowy czarny kapelusz, włożył go na głowę, podszedł do drzwi i nie zatrzymując się ani na moment, przestępując z jednej nogi na drugą, jednocześnie pociągnął klamkę i nie zwracając się do nikogo specjalnie, tak samo jak na nic specjalnie nie patrzył, powiedział: — Do widzenia — po czym wyszedł i zamknął drzwi za sobą.

Wtedy ja się odezwałem: — Dlaczego... — i urwałem; obaj z wujem Gavinem spojrzeliśmy na drzwi, które znów się otworzyły, a raczej zaczęły się uchylać bezszelestnie i zobaczyliśmy policzek i jedno oko Ratliffa, a potem całego Ratliffa w-suwającego się bokiem i wciąż bez najmniejszego szmeru.

- Czy przychodzę za późno, czy też, przeciwnie, za wcześnie? — spytał.

— W samą porę — odpowiedział wuj Gavin. — On się rozmyślił i dał za wygraną. Nie poszło tak, jak się spodziewałem. A zaczęło się planowo, wiesz: nie o mnie chodzi, a już na pewno nie o mojego krewniaka. Zgadnij, co mi powiedział.

- Jakże mogę zgadnąć tak prędko — rzeki Ratliff. — Właśnie się zastanawiam.

- Ja powiedziałem: Mówmy jasno, ja chcę, żeby on posiedział. A na to on: „Ja także”.

- No i co dalej? — spytał Ratliff.

— „...nie o mnie chodzi i nie o mojego krewniaka” — ciągnął wuj Gavin. — „Chodzi mi o Jefferson”. Z kolei miały nastąpić pogrożki. Ale nie doszło do nich.

- Dlaczego pogrożki? — spytał Ratliff.

- Bo taki jest schemat — rzekł wuj Gavin. — Najpierw w'azelina, potem groźby, potem przekupienie.

Tej samej metody próbował Montgomery Ward.

— Flem to nie Montgomery Ward — powiedział Ratliff. — Gdyby Montgomery Ward miał na imię Flem, te obrazki nie ujrzałyby naszego miasta ani nawzajem. Ale nie ma co dziwić się, że Flem jest mądrzejszy od Montgomery'ego Warda, bo większość ludzi tutaj jest od niego mądrzejsza. Raczej warto by się zastanowić, kto jeszcze w naszych stronach może się okazać mniej mądry od Flema. No i co dalej?

- Na tym się skończyło — rzekł wuj Gavin. — Tylko do tego punktu doszedł. Nawet

prosił, żebym wyprawił Chicka z pokoju. A kiedy odmówiłem, wziął swój kapelusz, powiedział: „Mocno obowiązany” i wyszedł, jak gdyby wstąpił tutaj tylko pożyć zapalek.

Ratliff mrugnął na wuja Gavina.

— A więc chce, żeby Montgomery Ward posiedział. Tylko że nie w tych okolicznościach, w jakich mają go posadzić. Widocznie się rozmyślił.

— Ze względu na obecność Chicka — rzekł wuj Gavin.

— Rozmyślił się ■ — powtórzył Ratliff.

— Masz rację — rzekł wuj Gavin. — Ponieważ zrozumiał, że odmawiając wyprawienia stąd Chicka, odrzucam łapówkę.

— Nie ■ — zaprzeczył Ratliff. — Dla Flema Snopesa nie istnieje człowiek, którego by nie można przekupić, tylko trzeba wiedzieć czym. Więc dlaczego on się rozmyślił?

— No, właśnie. Dlaczego? — powiedział wuj Gavin.

— O czym była mowa, zanim poprosił, żebyś odprawił Chicka? — spytał Ratliff.

— O więzieniu. Już ci mówiłem — odparł wuj Gavin.

— Nie, o Wilburze Provine — powiedziałem.

Ratliff spojrzał na mnie.

— O Wilburze Provine?

— Sprawa o pędzenie wódki — powiedziałem. — Ścieżka sędziego Longa.

— Aha! — rzekł Ratliff. — No i co?

— I nic — odparł wuj Gavin. — Powiedział: „Niech pan wyprawi stąd tego dzieciaka”, a ja na to...

— Nie — wtrąciłem się — najpierw jeszcze pan Snopes powiedział o tych pięciu latach, że sędzia Long cztery pewnie dołożył za ścieżkę, a wtedy wuj powiedział: „może”, a pan Snopes powtórzył: „Pięć lat, prawda?” i wuj potwierdził, a dopiero wtedy on poprosił, żebym ja wyszedł.

— Masz rację — rzekł wuj Gavin. Ale patrzył na Ratliffa. — No, co? — spytał.

— Ja też nie wiem — odparł Ratliff. — Wiem tylko, że wolałbym nie być w skórze Montgomery’ego Warda Snopesa.

— Tak — rzekł wuj Gavin. — Nie wtedy, gdy sędzia Long zobaczy tę walizę.

— Właśnie — powiedział Ratliff. — Istny Wuj Sam. Ale Montgomery Ward najwięcej będzie miał kłopotów przez swojego wuja Flema, chociaż nic jeszcze o tym nie wie. My także. Dopóki Flem niczego więcej nie chciał prócz pieniędzy, wiedzieliśmy przynajmniej, gdzie szukać, nawet jeśli znaleźć nie było łatwo. Ale teraz...

Patrzył na nas i mrugał.

— Więc jak? — spytał wuj Gavin.

— Pamiętasz tę historię o człowieku, któremu zginął pies? Jak go znalazł? Po prostu usiadł i pomyślał, co by zrobił, gdyby był psem, a potem wstał, poszedł i przyprowadził psa z powrotem do domu. To jest sposób. Wyobraźmy sobie, że jesteśmy Fle-

mem Snopesem. Mamy sposobność wpakowania za kratki naszego... jak to się dawniej mówiło?... kompromitującego bratanka. Ale jesteśmy już teraz wiceprezesem banku i nie możemy dopuścić, żeby świat dowiedział się, że kompromitujący bratanek zarabiał na albumie z francuskimi obrazkami. Sędzia, który ma go skazać na więzienie, wytłumaczył kiedyś Wilburowi Provine'owi, że posiedzi za to, że pozwalał żonie dźwigać wodę z odległego o półtora mili źródła. — Ratliff mrugnął do wuja Gavina. — Masz rację. Nie w tym sęk, co zrobi, ale jak to zrobi. Ciebie nie kuszą pieniądze, a on nie głupi proponować łapówkę Hubowi Hamptonowi, więc nie wiemy, jak się weźmie do rzeczy. Chyba że jako bardzo gorliwy członek kościoła baptystów liczy na Opatrzność.

Możliwe, że na nią liczył. W każdym razie Opatrzność wdała się w tę sprawę. Nazajutrz koło dziesiątej rano; właśnie obaj z wujem Gavinem wychodziliśmy z biura, bo mieliśmy jechać do Rozdroża Wyotta, gdzie wybuchnął jakiś spór o opłaty za kanalizację, gdy zjawił się pan Hampton. Jakoś dziwnie posapywał przez zęby, lekko i wesoło, jak gdyby gwizdał, chociaż nie było słyhać gwizdania, a tym bardziej żadnej melodii.

— Dzień dobry — powiedział. — Wczoraj rano, kiedy byliśmy w zakładzie fotograficznym, przeglądałem butelki na półce, bo szukałem spirytusu czy czegokolwiek, co by się dobrze paliło.

— Owszem, pamiętam — rzekł wuj Gavin.

— Z ilu butelek i słójów wyciągnąłem korki albo odkręciłem pokrywki, żeby powąchać zawartość? Byłeś przy tym. Patrzałeś.

— Chyba ze wszystkich, ile ich było — odparł wuj Gavin. — Dlaczego pytasz?

— Ja też pamiętam, że ze wszystkich — powiedział pan Hampton. — Ale mogłem się mylić. — Patrzył na wuja Gavina twardymi oczkami i wciąż bezgłośnie pogwizdywał przez zęby.

— Jużeś nas zaintrygował — rzekł wuj Gavin. — Już jesteśmy dostatecznie podnieceni. Teraz powiedz, o co chodzi.

—Dzisiaj około szóstej rano zatelefonował do mnie Jack Crenshaw. (Pan Crenshaw był inspektorem skarbowym i do niego należało tropienie w naszym okręgu tajnych gorzelni.) Wezwał mnie, żebym niezwłocznie przyjechał do zakładu fotograficznego. Dwaj urzędnicy skarbowi już byli na miejscu. Zrobili rewizję. Na półce, z której wszystkie naczynia wczoraj otworzyłem i sprawdziłem, nie znajdując nic prócz płynów do wywoływania zdjęć, w dwóch dużych gąsiorach była czysta wódka pędzona z kukurydzy. Oczywiście, mogę się mylić, widocznie je wczoraj przegapiłem. Nie mówiąc już o pięciu galonach bimbru w bańce po nafcie za piecem, bo tam nie węszyłem dlatego, że za piecem wczoraj żadnej bańki nie było, zajrzałem przecież, zanim się pofatygowałem obwąchiwać butelki na

półce i szukać czegoś, żeby dokładniej spalić te świństwa. Ale możliwe, że się mylę, jak powiadasz.

— To ty powiadasz — rzekł wuj Gavin.

— Może racja — powiedział pan Hampton. — Bądź co bądź nawąchałem się samogonu w tym okręgu, odkąd mnie po raz pierwszy wybrano na szeryfa. Od roku 1919 tak się wprawilem, że już nawet wachać nie potrzebuję. Jeśli gdzieś jest bimber, czuję go przez skórę już od progu. W dodatku, gdyby ta pięciogalonowa bańka, pełna wódki, stała wczoraj w tym miejscu, musiałbym się o nią potknąć sięgając do półki.

— Słusznie — rzekł wuj Gavin. — Mów dalej.

— To już wszystko — rzekł pan Hampton.

— Jak on się tam dostał? — powiedział wuj Gavin.

— He? — rzekł pan Hampton.

— Dobrze. Jak oni się tam dostali, jeśli wolisz — powiedział wuj Gavin.

— Ja także się nad tym zastanawiałem — rzekł, pan Hampton. — Ten klucz. Mówię: ten klucz, bo nawet dureń by miał dość rozsądku, żeby tego klucza nie trzymać gdzie indziej niż na sznurku owiniętym wkoło szyi.

— Ten klucz — powiedział wuj Gavin.

— Tak — rzekł pan Hampton. — Wrzuciłem go do szuflady, gdzie zwykle trzymam takie drobiazgi, kajdanki i zapasowy pistolet. Kiedy mnie ani pani Elmy nie było — (pani Elma była wdową po poprzednim szeryfie

i zastępowała pana Hamptona <v pracach kancelaryjnych) — każdy mógł tam wejść i zabrać ten klucz.

— Albo pistolet — powiedział wuj Gavin. — Powinien byś zamykać pokój, jak wychodzisz, Hub, bo może się zdarzyć, że zostawisz swoją gwiazdę i wracając zobaczysz jakiegoś pętaka, jak aresztuje na ulicy przechodniów.

— Może bym i powinien zamykać — rzekł pan Hampton. — W każdym razie ktoś wziął klucz i podstawił tam samogon. Mógł to być każdy z nich, każdy z tych chłopaków, którzy, jak mówi ten przeklęty Grover Winbush, złazili się z czterech okręgów po nocy, żeby się pocić nad tymi cholernymi fotografiami.

— Całe szczęście, że chociaż tę walizę zamknąłeś w szafie panczernej. Mam nadzieję, że ją jeszcze masz, skoro pan Gombault dotychczas nie wrócił?

— W porządku — odparł pan Hampton.

— Jack Crenshaw i jego kolega interesują się tylko samogonem, a nie fotografiami. To znaczy, że jeszcze nikomu tej walizy chyba nie przekazałeś.

— Masz rację — przytaknął Hampton.

— A co ty zamierzasz zrobić? — spytał wuj Gavin.

— O czym ty myślisz? — spytał pan Hampton.

— O tym samym, co ty — odparł wuj Gavin.

— Właściwie whisky wystarczy — powiedział pan Hampton. — A gdyby nie wystarczyła, można w ostatniej chwili przed ferowaniem wyroku pokazać sędziemu Longow'owi jedną jedyną z tych fotografii. Do diabła, chodzi o Jefferson. Żyjemy w tym mieście. Jefferson jest najważniejsze, ważniejsze niż w'et niż satysfakcja napiętnowania tego łajdaka...

— Tak — rzekł wuj Gavin. — Słyszałem' już tę piosenkę.

Pan Hampton poszedł. A nam pozostało tylko czekać, ale niedługo. Nigdy nie trzeba było się głowdć, ile wie Ratliff, bo z góry wiedziało się, że wie wszystko. Zamknął drzwi i stanął tuż przy nich.

— Dlaczego nie powiedziałeś mi o wczorajszej wizycie Flema Snopesa? — spytał.

— Bo pozwolił Flemowi Snopesowi — czy ktokolwiek to był — wejść do swojego biura i ukraść ten klucz. Ma już teraz do przemilczenia tyle drobnych przestępstw, że na więcej nie mógłby sobie doprawdy pozwolić — rzekł wuj Gavin. Dokończył pakowania dokumentów do teczki, zamknął ją i wstał.

— Wybierasz się gdzieś? — spytał Ratliff.

— Tak. Do Wyott's Crossing — odparł wuj Gavin.

— Nie zaczekasz na Flema?

— On już tutaj nie wróci — powiedział wuj Gavin. — Nie ośmieli się. I tak stanie się to, co chciał wczoraj u mnie kupić. Alé nie ośmieli się przyjść, żeby się co do tego upewnić. Będzie musiał czekać na dalszy ciąg tak samo jak wszyscy. Wie o tym.

Ale Ratliff nie ruszył się spod drzwi.

— Najgorsze, że nigdy nie oceniamy Fle- ma należycie. Najpierw^ zrobiliśmy błąd nie ceniąc go w^cale. Potem zblądziliśmy przeceniając go. Teraz zanosi się na trzecią pomyłkę, że go nie doceniamy. Jeśli ktoś pragnie tylko pieniędzy, zadowoli się przeliczeniem ich i schowaniem tak, żeby nikt inny nie mógł ich zabrać, a potem już może o nich zapomnieć. Ale on teraz odkrył coś nowego, co chciałby mieć, a z tym zupełnie inna sprawa. To jest coś tak miłego, jak ciepło w zimie, a chłód w lecie, jak spokój, wolność albo szczęście. Tego nie można przeliczyć ani schować w sejfie, nie można o tym nie myśleć, aż do chwili, kiedy nam przyjdzie ochota popatrzeć na swój skarb. Na tę rzecz trzeba cierpliwie pracować i zawsze ją mieć w pamięci. Ona musi być stale na widoku, bo gdyby jej ludzie nie wudzieli, przestałaby istnieć.

— Co by przestało istnieć? — spytał wuj Gavin.

— To, co śwdezo odkrył Flem — odparł Ratliff. — Nazwijmy to cnotą obywatelską.

— Czemuż by nie? Czy miałeś ochotę nazwać ją inaczej? — rzekł wuj Gavin. Ratliff przyglądał mu się z dziwnym wyrazem, w skupieniu, jak gdyby na coś czekał. — No, mów dalej. Na czym stanąłeś? — powiedział wuj Gavin.

Ale Ratliff, cokolwiek miał do powiedzenia, nie powiedział tego.

— Tak, tak — rzeki. — A więc przyjdzie do ciebie. Musi przyjść, bo chce być pewny, że się poznałeś na jego zabiegach. Wstrzyma się może do późnego popołudnia, żeby tymczasem kurz opadł. Ale wróci, żebyś musiał przekonać się, co straciłeś odtrącając go.

Ostatecznie nie pojechaliśmy tego dnia do Rozdroża Wyotta. Tym razem Ratliff nie docenił Flema. Bo w niespełna pół godziny potem usłyszeliśmy jego kroki na schodach, drzwi się otworzyły i wszedł. Teraz nie zdjął nawet kapelusza, powiedział tylko: — Dzień dobry — zbliżył się do biurka, położył na nim klucz od zakładu Montgomery'ego Warda i zawrócił do wyjścia.

— Dziękuję — rzekł wuj Gavin. — Doręczę klucz szeryfowi. Widzę, że pan podziela moje zdanie: nie chodzi panu wcale

o prawdę, woli pan sprawiedliwość.

— Chodzi mi o Jefferson — odparł Snopes biorąc za klamkę i otwierając drzwi. — W tym mieście przecież mamy życie. Do widzenia.

XI. V. K. RATLIFF

n wciąż jeszcze nie rozumie, nie rozumiał nawet wtedy, w swoim gabinecie, gdy własnymi oczyma patrzył, jak Flem uwalnia nasze miasto od Montgomery'ego Warda. A ja wciąż jeszcze nie mogłem mu powiedzieć.

XII. CHARLES MALLISON

ie wiem, czego nowego teraz pan Snopes pragnął, jak twierdził Ratliff, ale zdaje mi się, że to, co zaraz potem zrobił wuj Gavin, nie pomogło mu w osiągnięciu celu. Tym razem matka nie mogła zrzucić winy na Melisa ndrę Backus, bo Melisandra już była wtedy mężatką, wyszła za obcego człowieka, bogacza z Nowego Orleanu, o którym wszyscy prócz niej wiedzieli, że to jest przemytnik alkoholu na wielką skalę. (Nigdy nie wykryliśmy, czy wiedział

o tym jej ojciec, przesiadujący od rana do wieczora na frontowej werandzie ze szklanką whisky i wody w jednej ręce, z tomikiem Horacego lub Wergiliusza w drugiej — połączenie, które, zdaniem wuja Gavina, nawet człowieka o mocniejszej głowie musiałyby odgradzić od wiejskiej rzeczywistości w północnej części Missisipi.) Melisandra nie chciała w to uwierzyć nawet wówczas, gdy jej męża przyniesiono do domu z czołem dokładnie pośrodku przedziurawionym kulą

1 porządnie zeszytym, w pancernym karawanie, za którym jechał orszak Packardów i Cadillaców tak wspaniały, że nie powstydziliby się go Hollywood, nie mówiąc już o Alu Capone.

Ale nie. Właściwie nigdy nie odkryliśmy, czy Melisandra wiedziała, czy nie, nawet w wiele lat po śmierci męża, gdy rozporządzała całym jego majątkiem i wychowywała

dwoje dzieci w domu, w którym sama spędziła dzieciństwo i który był jednym z wielu domów na plantacji bawełny w Missisipi, ale który on zmienił w dziwną kombinację wiejskiego klubu z Kentucky i trybuny wyścigów na Long Island, dodając białe płotki i chorągiewki na dachu w kształcie koni; miała też mnóstwo przyjaciół, którzy uważali za swój obowiązek poinformować ją, skąd wzięły się te wszystkie pieniądze, ale ilekroć poruszali ten temat, Melisandra zmieniała tok rozmowy; chociaż była milionerką i matką dwojga dzieci, została smukłą, ciemnowłosą dziewczyną i zachowała potężną broń bezbronności i bezradności, przeobrażając każdego, kto się do niej zbliżał, w swego rycerza, nim zdążył ochłonąć i uciec; zmieniała więc temat tak, jak gdyby nigdy nie słyszała nazwiska swojego męża albo jak gdyby on nigdy w ogóle nie istniał.

Tym razem więc matka nie mogła powiedzieć: „Szkoda, że Gavin nie ożenił się z Melisandrą, ona by go ustrzegła od tej całej historii” — tylko że teraz chodziło o Lindę Snopes, nie o żonę Flema Snopesa, jak przed laty. Ale widocznie matka o tym pomyślała, bo prędko rozpozgodziła się i powiedziała do ojca: — Nie martwmy się, raz już przecież przeżyliśmy podobną awanturę. Pamiętasz?

On nigdy naprawdę nie był zajęty Melisandą i drą, rozumiesz, naprawdę go nie interesowała. Owszerii, książki, kwiaty. Zrywał moje ledwie rozkwitłe wczesne żonkile i narcyzy, żeby je posłać do lego domu, przed którym rosło całe pole żonkilów. Ścinał moje najpiękniejsze róże, zanosił jej, przesiadywał z nią w hamaku i czytał jej wiersze. Kształtował jej intelekt, nic więcej nie chciał. Melisandra była tylko o pięć lat młodsza, ale od tej małej on jest dwa razy starszy, mógłby niemal być jej dziadkiem. Oczywiście, tym razem skończy się tak samo.

— He, he, he — odparł ojciec. — Co do kształcenia, masz rację, ale to Gavin ma takie zamiary, nie ona. Ja bym ją też chętnie wykształcił, gdyby nie to, że jestem żonaty i że boję się choćby spojrzeć na dziewczynę. Czyś ty się jej przyjrzała? Chociaż jesteś kobietą, ale chyba rozumiesz ludzkie słabości.

Tak, tak, często myślałem, że ojciec za wcześnie się urodził, dobrze by się czuł w epoce, gdy moda pozwala chłopcom gwizdaniem na ulicy wyrażać zachwyt dla ładnej dziewczyny.

— Przestań — powiedziała matka.

— Mimo wszystko — rzekł ojciec — warto by może ocalić Gavina z tych szesnastoletnich pazurów.

Gdybyś tak z nim pogadała i powiedziała mu, że gotów jestem poświęcić się na ołtarzu rodziny...

— Przestań. Przestań — powiedziała matka. — Czy nie zdobędziesz się na lepszy dowcip?

— Co gorsze, wcale nie żartuję — odparł ojciec. — Wczoraj po południu siedzieli przy

Moliku u Christiana. Przed Gavinom stała po prosm porcja lodow. alo piv.od nią jak ios wyiuyshu' smakołyki oo najmniej /a dwadzieścia albo 1 tyvd.iosci centów. Może Ga- vin wio. oo robi, mała jos! niebrzydka, alo jeszcze daleko joj (io maiki... 1 oburącz, zarysowa! w powietrzu wypukły, wcięty w poi kształt klepsydry; matka patrzyła na niego jak ua żmiję. • Moro on raczej chce, i-o tak powiom, kształtować joj kształty, a mniej troszczy się o joj umysł. Kto wio? Może przyjdzie taki dzień. że ona spojrzy na niego tak, jak na tę sałatkę z, bananów czy inny krom, który Skools McGowan postawił pr/od nią na stoliku.

Alo matka już wyszła / . pokoju. Tym razem bardzo by joj się przydała pomoc osoby w typio Melisandry wraz. z. joj licznymi przyjaciółkami (innymi słowy całego miasta), którzy by śledzili wuja Gavina i zawiadamiali, ilekroć go zobaczą siedzącego u Christiana z. Lindą zajądającą tam po lekcjach lody bananowo czy śmietankowe, podczas gdy tomik wierszy, ostatnio zalecony jej przez, wuja Gavina, spoczywał na marmurowym blacie stolika w kałuż.y roztopionych lodów albo rozlanej coca-coli. Jefferson, jak mi się zdaje, było za małym miastem, ażeby trzydziestopięcioletni kawaler, choćby nawet magister uniwersytetu Harvard i doktor filozofii z Heidelbergu, którego włosy zaczęły siwieć od dwudziestego piątego roku życia, mógł tutaj jadać lody i czytywać wiersze

z szesnastoletnim podlotkiem. Jednakże, jeśli juz. miało sit,' to zdarzyć, myślę, że trzydzieści pięć lat to wiek najlepszy dla bezzen- nogo mężczyzny, by fundować lody i poezję szesnastolatce. Powiedziałem to matce. Jej odpowiedź nie zabrzmiała jak głos węża, bo węże nie mówią. Ale gdyby świder dentystyczny umiał mówić, taki właśnie ton miałaby jogo przemowa.

Nie ma dla kawalera od lat trzech do osiemdziesięciu wieku najlepszego ani bezpiecznego, żeby fundować szesnastolatce lody - powiedziała. - Kształtować jej umysł! - - Ale gdy rozmawiała z wujem Ga- vinem, glos miała jak lody śmietankowe. Nie, nieprawda, do niczego jej głosu nie można porównać, bo wcale się do wuja nie odzywała. Czekwała, żeby on zaczął. A raczej czekała, bo wiedziała, że on będzie musiał zacząć. Ponieważ nasze miasto było za małe. A raczej, mówiąc jeszcze ściślej, wuj Gavin przez całe życie mieszkał w Jefferson czy w innych małych miastach, więc dobrze już wówczas wiedział nie tylko, co w Jefferson ludzie powiedzą o jego spotkaniach z Lindą Snopes, o bananach, lodach i tomikach wierszy, lecz również, i to, że matka ma za wielu przyjaciół, by wszystkie te informacje mogły nie dojść do jej uszu.

A więc czekała. Było to w sobotę. Wuj Gavin dwa razy to wchodził, to wychodził z kancelarii (tak nazywaliśmy ten pokój \v dalszym ciągu, bo tak go nazywał dziadek.

tylko w obecności matki staraliśmy się pamiętać o jej życzeniu. Ale ona też po pewnym czasie zrezygnowała z nazwy „biblioteka”), gdzie matka siedziała przy biurku nad jakimiś rachunkami, może nad spisem bielizny do prania; dwa razy wchodził i wychodził, lecz ona nie poruszyła się nawet. Wreszcie wuj Gavin powiedział:

— Myślałem, czyby... — Bo między nimi zawsze tak było. Pewnie dlatego, że byli bliźniętami.

Przypuszczam, że dlatego, ale nigdy nie znałem żadnej pary bliźniąt, z którą mógłbym ich porównać. Matka nie przerwała nawet swoich rachunków.

— Oczywiście — odpowiedziała. — Na przykład jutro? •— Wuj Gavin mógł już właściwie wyjść z pokoju, bo oboje rozumieli,

o co chodzi. Ale odezwał się znowu:

— Dziękuję ci. — Potem zwrócił się do mnie: — Czy mi się zdaje, czy Aleck Sander czeka na ciebie przed domem?

— Głupstwo — powiedziała matka. — Wszystko, czego się od ciebie może dowiedzieć o szesnastoletnich pannach, będzie zapewne znacznie bardziej niewinne niż to, czego szesnastoletnie panny go uczą. Czy mam zatelefonować do jej matki i poprosić, żeby pozwoliła córce zjeść jutro u nas obiad, czy też wolisz sam to załatwić?

— Dziękuję ci — rzekł wuj Gavin. — Czy chcesz, żebym powiedział ci coś więcej na ten temat?

— A czy ty masz ochotę powiedzieć mi coś więcej? — odparła matka.

— Sądzę, że jest to wskazane — rzekł wuj Gavin.

— Ale czy konieczne? — spytała matka. Wuj Gavin milczał. Wtedy matka powiedziała: — Więc dobrze. Słuchamy. — I tym razem także wuj Gavin nie odpowiedział, ale już znów był sobą. Bo przedtem mówił prawie takim tonem, jakim ja czasem zwracam się do matki. Teraz jednak stał za nią i patrzył na jej kark, z tą swoją zawsze nie dość krótko ostrzyżoną siwą czupryną i z kukurydzianą fajką sterczącą z kieszonki na piersiach i jak zwykle nie sposób było z jego oczu i twarzy odgadnąć, co za chwilę powie, ale gdy wreszcie to powiedział, każdy czuł, że była to prawda, tylko trochę udziwniona i wyrażona w taki sposób, jakiego nikt inny by nie użył.

— A więc tak — powiedział. — Jeśli w umyśle tak niedostępnym plotkom i brudom jak twój zrodziły się tego rodzaju przypuszczenia i myśli, łatwo sobie wyobrazić, co z tej historii zrobiły inne osoby w Jefferson, specjalistki od plotek. Na Cycerona, czuję się znów młody. Kiedy dziś przed południem będę na mieście, chyba kupię sobie czerwony krawat. — Patrzył wciąż na kark matki. — Dziękuję ci, Maggie. Trzeba nam będzie wspólnego wysiłku wszystkich ludzi dobrej woli. Zbawić Jefferson od Snopesów to problem dramatyczny, paląca konieczność, obo

wiązek. Alę zbawić córkę Snopesów od Snopesów to przywilej, zaszczyt i chluba.

— Zwłaszcza gdy chodzi o szesnastoletnią dziewczynę — powiedziała matka.

— Tak — rzekł wuj Gavin. — Czy przeczysz temu?

— Czy próbowałam przeczytać? —■ spytała matka.

— Owszem, próbowałam. — Przesunął się szybko i położył rękę na jej głowie mówiąc dalej: — I błogosławię cię za to. Zawsze próbowałaś zaprzeczać istnieniu tego przekłętego kobiecego instynktu uległej, sztywnej, konwencjonalnej przyzwoitości, która stanowi kość pacierzową wszelkiej kultury jeszcze nie dekadencjonalnej, lecz silnej i nie dekadencjonalnej tylko dopóty, dopóki wciąż jeszcze rodzi istoty niepoprawnie konserwatywne, lecz zarazem dość śmiałe, żeby ją atakować, żeby się jej przeciwstawić i żeby ją negocjować; istoty jak ty... — Przez chwilę zdawało się nam obojgu, że pochylił się i pocałował ją; może nawet wszyscy troje o tym pomyśleliśmy. Ale nie zrobił tego, a w każdym razie matka powiedziała:

— Dajże spokój. Zdecyduj się, czy chcesz, żebym ja zatelefonowała, czy też sam zatelefonujesz.

— Załatwię to — odparł. Spojrzał na mnie. — Kupię dwa czerwone krawaty, drugi dla ciebie. Żałuję, że nie masz jeszcze szesnastu lat. Taki wielbiciel byłby jej potrzebny.

— Jeżeli musiałbym być jej wielbicielem, to cieszę się, że nie mam szesnastu lat — powiedziałem. — Bo Linda już ma wielbiciela. Matta Levitta. Tego, który w zeszłym roku zdobył w Ohio Złote Rękawice. Coś mi się zdaje, że umie rzeczywiście boksować. I lubi. Nie, bardzo dziękuję.

— A to co? — spytała matka.

— Nic ważnego — rzekł wuj Gavin.

— Bo wuj nigdy nie widział go przy robocie — powiedziałem. — Nie mówiłby wuj, że to nic ważnego. Ale ja widziałem, jak się bił z pastorem Birdsongiem.

— Czy pastor Birdsong należy do grona twoich przyjaciół sportowców? — spytała matka.

— To nie sportowiec — wyjaśniłem. — Mieszka na wsi. Nauczył się boksu we Francji. On i Matt Levitt...

— Pozwól — przerwał wuj Gavin. — On...

— Który „on”? — spytała matka. — Twój rywal?

— ... pochodzi z Ohio — dokończył wuj Gavin. — Jest absolwentem nowej szkoły technicznej Forda i firma przysłała go tutaj jako mechanika do swojego garażu...

— On ma taki niski żółty wyścigowy wóz — powiedziałem.

— I Linda jeździ tym samochodem? —■ spytała matka.

— ... ponieważ nasze miasto jest niewielkie, a chłopak ma oczy — ciągnął wuj Gavin —

prędzej czy później musiał zobaczyć Linde Snopes, zapewne gdzieś między szkołą a domem. Ponieważ jest mężczyzną i ma około dwudziestu jeden lat, zawarł z nią oczywiście natychmiast znajomość; sława Złotych Rękawic, którą przywiózł z Ohio lub którą po drodze stamtąd wymyślił, prawdopodobnie zniechęciła wszystkich ewentualnych rywali...

— Prócz ciebie —, rzekła matka.

— I to już cała historia ■—■ zakończył wuj Gavin.

— Prócz ciebie — powtórzyła matka.

— Ma o jakieś pięć lat więcej niż ona ■— rzekł wuj Gavin — a ja jestem od niej dwa razy starszy.

— Prócz ciebie — powtórzyła matka. — Wątpię, czy pożyjesz dość długo, żeby kiedykolwiek być dwa razy starszy od którejkolwiek kobiety.

— Przypuśćmy — rzekł wuj Gavin. —

O czym to ja mówiłem? Aha. Ocalić Jefferson od Snopesów jest obowiązkiem, ocalić córkę Snopesów jest przywilejem.

— Powiedziałaś: zaszczytem — rzekła matka. — I chluba.

— Dobrze — zgodził się wuj Gavin. — A więc radością. Czy jesteś zadowolona?

Na tym się wówczas skończyła rozmowa. Po chwili wrócił do domu ojciec, ale matka niewiele mogła mu udzielić nowin, których by już nie znał, nic więc nie mógł zrobić, nawet gwizdnąć z podziwu, skoro tej mody jeszcze wtedy nie wynaleziono; musiał czekać do poobiedniej pory następnego dnia.

Przyszła trochę po dwunastej, można by myśleć, że prosto z kościoła, jeśli bywała, w kościele. Możliwe, że tak, bo miała kapelusz na głowie. Ale możliwe, że matka kazała jej włożyć kapelusz przez wzgląd na moją matkę. Wybiegła zza rogu ulicy i wtedy zauważyłem, że kapelusz siedzi krzywo, jak gdyby ktoś próbował go zedrzeć z jej głowy czy też szarpał go, albo jak gdyby Linda

0 coś po drodze nim zaczęła, a poza tym przytrzymała ręką naderwany na ramieniu rękaw. Potem spostrzegłem jej twarz pałającą gniewem. Jednocześnie wystraszoną, ale wtedy jeszcze przede wszystkim gniewną, gdy Linda skreśliła w bramę, wciąż przytrzymując rękaw, lecz już nie biegnąc, idąc krokiem spieszonym i zdecydowanym, a gniew w jej oczach stopniowo przemieniał się coraz wyraźniej w strach. W końcu

1 gniew, i strach zastygły w jakieś zupełnie inne uczucie, bo właśnie przemknął ulicą samochód, który pędem nadjechał zza zakrętu, wóz Matta Lavitta, niewątpliwie; wprawdzie już wtedy było w mieście i okolicy kilka takich niskich wyścigowych samochodów, ale tylko ten jeden miał na młotce dużą podwójną trąbkę, która w pędzie wydawała za pociśnięciem guzika dwa tony; nagle doznałem wrażenia, że owiewa mnie na krótką chwilę jakiś dziwny zapach, tak ulotny, że nawet gdybym go kiedyś znowu

poczuł, nie umiałbym powiedzieć, czy go spotykam po raz pierwszy w życiu, czy nie; wóz przemknął, a Linda szła sztywno i spieszenie, w kapeluszu na bakier, podtrzymując oddarty rękaw, wciąż trochę zdyszana, chociaż na twarzy jej malował się już teraz niemal wyłącznie przestach, szła ku werandzie, na której czekali matka i wuj Gavin.

■— Dzień dobry, Lindo — powiedziała matka. — Masz oberwany rękaw.

— Zaczepiłam o gwóźdź — odparła Linda.

— Widzę — rzekła matka. — Chodź do mojego pokoju, zdejmiesz tam suknię, a ja ci to przyszyję.

— To głupstwo — powiedziała Linda. — Wystarczy, jeśli mi pani zechce użyczyć agrafki.

— Dam ci igłę i sama sobie to zreperujesz, a ja tymczasem zajmę się obiadem — odparła matka. —

Umiesz chyba szyć?

— Tak, proszę pani — powiedziała Linda. Odeszły obie do pokoju matki, a wuj Gavin razem ze mną do kancelarii, gdzie ojciec przywitał wujka słowami:

— A więc ktoś ją poturbował, próbując powstrzymać od wizyty u nas? Co się dzieje? Gdzie jest twoja włócznia, gdzie twój miecz? Gdzie biały rumak? — Matt za tym pierwszym razem mijając dom nie zatrąbił na swojej dwutonowej trąbce, więc nikt z nas jeszcze nie wiedział, czego Linda nasłuchuje siedząc przy naszym stole z rękawem wprawdzie przyszytym do sukni, ale tak, jakby zrobiło to dziesięcioletnie dziecko, i z twarzą wciąż napiętą i wystraszoną. Bo wtedy jeszcze nie rozumieliśmy. Nie rozumieliśmy,

0 ilu rzeczach naraz musiała wówczas myśleć: okazywać, że ją cieszy ten obiad u nas. uważać, by jej zachowanie było wytworne w tym obcym domu, wśród ludzi, od których nie miała powodów spodziewać się szczególnej sympatii, a przy tym nieustannie łamała sobie głowę, co zrobi lada chwila Matt Levitt, i pilnowała się, żeby nikt nie zauważył, że ta jedna myśl głównie ją pochłania. Musiała nad sobą panować, żeby nie zdradzić się, że czeka na to, co się stanie, a kiedy już się działo, musiała udawać, że dalej spokojnie je, i odpowiadać matce: „tak, proszę pani” albo: „nie, proszę pani”, podczas gdy żółty niski wóz znowu przejeżdżał ulicą i tym razem trąbka grała swój dwutonowy sygnał, a ojciec nagle szarpnął głową do góry i głośno wciągając powietrze w nozdrza zapytał:

— Co to za zapach?

— Zapach? Jaki zapach? — zdziwiła się matka.

— Ten zapach — rzekł ojciec — którego już tutaj nie czuliśmy od... od ilu lat, Gavi- nie? — Nawet ja wiedziałem, co ma ojciec na myśli, chociaż nie było mnie jeszcze na świecie w tamtych czasach i słyszałem tylko tę historię od Gowana. Matka także zrozumiała. Pamiętała z pewnością samochód Manfreda de Spain z otwartym tłumikiem, sły-

szala go przecież wtedy na własne uszy. A jeśli nawet była niedostatecznie poinformowana, by skojarzyć dwutonowy sygnał z osobą Matta Levitta, wystarczyło jej popatrzeć na Lindę i wuja Gavina. A może nawet wystarczyło jej spojrzeć na twarz samego wuja Gavina, bo nie darmo jest jego bliźniaczką. Powiedziała więc:

— Charley...

— Może panna Snopes zechce mi wybaczyć — rzekł ojciec zwracając się do Lindy. — Widzi pani, ilekroć mamy przy stole ładną pannę, im jest ładniejsza, tym bardziej wysilam się na dowcipy, żeby ją zachęcić do częstszego bywania u nas. Tym razem trochę przesoliłem. Jeżeli panna Snopes wybaczy mi, że za bardzo siłęm się na dowcip, ja nawzajem jej przebaczę, że jest za ładna.

— Brawo — powiedział wuj Gavin. — Komplement wprawdzie nie najwyższej klasy, ale bądź co bądź bez szpilek, którymi był naszpikowany twój żarcik. Maggie, może wyjdziemy na werandę, tam jest chłodniej.

— Chodźmy — odparła matka. W hallu zatrzymaliśmy się i wszyscy spojrzeli na Lindę. Na twarzy jej wyczytaliśmy nie tylko strach, strach szesnastolatki, po raz pierwszy w życiu w domu obcych ludzi, którzy prawdopodobnie z góry byli zdecydowani jej nie polubić. Nie wiem, co to było. Ale matka widocznie zrozumiała, bo Linda na nią właśnie patrzyła z tym wyrazem w oczach.

— Myślę, że jednak chłodniej będzie w salonie — powiedziała matka. — Chodźmy do salonu. — Było już jednak za późno. Głos trąbki już dolatywał tak wyraźnie, że odróżnialiśmy każdą nutę: ta, ta, ta, nabrzmiewającą coraz głośniejsze, aż wóz przemknął przed domem i znów wyraźnie dochodziły cichnące tony sygnału, a Linda jeszcze przez długą chwilę nie odrywała od matki zrozpaczonego spojrzenia. Bo potem i ta rozpacz jakby się rozviała, a raczej może to uczucie, podobne przez moment do rozpaczki, przeminęło i twarz Lindy znów skamieniała.

— Będę musiała już iść — powiedziała. — Ja... proszę mi wybaczyć... muszę... — Wreszcie jakoś się pozbierała. — Dziękuję za obiad — dodała — dziękuję, pani Mallison. Dziękuję, panie Mallison. Dziękuję, panie Gavinie. — I odwróciła się zmierzając w stronę stołu, na którym zostawiła kapelusz i torebkę. Oczywiście nie spodziewałem się, żeby mnie także podziękowała za obiad.

— Pozwól, żeby cię Gavin odwiózł do domu — rzekła matka. — Gavinie...

— Nie, nie! — zaprotestowała Linda. — Ja nie... On nie... — I już jej nie było, już spieszyła przez drzwi frontowe na ścieżkę prowadzącą do bramy, niemal biegła, zdesperowana, spokojna, nie oglądając się za siebie. Znikła.

— Na Cycerona! — rzekł ojciec. — Gavinie, źle z tobą. Poprzednim razem wybrałaś sobie bądź co bądź bohatera hiszpańsko-ame-

rykańskiej wojny, właściciela sportowego wozu E.M.F. Teraz nie zdobyłeś się na nic lepszego niż bokser-amator, zdobywca Złotych Rękawic, parujący w samochodzie skleconym domowym przemysłem. Uważaj, braciszku, żebyś przy następnej okazji nie potknął się o skauta na rowerze i żeby smarkacz nie wyzwał cię na śmiertelny pojedynek.

— Co? — spytała matka.

■— Co byś zrobiła — rzekł — gdybyś była dwudziestojednoletnim mechanikiem i musiała tkwić w garażu co dzień do szóstej wieczorem, a pewien siwowłosy starszy pan podrywałby w każde popołudnie dziewczynę na drodze ze szkoły, wciągał ją do spelunek z wodą sodową i nadziewał lodami? Skądże on może wiedzieć, że Gavinowi nie chodzi

o nic innego, tylko o kształtowanie jej umysłu?

Ale już potem nie odbywało się to w każde popołudnie. Nie odbywało się już w żaden dzień tygodnia. Nie wiem, co się stało, jak do tego doszło, czy Linda napisała do wuja Gavina prosząc, żeby nie starał się jej spotykać na drodze ze szkoły, czy też chodziła umyślnie innymi ulicami, unikając spotkania, czy też może w ogóle przestała na jakiś czas bywać w szkole. Była już w liceum, a ja jeszcze w szkole podstawowej, więc nie mogłem wiedzieć, czy opuszcza lekcje, czy nie.

Nie wiedziałem nawet, czy nie wyjechała z Jefferson. Bo widywałem niekiedy Matta Levitta i jego wyścigowy wóz w porze, gdy już garaż był zamknięty i gdy dawniej Linda dotrzymywała mu towarzystwa, a także wieczorami, gdy chodzili czasem do kina. Ale teraz już nie było jej przy nim. Siedział w swoim wozie sam albo z jakimś chłopcem lub dorosłym mężczyzną. O ile mi było wiadomo, Matt nie spotykał się z nią wtedy, tak samo jak i wuj Gavin. - Wuj Gavin nic też po sobie nie dawał poznać. Dawniej wracając ze szkoły widywałem go z Lindą w drugistorze Christiana jedzących lody, a jeśli mnie któreś z nich spostrzegło, kiwali, żebym wszedł, i we troje zjadaliśmy lody. Teraz już przechodząc nie miałem po co zaglądać do Christiana, ale też to była jedyna różnica, jaką w zachowaniu wuja Gavina zauważyłem. Aż wreszcie pewnego dnia — w piątek — wuj Gavin czekał przy stoliku w drugistorze i dał mi znak, żebym wszedł, więc chociaż nie było drugiego nakrycia na stole, pomyślałem, że Linda na chwilę tylko opuściła swoje miejsce, może kupuje coś w dziale perfumeryjnym albo wybiera czasopisma; nawet gdy już byłem przy nim i gdy wuj Gavin powiedział: — Ja jem brzoskwińowe. Jakie dla ciebie zamówić? — wciąż jeszcze spodziewałem się, że lada chwila Linda pokaże się wychodząc z ukrycia.

— Truskawkowe — powiedziałem. Na stole leżała ostatnia książka, tom poezji Jph-

m

na Donno sprowadzony przez wuja Gavina dla Lindy.

— Miejscowa przesyłka pocztą kosztowałaby dziesięć centów, tak samo jak do Memphis — powiedział wuj. - - Proponuję ci lody i dziesiątkę za odniesienie książki do jej domu.

— Zgoda — odparłem. Pan Snopes po sprowadzeniu się do Jefferson wynajął dom. Później zapewne go kupił, bo gdy został wiceprezesem banku, Snopesowie zaczęli się na dobre instalować. Dom świeżo odmalowano i — jak myślę na życzenie pani Snopes — obsadzono altanę w ogrodzie glicynią, a gdy wchodziłem przez furtkę, Linda zawołała mnie i zobaczyłem w altanie hamak. Glicynie jeszcze kwitły, pamiętam, jak Linda wyglądała, bo przy czarnych włosach oczy jej miały podobny, a suknia dokładnie ten sam kolor, co kwiaty glicynii; leżała w hamaku i czytała, pomyślałem sobie: „Wuj Gavin niepotrzebnie jej przysłał nową książkę, przecież jeszcze nie skończyła poprzedniej”. Potem spostrzegłem na ziemi pod hamakiem całą paczkę szkolnych książek i stwierdziłem, że Linda czyta podręcznik geometrii, zadałem więc sobie pytanie, czy gdyby Matt Levitt wiedział, że ona woli studiować geometrię, niż z nim spacerować, zmartwiłby się tym dużo mniej niż odkryciem, że Linda jada lody w towarzystwie wuja Gavina.

Dałem jej książkę i poszedłem do domu.

Było to w piątek. Nazajutrz, w sobotę, wybrałem się na mecz baseballu, a potem wstąpiłem do biura, żeby razem / wujem Gavi- nem wrócić do domu. Nagle usłyszeliśmy kroki na zewnętrznych schodach, i to nie jednej pary nóg, odgłosy jakby szamotaniny, nawet, sapanie i szepty, wreszcie drzwi otwarły się gwałtownie i wpadł Matt Levitt z jakąś paczką wciśniętą pod pachę, szybko zatrzęsł drzwi przed nosem tej drugiej osoby, która usiłowała wejść za nim, i przytrzymał je kolanem, póki nie zmacał zasuw i nie zaryglował jej. Był przystojnym chłopcem. Nie tryskał humorem ani zadowoleniem, miał jednak minę wesołą, jakby określił to Ratliff. Minę młodego człowieka, który jeszcze nie wie, że wynaleziono coś takiego, jak zwątpienie. Ale w tym "momencie nie wyglądał wesoło, wyciągnął spod pachy książkę •— tom wierszy Johna Donna, który poprzedniego dnia zaniósłem Lindzie i grzmotnął nią o biurko tak, że wydarte i postrzępione kartki fruwały i rozsypały się po całym blacie, a kilka nawet spadło na podłogę.

— I co pan na to? — powiedział obchodząc biurko, za którym wuj Gavin zerwał się z krzesła. — Nie chce pan się ze mną bić? Prawda, że to nie pańska specjalność. Nie szkodzi, nie zrobię panu wielkiej krzywdy, zaprawię tylko buzię dla nauczki, żeby mnie pan zapamiętał. — Nie uderzył mocno, jego pięści bez rozmachu, nieznacznym ruchem

musnęły twarz wuja Gavina, zdawało się, że nie puściły mu krwi z warg i nosa, lecz tylko rozmazały na nich krwawą plamę; powtórzył cios dwa czy może trzy razy, nim wreszcie ocknąłem się z osłupienia i chwyciwszy ciężką laskę dziadka, która zawsze tkwiła przy drzwiach w stojaku na parasole, podniosłem ją i z całych sił walnąłem nią od tyłu w głowę napastnika. — Nie, Chick! — krzyknął wuj Gavin. — Nie wolno. Przestań. — Niepotrzebnie, bo Matt okazał się zwinniejszy, niż się spodziewałem. Możliwe, że temu właśnie zawdzięczał Złote Rękawice. W każdym razie odwrócił się błyskawicznie, złapał koniec laski i ani wiedziałem, kiedy wyszarpnął mi ją z ręki; myślałem, że teraz uderzy tą bronią mnie albo wuja Gavina, albo nas obu, więc przykucnąłem, żeby skoczyć i podciąć mu nogi, ale on opuścił w dół laskę i ostrym końcem niby bagnetem dotknął mojej piersi tuż pod gardłem, jak gdyby mnie chciał powstrzymać, w rzeczywistości jednak dziobnął mnie jak szmatę czy strzep papieru.

— Nie udało się, pętaku — powiedział. — Nawet nieźle się do tego zabierałeś, szkoda, że twój wujcio podniósł za wcześniej alarm. — Cisnął laskę w kąt i okrążając mnie podszedł do drzwi, a my obaj dopiero w tej chwili zrozumieliśmy, że ta osoba, przed którą Matt zatrzasnął drzwi, stoi za nimi wciąż jeszcze i dobija się nieustannie; Matt pchnął rygiel, otworzył drzwi, usunął się na bok i wpadła Linda, cała rozogniona — tak, rozogniona, nie ma na to innego słowa. Nawet nie spojrzała na wuja Gavina ani na mnie, wykręciła się piruetem, trzepnęła Matta po twarzy raz, drugi, najpierw lewą, potem prawą ręką, zdyszana, rozszlochana.

— Ty durniu. Ty bydlaku. Tępy, ciemny bydlaku, głupi chamie.

Pierwszy raz w życiu słyszałem takie słowa z ust szesnastoletniej dziewczyny. Nie. Pierwszy raz słyszałem takie słowa z ust jakiegokolwiek kobiety. Stała przed Mattem płacząc w głoś, nie wiedząc w furii, co robić, czy dalej go policzkować, czy dalej lżyć, aż w końcu wuj Gavin obszedł biurko, zbliżył się do niej i dotknął jej ramienia mówiąc:

— Dosyć, Lindo, już dosyć.

Wtedy odwróciła się, objęła go, przytuliła twarz do zakrwawionej na piersiach koszuli i wciąż głośno płacząc powtarzała:

— Panie Gavinie, panie Gavinie, panie Gavinie.

— Otwórz drzwi, Chick — powiedział wuj Gavin. Otworzyłem. — Proszę wyjść, młody człowieku — rzekł wuj Gavin do Matta. — Niech pan wyjdzie. — Matt wyszedł. Chciałem zamknąć za nim drzwi, ale wuj powiedział: — Ty także, Chick.

— Ja także? — spytałem.

— Wyjdź — powiedział wuj Gavin trzymając w ramionach Lindę, trzęsącą się, splakaną, przytuloną do niego tak, że krew[?] z jego nosa ciekła na jej głowę.

icch pan wyjdzie — powiedziałem. — Ty także, Chick”. Wyszedł, a ja zostałem trzymając ją w ramionach. A raczej to ona mnie trzymała, nawet mocno, drżąc i szlochając, płacząc gwałtownie i tuląc twarz do mojej koszuli tak, że czułem, jak gors stopniowo przemaka. Ratliff powiedziałby: „wet za wet”, bo czerwone wino z mego nosa, mówiąc stylem wiktoriańskim, splamiło jej suknię na ramionach. Kiedy więc zdołałem uwolnić jedną rękę na dość długo, by poprzez plecy Lindy sięgnąć do kieszonki w marynarce i wyciągnąć chustkę, poratowałem się doraźnym opatrunkiem, a gdy mogłem na dłużej się oswobodzić, dosięgłem kranu z wodą.

— Uspokój się — powiedziałem. — Już teraz się uspokój. — Ale ona płakała jeszcze gwałtowniej i lgnąc do mnie powtarzała:

— Panie Gavinie, panie Gavinie, och, panie Gavinie.

— Lindo, czy mnie słuchasz? — spytałem. Nie odpowiadała, wciąż tuląc się do mnie. Wyczułem na swojej piersi, że skinęła głową. — Czy chcesz wyjść za mnie? — spytałem.

— Tak — odpowiedziała. — Tak. Zgadzam się, zgadzam.

Teraz ująłem ją pod brodę i przemocą podniosłem jej twarz tak, że musiała spojrzeć mi w oczy. Ratliff mówił, że McCarron

iniał oczy szaro, zapewne tak zimnoszarc* jak Hub llamplon. Ale jej oczy wcale nie były szare. Były ciemnościenne, takie same, jak w mojej wyobraźni li i a cyn Iowo morze Homera.

—• Posłuchaj — powiedziałem. — Czy chcesz wyjść za męża? — Tak, kobietom nie jest potrzebna inteligencja, chyba w rozmowie salonowej, w stosunkach towarzyskich. Ale znałem kobiety czarujące i taktowne, chociaż nawet w tych okolicznościach obywateli się bez intelektu. Bo kiedy mają do czynienia z mężczyznami, z żywymi ludźmi, wystarcza instynkt, intuicja jeszcze nie stępiona i nie zaćmiona, bezgraniczna zdolność do poświęceń nie zakłócona i nie zmacona zimnymi regułami moralności i bardziej jeszcze zimnym realizmem.

— To znaczy, że nie muszę? — spytała.

— Oczywiście — rzekłem. — Nie musisz, jeżeli nie masz ochoty.

— Nie chcę wyjść za męża za żadnego człowieka na świecie — odparła, wyszlochała; znów garnęła się do mnie wtulając twarz w szmatę mokrą od łez zmieszanych z krwią, w jaką się teraz zmienił gors mojej koszuli i mój krawat. — Za nikogo! — powiedziała. — Pan jest dla mnie wszystkim, panu jednemu ufam. Kocham pana! Kocham!

XIV. CHARLES MALLISON

iećły wrócił do domu, twarz miał czy- FiaiS Ale^{nos} i wargi zachowały ślady IfellffiS pobicia, a na oplakany stan koszuli i krawata nie mógł nic poradzić. Chyba żeby kupił now^e, bo w sobotę sklepy były jeszcze otwarte. Nie zrobił tego jednak. Może zresztą i tak nie mógłby ukryć całej historii przed matką; z pewnymi rzeczami trzeba się pogodzić, jeśli ma się siostrę bliźniaczkę. Tak, tak, gdyby świder dentystyczny umiał mówić, brzmiałoby to dokładnie tak, jak głos matki, gdy już przestała śmiać się i płakać jednocześnie i gdy powiedziała: „Ty wariacie, Gavinie, ty wariacie”, a wuj Gavin poszedł na górę do swego pokoju, żeby przed kolacją włożyć czystą koszulę i świeży krawat.

— I on kształtuje jej umysł! — powiedziała matka.

Zdawało się, że wszystko może znieść prócz pobicia albo rozkrwawienia nosa. Można by myśleć, że gdyby pan de Spain nie pobił go w zaułku w noc gwiazdkowego balu, wuj •Gavin przezwyciężyłby tę historię z panią Snopes i uniknąłby zajmowania się intelektem Lindy. A gdyby Matt Levitt tego popołudnia nie przyszedł do biura i nie rozkrwa- wił mu nosa, wuj Gavin pewnie by na tym poprzestał i nie podejmowałby dalszych opiekuńczych kroków w stosunku do Lindy.

Nie poprzestał jednak, nie mógł. W każdym razie pozbył się Malta LeviUa. Było to wiosną. Linda w tym roku kończyła szkołę średnią, w maju miała dostać świadectwo, i w dni szkolne po południu zawsze ją widywałem wracającą z paczką książek pod pachą. Nie wiem, czy były między nimi tomy poezji, bo mijając drugstore Christiana nie patrzyła nigdy w stronę drzwi, lecz szła dalej z twarzą napiętą, z głową trochę podniesioną, jak wyżeł na tropie zwierzyny; szła i zapewne widziała ludzi, miasto, Rynek, bo w tym momencie i w każdym innym musiała iść naprzód w jakimś otoczeniu, przez jakieś miejsca, i mogło to być równie dobrze Jefferson, tutejsi ludzie i tutejszy Rynek, ale nie miało to większego znaczenia.

Bo wuj Gavin już teraz nie znajdował się jak gdyby przypadkiem na jej drodze. Tak, wuj Gavin już nie siadywał naprzeciw niej przy marmurowym stoliku u Christiana patrząc, jak Linda je z wysokiego pucharka przysmaki, kosztujące co najmniej piętnaście albo dwadzieścia centów, ale Matt Levitt także się jej towarzystwem nie cieszył. Nie chciała Matta ani jego niskiego wyścigowego wozu, który teraz widywano pusty, Matt jeździł nim samotnie po zamknięciu garażu w zwykłe dni tygodnia, sunąc na pierwszym biegu ulicami lub przez Rynek równoległe do niej albo nieco za nią, gdy szła do kina z inną młodą dziewczyną albo z paru rówieśnicami, zawsze niosąc głowę wysoko i nie

patrzając na niego nigdy, chociaż, samochód niemal ocierał się o jej łokieć i / . cichym szumem zamkniętego tłumika odprowadzał ją aż do drzwi kina, w których zniknęła gromadka dziewcząt. Wtedy wóz na pełnym gazie okrążył blok domów, wracał strzelając z rury wydechowej, jak sic? dało najgłośniejszy skręcał w boczną uliczkę, za gmachem kina, znowu przemykał przed jego ironem i znowu go okrążył, by wypaść z powrotem z bocznej uliczki, ale tu już na rogu czekał Otis Ilarker, następca Groveva Clevelanda Winbusha, który musiał wycofać się ze służby nocnego policjanta z powodu — jak mawiał Ratliff — krótkowzroczności; Otis Harker czekał więc na rogu, by krzyknąć groźnie na Matta, uskakując jednocześnie przed niebezpiecznym samochodem.

W niedzielę żółty samochód z linkiem toczył się przez Rynek, a Buck Connors, dzienny policjant, pokrzykiwał za nim. Ale tym razem Matt miał u swego boku dziewczynę, wiejską dziewczynę, którą sobie gdzieś wynalazł i obwoził ją swoim wyścigowym wozem grzmiąc przez boczne ulice, żeby powoli i z hałasem przedelfilować przed domem Lindy, jak gdyby dla zawiedzionej miłości czy też żądzy, a może po prostu zawodu, jedynym symbolem możliwym w Jefferson był tłumik samochodu; jedyną manifestacją miłości czy też żądzy, na jaką zdobywano się w Jefferson, była powolna jazda przed wybranym domem z szeroko otwartym tłumikiem, aby

on czy ona musieli wiedzieć, kto przejeżdża, choćby najusilniej wystrzegali się spojżenia przez okno.

Ale tym razem pan Connors wezwał samego szeryfa. Jak mówił, chciał właściwie zbudzić Otisa Ilarkera i ściągnąć go z powrotem do miasta, aby mu pomógł, lecz Otis, dowiedziawszy się, że ma współdziałać w poskramianiu tego wyścigowego wozu, nie dał się wywabić z łóżka. Później, już po wszystkim, ktoś zapytał Malta, czy byłby gotów przejechać także samego pana Iiamptona, a Malt odpowiedział: „Jego stuknąć? Huba Iiamptona? Żeby mi swoimi cuchnącymi flakami pochłapał świeży lakier?” Ale tym razem pan Iiampton nie potrzebował ingerować w sprawę otwartego tłumika, bo Matt wyjechał za miasto, zapewne odwożąc do domu dziewczynę; bądź co bądź około północy tegoż dnia zatelefonowano do pana Hamptona, żeby przysłał któregoś ze swych ludzi do Caledonii, gdzie Matt wdał się w groźną bójkę z Ansom McCallumem, synem pana Buddy’ego McCalluma; Ansa w końcu chwycił kołek z płotu czy inny jakiś drąg i zabiłby Matta, gdyby ludzie nie przeszkodzili mu, obezwładniając obu przeciwników i trzymając ich, podczas gdy ktoś alarmował przez telefon szeryfa; przywieziono ich do miasta i zamknięto w areszcie, lecz nazajutrz rano pan Buddy McCallum przykuszył na swojej sztucznej nodze i obu wykupił, po czym zaprowadził na pusty plac za stajnią dla

mułów należąca do I. O. Snopesa i powiedział synowi:

— Dobrze. Skoro nie umiesz przegrać walki uczciwie bez chwytania za kołek z plotu, odejmę nogę i sam cię nią wygrzmocę.

Bili się więc raz jeszcze, tym razem bez kolka z plotu, w obecności pana Buddy'ego i paru innych mężczyzn; Ansa nie mógł dorównać Złotym Rękawicom Matta, ale nie ustępował z pola, dopóki mu ojciec nie powiedział:

— Dobrze. Dość tego! — I kazał synowi umyć twarz nad korytem mułów, a potem wsiąść do samochodu; do Matta na pożegnanie rzekł: — Myślę, że pora, byś wyniósł się stąd wreszcie. — Ale niepotrzebnie mu to mówił, bo i tak już chłopaka wyrzucono z posady w garażu, a Matt na tę wiadomość krzyknął:

— Wyrzucają mnie? Do diabła, to ja ich rzucam. Niech mi ten drań przyjdzie to w oczy powiedzieć. — Był przy tym również pan Hampton, wysoki, brzuchaty, patrzył twardymi oczkami z góry na Matta. — Gdzie, u diabła, jest mój wóz? — spytał Matt.

— U mnie — odparł pan Hampton. — Sprowadziłem go dzisiaj rano.

— No, dobrze — powiedział Matt. — Nie udało się, co? McCallum przyszedł i wykupił mnie, zanim pan zdążył mój wóz sprzedać i pieniądze schować do kieszeni, he? Co pan powie, jeśli tam pójde, wsiądę i dani gazu?

— Nic, synu — odparł pan Hampton. — Jedź, kiedy zechcesz.

— Już chcę — rzekł Matt. — I opuszczając to wasze zas... miasto docisnę gaz do dechy, otworzę tłumik na całego. Może pan to sobie także schować, ale nie do kieszeni. Co pan na to?

— Nic, synu — odparł pan Hampton. — Zawrę z tobą umowę. Leć z otwartym tłumikiem aż do granicy okręgu i jeszcze dwa kroki za nią. Przypilnuję, żeby nikt się do ciebie o to nie czepiał, byłeś mi obiecał, że nigdy tej granicy z powrotem nie przekroczysz.

Na* tym się skończyło. Był poniedziałek, dzień targowy, cała okolica zjechała do miasta, ludzie stali w milczeniu wokół Rynku i patrzyli, jak Matt po raz ostatni tędy przejeżdża, z tekturową walizką, tą samą, z którą do Jefferson przyjechał, leżącą obok niego na siedzeniu, z tłumikiem otwartym, z rurą wydechową pobrzękującą i strzelającą. Nikt mu nie machał ręką na pożegnanie, a Matt też na nikogo z nas nie spojrzał; wszyscy spokojnie, w ciszy czekali, aby mały jaskrawy wóz przesunął się powoli, z hałasem, kolorowy, krzykliwy i wyzywający, lecz zarazem nierzeczywisty, niewinny i kruchy jak zabawka, urodzinowy podarek dla dziecka, tak że jego widok nasuwał myśl, iż chyba nie dojedzie nawet do Memphis, nie tylko do Ohio; przeciął Rynek i skręcił w ulicę, która na skraju miasta przeobrażała się

w szosę do Memphis, a tłumik objął się i szczykał, hałas echem rozlegał się wśród murów, wyolbrzymiony tysiącrotnie nad miarę i masę tej wątlej małej maszynki, która go powodowała. Myśleliśmy — przynajmniej niektórzy z nas myśleli — że po raz ostatni przetoczy się powoli i hałaśliwie przed domem Lindy Snopes. Ale nie zrobił tego. Mały wóz pojechał prosto w swoją drogę, sunął coraz szybciej szeroką ulicą, pustą w tym momencie, jak gdyby specjalnie dla niego ją oczyszczono, między coraz rzadszymi domami miasta ustępującego już tam miejsca wsi, zielonym obszarom lasów i pól, wśród których zuchwały huk rury wydechowej zdawał się bezsilny i przycichał stopniowo, aż umilkł pochłonięty całkowicie.

— A więc — jak powiedział ojciec do wuja Gavina — mieliśmy teraz „o jednego mniej”. — Był już maj i wszyscy wiedzieli, że Linda Snopes skończy szkołę jako prymuska w tym roku i że jej przypadnie zaszczyt wygłoszenia pożegnalnej mowy w imieniu całej klasy. Wuj Gavin zwolnił kroku, gdy zbliżyliśmy się do sklepu Wildermarka, i pokazując wystawę rzekł:

— Widzicie? Ten pierwszy za zielonym.

Był to damski neseser podróżny.

— To się nadaje do podróży — powiedziała matka. .

— Tak — powiedział wuj Gavin.

— Do podróży — powiedziała matka.

Dla kogoś, kto wyjeżdża.

— Tak — powiedział wuj Gavin. — Ona stąd powinna wyjechać. Powinna opuścić Jefferson.

— A cóż temu miastu brakuje? — spytała matka. Staliśmy we trójkę przed wystawą. Widziałem w lustrze odbicie naszych trzech postaci przyglądających się walizeczce wyposażonej w damskie przybory toaletowe. Matka nie mówiła ani cicho, ani głośno, po prostu spokojnie. — Dobrze więc — powiedziała. — Co brakuje Lindzie?

Wuj Gavin odpowiedział tym samym tonem:

— Nie lubię, jak coś się marnuje. Każdemu należy się szansa i nie powinien jej zmarnować.

— Szansa albo prawo niemarnowania młodej dziewczyny — powiedziała matka.

— Przyznaję — rzekł wuj Gavin. — Chcę, żeby była szczęśliwa. Każdemu należy się szansa szczęścia.

— A nie miałyby tej szansy pozostając w Jefferson — powiedziała matka.

— Masz rację — rzekł wuj Gavin. Nie patrzyli na siebie. Można by myśleć, że nie rozmawiają z sobą, ale z odbiciem w lustrze wystawkowym, tak jak się wsuwa zanotowaną myśl do pustej, anonimowej, szablonowej koperty albo do pustej butelki, by ją zapieczętowaną wrzucić w morze, albo jak dwie zapisane myśli na wieki zapieczętowane i jednocześnie w dwóch różnych butelkach rzucone w morze, gdzie będą ją niosły fale,

nurty i prądy aż na zimne krańce świata, lecz zawsze nietykalne, nietknięte, nienaruszone, pozostaną dwiema myślami i dwiema prawdami, a nawet dwoma faktami, chociażby niczyje oczy już ich nigdy więcej nie ujrzały, chociażby żadna inna myśl nie odpowiedziała na nie i nie wybiegła na ich spotkanie, by je uradować, potwierdzić lub zmartwić.

— Szansa, obowiązek i prawo czuwania, żeby każdy był szczęśliwy, niezależnie od tego, czy zasługuje na szczęście, czy nie, a nawet czy go pragnie — powiedziała matka.

— Masz rację — rzekł wuj Gavin. — Przepraszam, że cię trudziłem. Wracajmy do domu. Poślę jej tuzin słoneczników z kwiaciarni pani Rouncewell.

— Czemu nie? — powiedziała matka biorąc go pod ramię i kierując nim, i zaraz trzy nasze odbicia w lustrze zwróciły się ku drzwiom sklepu, weszliśmy, a matka pierwsza poszła prosto do działu walizek.

— Myślę, że niebieski będzie pasował do koloru jej oczu — powiedziała. — To prezent dla Lindy Snópes — wyjaśniła sprzedawczyni, pannie Eunice Gant. — Z okazji ukończenia liceum.

— Jak to miło z państwa strony — powiedziała panna Eunice. — Czy Linda wybiera się w podróż?

— O, tak — odparła matka. — Bardzo możliwe. A najprawdopodobniej pojedzie chyba w przyszłym roku na wschód do którejś ze szkół dla dorastających dziewcząt.

— To dobrze — powiedziała panna Eunice. — Zawsze mówię, że chłopcy i dziewczęta powinni spędzić co najmniej rok w szkołach poza rodzinnym miastem, żeby się dowiedzieć, jak ludzie gdzie indziej żyją.

— Bardzo słusznie — powiedziała matka. — Dopóki człowiek nie pojedzie i nie zobaczy, żyje tylko nadzieją. Dopóki się na własne oczy nie przekona, nie zrezygnuje i nie osiadzie spokojnie na swoim miejscu.

— Maggie — powiedział wuj Gavin.

— O, chcesz zapłacić gotówką, zamiast zapisywać na twój rachunek? — powiedziała matka. — Dobrze, pan Wildermark z pewnością nie będzie miał nic przeciw temu.

Wuj Gavin wyjął z portfela dwa dwudzie- stolarowe banknoty, a także bilet wizytowy, który wręczył matce.

— Dziękuję — powiedziała — ale może panna Eunice da nam większy kartonik, na którym zmieszczą się nasze cztery nazwiska.

Panna Eunice dała jej duży kartonik, a matka czekała z wyciągniętą ręką, żeby wuj Gavin odkręcił i podał wieczne pióro; przyglądał się, jak dużymi niezgrabnymi literami, pismem trzynastoletniej pensjonarki wypisywała:

MAGGIE I CII A III.ES M AIJ.ISON CHARLES MALLISON JUNIOR GAVIN STEVENS

po czym zakreśliła pióro i zwróciła je wujowi Gavinowi, pomachała w powietrzu kartonikiem trzymając go w dwóch palcach za rożek, a gdy atrament przesechł, podała bilet pannie Eunice.

— Odeślę dzisiaj wieczorem — powiedziała panna Eunice. — Wprawdzie uroczyste zakończenie roku szkolnego odbędzie się dopiero za tydzień, ale czemuż by Linda nie miała się wcześniej ucieszyć tym pięknym prezentem?

— Słusznie — powiedziała matka. — Czemuż by nie miała się ucieszyć?

I znów znaleźliśmy się przed sklepem, nasze trzy odbicia zlewały się w jedno przesuujące się w lustrze, w miarę jak odchodziliśmy. Matka trzymała wuja Gavina pod rękę.

— Cztery nazwiska — rzekł wuj Gavin. — Przynajmniej ojciec nie dowie się, że siwowłosy stary kawaler ofiarował jego siedemnastoletniej córce neseseer podróży.

— Tak — rzekła matka. — Jedno z nich nie będzie o tym wiedziało.

XV. GAVIN STEVENS

rudność polegała na tym, jak jej to powiedzieć, jak wytłumaczyć. To znaczy motywy. Nie decyzję, nie sam postępek, ale ukrytą przyczynę. Dlaczego. Jak powiedzieć wręcz nad jednym z tych potwornych syntetycznych paradoksów, którymi raczyła się z upodobaniem w drugsto- rze Christiana czy też na ulicy: „Nie będziemy się odtąd już spotykać, bo kiedy Jefferson dowie się wszystkich szczegółów tej historii o twoim młodym wielbicielu, który śledząc cię pewnej soboty zaszedł za tobą aż do mojego biura i puścił mi krew z nosa, a w tydzień później, po spędzeniu ostatniej nocy w Jefferson w okręgowym więzieniu, otrząsnął raz na zawsze pył naszego miasta ze swych stóp wśród warkotu swojego hałaśliwego samochodu, gdyby wiedząc to wszystko zobaczono nas znowu w cukierni jedzących razem lody, straciłabyś do reszty dobre imię”.

Rozumiecie? Tak już jest z tymi słowami: reputacja i dobre imię. Wystarczy je wymówić, powiedzieć głośno, uznać ich istnienie, żeby je nieodwołalnie splamić i zbrukać, naruszyć nietykalność istoty rzeczy w nich wyrażonej, nie tylko ją narazić, ale skazać z góry na zniszczenie; tracąc nienaruszalną integralność, właściwą zasadom, zmieniałyby się, poniżyły, nabierając złudnej i z góry na zgubę skazanej kruchości, nieodłącznej od człowieczego losu; niewinność i dziewictwo sprowadzone do symboli i skojarzone z pojęciami utraty i żalu, zawsze opłakiwane, istnieją jedynie w czasie przeszłym, jako coś, co było i czego teraz nie ma, już nie ma.

Na tym polegał problem. Bo sam uczynek, sam akt był dość prosty. Na szczęście, cała

historia zdarzyła się; późnym popołudniem w sobotę, moja Iwar/ miała w ięc przez trzydzieści sześć godzin czas na zabliźnienie rany, nim musiała ukazać się; publiczności (wystarczyłby jej nawet krótszy czas, gdyby nie pierścionek na ręku Malta, nieco mniejszy oCL miedzianego kastetu i niezłe naśladowujący złoto, jeśli nie przyglądać mu się zbyt uważnie, ozdobiony oczkiem w kształcie paszczy tygrysa ściskającej w zębach — zapewne — rubin; zapewne, ponieważ brak tego kamienia w danym momencie odczuły jako stratę tylko moje wargi).

Zresztą spotykaliśmy się w drugstworze rzadziej niż raz na tydzień, a już na pewno nie codziennie, więc mógłby upłynąć cały tydzień, zanimby (po pierwsze) ktoś zauważył, że nie spotkaliśmy się już od przeszło tygodnia i zanimby ten ktoś (po drugie) wysnuł doraźny wniosek, że widocznie mamy coś do ukrywania, skoro od tygodnia z górą już się nie pokazujemy, i że (po trzecie) ponowne spotkanie po przeczekaniu przeszło tygodnia jest jednym więcej dowodem potwierdzającym tę hipotezę.

Wtedy mogłem już ogolić się nie rozjątrząc skaleczonej wargi. Wszystko więc było proste, zupełnie proste, a ja także myślałem po prostu. Ułożyłem sobie taki plan: punktualnie wyreżyserowany przypadek sprawi, że wyjdę z drugstore'u niosąc, na przykład, puszkę tytoniu fajkowego i pokazując ją oczom świata, nim zniknie w mej kieszeni,

dokładnie w tej samej chwili, gdy Linda będzie przechodziła tamtędy w drodze do szkoły. „Dzień dobry, Lindo — powiem, niby to mijając ją, ale jakby po namyśle zatrzymując się przy niej. — Mam dla ciebie nową książkę. Wstąp wracając po południu do drugstore'u, przejrzymy ją razem pijąc coca-cole'ę”.

Wszystkie te ostrożności byłyby niezbędne. Bo mnie w mojej naiwności nie przyszło nigdy do głowy, że cios tej prawie złotej tygryziej głowy, w której zębach brakowało rubina, mógł ją także zranić, chociaż nie zostawił widocznego śladu; że niewinność jest niewinna nie dlatego, że odrzuca, lecz dlatego, że akceptuje; jest niewinna nie dlatego, że niedotykalna i niedostępna dla zła, ale dlatego, że wszystko gotowa przyjąć nie tracąc nic ze swej niewinności; dlatego, że z góry wszystko przewiduje, niczego więc nie potrzebuje obawiać się ani lękać; puszka z tytoniem znalazła się już w mojej kieszeni, bo w momencie, gdy ją ostentacyjnie tam wkładałem, ostatnie zapóźnione i obciążone książkami dziewczęta już przebiegły ulicę przy akompaniamencie szkolnego dzwonka, a Linda się nie zjawiała; oczywiście musiałem coś przegapić: albo za późno stawilem się na posterunku, albo ona wybrała inną drogę do szkoły (czy też może wcale tam dzisiaj nie poszła); jakiegokolwiek były tego powody, nie odegrał w nich roli podstarzały kawaler, który usiłował pośredniczyć między nią a Jonsonem, Herrickiem i Thomasem

Campionem; przeszedłem więc wreszcie na drugą stronę ulicy, już wyludnionej z dzieci, i wspinając się po zewnętrznych schodach do swego mieszkania myślałem, że skoro dzisiaj nie udało się, spróbuję tego samego manewru jutro, a nawet mogę posłużyć się tą samą puszką tytoniu, byle nie zerwać z niej niebieskiej opaski, będzie wyglądało to wiarygodnie, i tak planując otworzyłem drzwi, wszedłem do gabinetu.

Siedziała nie w obrotowym fotelu za biurkiem i nie w obitym skórą fotelu przeznaczonym dla klienta, ale na twardym, zwykłym krześle pod półkami biblioteki, jak gdyby w ucieczce zatrzymał ją mur i jak gdyby wtedy dopiero odwróciła się do niego plecami i ledwie że przysiadła na krześle, nie kuląc się, lecz ze stulonymi kolanami, sztywno trzymając nogi, z rękoma zaciśniętymi na podołku, z głową czujnie podniesioną, wpatrzona w drzwi, a teraz już we mnie, oczyma odziedziczonymi po młodym McCar- ronie, oczyma, które z daleka wydawały się tak samo czarne, jak jej włosy, z bliska jednak okazywały się ciemnoszafirowe, prawie fioletowe.

— Myślałam... — powiedziała. — Ludzie... ktoś mówił, że Matt rzucił pracę i wyjechał... wczoraj. Myślałam, że może pan...

— Oczywiście — odparłem. — Zawsze cieszę się, gdy cię widzę... — I w ostatniej chwili ugryzłem się w język, żeby nie powiedzieć: „Czekałem na ciebie tam, na rogu, dopóki nie umilkł dzwonek, czekałem, że będziesz tamtędy szła do szkoły”. Ale naprawdę ugryzłem się w język, żeby nie powiedzieć: „Wyjdź. Wyjdź stąd natychmiast. Po co przyszaś? Czy nie rozumiesz, że właśnie myśl o tobie spędza mi sen z oczu od ostatniej soboty”. Więc powiedziałem tylko, że kupiłem dopiero co puszkę tytoniu i będę musiał poszukać amatora, który by zdołał czy też zechciał go wypalić albo przyjąć w prezencie; powiedziałem to jako wstęp do wyjaśnienia: •— Mam dla ciebie nową książkę. Zapomniałem ją przynieść dzisiaj rano, ale zrobię to w południe. Będę na ciebie czekał u Christiana, przyjdź po lekcjach, napijemy się lemoniady. A teraz musisz się spieszyć, już bardzo późno.

Nie puściłem przez cały czas z rąk klamki, więc wystarczyło tylko otworzyć znów drzwi, a przez tę chwilę, gdy Linda szła z głębi pokoju ku wyjściu, zdążyłem przeżyć tysiąc gorączkowych wątpliwości: czy zostać, ukryć się w tym gabinecie, stwarzając pozory, że mnie tam wcale tego ranka nie było, i pozwolić jej odejść samej; czy odprowadzić ją na podest schodów i asystować, póki z nich nie zbiegnie, grając rolę troskliwego wujcia; czy też odprowadzić ją aż do szkoły i naocznie stwierdzić, że weszła tam, niby przyjaciel rodziny, który przyłapał dziecko na wagarach i zwraca je na drogę obowiązku, przyjaciel domu Flema Snopes.a, który nie miał więcej przyjaciół

niż „Czarnobrody” i Pistol, i Euli Varner, która nie miała przyjaciół godnych tego miana tak samo jak i ci nie miały Mesalina ani Helena.

Ostatecznie połączyłem wszystkie te trzy warianty: czekałem w swym gabinecie za długo, tak że musiałem potem ze zbytnim pośpiechem zbiec za nią ze schodów, szedłem obok niej ulicą nie dość dyskretnie, żeby ująć uwagę ludzkiej lub dać o sobie zapomnieć. Pozostało mi więc tylko jedno wyjście: przekupić mojego siostrzeńca dolarowym banknotem i powierzyć mu książkę, nie pamiętam już jaką, może nawet nigdy nie wiedziałem, co to była za książka.

— Aha — rzekł Chick. — Mam spotkać się z nią w drugistorze Christiana po lekcjach, dać jej tę książkę i powiedzieć, że będziesz starał się tam przyjść, ale żeby nie czekała.

I mam jej zafundować lemoniadę. Dlaczego nie mogę dać jej tej książki po prostu w szkole? Oszczędziłbym na czasie.

— Z pewnością — odparłem. — Dlaczego nie miałbyś w takim razie zwrócić mi dolara?

— I jeszcze chcesz, żebym jej zafundował lemoniadę — rzekł Chick. — Czy mam na to wydać część mojego dolara?

— Tak — powiedziałem. — Bądź co bądź zarobisz dwadzieścia pięć centów. A jeżeli ona zażąda bananowych lodów, możesz sam poprzestać na szklance wody i zostanie ci o dziesięć centów więcej.

— Może zgodzi się na coca-coli, — rzeki Chick. — Wtedy ja toż wypiję eokę i zostanie mi piętnaście centów.

— Niech i tak będzie.

— A może nie będzie o nic prosiła.

— Powiedziałem ci, niech i tak będzie. Ale matka natrze ci uszu, jeżeli przy niej wyrazisz się „nie będzie nic prosiła”.

— Dlaczego? — spytał Chick. — Ojciec

i Ratliff zawsze mówią coś w tym rodzaju, a ty także, kiedy z nimi rozmawiasz. A Ratliff mówi „możebne” zamiast „możliwe”

i „ciągła” zamiast „ciągnęła”, i ty także, kiedy rozmawiasz z wiejskimi ludźmi, jak Ratliff.

— Skąd wiesz? — spytałem.

— Słyszałem. Ratliff też słyszał.

— Co? Mówiłeś o tym Ratliffowi?

— Nie. To on mnie o tym mówił.

Możliwe, że odpowiedziałem mu: „Poczekaj, aż będziesz w tym wieku co Ratliff, twój ojciec i ja, wtedy będzie ci wszystko wolno” — nie pamiętam. Zresztą w ciągu paru następnych miesięcy miałem sam siebie wiele razy przyłapywać na rozmaitych postępkach, które Chickowi, ze względu na młody wiek, nie były dozwolone. Na razie jednak nie to było ważne; na razie ważne było tylko całe popołudnie, niezmierny obszar czasu, aż do paru minut po trzeciej, wypełniony tysiącem sprzecznych decyzji, z których każdą po męczącej rozterce przekreślałem. Rozumiecie? Ona nie tylko mnie ośmieliła przyjąć

jąc propozycję spotkania, podczas którego miałem coś zerwać, rozbić, zburzyć, zniszczyć, zabić, ale w prostocie swojej szczerości wyprzedziła mnie jeszcze.

Pozostawało mi więc tylko przeczekać ten czas. Jakoś go spędzić, przeżyć; okno gabinetu było do tego celu miejscem równie dobrym jak każde inne, a nawet od wielu innych lepszym, bo widziałem stąd wejściowe drzwi drugstore'u, wystarczyło stać i patrzeć. Z tak daleka nie słyszałem oczywiście dzwonka szkolnego, ale zobaczyłem najpierw gromadkę malców, dziecięcy tłum wstępniaków i pierwszoklasistów rozpraszający się po ulicy, potem dzieci z klas pośrednich, chłopców hałaśliwych i awanturnicznych, wreszcie starszą młodzież z liceum, poważną, przytłoczoną i zmienioną przez wiek dojrzewania; wreszcie ukazała się ona, wysoka (nie, nie była jak na dziewczynę za wysoka, ale wydawała się smukłą jak czapla górująca nad kłębowiskiem kijanek i żab), zatrzymała się na chwilę przy drzwiach drugstore'u, rzuciła szybkie spojrzenie na puste schodki. Potem weszła do środka; niosła trzy książki, każda z nich mogła być tą książką, którą jej posłałem, więc pomyślałem: „Doreczył jej książkę w szkole, nabrał mnie łobuziak na dwadzieścia pięć centów”.

Ale zaraz potem zobaczyłem Chicka, on też wszedł do drugstore'u z książką w ręku, i wtedy pożałowałem, że nie przygotowałem sobie szklanki z wodą, żeby powoli odważyć sześćdziesiąt sekund, które upłyną, zanim Skeets McGowan, obsługujący kontuar z napojami, przestanie wdzięczyć się do innych obecnych w lokalu dziewcząt, młodszych i starszych, i poda im to, co zamówią; potem piłybym z wolną wodę, podczas gdy oni pić będą swoją coca-colę; pomyślałem: „Może ona zechce zjeść lody bananowe, w takim razie mógłbym jeszcze zdążyć” i zanim się spostrzegłem, już biegłem przez pokój do drzwi, już trzymałem za klamkę, ale opamiętałem się: przynajmniej do tego nie można dopuścić, żeby ludzie zobaczyli prokuratora okręgowego pędzącego ze schodów i przez ulicę do drugstore'u, gdzie na niego czeka szesnastoletnia pensjonarka.

Zdążyłem, ale mało brakowało, żebym się spóźnił. Ona nawet nie usiadła albo też wstała już z krzesła, bo oboje stali przy stoliku, ona trzymała cztery książki i raz tylko, w ostatniej chwili spojrzała na mnie tymi oczyma, które wydawały się po prostu ciemnoszare czy też niebieskie, dopóki nie znało się ich lepiej.

- Przepraszam za spóźnienie — powiedziałem. — Mam nadzieję, że Chick mnie usprawiedliwił?
- Nie szkodzi — odparła. — Ja i tak muszę zaraz iść do domu.
- Nawet nie wypijesz coca-coli? — spytałem.
- Muszę iść do domu — powtórzyła.
- Więc odłóżmy to na inny dzień — po-

wiedziałem. — Bilety ważne na następny spektakl, jak to się mówi.

— Dobrze. Ale teraz muszę iść — odparła. Odsunąłem się, żeby mogła przejść pierwsza w stronę drzwi.

— Nic zapomnij, co przyrzekłeś w sprawie tych dwudziestu pięciu centów — powiedział Chick.

I także ruszył z miejsca, żeby otworzyć jej drzwi, a potem stanął przy nich i osłonił ją, odgrodził na tej małej przestrzeni, zanim się spostrzegła, zanimby mogła zatrzymać się, rzucić przez ramię szybkie spojrzenie, upewnić się, że jest nie tknięta i bezpieczna, nie tknięta, niczym nie zagrożona, i nie potrzebuje nawet powiedzieć: „Panie Stevens” albo „Panie Gavin”, czy też „Do widzenia”, nie potrzebuje mówić ani słówka, choćby tylko: „Dziękuję”, ani popatrzeć na mnie; mimo to spojrzała i powiedziała: „Dziękuję za książkę”, a potem wyszła.

— Pamiętaj, co obiecałeś w sprawie tych dwudziestu pięciu centów — powiedział Chick.

— Oczywiście — odparłem. —• Dlaczego, na Boga, nie biegniesz wydać ich gdzie indziej?

Tak, tak, robiłem mnóstwo rzeczy, na które Chick ze względu na młody wiek nie mógł sobie pozwolić. Unikanie sytuacji, które mogłyby zmusić mnie znowu do podobnych nędznych, podłych wybiegów, bawiło mnie, podniecało. Ona przecież nie wiedziała (nie mogła dowiedzieć się, przynajmniej teraz, jeszcze nie teraz; gdyby nie to, czyż uciekałbym się do tych nędznych, podłych wybiegów?), nie mogła być pewna, jak należy tłumaczyć sobie to popołudnie, te dwie czy trzy (czy ile tam ich było) minuty w drugistorze; nie mogła być pewna, czy Chick powiedział jej prawdę, czy rzeczywiście przewidywałem, że się spóźnię, i wysłałem po prostu siostrzeńca, który nawinął się pod rękę, by dotrzymał jej towarzystwa, dopóki nie przyjdę, albo zastąpił mnie, jeśli bym ostatecznie w ogóle nie przyszedł, nie mogła być pewna, czy nie jestem tak stary i zarozumiały, że nawet sobie nie zdaję sprawy, jak ją obrażam podwójnie, nie stawiając się na spotkanie i przysyłając dziesięcioletniego chłopca, jak gdybym myślał, że ona, szesnastoletnia panna kończąca już szkołę, przyjmie takie zastępstwo; nie mogła być pewna, czy nie zrobiłem tego umyślnie, czy, umawiając się z nią, z góry nie zamierzałem posłać dziesięcioletniego chłopca, by w ten delikatny sposób dać jej do zrozumienia: „Odczep się ode mnie”.

Nie chciałem więc dopuścić, żeby miała okazję z odwagą rozpaczy zapytać, które z tych podejrzeń jest słuszne. I bawiło mnie to, podniecało. To znaczy: unikanie Lindy. Przeżywałem jak gdyby wiek pierwszej młodości na opak, odwrócony: młody chłopak, sam także dziewiczy — kto wie? może nawet bardziej — którego jednocześnie pociąga

i przeraża to, co go nęci, zabiega niezdarnie

i nieśmiało o przypadkowe spotkania, podczas

których nie odważy się. nie ma nadziei, nie pragnie w gruncie rzeczy dotknąć jej naprawdę. bo zanadto jest właściwie przerażony, by zdobyć się na dotknięcie: chce tylko oddychać tym samym powietrzem, skąpać się w atmosferze, w której porusza się ciało ukochanej; rękawiczka lub chusteczka zgubiona przez nią bezwiednie, kwiat bezwiednie w jej rękę zgnieciony, podręcznik arytmetyki, gramatyki lub geografii dla klasy ósmej czy dziewiątej z jej nazwiskiem wypisanym na tytułowej karcie — to wszystko jest dla niego bardziej wstrząsające i wzruszające niż będzie później widok nagiego ramienia albo pasma włosów rozsypanego na poduszce tuż obok jego posiania.

To właśnie był mój styl: unikać spotkań, unikać ich zawsze ledwie o włos. a przy tym czuć, żeby nie spostrzeżono moich manewrów. Rozumiecie: w małym mieście, jak Jefferson, liczącym trzy tysiące ludności, coś mogłoby wywołać więcej plotek i uwag niż dwa, trzy razy na tydzień powtarzające się spotkania podstarzałego kawalera z szesnastoletnią dziewczyną? Chyba tylko wykrety podstarzałego kawalera, który dwa, trzy razy na tydzień wymigiwał się od spotkań wpadając w ostatniej chwili do jakiegoś sklepu lub skręcając w zaułki między domami. Rozumiecie: niemłody prawnik, w dodatku prokurator okręgowy, zawsze może znaleźć coś zajęć, nawet w małym mieście z trzytysięczną ludnością, żeby unikać spotkania na drodze prowadzącej z jej domu do szkoły, o godzinie wpół do dziewiątej, o dwunastej i o wpół do czwartej, kiedy cała młodzież szkolna wylega na ulice; mogło się to zdarzyć raz, nawet parę razy. ale nie mogło się zdarzać stale.

A jednak musiałem to osiągnąć. Nie było innej rady. nie mogłem przecież zatrzymać jej zniemacka pewnego dnia na ulicy i powiedzieć: „Odpowiedz: natychmiast i ściśle, w jakim stopniu dałaś się oszukać tamtego popołudnia w dnigstorze? Odpowiedz w paru słowach, jednoznacznie, co myślisz o tym epizodzie?” Stosunkowo najlepsze było to wyjście, które obrałem, chociaż „najlepsze” w tym przypadku wcale nie było naprawdę dobre.

A więc unikałem jej. Musiałem wszelkie sprawy nie tylko własne, lecz także całego okręgu Yoknapatawpha dostosowywać do jedyne go celu, jakim było uniknięcie spotkania z szesnastoletnią dziewczyną. Działo się to wiosną. Dopóki rok szkolny nie skończył się w maju, rzecz była dość łatwa, przynajmniej przez pięć dni w tygodniu. Ale w okresie wakacji, gdy szesnastoletnia dziewczyna miała oswobodzić się z pęt programu i dyscypliny, wiedziałem z obserwacji, jeśli nie z osobistego doświadczenia, że istota w tym wieku, jeżeli nie niańczy dziecka, nie pracuje na utrzymanie rodziny i nie siedzi w więzieniu. potrafi znaleźć się na każdym miejscu

i o każdej porze dnia lub nocy.

Kiedy więc nadszedł ten okres w lecie przed ostatnim rokiem szkolnym, który mia-

ła spędzić w szkole średniej, zacząłem sprowadzać . programy i prospekty rozmaitych wyższych uczelni z innych miast i stanów, nie polecając ich adresować do siebie, lecz bezpośrednio do niej, do panny Lindy Snopes w Jefferson, w stanie Missisipi, i podkreślając starannie nazwę stanu po pierwsze po to, aby przesyłki nie zablądziły do Jefferson w stanie Missouri, po drugie, aby nie trafiły do któregoś z wielu innych miast ochrzczonych na cześć Jeffersona w czterdziestu ośmiu innych stanach, po trzecie, aby wreszcie ktoś gdzieś zrozumiał, że w Missisipi może znaleźć się osoba zdolna do snucia marzeń

o stadiach we wschodnich lub północnych uczelniach, osoba, która coś niecoś o nich słyszała, lubi oglądać obrazki ilustrujące broszury propagandowe szkół, a nawet potrafi odczytać jednosylabowe słowa tekstu korzystając z pomocy towarzyszących im fotografii.

Polecałem więc przesyłać bezpośrednio Lindzie te sprytne, słodkie przynęty wirgi- nijskich szkół, do których matki z Południa chętnie kierowały swoje córki, wiedzione po prostu instynktem, nie wiem dlaczego, chyba dlatego, że same się tam nie kształciły i chciały, by chociaż córki zdobyły to, czego im los odmówił, ponieważ ich matki nie były skłonne do zaspokajania własnych nie spełnionych ambicji za pośrednictwem swego potomstwa.

Sprowadziłem zresztą prospekty nie tylko szkół wirginijskich, lecz także innych „szykownych” zakładów dla dorastających panien, z miejscowości położonych na północ od linii Masona i Dixona*. Byłem lojalny. Nie, oboje byliśmy lojalni, ona zarówno jak ja; przez wzgląd na jej dobrą sławę przestaliśmy spotykać się, sprzymierzyliśmy się i związali spiskiem w imię zbawienia jej duszy; oboje mówiliśmy in absentia jej matce: „Masz je tu wszystkie do wyboru, najwytworniejsze, najbardziej snobistyczne. Byliśmy lojalni, daliśmy ci szansę. Teraz wiesz, dokąd chcielibyśmy zajść, i możesz nam w tym pomóc, jeśli nie poprzesz tych planów, to przynajmniej nie sprzeciwiaj się im”. Postarałem się, żeby dopiero po tych prospektach otrzymała inne, ze szkół, gdzie nie zwracano by uwagi na jej ubranie, ruchy, maniery przy stole i w ogóle na wygląd oraz zachowanie w towarzystwie, bo w tym wieku cały sposób bycia jest już utrwalony, a przede wszystkim są to sprawy bez znaczenia, ważne jest tylko, co i jak czynisz w nienaruszalnej samotności duszy.

Tak więc — te ostatnie broszury zaczęła otrzymywać około Bożego Narodzenia w ostatnim roku swej nauki w szkole średniej — musiała teraz porozmawiać ze mną, potrzebowała mnie, nawet nie mojej rady, pomocy w rozstrzygnięciu, którą szkołę wybrać, lecz dyskusji, rozpatrzenia sprawy

przed powzięciem stanowczej decyzji. Czekałem, nawet dość cierpliwie, lecz w końcu zrozumiałem, że Linda pierwsza nie zrobi żadnego kroku, żeby znów ze mną się spotkać. Unikałem jej już od pół roku z góra., a przecież w mieście tych rozmiarów, co Jefferson, mężczyzna nie mógł jedynie przypadkiem uniknąć spotkania z kobietą przez tak długi czas, podobnie jak nie mógł, spotykając się z nią stale, liczyć na dyskrecję i tajemnicę, toteż Linda musiała nie tylko wiedzieć, że jej unikam umyślnie, lecz: także to, że incydent, który zdarzył się w kwietniowe popołudnie w drugistorze Christiana, nie był dziełem przypadkowej niezręczności. (Och, tak, mnie wtedy już także przychodziło do głowy, że Linda nie ma właściwie żadnych podstaw, by przypuszczać, że wiem coś o nadsyłanych jej prospektach, a tym bardziej że to jest moja sprawa. Ale odsuwałem od siebie tę myśl równie stanowczo, jak wy powinniście ją odepchnąć, jeśli mamy ciągnąć tę opowieść dalej.)

A więc ja musiałem zrobić pierwszy krok. Teraz nie było to już takie proste jak niegdyś. Co piątek po południu trochę po wpół do trzeciej widywałem ją z mego okna (jeśli przypadkiem stałem przy nim), jak szła przez Rynek w gromadzie rozpraszającej się po lekcjach młodzieży; w poprzednim roku i we wszystkich wcześniejszych latach wracała ze szkoły sama, a przynajmniej wydawała się samotna, ale w ostatnim roku, zwłaszcza od dnia wyjazdu tego troglodyty Leritta, trzymała się często razem z pewną dziewczyną, która mieszkała przy tej samej co ona ulicy. Od pewnego czasu (po raz pierwszy zdarzyło się to pod koniec zimy, jakoś około dnia świętego Walentego) zamiast tej pary widywałem czwórkę, do dziewcząt przyłączyli się dwaj chłopcy, jak mnie poinformował Chick, młody Rouncewell i najmłodszy z Bishopów, przodujący atleci swego rocznika. Od wiosny niemal co dzień po południu tych czworo przesiadywało w drugistorze Christiana (bądź co bądź cieszyłem się, że jej od tego lokalu nie odstraszą żadne upiory wspomnień, wywołujących rumieniec i niechęć) nad coca- -colą i innymi obrzydliwymi miksturami (kosztowałem ich, wiem), które młodzież a szczególnie młode kobiety pochłaniają z przerażającym spokojem nie tylko po południu, lecz czasem już o dziesiątej rano; myślałem, że na tę czwórkę składają się dwie pary, połączone niemal małżeńską zażyłością, jaka zdarza się między dziewczętami i chłopcami z najstarszych klas, ale pewnego wieczora spostrzegłem (przypadkiem) Lindę eskortowaną do kina przez obu młodzieńców.

To utrudniało nieco sprawę. Ale nie bardzo. Ostatecznie miałem rolę dość prostą (nie mówiąc o tym, że dłużej nie mogłem zwlekać, był już maj); wystarczyło poczekać na takie popołudnie, gdy Linda zjawi się bez eskorty, bo młody Rouncewell i najmłodszy

Bishop musieli przecież czasem poświęcać czas na trening lub też nauczyciel mógł ich zatrzymać w szkole. Czekałem więc i zobaczyłem ją z daleka, w porę, zanim skręciła w boczną ulicę, żeby wyminąć Rynek; wiadocznie znalazła sobie nową drogę do odwrotu i lubiła tamtędy wracać po południu, gdy była sama czy też może gdy chciała być sama.

Zadanie jednak było łatwe, musiałem tylko cofnąć się o blok i obejść następny, by w porę utrafić na skrzyżowanie, do którego Lindę miała doprowadzić jej droga. Ale musiałem iść szybciej niż ona, bo gdy zobaczyłem ją, szła prędkim krokiem, wzdłuż szeregu śmietników i kubłów na popiół, brzegiem rampy, z której załadowywano ciężarówkę; doszedłszy do rogu spostrzegła mnie i zastygła wpół kroku podnosząc nieco rękę nagłym gestem, jakby gotowa do ucieczki. Cóż więc miałem zrobić? Dzielila nas taka odległość, że mogłem nie zatrzymać się, iść dalej przed siebie, odpowiadając na jej gest również podniesieniem ręki, i minawszy zaułek spieszyć naprzód, jak gdyby nie było nic niezwykłego w tym, że prokurator okręgowy o godzinie piętnastej minut czterdzieści dwie spaceruje po zaułkach; ona tymczasem przebiegła wzdłuż następnego bloku domów, gdzie wreszcie mogła się czuć zupełnie już bezpieczna, nietykalna w swej doskonałości, niczym znów nie zagrożona.

Oczywiście pozostawał telefon. Ale wyda

wał mi się zbyt poufały tuż po tym spotkaniu w zaułku, po tym geście podniesionej ręki. Wynaleziono też, Griiss Gott, maszynę do pisania; kontrolerzy miejsca mieliby prawo potrącić z mojego wynagrodzenia arkusz papieru opatrzonego urzędowym nadrukiem, ale prawdopodobnie nigdy nie zauważą jego braku; maszyna i czas należały bezspornie do mnie.

Droga Lindo,

Gdy namyślisz się, która najbardziej Ci odpowiada, musimy -porozmawiać. Parą z nich zwiedziłem osobiście i mogą ci powiedzieć na ten temat więcej niż prospekty. Przy okazji zjemy lody bananowe, kio ivie, może w Bennington, Bard i Swarthmore nie słyszano jeszcze o tym wynalazku i będziesz tam jego apostołką, nie tylko uczennicą szkoły.

Potem ołówkiem dopisałem:

Niedawno widziałem Cię w zaułku, ale nie miałem czasu, żeby się zatrzymać. Ale skąd Ty się tam wzięłaś?

Rozumiecie? „Niedawno”, a więc mogłem nie spieszyć się z wrzuceniem listu do skrzynki, nie grało roli, czy zrobię to za dwa dni, czy za dwa tygodnie; miałem całe dwa tygodnie czasu, by rozmyślić się i podrzeć list, chociaż zaadresowałem kopertę i nakleiłem znaczki, z całą świadomością, że marnotrawię dwa... nie, trzy centy, a potem dopiero przedarłem kopertę porządnie przez środek, złożyłem starannie obie połowy i przedarłem

jeszcze raz w poprzek, z tych strzępów papieru zbudowałem w wystyglým palenisku kominka miniaturowy indiański szałas, przytknąłem do niego płonąą zapalną i patrzyłem, dopóki się nie spalił, a wtedy rozprostowałem moje starcze kolana i strzepnąłem spodnie.

Bo teraz już był maj, za dwa tygodnie Linda miała otrzymać dyplom ukończenia szkoły. Ale panna Eunice Gant obiecała wczoraj po południu odesłać neseser, a poza tym istnieją, Griiss Gott, telefony. Więc raz jeszcze (już na pewno ostatni raz) przeczekałem rano do wpół do dziewiątej (banki otwierano o dziewiątej, ale chociaż Flem nie był jeszcze prezesem, nie wyobrażałem sobie, żeby do ostatniej chwili marudził w domu i za lada dzwonkiem podbiegał skwapliwie do telefonu) i podniosłem słuchawkę.

— Pani Snopes? Tu mówi Gavin Stevens, dzień dobry pani. Czy mógłbym porozmawiać z Lindą, jeżeli jeszcze nie wyszła...

O, widocznie rozminąłem się z nią. Co prawda zapóźniłem się dzisiaj... Dziękuję pani. Wszyscy cieszymy się, że neseser zrobił jej przyjemność... Maggie będzie miło dostać ten bilecik... Może pani zechce powtórzyć Lindzie, gdy wróci do domu na obiad, że mam pewne informacje o stypendium na studia w Radcliffe, które mogłyby ją zainteresować. RadcaMffe to prawie Harvard, a chciałbym jej też powiedzieć parę słów o Cambridge... Jeśli pani tak uprzejma... Będę czekał na nią dziś po południu w drugistorze, niech wstąpi po lekcjach. Dziękuję.

I do widzenia. Smutne słówko, nawet przez telefon. A raczej nie to słówko jest smutne i nie jego treść, lecz fakt, że możesz je wymówić gładko, że zawsze w porę nadchodzi ten czas, gdy możesz je wymówić bez żalu

i udreki, chociaż pamiętasz późny wieczór w tym samym biurowym pokoju (kiedyż to było? dziesięć? dwanaście lat temu?), gdy powiedziałeś Euli Varner nie „do widzenia”, lecz: „wyjdź stąd natychmiast” i ani ci włos nie zbielał, ani pot nie wystąpił na czoło, ani łza nie zakręciła się w oku, a jeśli odrobina żalu jeszcze w tobie tkwiła, to tylko tego żałowałeś, że nawet gdybyś wówczas miał odwagę nie powiedzieć: Nie — teraz już ta odwaga nie miałaby znaczenia, skoro tchórzostwo zostawiło ci po sobie tak nikły żal.

Z początku zamierzałem wejść do wnętrza

i czekać na nią przy stoliku. Potem zmieniłem zamiar: spotkanie powinno mieć charakter swobodny, ale swobody nie należy reżyserować. Stałem więc w pobliżu wejścia, nieco z boku, żeby nie hamować młodzieńczej fali, a raczej żeby nie zostać przez młodzieńczy tłum stratowany. Nie chciałem, żeby już z daleka spostrzegła mnie czekającego, ale żebyśmy spotkali się niby przypadkiem; najpierw pokażą się malcy, potem pierwszo-, drugo- i trzecioklasiści, a potem najstarsza młodzież, i to stanie się już wkrót

ce, lada chwila... Ale stało się inaczej, zjawił się Chick z liścikiem w ręku.

■— Masz •— powiedział. — Coś mi się zdaje, że się zaciął.

— Zaciął się? — spytałem.

— Gramofon. Płyta ta sama, melodia ta sama, prawda? Ale kręci się w odwrotną stronę.

Widocznie dała mu liścik do przeczytania, zanim go poleciała doręczyć. Byłem więc już drugim jego czytelnikiem, nie licząc Lindy.

Drogi panie Stevens,

Przepraszam, że trochę się spóźnię, jeśli pan łaskaw, proszę poczekać.

Linda

— Płyta niezupełnie ta sama — powiedziałem. — Nic tu nie ma o dolarze.

— Racja. Nie ma — odparł Chick. — Myślę, że nie pójdziesz zaraz do domu?

— Ja też tak myślę — powiedziałem. Wszedłem do drugstore'u, siadłem przy stoliku; tyle przynajmniej byłem jej winien, należał się jej odwet, niech więc nacieszy się nim w pełni, niech z satysfakcją obserwuje z miejsca, gdzie się przyczai, żeby mnie śledzić, jak czekam na nią, jak czekam cierpliwie, chociaż od dawna już rozumiałem, że nie przyjdzie; byłem zdecydowany czekać choćby godzinę, bo przecież „finis” to nie „do widzenia”, nie daje powodu do żalowania źródła żalu.

Kiedy mignęła za szybą wystawy, nie poznałem jej. Nadeszła od przeciwnej strony, niż się spodziewałem, jak gdyby nie wracała ze szkoły, lecz do niej spieszyła. Ale nie dlatego jej nie poznałem. Już była w drugstorze, wbiegła prędko, drzwi zamknęły się za nią z trzaskiem, jak gdyby jednocześnie i dosłownie rozpędzona i zatrzymana w pędzie, ubrana nie w bluzkę i spódniczkę i nie w barwną kretonową sukienkę i w płaskie pensjonarskie pantofle, ale wystrojona, tak, wystrojona, w kapeluszu, na wysokich obcasach, w jedwabnych pończochach, uszminkowana — chociaż doprawdy nie potrzeba jej było tego — z daleka już pachnąca perfumami; na mgnienie oka zatrzymana w biegu, dziwacznie, paradoksalnie uzbrojona w rekwizyty kokieterii, niby jastrząb uchwycony w locie na migawkowym zdjęciu fotograficznym.

— Wszystko w porządku — powiedziałem. Na tyle przynajmniej wystarczyło mi przytomności umysłu.

— Nie mogę... — powiedziała. Ona też zdobyła się przynajmniej na tyle. W lokalu było niewiele osób, ale nawet jeden świadek byłby tu zbyt cenny, wstałem więc szybko i podszedłem do niej.

~ Ślicznie wyglądasz — powiedziałem. — Wyjdźmy, odprowadzę cię kawałek drogi. —

I skierowałem ją ku drzwiom, nie dotykając nawet jej ramienia, wyszliśmy na ulicę rozmawiając (mam nadzieję, że coś mówiłem,

jak zwykle), nie przestając mówić; może dzięki temu włośnie nie spostrzegłem, że to ona wybrała kierunek, dopiero po chwili zorientowałem się, że zbliżamy się do schodów, prowadzących do mojego biura, i wtedy wreszcie dotknąłem jej łokcia, przytrzymałem go przez chwilę, póki nie minęliśmy schodów, tak, by nikt (mam nadzieję, pragnę, chcę wierzyć) nie zauważył tego momentu wahania, i szliśmy dalej wzdłuż wystaw sklepowych dostosowanych do pory tej późnej już wiosny: w sklepach z towarami żelaznymi i sprzętem dla farm nagromadzono narzędzia rolnicze i ogrodowe, zwoje lin, worki z próbkami żużla i nawozów sztucznych, nawet sklepy spożywcze wystawiały w oknach zgrabne skrzynki z paczuszkami nasion, ozdobione jaskrawymi obrazkami nieprawdopodobnie dorodnych jarzyn i kwiatów; wciąż rozmawialiśmy (tak, mówiłem wciąż, można co do tego na mnie polegać) spokojnie i poprawnie: młoda dziewczyna, strojna i uperfumowana na jakąś okazję, stosowną do jej wieku, popołudniowej godziny i wiosennej pory, z siwowłosym starym kawalerem, podtatusiałym i „ustatkowanym”, jak mówili dawniej Murzyni, już nieszkodliwym, z wujciem, którego krew już ocieżała i nie zapalała się od widoku zgrabnej kostki u nogi czy przegubu ręki, którego nadzieje i udręki młodości zbladły i uschły we wspomnieniach; wreszcie skręciliśmy w boczną ulicę, gdzie znaleźliśmy trochę odosobnienia, czy chociaż przestrzeni, i gdzie nie przyciągaliśmy niczyjej uwagi, przynajmniej dopóki nie zwolniliśmy kroku.

— Nie mogę — powiedziała.

— Już to mówiłaś — odparłem. — O co chodzi?

— O te szkoły. O szkoły, które pan... które opisują w tych prospektach. Poza naszym miastem, poza Missisipi.

— Cieszy mnie, że nie możesz rozstrzygnąć — odparłem. — Nie spodziewałem się, żebyś mogła sama o tym zdecydować. Dlatego chciałem się z tobą spotkać, żeby ci poradzić, którą powinnaś wybrać.

— Ależ nie — powiedziała. — Czy pan nie rozumie? Nie mogę.

Wtedy wreszcie umilkłem na chwilę.

— Więc wytłumacz mi — powiedziałem.

— Do żadnej z tych szkół nie mogę pojechać. Muszę zostać w Jefferson. W przyszłym roku wstąpię tutaj do Akademii.

Tak, teraz umilkłem. Nie Akademia budziła we mnie sprzeciw. Nawet nie to, że mieściła się w Jefferson. Samo miasto było śmiertelnym wrogiem, bo Jefferson znaczyło: Snopes.

— Rozumiem — powiedziałem. ■— Dobrze. A więc sam z nią pomówię.

— Nie — zaprotestowała. — Nie. Ja nie chcę stąd wyjechać.

¹— Musisz wyjechać. To bardzo ważne. Nawet nie możesz jeszcze teraz ocenić, jak bardzo ważne. Pójdziemy zaraz do twego domu

i porozmawiam z twoją matką... — Mówiąc to zawróciłem już w stronę domu Snopesów. Ale Linda zatrzymała mnie, oburącz chwyciła za przegub, za ramię. Musiałem ustąpić. Wreszcie uwolniła moje ramię i stała przede mną na wysokich obcasach, w jedwabnych pończochach, w kapeluszu trochę za poważnym na jej wiek, a może tylko ja nie przywykłem oglądać jej w kapeluszu, czy też może ten kapelusz przypominał mi nieudany niedzielny obiad sprzed dwóch lat, gdy po lazu pierwszy nakloniłem ją, zmusiłem do czegoś, a ona zgodziła się, bo nie umiała odmówić; powiedziałem szorstko: — W gruncie rzeczy nie potrzebuję nawet zadawać ci tego pytania, ale dla porządku pytam: naprawdę nie pragniesz zostać w Jefferson? Naprawdę chciałabyś pojechać do jednej z tych szkół na wschodzie? — I niemal tym samym tchem odpowiedziałem: — Dobrze. Cofam to, co powiedziałem. Tego nie mogę od ciebie żądać; nie mogę żądać, żebyś oświadczyła wprost, że chcesz wyjechać wbrew woli matki. Nie chcesz być przy tym, jak będę z nią rozmawiał, czy tak? Spójrz na mnie. — Spojrzała, oczy miała nie błękitne i nie szare, lecz hiacyntowe; staliśmy pośrodku cichej bocznej ulicy, wydani na obserwację co najmniej z dwudziestu okien, dyskretnie przesłoniętych firankami. Patrząc mi w twarz powiedziała, szepnęła:

■ — Nie, nie.

— Chodźmy — powiedziałem. — Chodźmy

dalej. — Usłuchała dość po-tulnie. — Matka wic. że dzisiaj po południu miałaś spotkać się ze mną, przecież to ona powtórzyła ci | moją telefoniczną prośbę. Dobrze. A więc j złożę jej wizytę jutro rano, po twoim wyjściu ! do szkoły. Bądź spokojna, nie trzeba jej nawet. o tym uprzedzać. Możesz jej w ogóle nic nie mówić... o tym wszystkim. — Nie powtórzyła tym razem swojego: „Nie”, ale przecież od pierwszej chwili nic innego nie słyszałem z jej ust i protestowała nadal każdym ruchem, nawet samym milczeniem. Teraz już rozumiałem, dlaczego tak się ubrała, uperfumowała, umalowała, chociaż makijaż wydawał się pożyczony od innej osoby, tak samo jak kapelusz. Zrozpaczona, nie mogąc usprawiedliwić niewdzięczności, chciała przynajmniej złagodzić jej brutalność; matka powiedziała: „Oczywiście, idź na to spotkanie. Powiedz mu, że ja potrafię sama kierować wychowaniem mojej córki i że oboje będziemy wdzięczni, jeśli przestanie wtrącać się w nieswoje sprawy”. Biedne, zrozpaczone dziecko usiłowało zamaskować podłość ojca i hańbę matki warstwą kosmetyków, spreparowanych z placenty robaków, uryny i wydzielin kota czy rakowatego wieloryba. — Odwiedzę twoją matkę jutro rano, kiedy ty będziesz w szkole — powiedziałem. — Wiem. Wszystko wiem. Ale to jest sprawa tak ważna, że żadnemu z nas nie wolno jej zaniedbać.

A więc nazajutrz znowu. Wczoraj myślałem, że już ostatni raz czyham w zasadzce;

ale musiałem wreszcie się upewnić. Zastałem u siebie Railiiia.

— Cc? Chcesz rozmówić się z Eulą — powiedział — bo myślisz, że to ona nie pozwala córce opuścić tego miasta i jechać do szkół? Mylisz się. mój drogi.

— Przypuśćmy, że się rzeczywiście mylę. Wcałe nie mam ochoty z nią rozmawiać. Nie jestem tak odważny, żebym lubił komukolwiek. a zwłaszcza kobiecie, udzielać rad. jak ma wychowywać swoje dziecko. Ale ktoś musi to zrobić. Linda musi stąd wyjechać. Gdzieś daleko, gdzie powietrze jest czyste, nie skażone dźwiękiem nazwiska Snopesa ani oddechem Snopesa...

— Czekerże... Czekaj... — rzekł Ratliff. — Powiedziałem ci przecież, że się mylisz...

Nie mogłem czekać. A w każdym razie nie czekałem dłużej. Odwlekałem, zabijałem czas tylko do dziewiątej. Bo nawet w gorący majowy ranek, tutaj, w Missisipi, gdzie ludzie wstają mniej więcej razem ze słońcem, nie dla zdrowia, lecz żeby jakoś powetować godziny stracone od południa do czwartej, pani demu musi mieć trochę czasu na przygotowanie (domu. siebie i może przede wszystkim własnej duszy) do wizyty gościa nie tylko nie proszonego, lecz także nie pożądanego.

Ale wszystko było gotowe, ona, jej dom i jej dusza: jej dusza zapewne w każdej chwili życia była gotowa na wszystko, co zjawiało się w postaci mężczyzny; albo może żadna

kobieca dusza nie potrzebuje przygotowywać się ani zbroić przed spotkaniem z mężczyzną takim, jak Gavin Stevens. Przez wynajętą furtkę (ho wyglądała nadal na wynajętą tylko, mimo że właściciel czy ktoś inny świeżo ją pomalował), krótką wynajętą alejką doszedłem do małej, wynajętej werandy, wspiąłem się na nią po schodkach, podniosłem rękę. żeby zapukać, gdy poprzez siatkę w drzwiach zobaczyłem ją stojącą spokojnie w małym hallu i obserwującą mnie.

— Dzień dobry — powiedziała. — Proszę. — Teraz obserwowała mnie już nie odgradzona siatką. A raczej patrzyła prosto na mnie, nie arogancko i nie życzliwie, bez wyrazu. Odwróciła się i zobaczyłem, że włosy ma jak dawniej zwinięte nad karkiem w ciężki, niedbały, żółty węzeł, chociaż wszystkie kobiety w Jefferson, nawet Maggie, miały teraz włosy krótko obcięte: ubrana była nie w poranny neglig ani też w suknię stosowną do przyjmowania gości, ani nawet nie w szlafrok, lecz w zwykłą perka- lową suknię i ta zwykła perkalikowa suknia na niej, która musiała już mieć trzydzieści pięć lat — nie, trzydzieści sześć, jak wyliczył Ratliff zaczynając od pamiętnej wspaniałej jesieni — podobnie jak inna suknia sprzed szesnastu lat, gdy zobaczyłem pierwszy raz Eulę idącą przez Rynek, zdawała się nie tyle ścigać ją w rozpaczliwym pośpiechu, żeby ukryć jej nagość, lecz raczej gnać się z błaganiem i uwielbieniem do jej ciała w ruchu,

j:tU <Hlv>y miękkie fill«' tkaniny opływając ją wołały: „Kv«H'! Kvoe!”

Tak, w ilomti by I salon, nie tylko hall, a zanWvno salon jak hall przypomniały mi cos ■/li;i i<niu!'•,*>. Ii'c ' nir zdąży lem sobie przypomnieć co, .ainin l*'itla p«>wie«działa:

Wypije pan filiżanki; kawy?

Wtedv zobaczyh'ni, że jest takż«' serwis do kawy (ni«' srebrny, z nuialu, kh'iry w rt'kla- mach hywa zachwalany nit' jako lt'psz.y od sn'bra, U't'z jako bardziej nowoczesny. KrvJo sii; w tym określ«'niu myśl, że srebro nadaj«' sit', nawt'ł zaleca, dla osfib skazanych na lampy j»azowe i zaprzri'i końskie) na niskim stoliku, dwa fotele przysunięte do stolika, i -/ro/uniialom, że prz.ejrralfMU, choćby Kula na moje przyjęci o wytoczy ln bor/.kę i wyniosła wór jadła.

Pomyślal«'in: „A więc sprawa jest aż tak poważna” bo kawa, niski stolik, dwa intymne Totole zapowiadały atak ni«' na moje gruczoły i ni«' na żołądek nawet, alt' na cywilizowaną dusz«' e./,v pr/y na jmniej na dusz.«', która wierzy, że łaknie cywilizacji.

Dziękuj«' powiedziałem czekając, ż«'- by pani domu usiadła, nim 7.ajal«'m fot«'I.

Al«' jeżeli pani pozwoli, spytani, jio co to wszystko? Nii'potrz«'bn«' nam zawieszenie broni, bo ia już o«l dawna jestem rozbrojony.

A wi«',c przyszedł pan walczy«'?' powiedziała nal('wając kawę.

>■ Jakżebym mój'i? Hez broni? odparłem patrząc na jej schyloną fjlowę i niedbały,

:wo

prawie nieporządny węż«'l włosów, na ramiona, na ręk«,\ która powinna by bujać w kołysce przyszl«'i;o bohatera i wojownika, a moż«' iiiiwii podnosić mieć/, upuszczony przez, jetfo <>j*'a, lecz w lej chwili nalewała pospolity napój (kawa pewnie nawet nie będzie bardzo dobra) z pospolitej¹,«» imbryka, zrobione!¹,«! z. imitacji srt'bra, i to w tym salonie. w tym domu; uajile przypomniałem so- ł)i«', skąd znam ton pokój i k«'U hall: z foto- j* ra fi i. z ilustracji w piśmie takim na pr/y kład, jak „Miasto i wieś", opalzonej podpisem: „Amerykański«' wn«;lrz«'”, z kolorowej fotografii w kalaloji'tt Imrlowni meblarskiej, z opisu głoszące;¹«): „Ni«' jest to kopia ani reprodukcja, lecz nasz firmowy oryginalny mod'l, przystosowany do indywidualnych potrzeb klienteli¹”.

ł)/.i«;kuj«; powiedziałem.-- Hez śmietanki. Tylko z cukrem... Ale to lakie do pani niepodobn«*’.

Co? • spytała.

T«'ii pokój. T«'MI dom.

Odpowiedziała tak cicho, że k«'«lwi«' d«i- slysza k«'m:

Nie ja. To mój mąż.

Prz.t'iiraszam rzekłem.

To mąż. wybrał te mebli'.

Kł«m? powiedziałem, krzyknąłem, Klein Snope.s? Patrzyła tera.-: na »unie nie zaskoczona ani zdziwiona, obojętna czy też może wyczekująca, żebym się uspokoił.' a więc nie tylko po Mci 'iirronio odzicdi-i-

Ů3J

czyła Linda swoje oczy, chociaż włosy miała jogo. — Flem Snopes - powtórzyłem. — Flom Snopes.

— Tak. Pojechaliśmy do Memphis. Wiedział dokładnie, czego chce. A raczej nie. Nie wiedział jeszcze. Wiedział tylko, że chce, musi je mieć. Ale czy to ma dla pana jakieś znaczenie?

— Owszem —, odparłem. — Bardzo duże. A więc pojechali państwo do Memphis?

— Tak. Żeby tam znaleźć kogoś, kto by mu powiedział, czego mu trzeba. Z góry wiedział, do którego sklepu powinien się udać. Na wstępie zapytał: „Jeśli klient nie zamierza nic od was kupić, ile liczyte za informacje i radę?” Bo nie chciał się tym razem targować. Gdy chodzi o transakcję ziemią, byłem czy innym towarem, obie strony mogą się targować albo nie, różnie bywa. Można kupić czy też sprzedać albo nie, a po skończonych pertraktacjach ludzie rozchodzą się i żaden z nich nic nie zyska ani też nie straci. W tym przypadku było inaczej. Mój mąż koniecznie chciał coś kupić, wiedział, że musi to mieć, ale nie miał pojęcia, czego właściwie chce, toteż musiał polegać na sprzedawcy, że on mu to powie, musiał też zaufać sprzedawcy, że go nie oszuka na cenie i na wartości, bo sam wcale nie znał się na tym towarze, który mu był tak koniecznie potrzebny. Czy pan rozumie?

— Rozumiem — powiedziałem. — No i co dalej?

Chciał mebli najodpowiedniejszych dla takiego jak on człowieka. Wreszcie zabrał głos sprzedawca. „Tak, zdaje się, że rozumiem. Zaczął pan jako subiekt w wiejskim sklepie. Potem przeniósł się pan do miasta i tam prowadził pan restaurację. Teraz jest pan wiceprezesem banku. Człowiek, który w tak krótkim czasie zaszedł tak daleko, nie poprzestanie na tym, niechże więc goście wchodząc do pańskiego domu od razu się 'o tym dowiadują, niech to widzą. Tak, już wiem, czego panu potrzeba”. Ale Flem odparł, że nie o to mu chodzi. „Nie o pokaz bogactwa — rzekł sprzedawca — ale o dowód sukcesu”. Ale Flem znów zaprzeczył. „No dobrze — powiedział sprzedawca. — W takim razie antyki”. I zaprowadził nas do innego pokoju, żeby pokazać, co miał na myśli wspominając o antykach. „Każdy z tych mebli może po odpowiednich zabiegach wyglądać na jeszcze starszą sztukę”. Ale Flem spytał: „Po co?” „Tradycja rodzinna — odparł sprzedawca. — Pamięć pańskiego dziadka”. Ale Flem powiedział: „Miałem dziadka jak każdy człowiek. Nie wiem, kim by!, ale wiem, że na pewno nie miał tyle mebli, żeby urządzić jeden pokój, a co dopiero całe mieszkanie. Zresztą nie chcę nikogo oszukiwać. Tylko durnie próbują oszukiwać modrych ludzi, a kto próbuje durniów nabrać, sam jest durniem”. I wtedy sprzedawca poprosił, żebyśmy poczekali, bo musi po kogoś zatelefonować. Poczekaliśmy, ale nie trwało

to długo, wkrótce weszła jakaś pani. Była to jego żona. Spytała mnie: „Jakie są pani życzenia?” Odpowiedziałam, że nie mam żadnych. Zdziwiła się, więc powtórzyłam, że mnie ta sprawa jest obojętna, a wtedy ona popatrzyła na Flema. Obserwowałam, jak się sobie nawzajem przyglądali przez długą chwilę. Potem ona powiedziała, ale nie tak głośno, jak jej mąż, zupełnie cicho: „Rozumiem”. Z kolei odezwał się Flem: „Chwileczkę. Ile to będzie kosztowało?” „Pan jest człowiekiem interesów — odparła. — Zawrę z panem umowę. Zawiozę meble do Jefferson i sama ustawię je w pańskim domu. Jeśli się panu spodoba, kupi je pan. Jeśli nie, załaduję je z powrotem na wóz i odstawię do składu, a pan nie zapłaci mi ani centa”.

— Dobrze. I co dalej? — spytałem.

— To już wszystko — powiedziała. — Kawa panu wystygła. Przyniosę świeżą filiżankę... — Chciała wstać, ale powstrzymałem ją.

— Kiedy to było?

— Cztery lata temu — odparła. — Wtedy kupił ten dom.

— Kupił dom? — rzekłem. — Cztery lata temu? To właśnie wówczas został wiceprezesem banku!

— Tak. W przeddzień ogłoszenia o nominacji. Przyniosę panu świeżą filiżankę.

— Nie, dziękuję, nie chcę kawy. — Siedząc w fotelu mówiłem sobie: „Flem Sno- pes, Flem Snopes”, aż wreszcie powiedzia-

łem, krzyknąłem: — Nie, nie chcę niczego! Boję się! — I zapytałem: — Co? — a ona powtórzyła:

— Może pan zapali? — I zobaczyłem, że do kompletu nie brakowało pudełka na papierosy, także z imitacji srebra, więc spodziewałem się ujrzeć podobną zapalniczkę, lecz Eula z tego samego pudełka wyjęła zwykłą kuchenną zapalniczkę. — Linda mówiła mi, że pan lubi fajkę z kaczana kukurydzy. Proszę, niech pan zapali, jeśli ma pan ochotę.

— Nie — powiedziałem znowu. — Nie chcę nic... Ale ten Flem Snopes! Flem Snopes.

— Tak — powiedziała. — To nie ja zabraniam jej wyjechać z Jefferson do szkoły.

— Ale dlaczego? — spytałem. — Dlaczego? Przecież ona nie jest nawet jego... nie jest jego... przepraszam. Pani rozumie, jaka paląca jest ta sprawa, nie ma czasu nawet na...

— Na grzeczność? — dokończyła, lecz ja nie wzdrygnąłem się, patrzyłem na nią, gdy schylona pocierała zapalniczkę o podeszwę odwróconego pantofla i zapalała papierosa.

— Na nic — powiedziałem. — Na nic nie mamy czasu. Chodzi tylko o nią. Ratliff próbował mi wytłumaczyć dzisiaj rano, ale nie chciałem go słuchać. Może pani też tłumaczyła mi to przed chwilą, kiedy nie chciałem czy też nie mogłem pani słyszeć? Te meble. Rozmowa w składzie meblarskim. Nie wiedział, czego chce, bo nie to, czego chciał, było ważne, nie o samą tę rzecz chodziło, lecz ważne było tylko, że czegoś chciał, potrze

bował, że musiał, postanowił to zdobyć za wszelką cenę, choćby kto inny miał na tym stracić, martwić się, cierpieć. Chciał, żeby to odpowiadało ściśle jego potrzebom, żeby było najstosowniejsze dla osobistości, jaką miał zostać nazajutrz, po ogłoszeniu nominacji; małżonka wiceprezesa, córka wiceprezesa i meble wiceprezesa we własnym domu wiceprezesa. Czy dobrze zrozumiałem, co mi pani opowiedziała?

— Mniej więcej.

— Mniej więcej — rzekłem. — Bo to jeszcze. nie wszystko. Wcale nie wszystko. Nie mówmy o pieniądzech, bo kto zna te jego krawaty, gotowe muszki kupowane w konfekcji, ten wie, że on na własny koszt nie wysłałby dziewczyny do szkoły, do której trzeba podróżować wagonem sypialnym, nawet gdyby była jego córka, a cóż dopiero, gdy jest... — Urwałem. Ale ona, paląc papierosa, przyglądając się jego rozżarzonemu czubkowi, powiedziała:

— Niech pan dokończy: bękartem.

— Przepraszam — powiedziałem.

— Więc dlaczego? — spytała.

— Próbuję zgadnąć. Może bym zgadł, gdyby pani chciała pomóc. Gdyby pani udawała, że chce, albo choćby usiłowała udawać.

— Zgadujmy dalej — powiedziała. — A więc nie pieniądze.

— Pieniądze mógłby... pani mogłaby chyba dostać od wuja Willa, jeśliby nie chciała pani przyjąć ich ode mnie w formie sty

pendium. A może jednak chodzi o pieniądze? Może on nie zniósłby, żeby pieniądze, choćby z kieszeni śmiertelnego wroga, jakim zapewne stał się dla niego stary wuj Will, marnotrawić na wysłanie dziecka do szkół innego stanu, skoro płaci się co roku podatki na szkoły w Missisipi?

— Niech pan zgaduje dalej — powiedziała. — Nie, nie pieniądze.

— A więc jednak te jaskrawe kolorowe fotografie z katalogu firmy meblarskiej, te obrazy domów z Charlestonu, Richmondu, Long Island czy z Bostonu, sprowadzone do wymiarów, jakie Flem uznał za nieodzowne dla własnego obrazu w oczach mieszkańców Yoknapatawphy. Dopóki był tylko właścicielem knajpki przy bocznej ulicy, nie szkodziłoby mu, gdyby wszyscy ludzie w Sadybie Francuza (a także w Jefferson i w całym okręgu, bo już by się o to postarał Ratliff i paru innych) wiedzieli, że dziecko, które nosi jego nazwisko, jest w rzeczywistości...

— Bękartem — dokończyła po raz drugi za mnie.

— Niech i tak będzie — powiedziałem. Ale sam nie wymówiłem tego słowa. — Nawet po sprzedaniu knajpki z niezłym zarobkiem, gdy został dyrektorem elektrowni, nie przejmował się tym, nie było to ważne. I później, gdy nie zajmował żadnego oficjalnego stanowiska, lecz był pokątnym lichwiarzem i po cichu skupywał parcele, pochłonięty własnymi interesami. Zresztą upłynęło tymczasem

dziesięć, dwanaście lat, mógł już wtedy liczyć, że ludzie w Jefferson zdobędą się na tyle zyczliwości wobec trzynastoletniej dziewczynki, by jej nie zatruwać życia zbędną i nikomu niepotrzebną rewelacją. Ale dziś jest wiceprezesem banku i jakiś wścibski obcy człowiek namawia dziecko na wyjazd do lepszej szkoły, do odległej miejscowości, gdzie dziewczynka spędziłaby co najmniej trzy miesiące, do świąt Bożego Narodzenia, wśród rówieśnic, których ojcowie nie są u niego zadłużeni, więc nie muszą trzymać języków za zębami. Każdy z nich mógłby wyjawić prawdę, którą on chce za wszelką cenę zachować w tajemnicy. A więc to jest przyczyna — powiedziałem. Ale ona nie patrzyła na mnie, paliła spokojnie, niewzruszenie swego papierosa i obserwowała dym, zwijający się z wolna w kłębki i unoszący do góry. — A więc jednak z pani powodu. Zabronił jej opuszczać Jefferson, szantażem zmusił panią, żeby go pani poparła, użył wobec pani tego straszaka, którego sam się boi: zagroził, że powie Lindzie o hańbie jej matki, o jej nieprawym urodzeniu. Ale ta broń ma trzy ostrza. Niech pani poprosi swojego ojca o pieniądze albo przyjmie je ode mnie i niech pani wyprawi Lindę gdzieś daleko stąd, bo inaczej ja jej powiem, kim naprawdę jest, a raczej kim nie jest.

•— Sądzi pan, że uwierzyłaby panu?

— Jak to? Czyby uwierzyła? Nawet bez spojrzenia w lustro, nie mając sposobności do żadnych porównań i nie potrzebując wypierać się żadnych pokrewieństw, uwierzyłaby, ponieważ przeżyła w jego towarzystwie siedemnaście lat. Niczego nie pragnęłaby goręcej niż uwierzyć mi, uwierzyłaby każdemu, skorzystałaby z pierwszej okazji, żeby uwierzyć komukolwiek, kto by zdobył się na litość i upewnił ją, że nie jest dzieckiem tego człowieka. O czym pani mówi? Czyż nie byłaby szczęśliwa, że ma prawo pokochać matkę, która słuchając głosu miłości ocaliła ją od należenia do Snopesów? A jeśli to za słaby argument, czyż nie byłaby szczęśliwa, że ma przywilej, którego większości ludzi los odmówił, do którego nawet jeden człowiek na dziesięć milionów nie ma prawa, na który tak nieliczni zasługują; że jest nie tylko dzieckiem miłości, ale wybranką połączoną więzami powinowactwa z całą rodziną nieśmiertelnych geniuszów świata, dzieci miłości; jest owocem śmiałego dziewiczego porywu, potrafi, musi wręcz zrozumieć, że ta ziemia jest stracona dla miłości, dla miłości, która od zarania rodzaju ludzkiego jest źródłem marzeń, udręki, uniesień, olśnienia tych istot słabych, bezsilnych, przerażonych i bezsennych, zwanych przez innych ludzi poetami... — Już nie paliła, trzymała tylko papierosa w powietrzu i poprzez ostatnie rozwiewające się błękitnawe smużki dymu patrzyła na mnie.

— Pan niezbyt dobrze zna kobiety, prawda? — powiedziała. — Kobiety nie interesują

się marzeniami poetów. Interesują się faktami. Nawet niekoniecznie prawdziwymi, byle pasowały do reszty, faktów i były z nimi połączone nie zanadto grubym szwem. Nigdy by panu nie uwierzyła. Nawet jemu, gdyby sam jej to powiedział, nie uwierzyłaby. Znienawidziłaby was obu, ale pana najbardziej, bo pan pierwszy to wszystko rozpętał.

— Pani sądzi, że wolałaby... nawet to...na- ■ wet jego niż nic? Że wyrzekłaby się szansy wyjazdu do szkoły i całej reszty? Nie wierzę w to.

— Dla niej to nie jest nic. Wolałaby to od wielu innych rzeczy. Od większości innych rzeczy.

— Nie wierzę pani! — powiedziałem, krzyknąłem, a właściwie tylko chciałem krzyknąć. Ale zmieniłem zamiar i powiedziałem: — A więc nic dla niej zrobić nie mogę.

— Może pan. — Przyglądała mi się, wciąż ¹ trzymając w nieruchomych palcach papierosa, już teraz' wygasłego zupełnie. — Niech pan się z nią ożeni.

— Co? — powiedziałem, krzyknąłem. — Ja, siwy człowiek, z górą dwa razy starszy od niej! Czy pani nie rozumie, że ja dążę do tego, żeby ją wyzwolić z Jefferson, a nie przykuć tutaj jeszcze mocniejszymi łańcuchami, wciągając jeszcze głębiej, w gorszą jeszcze niewolę? Ja ją chcę wyzwolić. I to pani mówi o rzeczywistości, o faktach.

— Małżeństwo to jedyny realny fakt. Reszta jest tylko romantycznym marzeniem poety. Niech pan się z nią ożeni. Ona się zgodzi. Teraz, wśród tego zamętu, nie będzie umiała odmówić. Niech pan się z nią ożeni.

— Żegnam panią — powiedziałem. — Żegnam.

I znów zastałem Ratliffa w fotelu przeznaczonym dla klienta, tam gdzie go przed godziną zostawiłem.

— Próbowałem ci wytłumaczyć — powiedział. — Oczywiście, że Flem, Eula i ta mała chwyciliby chętnie okazję, żeby rozstać się dla odmiany na jakieś dziewięć czy dziesięć miesięcy.

— Teraz już i ja to wiem — odparłem. — Flem Snopes, wiceprezes banku, potrzebuje domu wiceprezesa i mebli wiceprezesa, do których zalicza także żonę i córkę.

— Nie — zaprzeczył Ratliff.

— Dobrze — powiedziałem. — A więc wiceprezes banku boi się, żeby nie przypomniano sobie, że jego żona już nosiła w łonie dziecko innego mężczyzny, gdy brała z nim ślub. Gdyby dziewczyna wyjechała do szkoły i gdyby ktoś obcy, kto nie siedzi u niego w kieszeni, powiedział jej prawdę, runąłby cały ten domek z kart.

— Nie — powtórzył Ratliff.

— Dobrze. Więc teraz ty mów, co myślisz.

— On się boi, że dziewczyna wyjdzie za męża.

— Co?

— Tak — powiedział Ratliff. — Kiedy urodził się Jody, wuj Billy Varner sporzą-

dził testament zapisując połowę majątku swojej żonie, a połowę Jody'emu. Kiedy urodziła się Eula, zmienił testament, zapisując po dawnemu połowę żonie, ale drugą połowę dzieląc na dwie równe części pomiędzy Jody'ego i Eulę. Ten testament pokazał Flemowi w dniu jego ślubu z Eulą i po dziś dzień swojej ostatniej woli nie zmienił. To znaczy, że Flem Snopes uwierzył mu, gdy obiecał nie zmieniać nic w testamencie, bo inne osoby miały może co do tego wątpliwości, zwłaszcza odkąd Flem przechrzył teścia przy okazji sprzedaży majątku Starego Francuza.

— Jak to? — powiedziałem. — Wuj Billy oddał ten kawałek ziemi młodej parze, jako posag Euli.

■— Faktycznie, tak gadano w całej okolicy, bo kto jak kto, ale wuj Billy na pewno nie zaprzeczał. Zapropozował ten kawałek ziemi Flemowi, ale Flem odpowiedział, że wolałby dostać równowartość w gotówce. Nawet to było powodem, że Flem i Eula wyjechali do Teksasu o dzień później niż planowano. Targowali się i wuj Billy przyciskając Flema zdołał obniżyć cenę tak, że sam się zdziwił ustepliwości zięcia, ale w końcu Flem zgadzając się na skromną sumę postawił warunek, że jeśli po powrocie z Teksasu zechce kupić tę ziemię, będzie miał pierwszeństwo i zapłaci tyle, ile wziął za nią od teścia. Na tym stanęło, Flem wrócił z Teksasu ze stadem dzikich kuców, a kiedy po tej awanturze nastął wreszcie spokój, Henry Armstid i ja kupiliśmy od Flema ziemię Starego Francuza. Ja mu dałem swój udział w restauracji, a Henry gotówkę, którą Flem zaniósł wujowi Billy'emu powołując się na umowę, że przysługuje mu prawo wykupu za tę wytargowaną cenę. Wuj Billy wprawdzie o tej umowie zdążył zapomnieć, ale musiał jej dotrzymać. Dlatego Flem Snopes bądź co bądź wie, że wuj Billy nie zmieni testamentu. Boi się wypuścić dziewczynę z Jefferson, bo gdyby w świecie znalazła męża, wie, że Eula także by go wówczas opuściła. Flem pierwszy powiedział: „Nie” — ale wszyscy troje są przeciw tobie, Eula i ta mała także, dopóki nie spotka człowieka, za którego zechce wyjść. Bo kobiety nie interesują się...

—Czekaj — powiedziałem — czekaj. Teraz moja kolej. Bo ja nie znam kobiet, bo takie mrzonki jak miłość, moralność i chwytywanie każdej okazji, która może cię obronić od zostania Snopesem, to są romantyczne pomysły poetów, a kobiety nie interesują się romantycznymi marzeniami, one interesują się rzeczywistością i faktami, obojętne jakimi, czy są to fakty prawdziwe, czy fałszywe, byle przystawały do innych faktów gładko, bez śladów zbyt grubych szwów. Mam rację?

— No, masz, chociaż ja bym to trochę ina czej wyraził.

— Bo ja nie znam kobiet. — powiedziałem. — A teraz może zechcesz mi wythima-

czyć, skąd, u diabła, dowiedziałeś się tego wszystkiego?

— Może po prostu nadstawiając uszu — odparł. To wszyscy wiedzieliśmy, bo któż z mieszkańców Yoknapatawpha nie widywał od dziesięciu czy piętnastu lat malowanej blaszanej budy w kształcie domku, a w niej maszyny pokazowej, budy dawniej ustawionej na platformie ciągniętej przez konia, a potem na przerobionym do tego celu podwoziu samochodu, uwiązanej lub zaparkowanej przy furtce czy też o paręset kroków dalej, w różnych miejscach, na stu różnych polnych drogach i w różnych zapadłych kątach okręgu, któż nie widywał gromadek złożonych z czterech, pięciu, sześciu kobiet, które nie żałowały trudu, żeby w czepkach lub słomkowych kapeluszach wędrować na to spotkanie z całej okolicy choćby miłą piechotą, i otaczały Ratliffa, podczas gdy on, z twarzą jak zawsze gładką, smagłą, uprzejmą i nieprzeniknioną, w czystej, spłowiałej niebieskiej koszuli, bez krawata, siedział na kuchennym stołku pośrodku cienistego ogrodu lub na werandzie i słuchał. Tak, wszyscy to widzieliśmy.

— A ja widocznie nie umiałem nadstawić ucha na właściwe głosy — powiedziałem.

— Na niewłaściwe także — odparł Ratliff. — Nigdy nikogo nie słuchasz, bo zawsze ci pilno gadać samemu.

Tak, to było łatwe. Wystarczyło w porę znaleźć się na tej ulicy, aby mogła mnie z daleka zobaczyć, aby skreśliła, rzuciła się jakby w panice w boczną uliczkę, w nadziei, że wymknie się z zasadzki. Nie potrzebowałem nawet okrążyć bloku, przeszedłem przez drugstore i kuchennym wyjściem na tyły domu; choćby nie wiem jak prędko biegła, musiałem być w zaułku wcześniej od niej i przyczajony za narożnikiem muru miałem dość czasu, by usłyszeć pospieszny tupot jej nóg, wyjść z ukrycia, chwycić w przegubie jej rękę, nim zdążyła ją podnieść w odruchu obrony i protestu, lekko przytrzymać tę rękę, gdy wrywała się, szamotała trochę i powtarzała: — Och, proszę, proszę.

— Dobrze — powiedziałem. — Zaraz cię puszczę. Chcę tylko wiedzieć jedno. Tamtego popołudnia przed spotkaniem ze mną w drug- storze pobiegłaś najpierw do domu, żeby się przebrać. To był twój własny pomysł, żeby wstąpić do domu i zmienić sukienkę. Ale to matka namówiła cię, żebyś umalowała usta, skropiła się perfumami, włożyła jedwabne pończochy i pantofle na wysokich obcasach. Prawda?

Ale ona wciąż wrywała się, szarpała trochę ramieniem, uwiązionym w moim ręku, i powtarzała szeptem: — Och, proszę, proszę.

XVI. CHARLES M ALLISON

to, jak się zaczęło — wedle opowiadania Ratliffa — zanim wuj Gavin stał się świadkiem dalszego ciągu.

Był styczeń, dzień szary z powodu mgły, chociaż nie mroźny. Stara Het wpadła przez frontowe drzwi i się do kuchni pani Hait, już z daleka wykrzykując swoim silnym, dźwięcznym, wesołym głosem z wyraźną, dziecinną uciechą:

— Miss Mannie. Muł na podwórku.

Nikt nie wiedział dokładnie, ile lat ma naprawdę siara Het. Nikt w Jefferson nawet nie pamiętał, od ilu lat już mieszkała w przytułku. Starzy ludzie twierdzili, że musi mieć około siedemdziesiątki, ale z jej własnych zwierzeń, obliczając wedle wieku rozmaitych pań z Jefferson, od młodych mężatek aż do babek, które rzekomo od niemowlęctwa wyniańczyła, musiałyby mieć setkę, no i troić się przez całe życie — jak mówił Ratliff.

Właściwie tylko sypiała w przytułku czy przynajmniej spędzała tam większą lub mniejszą część nocy. Przez resztę doby widywało się ją stale to na Rynku, to na ulicach, to gdzieś na półtoramilowej polnej drodze łączącej miasto z przytułkiem; co najmniej od dwudziestu pięciu lat panie, spostrzegając ją przez frontowe okna albo słysząc dochodzący z sąsiedztwa jej silny, donośny, wesoły głos, zamykały się w łazience. Jednak i to niewiele pomagało, jeśli zapominały zamknąć także na

cztery spusty drzwi frontowe i kuchenne. W takim przypadku musiały bowiem wcześniej czy później wyjść z łazienki i zastawały starą Het, wysoką, chudą, o cerze koloru ciemnej czekolady, gadatliwą, pogodną, w tenisówkach, w długim, szarym jak mysz palcie obszytym czymś, co przed czterdziestu pięciu laty było futrem, w fioletowym toczku, który pięćdziesiąt lat temu, jeszcze za życia generała Compsona, dostała od starej pani Compson, nasadzonym na chustkę dokładnie na czubek głowy (dawoniej Het nosiła z sobą torbę czarną i z pozorów bezdenną niby kopalnia węgla, ale odkąd w^r Jefferson otwarto dom towarowy, zastąpiła tę torbę papierowymi torebkami firmowymi, które w sklepie dawano za darmo), zadowoloną w kuchni i gotową nadać swojej interesownej wizycie ton jowialnej, niepoprawnej poufałości.

Chodziła w ten sposób od domu do domu, podróżując jak gdyby na ruchomej wyspie paniki i zakłopotania, zbierając sw^Tój co tygodniowy haracz w postaci resztek jadła, starych ubrań, a czasem też paru centów¹ na tabakę, hałaśliwa, przyjacielska, a nieuchronna jak poborca skarbowy. Co praw^Tda, od dwóch lat, odkąd pani Hait ow-dowiała, Jefferson dzięki niej korzystało z pewnej chwilowej ulgi. Ale nie było całkowicie od starej Het uwolnione. Kuchnia pani Hait stała się dla niej jak gdyby główną kwaterą czy może wysuniętą naprzód placówką w^rkrótce po pamiętnej nocy, kiedy to pan Hait wra.-

z pięciu mułami należącymi do 1.0. Snopesa zginął na ostrym zakręcie torów tuż za miastem pod kołami spieszącego na północ pociągu towarowego, i gdy nawet do przytułku dotarła wiadomość, że pani Hait dostała osiem tysięcy dolarów odszkodowania. Stara Het idąc do miasta wstępowała przede wszystkim do pani Hait i przesiadywała u niej często aż do południa, zaczynając dopiero potem swoją nieubłaganą zbiórkę po domach. Niekiedy, przy wyjątkowo złej pogodzie, zostawała u pani Hait na cały dzień. Wówczas jej stałe klientki czy raczej ofiary, na krótko ułaskawione, zadawały sobie pytanie, czy w domu tej kobiety, obdarzonej męską energią i używającej męskiego słownika, która, jak mawiał Ratliff, sprzedała swego męża zarządowi kolei z ośmiotysięcznoprocentowym zarobkiem, sama sobie rąbała drwa na opał, doiła krowę, orała i uprawiała ogród warzywny, stara Het pomaga w robocie w zamian za poczęstunki, czy też tam także przestrzega towarzyskiego charakteru swoich wizyt zabawiając gospodynie i nawzajem przez nie zabawiana.

W kapeluszu i palcie, z torbą w ręku wpadła do kuchni pani Hait krzycząc: — Miss Mannie! Muł na podwórku!

Pani Hait właśnie siedząc w kucki pod piecem wygarniała żar do wiadra. Dzieci nie miała, mieszkała sama w małym drewnianym domku pomalowanym na ten sam kolor, na który zarząd kolei malował budynki dworco we i wagony towarowe; mówiło się w mieście, że w ten sposób pani Hait czci pamięć tamtego poranka sprzed trzech lat, kiedy to szczątki pana Haita zdołano w końcu oddzielić od szczątków pięciu mułów oraz kilkunastu stóp nowego powroza z manili, rozrzuconych wzdłuż torów. We właściwym czasie odwiedził panią Hait przedstawiciel zarządu kolei, by ustalić jej prawa do odszkodowania, a pani Hait we właściwym czasie zrealizowała czek na osiem tysięcy pięćset dolarów. (Były to, jak mówił wuj Gavin, złote czasy, kiedy towarzystwo kolei żelaznych uważało swoje linie i odcinki na Południu za legalny łup wszystkich osiadłych w pobliżu toru ludzi.) Wprawdzie w ciągu wielu lat przed śmiercią pana Haita pojedyncze sztuki lub pary mułów (dziwnym zbiegiem okoliczności najczęściej należące również do I. O. Snopesa, przy czym łatwo było utożsamić właściciela, bo zabite przez pociąg muły zawsze miały na szyjach nowy, mocny powróż) nałogowo szukały nocą śmierci na tym samym niebezpiecznym zakręcie torów, lecz po raz pierwszy w ich zbiorowej apoteozie — jak wyraził się wuj Gavin — wziął udział również człowiek.

Pani Hait podjęła odszkodowanie w gotówce; w perkalowej sukni i w filcowym kapeluszu, tym samym, który jej mąż miał na głowie pamiętnej nocy katastrofy (lecz który znaleziono nie uszkodzony), słuchała w lodowatym i nieufnym milczeniu wyja

śnień bankowego rachmistrza, potem kasjera i wreszcie prezesa (pana de Spain we własnej osobie), gdy usiłowali jej wytłumaczyć zalety obligacji, książeczki oszczędnościowej albo choćby zwykłego konta czekowego; wsunęła banknoty do worka od soli schowanego pod fartuchem i wyszła z banku; tego lata przemałowała dom na praktyczny i trwałe kolor zabudowań dworcowych i wagonów towarowych, jak gdyby przez sentyment czy może (zdaniem Ratliffa) przez wdzięczność dla kolei, i w tym domu mieszkała nadal, samotna, stale ubrana w perkalową suknię, w sweter i wciąż ten sam filcowy kapelusz, który jej mąż nosił, póki miał głowę do nakrycia; obuwie jednak miała już wtedy własne, męskie buty zapinane na guziki, z noskami wypukłymi na kształt cebulek tulipana, staroświeckiego niemodnego fasonu, dostarczane jej raz do roku na specjalne zamówienie przez pana Wildermarka.

Zerwała się i odwróciła nie wypuszczając z rąk wiadra, spojrzała na starą Het i głosem również gromkim i żywym powiedziała:

— A to drań — po czym, wciąż z wiadrem w garści, wybiegła z kuchni we mgłę, za nią zaś trop w trop stara Het ze swoją torbą. Dzień nie był mroźny, właśnie dzięki tej mgle, jak gdyby ciepłe oddechy wszystkich mieszkańców Jefferson, nagromadzone w ciągu długiej styczniowej nocy, zalegały uwięzione między warstwą mgły a ziemią, nie pozwalając jej całkiem zamarznąć, oblepiając tłustą pianą drewniane schodki przy drzwiach kuchennych, ceglana obmurówka i drewnianą klapę zamykającą włącz do piwnicy obok wejścia do kuchni, i deski ułożone od stóp schodów do szopy w kącie podwórka, gdzie stała krowa; pani Hait, obciążona wiadrem pełnym żaru, wchodząc na deski pośliznęła się gwałtownie i z trudem odzyskała równowagę. Stara Het nie ślizgała się na swoich gumowych podeszwach.

— Uwaga! — krzyknęła wesoło. — Są tam, od frontu! — Ale jeden zablądził na tyły domu. Pani Hait nie przewróciła się, nie zatrzymała nawet, zakręciła w miejscu i już biegła ku narożnikowi domu, gdzie cicho i nagle jak zjawa ukazał się muł. Należał także do I. O. Snopesa. Trzeba pamiętać, że aż do owego ranka przed trzema laty, gdy szczątki pana Haita oddzielono ostatecznie od zwłok pięciu mułów, nikt nie wiedział, że pan Hait ma coś wspólnego z interesami I. O. Snopesa, chociaż od czasu do czasu dziwiono się, że pan Hait bez żadnego stałego zajęcia jakoś zarabia na życie. Ratliff mówił, że zastanawiano się nad tym, ponieważ ludzi niepokoiło pytanie, skąd I. O. Snopes wpadł na pomysł handlowania mułami i bydłem.

Ale — zdaniem Ratliffa — nie było w tym nic dziwnego, przecież dawniej w Sadybie Francuza I. O. gospodarował w kuźni nie znając się wcale na rzemiośle kowala, nienawidząc koni zarówno jak mułów, bo śmier-

teinie się bał tych zwierząt; zdawało się więc naturalne, że następne z kolei zajęcie wybrał również w fachu, o którym nie miał pojęcia, do którego nie czuł pociągu ani zdolności, nie mówiąc już o tym, że teraz bał się sześć, osiem lub kilkanaście razy więcej, mając do czynienia nie z jednym koniem lub mułem uwiązany do słupa i w obecności jego właściciela, lecz z ośmiu, 'dziesięciu, kilkunastu mułami biegającymi swobodnie, póki ich sam nie zdołał spętać powrozem albo wziąć na linkę.

A jednak tym się parał, kupował muły na targu w Memphis, sprowadzał je do Jefferson i sprzedawał farmerom, wdowom i sierotom, czarnym i białym, za cenę, jaką udało mu się dostać, wytargowaną do ostatka, po czym (aż do nocy, gdy pociąg towarowy przejechał pana Haita i gdy nasze miasto po raz pierwszy dowiedziało się, że coś łączyło pana Haita z przedsiębiorstwem I. O. Snopesa) pojedyncze sztuki albo pary mułów czy też całe stadka (zawsze powiązane z sobą nowym mocnym powrozem z manili, który Snopes rozpoznawał i umieszczał na liście poniesionych strat upominając się o odszkodowanie) ginęły pod kołami nocnych pociągów towarowych na tym samym ślepym zakręcie, gdzie poniósł śmierć pan Hait; ktoś (Ratliff przysięgał, że nie on, lecz zawiadowca stacji) przysłał nawet I. O. Snopesowi pocztą drukowany rozkład jazdy pociągów tej sekcji.

Jednakże po nieszczęśliwym wypadku (czy też fatalnym błędzie w obliczeniach, jak mówił Ratliff, twierdząc, że to panu Haitowi powinien był zawiadowca przesłać w porę rozkład jazdy wraz z zegarkiem), który przytrafił się panu Haitowi, muły Snopesa przestały ginąć nagłą śmiercią na torach kolejowych. Gdy urzędnik towarzystwa kolejowego przyszedł do pani Hait omówić sprawę odszkodowań, Snopes stawiał się również, a była to, zdaniem Ratliffa, najcięższa decyzja, jaką musiał w życiu 'powziąć szamocząc się między zwykłą przezornością, która mu radziła trzymać się jak najdalej od wszelkich dochodzeń prowadzonych przez zarząd kolei, a trzeźwą oceną charakteru pani Hait, wiedział bowiem, że jeśli chce mieć jakikolwiek udział w odszkodowaniu, nie ma innego sposobu, jak skaptować sobie przedstawiciela kolei.

Ale się zawiódł. Pani Hait z zimną krwią oznajmiła, że jej mąż był jedynym właścicielem pięciu mułów; nawet nie potrzebowała podnieść głosu, żeby unicestwić protesty Snopesa; nie zobaczył ani centa z tych pieniędzy, a mówiąc ściślej zobaczył je tylko w momencie, gdy zniknęły w worku od soli, - zwiniętym i wetkniętym natychmiast pod fartuch pani Hait. (Tak, tak, był przy tym, czyhał w banku na tę chwilę cisnąc się ku okienku kasjera.)

W ciągu pięciu czy sześciu poprzednich lat w regularnych odstępach czasu zakłócał sen-

hy spokój miasta zgiełkiem i tumanami kurzu, jego nadejście zwiastowały z daleka rozpaczliwe okrzyki i nawoływania, szlak jego znaczył obłok żółtego pyłu, z którego wylaniały się podobne z kształtu do dzbanków łby i stuk kopyt, a cały ten pochód zamykał Sno- pes we własnej osobie, zasapany, z ustami otwartymi do wrzasku, wykrzywionymi grymasem troski, strachu i oszołomienia.

Po konferencji z przedstawicielem kolei miał także na twarzy wypisane oszołomienie i troskę, ale do strachu dołączyło się zdumienie, rozpacz, bunt, gniewne niedowierzanie, które można mu było nadal wyczytać z oczu przez następne trzy lata, kiedy to jego twarz wzbogaciła się o nowy wyraz chciwej nadziei. (I znów, jak mówił Ratliff, Snopes musiał rozwiązać problem przekraczający ludzkie siły; on, który dotychczas tylko wyladowywał muły do przygotowanej na dworcu zagrody, a potem wynajmował Murzyna, by jadąc na starej brzęczącej dzwonekmi kobyłe poprowadził je przez miasto aż na plac, gdzie odbywała się sprzedaż, teraz musiał sam, bez niczyjej pomocy, wypuszczać muły z dworcowej zagrody i zaganiać je przemocą w wąską uliczkę kończącą się małym, otwartym podwórkiem pani Hait.) W ciągu tych następnych trzech lat zgiełk i chmury kurzu, w którym kłębiły się demoniczne postacie, przeniosły się jak gdyby jednym skokiem ponad spokojnymi przedmieściami Jefferson na podwórko pani Hait, gdzie oboje, ona wymachując ścierką, miotłą czy jakimkolwiek orężem, który zdążyła chwycić, nim wybiegła z domu, klnąc i wymyślając jak mężczyzna, on zaś, Snopes, na razie syty zemsty czy też przynajmniej uwolniony chwilowo od niezdolnej udreki, niezdolnego uczucia bezsilności, krzywdy, zawodu (zdaniem Ratliffa, Snopes zapewne już od dawna nie liczył naprawdę na wyciśnięcie choćby centa z pani Hait, została mu tylko maniacka, niczym nie uzasadniona nadzieja), musiał łapać zwierzęta i zaganiać je jakimś sposobem znów do zagrody, więc skakał i wił się pośród kłębowiska ciał i tupotu, wykonując jak gdyby namiętną taneczną pantomimę, a dekoracją do tej sceny był dom, pomalowany solidnie za jego własne, jak uważał, pieniądze, dom, którego mieszkanka i pani wiodła królewskie życie sybai-ytki pławiąc się — jego kosztem — w takim luksusie. (Ratliff twierdził, że pani Hait nie chciała zwracać się do sądu ze skargą na prześladowania, jakimi nękał ją Snopes, ponieważ uważała, że w ten sposób spłaca część długu za nieoczekiwane szczęśliwą transakcję: wymianę męża na osiem tysięcy dolarów.) Sąsiedzi przywykli do tych widowisk i wszyscy — panie w negliżach i porannych czepkach, dzieci bawiące się po podwórkach, przypadkowi przechodnie, Murzyni i biali — obserwowali je z okien przez uchylone żaluzje albo też bezpiecznie ukryci za płotami. Gdy go zobaczyły, muł galopował z pod-

niesionym łbem, rozglądając się w tym nieznanym terenie, który po raz pierwszy w życiu widział; zwierz, wyłaniający się nagle z mgły, z urwanym postronkiem chłuszcząc- cym go po uszach, pędzący prosto na panią Hait i starą Het — musiał im się wydać wyższy od żyrafy.

— A to dopiero! — krzyknęła stara Het wymachując torbą. — Hu, ha! Pódziesz! — Opowiedziała potem Ratliffowi, że pani Hait znowu zakreśliła się i zachwiała na śliskich deskach, biegnąc teraz równolegle do muła w stronę obórki, z której otwartych drzwi wyglądał znieruchomiał, zdumiony krowi pysk. Krowie, przez chwilę jeszcze stojącej spokojnie w drzwiach, zajętej przeżuwaniami i patrzeniem w mgłę, muł zapewne wydał się wyższy i bardziej fantastyczny niż żyrafa, zwłaszcza że gnał prosto na obórkę, najwidoczniej zamierzając przebić się przez nią, jakby była ze słomy czy też jakby ją uważał za złudzenie wzrokowe. W każdym razie — wedle relacji starej Het — łeb krowy zniknął w głębi szopy nagle jak zdmuchnięta zapalka; z wnętrza rozległ się hałas, którego stara Het nie umiała bliżej określić, po prostu burzliwe i niepokojące odgłosy, jak z harfy czy też z banjo szarpanych za struny; pani Hait biegła ku tym odgłosom niejako odruchowo, w porywie żywiołowej solidarności istot żeńskich przeciwstawiających się światu mężczyzn i mułów, za chwilę miała z całym impetem spotkać się z mułem pod drzwiami obórki i już rozhuśtała wiadro, pełne gorącego żaru, by cisnąć nim w napastnika. Wszystko to oczywiście trwało krócej niż ten opis; stara Het twierdziła, że jeszcze nie skończyła wołać: „A to dopiero! Hu, ha, pódziesz stąd!”, gdy muł zawrócił jednym susem wprost na nią. Ale trzepnęła go torbą, więc wyminął ją i okrążywszy róg domu zniknął we mgle, znowu tak nagle jak zdmuchnięta zapalka.

Wtedy pani Hait postawiła wiadro na ceglany progu przy zejściu do piwnicy i obie kobiety zdążyły wypaść za róg domu w porę, żeby zobaczyć spotkanie muła z kogutem i ośmiu białymi kurami, które wybiegły spod ściany. Stara Het opowiadała, że wyglądało to jak jakiś obraz z Biblii albo z książki o czarach i czartach: muł wyłaniający się z mgły, niby widmo czy wilkołak, i znów rozwiewając się we mgle, jakby unoszony wraz z rojem białych skrzydlatych istotek. Stara Het i pani Hait biegły dalej, pani Hait miała teraz w ręku kij od zdartej miotły, ale Het nie zauważyła, kiedy i jak znalazła tę broń.

— Jest ich więcej przed domem! — wrzasnęła stara Het.

— A to drań! — krzyknęła pani Hait. Rzeczywiście było ich więcej. Stara Het opowiadała, że podwórko, niewiele większe niż chustka do nosa, roilo się od mułów, a między nimi uwijał się I. O. Snopes. Placyk był - tak maty, że każde stworzenie mogło go dwo-

ma dłuższymi krokami przemierzyć, ale przedstawia! taki widok jak kropla wody oglądana przez mikroskop. Z tą różnicą, że obserwator znajdował się we wnętrzu kropli. A raczej w jej wnętrzu znaleźli się pani Hait i Snopes, bo stara Het, jak mówiła, przywarła do ściany domu, żeby trzymać się możliwie z daleka od całej awantury, chociaż w tej ciasnocie prawdziwie bezpiecznego miejsca w ogóle nie było, i patrzyła, jak pani Hait z kijem od miotły w garści i z jakąś wzniosłą wiarą, nie wiedzieć w co ani nie wiedzieć gdzie istniejącego, może tylko we własną nietykalność — albo, zdaniem starej Het, po prostu oślepią furia — skoczyła w sam środek chaosu, w pogoni za mułem, który z postronkiem trzepoczącym koło szyi tonął już znów we mgle, wciąż jeszcze oto- czon}’ chmurą pierza, fruującego niby confetti i znaczącego za nim ślad, jak piana na wodzie za pomykającą motorówką.

A pan Snopes roztrącany przez muły rzucał nawzajem pani Hait wściekle spojrzenia i krzyczał bez tchu:

— Gdzie moja forsa? Gdzie moja połowa odszkodowania?

— Złap tego diabła za postronek — powiedziała pani Hait. — Wypędź stąd tego diabła. — I obie, stara Het i pani Hait, puściły się pędem w pogoń, tak że zdyszany głos Snopesa dobiegał je teraz z tyłu:

— Oddaj mi moje pieniądze! Oddaj mi moją część!

— _____ Uwaga! — wrzasnęła stara Het.

Skręcił znowu za dom.

— Przynieś linkę! — krzyknęła do Snopesa pani Hait.

— A skąd ją wezmę, u Boga Ojca! — odkrzyknął Snopes.

— Jest w piwnicy! — wrzasnęła stara Het. Nie czekała jednak. — Obiegnij z drugiej strony i łap go. —

Opowiadała potem, że kiedy obie z panią Hait wypadły zza rogu domu, ten sam muł z trzepoczącym u szyi postronkiem znowu jak gdyby szybował lekko w chmurze kur, na które natknął się po raz drugi, bo kury idąc po cięciwie zdążyły zadreptać tutaj pod domem prędzej, niż muł przegalopował po luku. Obiegly dom i znowu były na podwórku.

— Laboga! — WTzasnęła Het. — Ten diabeł gotów krowę obskoczyć.

Mówiła potem, że wyglądało to jak na obrazku: krowa wylazła z obóiki i stała pośrodku placu, a muł naprzeciw niej, i przyglądali się sobie nawzajem z odległości kilku stóp, nieruchomi, z pochylonymi łbami i rozkraczonymi nogami, jak dwie źle dobrane podpórki do książek; Snopes widocznie szukał w piwnicy linki, bo połową ciała był na podw^Tórku, a połową w^t piw-nicy, w jej otwartych drzwiach, przy których na progu stało wiadro z żarem: stara Het, wedle tego. co potem mówiła, od razu pomyślała, że próg otwartych do piwnicy drzwi nie jest właściwym miejscem dla wiadra z ognistym żaren;

wiecie do głowy. Gdyby nie powiedziała, że myślała o tym, ktoś inny z pewnością by na to zwrócił uwagę, bo zawsze poniewczasie znajduje się ktoś, kto chwali się swoją przezornością wytykając jej brak u innych. Ale jeśli cała akcja rozwijała się tak błyskawicznie, jak wynikało z relacji starej Het, wątpię, żeby ktokolwiek miał czas o czymkolwiek pomyśleć.

Bo znów wszystko poszło w ruch; gdy następny raz okrążali dom, I. O. biegł na czele z liną (którą znalazł w piwnicy), za nim sunęła krowa z zadartym ogonem, lekko przechylonym jak maszt flagowy na okręcie, potem muł, a wreszcie pani Hait i stara Het; stara Het twierdziła, że spostrzegła wtedy wiadro z żarem na progu otwartej piwnicy, w której zgromadzone były rozmaite graty i szczątki wdowiego mienia — puste skrzynki na rozpałkę, papiery, połamane meble — i znów pomyślała, że to nie jest miejsce stosowne dla wiadra.

Za następnym rogiem kobiety zobaczyły, jak Snopes, krowa i muł znikają dosłownie w chmurze trzepoczących się gorączkowo kur, które raz jeszcze zdążyły w samą porę przywędrować tutaj krótszą drogą pod domem. Ale kiedy kobiety znalazły się przed frontowym wejściem, nie było tam już nikogo prócz I. O. Snopesa. Leżał plackiem na ziemi, w impecie upadku poły kurtki nakryły mu głowę, a na białej koszuli, jak przysięgała Het, widniał odcisk rozdwojonej krowiej racicy i nie brakowało też śladu mulego kopyta.

— Gdzie muł? Gdzie krowa? — krzyknęła stara Het, ale Snopes nie odpowiedział. — Ścięty zakręt! — zawołała więc do pani Hait. — Już są na podwórku. — Były rzeczywiście. Stara Het prz.ypuszczala, że krowa miała zamiar wrócić do obory, ale że się już zanadto rozpędziła, w ostatniej chwili z desperacją, w porywie rozpacz i męstwa zaatakowała nagle mula. Ale — przyznawała się stara Het — ani cna, ani pani Hait nie zdążyły w porę, żeby to na własne oczy widzieć, słyszały tylko łoskot, tupot, szcęk, gdy muł uskoczył w bok i wpadł przez otwarty wąż do piwnicy. Kiedy dobiegły, muła już nie było na podwórku. Zniknęło także wiadro z progu piwnicy, ale stara Het, jak opowiadała, na razie wcale tego nie spostrzegła, widziała tylko krowę na środku placu, na tym samym co przedtem miejscu i w tej samej pozie, z przednimi nogami wyprężonymi i ze spuszczonego łbem, jak gdyby ktoś mimochodem zabrał drugą połowę podpórki na książki. Kobiety nie zatrzymały się, pani Hait — wedle relacji starej Het — biegła już teraz ciężko, z otwartymi ustami, z twarzą szarą jak kit i z ręką przyciśniętą do boku. Obie goniły resztkami sił i poruszały się teraz tak wolno, że muł uciekł im, wypadłszy nagle zza ich pleców i wręcz przeskakując nad ich głowami — jak twierdziła stara Het; diabeł zagrzmiął kopytami, wionął

smrodem amoniaku i potu, i już go nie było. (Kury albo w końcu zmadrzały i przycupnęły pod domem, albo też im także zabrakło już sił, żeby stawić się punktualnie na spotkanie.) Gdy kobiety dotarły do narożnika domu, muł już zdążył zniknąć na dobre we mgle, usłyszały tylko szybki, skoczny i szyderyczy tętent jego kopyt, oddalający się i cichnący stopniowo.

Wtedy stara Het, jak mówiła, przystanęła i powiedziała: — Chwileczkę, moi państwo.

Coś mi się zdaje... — I nagle poczuła swąd. Stała węsząc i ukazał jej się jak żywy obraz otwartej piwnicy, tak jak ją widziała przebiegając ostatni raz przez podwórko, i uświadomiła sobie, że wiadra z żarem nie było już wtedy na progu. — Rany boskie! — wrza- j snęła do pani Hait. — Dym. Dziecinko, bie- ■ gnij do domu i zabierz stamtąd swoje pieniądze!

Było to około dziewiątej rano. W południe z domu została tylko kupka zgliszcz. Ratliff opowiadał, że gdy przyjechała sikawka stra-¹żacka i zebrał się tłum, pani Hait właśnie wychodziła z domu, a trop w trop za nią • stara Het, ze swoją torbą w jednej ręce, z oprawnym w ramę portretem pana Haita \ w drugiej; pani Hait niosła parasol i ubrana była w stary wojskowy płaszcz, należący niegdyś do jej męża; z jednej kieszeni sterczał i jej duży słów od konfitur, w którym przechowywała resztę z nie wydanych dotychczas ośmiu tysięcy pięciuset dolarów (sądząc z te- j

go, co sąsiedzi mówili o trybie życia pani Hait, ubyłoby zapewne niewiele), a z drugiej ciężki niklowany rewolwer; tak przeszła na przeciwną stronę jezdni, do domu sąsiadów, gdzie obie ze starą Het zasiadły w bujających fotelach na werandzie i kołysząc się wytrwale, patrzyły, jak ochotnicy ze straży ogniowej wyrzucają meble i naczynia gospodarskie na ulicę. Jak mówił Ratliff, ludzie j już się wtedy zainteresowali tą historią i znaleźli się tacy, którzy pofatygowali się na Rynek, by odszukać I. O. Snopesa i powiadomić go o katastrofie.

— Po co mi to opowiadacie? — spytał I. O. — Nie ja postawiłem kubel z żarem na tym miejscu, z którego byle kto mógł go zwalić do piwnicy.

— Ale to pan otworzył drzwi od piwnicy — powiedział Ratliff.

— Faktycznie — rzekł I. O. — Ale dlaczego? Bo kazała mi przynieść linkę, jej własną linkę. Sama mnie posłała.

— Bo musiała łapać pańskiego muła, który bezprawnie znalazł, się na jej podwórku — odparł Ratliff. — Tym razem już się pan nie wymiga. Każdy sąd przysięgłych w tym okręgu stanie po jej stronie.

— Owszem, sam to wiem — powiedział Snopes. — Ale tylko dlatego, że to kobieta. Tylko dlatego. Ponieważ jest cholerną babą. Dobrze. Niech odda tę sprawę do cholernego sądu. Ja także mam język w gębie i mogę coś niecoś powiedzieć, powiem na przykład

panom przysięgłym, że... — I na tym, jak mi powtarzał Ratliff, urwał. I w ogóle cała ta wypowiedź była w ustach I. O. Snopesa dziwna, bo zwykle, gdy gadał, plątał tyle różnych przysłów i powiedzonek, że słuchacz, zajęty rozwikływaniem płątaniny, w której początek jednego przysłowia doczepiony był bez sensu do końca innego, nie mógł się połapać w łgarstwach i odkrywał je dopiero poniewczasie. Ale tym razem, jak mówił Ratliff, I. O. zanadto się spieszył, żeby tracić czas na przysłowia, a tym bardziej na łgarstwa. Wszyscy obecni obserwowali go pilnie.

— No i co? — spytał ktoś. — Co powiesz przysięgłym?

— Nic — odparł. — A dlaczego? Dlatego że nie będzie żadnej sprawy. Ja miałbym się prawować z Mannie Hait? Nie znacie jej, jeżeli myślicie, że będzie robiła kwestie z powodu czystego przypadku, na który ani ja, ani nikt inny nie mógł poradzić. Ze świecą nie znalazłbyś w Yoknapatawpha uczciwszej i rozsądniejszej kobiety niż Mannie Hait. Chciałbym jej to w oczy powiedzieć. — Niedługo czekał na okazję, żeby tej chęci zadośćuczynić, jak mówił Ratliff. Pani Hait zaraz nadeszła, a za nią stara Het ze swoją torbą. Pani Hait raz tylko rzuciła okiem na zebrane towarzystwo, a potem zwróciła się do I. O. Snopesa:

— Przyszłam kupić tego muła — oznajmiła.

— Jakiego muła? — spytał I. O. Bez na myślu, prawie automatycznie. Oczywiście wiedział, o co chodzi. Przez długą chwilę przyglądali się sobie nawzajem. — Chciałaby pani nabyć tego muła? — powiedział wreszcie. — Będzie to panią kosztowało półtorej setki.

— Znaczy w dolarach? — spytała pani Hait.

— Pewnie że nie w centach — rzekł Snopes.

— Muły były tańsze, dopóki żył mój mąż.

— Dużo rzeczy zmieniło się od tego czasu — powiedział Snopes. — Pani i ja także.

— Ja myślę — odparła. Odeszła. Ratliff mówił, że bez słowa odwróciła się i poszła, a stara Het za nią.

— Na pańskim miejscu — rzekł Ratliff — nie powiedziałbym jej tego.

Wtedy mała, brzydka i zatroskana twarz I. O. Snopesa poczerwieniała ze złości i nawet, jak twierdził Ratliff, trochę piany wystąpiło mu na usta.

— A niechby to zrobiła — powiedział. — Niechby wniosła sprawę do sądu, proszę bardzo, ona czy kto inny, byle w pozwie wymienione były muły i nazwisko Haita... — Znowu urwał i twarz mu się wygładziła. — Proszę? — spytał. — Co pan mówił?

— Że pan, jak widzę, nie boi się, żeby pana zaskarżyła o podpalenie jej domu — odparł Ratliff.

— Mnie miałyby oskarżyć? — powiedział I. O. — Pani Hait? Gdyby zamierzała ciągać

się ze mną po sądach o ten pożar, czy przy- szłaby aż tutaj, żeby mi proponować zapłatę za mula?

Działo się to koło pierwszej po południu.

O czwartej wybrałem się z Aleckiem Sande- rem na tereny Sartorisów, żeby zapolować na przepiórki, z psami, które Miss Jenny du Pré nadal trzymała, pewnie czekając, aż Benbow Sartoris podrośnie na tyle, żeby udźwignąć strzelbę w rękę. Wuj Gavin był więc sam w swoim biurze, gdy usłyszał szuranie tenisówek po schodach. Weszła stara Het; torbę miała już dobrze wypchaną i jadła banany, które wyciągała z papierowej torby, wciśniętej pod pachę; w jednym ręku trzymała nadgryzionego banana, a w drugim zmięty banknot dziesięciodolarowy, żeby go wręczyć wujowi Gavinowi.

— To dla pana — wyjaśniła. — Od Mannie Hait. On także już dostał dychę — dodała

I opowiedziała, jak się to stało: czekała na rogu w Rynku długo, myślała już, że prędzej doczeka się nocy niż I. O. Snopesa, ale wreszcie nadszedł, a wtedy oddała napoczętego banana kobiecie, stojącej w pobliżu, i wyciągnęła pierwszą wymiętoszoną dziesięciodo- rówkę. Snopes przyjął te pieniądze.

— Co? — zapytał. — Naprawdę Mannie Hait kazała mi to doręczyć?

— Za mula — odrzekła stara Het. — Kwitu nie wymagam. Sama jestem świadkiem, że panu dałam tę dziesiątkę.

— Dziesięć dolarów za mula? — powie

dział Snopes. — Mówiłem jej przecież, że kosztuje sto pięćdziesiąt.

— Targować może się pan z nią osobiście — odparła Het. — Pani ITait dała mi dla pana dziesiątkę i poszła po tego mula.

— Poszła po niego? Sama poszła po tego bydlaka między moje stado?

— Nie bądź pan dziecko — odparła stara Het. — Mannie Hait nie boi się mulów. Czy pan tego jeszcze nie zauważył?

I na zakończenie tej historii stara Het powiedziała do wuja Gavina: — A tu ma pan swoją dziesiątkę.

— Za co? — spytał wuj Gavin. — Ja nie mam muła do sprzedania.

— Za adwokata — powiedziała stara Het. — Pani Hait potrzebuje adwokata. Prosi, żeby pan tak mniej więcej o zachodzie słońca przyszedł do jej domu, wtedy już ona tam będzie z powrotem.

— W swoim domu? — spytał wuj Gavin.

— No, kochaneczku, na miejscu, gdzie przedtem stał dom — wyjaśniła stara Het. — A może pan ma chęć na banana? Bo mnie się już przejadły.

— Dziękuję pięknie, ale nie.

— Nie żałowałabym panu. Nie ma pan czasem dziesięciu centów na zbyciu? Zabrakło mi na tabakę.

— Dziesięciu nie mam — odparł wuj Gavin sięgając do kieszeni. — Ale mam dwadzieścia pięć.

— Od razu poznać dżentelmena — powie-

działa stara Het. — Prosi go człowiek o dziesiątkę, a on kładzie na stół ćwierć albo pół, albo nawet całego dolara. Tylko hołota nie umie wydusić więcej niż parę marnych centów. — Chwyliła monetę, która zaraz zniknęła nie wiadomo gdzie. — Ludziom się zdaje, że ja tylko drepnę po mieście jak dzień długi po proszonym, rękę wyciągam i w gębie nie mam nic innego jak „Bóg zapłać”. Bardzo się mylą. Ja także oddaję temu miastu usługi. Szczęśliwy ten, który daje, nie ten, który bierze, mówi Pismo Święte. W naszym mieście pełno takich szczęśliwych, co to zawsze chętnie człowiekowi coś dadzą, kilka centów albo stary kapelusz. Ale tylko ja jedyna zawsze biorę. Nie byłoby szczęścia w Jefferson, żebym ja stale nie dreptała od świtu do nocy, czy deszcz, czy śnieg, czy pogoda, i nie powtarzała swojego „Bóg zapłać”. No, to jak, mogę pani Hait powiedzieć, że pan przyjdzie?

— Przyjdę — rzekł wuj Gavin. Stara Het poszła. Wuj Gavin siedział i patrzył na zmiętą dziesięciodolarówkę, leżącą przed nim na biurku. Potem znów usłyszał kroki na schodach i patrzył *v drzwi, dopóki nie pokazał się w nich Flem Snopes i nie zamknął ich za sobą.

— Dzień dobry — powiedział. — Czy może pan podjąć się obrony mojej sprawy?

— Dzisiaj? Dzisiaj wieczorem ma pan tę sprawę? — spytał wuj Gavin.

— Tak.

— Dzisiaj wieczorem. Czy ma to coś wspólnego z mułem i domem pani Hait? — spytał wuj Gavin.

Snopes nie zapytał: „Jaki muł? Jaki dom?” ani też: „Jak pan to zgadł?”, lecz po prostu odpowiedział: — Tak.

— Dlaczego właśnie do mnie pan się z tym zwraca? — spytał wuj Gavin.

— Dla tej samej przyczyny, dla której szukałbym najlepszego cieśli, gdybym budował dom, albo najlepszego farmera, gdybym chciał wypuścić w dzierżawę pole za połowę plonów — odparł Flem Snopes.

— Dziękuję — rzekł wuj Gavin. — Niestety to niemożliwe. — Nawet nie potrzebował palcem tknąć zmiętego banknotu. Potem opowiadał mi, że Flem Snopes nie tylko od pierwszej chwili spostrzegł te pieniądze, ale jak gdyby od razu domyślił się, skąd pochodzą. — Jak pan widzi, już mnie zaangażowała strona przeciwna.

— Pan tam będzie? — spytał Snopes. *

— Będę.

— No, to świetnie się składa. — Sięgnął do kieszeni, a wuj Gavin z początku nie rozumiał, po co to robi; przyglądał mu się, gdy Flem wydobyl staroświecki portfel zamykany na zatrzask, otworzył go, wyjął dziesięć dolarów^f, zatrzasknął zamek, położył banknot na biurku obok tamtej, zmiętej dziesięcio- dolarówki, schował portfel z powrotem do kieszeni i wystął patrząc na wuja Gavina.

— Powiedziałem panu przecież, że reprezentuję stronę przeciwną — rzekł wuj Gavin.

— A ja powiedziałem, że to się świetnie składa — odparł Flem. — Nie potrzebuję adwokata, bo sam już wiem, co mam zrobić. Potrzebuję tylko świadka.

— Ale dlaczego ja mam być? — spytał wuj Gavin.

— W porządku. Pan najlepiej się nadaje — rzekł Snopes.

Poszli więc razem. Mgła już w południe się roziała, dwa szerniałe kominy domu pani Hait sterczały teraz na tle wcześnie przygasającego zimowego zachodu. Ale w ostatniej chwili Snopes rzekł: — Zaczekajmy.

— Na co? — spytał wuj Gavin. Flem Snopes nic nie odpowiedział, zatrzymali się więc nie podchodząc bliżej. Wuj Gavin mówił, że już z tego miejsca czuł zapach szynki skwierczącej na małym ogniu przed nie zniszczoną obórką, gdzie stara Het siedziała na nowiuteńkim kuchennym krześle obracając widelcem szynkę na patelni, podczas gdy pani Hait, przykucnąwszy u boku krowy, doiła mleko do nowiuteńskiego blaszanego wiadra.

— Jest! — powiedział Flem Snopes, a wuj Gavin znów spytał: — Co? — ponieważ dotychczas nie zauważył wcale I. O. Snopesa, który zjawił się nagle, jak gdyby wyrósł spod ziemi, wysunął się z mroku w blask ogniska (w popiele tuż przy ogniu stał tam również nowiuteński imbryk do kawy z cynkowanej blachy i na jego widok wuj Gavin — jak opowiadał — poczuł teraz również aromat kawy) i stanąwszy za plecami pani Hait spoglądał z góry na jej głowę, nie widząc jeszcze Flema i wuja Gavina. Ale Het już ich zobaczyła i gdy się zbliżali, zagadnęła wuja Gavina:

— Widzę, że kawa i szynka ściągnęły tu pana prędzej niż dziesięć dolarów. Ja też mam taką naturę. Od lat już nie mam apetytu, ptaszek by nie wyżył tym, co jem. Ale niech mi zapachnie kawa i szynka! — Zwróciła się do pani Hait: — Zostaw to mleko, kochana! Twój adwokat przyszedł.

Wtedy już I. O. także ich zobaczył obejrzawszy się prędko przez ramię, tak że mignęła im jego drobna, brzydka, zatroskana twarz. Wuj Gavin mógł teraz zajrzeć do wnętrza obórki; była porządnie wyprzątnięta, wygrabiona, nawet zamieciona, a podłogę posypano świeżym sianem. Czysta nowiuteńska latarnia naftowa paliła się na skrzyni tuż obok starannie zaścielonego siennika. Druga podobna skrzynia stała przy ognisku i widocznie miała służyć za stół, bo przygotowano na niej nowiuteński talerz, nóż, widelec, łyżkę, a także filiżankę ze spodeczkiem i bochenek chleba w nie naruszonym jeszcze firmowym opakowaniu.

Jak mówił wuj Gavin, sądząc z wyrazu jego twarzy I. O. nie zaniepokoił się na widok Flema, chociaż miałby po temu powody; wuj Gavin jeszcze wtedy nie rozumiał, że I. O.

doszedł już do stanu, w którym rozpacz przybiera maskę zuchwalstwa. ■— Przeszedłeś! — powiedział I. O. — I sprowadziłeś sobie adwo kata. Pewnie masz zamiar odebrać jej tę latarnię, te nowe statki, krzesło i wiadro, a może także i mleko, jak je skończy doić, co? Pięknie, ładnie, prawie uczciwie, że przychodzisz tak otwarcie, nie czekając nawet, aż noc zapadnie. Pan adwokat oczywiście zna wszystkie okoliczności ostatniej historii z mułem i pożarem. Chyba tylko stara Het nie jest jeszcze o wszystkim dokładnie poinformowana, a warto by ją oświecić, chociaż niewiele jej to pomoże, bo nawet jeśli się zaraz zerwie i ucieknie, możliwe że zostanie bez koszuli na grzbiecie i bez majtek, nim dobiegnie do domu. Zaszuj dziurkę, póki mała, matka córkę pouczała, jak to mówią, a w Rzymie strzeżonego Pan Eóg strzeże.

No, dobrze. A teraz proszę zgadnąć, ile z tych ośmiu tysięcy pięciuset dolarów, wypłaconych przez zarząd kolei jako odszkodowanie za jej męża, dostała pani Hait faktycznie? (Wuj Gavin mówił, że I. O. tak samo jak Ratliff używał tego wyrażenia. I twierdził, że obaj mają rację.) Nikt na pewno nie zgadnie, wszyscy dali sobie oczy zamydlić. Pani Hait dostała tylko połowę. A dlaczego? Dlatego, że pomagał jej w tym interesie wiceprezes. Pewnie, bez takiego doradcy finansowego jak pan wiceprezes nie dostałaby kobieta więcej niż tę połowę, a może daliby jej mniej jeszcze, więc nie ma prawa narzekać, tym bardziej że, Bogiem a prawdą, z tej połowy tylko połowa uczciwie pani Hait się należała, bo Lonzo Hait był jej, ale muły były moje.

No, dobrze. A co się stało z tą drugą połową ośmiu tysięcy pięciuset dolarów? Zgadujecie? Nie, znowu się grubo mylicie, bo te pieniądze sam pan wiceprezes schował do kieszeni. Nie oszukał jej, nie, zaproponował otwarcie i lojalnie, wytłumaczył jej, że jeśli wytoczy proces towarzystwu kolejowemu, sąd nie przyzna jej, bezdzietnej wdowie, w najlepszym wypadku więcej niż pięć tysięcy, a w dodatku połowę musiałaby mnie odstąpić, jako właścicielowi pięciu mułów. A gdybyśmy we dwoje do spółki wytoczyli proces, miałyby wprawdzie do pomocy energicznego mężczyznę, który by potrafił zmusić tych magnatów bez serca, tych skąpych milionerów, żeby sprawiedliwie postąpili z samotną wdową, ale panowie z towarzystwa kolejowego przypomnieliby sobie, że już nieraz przedtem moje muły ginęły na tym samym zakręcie torów, zwęszyliby pismo nosem i nikt by ani centa nie zobaczył. Ale w spółce z panem wiceprezesem, jeżeli on zajmie się tym osobiście, da się od kolei wycisnąć siedem i pół tysiąca, może nawet dziesięć tysięcy dolarów, z czego jej przypadnie połowa, a pan prezes taki jest łaskawy, że ze swojej połowy jedną setkę dolarów mnie odpali. Propozycja szczerza i lojalna. Ja miałem gębę trzymać na kłódkę i dostać sto dolarów, a gdyby mi się

to nie podobnie, pan wiceprezes powie, komu trzeba, kto był faktycznie właścicielem tych pięciu mułów. no i wtedy nikt ani centa nie zobaczy, a sam pan wiceprezes wyjdzie z tego interesu bez zysku, ale i bez straty, bo przecież ani Lonzo Hait. ani muły nie były jego.

Bał nam wóz i przewóz, prosto z mostu, rozumiecie: chcesz sto dolarów czy nie. Pan wiceprezes wspomniał jeszcze, że pani Hait i ja w jednym mieście żyjemy, a nawet, można powiedzieć, mieliśmy wspólne interesy. Pani Hait. jak to kobieta, serce ma miękkie, kto wie. może z czasem zmięknie jeszcze bardziej i zgodzi się po dobroci odpalić mi coś ze swojej połowy ośmiu tysięcy pięciuset dolarów. Ale nigdy do tego nie doszło, bo chociaż pan wiceprezes miał rację co do towarzystwa kolejowego i co do ośmiu i pół tysiący dolarów, mylił się grubo co do pani Hait. która chyba kamień nosi w tym miejscu. gdzie inni ludzie mają serce. Ale niech tam. Z pustego i Salomon nie należe, jak to mówią, przegrałem jeden do dwóch, a raczej sto do ośmiu tysięcy pięciuset czy może do połowy tej sumy. którą pani Hait dostała, kiedy mnie ledwo setkę przyznano. Żeby panią Hait przelicytować, musiałbym mieć cztery tysiące dwieście pięćdziesiąt jeden dolarów, a i to pewnie tego jednego trzeba by z nią na pół podzielić. Ale niech tam. Postawiłem krzyżyk na tej stracie, głową muru nie przebijesz. — Nagle, jak opowiadał wuj Gavin, zwrócił się do pani Hait i tym samym tchem, podniecony i zirytowany, powiedział: — Przyszedłem tutaj, żeby z panią kilka słów zamienić. Pani ma coś, co należy do mnie. a ja mam coś, co do pani należy. Ale. ma się rozumieć, chciałbym pogadać w cztery oczy.

— Laboga, złociutki — powiedziała stara Het — jeżeli do mnie pan pije, to proszę się nie krępować. Tyle się sama bied najadłam w życiu, że odpoczywam sobie, jak słucham o cudzych. Rozmawiajcie, państwo, o czym chcecie, na mnie nie zważajcie, ja tylko posiedzę i przypilnuję tej szynki.

— Wyproś pani całe towarzystwo na minutkę — rzekł I. O. do pani Hait.

Pani Hait. siedząc wciąż w kucki, odwróciła głowę i popatrzyła na niego.

— Po co? — spytała. — Nie ona pierwsza przysła na moje podwórko nie proszona, widzieli tu już takich, co przychodzili i wychodzili, kiedy im się podobało.

Wuj Gavin opowiadał, że I. O. wtedy aż się zatrzęsł od powstrzymywanej irytacji.

— Niech tam. Niech tam. Pogadajmy. Pani wzięła tego muła.

— Zapłaciłam za niego — odparła pani Hait. — Het panu dała ode mnie pieniądze.

— Dziesięć dolarów — rzekł I. O. — Za muła. który jest wart sto pięćdziesiąt.

— Nie słyszałam o takiej cenie na muły — powiedziała pani Hait. — Wiem. że kolej płaci inaczej.

Sześćdziesiąt dolarów od łebka zapłacili wtedy, kiedy ten wariat Hait tak

głowę stracił, że sam siebie także sznurkiem na torze spętał...

— Css! — powiedział I. O. — Css!

— Dlaczego? — odparła pani Hait. — Czy to sekret? Pan przecież tę historię już wypaplał na cały świat.

— No, dobrze. Ale pani przysłała mi tylko dziesięć dolarów.

— Posłałam różnicę. Różnicę między ceną muła a tym, co pan był winien Haitowi.

— Ja byłem coś winien Haitowi? — krzyknął I. O.

— Hait mówił, że pan mu płaci pięćdziesiąt dolarów za każdym razem, kiedy podprowadzi mufy w porę pod pociąg, a kolej panu płaciła sześćdziesiąt dolarów od łebka. Za ten ostatni raz nie dał pan ani centa Haitowi, bo zawsze pan płacił dopiero następnego dnia, no a tym razem następnego dnia nie było już Haita. Wzięłam więc muła na to konto, a różnicę posłałam panu przez starą Het, która może zaświadczyć. — Wuj Gavin opowiadał, że I. O. Snopes na chwilę zapomniał języka w gębie. Nie odpowiedział ani słowa, patrzyli tylko na siebie, pani Hait wciąż przykucnięta, on stojący pośrodku podwórka, a stara Het tymczasem obracała widelcem szynkę na patelni. Tak się zamysłili, że Flem dwa razy musiał powtórzyć pytanie, zanim je usłyszeli.

— Skończyłeś? — zwrócił się do I. O.

— Co? — spytał I. O.

— Czy skończyłeś rozmowę? — powtórzył

Flem. I dopiero wtedy, jak mówił wuj Gavin, wszyscy zauważyli w jego ręku płócienny worek, jeden z tych ostemplowanych worków, w których bank przechowuje pieniądze w swoim skarbcu.

— Tak — rzekł I. O. — Skończyłem. Bądź co bądź zarobiłem na tej historii dziesięć dolarów, na których ty nie możesz łapy położyć.

Ale Flem już się do niego nie odezwał; zwrócił się do pani Hait wyciągając z worka złożony arkusz papieru.

— To jest hipoteka pani domu — powiedział. — Wszystko, co pani wypłaci towarzystwo Ubezpieczeń, będzie wyłącznie pani własnością, może pani za te pieniądze odbudować dom. Proszę wziąć ten papier.

Ale pani Hait nie drgnęła naw⁷et.

— Dlaczego? — spytała.

. — Odkupiłem to od banku dziś po południu — rzekł Flem. — Jeśli pani chce, może pani ten dokument wyrzucić w ogień. Ale najpierw niech go pan weźmie do ręki. ■ — Wtedy nareszcie wzięła od niego ten papier i wszyscy zobaczyli, jak Flem znowo sięgnął do worka i tym razem wyjął z niego plik banknotów. I. O. patrzył na to i naw⁷et okiem nie mrugnął.

— Olaboga — powiedziała stara Het. — Taka kupa forsy!

— Ile mułów' masz teraz w zagrodzie? — spytał Flem krewniaka. I. O. nie odrywał od niego oczu. W końcu zamrugał powiekami i odpowiedział szybko:

przed cenę,ła sprzedała pani Han. Towar;v- stwo kelowe w y cenilo muły, którymi han-
oiUZCSZ» : 'a S ZOSOd Z IOS ' dolarów . *v\ <.: ' t0;kę.

Ty iwú" .i;:s; /o są warto po o pięćdziesiąt eo.arow. X;c eęo.ziciv.y s;ę spierze. S/oso raz\ s; o pv00o.z;os;at
bęo*zio.*.

— Siedem — glosno i ostro powiedział I. ü. — Nio sprzedałem tego muła parę; Hait aro. nikomu innemu. -
Obrócił się ku pańi lia;;. - Nio dobiliśmy iary;u. Nio dobiliśmy. Wszyscy świadków i o. kobiety i mężczyźni,
potwierdzą. że me więcej między nami nio było. tylko pani usiłowała rai wetknąć tyoh dziesięć dolarów, a ja
pani jo zwróciłem. O. proszę! — Wyciągnął z kieszeni amisto- szony banknot i cisnął 0.0 w strony pani Hait tak.
co odbił się o jej srodrio. zanim upadł na ziemię. Podniosła go.

— Zwraca mi pan to pieniądze przy świadkach? — powiedziała.

-- Właśnie — o<iparl. — Szkoda, że nie ma jeszcze więcej świadków, — Mówił teraz de Flema: — Więc
nio sprzedałem nikemu ani jednego muła. Siedem razy sto pięćdziesiąt to będzie tysiąc pięćdziesiąt...

— Dziewięćset — rzekł Flem.

— Tysiąc pięćdziesiąt — powiedział I. O-

— Jeżeli przyprowadzisz mi tego siódmego muła i pod jednym jeszcze warunkiem r/ekł Flem,

— Jaki to warunek? - sy^yUtl U O.

Wrócisz do Sadyby Francn \ dopoki ta > K!* nigdy nie będziesz prowadził zad- nvch \ntorosow w J ot
torsom

A ;0sh s;ę r.;o zgodzę? ■ spytał I, O.

D.asuu także sprzedałem hotel — po- wiednął Flem. Teraz już nawo; I. O. umilkł i tylko przyglądał się, gdy
Flem obrocony twarzą do ognia zaczął liczyć banknoty przeważnie pięcie- i jednodolarowo, z nie- wielką
domieszką dziesiątek. I. O, spróbował szosocia ostatni raz.

- Tysiąc pięćdziesiąt - - powiedział.

-• Jeżeli przyprowad. isz. mi siódmego muła — odparł Flem. Tak więc I. O. dostał tylko dziewięćset
dolarów, przeliczył je. wsunął do kieszeń,i w spodniach, zapiął kieszeń ru\ guzik i powiedział do pani Hait;

W porządku. A gdzie jest ten siódmy muł pana wiceprezesa?

- Uwiązany do drzewa w parowie za domem pana. Spilmera - odparła pani Hait.

• - Dalej go pani nio mogła wyprewa- dzic? — powiedział X. O. - - Dlaczego nie w Mottstown" Miałaby
pani jeszcze więcej przyjemności ze straty mojego e~asu i fatygi. - - Rozejrzał się w koło, znów rozjątrzony,
zgryźliwy, nie złamany w swoim uporze. — Urządziła się pani tutaj na dobre, co? Oboje moglibyście
zaoszczędzić pieniędzy, gdyby pan wiceprezes zatrzymał tę hipotekę* bo już przoeioz i tak nie ma dla niej .
ubezpieczenia. ^ pani gdyby nie odbudowywała wcale domu. No, dobranoc państwu. Jak tylko od-

najdę tego brakującego mularza i przyprowadzę go do zagrody, gdzie jest już sześć mularzy pana wiceprezesa., będę miał zaszczyt osobiście zgłosić się do jego rezydencji po sto pięćdziesiąt dolarów, bo regulowanie należności gotówką jest grzecznością królów, jak to mówią, a lepszy rydz niż nic, zwłaszcza dla kogoś, kto nawet nie ma już dachu nad głową i nie wie, gdzie głowę złożyć. A jeżeli pan adwokat Stevens ma przy sobie jakiś drobiazg, który by mógł przypaść do gustu panu wiceprezesowi, radziłbym panu adwokatowi, żeby uważał, bo nawet głupiec nie idzie dalej drogą, na której przez chwilę w jego oczach kogoś innego pies pokąsał. A więc raz jeszcze: dobranoc państwu. — Odszedł. Teraz z kolei Flem musiał dwukrotnie nagabywać wuja Gavina, nim ten go usłyszał.

— Co? — spytał wuj Gavin.

— Pytałem, ile jestem panu winien — rzekł Flem. Wuj Gavin, jak mi mówił, już otworzył usta, żeby powiedzieć: „Jednego dolara”, bo wtedy Flem zdziwiłby się: „Jednego dolara? Nic więcej?”, a wuj Gavin mógłby odpowiedzieć: „Tak, dolara albo ołówek czy scyzoryk, cokolwiek, żebym budząc się jutro rano wiedział, że to wszystko nie przyszło mi się w nocy”. Ale rozmyślił się i rzekł tylko:

— Nic. Moją klientką jest pani Hait.

T wówczas Flem znowu musiał dwa razy powtórzyć swoje słowa: — Co? — spytał wuj Gavin. Może mi pan przysłać rachunek.

— Za co?

— Za to, że był pan świadkiem — wyjaśnił Flem Snopes.

— Ach, tak — rzeki wuj Gavin. Flem Snopes zabierał się do odejścia i wuj Gavin oczekiwał, że go zapyta: „Czy pan też wraca już do miasta?” albo nawet zaproponuje: „Może pójdziemy razem?” Czy bodaj raz jeszcze powie: „Do widzenia”. Ale nie. Nic nic powiedział. Odwrócił się i poszedł sobie. Wtedy odezwała się pani Hait:

— Przysuń skrzynkę.

— Sama z siebie chciałam to zrobić, ale czekam, żeby się ta heca skończyła i żeby pani przysłała potrzymać patelnię — odparła stara Het. Więc pani Hait zbliżyła się z krzesłem i wzięła widelec do ręki, a tymczasem stara Het poszła do obórki, postawiła latarnię na ziemi, a skrzynię przyniosła w poblizsze ognisko. — Siadź sobie, kochany, i odpocznij — powiedziała do wuja Gavina.

— Niecli pani zajmie to miejsce — rzekł wuj Gavin — bo ja nasiedziałem się cały dzień. Pani nie. — Ale stara Het już zdążyła przysiąść na skrzyni, zanim wuj Gavin odrzucił zaproszenie, a nawet już o nim zapomniła wpatrzona w patelnię, na której tłuszcz jeszcze skwierczał, chociaż ją pani Hait zdjęła przed chwilą z ognia.

— Czy to pani wspominała coś o kawałku szynki, czy ja? — spytała. Więc pani Hait podzieliła szynkę, a wuj Gavin obserwował,

jak obie kobiety posilały się, pani Hait siedząc na krześle, z nowiuteńkim talerzem, nożem i widelcem w ręku, a stara Het przycupnięta na skrzyni, jedząc wprost z patelni, bo pani Hait najwidoczniej kupiła tylko po jednej sztuce każdego z gospodarskich przyborów; zjadły szynkę, chlebem wytarły tłuszcz wytopiony z niej przy smażeniu, a potem stara Het nalala z imbryka kawę do jednej filiżanki i do blaszanej puszki, którą skądś zdobyła na własny użytek, lecz w tym właśnie momencie stanął przed nimi I. O., cicho i zniecka wyłaniając się z ciemności (noc już czarna zapadła), i wyciągnął ręce do ognia, jak gdyby chciał się ogrzać.

— Myślę, że przyjmę tych dziesięć dolarów. od pani — rzekł.

— Jakie dziesięć dolarów? — spytała pani Hait. Wuj Gavin spodziewał się, że I. O. ryknie czy bodaj warknie, ale on stał dalej z rękoma wyciągniętymi w blask ogniska i gdy taki był cichy i spokojny, wydał się wujowi Gavinowi zziębnięty, mały, jakby żalony.

— Nie odda mi pani? — spytał wreszcie.

— Co mam oddać? — spytała pani Hait.

I. O. —• jak mówił wuj Gavin — nie oczekiwał chyba od niej odpowiedzi. Sterczał nad ogniskiem pograżony[^] w jakimś niemym, niedowierzającym zdumieniu.

— Od tylu. lat znoszę trudy, ryzyko, strach i zarabiam marne sześćdziesiąt dolarów[^] od łebka. A pani za jednym zamachem, bez fatygi i bez ryzyka, sprzedała Lonza Haita i pięć moich mułów⁷, które nigdy do niego nie należały, za osiem tysięcy pięćset dolarów. Pewnie, większa część tych pieniędzy przypadła pani za Lonza i tego nigdy pani nie zaprzeczałam. Nikt nie powie, że pani tego zaprzeczała, chociaż trochę to wypadło dziwnie, że pani wszystko dostała, nawet po sześćdziesiąt dolarów za pięć mułów, moją stałą cenę, bo przecież Lonzo nie u pani był zatrudniony, ale u mnie, pani nawet nie wiedziała, dokąd on poszedł, a już na pewno nie do pani należały te muły. Dostała pani połowę tych pieniędzy tylko za to, że pani kiedyś wyszła za Lonza. Przez tyle lat nigdy do pani faktycznie o te pieniądze nie miałem pretensji, a teraz pani odebrała mi jeszcze ostatniego muła i naraziła na stratę nie stu czterdziestu, ale całych stu pięćdziesięciu dolarów.

— Znalazł pan swojego muła i jeszcze panu mało! — powiedziała stara Het. — Czego pan właściwie chce?

— Sprawiedliwości — odparł I. O. — Tego chcę. Niczego więcej, tylko sprawiedliwości. Ostatni raz się upominam. Odda mi pani tę dziesiątkę?

— Jaką dziesiątkę? — odparła pani Hait. Wtedy odwrócił się od ognia. Potknął się

0 coś, jak mówił wuj Gavin, pewnie o torbę starej Het, ale złapał znów[†] rów'nou'agę

1 szedł dalej. Wuj Gavin widział, jak I. O. na chwilę zatrzymał się — stara Het i pani Hait już na niego wtedy nie patrzyły — między

dwoma szerniałymi kominami i podniósł ku niobu obie zaciśnięte pięści. Potem zniknął, tym razem już na dobre. Ale tylko wuj Gavin widział, jak odchodzi, bo pani Hait i stara Het ani spojrzwały w tę stronę.

— Kochana, coś ty zrobiła z tym mułem? — spytała stara Het. Wuj Gavin zauważył, że został już tylko jeden kawałek chleba. Pani Hait wzięła go i wytarła nim resztki tłuszczu z talerza.

— Zastrzeliłam go — wyjaśniła.

— Coo? — powiedziała stara Het. Pani Hait jadła ostatnią kromkę chleba. — No, tak — podjęła stara Het. — Muł spalił dom, więc go zastrzeliłaś. To się nazywa sprawiedliwość, a nawet lepiej. Wet za wet. — Noc już była czarna, starą Het czekała jeszcze wędrówka do przytułku, półtorej mili drogi, w dodatku z ciężką torbą. Zimowa noc trwa jednak długo, a przytułek, jak stwierdził wuj Gavin, nie zajac, nie ucieknie. Toteż stara Het rozsiadła się wygodnie na skrzynce i trzymając pustą patelnię w rękę westchnęła z głęboką, radosną ulgą: — No, moi państwo! To ci był dzionek!

I znów Ratliff oczywiście — jakby powiedział wuj Gavin — siedział w fotelu przeznaczonym dla klienta, w swojej czystej, spłowiałej niebieskiej koszuli, zawsze bez krawata, chociaż włożył kurtkę z imitacji skóry i miał z sobą ciężki czarny płaszcz nieprzemakalny, w rodzaju płaszczy policyjnych, zastępujący mu zimowe palto. Był poniedziałek, wuj Gavin rano wyjechał do New Market na zebranie inspektorów, bo tam znowu wynikły jakieś trudności w związku z budową kanału ściekowego; myślałem, że uprzedził o swoim wyjeździe Ratliffa, bo widzieli się poprzedniego popołudnia u wuja w domu.

— Może i wspomniał o tym — rzekł Ratliff — ale nic nie szkodzi. Nie mam żadnego specjalnego interesu. Tak sobie wstąpiłem, żeby pośmiać się tutaj w spokoju.

— Aha — powiedziałem. — Z muła pana

I. O. Snopesa, który spalił dom pani Hait. Zdawało mi się, że już obaj z wujem Gavi- nem naśmieliście się dosyć wczoraj.

— Masz rację — odpowiedział — bo jak człowiek zacznie się z tej historii śmiać, prędko dochodzi do wniosku, że właściwie nie ma w niej nic zabawnego. — Popatrzyl na mnie. — Kiedy twój wuj ma wrócić?

— Powinien już być lada chwila z powrotem.

— No, tak. Mniejsza z tym. — Ratliff znowu na mnie popatrzyl. — A więc o dwóch mniej, został już tylko jeden do załatwienia.

— Jeden? — spytałem. — Jeden jeszcze Snopes, którego Flem będzie musiał przepędzić z Jefferson, żeby został już tylko Flem, czy też...

— Tak — przerwał mi Ratliff. — Jeszcze jedna przeszkoda do przeskoczenia, taka jak zakład fotograficzny Montgomery'ego Warda

i muły I. O. Snopesa na torze kolejowym, i nie zostanie w Jefferson nic prócz Flema Snopesa. — Popatrzył na mnie. — Bo twój wuj nie rozumiał.

— Czego? — spytałem.

•— Chociaż to biło w oczy, kiedy Flem przyszedł tutaj tamtego ranka po rewizji, którą federalna policja przeprowadziła w zakładzie fotograficznym, i oddał twojemu wujowi klucz wykradziony z biura szeryfa, gdzie miał być przechowywany, odkąd twój wuj i Hub wykryli ten cały... no, te fotografie. Jasne to było jak słońce także tego sobotniego wieczora na pogorzelsku pani Hait, kiedy Flem zwrócił jej zapis hipoteczny i zapłacił krewniakowi za muły, ale twój wuj nic nie rozumiał. A ja nie mogę mu tego powiedzieć.

— Dlaczego nie może mu pan powiedzieć? — spytałem.

— Ponieważ by mi nie uwierzył. Są takie rzeczy, które człowiek sam musi zobaczyć. Trzeba, żeby się ich dowiedział od swojego własnego strachu. Od swojego przerażenia. Jak mu to powie ktoś inny, uwierzy tylko w połowie, chyba że mówią mu coś, co chciał usłyszeć. Ale w takim razie nawet nie słucha, bo z góry już się na wszystko zgadza i co najwyżej myśli, że jednak sprytny jest ten gość, który mu to opowiada. Ale jeżeli to jest coś, czego nie chcesz usłyszeć, czemu już z góry postanowiłeś przeczytać, czyś o tym wiedział, czy nie, bronisz się przed uwie-

rzeniem, opierasz się, a nawet może zły jesteś na łajdaka, który miesza się w nie swoje sprawy i próbuje ci oczy

otworzyć.

— Więc wuj Gavin nie chciał pana słuchać, bo nie chce uwierzyć, woli, żeby to nie była prawda. Tak?

— Tak — powiedział Ratliff. — Więc muszę czekać. Muszę czekać, aż sam dojdzie do tego, cięższą drogą, ale za to pewną, jedyną pewną drogą. Wtedy uwierzy, przynajmniej na tyle, żeby się przestraszyć.

— On się już boi — odparłem. — Boi się od dawna.

— To dobrze — powiedział Ratliff. — Trzeba, żeby się bał. Wszyscy powinniśmy się bać. Bo jak ktoś chce tylko pieniędzy dla samych pieniędzy albo nawet dla władzy, którą pieniądź daje, to się przed pewnymi rzeczami bądź co bądź cofnie, od pewnych rzeczy ostatecznie się powstrzyma. Ale jeżeli ktoś wypłynął na powierzchnię z takiej dziury, z jakiej on wypłynął, jeżeli ktoś zaraz, jak tylko się trochę odpał i przeliczył swoją forszę, zrobił odkrycie, że za pieniądze wszystko można kupić, czego mu się zechce, o czym mu się przyśni, jeżeli całe swoje życie i postępowanie do tego nagiął, wszystko, co mu przeszkadzało, deptał, nawet bez nienawiści do tych, których przy okazji stratował, bo wie, że nie mógłby u nich szukać ani też znaleźć litości, gdyby oni byli silniejsi, a on byłby przeszkodą na ich drodze; jeśli ten ktoś po tym wszystkim w dojrzałym wieku,

i pewnie już poniewczasie, odkrywa, że jedynej rzeczy, która by mogła naprawdę dać jakiś sens jego życiu czy choćby spokój na resztę dni, nie można kupić za pieniądze, że jej zdobycie wcale nie zależy od tego, czy na początku miał pieniądze, czy nie, czy potem zarobił więcej niż umie przeliczyć, a nawet więcej niż wymarzył, czy nie, czy je potem znów stracił, czy nie, bo tej jednej upragnionej rzeczy nic z tego nie może dotknąć ani zranić, ani umniejszyć, ani odmienić; jeśli odkrył teraz, gdy jest już za późno, że brak mu tego, co każde dziecko w dniu urodzenia darmo dostaje, ale czasem dorósłszy przekonuje się, często za późno, że ten dar zmarnowało, roztrwonilo.

— Co to takiego? — spytałem. — Czego on tak pragnie

— Ludzkiego szacunku — rzekł Ratliff.

— Szacunku?

— Tak — potwierdził Ratliff. — Dopóki człowiek pragnie tylko pieniędzy i władzy, jest zwykle taka granica, na której się zatrzyma, jest zwykle jedna przynajmniej rzecz, której dla samych pieniędzy nie zrobi. Ale kiedy odkryje, że pragnie ludzkiego szacunku i że to musi osiągnąć, nie ma takiej rzeczy, której by nie zrobił, byle to zdobyć i zachować. A jeżeli prawie za późno odkryje, czego naprawdę chce, jeżeli zrozumie, że nawet gdy tę upragnioną rzecz zdobędzie, nie może jej zamknąć pod klucz, usiąść na niej i odpoczywać, ale że będzie musiał stale

na nią dalej pracować, do ostatniego tchu

0 nią zabiegać — nie cofnie się już przed niczym, nikogo i niczego nie oszczędzi, choćby innym, co się znajdują w zasięgu jego ręki, miał zadać nie wiem jakie udreki, smutki

1 cierpienia.

— Szacunek ludzki — powiedziałem.

— Właśnie — rzekł Ratliff. — Już mu nie wystarcza być wiceprezesem banku. Musi zostać prezesem.

— Musi?

— I to wkrótce, nie zaryzykuje dłuższego oczekiwania, dłuższej zwłoki. Jest przecież ta dziewczyna, córka pani Snopes, Linda. Ona już wkrótce...

— Dwunastego kwietnia skończy dziewiętnaście lat — powiedziałem.

— Dziewiętnaście... Skąd ty właściwie wiesz, że się urodziła dwunastego kwietnia?

— Wuj Gavin mówił.

— No, tak... — ciągnął dalej Ratliff. — Tam na uniwersytecie, w Oxford, roi się od młodych chłopców. Nowe znajomości, interesujący młodzi mężczyźni, a nikt jej nie pilnuje prócz płatnej opiekunki w internacie, która nie ma żony z widokami na połowę połowy majątku wuja Billa Varnera, a przecież nawet na miejscu w Jefferson, na Akademii, niebezpieczeństwo było wielkie w zeszłym roku, zanim twój wuj czy twoja matka, czy jak to tam się stało, namówili Flema, żeby jej pozwolił opuścić Akademię i pojechać po Bożym Narodzeniu do Oxfordu,

gdzie Flem już nie może osobiście czuwać nad jej znajomościami i gdzie są nie tylko chłopcy od dawna znajomi, między którymi od dziecka rosła., synowie ludzi, którzy są mu winni pieniądze czy też przynajmniej mają krewnych u niego zadłużonych, więc będą mu pomagali, nie mówiąc już o tym, że tutaj mieszkała w jego domu, wystarczyło w nocy rękę wyciągnąć, żeby sprawdzić, choćby co godzinę, czy wszystko w porządku. Więc teraz już nie ośmieli się, nie zaryzykuje dłuższego czekania. Każdej chwili może dostać wiadomość, telegram albo telefon, że uciekła do najbliższego miasta, gdzie jest urząd stanu cywilnego i gdzie urzędnik, który nigdy o Flemie nie słyszał, da jej ślub bez wahania. A choćby nawet odnalazł ją w dziesięć minut potem i ściągnął...

— Ściągnął — powiedziałem.

— ...z powrotem do domu... Co?

— ściągnął. Pan powiedział: ściągnął.

Ratliff przyglądał mi się długo.

— Od dziesięciu lat — rzekł wreszcie — ile razy twój wuj przestanie gadać, przynajmniej na chwilę, żebym i ja mógł coś powiedzieć, a od pięciu lat przysłuchując się także tobie, kiedy gadasz, staram się nauczyć, staram się mówić prawidłowo. A jak się w końcu nauczyłem i poczułem trochę pewniejszy siebie, to kto jak kto, ale właśnie ty zaczynasz mnie poprawiać i namawiać, żebym z powrotem mówił tak, jak się już oduczyłem.

— Przepraszani — powiedziałem. — Ja nie dlatego, ale mnie się bardzo podoba, jak pan mówi po swojemu. „Pchła” brzmi znacznie ładniej niż „pchnęła”, a „ściągnął” dużo mocniej ciągnie niż „ściągnął”.

— I nie tylko ty — rzekł Ratliff — ale także twój wuj. Ile razy ja powiem „ściągnął”, on mówi „ściągnął”, ja „ściągnął”, on znowu „ściągnął” i tak w kółko, aż wreszcie powiada: „W wolnym kraju jak nasz mam prawo do twojego ściągnął zamiast mojego ściągnął, tak samo jak tobie w'olno używać mojego ściągnął zamiast twojego ściągnął”.

— No, dobrze. I co dalej? Nawet gdyby ją ściągnął z powrotem...

— Żeby ją ściągnął... ściągnął... Widzisz, wszystko mi pokręciłeś, że już sam nie wiem, jak wolę mówić.

— ...byłoby już po szkodzie — powiedziałem.

— Tak — rzekł Ratliff. — Nawet twój wuj Gavin to rozumie. Nawet taki szlachetny i subtelny człowiek jak on musi rozumieć, że byłoby już po szkodzie i że pani Snopes wtedy także opuściłaby Flema, i musiałby się pożegnać z jej częścią majątku wuja Billa. a co gorsza z pakietem jego akcji i głosem w radzie banku podczas wyborów prezesa. Toteż Flem musi dać swego mata teraz, nie zwlekając. Nie tylko musi zostać prezesem banku, żeby przynajmniej w ten sposób mieć w garści wuja Billa Yarnera, jako prezesa banku, w którym leżą jego pieniądze, ale

musi się spieszyć, żeby rozegrać partię, zanim przyjdzie wiadomość, że Linda wyszła za mąż, bo wtedy straciłby głos wuja Billa w radzie nadzorczej banku.

XVII. GAVIN STEVENS

reszcie zrozumieliśmy, dlaczego przeniósł swoje pieniądze. Miała to być przynęta. Nie chodziło mu o to, żeby znieść klientów do innego banku, do starego banku Jefferson, lecz o to, żeby ludzie z Jefferson i z całego okręgu Yoknapatawpha dowiedzieli się, że wycofał własne pieniądze z banku, w którym sam jest wiceprezesem, i ulokował je gdzie indziej.

Ale początkowo kierował się innymi pobudkami. Początkowo chciał po prostu ocalić swoje pieniądze. Wtedy jeszcze nie znał się na tych sprawach. Od tak niedawna miał do czynienia z bankami i tak skromną grał w stosunkach z nimi rolę, że nawet mu w głowie nie powstała myśl, że istnieje jakaś moralność w bankierstwie, jakaś niezbędna etyka, bez której upadłby nie tylko dany bank, ale nie mogłaby utrzymać się instytucja banków, cała ta forma społecznej działalności.

Miał o banku wyobrażenie mniej więcej takie, jak o tawernie z epoki elżbietańskiej czy też o karczmie z okresu, gdy amerykańscy pionierzy podbijali dziewicze tereny i człowiek zatrzymywał się tam przed zmrokiem, szukając ochrony od niebezpieczeństw pustkowia, znajdował posiłek, miejsce dla siebie i swego konia i jakieś takie łóżko; jeśli nazajutrz budząc się stwierdzał, że ukradziono mu sakiewkę lub konia, a nawet jeśli podejrzyto mu gardło — nie mógł mieć pretensji do nikogo, chyba do siebie, bo przecież nikt go nie zmuszał do podróżowania tym szlakiem ani do zatrzymania się w tym miejscu. Kiedy więc zrozumiał, że okoliczności, które mu umożliwiły zdobycie stanowiska wiceprezesa, były rezultatem kradzieży dokonanej w banku przez wyzutego z odwagi i wyobraźni jełopa, za jakiego miał swojego kuzyna Byrona, zdecydował się wycofać co prędzej własne pieniądze i był to odruch naturalny; podobnie podróżny, gdyby rozkul- bacząc konia na dziedzińcu gospody zobaczył wyrzucanego z okna pierwszego, piętra nagiego trupa z podejrzytym gardłem, osiodłałby z powrotem wierzchowca i nie tracąc czasu dosiadłby go, żeby ruszyć w dalszą drogę, poszukać lepszego schronienia lub też w najgorszym przypadku spędzić noc w łe- sie, gdzie ostatecznie, mimo strachu przed Indianami, niedźwiedziami i rozbójnikami, nie narażał się na większe niebezpieczeństwo niż w owej gospodzie.

A więc zrobił to po prostu, żeby ratować swoje pieniądze — pieniądze w ciężkim, zbyt ciężkim trudzie gromadzone, pieniądze, którym całe swoje życie poświęcił od dnia, gdy

jego ojciec — nie wiadomo już kiedy — opuścił nędzną dzierżawę — nie wiadomo, gdzie to było — i wydzierżawił inną nędzną farmę od starego Willa Varnera w Sadybie Francuza, farmę tak nędzną, że mógł ją wziąć tylko człowiek, który nie miał żadnych innych możliwości, a już na pewno nikt nie łudził się nadzieją, że z niej zdoła wyżyć; poświęcił dla pieniędzy wszystko od dnia, kiedy uświadomił sobie, że nie ma nic i że nigdy nie będzie miał nic, prócz tego, co własnymi siłami wydrze otaczającemu go światu i swojej epoce, i że jedyną bronią, którą może walczyć, są właśnie pieniądze.

O, tak, poświęcił im całe życie, wszystkie inne prawa, namiętności i nadzieje, składające się na pełnego człowieka i na ludzkie życie. Zapewne nigdy nie pragnął, nie mógł zakochać się i zdawał sobie z tego sprawy; cechy organiczne, wrodzone przesądzały o jego losie, nie pozwalając, by swoją niewinność i dziewictwo ofiarował niewinnej i dziewiczej pierw-szej miłości. A przecież był mężczyzną i miał do tego niezaprzeczone prawo, wolno mu było tego się spodziewać. Tymczasem przypadło mu w udziale fikcyjne ojcostwo nieprawego dziecka, urodzonego przez jego żonę dziecka innego mężczyzny, a żona nie odpłaciła mu nawet tkliwą wdzięcznością, nie mówiąc już o namiętnej miłości, bo do tej on sam nie był zdolny, i dała mu w zamian tylko swój posąg.

Zdobył pieniądze zbyt wielkim wysiłkiem, ofiarą całego życia, wiedząc przy tym od początku, że do ostatniego tchu nie będzie mógł ani na chwilę osłabnąć w czujności, jeśli chce już nawet nie powiększyć, lecz bodaj utrzymać swój skarb, zachować to, co ma, co do tej pory zdołał uciulać. A ciulał ze straszliwą zachłannością, grosz do grosza, i wcześniej już, może już od pierwszego momentu zrozumiał, że nigdy nie odkryje innego sposobu wzbogacenia się niż ten mrówczy, mozolny, niezmordowany trud, bo wiedział — i to było jego pierwsze w życiu upokorzenie — że nie ma wykształcenia, potrzebnego, żeby dotrzymać pola ludziom wykształconym, których musiał przechytrzyć, przejrzeć na wylot i ograbić, i że, co gorsza, nigdy wykształcenia nie zdobędzie, bo już jest na to za późno; los zrządził, że zaznał głodu pieniędzy wcześniej, niż miał sposobność sięgnąć po środki, które pomagają pieniądze zdobywać. A nawet wtedy, gdy trochę pieniędzy zgromadził, nie wiedział, gdzie je bezpiecznie przechować przez ten czas, gdy będzie zdobywał wykształcenie, które mu pomoże obronić majątek przed zakusami ludzi wykształconych, starających się z kolei jego okpić.

Upokorzenie, może też odrobina żalu — jeśli znalazł czas na takie uczucia — lecz nie rozpacz, bo ten człowiek, który nie miał nic prócz woli, potrzeb, bezwzględności i skrzętności, a także pewnych wrodzonych uzdolnień oddanych woli i potrzebom na usługi,

ten człowiek, któremu nikt nigdy w życiu nic nie dał i który od nikogo niczego nie mógł się spodziewać aż po kres swoich dni; człowiek, który nie był pewny, czy poradzi sobie z tym przeciwnikiem, czy wygra pojedynek z tym nieprzyjacielem — jakiego w jego pojęciu uosabiało wykształcenie — wiedział jednak, że żadne skrupuły ani wątpliwości nie odstraszą go od podjęcia próby.

A więc z początku myślał tylko o ratowaniu pieniędzy — za które zapłacił tak drogo, wszystkim, skoro poświęci! dla ich zdobycia całe życie — odbierając swój wkład z banku, który — jak udowodnił Byron Snopes — nie był miejscem całkowicie bezpiecznym. Otóż to. Bank był tak źle strzeżony, że wystarczyło takiego Byrona — a Flem przecież wiedział, co wart jest jego kuzyn — by go ograbić; mógł to zrobić jęlop, wyzuty z odwagi i tak w swym złodziejstwie pozbawiony wyobraźni, że nie dostrzegł nic poza ordynarną pokusą zwidzenia garści gotówki, kilku dolarowych banknotów, chwilowo nie zamkniętych w kasie pancерnej; facet — jakby powiedział Ratliff — niegodny nawet nosić nazwiska Snopesów, nie dość sprytny, by chwyciwszy cudze pieniądze znaleźć inny sposób niż ucieczka do Teksasu, dokąd wiał bez tchu, nie tracąc nawet chwili na przelicyzowanie zdobyczy; ten dureń ukradł właściwie niewiele ponad to, ile kosztował go bilet kolejowy.

Pamiętajmy: Flem nie tylko wiedział już wtedy, że bank można okraść — był przecież świadkiem, jak zrobił to jego kuzyn Byron — ale święcie wierzył, był najgłębiej przekonany, że kradzieże są na porządku dziennym, że do normalnej działalności banków należą stałe zamaskowane malwersacje, a fama wypłacalności jest nietykalnym złudzeniem, podobnie jak dobra sława kobiety,

o której wszyscy wiedzą, że się źle prowadzi, ale której reputacji nikt nie śmie tknąć ani naruszyć, ponieważ wiadomo (a może nawet dowiedziono przykładem), że wszyscy związani z tą panią mężczyźni porwaliby się jak jeden mąż nawet nie po to, by zaprzeczyć zniewagom, lecz by ukarać dosłownie kulą z pistoletu najlżejszy bodaj cień rzucony na jej imię. Flem był o tym przeświadczony, bo w jego pojęciu malwersacje stanowiły jedyną rację bytu banków, dla żadnego innego powodu nikt nie zdobyłby się na trudy

1 koszty zakładania i prowadzenia takiej instytucji.

Musiał to robić także pułkownik Sartoris — jakimi sposobami, tego jeszcze Flem nie wiedział, był naiwny, ale czas miał go pouczyć — gdy przyjdzie do w' banku, i będzie to robił z pewnością także Manfred de Spain, póki utrzyma się na swoim stanowisku. Oczywiście zachowując formy i pozory, jak to było, jest i powinno być w zwyczaju bankierów; nie kradną jak smarkacz, co łapie z kontuaru garść orzechów, korzy

stając z roztargnienia kupca, nie postępują jak kuzyn Byron. Z zachowaniem pozorów, z zimną krwią, a co najważniejsze sprytnie, inteligentnie, tak sprytnie i cicho, że nawet osoby bezpośrednio poszkodowane odkryją kradzież dopiero po śmierci sprawcy, który już wtedy będzie bezpieczny. A może nawet i wtedy nic się nie wyda, bo spadkobierca defraudanta przejmie odpowiedzialność za nie ujawnioną katastrofę, jako nieodłączną część schedy. Bo — powtarzam — czyż mógł być inny cel zakładania banku, organizowania go z takim trudem, żeby w nim zająć stanowisko prezesa, jak to zrobił pułkownik Sartoris. Po cóż by ktoś zabiegał o zgromadzenie w swoim ręku ilości udziałów, zapewniającej przewagę w głosowaniu, po cóż by kalkulował, nawiązywał sojusze, szedł na ustępstwa i przetargi (a nawet sięgał do własnej kieszeni, bo przecież Ratliff twierdził, że de Spain, żeby pokryć kradzież dokonaną przez Byrona, pożyczył prywatnie pieniądze od Willa Varnera na weksel), byle zostać prezesem po śmierci pułkownika, jak zrobił Manfred de Spain. De Spain pewnie okaże się jeszcze sprytniejszy od pułkownika, musi przecież znaleźć sposób, żeby ukryć machinacje poprzedniego prezesa, zanim sam będzie mógł się w banku obłowić.

Nie wiedział — powtarzam — jak pułkownik Sartoris to robił i jak się z kolei weźmie do tego de Spain; jak pułkownik potrafił! przez dwanaście lat okradać bank i mimo to umrzeć i zejść do grobu w glorii nieskazitlanej uczciwości; jak będzie to teraz zai. itw lal de Spain, by w swoim czasie (kiedykolwiek to nastąpi) opuścić stanowisko z nieposzlakowaną reputacją, a w dodatku zostawił nadal niezachwianą fikcję pozornej wypłacalności banku. Nie wiedział, przynajmniej jeszcze wtedy nie wiedział. I może właśnie wówczas po raz pierwszy poznał smak upokorzenia: że nie wie, że nigdy nie miał okazji nauczyć się prawideł i metod tej ryzykownej gry, w której zaangażował całe swoje życie. Los dał mu straszliwy apetyt i wolę, i bezwzględność, a nawet okazję zaspokojenia głodu, ale nie dał mu nigdy szansy nauczania się, jak posługiwać się tymi darami.

Nie umiał więc zrobić nic mądrzejszego, tylko wycofał swoje pieniądze z banku, w którym był zaledwie wiceprezesem — stanowisko za niskie, by mógł sam jednym zamachem zgarnąć dość pieniędzy na wyjazd do kraju, gdzie go nie osiągnęłoby prawo ekstradycji, i na dostatnie życie aż do śmierci; za niskie nawet, by mógł się obronić od zamachu następnego Byrona Snopesa, który nieuchronnie musiał się zjawić przy biurku księgowego, a już tym bardziej od machinacji wielkiego dziedzicznego rabusia, zajmującego najwyższy szczebel hierarchii.

Ale gdzie ulokować pieniądze? Gdyby je mógł podjąć ze swojego banku w najściślejszej tajemnicy, tak by nikt o tym nie wiedział, zaryzykowałby ukrycie skarbu w do

mu lub zakopanie n:i podwórku. AU- nie sposób zachować sekretu, jeśli nie kto inny, U> księgowy, zapisujący wypłatę, stałby się dla niego niebezpieczny. A ǳydyby rozeszła się wiadomość, że wycofał pieniądze z banku w gotówce, musiałby drzeć jak przed wrogami przed wszystkimi krewnymi i znajomymi z całego okręgu, dopóki by nie zdołał im niezbitcie udowodnić, że pieniądze znajdują siii,' gdzie indziej; dopóki by nie wiedzieli, gdzie sa naprawdę złożone.

Nie miał innego wyjścia, musiał pieniądze złożyć w innym banku i lo manifestacyjnie. Oczywiście najpierw pomyślał, że trzeba wybrać bank najlepszy, najpewniejszy: na przykład wielki bank w Memphis. Wtedy przyszedł mu do głowy nowy argument: w wielkim banku jego skromny (stosunkowo) grosz wdowi będzie tym bezpieczniejszy, że tak znikomy; ale ponieważ wierzył, że pieniądze, dolary w monetach czy banknotach, żyją jakimś własnym przyrodzonym i zbiorowym życiem, więc jego sumka będzie rozmnażać się po prostu pasożytniczym sposobem osmozy, jak komórki pijawki, wola czy też raka.

A nawet, gdy na tę myśl niezwłocznie odpowiedział sobie: „Nie. To na nic. Miejsce, gdzie będą zdeponowani' pieniądze, musi być wiadome, niewątpliwe i ściśle określone. Wszyscy w Jefferson i w Yoknapatawplia muszą wiedzieć na mocy niezbitych dowodów, że pieniądze te są i pozostaną w tym mieście, w tym okręgu. Inaczej nie śmiałybym

wyjsć z domu choćby na pocztę, bo sąsied/i i współobywateli' zaraz, skorzystaliby z mojej nieobecności, żeby wejść przez kuchenne okno i poszukać nabitej pieniędzmi pończochy pod materacem lub w pliszce od kawy w piekarniku” - - nawet wtedy nie rozumiał jeszcze, jakie powody naprawdę skłoniły go do odebrania pieniędzy z banku. I nawet gdy pomyślał, że przenosząc je do drugiego banku w Jefferson wpada po prostu z deszczu pod rynnę, bo wyda swój majątek w ręce jakiegoś innego Byrona Snopesa, urzędującego w tym innym banku, nie mówiąc już

o tamtejszym pułkowniku Sartorisie czy Manfredzie de Spain, odrzucił tę myśl, przypominając sobie, że bank Jefferson jest starszy, przez sto lat od roku 1830 zdążył się przystosować do naturalnego i normalnego złodziejstwa swoich kierowników i urzędników, skoro kradzież stanowi jedyną rację bytu wszystkich banków, a więc nieprzerwane, długotrwałe istnienie jest pewną gwarancją, nie zmienione od wieku mury zapewniają bezpieczeństwo, tak sarno jak surowy gmach starego kościoła zawiera w swych ścianach świętość, promieniuje świętością, narzuca respekt dla niej, mimo wszelkich ludzkich słabości i występków proboszcza, zakrystiana i członków chóru; lecz nawet wtedy, gdy sobie to powiedział, nie dostrzegł jeszcze olśniewającej perspektywy, złożonej nie tylko z nieskazitelnej reputacji, lecz także z osobistego tryumfu i odwetu, z perspek

r

tywy, którą sobie otworzył decydując się wycofać pierwszego dolara z banku.

Był zanadto zajęty, zaślepiła go krzątanina około własnych interesów. Musiał nie tylko przenieść pieniądze z jednego banku do drugiego, lecz także postarać się, żeby wszyscy w mieście i okolicy o tym się dowiedzieli, bo przecież wciąż był święcie przekonany, że każdy człowiek w okręgu zareaguje na wiadomość o wycofaniu przez niego wkładu z banku Sartorisa w ten sam sposób: postanowi dobrać się do nich i ukraść je przy pierwszej okazji, gdy właściciel choćby na chwilę spuści je z oka; musiał więc postarać się, by wszyscy w okręgu wiedzieli nie tylko o tym, że wycofał gotówkę z banku, lecz również o tym, że ją co do centa wpłacił do innego.

Zapewne w kilka dni później, gdy pieniądze były już znów bezpieczne czy przynajmniej unieszkodliwione, w każdym razie chwilowo, rozegrała się ta scenka, którą lubię sobie wyobrażać: człowiek w roboczym kombinezonie, bez krawata, jeszcze wciąż niewolnik, nieodwołalnie uwiązany cienką pepowiną nędznego bytu — której przerwanie oznaczałoby dla niego śmierć w sensie finansowym — do marnej wydzierżawionej farmy, człowiek, jeszcze nie wyzwolony, tak jak zdołał się wyzwolić Flem Snopes; człowiek, który prawdopodobnie nigdy nie miał się z tych pęt oswobodzić i dlatego śledził uważnie karierę Snopesa, rozpoczętą na równie niskim szczeblu, w kombinezonie roboczym, w pracy dla nieustępliwego właściciela ziemskiego, a dziś już imponującą tytułem wiceprezesa banku, białą koszulą i krawatem; człowiek, który śledził tę karierę nie z podziwem, ale po prostu z zazdrością i respektem (a także niewątpliwie z nienawiścią), zatrzymał Snopesa pewnego dnia na ulicy i zwracając się do niego per pan, uniżenie i służalczo, przez cześć dla białej koszuli i krawata, chociaż jednocześnie ich nienawidził, ponieważ sam ich nie nosił, powiedział:

— Pewnie to bajki, ale ludzie gadają, że pan odebrał swoje pieniądze z banku.

■— Odebrałem — rzekł Snopes — i złożyłem w banku Jefferson.

■— Zabrał je pan z banku, gdzie pan sam jest wiceprezesem?

— Tak — odparł Snopes. — I złożyłem w banku Jefferson.

— Znaczy się, tamten nie jest pewny? — Na to Snopes, który żadnemu bankowi nie ufał, musiał się roześmiać; dla niego każdy bank był kępą zarośli na skraju dziewiczych lasów, za skleconą z bali drzewnych jednoizbową chatką na pograniczu, kępą zarośli, którą pionier musiał uważać za swoją wygodkę, ponieważ nie miał lepszej; cały kraj dokoła, ciemne puszcze — włącznie z owymi zaroślami — roły się od Indian i rozbójników nie mówiąc już o niedźwiedziach, wilkach i węzach. Oczywiście, że nie było to miejsce

bezpieczne. Ale musiał z niego korzystać. Tak, nawet wtedy Snopesowi jeszcze nie objawiła się ta wizja, ta perspektywa zawierająca prawdziwy powód przeniesienia pieniędzy z jednego banku do drugiego. — Znaczy się, radzi pan, żebym także stamtąd odebrał pieniądze?

— Nie — odpowiedział Snopes. — Ja tylko wycofałem swój wkład.

— Z banku, w którym pan jest wiceprezesem?

— Tak — potwierdził Snopes. — Z banku, w którym jestem wiceprezesem.

— Rozumiem — rzekł farmer. — No, dziękuję panu.

Wtedy po raz pierwszy coś zaświtało w głowie Snopesa, który w cztery lata później, uniesiony zazdrosnym i dumnym poczuciem obywatelskim, miał wypędzić, wyświecić z miasta własnego kuzyna, gdy ten urządził w swoim atelier płatne pokazy pornograficznych fotografii, przywiezionych z Europy; Flem Snopes nie zawahał się wówczas podrzucić w lokalu fotografa kilku baniek nielegalnie pędzonego alkoholu i zawiadomić o tym federalnych kontrolerów; to samo zazdrosne poczucie obywatelskiej godności i dumy kazało mu w sześć lat później usunąć i wyświecić z miasta drugiego (ostatniego już) kompromitującego członka rodowego szczepu, kuzyna, który do rangi zawodu podniósł prosty proceder, polegający na uwiązywaniu mułów pośrodku szyn kolejowych na dobrze obranym zakręcie toru., gdzie maszynista lokomotywy nie mógł w porę dostrzec żywej przeszkody. Flem załatwił tę sprawę wykupując po żądanej wysokiej cenie resztę mułów od kuzyna, lecz pod warunkiem, że ten nigdy więcej nie pokaże się w Jefferson.

Zazdrosne poczucie obywatelskiej godności i duma obudziły się w nim w tej samej chwili, gdy zrozumiał, że ratując własne pieniądze od kradzieży i rabunku, może jednocześnie, za jednym zamachem, usunąć i wyświecić z obranej przez niego społeczności najgorszego z grzeszników, potępieńca nad potępieńcami, upadłego archanioła, człowieka, który urągał cnocie i moralności, bo jak na drwinę był niegdyś burmistrzem miasta, a teraz prezesem jednego z dwóch banków i członkiem rady kościoła episkopalnego, chociaż nie zadowalał się normalnym i naturalnym odwiedzaniem w sobotnie wieczory burdeli ani też przelotnymi miłośkami — co miasto wybaczyłoby mu łatwo, jako ludzką, zrozumiałą, jakkolwiek naganną słabość — lecz ustanowił gorszący wzór moralności wiarołomstwa, chełpliwie popisując się małżeńską niejako cnotą w romansie z cudzą żoną, opartym na nieskazitelnej wierności i trwającym bezwstydnie i bez przeszkód od dwunastu już lat, od dnia, gdy zdradzany mąż w swej naiwności przywiózł żonę do miasta. I mógłby ten romans trwać dalszych dwanaście lat, gdyby mąż nie zna

laż sposobu, żeby mu położyć kres, a nawet dwa razy po dwanaście lat, gdyby skrzywdzony małżonek czekał cierpliwie, aż społeczeństwo Jefferson wreszcie rozprawi się z grzesznikiem.

Ta obywatelska cnota, jak każda cnota, nie miała pozostać bez nagrody. Flem w tym samym oślniewającym przebłytku ujrzał także możliwość zemsty i odwetu, jak gdyby nie tylko cnota kochała się w sobie, lecz jakby Bóg także ją kochał i odstępował jej swój przywilej, zazwyczaj zazdrośnie strzeżony i wyłącznie Bogu przysługujący: prawo małżonka do zemsty i odwetu na człowieku, który nie tylko pogwałcił, lecz także zhańbił jego gniazdo, to gniazdo rodzinne, budowane w dobrej wierze jako schron dla kobiety już nieodwracalnie zbrukanej i zgubionej w oczach świata (bo Sadyba Francuza wtedy była dla Flema całym światem), budowane też dla bękarta pod osłoną nazwiska jej prawowitego małżonka. Oczywiście, zapłacono Flemowi za to. Ściślej mówiąc, dostał za to posag Euli: plantację na niemal niedostępnym, wyjałowionym kawałku ziemi, zarośnięty chwastem zniszczony park, ruiny domu z kolumnami w stylu kolonialnym (roz- grabionego przez sąsiadów, deska po desce, na opał); posiadłość tak mało wartą, że Will¹ Varner chętnie ją oddał za darmo, bo nawet tak bezlitosny stary pirat jak on nie zdołał w ciągu ćwierćwiecza wycisnąć z niej choćby centa zysku; tak nie niewartą, że na

wet Snopes musiał uciec się do odwiecznego, wyświechtanego podstępny — przynęty zakopanych skarbów — żeby sprzedać ten kawałek ziemi Henry'emu Armstidowi i V. K. Ratliffowi, a przecież przynajmniej jeden z tych dwóch ludzi — V. K. Ratliff — powinien był okazać się mądrzejszy i właśnie dlatego Flem Snopes nie miał dla niego litości.

W zamian więc za ten bezwartościowy posag (bezwartościowy sam w sobie, bo jeśli Flem na nim coś zyskał, to jedynie dzięki własnemu sprytowi) wziął na swoje barki brzemię nie tylko moralnego upadku i wstydu swojej żony, lecz także bezimiennego dziecka, obdarzając je nazwiskiem. Nazwiskiem może niezbyt świetnym, bo podobnie jak resztówka plantacji Starego Francuza nie miało innej wartości prócz tej, którą Flem mu nadał własnym wysiłkiem. Ale nie miał lepszego, a postąpiłby tak samo, gdyby nawet nazywał się Varner (czy wręcz Sartoris, de Spain, Compson, Grenier, Habersham albo McCaslin, jak brzmiały najdawniej i najjaśniej błyszczące w kronikach Yokna- patawpha nazwiska).

Bądź co bądź dał dziecku nazwisko i wywiózł matkę daleko od widowni, sceny i środowiska jej upadku, osiedlił się z nią na nowym miejscu, gdzie przynajmniej nikt nie mógł powiedzieć: „Widziałem”, lecz w najgorszym razie mówił: „Słyszałem takie pogłoski”. Nie spodziewał się od niej wdzięczności, tak samo jak nie oczekiwał wdzięczno

ści od starego Willa Varnera, który — we własnym przeświadczeniu — dostatecznie mu zapłacił. Ale oczekiwał, że jego żona okaże zwykły rozsądek i dyskrecję, pouczona przykrym doświadczeniem. Nie liczył na wdzięczność, ale po prostu myślał, że Eula we własnym interesie będzie ostrożna. Ratując kogoś z płomieni człowiek może nie żądać wdzięczności, ale ma prawo liczyć, że ten ocalony będzie się odtąd wystrzegał ognia.

Ale nie o to chodzi, by rozstrzygać, czy kobiety są równie niezdolne do rozsądku, jak do wdzięczności. Może kobiety są właśnie zdolne tylko do wdzięczności i do niczego poza nią. Ale ponieważ przeszłość nie istnieje dla nich podobnie jak moralność, cóż ma je nauczyć rozsądku w późniejszym postępowaniu i wdzięczności dla tych, którzy je niegdyś wyratowali? Wdzięczność kobiet ma te same właściwości co elektryczność, ażeby istniała, musi być wytworzona, przekazana i odebrana w tej samej chwili.

Tak się da wyrazić po prostu to, o czym pierwszy lepszy człowiek, każdy mężczyzna, którego los — fatalność, wyrok przeznaczenia czy jak kto zechce to nazwać — doprowadził w końcu do małżeństwa, od dawna wie, wcześniej dowiedział się w sposób bolesny: jego ognisko domowe zostało pogwałcone nie dlatego, że jego żona jest niewdzięczna albo szalona, lecz dlatego, że jest kobietą. Nie sprowadził jej z drogi cnoty niepoprawny stary kawaler, błyskotliwy i zdobywczy

Manfred de Spain, tak samo jak nie uwiódł jej w latach dziewczęcych równie świetny chłopiec — młodziwiec — McCarron — w tamtych czasach dziewictwa, o których, jak myślał jej mąż, dawno zapomniała. Sama siebie uwiódła, a raczej uwiódła ją nimfomania, lecz nie zachcianka macicy, gorączkowa pałaca potrzeba, niezdolność i nie dająca się inaczej zaspokoić, jak u kłaczki, kozy czy maciory grzejącej się w godowej porze, lecz nimfomania gruczołu, niemożliwa do nasycenia inaczej niż przez stwarzanie takich sytuacji, w których ktoś gotów jest przyjąć wdzięczność i odwzajemnić ją.

Ale to nie usprawiedliwia Manfreda de Spain. Snopes nie oczekiwał po Manfredzie de Spain tak surowych moralnych zasad, by go powstrzymały od uwodzenia cudzej żony. Ale oczekiwał, że pohamuje go rozsądek, Manfred nie był przecież kobietą. Powinien by mieć dość rozsądku w tym przypadku, żeby przewidzieć przyszłość i nie uwodzić tej właśnie cudzej żony. Ale nie przewidział. Co gorsza, próbował Snopesowi dać odszkodowanie za ten przywilej, który sobie uzurpował gwałcąc i kalając jego domowe ognisko; pod wpływem nikczemnego strachu usiłował mu zapłacić nikczemną drobną monetą za to, co uznał za swoje droit de seigneur, norma] ne i naturalne prawo de Spaina wobec Snopesa. Prawda, że Will Varner zapłacił mu za poślubienie swej skompromitowanej córki, ale to była inna sprawa. Stary Will nawet

nic próbował ukryć, i tym bardziej zatrzeć wstydu swojej córki. Już to samo, że jako zapłatę ofiarował zrujnowaną, nic niewarta posiadłość, z której nawet on przez ćwierć stulecia nie zdołał nic wycisnąć, już to samo świadczyło, jak mało cenił honor Euli; a jeśli chodzi o zmycie plamy z nazwiska, stary Varner zrobiłby to własną ręką, uzbrojoną w pistolet, albo też ręką tego troglodyty, swego syna Jody'ego, gdyby mógł przyłapać McCarrona. Stary Will po prostu i otwarcie zaproponował cenę, w jego mniemaniu rzetelną, byle pozbyć się z domu córki, która już raz zakłóciła spokój jego ogniska i która miała zapewne nie raz jeszcze sprawić mu kłopot

To co innego, lecz de Spain usiłował tchórzliwie targować się i skąpić, wykorzystując stanowisko burmistrza, by ofiarować marną pensję dyrektora elektrowni wraz z przywiązaną do niej szansą drobnych kradzieży, w ten sposób nie tylko płacąc za zaspokojenie swoich żądz, ale także za uratowanie własnej reputacji, próbując jednocześnie kupić prawo do łóżka żony i zabezpieczyć własne imię przed mężem, właścicielem obojga, i za to wszystko dał mu przywilej sprzeniewierzenia garści miedzianych odpadków, które Snopes przywłaszczył sobie nie dla nędznego zysku, jaki mógł z tego wyciągnąć, lecz żeby się przekonać, jak głęboko w swym nikczemnym strachu gotów jest poniżyć się de Spain.

Przekonał się, obaj się przekonali. Nie było hańbą dla Snopesa ani chlubą dla de Spaina, że gdy nadszedł w aferze z miedzią moment krytyczny i groziła mu zguba, de Spain znalazł sojusznika w swoim oskarżycielu. Oskarżyciel, przysięgły urzędnik miasta, człowiek, który aż do tego momentu wierzył, że nigdy nie złamie przysięgi, okazał się także podległy tej samej namiętności (niezdolny do niej, ale jej podległy), która ściągnęła tę katastrofę i mogła ściągnąć na de Spaina ruinę i zgubę. Przysięgły, zobowiązany wobec miasta oskarżyciel przekonał się, że dla niego też niebezpieczne jest powietrze tego miasta, tylko dlatego, że oddychała nim ona, ona się w nim poruszała, że ono ją otaczało i raniło; oskarżyciel, rzecznik obywatelskiego ducha społeczeństwa, został porażony i powalony przez ten sam piorun odwiecznej namiętności i odwiecznej udreki. Ale że on zaznał tylko cierpienia, nawet nie bólu straty, nawet nie ruiny, która by zakończyła jego mękę. Nic prócz goryczy, że nie był godny wielkiej namiętności, a tylko jej podległy, że nawet nie było mu dane dotknąć ręki tej kobiety.

Tak oto de Spain bezczelnie wyszedł z tego cało, przypisując własnej odwadze to, co zawdzięczał jedynie szczęściu. I jakby nie dość było tej bezczelności, tego bezwstydu, gdy pułkownik Sartoris umarł na serce w wyścigowym samochodzie swego wnuka (można by prawie pomyśleć, że to de Spain przekupił maszynę i spowodował wypadek),

gdy zwołniało się w banku stanowisko prezesa, de Spain natychmiast, nie prosił nawet, nie proponował, ale ze swoim piekielnym tupetem, z tą swoją arogancją, uznał, jakby to się samo przez się rozumiało, że Snopes wręcz pali się, żeby nie tylko na nowo przytknąć oczy na zdradę żony, ale publicznie rozgłosić swoją hańbę rogacza, swoje współnictwo z gwałcicielem, a nawet wobec całego miasta potwierdzić cudzołóstwo własnej żony: jeszcze sypały się grudy ziemi na trumnę Sartorisa, gdy już de Spain wystąpił, w duchu zacierając ręce, i powiedział: „A więc zaczynajmy. Ten pakiecik akcji, który masz w zanadru, oczywiście przyda nam się teraz. Ale potrzebujemy ich więcej. Skoczysz jutro do Sadyby Francuza — a może dziś wieczorem, im prędzej, tym lepiej — i naciśniesz wuja Willa, nim kto inny dobierze się do niego”. A może nawet powiedział bez ogródek: „Twój krewniak — kuzyn — zniszczył ten bank zrywając ogniwo — mniejsze czy większe, to nie gra roli — w łańcuchu ubezpieczającym jego finansową nieskazitelność. Tu chodzi nie tylko o wartość akcji, które masz w portfelu, ale także o twoją gotówkę, o dolary i centy, uciulane w pocie czoła, złożone w naszym banku, o pieniądze, które do wczoraj wieczorem mogłeś na każde żądanie odebrać, które należały do ciebie. Nie ma innego sposobu naprawienia łańcucha niż przez zwrot brakującego ogniwa, które ukradł twój kuzyn, przez zwrot aż do ostatniego centa. Ja to zrobię, ale w zamian muszę zostać prezesem banku. Każdy, kto by zwrócił te pieniądze, żądałby za to sftmowiska prezesa, tak samo jak każdy, kto by chciał zostać prezesem, musiałby najpierw zwrócić tę sumę. Wybielaj! Zatrzymasz swoje akcje, akcje zachowają wartość, nie stracisz swojego depozytu dzięki prezesowi, na którym, jak dobrze wiesz, możesz polegać, albo też zaryzykuj, pozwól, żeby prezesurę wziął ktoś, kogo wartość twoich akcji i bezpieczeństwo twojego depozytu nie obchodzi bardziej niż obchodziło kuzyna Byrona”.

Więc usłuchał. Nie miał wyboru. Bo przecież był naiwny czy też, jak kto woli, był ignorantem. Oczywiście już się nauczył wszystkiego, czego zdołał sam się nauczyć o sprawach bankowych, skoro musiał mieć do czynienia z bankami lub z podobną instytucją, gdzie można przechowywać pieniądze. Dotychczas jednak nie miał innej możliwości niż stojąc w kolejce przed okienkiem podpatrywać przez barykadę drucianej siatki oddzielającej pieniądze i metody postępowania z nimi od ludzi, do których należały, którzy je tutaj przynieśli opierając się na prostym zaufaniu człowieka do człowieka, ponieważ aż prócz tej szansy bezpodstawnej ufności mieli tylko jedną możliwość: kruchą puszkę od kawy zakopaną pod krzakiem na podwórku.

Posłuchał nie tylko dlatego, że chciał ura

tować swoje pieniądze. Jadąc do Sadyby Francuza, by wyjednać, przysługujący Willowi Varnerowi jako posiadaczowi pakietu akcji, głos dla Manfreda de %pain, nie tylko potwierdzał, że ta prosta, bezpodstawna, niczym nie gwarantowana i niemożliwa do zagwarantowania ufność człowieka do człowieka jest mimo wszystko słuszna, lecz także bronił jej trwałości; musiała przetrwać, skoro siła narodu opiera się na pomyślności ekonomicznej, a pomyślność ekonomiczna zależy od rzetelności banków i nietykalności każdego złożonego w nich dolara, do kogokolwiek by ten dolar należał, a rzetelność i nietykalność zawisła w gruncie rzeczy od tego, czy ludzie będą zdolni ufać człowiekowi i czy ten człowiek będzie godny zaufania; poświęcając nietykalność swojego rodzinnego ogniska dobrobytowi miasta Snopes składał cnotę swojej żony na ołtarzu ludzkości.

I to za jakże wygórowaną cenę! Nie tylko upokarzał swoją dumę, lecz całkowicie ją odrzucał jadąc tam i usiłując przekonać, a może nawet uprosić, przebłagać tego starego pirata w jego obskurnym sklepie na Rozdrożu Varnera, a, tę chudą tykę, tego choleryka, tego aroganckiego starego zbója, którego groźna żona nie tyle była nabożna, ile rządziła miejscowym kościołem swego wyznania z zimnym despotyzmem więziennego dozorczy, tego tyrańca, który trzymał nałożnice Mulatki (Ratliff twierdził, że stary Varner miał ich trzy, pierwsze czarne kobiety osia

dłe w tym okręgu i przez długi czas jedyne przedstawicielki czarnych, jakim pozwolił tam mieszkać; miał z nimi wnuki, i to drugie pokolenie wracało do pierwotnej czarnej barwy skóry, a do wad swojej rasy dołączyło jeszcze najgorsze cechy charakteru, które biały Varner zaszczerpił ich babkom, spłodzonym przez niewiadomych czy może przez kilku ojców). Will Varner nie był, broń Boże, niemoralny, ponieważ przestrzegał własnej, surowej i prostej moralności, a polegała ona na przekonaniu, że wszystko, cokolwiek postanowił zrobić Will Varner, jest sprawiedliwe, każdy zaś, kto mu zechce zagrozić drogę, zje diabła.

A jednak Snopes pojechał pertraktować ze starym człowiekiem, który nim pogardzał za to, że zgodził się wziąć zhańbioną dziewczynę za żonę i nie zażądał większej za to zapłaty niż Sadyba Francuza, nic w oczach Willa Varnera niewarta; który się go także bał, ponieważ Snopes okazał się dość chytry, by dokonać tego, co nie udało się starym Varnerowi przez dwadzieścia pięć lat; bał się tej jego chytryści i wszystkiego, czym ona mogła grozić, i nienawidził Snopesa za to, że musiał go się bać.

I załatwił sprawę, przekonał starego czy może zbalamucił albo wymusił zgodę. Nawet Ratliff, chociaż jego sława w Yoknapatawpha i dobre imię wymagały, żeby na wszystko zawsze miał gotową odpowiedź, nie umiał tego wytłumaczyć, nawet Ratliff wiedział

tylko to, co my wszyscy, a mianowicie, że pewnego dnia rozeszła się wiadomość o zawiązanej koalicji de Spain — Varner — Snopes; następnego dnia de Spain własną ręką, osobiście wyrównał szkodę wyrządzoną przez Byrona, wpłacając taką samą sumę, jaką Byron wywiózł do Teksasu; trzeciego zaś dnia udziałowcy wybrali de Spain na prezesa banku, a Flema Snopesa na wiceprezesa.

To było wszystko. Bo Snopes jeszcze trwał w naiwności. Nie w ignorancji. Jeśli nie znał sekretów pracy banków, to nie przez ignorancję, lecz dlatego, że po prostu nie miał jeszcze okazji i czasu, by się z nimi zapoznać. Na razie czuł tylko potrzebę, rozpaczliwą konieczność ratowania całego banku po to, by zabezpieczyć spoczywający w nim własny depozyt, dopóki nie będzie mógł swoich pieniędzy odebrać i złożyć bezpiecznie gdzie indziej. A teraz, gdy się znalazł wśród uprzywilejowanych, gdy był wiceprezesem, przed którym nie mogły być już zatajane najbardziej nawet poufne sekrety i rozgałżenie maszyny bankowej, i nie tylko jej groza, jej niebezpieczeństwa, lecz także jej złote obietnice — teraz miał mniej czasu niż kiedykolwiek. Doprawdy, ledwie mu starczyło czasu na wykrycie, jak łatwo i po prostu można okraść bank, skoro mógł to zrobić bezkarnie tak wyzuty z odwagi i wyobraźni dureń, jak kuzyn Byron, który zapewne nawet nie wyobrażał sobie większej sumy niż tysiąc, dwa tysiące dolarów. Ledwie miał czas, żeby odebrać swoje pieniądze, zanim inni pracownicy włącznie z murzyńskim portierem, który co rano zamiatął podłogę, dojdą do wniosku, że skandal i alarm ucichły już dostatecznie (albo po prostu, że nagromadziło się znów dość drobnej gotówki, by warto było pokusić się o nią) i że można zaryzykować za przykładem Byrona nową kradzież.

Tak wtedy żył; w zgiełku, pośpiechu, rozterce. Zapewne czuł coś w rodzaju wstydu, gdy wspominał, że nie własna przezorność, lecz przypadkowe spotkanie z ciemnym chłopem, zaniepokojonym (prawdopodobnie) o swoje marne dwucyfrowe konto w banku, otworzyło przed nim tę perspektywę, tę olśniewającą szansę zapewnienia za jednym zamachem bezpieczeństwa dla swoich pieniędzy i odwetu na wrogu. Zapewne myśl o zemście nurtowała w nim od wielu już dni czy tygodni, jeśli wystarczyło spotkanie z pierwszym lepszym bezimiennym farme-rem-dzierżawcą, który nie częściej chyba niż cztery razy do roku przyjeżdżał do miasta, żeby Snopes uświadomił sobie, o czym marzy. Nie zdawał sobie sprawy, że pragnie zemsty, nie planował jej, nie przygotowywał, ale stało się tak, jak gdyby bogowie czy los, okoliczności czy inne sity wzięły go w obronę nie pytając nawet o pozwolenie,

1 oczywiście miały mu za to kiedyś wystawić rachunek.

Teraz jednak rozumiał. Nie zniszczy ban

ku, nie zwali go na głowę de Spaina, jak Samson zburzył świątynię nad własną głową, lecz po prostu usunie bank cały i nietknięty spod stóp Manfreda de Spain. Bank to pieniądze, a jak mówił Ratliff, Snopes nigdy by nie zrobił krzywdy pieniądзом, nigdy by nie przyczynił się do naruszenia bodaj na sekundę równowagi i nietykalności pieniądza; zanadto go cenił. Chciał tylko bank i pieniądze, które bank reprezentował i których strzegł, usunąć spod stóp Manfreda de Spain, przenieść gmach nietknięty i nieuszkodzony, a nawet nieświadomy, że coś z nim się dzieje, do nowej ostoi władzy i gospodarki w tym mieście, pozostawiając de Spaina na lodzie, bez innego majątku niż suma zapisana na hipotecę jego domu, który oddał (wedle informacji Ratliffa) staremu Willowi Varnerowi w zamian za gotówkę, potrzebną do pokrycia straty wyrządzonej przez Byrona Snopesa.

Ale jak to zrobić? Jak usunąć de Spaina z banku czy też bank spod stóp de Spaina bez szkody dla samego banku, jak go odebrać nienaruszony de Spainowi, nakłaniając argumentami lub postrachem innych klientów do wycofania wkładów; jak zapoczątkować lawinę dolarów, aby ogołocić skarbiec do czysta; namówić dostatecznie liczną grupę klientów i udziałowców, żeby przenieśli fundusze i akcje do innej fortecy, na drugą stronę Rynku czy też w najbliższe sąsiedztwo już opustoszałego gmachu de Spaina,

! nie rozwiewając legendy o wypłacalności ! banku.

j Bo nawet gdyby wszyscy oberwańcy I z okręgu, dzierżawiący farmy za część plonów, biedacy, którzy tyle tylko mieli gotówki, ile jej zdobyli w październiku lub listopadzie za jedną belę bawełny, owoc całorocznej harówki, gdyby ci wszyscy wycofali także swoje pieniądze, nie wystarczyłoby to | jeszcze.. Snopes nie mógł też liczyć na przy- I rodę, biologię ani nepotyzm. Wprawdzie \ w tej części stanu Missisipi żadna rodzina j nie przewyższała liczbą gromady ludzi, którzy nosili nazwisko Snopes lub których żony • nazywały się Snopes z domu, lub którzy byli j Snopesowi winni różne sumy, od dwudziestu pięciu centów do pięciu dolarów, ale z jed- ! nym wyjątkiem nie było w tej gromadzie j człowieka reprezentującego wartość bodaj | jednej beli bawełny, a jedyny wyjątek, wła- i ściel sklepu spożywczego, Wallstreet Pa- j nic, od początku był klientem konkurencyj- j nego banku, nie można więc było posłużyć | się nim, nawet gdyby Flem znalazł sposób

I obłaskawienia nieprzejednanej, zaciętej wro- ! gości, jaką żywiła dla niego żona Wallstreta.

A mniej jeszcze niż na cokolwiek innego mógł liczyć na to, co najbardziej by mu się przydało: na przyjaźń, na garstkę ludzi, do których mógłby zwrócić się bez obawy i bez nieufności, by im zaproponować lub zorganizować od razu wśród nich spisek przeciw Manfredowi de Spain. Nie miał przyjaciół.

To znaczy, wiedział, że ich nie ma, bo nie chciał nigdy (i nie zamierzał w przyszłości) mieć przyjaciół, nie chciał kłopotów, nie chciał być stale nękany czy bodaj narażony na to podstępne, pasożytnicze natrętne uczucie, jakim według jego obserwacji bywała przyjaźń. Chce przez to powiedzieć, że prawdopodobnie wtedy po raz pierwszy odkrył, iż przyjaciele są potrzebni, ponieważ może się zawsze zdarzyć — i zdarza się każdemu, i kimkolwiek jest — sytuacja, w której warto i się przyjaciółmi posłużyć. I nie tylko posłużyć, bo czasem nic nie może zastąpić przy- i jaźni, człowieka, któremu mógłbyś powie- J dzieć: „Nie pytaj dlaczego, po prostu weź tę ii hipotekę czy ten kwit zastawmy, czy tytuł *i własności, czy nakaz płatniczy, albo weź re- j wolwer, wyceluj tam, gdzie ci wskażę, i na- i ciśnij na spust”. Ale to znów była naiwność; Snopes musiał od wczesnej młodości tak ciężko i tak długo, i tak niezmordowanie pazurami, pięściami, łokciami zdobywać pieniądze, że zabrakło mu czasu, by nauczyć się je przechowywać, bronić ich i zatrzymywać je przy sobie. (Nawet nie żałował, że tak się stało, bo nie mógł tracić ani chwili na żal.) Nie, nie żałował, że nie ma tego daru i że życie, jakie prowadził, nie dało mu okazji do odkrycia, iż będzie kiedyś tej pomocy potrzebował; nie żałował tym razem nie z braku czasu w⁷ danym momencie na żal, ale dlatego, że jeszcze wi;edy nie wybuchnął ten straszliwy kryzys, gdy nie wystarczyłaby na

■HKUfruijriii—atiiuu!art*inrin>..

w'et przyjaźń, żeby go wyratować. Teraz nawet czas mu sprzyjał, miało upłynąć jeszcze pięć lat, zanim dorosnie córka Euli i zanim Snopes będzie zmuszony w rozpaczliwej grze zaryzykować wszystko na jedną kartę.

Ale na coś jednak mógł liczyć, miał narzędzia, broń, instrument: najniższą warstwę farmerów bez przyszłości, ledwie wypłacalnych dzierżawców, których zarobek roczny nie przekraczał wartości jednej beli bawełny, rozproszonych po całym okręgu; na nich w gruncie rzeczy stała i wspierała się cała gospodarka bawełniana tego kraju. Na nich mógł liczyć i na mądrość przysłów, zapewne rojących mu się w głowie, wyświechtanych powiedzonek o ziarnku do ziarnka, kropli, co draży skałę, cencie, który rodzi dolary. Pracował w tym czasie pod ziemią. Zawsze w ukryciu drażył podkopy i zakładał miny, które potem, w'e właściwym momencie, wybuchały prosto w twarz zaskoczonego przeciwnika. Tym razem niemal dosłownie sprzymierzył się z kretami i mrów^f- kami — nie z ludźmi noszącymi takie nazwiska, jak Sartoris, Benbow, Edmonds, Habers- ham i tym podobne, od dawna figurujące w kronikach okręgu, nie z posiadaczami grubych portfeli akcji i okazałych wkładów na koncie, ale z bezimiennymi dzierżawcami pracującymi za część plonu, z takimi biedakami, jak pierwszy jego rozmówca, z tymi, którzy — jak sami mówili — umieli poznać szczura po smrodzie.

Nie apostołował wśród nich. Tyle tylko, że się im pokazywał, ale liczył na pierwszego pośrednika, że rozpowszechni hasło, ideę, podczas gdy on kręcił się jedynie koło drugiego banku, banku Jefferson, i czekał, żeby oni, chcąc sprawdzić pogłoskę, postarali się

0 przypadkowe spotkania zjawiając się po dwóch, nawet: całą gromadką, niby komisja,

1 prowadząc rozmowy jak błazen w cyrku ze swoim partnerem:

— Dzień dobry, panie Snopes. Coś pan j tutaj zabląkał się do drugiego banku?

— Pan Flem pewnie ma już teraz tyle pieniędzy, że się w jednym banku nie pomieszczą.

, — Ej, nie, nie o to chodzi! Mój stary zawsze mówił: „Do dwóch pułapek więcej złapiesz szopów niż do jednej”.

— A czy pański stary nie pytał tego spryciarza szopa, w której pułapce woli siedzieć, panie Snopes?

— Nie, moi przyjaciele, spryciarz szop powiedział tylko: „Wszystko jedno, która pułapka, byle nie wpaść”.

Na tym się kończyło. Parskali śmiechem, czasem nawet któryś przez spłowiwały niebieski kombinezon klepał się po kolanie. Ale tego samego dnia (albo niekiedy dopiero w dzień, dwa czy w tydzień później) zjawiali się po jednemu przy okienku kasjera w starym, od dawna istniejącym banku Jefferson

i sękatę, zgrubiałą, opaloną rękę jak gdyby z ociąganiem się, z żalem kładły cienki plik banknotów. Nigdy nie przelewali rachunku za pomocą czeku, ale przychodzili osobiście najpierw do banku, z którym zrywali z powodu jednego podszeptego słówka popartego grubo szytą przypowiadką, odbierali swoje nędzne oszczędności w gotówce i odnosili na przeciwną stronę Rynku do drugiego banku, ale i ten gotowi byli wkrótce potem porzucić, zaalarmowani lada słówkiem, dwuznacznym, anonimowym i bezpodstawnym.

Bo nic byli naprawdę kretami ani termi- tami. Krety umieją podkopać fundamenty, a termyty cały dom mogą zamienić w kopczyk brunatnego pyłu. Nie mieli indywidualnej wytrwałości teimitów, chociaż byli jak mrówki liczni. Tak samo jak Snopes chcieli po prostu ocalić swoje pieniądze i Snopes dobrze wiedział, że wystarczy znów coś szepnąć, choćby jedno słowo, aby ich przepłoszyć z powrotem do pierwszego banku. Snopes wiedział, że gdyby de Spain chciał, mógłby jednym celnie skierowanym słowem odzyskać nie tylko tych swoich dawnych klientów, których kapitały wynosiły nie więcej niż cena jednej beli bawełny, lecz także zdobyć całą pozostałą klientelę banku Jefferson. Ale nie mógł sobie tego życzyć ani de Spain, ani żaden inny bankier przy zdrowych zmysłach, bo to spowodowałoby tylko konieczność częstszego powtarzania: nie! klientom ofiarującym jako gwarancję parszywego muła, zniszczone narzędzia rolnicze i stare

domowe sprzęty, w zamian za pożyczkę na spłaty używanego i rozklekotanego samochodu.

Nic, to nie mogło wystarczyć nawet na początek. Flem wciąż od nowa przebiegał myślą tę coraz krótszą listę coraz skromniejszych nazwisk, które już dawno zmierzył, rozważył i uznał za bezużyteczne; pozostał tylko jego bratanek czy kuzyn Wallstreet Panic, sklepikarz, który przed niespełną dziesięć laty własnym przemysłem, ciężką pracą i uczciwością, a także dzięki tysiącowi dolarów wypłaconych jako odszkodowanie za tragiczną śmierć ojca, wkupił się do spółki w małym sklepiku spożywczym przy bocznej ulicy, a teraz, po dziesięciu latach, był właścicielem całej sieci podobnych sklepów, rozrzuconych w północnej części stanu Missisipi, oraz hurtowni, zaopatrującej te wszystkie filie; Wallstreet sam wystarczyłby, żeby usunąć w banku grunt spod nóg de Spaina, ale istniały dwie przeszkody: po pierwsze, Wallstreet od początku był klientem banku Jefferson i miał pakiet jego akcji, a po drugie, żona Wallstreeta była nieprzejednanym wrogiem Snopesa, nie znosiła nawet dźwięku tego nazwiska, opowiadano sobie przecież w Jefferson, że usiłowała namówić męża, by je zmienił oficjalnie. Pozostała też reszta plemienia Snopesów i inni Snopesowic rozproszeni na obszarze okręgu, nie Snopesowie

i nie dzierżawcy farm, płacący Flemowi od lat lichwiarskie procenty od pięcio-, dziesięcio- lub dwudziestodolarowych pożyczek, lecz ci, nawet gdyby Klein zdołał ich zwerbować za cenę indywidualnych ulg czy nawet zbiorowego moratorium, na nic by mu się nie przydali, bo nikt mając jakiegokolwiek oszczędności w jakimkolwiek banku nie odważyłby się podpisać żadnego papierka, który by miał pozostać w ręku Flema.

A więc był znów w tym samym punkcie, od którego zaczynał, i raz jeszcze łamał sobie głowę nad bezużyteczną i coraz krótszą listą nazwisk, wiedząc od początku i nie zapominając ani przez chwilę, że będzie zmuszony zatrzymać się na tym jednym nazwisku, które wciąż starał się ominąć: na nazwisku starego Willa Varnera, swojego teścia. Wiedział przez cały czas, że w końcu będzie musiał przełknąć tę pigułkę, raz jeszcze udać się do starego, porywczego choleryka, który nigdy nie przebaczył i nigdy nie przebaczy zięciowi, że wywiódł go w pole kupując od niego Sadybę Francuza za pięćset dolarów

i sprzedając ją po dwóch tygodniach z zarobkiem trzech — czy czterechset procent. Wiedział, że będzie musiał raz jeszcze pojechać do starego człowieka, którego zaledwie pięć lat temu, chowając do kieszeni własną dumę, nakłonił do użycia całego wpływu, jaki Varnerowi dawały akcje banku i pieniądze, na rzecz kandydatury de Spaina, i że teraz musi namówić go, by pomógł mu tego samego de Spaina wyzuć ze stanowiska i majątku,

Rozumiecie? Na tym polegał problem. Gdyby nie pech, doprawdy niewiarygodny, który sprawił, że bękart obdarzony przez niego nazwiskiem był przypadkiem płci żeńskiej, Flem nigdy by zapewne nie musiał borykać się z tą trudnością. Gdyby bękart nie był dziewczyną, Flem zadowoliliby się może czczym marzeniem o zemście, drzemiąc w swojskiej sytuacji rogacza, do której przywykł, jak drzemie się w starym fotelu, nad dobrze znaną książką.

Ale to była dziewczyna. I ten sam fakt (bo mężczyźni, nawet tacy, jak Flem Sno- pes, interesują się faktami) wreszcie mu się objawił, nie wiedzieć którego dnia i w jakiej chwili, wywołując nieoczekiwany, niepojęty wstrząs. Patrzył przecież na tę małą, na to stworzenie, niemal od urodzenia, miał je przed oczyma co dzień, przez wszystkie te lata. Ale patrzył naiwnie, bez podejrzeń, bez złych przeczuc. Och, wiedział, że jest to dziewczynka i że, skoro żyje, musi kiedyś dorosnąć. Wiedział, że dziewczynka dorastając stanie się kobietą. Ale był zanadto zajęty robieniem pieniędzy, zmuszony zaczynać od drobnej ciułaniny (ciułanina to doprawdy eufemizm, wobec rzeczywistości jego początków), żeby zdobyć pieniądze, nie mając nic, nie mając nawet nadziei na coś, co pomogłoby mu je zdobyć, więc brakowało mu czasu, żeby dowiedzieć się czegoś o kobietach, a nawet żeby odkryć, że powinien o nich coś niecoś wiedzieć. 'Małeństwo, stworzonko rodzi się; mówisz: „To będzie kiedyś koń” albo: „krowa” i z czasem wyrasta koń albo krowa, włącza się, wtapia w otoczenie tak, że nie znać szwu, nitów ani klamer. Ale inna sprawa z tym stworzeniem, z tą samiczką, która przeobraża się w kobietę (nie sposób temu zapobiec, nawet Flem Snopes tego dokonać nie może) i ta kobieta nie przystosowuje się, nie wzoruje na otoczeniu, lecz z pogardą odtrąca przyjętą w nim sztywną formę i wszystkie wzory postępowania uznane za najlepsze dla większości ludzi; przeciwnie, już samym swoim istnieniem, obecnością delikatnego, kruchego ciała naznacza i nagina otoczenie do swoich łagodnych linii, do swoich okrągłości i wgłębień.

To mu przypadło w udziale. To mu się zdarzyło. Bo wtedy już zapewne godził się poprzestać na czczych i beznadziejnych marzeniach o zemście i odplaceniu wrogowi wet za wet. To znaczy, na cierpliwych zabiegach, na coraz to nowych planach, by w końcu zawsze wracać do obdartych dzierżawców, wartych tyle, co jedna biała bawełna, którzy wszyscy razem, z całym swoim mieniem, nawet wliczając cenę zniszczonych roboczych ubrań, nie zdołaliby naruszyć równowagi budżetu jednego wiejskiego kościoła, a tym bardziej banku w okręgowym mieście. Zapewne więc był już zrezygnowany, nie pogodzony ze swoim losem rogacza, ale przynajmniej gotów ten los znosić.

Ale nieprawie dziecko, któremu, można by

rzec, w całkowitej naiwności dał swoje nazwisko, nie dość, że wyrastało na kobietę, przeobrażało się i groziło przeobrażeniem w tę właśnie szczególną kobietę. Ponieważ było płci żeńskiej, musiało stać się kobietą, Snopes to przewidywał i doprawdy tego nie miałby mu za złe, pod warunkiem, żeby się zadowolilo wyrośnięciem na kobietę pospolitą. Gdyby mógł wybierać, oczywiście wolałby, żeby była brzydka, nie żądając nawet jakiegoś kalectwa, lecz po prostu brzydota i wrodzonego onieśmielenia, aby z góry skazana była na staropanieństwo, tak że młodzi mężczyźni z jej pokolenia rzuciwszy na nią raz okiem zapomnieliby, iż ją kiedykolwiek widzieli, a ten, który w końcu poprosiłby o jej rękę, miałby na oku — może nawet na obu oczach — majątek (domniemany) ojca, byłby więc wobec niego uległy.

Ale nie mógł się zgodzić na tę kobietę tak niewątpliwie przeznaczoną do zamążpójścia, gdy tylko dorośnie, a nawet niewątpliwie przeznaczoną do poślubienia kogoś, nad kim Snopes nie będzie miał władzy, albo z powodów geograficznych, albo z powodu wieku, albo, co najgorsze, najbardziej oburzające, dlatego po prostu, że ten jej mąż będzie dość bogaty, by nie potrzebować i nie chcieć jego pieniędzy. Przykładem ten zbir zbudowany jak goryl, przybłąda z odległego Ohio, który, gdy miała zaledwie piętnaście lat, odstraszył swoimi Złotymi Rękawicami, czy może tylko sławą Złotych Rękawic, wszystkich innych mężczyzn, stwarzając wokół niej pustkę, by zostać z nią sam na sam; aż wreszcie wymknęła mu się dzięki okoliczności, wobec której nawet Złote Rękawice są bezsilne, dzięki temu, że była kobietą, a więc istotą niemożliwych do przewidzenia kaprysach, niepoprawną kobietą.

Rozumiecie? Temu gorylowi, który, jak się już zapowiadało, miał zostać co najmniej przedstawicielem Forda, a może nawet komenderować całym związkiem zawodowym, nie odebrano jej ani też nie został przez rywala zastąpiony, bo obaj czas jakiś dzielili jej względy. Następca tronu ery samochodowej musiał opuścić scenę, ponieważ jego rywal już się na niej od dawna rozgęścił; bez-żenny prawnik, dwakroć od dziewczyny starszy, pozornie mocno już zakorzeniony i nieszkodliwy w łonie małego miasta, wniósł jednak w jej życie i wyobraźnię ten sam niebezpieczny powiew innych krajów, spotykając się z nią po południu w drugistorze nie po to, by uwieść i zdemoralizować jej kobiece ciało, lecz by dokonać czegoś gorszego: uwieść jej inteligencję, zaszczepiając w umysł

1 wyobraźnię nie tylko nierealne, marzycielskie szaleństwo tomików poezji, ale także zabójczą truciznę nadziei i snów nie zaspokojonej duszy.

Rozumiecie? Niemłody (a nawet siwy) małomiasteczkowy adwokat, którego można było uważać za niedołągę, a więc za człowieka nieszkodliwego; już raz przysłużył się Fle-

mówi usuwając pierwsze niebezpieczeństwo, goryla z Ohio, teraz jednak sam stał się bardziej niż inni groźny, bo namawiał dziewczynę do ucieczki z kręgu ojcowskiej władzy, nie tylko budząc w niej niezadowolenie z miejsca, na którym była i na którym powinna by pozostać, lecz wskazując jej także, gdzie ma szukać obrazów i kształtów, o których istnieniu nie wiedziała, dopóki on nie zaludnił jej wyobraźni.

Rozumiecie? Flem nie mógł rozwiązać problemu wybierając, kupując dla niej męża, którym mógłby kierować i rządzić. Nie śmiał wydać jej za nikogo,- dopóki Bóg czy diabeł, czy sprawiedliwość lub sama natura po prostu, zmęczona w końcu śmiertelnie, nie sprzątnie Willa Varnera przynajmniej z powierzchni ziemi. Bo gdyby dziewczyna wyszła za męża, żona Flema, która zgodziła się go poślubić wyłącznie dlatego, że trzeba było nie narodzonemu jeszcze dziecku zapewnić nazwisko (może trochę też dlatego, że stary Will, uniesiony cnotliwym oburzeniem, krzyczał wniebogłoso i chciała uciec od jego furii; ale przede wszystkim chodziło o dziecko), na pewno opuściłaby go, wynosząc się z kochankiem lub bez kochanka, w każdym razie z testamentem starego Willa, z testamentem nie zmienionym od dnia, gdy został sporządzony, na osiemnaście lat przed ślubem Euli z Flemem Snopesem, na dziesięć czy dwanaście lat przed dniem, gdy po raz pierwszy usłyszała o Flemie Snopesie.

Nie można było dopuścić, żeby dziewczyna wkrótce wyszła za męża. Ale trudno było temu zapobiec, nawet gdy mieszkała w domu, w Jefferson, gdzie połowa drużyny baseballowej i piłkarskiej eskortowała ją po południu ze szkoły i całą bandą ciągnęła za nią do kina w ostatnich dwóch latach, gdy była jeszcze uczennicą. Przynajmniej jednak mieszkała w domu, ojciec mógł jako tako rozciągać nadzór czy to na mocy ojcostwa (o, tak, uważała go za ojca, nie miała innego, zaprzeczyłaby, odrzuciłaby prawdę, gdyby ktoś usiłował jej prawdę powiedzieć; kobiety przecież nie interesują się prawdą ani fikcją, lecz jedynie faktami, prawdziwymi lub nie, byle pasowały do wszystkich innych faktów, a dla niej było faktem, że Flem jest jej ojcem, po prostu dlatego, że wszystkie inne dziewczęta i wszyscy chłopcy w szkole mieli ojców, choćby na cmentarzu pod wiadomym nagrobkiem), a więc na mocy praw ojcowskich, lub groźbą, że zażąda zwrotu pożyczki, odmówi lichwiarskiego kredytu, przedstawi do wykupu zastaw hipoteczny podpisany nazwiskiem ojca czy też krewniaka swojego niedoszłego zięcia, a nawet gdyby szczęście zechciało uśmiechnąć się do Flema, własnym nazwiskiem kandydata na zięcia. ■ "

I wtedy właśnie diabli nadali lego wścib- skiego siwiejącego adwokata, który racząc ją lodami i prospektami szkół z innych stanów, przekonał dziewczynę, że nie tylko dla

przyjemności i pożytku powinna opuścić Jefferson, nie że to jest jej obowiązkiem, że musi stąd wyjechać niezwłocznie po otrzymaniu świadectwa ze szkoły średniej. A więc miała wywieźć tę bujną, prowokującą kobiecość, która już była kilkanaście razy w Jefferson powodem rozlewu krwi (o, tak, krew lała się dosłownie, przynajmniej w jednym wypadku), w świat rojący się; od samotnych młodych mężczyzn, gotowych do małżeństwa, czy wiedzieli o tym, czy nie przed ujrzeniem jej. Udaremnił to, a raczej odroczył na jeden jeszcze rok nakłaniając ją, przekonując. (nie wiem, jakich użył sposobów, może łez; z pewnością uciekł się do łez, jeśli zdołał je z siebie wycisnąć), by traciła czas w miejscowej Akademii (była to jedna z ostatnich dystyngowanych i przestarzałych uczelni, które uporczywie trwają jeszcze pod firmą Akademii lub Instytutu dla dziewcząt pod dyrekcją panny X czy panny Y, przewidują w programie naukę dobrych manier oraz malowania na porcelanie i wciąż istnieją na Południu, chociaż reszta kraju zdążyła o nich zapomnieć), a przez ten czas Flem łamał sobie głowę, jak usunąć niebezpieczeństwo grożące mu stratą dziedzicznego majątku żony, niebezpieczeństwo wcielone w podstarzałego prowincjonalnego adwokata, który nieustannie kusił dziewczynę prospektami odległych szkół. A przecież ten sam podstarzały adwokat zażegnał poprzednie niebezpieczeństwo uosobione w mechaniku z garażu, gorylu z Ohio. Nikt jednak nie zjawiał się, żeby z kolei wyeliminować adwokata, musiał więc zrobić to sam wojowniczy ojciec, ale nie znał innego oręża niż pieniądze. Tak więc to sobie wyobrażam. Przez cały rok Flem Snopes musiał wciąż czuwać jak na czatach, w lęku, że lada chwila zjawi się jakiś przypadkowy obcy mężczyzna, na przykład komiwojażer handlujący mydłem lub artykułami żelaznymi wysiadzie niespodzianie z nocnego pociągu; a jednocześnie głowił się, dręczył, wysiłał wyobraźnię, by znaleźć jakiś podstęp i zmusić mnie do przyjęcia pożyczki tak znacznej i obłożonej tak lichwiarskim procentem, że byłbym zdany na jego łaskę lub niełaskę.

Oczywiście spodziewałem się tego po nim. A nawet snułem plany, marzyłem, jak tych pieniędzy użyję, co za nie kupię, żeby go nadal zdradzać. Ale nie zrobił tego. Zawiódł mnie. A może wyrządził mi zaszczyt, nie dlatego, że chciał ocalić mój honor oszczędzając mi pokusy zaszargania go, lecz ponieważ przypuszczał, że raczej sprzedałbym honor, niż go zbrukał, więc automatycznie odrzucę pokusę sprzedaży jako pokusę zbrukania. W każdym razie nie próbował mnie przekupić. I teraz już wiem dlaczego. Dał za wygraną. Zrozumiał nareszcie, że jej nie przeszkodzi w zamążpójściu, choćby ją zatrzymał na miejscu, w Jefferson, i że gdy wybije ta godzina, będzie musiał pożegnać się z pieniędzmi starego Willa Yarnera.

Bo kiedyś w ciągu tego ostatniego lata — czy może raczej jesienią, bo już znów otwarto szkoły i Linda zaczęła drugi rok w Akademii, traciła drugi rok w tych spłowiałych murach, gdzie panna Malissa Hogganbeck z uporem wbijała w głowy topniejącej coraz bardziej gromadce uczennic, że historia Ameryki, a nawet historia świata nie doszła jeszcze do Bożego Narodzenia 1865 roku, że chociaż generał Lee skapitulował (a z nim razem irini żołnierze, włącznie z jej rodzonym dziadkiem), wojna jeszcze się nie skończyła i że w ciągu następnych dziesięciu lat nawet te symboliczne kapitulacje okażą się pomyłką — tej więc jesieni Flem Snopes miał czas, by zrobić cały bilans. Doprawdy, każdy mężczyzna, a więc i on, jeśli miał oczy, musiał zrozumieć, że ta sytuacja nie może potrwać długo, choćby nie wypuszczał Lindy poza ogródek przed domem. Musiał zrozumieć, że dziewczyna (już kobieta teraz, za miesiąc miała skończyć dziewiętnaście lat), która po prostu poruszając się, istniejąc, obiecuje i prowokuje, przyzywa nie tylko namiętność, nie tylko dziką, nieokrzesaną pasję, z jaką jej matka oddała się w przydrożnych krzakach kochankowi, jeszcze krwawiącemu po bójce z bandą napastników, ale miłość, uczucie zdolne zaspokoić nie tylko doraźny, naiwny, onieśmielony i straszliwy poryw zmysłów, lecz także jutrzejszą dojrzałość

i pragnienie spokoju, rozkwitu, dopełnienia

i realizacji nadziei, a wreszcie wspólnej

i wzajemnej ciszy i razem przeżywanej starości. I to właśnie ta klęska, katastrofa, ruina, nieodwołalna utrata ostatniej szansy pochwylenia w ręce choćby cząstki majątku starego Willa — mogło teraz urzeczywistnić się lada dzień. Kto wie, czy nie doznał ulgi uświadamiając sobie, że lada chwila będzie już może uwolniony od troski, nie od żalu nad stratą pieniędzy, lecz od udręki daremnej nadziei, jak pacjent w poczekalni u dentysty, gdy asystentka otwiera drzwi od izby tortur

i patrząc na niego mówi: „Następny, proszę”, a wtedy już jest za późno, nie można bez skandalu zerwać się i uciec.

Rozumiecie? Spokój. Nie trzeba już dłużej tracić czasu na nadzieję czy nawet na żal, wszystkie możliwości zostały już rozpatrzone

i odrzucone, bo kto wie, czy Flem Snopes tego samego lata rozpaczliwie szukając w udręczonym i rozżalonym mózgu sposobów, żeby mnie nakłonić do przyjęcia pożyczki obciążonej stuprocentowym dla niego zarobkiem, nie igrał też z myślą o znalezieniu jakiegoś ofiarnego fanatyka, tęskniącego do męczeństwa za sprawę ludzkości i gotowego zastrzelić starego Willa w ciemny wieczór przez kuchenne okno, a gdy i te pomysły odtrącił, wyzbył się wraz z nadzieją również udręki.

I nie tylko spokój, lecz także radość, bo wyrzekając się na zawsze pogoni za tym błędnym ognikiem majątku teścia, mógł powrócić do pierwotnej swojej nadziei i do

f

marzenia o zemście na człowieku odpowiedzialnym za całą sytuację, na człowieku, z którego winy musiał wyrzec się szansy zagarnięcia dziedzictwa swej żony. Teraz wiedział, dlaczego tak długo odwlekał zemstę, omijając tchórzliwie nazwisko starego Willa na liście tych, którzy mogli mu pomóc. Od początku, instynktownie przeczuwał, że tylko Will mu się przysłuży, ale jeśli użyje Willa za narzędzie zemsty, tym samym straci na zawsze ostatnią szansę na udział w spadku po nim.

Teraz wszystko już się dokonało, skończyło, zostało za nim. Był wolny. Musiał już tylko wybrać taktykę — perswazję, przemoc, pochlebstwo, argumenty czy podstęp — jakikolwiek sposób, byle najzręczniejszy, najszybszy czy też najskuteczniejszy — żeby uzyskać głosy, przysługujące Willowi z racji posiadanego portfela akcji, a wraz z nimi głosy tych udziałowców, którzy zanadto bali się Willa, żeby mu się przeciwstawić, dołączyć je do własnego głosu i do głosów bandy obdartych klientów banku i do ich szeptanej propagandy, całej tej siły użyć do usunięcia gruntu spod nóg de Spaina i odebrania mu prezesury.

Pozostało tylko rozstrzygnąć, w jaki sposób nakłonić — mówiąc po prostu: oszukać — Willa Varnera. Pozostawało też przewidzieć, kto mógłby sprzeciwić się tym planom, po wielokroć już roztrząsanym w okresie, gdy jeszcze starał się pominąć nazwisko

starego Willa. Bo teraz, gdy raz powziął decyzję i postanowił własnymi rękami odciąć wypalić tę dawną i daremną nadzieję na dziedzictwo żony, nie wahał się ani chwili. Była przecież ta dziewczyna, jedyny pionek na szachownicy, który mógł zniweczyć jego widoki na majątek Varnera; zatrzymał ją w domu odwlekając przynajmniej na czas jakiś nieuniknione małżeństwo, które miało go zrujnować, zatrzymał ją przy sobie nie tylko wbrew jej życzeniom, ale też wbrew woli matki (nie mówiąc już o natrętnym sąsiedzie); zatrzymał ją w domu, chociaż nawet on musiał przyznać, że traciła czas w anachronicznej próżni, jaką była Akademia dla Kobiet. Trwało to do wakacji gwiazdkowych drugiego roku, a potem nagle, bez ostrzeżenia, z dnia na dzień zmienił stanowisko, pozwolił jej wyjechać, opuścić Jefferson i wstąpić na uniwersytet stanowy, oddalony ledwie o pięćdziesiąt mil, co prawda, ale bądź co bądź o tych pięćdziesiąt mil oddalony, tak że nie mogła wracać co wieczór do domu i miała spędzać dni całe wśród tysiąca młodych ludzi, wśród nieżonatych mężczyzn.

Dlaczego tak postąpił? Jasne. Dlaczego robił wszystko, cokolwiek robił? Ponieważ zyskiwał w zamian coś cenniejszego niż to, co ofiarowywał. Nie trzeba sobie nawet wyobrazić tej sceny: rozmowa z żoną (oczywiście, rozmawiali niekiedy, byli przecież mężem

i żoną, a trzeba czasem z kimś porozmawiać,

nawet jeśli nie jest się małżeństwem) albo też zebrani we czworo, bo potrzebni byli dwaj świadkowie, czekający w syntetycznym hallu, aż Eula weźmie do ręki pióro: „Podpisz ten dokument zapewniający mi połowę wszystkiego, co odziedzicysz na mocy testamentu po ojcu, niezależnie od stosunków, jakie będą nas wtedy łączyły, a ja pozwolę Lindzie wyjechać z Jefferson do szkół”. Znakomicie, z tym tylko zastrzeżeniem, że taką obietnicę można złamać, uchylić, unieważnić, uznać za nieobowiązujące. Ale ona tego nie wiedziała. Ale gdyby nawet nie wątpiła o mocy tego zobowiązania, gdyby miała już wtedy w ręku spadek, czy odmówiłaby, czy nie oddałaby połowy majątku w zamian za to jego ustępstwo? Zresztą, na to, by się zaniepokoić, trzeba by mieć więcej niż ona chłodnego rozsądku.

A więc już wiadomo „jak”. Pozostało tylko pytanie „kiedy?”. Przez resztę zimy, gdy Linda już była na uniwersytecie, Flem kręcił się po mieście, spokojny, nieprzenikniony, nic nie zmieniony, zawsze w swoim czarnym kapeluszu plantatora, z maleńką muszką krawata; co najmniej raz na dzień pokazywał się na Rynku, punktualny jak zegar na gmachu sądu; tak było przez całą zimę i wiosną, aż do wczorajszego ranka.

Właśnie. Wczoraj rano wyjechał. To także musicie sobie wyobrazić, bo tym razem nie było nawet świadków oczekujących w syntetycznym hallu: znów się znalazł na długiej,

już po letniemu zakurzonej zwirowanej szosie (była to zwykła polna droga, gdy jechał nią po raz pierwszy przed osiemnastu laty) prowadzącej do sklepu Varnera. I tym razem jechał samochodem, sprawa stała się pilna, „jak” spotkało się wreszcie z „kiedy”; a przy tym sprawa była tajna, samochód wynajęty i to spoza miasta. Większość ważnych osobistości w Jefferson i w całym okręgu miała już teraz własne samochody, ale Flem nie. Nawet nie z powodu kosztów, nie przez niechęć do bezsensownego, niemal zbrodniczego — jak nie tylko on w Yoknapatawpha uważał — zamrożenia tyłu dolarów i centów w rzeczy, która, choćbyś ją wynajmował innym za opłatą, nigdy nie zdąży zwrócić włożonych pieniędzy, zanim się zniszczy. Nie, Flem jeszcze nie był, a nawet nie chciał być osobistością w Jefferson, on, który gotów był bronić, nie mniej zawzięcie niż życia, sekretu swego majątku.

Ale sprawa była tak pilna, że musiał użyć dla pośpiechu samochodu, i tak poufna, że musiałyby użyć wynajętego samochodu, zapłacić za wynajęcie, nawet gdyby posiadał własny, aby nikt go nie widział wyjeżdżającego z miasta. Zbyt poufna, by mógł skorzystać z pocztowego ambulansu, co kosztowałoby go zaledwie dolara, zbyt poufna, by mógł zażądać użyczenia auta od jednego ze swoich klientów, chociaż w gruncie rzeczy czuł się właścicielem tych wozów, kupionych za jego pieniądze, zabezpieczone jednym

z niezliczonych lichwiarskich kwitów, jakie miał w ręku. A więc wynajął samochód. Nigdy nie dowiemy się, który i gdzie, wiadomo tylko, że nie był to wóz oznaczony tabliczką rejestracyjną okręgu Yoknapatawpha i że Flem udał się nim raz jeszcze, po raz ostatni do Rozdroża Varnera, wzbijając i wlokąc za sobą żółtą chmurę kurzu po tej drodze, którą osiemnaście lat wcześniej przebył w ciągnionym przez muła krytym budą wozie, mieszczącym wszystko, co wtedy Flem posiadał: żonę i jej nieprawie dziecko, parę gratów podarowanych przez panią Varner, nabyty od Ratliffa tytuł własności połowy restauracji położonej przy bocznej uliczce w Jefferson i resztkę dolarów z sumy, którą Henry Armstid (zamknięty teraz do końca swych dni w domu wariatów w Jackson) razem ze swoją żoną ciułał i strzegł przez dziesięć lat, a którą Ratliff i Armstid zapłacili za posiadłość Starego Francuza, gdzie Flem zakopał na przynętę dwadzieścia pięć srebrnych dolarów, znalezionych tam przez poszukiwaczy skarbów.

Pojechał ostatni raz, zamykając elipsę, obejmującą historię osiemnastu lat życia, bo Rozdroże Varnera i sklep Varnera były chyba jedynym miejscem na świecie, którego nigdy już, do śmierci, nie miał oglądać. Nie potrzebowałby tam wracać, niezależnie od tego, czyby wygrał, czy przegrał, i z pewnością nie ośmieliłby się tam pokazać — jako zwycięzca czy jako zwyciężony. Kto wie, może już wtedy rozmyślał, jakie to upokarzające, że musi udać się do sklepu i do starego Willa zamiast do domu Yarnerów, gdzie

0 tej porze zastałby tylko panią Varner i kucharkę Murzynkę, że musi wejść do sklepu

1 stawić czoło staremu cholerykowi, porywczemu zbójowi, targować się z nim i pokonać go, mając za całą broń swój upór i ten strzępek papieru podpisany przez żonę i dwóch świadków. Bo kobiety nie interesują się fikcją ani moralnością, ani grzechem i karą za grzech, lecz jedynie faktami, niewzruszonymi faktami, bez których nie można by przeżyć życia na tej ziemi i których gotowe są do ostatka bronić, żeby ich nikt nie naruszał, nie przekręcał, nie popychał, nie cofał i nie zmieniał. O ileż byłoby prościej pójść prosto do niej, do kobiety (tęga, surowa, zimna, siwa pani Varner nigdy już teraz nie przyjeżdżała do miasta, spędzając czas między domem a kościołem, jednym tak samo jak i drugim rządząc twardą ręką: sama mianowała się skarbnikiem pieniędzy pochodzących ze składek, które wyciskała ze sterroryzowanej gromady wiernych, sama wybierała, werbowała i angażowała duszpasterzy, sama też ich usuwała, jeśli jej się nie spodobali; krążyła legenda, że jeden z nich wpadł jej w oko na polu, na plantacji bawełny, gdy przypadkiem przejeżdżała tamtędy bryczką, oderwała go dosłownie od pługa, kazała mu wstąpić do domu, wykapać się, przebrać, a w pół godziny po

tem osobiście obdarzyła go duchowną godnością).

Jakież to byłoby proste zajechać przed bramę, powiedzieć wynajętemu kierowcy: „Czekaj tutaj. Wrócę za chwilę” — alejką dojść do drzwi i wejść do domu przodków (wiem, wiem, nie jego przodków, lecz jego żony: jechał właśnie po to, żeby przekreślić swoje prawa do tego domu), iść przez wszystkie pokoje, dopóki nie spotka pani Varner, gdziekolwiek by właśnie przebywała, i oznajmić jej: „Dzień dobry, właśnie tej nocy odkryłem, że nasza Eula od osiemnastu lat sypia z niejakim Manfredem de Spain. Spakowałem walizy i wyniosłem się z domu, ale nie zdążyłem przed wyjazdem z miasta wnieść podania o rozwód, ponieważ sędzia jeszcze spał, kiedy przejeżdżałem koło jego domu. Zajmę się tym natychmiast po powrocie dzisiaj wieczorem”. Potem odwrócić się, odejść, wsiąść znów do samochodu, powiedzieć szoferowi: „Załatwione, jazda do miasta, przyjacielu” i resztę zdać na panią Varner, niechby ona odszukała starego Willa w jego jaskini, gdzie przesiaduje niejako wśród obgryzionych kości — pod półkami pełnymi szynek i rączek od pługa, zjełczałych boczków i mąki, marnej melasy, sera, butów, nafty, roboczych rękawic, tabaki, tytoniu do żucia, upstrzonych przez muchy cukierków, kwitów zastawnych na plony, narzędzia rolnicze, muły i konie — wśród całego swojego majątku. Pewnie zastałaby tam

paru klientów, ale niewielu, bo to była pora siewów, a nawet ci nieliczni przypomnieli sobie na jej widok, że powinni także być w polu, i w przypływie wyrzutów sumienia zaczęliby się zbierać do odejścia, ale nie dość szybko, by od niej nie oberwać.

— Wynosić się stąd! — powiedziałyby do zbyt opieszale ruszających się ludzi. — Mam do pomówienia z Willem... Czekajcie! Jeden z was niech skoczy do tartaku i powie Jody'emu, że potrzebuję samochodu, i to zaraz.

— Dobrze, proszę pani — odpowiedzieliby, ale pani Varner nie słyszałaby już tego, stojąc przed Willem, który siedział rozparty w fotelu obitym niegarbowaną skórą.

— Rusz się, Will. Był u mnie Flem, przyłapał w końcu Eulę, a przynajmniej tak opowiada. Jeszcze nie wniósł podania o rozwód, więc zdążysz, zanim się ta historia rozniesie po całym okręgu. Nie wiem, o co mu chodzi, ale jedź i zrób porządek. Mieliśmy z Eulą dość kłopotów dwadzieścia lat temu. Nie chcę jej mieć znowu w domu, żeby mi zatruła życie.

Ale Flem nie mógł tego zrobić. Nie było to takie proste. Bo mężczyźni, a zwłaszcza mężczyźni tacy jak Will Varner, także interesują się faktami, jak ten, który Flem miał w kieszeni, podpisany i poświadczony. Musiał więc tam iść do jaskini, wyciągnąć rękę, znienacka rzucić wyzwanie, a potem czekać, aż rozpętana nad jego głową burza i ryk

ucichnie na tyle, żeby tamten dosłyszał jego głos, gdy Flem mu powie: „To jej podpis. Jeśli go nie poznajesz, mam dwóch świadków. Nie chcę nic więcej, tylko pomóż mi wydrzeć bank Manfredowi de Spain. Przekaż na moje imię swój portfel akcji, przyjmij, jeśli chcesz, ode mnie postdatowany czek, zobowiązę się zwrócić ci akcje natychmiast po usunięciu de Spaina. Albo też sam głosuj, jeśli wolisz, przeciw niemu. Wtedy oddam ci ten dokument. Nawet podam zapalną, żebyś go zaraz spalił”.

To wszystko. I znowu zjawił się Ratliff (tak, tak, Jefferson mogło się bez niego obyć, ale nie ja, nie my; ani ja, ani to całe przeklęte plemię Snopesów nie mogło się bez niego obyć), schludny, czyściutki, bez krawata, w niebieskiej koszuli i lekko mrugnął na mnie:

— Wuj Billy przyjechał do miasta samochodem Jody’ego dziś około czwartej nad ranem i poszedł prosto do domu Flema. A Fle- ma dzisiaj nie widziano w mieście. Jak myślisz, co to się święci? — Mrugnął na mnie. — Jak myślisz?

— O co chodzi? — spytałem.

— Coś takiego zawiózł wczoraj pani Var- / ner, że wuj Billy ruszył natychmiast w drogę i o czwartej rano przyjechał do miasta.

— Pani Varner? Chyba Willowi.

— Nie, nie — rzekł Ratliff. — Wcale nie widział się z Willem. Wiem, sam go odwiozłem. Miałem dostarczyć maszynę pani Ledbetter w Rockyford, a on mi zaproponował, żebyśmy pojechali przez Sadybę Francuza, gdzie chce zamienić kilka słów z panią Varner, no więc tak zrobiliśmy. Nie był tam, w domu Varnerów, dłużej niż przez minutę, a potem razem pojechaliśmy dalej. Zjedliśmy kolację u pani Ledbetter, zostawiłem u niej maszynę i wróciliśmy do miasta. — Ratliff mrugnął. — Nie dłużej niż minutę. Jak myślisz, co on takiego wręczył pani Varner w ciągu tej jednej minuty, że wuj Billy zaraz po północy ruszył w drogę do Jefferson?

XVIII. V. K. RATLIFF

ie, nie, nie. Mylił się. Jest prawnikiem, a dla prawnika, jeśli coś nie jest zawikłane, mniejsza z tym, czy prowadzi do celu, czy nie, bo skoro nie jest dość zawikłane, to nie jest słuszne, i nawet, jeśli by prowadziło do celu, on w to nie uwierzy. A więc to nie było tak, nie było tego marnego papierka, sfabrykowanego w nagłym natchnieniu, nic niewartego, choćby go nie wiem ilu świadków podpisało; prawnik, nawet mniej sprytny niż Gavin Stevens, zapłaciłby klientowi za samą przyjemność obalenia takiego dokumentu.

Więc to nie było tak. Nie wiedziałem, o co mu chodzi, kiedy podszedł do mnie tego wieczora na Rynku i powiedział: — Słyszałem,

że dzisiaj rano nadeszła maszyna do szycia dla pani Ledbetter. Jak ją pan będzie odwoził, chętnie bym się z panem zabrał, gdyby zechciał pan jechać przez Sadybę Francuza i tam poczekać na mnie minutkę. — No tak. Nawet się człowiek nie dziwił, skąd on ma takie informacje, bo zanim zdążyłbyś się zdziwić, skąd on to wie, już byłoby za późno, bo on już by tymczasem zdążył wykorzystać tę informację we własnym interesie. Toteż odpowiedziałem:

— Można od biedy jechać do Rockyford przez Sadybę Francuza, tak samo jak od biedy można jechać do Memphis przez Birmingham. Nie musi się, ale móc można.

Tak odpowiedziałem, po prostu żeby go trochę podrażnić, ale on mnie przechytrzył.

— W porządku — odparł. — Nadłożyłby pan sześć mil drogi. Pół dolara za milę starczy?

— Jeszcze jak! — powiedziałem. — Żebym chciał naprawdę te trzy dolary przejeździć, nie wrócilibyśmy do miasta przed środą wieczór. Umówmy się inaczej. Kupi pan dwa cygara, a jeżeli pan jedno wypali sam, podruczę pana na minutkę do Sadyby Francuza dla samej przyjemności pańskiego towarzystwa i rozmowy.

— Oba panu ofiaruję — odparł. Tak też się stało. Pewnie, ocyganił mnie wyludzając udział w restauracji, którą mieliśmy do spółki z Groverem Winbushem, ale czy to wia- ' domo, kto koniec końców na tym stracił? i Gdyby orl jej nie zagarnął, może Grover Winbush przerobiłby ją także na tajne panopticum francuskich pocztówek, a wtedy ja wylądowałbym tam, gdzie Grover Winbush wylądował: na posadzie nocnego stróża w składzie cegieł.

Zawiozłem go więc do Sadyby Francuza. I użyłem rozmowy, jeśli można własny monolog nazwać pogawędką z Flemem Snope- sem. Ale bądź co bądź człowiek stale próbuje. Bo nie traci nadziei, że się czegoś dowie.

Rozumie się, milczenie ma swoją cenę, musi ją mieć, jako towar bardzo rzadki. Za każdym więc razem człowiek myśli sobie: „Mam szansę odkryć, jak się tym towarem posługuje specjalista”. Oczywiście, ani tym razem, ani innym, niczego nie odkryjesz, nie i darmo Flem uchodzi za specjalistę. Ale zaw- I sze możesz się ludzi nadzieją. Jechaliśmy więc rozmawiając o tym i owym, przeważnie, rozumie się, o tym, a co jakieś trzy, cztery mile Flem przerywał żucie i wypluwał przez okno odpowiadając: „Tak” albo: „Tak by się wydawało”, aż wreszcie już tylko jeden pagórek dzielił nas od Rozdroża Varnera i wtedy Flem powiedział: — Nie zajedziemy do sklepu, ale do domu.

— Co? — zdziwiłem się. — Wuj Willa teraz w domu nie zastaniemy. O tej porze na pewno siedzi w sklepie.

— Wiem — odparł. — Skręć pan w tę drogę. — Więc skręciliśmy. Nie tylko nie przejeżdżaliśmy przed sklepem, ale nawet

go nie zobaczyliśmy, kierując się wprost do domu pod bramę.

— Mówił pan o jednej minutce — powiedziałem. — Jeżeli to potrwa dłużej, będą mi się należały dodatkowe dwa cygara.

— Dobrze — odparł. Wsiadł, poszedł alejką do domu, a ja zgasilem silnik i czekałem rozmyślając: „Jak to? Jak to? Pani Varner, a nie wuj Billy? Pani Varner!” Wuj Billy nienawidził Flema za to, że biorąc posiadłość Starego Francuza po cenie, którą teść sam wyznaczył, zięć niezgorzej starego wygę ocyganił, a pani Varner nienawidziła Flema, jak wędrownego kaznodzieję czy nawet baptystę, za to, że nie tylko popełnił grzech żeniąc się z jej córką, którą już przedtem inny uwiódł, ale jeszcze na tym grzechu zarobił i zaczynając od niego wspiął się aż do prezesury w banku. A jednak do pani Varner przyjechał cały ten szmat drogi i gotów był za to zapłacić mi trzy dolary. (To znaczy, tyle zaofiarował, bo wiem już teraz, że śmiało mogłem zażądać dziesięciu dolarów.)

I nawet nie myślałem: „Jak to? Jak to?”, ale raczej: „Kto? Kto powinien się o tym dowiedzieć?” i starałem się to rozstrzygnąć przez krótki czas, jaki mi zostawił, bo skoro Flem sam zastrzegł sobie tylko minutkę, z pewnością na minutce poprzestanie. Kto powinien się dowiedzieć? Nie ja, bo nie było już takich niewiadomych szczegółów, których Ratliff mógłby mi dostarczyć; nie prokurator Stevens, nie Eula i nie Linda, bo tu już nie wchodziła w grę sprawa wyjazdu dziewczyny do szkół, ostatni, że tak powiem, skandal, który ściągnął uwagę miejscowej opinii na osobę Snopesa, bo to już była sprawa zakończona, Linda pojechała na uniwersytet, wprawdzie nie do żadnej uczelni w Wirginii czy, też w Nowej Anglii, jak marzył nasz prokurator, ale bądź co bądź do Oxfordu. Manfreda de Spain nie brałem w rachubę, bo nie stałem po jego stronie. Nie byłem mu też przeciwny; po prostu, jakby powiedział sam prokurator Stevens, człowiek, który już tak wiele miał po swojej stronie jak Manfred de Spain, a przynajmniej któremu tyle wszyscy mieszkańcy Jefferson, czy była to ich sprawa, czy nie, przypisywali — nie potrzebował już dodatkowej pomocy. A tym bardziej na nią nie zasługiwał.

Ale nie zdążyłem nic wymyślić. Upłynęło, co prawda, więcej niż jedna minuta, ale mniej niż dwie, zanim Flem wyszedł z domu Varnerów, jak zawsze w czarnym kapeluszu, z muszką pod brodą, z prymką w ustach, bo zdaje mi się, że ani na chwilę nie przestał żuć tytoniu, a może nawet nie zdjął kapelusza podczas tej krótkiej wizyty, wrócił do samochodu, splunął, wsiadł, a ja zapuściłem silnik i powiedziałem: — Nie trwało to całych dwóch minut, więc jedno cygaro panu daruję.

— Dobrze — odparł. Ruszyłem na pierw-

Szym biegu i trzymając nogę na sprzęgle powiedziałem:

— Jeżeli pani Varner nie było w domu, to może pan chce podjechać pod sklep i powiedzieć wujowi Billy'emu, że zostawił pan dla niej wiadomość na stole w przedpokoju? — Ale Flem dalej żuł swoją prymkę, przesunął ją raz i drugi w ustach, wychylił się przez okno, splunął znowu i rozsiadł się wygodnie. Tak dojechaliśmy do Rocky ford, dostarczyłem maszynę pani Ledbetter, która nas zaprosiła na obiad, zjedliśmy i wróciliśmy do miasta; a około czwartej nad ranem przed domem Flema stanął samochód Jody'ego, z jego Murzynem przy kierownicy, i z tego samochodu wysiadł wuj Billy. Wiem, dlaczego przyjechał o czwartej nad ranem: z powodu pani Varner.

Bo wuj Billy miał zwyczaj kłaść się do łóżka zaraz po kolacji, czyli o tej porze roku jeszcze przed zachodem słońca, więc budził się koło pierwszej lub drugiej godziny po północy. Oczywiście przyzwyczał kucharkę, żeby wstawiała wówczas i przyrządzała dla niego śniadanie, ale jedna Murzynka szczękająca garnkami w kuchni nie mogła wujowi Billy'emu wystarczyć, musiał cały dom na nogi postawić; dopóty tupał, trząskał drzwiami i krzyczał, dopóki pani Varner nie zerwała się i nie ubrała. Wuj Billy zjadał śniadanie, siedząc w fotelu wypalał fajkę, a potem wTacał do łóżka i spał aż do białego dnia. Ale pani Varner, wybita na dobre z pierwszego snu, nigdy już nie mogła potem zasnąć.

Tym razem więc miała swoją szansę. Nie wiem, co Flem jej powiedział czy też doręczył tak ważnego, że wuj Billy pognał

0 drugiej nad ranem do miasta. Ale nie mogło to być dla pani Varner ważniejsze niż sposobność położenia się z powrotem i przespania w spokoju i ciszy, jak się należy uczciwej chrześcijańskiej duszy. Nic mu więc nie powiedziała ani nie doręczyła, póki się nie zbudził swoim zwyczajem o drugiej po północy. Jeśli Flem dał jej jakiś papier, to nawet nie potrzebowała nic mężowi mówić, tylko oparła tę kartkę o lampę przy łóżku wuja Billy'ego, a kiedy stary zaświecił zapałkę, żeby zapalić lampę, zobaczył papier

1 zerwał ze snu cały dom, a nawet i sąsiadów.

Nie wiem, co to było. Ale na pewno nie był to żart, który miał wuja Billy'ego nastraszyć i zmusić do zrobienia czegoś, czego przedtem nie zamierzał. Bo wuja Billy'ego niełatwo nastraszyć i Flem Snopes dobrze o tym wie. Musiało tu chodzić o inne osoby, a jedynymi osobami w Jefferson, dla których wuj Billy mógł się fatygować i robić coś, o czym nigdy przedtem nie myślał, były Eula i Linda. Nie Flem. Wuj Billy dobrze wiedział od dwudziestu lat, co zrobi z Flemem przy pierwszej okazji, jeśli zięciowi oko nie dopisze, ręka drgnie lub jeśli mu się zdarzy chwila roztargnienia.

Było to coś, czego Flem nie mógł osobiście wujowi Billy'emu powiedzieć. Każda informacja dotycząca banku, którą by Flem zdobył wcześniej niż inni i przekazał czy po prostu powtórzył pani Varner, jeśli byłaby tak alarmująca, żeby wuja Billy'ego po nocy ściągnąć z Sadyby Francuza aż do Jefferson, musiałaby prędzej czy później zaszkodzić Euli czy chociaż ją dotknąć. Prawda, że wuj Billy byle czego się nie boi, że Flem

0 tym wie, ale Flem Snopes także do bojaźliwych nie należy i wiele osób o tym się już przekonało. Ale nie trzeba być tchórzem, żeby nie mieć ochoty wejść do sklepu i staremu Willowi Varnerowi w oczy powiedzieć, że jego córka dotychczas się nie poprawiła

1 że sypia już od osiemnastu lat z mężczyzną, który nie jest jej mężem, i że jej mąż nie ma odwagi sam załatwić tej sprawy, jak się należy.

XIX. CHARLES MALLISON

pspi akby cyrk przyjechał albo jakby to jgglSi był dzień okręgowego jarmarku. Na- BSEMI wet lepiej: jakby się odbywały zawody okręgowe czy stanowe, bo nawet zwolniono nas z lekcji. Tym bardziej było to podobne do jarmarku albo do wielkich zawodów sportowych, że ktoś miał tego dnia ponieść śmierć, chociaż oczywiście nikt o tym z góry nie wiedział.

Zaczął się od niespodziewanych wakacji.

Jak gdyby czas, okoliczności, warunki geograficzne złożyły się na jakieś wydarzenie, które musiało nadejść, czy w każdym razie nadeszło, a teraz wybiła godzina i Jefferson w Missisipi, jako widownia tego zdarzenia, musiało przygotować i uprzątnąć scenę.

Wakacje szkolne zaczęły się we wtorek rano. W poprzednim tygodniu przybyli do Jefferson nowi mieszkańcy, inżynier drogowy z żoną i małym synkiem, którego zapisano do szkoły, do drugiej klasy. Pewnie był już chory, kiedy go matka przyprowadziła, bo tego samego popołudnia postanowiono go odesłać do domu i wezwano matkę, żeby po niego przyszła, a wieczorem chłopca odwieziono do Memphis. Działo się to w czwartek, ale dopiero w następny poniedziałek po południu nadeszła wiadomość, że to jest przypadek Heine-Mediny, więc rozesłano zawiadomienia, że szkoła będzie zamknięta, dopóki władze nie uradzą, co należy robić, a czego nie robić, i dopóki nie dowiedzą się dokładnie, co to za choroba ta Heine-Medina i co się stało z synkiem inżyniera i tak dalej. W każdym razie mieliśmy wakacje nieoczekiwane i nawet niespodziewane w kwietniu; w taki ranek kwietniowy, kiedy budząc się myślisz, że kwiecień to pora najstosowniejsza, żeby nie chodzić do szkoły, a po chwili dodajesz w myśli: „Z wyjątkiem jesieni”, bo jesienią powietrze jest rześkie, a zarazem wcale nie zimne, drzewa są żółte i czerwone, i można polować od rana

do wieczora; ale po namyśle mówisz sobie: „I z wyjątkiem zimy”, kiedy gwiazdkowe wakacje już się skończyły i nie ma już żadnych miłych widoków na najbliższą przyszłość aż do lata. Więc w końcu dochodzisz do wniosku, że żadna pora roku nie jest najlepsza na węgry, a skoro tak, to widocznie szkoła jest niezłą rzeczą, bo gdyby nie ona, nie byłoby w ogóle wolnych dni ani wakacji.

W każdym razie byliśmy zwolnieni ze szkoły i nie wiedzieliśmy, na jak długo; a to było także wspaniałe, bo nikt nie musiał sobie mówić: „Już tylko dwa dni” albo: „Już tylko jeden dzień”, po prostu mieliśmy wakacje, oddychaliśmy wolnością, dziś, jutro, kto wie? może jeszcze pojutrze; kto wie? może i popojutrze; kto wie? może jeszcze następnego dnia. A więc w środę, gdy nawet dzieci, które siedziałyby w szkole, gdyby synek inżyniera drogowego nie zachorował, nawet dzieci zaczęły się domyślać, że coś się stało, że coś się dzieje w biurze prezesa, banku — nie w starym banku Jefferson, ale w tym drugim, dotychczas nazywanym nowym bankiem albo bankiem pułkownika Sartorisa, chociaż pułkownik od siedmiu lat już nie żył, a prezesem był teraz pan de Spain. Ale nie zaskoczyło nas to wcale, bo to był tylko jeden ze składników tego zdarzenia, do którego czas czy okoliczności, czy inne jakieś siły przygotowały scenę opróżniając także szkołę.

Ale nie, nie byłoby słuszne powiedzieć, że scena ograniczała się tylko do jednego banku. Nie byłoby też słuszne twierdzenie, że czas, okoliczności, warunki geograficzne czy inne siły opróżniły szkołę w połowie kwietnia na cześć zdarzenia, które miało się rozegrać we wnętrzu określonych czterech ścian. Sceną było całe miasto. Wszystkie jego mu-ry, ziemia, na której stały, powietrze, w którym się wznosiły; wszystkie ściany w mieście, atmosfera Jefferson, w której ludzie poruszali się, mówili i którą oddychali. Siedzieliśmy już przy obiedzie wszyscy z wyjątkiem wuja Gavina, który na ogół nigdy się nie spóźniał, chyba że musiał wyjechać z miasta w jakichś sprawach okręgowych; a kiedy wuj Gavin wszedł, od razu można było wyczuć, że coś jest nie w porządku. Właściwie nie zawsze zauważałem, kiedy z nim działo się coś niedobrego, nie dlatego, że miałem dopiero dwanaście lat, ale dlatego, że nie trzeba było patrzeć na wuja Gavina, wszystko wiedziało się i tak patrząc na twarz matki, byli przecież bliźniakami. Jeżeli ktoś pytał matki: „Co się stało?” — i pytający, i matka, i wszyscy obecni dobrze rozumieli, że to znaczy: „Co się stało Gavi- nowi?”

Ale ojciec był zawsze niezawodny. Wuj Gavin wreszcie przyszedł, usiadł, rozłożył na kolanach serwetę i mruknął coś niewyraźnie, a ojciec spojrział na niego i znów zajął się jedzeniem, a potem raz jeszcze podniósł wzrok na wuja Gavina.

— Słyszałem — powiedział — że starego Willa Varnera wyciągnięto o drugiej w nocy z łóżka i sprowadzono z tak daleka do miasta, żeby zrobić pewną propozycję Manfredowi de Spain. Ale jaką?

— Co? — powiedział wuj Gavin.

— Co można zaproponować człowiekowi, który już jest prezesem banku? — powiedział ojciec.

— Charley! — powiedziała matka.

— Zresztą może źle się wyraziłem: „zaproponować” — rzekł ojciec. — Jakie by tu słowo było najstosowniejsze, kiedy chodzi o wyproszenie faceta z łóżka...

—■ Charley! —• powiedziała matka.

— ...zwłaszcza że w tym łóżku nigdy nie powinien się znaleźć. Nie mówiąc już o tym, że trzeba było posyłać taki szmat drogi, aż do Sadyby Francuza, po teścia, żeby to słowo wymówił...

— Charles! — powiedziała matka. Taka była sytuacja. Jak gdyby coś, co działo się w Jefferson od osiemnastu lat — mniejsza z tym, czy dobre, czy złe od początku, teraz już nie grało to roli — stało się w końcu naszą sprawą, zżyliśmy się z nią, już nie było nawet widać blizny. Tak bywa, kiedy gwóźdź wbity przed laty w drzewo pogwałci je, rozedrże, skaleczy; drzewo, co prawda, nie ma nawet wielkiego wyboru: albo ceni sobie wyżej zasady niż soki życia, nie godzi się na zniewagę i w następnym roku przestaje ciągnąć soki z ziemi, albo też godzi się

ze zniewagą, ciągnie soki, chce pozostać drzewem jak się da najdłużej, aż wreszcie gwóźdź znika. Tkwi w drzewie dalej, ale już nie bije w oczy, schował się pod korą. Został tylko guz, oczywiście zgrubienie na pniu, lecz po pewnym czasie inne drzewa przebaczą to i cały świat dokoła akceptuje skaleczone drzewo razem z guzem, dopóki pewnego dnia topór nie natrafi na stary gwóźdź.

Miałem wtedy dwanaście lat. Na orbicie, którą zatacza dzieciństwo, osiągnąłem po raz drugi ten punkt, kiedy dzieci — a przynajmniej chłopcy — wchodzą w tę samą cywilizację, w której obracają się dorośli, i przez czas jakiś w niej żyją. Chłopcu wydaje się wówczas, że może te rozsądne i niewinne rzeczy, których mu starsi zabraniają, są w ich oczach równie głupie, jak w jego pojęciu to wszystko, co oni chcą czy też muszą robić. Ale nie, jest trochę inaczej: kiedy śmieją się z ciebie, przychodzi ci nagle na myśl: „Może ja naprawdę jestem zabawny?” i tak samo ich zachowanie wcale nie jest dla ciebie oburzające ani głupie, ani gorszące, tylko pó prostu zabawne. Mogłem więc w tym czasie pytać. W parę lat później wiedziałbym znacznie więcej niż wtedy. Ale moja orbita już by mnie pociągnęła znacznie dalej, w przestrzeń, gdzie nie możesz dorosłym zadawać pytań, bo w ogóle z nikim nie możesz rozmawiać, nawet z rówieśnikami, ponieważ oni także pędzą w przestwo-

rzach, gdzie nie sposób zetknąć się z kimkolwiek, gdzie nawet nikt nie śmie tego próbować, każdy zajęty wyłącznie utrzymywaniem się w równowadze; przy tym wiesz, że inni tak samo boją się pytać ciebie, jak ty ich, nie ma do kogo się zwrócić, pozostaje ci tylko jedna rada: hałasować, im głośniejszy, tym lepiej, żeby inni, wystraszeni, nie spostrzegli, jak bardzo ty sam się boisz.

Ale wtedy przez jakiś czas jeszcze mogłem pytać. Spytałem więc matkę:

— Dlaczego nie pytasz wuja Gavina? — odparła.

Chciała mi powiedzieć. Może nawet próbowała to zrobić. Ale nie umiała. Nie dlatego, że miałem zaledwie dwanaście lat. Dlatego, że byłem jej dzieckiem, stworzonym przez nią i przez ojca, ponieważ chcieli z sobą razem leżeć w łóżku i nic innego ani też nikt inny nie mógł ich zadowolić. Rozumiecie? Gdyby pani Snopes i Manfred de Spain nie byli istotami ludzkimi, matka mogłaby mi powiedzieć. Ale to byli ludzie tacy sami jak ona i ojciec. Nie o to chodzi, że dziecko nie powinno wiedzieć, iż ta sama magia, która mu dała życie, może pchnąć starego człowieka, jak pan Will Varner, o czwartej nad ranem do miasta po prostu po to, żeby ktoś mógł komuś innemu, nazywającemu się Manfred de Spain, odebrać coś tak nędznego i brzydkiego, jak bank pełen pieniędzy. Ale dlatego, że dziecko nie mogłoby w to uwierzyć. Jest przekonane, że nie zawdzięcza swego życia namiętności swojej matki i swojego ojca, czy też ich zdolności do namiętnych uniesień. To nie może być dla niego prawdą, bo dziecko jest pewne, że istniało wcześniej niż ta namiętność, ono ją stworzyło, a może nawet stworzyło tego mężczyznę i tę kobietę, którzy stali się jej narzędziem. Ojciec nie jest, jego ojcem, ale zięciem, a matka nie jest matką, lecz synową, jeśli dziecko jest dziewczynką.

Nie mogła więc powiedzieć mi, nie umiała. A wuj Gavin nie mógł powiedzieć, bo nie był do tego zdolny, nie umiałby w porę przerwać wyjaśnień. Tak przynajmniej wtedy myślałem. To znaczy, że tak sobie wtedy tłumaczyłem, dlaczego starsi — matka — nie odpowiedzieli mi. Przyczynę upatrywałem we własnej niewinności, a nie w niewinności również wuja Gavina. Matka nas obu strzegła, bo była nie tylko moją matką, ale także bliźnią siostrą wuja Gavina, a jeśli syn i córka są w rzeczywistości teściem i świekrą swego ojca i swojej matki, to siostra jest matką swojego brata, nawet gdy jest od niego dużo młodsza, a siostra, która ma jednego tylko brata, i to w dodatku bliźniaka, mogłaby jednocześnie być mu żoną i matką.

A więc może to była prawdziwa przyczyna; nie mój wiek, za wczesny na akceptowanie praw biologii, ale prawo, jakie przysługuje każdemu człowiekowi, by strzeżono jego sekretu, chroniono przed oczyma świadków jego własną namiętność, o której wolno

mówić chyba tylko w najogólniejszym, nie- sprecyzowanym i bezosobowym języku literatury, jakim ludzkie kukły występujące w powieściach i dramatach wyrażają swoje uczucia, przybierając pozy tryumfu lub męki, lecz nie przelewając prawdziwej krwi i nie cierpiąc naprawdę; żaden człowiek nie jest godny miłości, skoro natura nie dała nam władzy nad miłością, lecz tylko każe nam się jej poddawać i żyć nawet po jej stracie. Nikt więc nie powinien był śledzić wuja Gavina, gdy miłość torturowała jego bezbronne ciało, nikomu na to matka nie pozwalała, jeśli było to w jej mocy, i osłaniała brata.

Ale gdyby nawet wszystko mi wówczas powiedzieli, nie zrozumiałbym, nie z powodu niewinności, lecz z powodu niewiedzy, i dopiero po kilku latach odkryłem, czego naprawdę byłem świadkiem tego środowego popołudnia, gdy całe miasto czekało, by topór trafił na ukryty gwóźdź. A właściwie nie ukryty, nie zabliźniony ani też wchłonięty przez drzewo, lecz wrosnięty w pień jak narośl, obca i trująca; rana nie zgoiła się, lecz tylko zakrzepła w strup, wciąż odnawiający się, nieuleczalny, jak nacięcie na słupie przydrożnym.

Bo nasze miasto zostało założone przez aryjskich baptystów i metodystów dla aryjskich baptystów i metodystów. Mieliśmy, co prawda, w pralni Chińczyka, a także dwóch Żydów, braci, z rodzinami, właścicieli sklepu i konfekcyjnego. Ale jeden z nich kształcił się i w Rosji na rabina, mówił siedmioma językami- j mi, między innymi po grecku i po łacinie, dla | rozrywki studiował geometrię; rozgrzeszono ; go więc i objęto tym samym rozgrzeszeniem | starego doktora Wyotta, honorowego preze- j sa Akademii (założył ją jego dziadek), który | nie tylko znał grekę i język hebrajski, ale i także sanskryt, dostał dwa zagraniczne orde- ! ry za to, że (jak mówiono w Jefferson) nie | poprzestając na wyznawaniu ateistycznych i poglądów, głosił je, chwalił się nimi, wal- j czył o nie przez co najmniej sześćdziesiąt lat | z osiemdziesięciu, jakie przeżył, a poza tym j pobił w szachach pana Wildermarka, senio- | ra. Drugi Żyd, brat pierwszego, jego rodzina oraz Chińczyk chodzili do kościoła metody- r stów, należeli do niego, a więc też się nie ! liczyli, co najwyżej nie uważaliśmy ich za białych, chociaż nie byli właściwie także ko- | lorowi. Chińczyk był kolorowy, ale przecież j nie czarny i reprezentował wyłącznie siebie, i jako jedyny okaz swego gatunku, zupełnie | samotny. Nie miał rodziny, nie miał rodaków, pół świata czy przynajmniej pół kon- ! tynentu (wiedzieliśmy, że w San Francisco jest Dzielnica Chińska) dzieliło go od współ- braci, wydawał się więc nieszkodliwy jak muł.

Jest w Jefferson mały kościół episkopalny, najstarszy zachowany budynek w mieście (zbudowany przez niewolników i uważany za najlepszy, najpiękniejszy, oczywiście przez

turystów z Północy, którzy przejeżdżali przez Jefferson z aparatami fotograficznymi w pogotowiu, w złudnej nadziei — nie wiem dlaczego, skoro sami to miasto spalili i wysadzili dynamitem w powietrze w 1863 roku — że Jefferson jest miastem o wiele starszym albo że chociaż wygląda na starsze, i mieli do nas lekkie pretensje z powodu tej swojej pomyłki), była też kongregacja prezbiteriańska, dwie najstarsze kongregacje w kraju, sięgające swymi początkami dawnych czasów Issetibbeha, wodza plemienia Chickasaw, i jego siostrzeńca, Ikkemotubbe, zwanego Zgubą, a więc czasów, gdy jeszcze nie istniał nasz okręg, a Jefferson nie było miastem, jakim jest dzisiaj. Ale w naszych czasach kościoły prezbiteriański i episkopalny nie bardzo już różniły się między sobą i od kurhanów usypa-nych przez starego Issetibbeha, rozproszonych w dolinach rzecznych w okolicy, których spadkobiercami, uzurpatorami i grabieżcami byli baptyści i metodyści; nasze miasto założyli i wola swoją stworzyli nie katolicy i nie protestanci, nawet nie ateści, lecz niepoprawni nonkonformiści, którzy nie chcieli podporządkować się żadnemu innemu wyznaniu, ale za wspólną zgodą nie zgadzali się też między sobą; ten non- konformizm obronili i zachowali potomkowie, których przodkowie nie porzucili ojczyzny i bezpieczeństwa dla dzikich pustkowi, gdzie mogli znaleźć wolność przekonań — jak głosili, jak nawet wierzyli — ale po to,

by znaleźć wolność trwania w niepoprawnym, niewzruszonym baptyzmie lub metodyzmie; nie po to, żeby uciec przed tyranią, jak twierdzili, jak wierzyli, ale po to, żeby tyranię utwierdzić.

Teraz, po osiemnastu latach, topór kary, który my oczywiście nazywaliśmy toporem cnoty i zwykłej sprawiedliwości, miał spaść na tajemny, ukryty w nie zagojonej ranie gwóźdź, wbity w moralny pień naszego społeczeństwa — na ten gwóźdź tkwiący w ranie nie tylko ropiejącej i nie zabliznionej, ale nieuleczalnej, ponieważ zadał ją nie zwykły grzech, lecz grzech śmiertelny, coś, co nie powinno w ogóle istnieć, co powinno być unicestwione już przez samo uświadomienie sobie treści tego pojęcia, a co jednak ludzie, jak się zdaje, stale i niemal powszechnie popełniają całkowicie bezkarnie. Świadczy o tym osiemnaście lat, podczas których nie tylko grzesznicy drwili z przyzwoitości i moralności, ale zachowując dyskrecję zmuszali przyzwoitych i moralnych ludzi do tolerowania grzechu. Nikt ich dotychczas nie zdemaskował; obrażali moralność samą, sprzymierzając się z siłą gospodarczą, bo przecież rzetelność i wypłacalność banku byłaby narażona, gdyby ujawniono grzeszną tajemnicę.

W rzeczywistości miasto dzieliło się na dwa obozy, a każdy z nich rozpadał się z kolei na sto, można by rzec, indywidualnych nonkonformistycznych biwaków: kobiety, które nienawidziły pani Snopes za to, że

pierwsza zdobyła pana de Spain, albo też nienawidziły pana de Spain za to, że wołał panią Snopes od nich; mężczyźni, którzy znenawidzili pana de Spain, ponieważ nie mogli być w jego skórze, albo też nienawidzili go za to, że był od nich młodszy, odważniejszy (mówili, oczywiście: miał więcej szczęścia); osoby obu płci — a raczej osoby tej samej, skwaśniałej bezpłciowej odmiany — nienawidziły ich oboje za to, że tamci odkryli czy też we dwoje osiągnęli coś, co im się nigdy nie udało z tych czy innych powodów; a skoro im się nie udało jej osiągnąć, ta cudowna rzecz nie powinna w ogóle istnieć, z pewnością nigdy nie istniała na świecie. Kobiety nie mogły powstrzymać się od potępienia tego związku, ponieważ był, musiał być bezpłodny; mężczyźni nie mogli powstrzymać się od potępienia go, ponieważ sami wybrali zimne, pospolite bezpieczeństwo zamiast wspaniałego, dzikiego głosu krwi — to byli ci, którzy nie tylko popierali grzech, ale podtrzymywali przy życiu swój własny tajemny żal, oszczędzając grzeszników ze względu na bank de Spaina. Dwa obozy: jeden uważał, że trzeba teraz ujawnić grzech, który trwał już i tak o osiemnaście lat za długo; drudzy mówili, że nie wolno go teraz ujawniać, bo w ten sposób obnażymy własną nikczemność, skoro przez' tak długie lata wszyscy pomagali go ukrywać.

Bo topór już nie tylko szukał gwoźdźca.

O tyle, o ile rzecz dotyczyła Jefferson, topór

już trafił na gwóźdź i czekaliśmy jedynie, żeby zobaczyć, w którą stronę rozprysną się i rozpadną drzazgi wiadomego drzewa z naszego lasu (nie topora, z pewnością nie topora; gdyby to sprawiedliwe, niezwykłe ostrze moralności miało się przy tym zetknięciu rozlecieć w kawałki, byłby to koniec wszystkiego, bo przecież sama tkanina życia baptystów i metodystów jest ułudą, nicością).

Czekaliśmy tak przez całe popołudnie, podczas gdy stary pan Varner krył się czy raczej pozostawał niewidzialny w domu Fle- ma Snopesa. Nie wiedzieliśmy nawet, czy rzeczywiście stary pan Varner przebywa w mieście, nikt go nie widział, wierzyliśmy tylko na słowo Ratliffowi, że wuj Will przyjechał samochodem swojego syna o czwartej rano, ale ta wiadomość nie była całkiem pewna, chyba że Ratliff całą noc czuwał pod drzwiami Snopesów. Ale pan Varner tam był, musiał tam być, inaczej cała historia nie miałaby sensu. A bank pana de Spaina funkcjonował jak zawsze, rzeczowy, ruchliwy, dostatni w swojej złotej aurze, aż do godziny trzeciej, kiedy to niemal z wybiciem zegara do bocznych drzwi zapukał goniec z drugstore'u pana Christiana i został wpuszczony razem z rytualną tacą, na której niósł cztery butelki coca-coli dla dwóch panien z księgowości, dla panny Killebrew z rachuby i dla kasjera, pana Hovisa. A potem, jak zwykle o tej godzinie, wyszedł pan de Spain,

jak zwykle wsiadł do samochodu i pojechał na inspekcję jednej z farm, które teraz posiadał czy też na której bank miał hipotekę. Wszystko jak zwykle, bez pośpiechu, bez paniki, bez zakłóceń porządku dziennego finansowej instytucji. Ktoś też twierdził, że w ciągu tego dnia, czy to przed południem, czy po południu, widział pana Snopesa we własnej osobie, w niczym nie zmienionego, spokojnego, opanowanego, w dużym czarnym kapeluszu plantatora wciąż jeszcze nowiuteńkim (maleńka muszka, którą nosił od osiemnastu lat, także wydawała się nowiuteńka), krzątającego się około własnych, zagadkowych i nie dających się wyjaśnić interesów.

Potem wybiła godzina piąta, ale nadal nic się nie działo. Wkrótce już ludzie mieli powracać do domów na kolację, a wtedy byłoby na wszystko za późno. Zastanawiałem się, czyby nie pójść do biura i nie poczekać tam na wuja Gavina, żeby z nim razem wrócić do domu, ale musiałbym wejść na piętro, potem znów zejść i raz jeszcze wchodzić na górę, więc pomyślałem, że wiosenne osłabienie jest doskonałym pretekstem, żeby nie robić tego, na co się nie ma ochoty, ale w chwilę później przyszło mi do głowy, że wiosenne osłabienie może nie jest pretekstem, lecz prawdziwym powodem.

Stałem więc tylko na rogu, w miejscu, przez które musiał przechodzić, i czekałem na niego. I wtedy zobaczyłem panią Snopes. Wyszła właśnie z gabinetu kosmetycznego, od pierwszego rzutu oka każdy musiał poznać, gdzie przed chwilą była, i przypomniałem sobie, co kiedyś powiedziała matka: że z wszystkich pań w Jefferson tylko pani Snopes nigdy nie chodzi do gabinetu kosmetycznego, bo jej to niepotrzebne, nic tam nie można kupić, czego by i bez tego nie miała. A jednak tego dnia poszła i teraz zatrzymała się przed drzwiami, rozejrzała się po ulicy w prawo i w lewo, zanim skręciła w moją stronę, a gdy mnie zobaczyła, powiedziała: — Halo, Chick — a ja zdjąłem czapkę; miała w ręku torebkę, jak inne panie, i już ją otwierała szukając czegoś.

— Właśnie chciałam cię spotkać — powiedziała. — Czy możesz to doręczyć wujowi, jak wrócisz do domu?

— Dobrze, proszę pani — powiedziałem. Dała mi list w kopercie.

— Dziękuję — powiedziała. — Czy są jakieś nowiny o zdrowiu tego małego Ridella?

— Nie słyszałem — odparłem. Koperta była nie zaklejona. Nie było też na niej adresu.

— Miejmy nadzieję, że go w porę odwieziono do Memphis — powiedziała. Raz jeszcze powtórzyła: — Dziękuję ci — i odeszła idąc po swojemu, niepodobna do wyzła wystawiającego zwierzyńnię, jak Linda, ale raczej jak gdyby do płynącej wody. Mogła przecież do wuja Gavina zatelefonować; omal nie powiedziałem: „Pani nie chce, żeby ten list pokazał mojej matce?” — w ostatniej

chwili ugryzłem się w język. Bo list był nie zaklejony. Ale i tak nie mógłbym tego zrobić. Zresztą nie miałem sposobności. Matki nie było jeszcze w domu. Przypomniałem sobie, że jest środa, więc na pewno poszła do państwa Sartorisów na zebranie Towarzystwa Imienia Byrona, chociaż mówiła, że od dawna już się tam nie odbywały żadne odczyty, bo panie wołały grać w bridża, dobrze przynajmniej, że u pani Jenny du Pré podają grog albo poncz zamiast coca-coli i kawy.

Nie się więc nie stało i było już za późno, słońce zachodziło, grusza w kącie dziedzińca przekwitła już od miesiąca, a drozd przeniósł się z niej na dereń, już osypany różowymi pączkami, i tam śpiewał po całych nocach od tygodnia, aż wszyscy zaczęliśmy się pytać, dlaczego, u diaska, nie znajdzie sobie innego miejsca i nie da nam spać spokojnie. W domu nie było nikogo prócz Alecka Sandera, który siedział na frontowych schodkach z piłką i kijem do palanta. — Chodź — powiedział. — Zagramy, ja strzelam. — Ale zaraz się poprawił: — No, dobrze, ty strzelaj, a ja będę ci piłki przynosił.

W domu było prawie zupełnie ciemno. Czuję już nosem kolację, zrobiło się za późno, koniec na dzisiaj: pan de Spain pojechał swoim nowym Buickiem sprawdzić, czy dużo pieniędzy przyniesie mu w tym roku bawełna, a pani Snopes wyszła z gabinetu kosmetycznego z zaondulowanymi włosami czy też inaczej upiększona, może przed jakimś przyjęciem urządzanym tego wieczora w jej domu, więc pewnie jeszcze nic się nie zaczęło dziać; może stary pan Varner wcale nie przebywał w mieście, może nie przyjechał, może nawet nie miał zamiaru przyjeżdżać, może mały Ridell tylko po to rozchorował się, żeby nam dać kilka dni wakacji, których się nie spodziewaliśmy i z którymi nie wiedziałem, co zrobić; aż w końcu usłyszałem kroki wuja Gavina na schodach i z kopertą w rękę dogoniłem go w hallu na piętrze; na schodach i w hallu widziałem tylko jego sylwetkę, ale potem mimo półmroku zobaczyłem jego twarz i nagle, zupełnie nagle musiałem powiedzieć:

- Nie będziesz jadł dzisiaj z nami kolacji.
- Nie będę — odparł. — Zawiadam matkę.
- Proszę — powiedziałem i podałem mu kopertę, a on ją wziął.

XX. GAVIN STEVENS

imo w'szystko jeść trzeba. Wróciłem więc do biura, otworzyłem drzwi i zostawiłem nie zamknięte na klucz, pojechałem do Seminary Hill, żeby zjeść trochę sera i biskoptów słuchając, jak stary pan Garraway przeklina Calvina Coolidge'a i jednocześnie wypędza ostatnich zapóźnionych Murzynów ze sklepu, żeby go na noc zamknąć.

Tak przynajmniej myślałem. Bo po prostu nie można sprzeciwiać się całemu społeczeństwu. Można samotnie oprzeć się jakiejś chwilowej jednomyślności miasta, pełnego ludzi nawykłych do takiego, a nie innego zachowania, można przeciwstawić się tłumowi. Ale nie można opierać się zimnej, nieugiętej abstrakcji zasad moralnych społeczności, która długo cierpiała w milczeniu. Pan Garraway jeden z pierwszych... nie! pierwszy przeniósł swój depozyt z banku pułkownika Sartorisa do banku Jefferson i zrobił to, zanim jeszcze Flem Snopes obmyślił czy też miał powód, by obmyślać swoją akcję straszenia drobnych dzierżawców wiejskich. Zrobił to natychmiast, gdy my — miasto i okręg — dowiedzieliśmy się, że Manfred de • Spain niewątpliwie zostanie prezesem banku. Bo pan Garraway należał do pierwotnej garstki nieugiętych i niepoprawnych purytanów z naszego okręgu — zarówno baptystów jak metodystów — którzy, gdyby istniał w okręgu inny urząd skarbowy, chętnie by nawet podatki wpłacali w innym mieście, dopóki w Jefferson godność burmistrza piastował de Spain, żeby uniknąć moralnej zarazy i zmanifestować swój sąd o związku, w jakim żył de Spain. Jednakże później, w rok czy dwa potem, pan Garraway wrócił jako klient do banku pułkownika Sartorisa, może po prostu dlatego, że się zestarzał, a może dlatego, że nie ruszając się prawie ze swego małego, obskurnego sklepu na Se-minary Hill i nie mając po co bywać w mieście nie musiał patrzeć własnymi oczyma na hańbę, upadek i grzech naszego okręgu i mógł o tym, jeśli chciał, nie pamiętać. A może też fakt, raz uznany, traci w końcu dla człowieka znaczenie, czy mu się podoba, czy nie. Tak mi się przynajmniej wydawało.

W liście pisała: „o dziesiątej wieczorem”. Tylko tyle: „Proszę czekać mnie w swoim biurze o dziesiątej wieczorem”. Nie: „Jeśli pan może”, a tym bardziej nie: „Kiedy mógłby pan mi poświęcić chwilę czasu w swoim biurze?” Rozumiecie? Po pierwsze, dlaczego ja, właśnie ja? Żeby powiedzieć wszystkim trzem... nie, czterem, wliczając mnie i de Spaina: „Dlaczego nie zostawiacie mnie w spokoju? Czego chcecie ode mnie więcej ponad to, czego nie udało mi się-dotychczas zrobić?” Ale miałem dość czasu na rozmyślanie o tym, dość czasu, by zjeść sardynki i biszkopty, i przytakiwać panu Garrawayowi, gdy wyliczał najnowsze krzywdy, jakie mu wyrządził prezydent Coolidge i jego partia. Nagle pan Garraway — stary człowiek, ze starczymi, mętnymi, zamglonymi oczyma powiększonymi i olbrzymimi za grubymi soczewkami druczianych okularów — powiedział: — Podobno Will Varner przyjechał dziś rano do miasta?

— Tak — powiedziałem.

— A więc przyłapał ich. — Drżał, trząsał się stojąc za zniszczonym kontuarem, przejętym w spadku po ojcu, pod półkami, na któ

rych stały puszki z konserwą mięsną, szpulki nici, grzebienie i igły, butelki z przyprawami kuchennymi, lekarstwo na malarię, różne kobiece drobiazgi — towar zapewne w jakiejś części także odziedziczony po ojcu. — Ale nie. mąż. Ojciec musiał się fatygować, żeby ich przyłapać po osiemnastu latach!

— Ale pan przeniósł tam z powrotem swoje pieniądze — powiedziałem. — Zabrał je pan, gdy usłyszał pan tylko plotki o grzechu,

o hańbie i zgorszeniu. Potem je. pan wpłacił z powrotem. Czy dlatego, że w końcu pan. także ją zobaczył? Może któregoś dnia weszła do pańskiego sklepu i zobaczył ją pan na własne oczy, musiał ją pan poznać, uwierzyć, że przynajmniej ona jest niewinna? Czy tak?

— Znałem jej męża — odparł, niemal krzyknął hamując głos, żeby Murzyni nie dosłyszeli, o czym mówimy, o czym on mówi. — Znałem go. Zasłużył na to.

Wtedy przypomniałem sobie: — Och, tak — powiedziałem. — Mam wrażenie, że pana zauważyłem w mieście dziś po południu. — Wszystko już wiedziałem. — Odebrał pan dzisiaj znowu pieniądze i przeniósł je pan raz jeszcze do banku Jefferson, prawda? — Pan Garraway trząś się, mimo że usiłował opanować drżenie. — Dlaczego? — spytałem. — Dlaczego pan to zrobił dzisiaj znowu?

— Ona powinna wyjechać — rzekł. — Oboje muszą wyjechać... ona i de Spain.

— Ale dlaczego? — spytałem, wymrucza

łem, żeby Murzyni nie dosłyszeli, jak dwaj biali w sklepie pełnym czarnych rozprawiają

o wiarołomstwie białej kobiety. Gorzej:

o wiarołomstwie w środowisku białej elity miasta i najwyższych władz banku. — Dlaczego dopiero teraz? A więc dopóki mąż przymykał oczy, rzecz była dopuszczalna, a zmieniła się dopiero teraz, kiedy ktoś... jak pan to określił?... przyłapał ich, wyciągnął sztydło z worka? Dopiero teraz stali się parą grzeszników, zbrodniarzy, trędowatych? Nie liczy się ich stałość, wierność, przywiązanie, nie wymuszone oficjalną więzią przywiązanie, osiemnaście lat uczucia?

— Pan niczego więcej sobie nie życzy? — spytał. — Jestem zmęczony. Chciałbym iść do domu. — Znaleźliśmy się na werandzie, gdzie paru Murzynów jeszcze marudziło, ich twarze i ramiona już się stapiały z tłem ciemności za jasnymi plamami koszul, kapeluszy, spodni, jak gdyby z wolna pozbywali się tych wszystkich dodatków. Pan Garraway roztrzęsionymi rękoma zakładał ciężką kłódkę na żelazne pierścienie i zamykał ją. Niespodzianie głośno powiedziałem: — Ale następny będzie jeszcze gorszy, o ile to możliwe, bo prawdopodobnie prezydentem zostanie gubernator Smith, a Smith, jak panu oczywiście wiadomo, jest katolikiem. — W ostatniej chwili chciałem wstrzymać te słowa, po prostu ze wstydu, ale nie mogłem, a może powinienem był zawstydzić się i powstrzymać, ale nie chciałem. Kim byłem,

jaką to misję spełniałem, że pozwalałem sobie tak zadawać ciosy to z prawej, to z lewej strony, na ośle, niby bezrozumna, poślednia siła przyrody? Jakim prawem zatrąłem wieczorny posiłek i sen temu starcowi, szamoczącemu się z ciężką kłódką; jak gdybym chłostał tego człowieka, który ostatecznie na swój sposób, na sposób wielu innych ludzi, był poczciwym staruszką i nigdy w życiu świadomie ani bezwiednie nikomu nie szkodził, czarnym ani białym, nie zrobił nikomu większej krzywdy; co najwyżej doliczył kilka centów do ceny sprzedając towar na kredyt albo też sprzedał Murzynowi za pół ceny czy nawet jeszcze taniej (tak, czasem wręcz darowywał) trochę cuchnące mięso lub zjełczałą słoninę, lub zarobaczoną mąkę, chociaż nigdy by takich towarów nie ośmielił się sprzedać w swoim sklepie białemu — rozumie się przyzwoitemu białemu, protestantowi — na jego własny użytek. Odwrócony ode mnie plecami, majstrował nieporadnie koło ciężkiej kłódki, zgarbiony, jakbym go naprawdę uderzył, i powtarzał:

— Muszą wyjechać. Oboje muszą wyjechać.

Jest tam w terenie pasmo wzgórz, gdy się minie Seminary Hill, wkrótce trafia się na nie jadąc miękką, spokojną polną drogą, która wspina się pod górę i łączy z szosą, prowadzącą z Jefferson w świat. Jeżeli z tego miejsca spojrzeć za siebie, widzi się u swoich stóp całą Yoknapatawpę w gasnącym świetle dnia. Gwiazdy właśnie wschodziły, nowe rozbłyskiwały na moich oczach pomiędzy innymi, już zimnymi i płonącymi łagodnie; dzień kończył się ogromnym, zielonym, bezdźwięcznym szumem rozpostartym ku północo-zachodowi aż po zenit nieba. Ale zdawało się, że światło nie opuszcza ziemi, wsysane w głąb i w górę przez chłodną przestrzeń zieleni, lecz gromadzi się, zlewa, zatrzymuje na jakiś moment w zagłębieniach ziemi, tak że gleba sama promieniuje i tylko gęste kępy drzew sterczą z niej ciemne, czarne i nieruchome.

Potem jakby na dany sygnał zjawiły się świetliki — świecące robaczki, jak je nazywały dzieci w Missisipi — miriady gorączkowych, chaotycznych, migocących światełek; niczego nie szukały, do niczego nie dążyły, kłębiły się rozedrgane jak cichutkie, nieustające, nieukozone głosy, okrzyki, słowa. A ty, wyniosły i samotny, stoisz i podsumowujesz całe swoje życie wśród tego nieustannego, nieuchwytnego roju iskier. Masz przed sobą na pierwszym planie Jefferson, ognisko rozsiewające w przestrzeni swoje nikłe światło. Dalej, otaczając miasto, rozpościera się Yoknapatawpha spięta ze swoim ośrodkiem rozbiegającymi się promieniście drogami, jak obręcz koła szprychami przymocowana do piasty, a ty na tę chwilę od tego wszystkiego oderwany, niby sam Bóg wywyższony nad kolebkę, w której się urodziłeś, nad mężczyzn i kobiety, którzy cię

zrobili tym, czym jesteś, patrzysz w księgę i kronikę twojego rodzinnego kraju, rozłożoną tutaj dla ciebie w koncentrycznych kołach podobnych do kręgów na wodzie życia, pod którą śpi bez snów twoja przeszłość; wolny od cierpień, niedotykalny, królujesz nad tym mikrokosmosem człowieczych namiętności, nadziei, klęsk — ambicji, trwogi, żądz, odwagi, wyrzeczeń, litości, honoru, grzechu i dumy — splątanych z sobą, chaotycznie i nietrwale związanych w jeden pęk cienką, twardą jak żelazo siecią ludzkiej chciwości, ale zarazem kryjących we wnętrzu ludzkie marzenie.

Są tutaj wszyscy, leżą pod twoimi stopami, spiętrzeni warstwami jedni nad drugimi, ich trwałe kości zmieszane z sypkim prochem i z duchami — w żyznej aluwialnej glebie na dnie rzeki, w państwie starego Issetibbe- ha, dzikiego króla Chickasaw, leżą jego murzyńscy niewolnicy i jego siostrzeniec, zwany Zgubą, który po trupach szedł do władzy i jak mówi legenda (historia także, bo za czasów mojego dzieciństwa starzy ludzie w naszych stronach pamiętali te zdarzenia, których byli świadkami) ukradł cały statek parowy, wciągnął nietknięty na jedenaście mil w głąb lądu i przeobraził w pałac, by podnieść własny majestat; ta sama tłusta, czarna, płodna ziemia plantacji, dotąd związana z dumnymi, gasnącymi nazwiskami białych plantatorów, niezależnie od tego, czy jesteśmy... czy są jeszcze jej właścicielami, czy nie, z takimi nazwiskami, jak Sutpen, Sartoris, Compson, Edmonds, McCaslin, Beauchamp, Grenier, Iiabersham, Holston, Stevens i de Spain, generałów, gubernatorów, sędziów, żołnierzy (choćby byli tylko porucznikami, weteranami wojny kubańskiej), mężów stanu szczęśliwych lub nieszczęśliwych, szeregowych, polityków, ludzi, co zrobili karierę, albo i po prostu bankrutów, ludzi, którzy grabili, zagarniali, a potem przemijali i schodzili ze sceny, zacierały się twarze i nazwiska. A dalej przepaścista górską krainą bez dróg, niemal niedostępna, kraina McCallumów, Gowrie'ch, Frazierów i Muirów, przeniesionych tutaj żywcem, razem z domowymi ałembikami, ludzi, którzy nie znali innego języka niż stary gaelicki, a i w tym niewiele mieli do powiedzenia, którzy zawędrowali spod Culloden do Karoliny, a z Karoliny do Yoknapatawphy, ale nic się po drodze nie zmienili i nie nauczyli się wiele mówić, tyle tylko, że swoje ałem- biki nazywali teraz „kociołkami”, whisky jednak, którą w nich pędzili (nawet ja ją pamiętam), zawsze tak samo nazywała się „usquebangh”; wreszcie ukryta za horyzontem na południowo-wschodzie Sadyba Francuza, kolebka Varnerow i mrowisko, z którego wypelzła ku północo-zachodowi gromada Snopesów.

Stoisz tam, ty, stary człowiek, z głową już siwą (nie ma znaczenia, że ludzie nazywają tw'oją siwiznę przedczesną, bo życie samo

zawsze jest przedwczesne i dlatego tak boli, tak dręczy), bliski czterdziestki, do której brakuje ci ledwie parę lat, a z dołu dźwiga się ku tobie, podpływa wiosenna noc, bezsenne ciemności, które, chociaż z mroku utkane, odpychają mrok, bo mrok należy do tej małej śmierci, nazywanej snem. Spójrzcie, na zachodzie już znikło ostatnie pasmo zieleni i cały firmament jest już teraz jednym odsłoniętym, wygwieżdżonym i z wolna wirującym sklepieniem, resztki dnia, wypełniające zapadliny, zgasły, a mimo to jakieś rozproszone, mdłe światło przetrwało, bo gdziekolwiek zwrócicie wzrok, dostrzeżecie w tej czarnej ' panoramie nikle jak szept kształty: rozplywające się zarysy kwitnącego krzewu derenia, który zwraca zapożyczone światło światłu, jak mogłyby je zwracać widma świec — świecom.

A ty, stary człowiek, stoisz tutaj i podnosi się ku tobie, otacza cię, dusi wiosenna noc zaludniona milionami par, szukającymi nie samotności, lecz odosobnienia we dwoje, od- - osobnienia przeznaczonego i stworzonego dla nich przez tę wiosenną noc, wiosenną pogodę, przez wiosnę, którą amerykańska poetka, subtelna poetka, rozumiejąca tę sprawę jako kobieta, nazwała porą dziewcząt i szczęściem chłopców. I nie miała na myśli pierwszego dnia stworzenia ani poranka w raju, bo pora dziewcząt i szczęście chłopców jest sumą wszystkich dni: kielichem, pucharem podanym ustom jeden jedyny raz w młodości i nigdy więcej. Trzeba go wychylić albo wysączyć ten jeden jedyny raz w młodości, ale bywa, że zostaje podany przedwcześnie. Bo na tym polega tragedia życia, że musi być ono przedwczesne, nierozstrzygające, aby było życiem; musi samo siebie wyprzedzać, ' prześcigać, ażeby mogło być sobą.

Teraz prawda miała ostatnią szansę wyboru, musiałem wreszcie zdecydować się, czy powiem, czy też nie powiem: „Dlaczego właśnie ja? Dlaczego mnie dręczysz? Dlaczego nie chcesz zostawić mnie w spokoju? Dlaczego ja mam rozstrzygać, czy miałem słusność i czy twój mąż chce po prostu zemścić się na twoim kochanku, czy też Ratliff ma słusność i twój mąż nie dba o ciebie ani

0 swój honor, tylko chce odebrać bank de Spainowi?” Rynek był pusty, a nad nim cztery identyczne tarcze zegara na gmachu sądu wskazywały północy, południu, wschodowi

1 zachodowi godzinę dziewiątą pięćdziesiąt; przestrzeń bezludną o tej porze zaścielały pod łukowymi lampami cienie młodych liści, jak odłupane kęsy betonowej nawierzchni, drugstore'y już zamknięto i tylko parę za- późnionych osób wracało z kina z ostatniego seansu do domów. Albo też mógłbym jej powiedzieć to, na co beze mnie powinna sama wpaść. Jakiegokolwiek masz kłopoty, wezwij na pomoc Manfreda de Spain, skoro nie wahałaś się jego wybrać przed osiemnastu laty, by z nim ugasić potworny atak gorączki. Ale może z góry wiesz, że tym razem on ci

nie pomoże, bo bank nie jest rodzaju żeńskiego, leez męskiego?

Oczywiście zjawił się Otis Marker: — Dobry wieczór — powiedział — kiedy pan zajechał, miałem prawie nadzieję, że to może gangsterzy ehe;) obrabować pocztę albo bank czy coś w tym rodzaju i że będziemy mieli nareszcie jakieś urozmaicenie.

— Tymczasem przyjechał tylko przedstawiciel prawa — odparłem. — A przedstawiciele prawa nie dostarczają;) urozmaicenia, co najwyżej kłopotów, czy tak?

— Nic podobnego przecież nie powiedziałem — rzekł. — Ale jeżeli przedstawiciele prawa czuwają;) i jeżeli pan ma zamiar zostać przez jakiś czas w biurze, skorzystam z tego i zajrzę na posterunek, może nawet zdrzemnę się chwilkę, a pan tymczasem w moim zastępstwie popatrzy na te pędzące wskazówki zegara. — Ale patrzył na mnie. A raczej nie, nie patrzył, lecz śledził mnie, z szacunkiem dla moich siwych włosów, jak przystało „dobrze wychowanemu Missisipińczykowi”, ale bez respektu dla mojego stanowiska, chociaż byłem jego zwierzchnikiem; ani służyście, ani zuchwale, jakby wyczekując czy może z namysłem.

— No, powiedzcie — rzekłem — co macie na myśli?

— Niewykluczone, że pan Flem Snopes i pan Manfred de Spain lada chwila przejadą przez Rynek, a za nimi stary Will Varner z pistoletem, przepędzając icli obu z miasta.

— Dobranoc — powiedziałem — bo chyba nie zobaczymy się już dzisiaj.

. Dobranoc — odpowiedział. — Raczej

pokręcę się gdzieś w pobliżu. Nic będę spał. Nie chciałbym, żeby pan Buck osobiście musiał zrywać się z łóżka i jechać taki kawał drogi do miasta i żeby mnie przyłapał na spaniu.

Rozumiecie? Niezrównane. Otis Harker, któremu płaci się za to, żeby czuwał w nocy, który w dzień powinien by spać w domu, także oczywiście o wszystkim wiedział, widział, jak stary Will Varner o czwartej rano przejechał przez Rynek kierując się do domu Flema. Tak. Niezrównane. Miasto wypowiadało się oficjalnie ustami swojego nocnego stróża, cały okręg przemówił w osobie jednego ze swoich pomniejszych błaznów; osiemnaście lat temu Manfred de Spain myśląc, że idzie po prostu do łóżka z łatwą dziewczyną, z wiejską Lilith, bezwiednie komponował śmieszny komedię, która miała wejść do miejscowego folkloru.

Zostało mi jeszcze dziesięć minut, a Otis Harker potrzebował co najmniej dwudziestu pięciu, żeby obejść bary i prasy bawełny i ich okolice, a potem wrócić na Rynek. Teraz sobie przypominam, że poczułem dym papierosa, zanim jeszcze położyłem rękę na klamce drzwi, które spodziewałem się zastać otwarte, bo przecież sam specjalnie tu przedtem zaszedłem, żeby je z zamka otworzyć. Czuję wciąż zapach dymu, kiedy próbowa

łem naciskać klamkę i gdy wreszcie szczerknęła zasuwka odciągana od wewnątrz i drzwi otworzyły się, i zobaczyłem ją stojącą na tle ciemnego pokoju, w nikłym świetle wpadającym ze schodów. Było jednak dość jasno, żebym mógł widzieć jej włosy i stwierdzić, że była tego dnia w gabinecie kosmetycznym. Maggie mówiła, że ona tam nigdy nie chodzi, ale tego dnia na pewno poszła, włosy miała oczywiście nie ostrzyżone i nawet nie zaonaulowane, ale coś w nich, sam nie wiem co, świadczyło o wizycie u fryzjera.

— Dobrze pani zrobiła zamykając te drzwi — powiedziałem. — Lepiej też nie ryzykujemy zapalania świateł. Tylko że Otis Harker zdaje się już i tak...

— Nie szkodzi — powiedziała. Zamknąłem więc za sobą drzwi na zasuwkę i zaświeciłem stojącą lampę na biurku. — Może pan zapalić wszystkie lampy, jeśli pan ma ochotę. Nie próbuję się ukrywać. Nie chcę tylko z nikim innym rozmawiać.

— Dobrze — powiedziałem siadając za biurkiem. Czekala na mnie w fotelu klienta i w ciemnościach paliła papierosy; ostatni jeszcze się tlił w popielniczce obok dwóch poprzednich niedopałków. Teraz znów siedziała w fotelu klienta, przy biurku, a światło spływało od jej ramion aż do stóp i na ręce, nieruchome, oparte na torebce, którą położyła na kolanach. Ale włosy jej widziałem także; nie była umalowana, wargi miała nie uszminekowane, paznokcie nie polakierowane, tylko włosy nosiły ślady fryzjerskiej ręki. — Pani dzisiaj była w gabinecie kosmetycznym — powiedziałem.

— Tak — odparła. — Właśnie wychodząc stamtąd spotkałem Chicka.

— Ale nie we wnętrzu — powiedziałem i zaraz pożałowałem tego. — Tam gdzie jest w robocie woda i mydło, Chicka jeszcze przez parę lat trudno będzie spotkać — ciągnąłem, zły na siebie, że to mówię. I wreszcie z tym skończyłem. — A więc — powiedziałem — niechże mi pani powie, co on zawiózł wczoraj pani matce, że stary Will poderwał się w drogę do miasta o drugiej w nocy?

— Ach, ma pan tutaj swoją fajkę z kaczana kukurydzy — powiedziała. Fajki tkwiły w miedzianym kubeczku obok puszek z tytoniem. — Aż trzy fajki. Nigdy nie widziałam pana z fajką. Kiedy pan je pali?

— Mniejsza z tym — odparłem. — Co on zawiózł pani matce?

— Testament.

— Nie, nie. O testamencie wiem, Ratliff mi mówił. Chodzi mi o to, co Fiem zawiózł wczoraj rano pani matce...

— Właśnie testament.

— Testament?

— Testament Lindy. Testament, w którym Linda zapisała wszystko, cokolwiek po mnie odziedziczy, sw^Tojemu oj... Flemowi. — Siedzieliśmy naprzeciw* siebie rozdzieleni białym biurkiem i w świetle niskiej lampy, stoją

cej między nami, widzieliśmy właściwie wyraźnie tylko ręce, moje ręce na biurku i jej ręce nieruchome, jak gdyby dwa uśpione zwierzątka wsparte o torebkę na jej kolanach; głos jej także zdawał się senny, tak że nie wyczuwało się udręki, niepokoju, oburzenia w tym małym, obskurnym mauzoleum ludzkich namiętności, na piętrze, w bezpiecznym schronieniu, bezpiecznym nawet od napadów gorliwości Otisa Harkera w tej służbie, za którą mu płacono i której ważność mu wpajano, bo przecież Otis Harker wiedział, że to ja znajduję się w tym lokalu.— Testament. To był jej własny pomysł. Sama go napisała. To znaczy, ona w to wierzy, że sama to wymyśliła i że tego chciała, i że zrobiła to z własnej woli. Nikt nie może jej przekonać, że było inaczej. Nikt jej tego nie powie. Nikt. Dlatego napisałam do pana.

— Musi mi pani wszystko wyjaśnić — oświadczyłem. — To konieczne.

— Chodziło, o sprawę tej szkoły... Kiedy dowiedziała się od pana, że chce pojechać na uniwersytet, że chce stąd wyjechać, że jest tyle różnych szkół, między którymi może wybierać, tyle rzeczy, o których nigdy przed^ tern nawet nie słyszała, że to jest zupełnie naturalne, jeśli młoda dziewczyna... młodzież... pragnie w tych szkołach, w jednej z nich uczyć się, dowiedziała się, że istnieją takie szkoły, o jakich nigdy nawet nie myślała, a już na pewno nie wiedziała, że chce do jednej z nich pojechać. Jak gdyby wystarczyło wybrać tę, która jej się najbardziej podoba, i już wszystko będzie załatwione, zwłaszcza że ja się zgodziłam. Ale potem jej oj... on powiedział: Nie.

Jak gdyby dopiero pierwszy raz dowiedziała się, że ktoś może powiedzieć „Nie”, jakby nigdy przedtem nie słyszała tego słowa. Doszło do... sceny. Nie lubię scen. Sceny są niepotrzebne. Nikt nie potrzebuje urządzać scen, żeby postawić na swoim. Po prostu robi się to, co się chce zrobić. Ale ona tego nie wiedziała. Nie zdążyła się może jeszcze nauczyć, miała przecież wtedy dopiero siedemnaście lat. Ale pan sam to wie. A może nie dlatego, że nie wiedziała. Może właśnie wiedziała za dużo. Może już wtedy, z góry wiedziała, że on ją pokona. Powie- i działa: „Wyjadę, wyjadę! Nie możesz mnie zatrzymać. Do diabła z twoimi pieniędzmi. Jeżeli nie od mamusi, to dostanę pieniądze od dziadka albo od pana Stevensa” (tak, tak, to także powiedziała) ...A on tylko siedział... wszyscy troje siedzieliśmy przy stole, ale Linda wstała wreszcie i tylko on dalej siedział i mówił: „Dobrze. Nie mogę cię zatrzymać”. I wtedy ona powiedziała: „Proszę!” Tak, wiedziała z góry, równie dobrze jak on, że z nim nie wygra sprawy. „Nie — powiedział. — Życzę sobie, żebyś została w domu i uczyła się tutaj, w Akademii”.

I na tym się skończyło. To znaczy na niczym. Tylko tyle. Bo nikt... a w każdym razie młoda dziewczyna nie może nienawidzić na-

prawdę swojego ojca, choćby jej nawet zdawało się, że go nienawidzi albo że powinna go nienawidzić, albo że powinna się starać

o to, ponieważ inni ludzie tego po niej się spodziewają, albo dlatego, że to byłoby niezwykle, romantyczne...

— Tak — powiedziałem. — Bo dziewczęta, kobiety nie interesują się romantycznością, lecz tylko faktami. O, tak, nie pani jedna mówiła mi o tym. Ratliff także, nawet tego samego dnia co pani.

— Vladimir także? — spytała.

— Nie. Ratliff — powiedziałem, ale zaraz dodałem: — Chwileczkę! Vladimir? Pani powiedziała: Vladimir? —• Wtedy ona znieruchomiała zupełnie i nawet dłonie, oparte na torebce, które dotychczas wydawały się jakby uśpione, oddychające własnym życiem, zastygły w bezruchu.

— Nie chciałam tego powiedzieć — rzekła.

— Tak, rozumiem — odparłem. — Nikt prócz pani nie wie, że on ma na imię Vladimir, bo czyż człowiek o takim imieniu mógłby mieć nadzieję zarobienia na życie sprzedając maszyn do szycia czy innych towarów w wiejskich okręgach Missisipi? Ale pani

o tym powiedział, pani wyznał ten sekret, którego strzeże, jak strzegłby tajemnicy obłędu w swojej rodzinie albo nieprawego pochodzenia. Dlaczego?... Nie, niech pani nie odpowiada. Po cóż miałbym wiedzieć, dlaczego pani zwierzył swój sekret. Czy sam nie zachłysnąłem się jednym łykiem tego sa mego trunku? Niech pani powie, nikomu nie powtórzę. Vladimir K. Co znaczy K?

— Vladimir Kiryłycz.

— Vladimir Kiryłycz... a dalej? Chyba nie: Ratliff? Kiryłycz to drugie imię, Rosjanie zawsze mają drugie imię zakończone na „ycz”! albo na „owna”. Od imienia ojca, syn albo córka takiego to a takiego. Ale nazwisko, jak brzmiało nazwisko, zanim zmieniło się na Ratliff?

— On sam tego nie wie. Jego dziadek... raczej prapradziadek czy też jeszcze dalszy przodek był... zaraz... nie porucznikiem, ale...

— Podchorążym.

— W armii brytyjskiej, która skapitulowała podczas wojny rewolucyjnej...

— Tak — powiedziałem. — Generał Burgoyna. Pod Saratogą.

— ...I odesłano go do Virginii, a potem

o nim zapomniano. Via... dziadek Vladimira uciekł z niewoli. Oczywiście jakaś kobieta, dziewczyna, schowała go i żywiła. Ale ona to nazwisko pisała Ratcliffe. Pobrali się, mieli syna, czy może mieli syna i pobrali się, dość że nauczył się mówić po angielsku

1 stał się farmerem w Virginii. A jego wnuk, wciąż jeszcze zachowując w nazwisku to c i t o e na końcu i nosząc imię Vladimir Kiryłycz — ale o tym nikt nie wiedział — przybył do Missisipi razem ze starym doktorem Habershamem, Aleksandrem Holstonem i Louisem Grenier i założyli Jefferson. Zapomnieli, jak się pisze nazwisko Ratcliffe,

więc pisali tak, jak się wymawia, ale w rodzinie zawsze najstarszy syn dostawał imię Vladimir Kiryłycz. Tylko że jak pan słusznie zauważył, człowiek z takim imieniem nigdy by nie zarobił na życie wśi'ód farmerów z Missisipi...

— Nie! — powiedziałem, krzyknąłem. — Chwileczkę. To nieprawda. Oboje się mylimy. Mamy przestarzałe pojęcia. Gdyby ludzie wiedzieli, że on ma naprawdę na imię Vladimir Kiryłycz, byłby już dziś milionerem, bo wszędzie, wszystkie kobiety kupowałyby od niego maszyny czy cokolwiek chciałby im sprzedać, przehandlować albo wymienić. Ale może już wiedzą?... Mniejsza z tym zresztą. Niech pani mówi dalej.

— Jeden syn w każdym pokoleniu po dziś dzień musi mieć te imiona, bo Via... V. K. twierdzi, że to przynosi im szczęście.

— Z tym wyjątkiem, że nie pomogło mu w interesach z Flemem Snopesem — powiedziałem. — Nie pomogło, kiedy się pewnej nocy w ogrodzie Starego Francuza uwikłał w tę transakcję oddając Flemowi swoją połowę restauracji, po powrocie państwa z Teksasu... No, dobrze. A więc wszystko to stało się dlatego, że nikt nie może naprawdę nienawidzić swego ojca...

— Wiele dla niej zrobił. Rzeczy, których nie oczekiwała, o które nawet nie śniła jej się poprosić. Rzeczy, które dziewczęta lubią, jakby umiał wczuć się w życzenia młodej dziewczyny, zanim ona sama je zrozumiała. Dał mi pieniądze, żebym z nią razem pojechała do Memphis i kupiła różne rzeczy na uroczystość rozdania świadectw, kiedy kończyła szkołę. Nie tylko suknię na tę okazję, ale także balową sukienkę i inne rzeczy na lato, niemal całą Wyprawę. Próbował nawet... w każdym razie proponował, obiecywał jej, że urządzi piknik dla wszystkich jej koleżanek i kolegów z klasy. Ale nie chciała. Rozumie pan? - Był jej ojcem, chociaż musiał być także jej wrogiem. Widzi pan: jakby w niej były dwie dziewczyny, jedna przyjęła prezenty i wołała „proszę!”, a druga krzyczała, że nie uda mu się jej zatrzymać, i nie chciała, żeby urządził dla niej piknik.

A latem znów dał mi pieniądze i nawet sam zarezerwował pokoje w hotelu, żebyśmy mogły pojechać nad morze... pewnie pan pamięta...

— Pamiętam.

— ...i spędzić tam cały miesiąc, żeby mogła pływać w oceanie i poznać ludzi, przede wszystkim młodych ludzi. Sam tak powiedział: poznasz młodych ludzi. A kiedy wróciłyśmy i na jesieni wstąpiła do Akademii, zaczął jej wypłacać tygodniową pensję na osobiste wydatki. Czy pan może w to uwierzyć?

— Skoro pani mi to mówi... — odparłem. — I co dalej?

— Był hojny, dawał więcej, niż potrzebowała, więcej niż mogła wydać, za dużo na

tygodniówkę dla siedemnastoletniej dziewczyny w Jefferson. Ale przyjmowała to także, chociaż nie były jej te pieniądze potrzebne, tak samo jak zgodziła się chodzić do Akademii, która też nie była jej potrzebna. Bo to był jej ojciec, rozumie pan? O tym trzeba pamiętać. Rozumie pan?

— Proszę mówić dalej.

— Tak przeszła jesień, zima. Wciąż jej dawał prezenty... ubrania, których nie potrzebowała, nie miała okazji nosić siedemnastolatka w Jefferson, może pan to zauważył? Chciał jej kupić nawet futro, ale wreszcie zaprotestowała, powiedziała mu: „Nie” — w ostatniej chwili. Bo, widzi pan, w ten sposób mówiła mu raz jeszcze: „Nie możesz mnie zatrzymać”. Musiała od czasu do czasu przypominać, że mu rzuciła wyzwanie, mogła przyjmować, co jej się jako córce należało, ale nie chciała dać się przekupić wrogowi.

Potem przyszło lato, ostatnie lato. Wtedy się to zdarzyło. Byłam przy tym, siedzieliśmy wszyscy razem przy stole i on spytał: „Dokąd chciałabyś- wyjechać tego lata? Znow na wybrzeże? A może tym razem w góry? Nie miałabyś ochoty wybrać się z matką do Nowego Jorku?” I już ją miał w rękę, już była pokonana.

Powiedziała: „Czy pobyt nad morzem nie kosztowałby bardzo drogo?” A on: „To nie ma znaczenia. Dokąd chcesz jechać?” Odpowiedziała: „Nie. To za duży wydatek. Czy nie lepiej zostać po prostu w domu?” Bo już ją

pokonał. A naj... najgorsze, że ona sobie z tego nie zdawała sprawy, nie wiedziała, że odbyła się bitwa i że skapitulowała. Przedtem rzuciła mu wyzwanie, chociaż nie wiedziała, co z tym dalej zrobić, jak tego użyć, jak postępować. Teraz już przeszła na jego stronę i nawet o tym nie wiedziała.

I to już wszystko. Na jesieni, w październiku, zaczęła znow chodzić do Akademii i pewnego wieczora, po kolacji, gdy siedzieliśmy w salonie przy kominku, ona z książką... i pamiętam, że siedziała na podwiniętej nodze, i książkę pamiętam, to były wiersze Joljny Donne, które od pana dostała... oczywiście ten drugi egzemplarz, który pan jej dał zamiast pierwszego, podartego w pana gabinecie przez tego chłopaka... jakże on się nazywał? Mechanik z garażu, Matt C-ośtam Lewitt... I wtedy on się odezwał: „Lindo” — a ona podniosła oczy znad książki, trzymając ją wciąż przed sobą (dlatego zapamiętałam tytuł); on powiedział: „Nie miałem racji. Myślałem, że Akademia ci wystarczy, ale teraz wiem, że myliłem się, bo sam przecież w żadnych szkołach nie byłem i nie znam się na tym. Teraz zrozumiałem, że Akademia nie jest już tym, czego ci potrzeba. Czy zgodziłabyś się wyrzec jankeskich uniwersytetów i poprzestać na Oxfordzie?”

Siedziała wpatrzona w niego, osłupiała, i tylko książka z wolna osuwała się na jej kolana. Wreszcie odpowiedziała: „Jak to?” „Czy zechcesz na ten rok zapomnieć o Wirginii

i innych szkołach na Póinocy i wstąpić po Bożym Narodzeniu na uniwersytet w Oxfordzie?” — Cisnęła książkę; nie odłożyła jej, po prostu cisnęła, odrzuciła zrywając się z fotela i mówiąc: — „Tatusiu”. Nigdy przedtem nie widziałam, żeby go dotknęła. Był jej ojcem, zawsze odpowiadała mu na pytania i zawsze grzecznym tonem. Ale był także jej wrogiem, o tym musiała mu zawsze przypominać. Chociaż on ją pokonał w sprawie wyjazdu do szkół, jeszcze się ostatecznie nie poddała. Ale nigdy nie widziałam, żeby go dotknęła, aż do tego wieczora, kiedy skoczyła, rzuciła mu się na kolana, objęła go za ^{sz}» przytuliła twarz do jego kołnierzyka i z płaczem zaczęła powtarzać: „Tatusiu, tatusiu, tatusiu!”

— Niech pani mówi dalej — powiedziałem.

— To już wszystko. Och, to wystarczyło, czy potrzebował wysilać się na coś więcej, redagować to pismo, może jeszcze wykrecać jej ramię, dopóki by nie podpisała pod tym dokumentem swojego nazwiska? Nie potrzebował nawet o żadnym takim papierze wspominać. Może nawet już więcej z nią o tym nie rozmawiał, a jeśli rozmawiał, nie potrzebował jej wiele wyjaśniać, bo ona wiedziała wszystko o testamencie mojego ojca. O tym, że ojciec zapisał przypadającą mi część po prostu Euli Varner, nie wymieniając nawet nazwiska Fnopes, więc wystarczyłoby, gdyby powiedział coś w tym rodzaju: „Tak, tak, twój dziadek jest- zacnym staruszkim, ale mnie jakoś nigdy nie lubił. Nie mam pretensji, twoja matka będzie zabezpieczona, niezależnie od tego, co się ze mną stanie. Twój dziadek tak rozporządził swoim majątkiem, żeby nikt nie mógł twojej matce odebrać tych pieniędzy, dopóki ty ich nie odziedziczysz”. Mniej więcej tak mógł jej to powiedzieć. Ale może i tyle jej o tym nie potrzebował mówić, wiedział, że to niepotrzebne. Znał ją. Był jej ojcem, a jeśli zabraniał jej wyjechać do szkół, to robił to z miłości, bo przecież wszyscy rodzice powołują się na ten powód, kiedy chcą czegoś swoim dzieciom odmówić. A teraz, gdy tak nagle zmienił zdanie i prawie nakazywał jej zrobić to, czego jej przez dwa lata zabraniał, jakież mógł mieć inny powód? Tylko ten, że kochał ją jeszcze bardziej, tak bardzo, że chciał jej dać tę jedną jedyną rzecz, której w całym życiu jej odmówił.

Zresztą nie wiem. Może jej podsunął tę myśl, może nawet pouczył, jakich wyrażen ma użyć. To już teraz nie ma znaczenia. Dość, że się stało. Ojciec jak burza wpadł o czwartej rano do domu i cisnął ten papier na moje łóżko, zanim zdążyłam się obudzić. Zaraz, zaraz... — powiedziała. — Znam się na tym. Sama też taki dokument pisałam. Był prawomocny, należycie... jak to się mówi?

— Sporządzony — odpowiedziałem.

— Sporządzony przez prawnika z Oxfor- du, pana Stone... nie przez starego pana

Stone, lecz przez młodego. Telefonowałam do niego dzisiaj rano. Był bardzo uprzejmy. On...

— Znam go — powiedziałem. — Chociaż kończył studia w New Haven.

— ...powiedział, że chętnie ze mną o tej sprawie porozmawia, ale istnieje zasada...

—Nienaruszalności — powiedziałem.

—...nienaruszalności sekretu klienta. Ona zwróciła się do niego zaraz chyba po przyjeździe do Oxfordu...

Chwileczkę... Owszem, spytałam także o to: dlaczego zwróciła się do niego, ale odpowiedział tylko, że wydała mu się uroczą dziewczyną, która zajdzie daleko, mimo że zagalopowała się trochę przy...

— Formułowaniu warunków — podpowiedziałem.

— ...przy formułowaniu warunków tego zapisu. Powiedziała, że pytała znajomych

o najsympatyczniejszego prawnika w mieście

1 wskazała jej właśnie jego. Wy tłumaczyła mu, o co jej chodzi, a on zredagował tekst tak, jak sobie życzyła.

Owszem, czytałam go: ..przypadającą mi część wszystkiego, cokolwiek odziedziczę po mojej matce, Euli Varner Snopes, w odróżnieniu i poza tym, co przypadnie z tytułu wspólnoty majątkowej jej małżonkowi, zapisuję ojcu mojemu Fle- mowi Snopes". O, tak, jak najformalniej i najlegalniej. chociaż ten adwokat, jak mówił, próbował jej wytłumaczyć, że nie leguje określonego majątku, ale tylko... jak to się mówi?... dysponuje ewentualnie swoim udziałem w spadku, i że nikt tego dokumentu za

pewne nie będzie traktował poważnie, bo mogłaby przecież umrzeć, zanim wejdzie w posiadanie spadku, albo wyjść za mąż, albo 7 jakichkolwiek powodów rozmyślić się, nawet bez pomocy męża, albo też matka jej może nie otrzymać żadnego spadku poza zastrzeżonym w tym testamencie, albo też może go roztrwonić, albo też ojciec może umrzeć wcześniej niż ona i wówczas Linda odziedziczyłaby po nim połowę własnego spadku plus drugą połowę przypadającą matce jako wdowie po nim. JMienie to stałoby się częścią masy spadkowej po jej ojcu i przeszłoby na wdowę, która z kolei legowałaby je córce. Ale Linda skończyła osiemnaście lat, więc jest władna rozporządzać swoim mieniem, a pan Stone jest kompetentny jako prawnik, przynajmniej tak głosi jego licencja, żeby sporządzić testament, sformułować go w języku prawniczym i na właściwym gatunku papieru.

Pan Stone nawet zapytał Lindy, co ją skłoniło do sporządzenia testamentu. Odpowiedziała mu: „Mój ojciec był dla mnie dobry, Kocham go, podziwiam i szanuję...” Słyszysz pan? Kocha go, podziwia i szanuje. Tak, wszystko to jest legalnie w porządku. Jak gdyby to miało znaczenie, legalne czy nielegalne, prawomocne czy nie...

Nie potrzebowała mi tego tłumaczyć. Starzec, od osiemnastu lat w swoim wiejskim sklepie kipiący gniewem na tego zięcia, który go wywiódł w pole przejmując starą zniszczoną plantację i robiąc na niej złoty interes,

starzec wściekły z gniewu i rozczarowania, j że go ten zięc nie tylko przewyższył w łotro- ! stwie i w lichwiarskich praktykach, nie tylko i teraz wykorzystał naiwność młodej dziew- j czyny, jego własnej wnuczki, zdolnej do wdzięczności i wspaniałomyślnej odpłaty za coś, co jej się wydało miłością, ale na dobitkę wyrwał mu tym sposobem z ręki jedyną broń, jaką dotychczas jeszcze stary Varner zachował, by grozić temu swojemu wrogowi. Oczywiście, ten dokument nie był wart więcej niż papier, na którym go spisano, ale nie w tym rzecz, czy testament był legalny i ważny, czy nie. Nie miało nawet j znaczenia, czy stary Varner zniszczył go, j czy nie (inaczej Flem nie wypuściłby nigdy ' z garści tego dokumentu); wystarczyło, że go ; zobaczył, przeczytał, zrozumiał, rzucił nań j raz oburzonym, nie dowierzającym okiem i jak burza pomknął do miasta...

— Nie mogłam go uciszyć — powiedziała. — Nie mogłam go powstrzymać ani uspokoić. Nie chciał nawet czekać do rana, musiał natychmiast rozmówić się z Manfredem.

— Z de Spainem? — spytałem. — O tej porze? O czwartej rano?

— Właśnie, mówię, że nie mogłam go powstrzymać, uspokoić ani uciszyć. Tak, zbudził w nocy Manfreda. I. Manfred wszystko załatwił. Dla niego to było bardzo proste. Oczywiście, dopiero wtedy, kiedy wreszcie udało mi się jego i ojca przekonać, że jeśli zbudzą krzykiem całe miasto i zaalarmują wszystkich sąsiadów, wezmę samochód ojca... Jody'ego... pojedę do Oxfordu po Lindę i nikt z nich nie zobaczy już nas więcej w życiu. Dopiero wtedy ojciec i Manfred ucichli...

— A Flem? — spytałem.

— Flema nie było przy tym z początku... przez dość długi czas...

— Cóż on robił?

— Nic. Cóż miał robić? Czy potrzebował coś więcej robić?

— Ach, tak — powiedziałem. — Nie było go dość długo...

— Dość długo, żeby Manfred zdążył wszystko rozstrzygnąć: po prostu wyjedzie- ray razem, on i ja, powinniśmy byli to zrobić osiemnaście lat temu...

— Co? — krzyknąłem. — Wyjedziecie? Uciekniecie?

— Tak, wszystko już postanowione. Ojciec stał nad nim i przeklinał — nie wiadomo, Manfreda czy Flema, trudno było rozeznąć, do kogo i o kim mówi — i Manfred napisał akt sprzedaży. Ojciec zachował... jak to się mówi? ...neutralność. Chciał ich obu usunąć z banku, zamierzał ich obu się pozbyć, jechał taki kawał drogi po nocy, żeby obu wypędzić z banku i z Jefferson, i z Yoknapataw- pha, i z Missisipi. Manfreda za to, że był moim kochankiem przez osiemnaście lat, a Flema za to, że przez osiemnaście lat czekał nie protestując. Ojciec aż do dzisiaj rana nie wiedział, czym był dla mnie Manfred.

A przynajmniej zachowywał się tak, jakby

\$97

K

nie wiedział. Matka chyba wiedziała. Myślę, że wiedziała od początku. Ale może się mylę. Bo ludzie są w gruncie rzeczy poczciwi. Każdy człowiek z okręgu Yoknapatawpha mógł postarać się, żeby matka się dowiedziała, dla jej dobra, i żeby mogła powiadomić ojca, dla jego dobra. Dla dobra ogółu. Ale nie myślę, żeby ojciec przedtem coś wiedział. On jest do pana podobny. W tym znaczeniu, że pan także jest do tego zdolny.

— Do czego? — spytałem.

— Zdolny odmówić wiary w coś, tylko dlatego, że to coś jest możliwe, że ktoś to podaje za fakt, że może to jest fakt.

— Chwileczkę — powiedziałem. — Chwileczkę. O jakim akcie sprzedaży pani wspomniała?

— O akcie sprzedaży portfela udziałów Manfreda w banku. Żeby Flem dostał bank, skoro o to mu tylko chodziło, po to całą tę burzę rozpętał... I jeszcze czek, którym Flem ma zapłacić za te akcje, z późniejszą datą, żeby Flem miał tydzień na zebranie gotówki, którą my podejmiemy za pośrednictwem banku w Teksasie... Dlaczego ludzie, którzy żyją bez ślubu albo też powinni być małżeństwem, ale nie są, uważają, że Teksas jest krajem dostatecznie dalekim? Teksas albo Kalifornia, albo Meksyk, albo któryś z tych krajów, gdzie zawsze ludzie uciekają?

— Ale Linda — powiedziałem. — Linda.

— Słyszę — odparła. — Linda?

— Czy pani nie rozumie? Przecież Linda

w każdym wypadku jest zgubiona. Albo musi wyjechać razem z panią, jeśli to możliwe, gdy pani opuszcza jej ojca dla innego mężczyzny albo zostać tutaj, w atmosferze skandalu, nie mając przy sobie matki, która by jej broniła, i dowie się w końcu, że on nie jest jej ojcem, że nie ma nikogo, nikogo na świecie.

— Dlatego właśnie do pana napisałam. Niech pan się z nią ożeni.

— Nie. Już raz pani odpowiedziałem: nie. Zresztą nie byłby to dla niej ratunek. Tylko Manfred może ją uratować. Niech sprzeda Flemowi swój portfel akcji, niech mu podaruje ten przeklęty bank. Czy to za wysoka cena za to, co on... co jemu...

— Próbowałam — powiedziała. — Nie zgadza się.

— W takim razie ja z nim porozmawiam — rzekłem. — Wytłumaczę. Musi. Nie ma innego wyjścia.

— Nie. Manfred się nie zgodzi — powiedziała. Patrzałam na jej ręce, kiedy otworzyła — bez pośpiechu — torebkę, wyjęła paczkę papierosów i jedną, zwykłą kuchenną zapalniczkę, wyciągnęła papierosa, paczkę z powrotem wsunęła do torebki, zamknęła ją (nie, nie, ruszyłem się z miejsca), potarła zapalniczkę o podeszwę swego pantofla, zapaliła papierosa, położyła papierosa i zapalniczkę na popielniczkę i znów ręce złożyła na torebce. — Manfred się nie zgodzi. Pan go nie zna. Ja może go też nie znam. Może w ogóle nie

wiem nic o mężczyznach. Może się myliłam tego ranka, kiedy powiedziałam, że kobiety interesują się tylko faktami, bo może mężczyźni też interesują się tylko faktami, a różnica polega jedynie na tym, że kobietom jest obojętne, czy fakty są prawdziwe, czy nie. Byle się zgadzały z całością, a mężczyznom jest obojętne, czy się zgadzają, czy nie, byle były faktami. Mężczyzna może leżeć nieprzytomny i krwawiący, z wybitymi zębami w rymsztoku, może mu ktoś wyciągnąć wtedy portfel z kieszeni; mężczyzna potem ocknie się, wstanie, umyje się i wszystko znów jest w porządku, zęby można wstawić, a portfel prędzej czy później znów będzie na miejscu. Ale mężczyzna nie może stać pokornie ze spuszczoną głową, nie zakrwawiony i ze wszystkimi zębami, podczas gdy ktoś wyciąga mu z kieszeni portfel, bo wprawdzie wówczas mógłby spojrzeć w oczy przyjaciółom, ludziom, którzy go kochają, ale nie śmiałyby się pokazać obcym, którzy o nim dotąd nie słyszeli ani go nie widzieli. Tego Manfred nie robi. Jeśli z nim nie wyjadę, będzie musiał się bić. Ponieważ jest mężczyzną. To znaczy: przede wszystkim mężczyzną. Może przehandlować z Flemem Snopesem bank za żonę, ale nie może spokojnie stać i przyglądać się, jak Flem Snopes odbiera mu bank.

— A więc Linda jest zgubiona — powiedziałem. — Skończone. Przepadło. Zgubiona! — powiedziałem, krzyknąłem. — Przynajmniej pani coś ocali. Pani nareszcie stąd wyjedzie. Nie będzie pani zmuszona, nigdy więcej... nigdy już z Flemem Snopesem. nigdy, nigdy...

— Ach, to — powiedziała — to ma pan na myśli. Nie, to bez znaczenia. Z tym nigdy nie miałam kłopotu. On nie... On jest... jak to się mówi? ...impotentem. Zawsze był. Może właśnie dlatego, może to jest jeden z powodów. Rozumie pan? Trzeba się bardzo strzec, naczej zacznie pan litować się nad nim. Nie można obronić się od litości. A on by tego nie zniósł, po co wńęć ranić człowieka. skoro nic się na tym nie zyska. Bo on nie może ścierpieć litości. To tak jak z tymi literkami V. K. Yladimira Ratliffa. Ratliff mógł się pogodzić ze swoim imieniem, pan mógłby pogodzić się z tym imieniem Ratliffs. Ale nie radzę próbować, nie radzę korzystać z okazji i prawa do wymawiania go. Tak samo Flem może się pogodzić ze swoją impotencją, ale pan nie powinien nigdy ryzykować wspierania go litością. Dał mi pan słowno co do Yladimira, ale musi mi pan także dać słowo w tej sprawie.

—Przyrzekam — powiedziałem. A potem: — Tak. Pani dziś w nocy wyjeżdża. Dlatego była pani w gabinecie kosmetycznym. Nie dla mnie, ale dla "Manfreda. Nie, nawet nie dla niego, teraz po osiemnastu latach. Po prostu, żeby uciec, żeby wsiąść do pociągu jak najpiękniejsza. Odwrócić się plecami do Jefferson w całej urodzie. Zgadłem, prawda? Pani dziś w nocy wyjeżdża.

— Ożeń się z nią, Gavinie — powiedziała. Znałem ją, widywałem od osiemnastu lat, odejmując oczywiście lata wojny. Śniłem o niej po nocach przez osiemnaście lat, włącznie z latami wojny. Rozmawiałem z nią dwa razy w życiu; tu, w moim biurze, pewnego wieczora przed czternastu laty, i w jej salonie rankiem dwa lata temu. Ale nigdy nie zwróciła się do mnie inaczej niż: panie Stevens. Teraz powiedziała: „Gavinie”. „Ożeń się z nią, Gavinie”.

— Żeby przez małżeństwo zmieniła nazwisko i nie odczuła braku tego nazwiska, które straci, gdy ją pani opuści?

— Ożeń się z nią, Gavinie — powtórzyła.

— Przypuśćmy, że nie jestem dość jeszcze stary ani zgrzybiały, że gdybym został jej mężem, ja bym jej nie chciał oddać nikomu, nawet gdy będzie wdową. Przypuśćmy, że dlatego odmawiam.

— Ożeń się z nią, Gavinie — powiedziała. Umilkłem; siedziała po drugiej stronie biurka, papieros, który zapaliła, lecz zaraz potem odłożyła na popielniczkę, tlił się i bezgłośnie dymił cienką smugą, ważącą się w nieruchomym powietrzu. Ręce jej wciąż spoczywały na torebce, twarz zwracała teraz ku mnie w półcieniu nad kręgiem światła padającym spod klosza lampy — pełne, szerokie, szczere, piękne, nie uszmkowane usta, oczy nie zimno- i mglistoniebieskie jak jesienne niebo, lecz błękitne jak wiosenne kwiaty, jak zmieszane nierozłącznie barwy glicynii, chabrow, ostróżek, i kampanul, w kolorze tej pory uwiedzionych dziewcząt i szczęścia młodych chłopców, ale za późno, za późno było na żal.

— A więc tak. Gdy pani wyjedzie, jeśli dojdę do przekonania, że sprawy przybierają taki obrót, że trzeba interweniować, że nie ma innej rady, że nic innego prócz małżeństwa ze mną nie uratuje jej, i jeśli ona będzie mnie chciała, ale naprawdę, nie tylko z rozpacy, z rezygnacji...

— Niech pan przysięgnie — powiedziała.

— Przysięgam. Już przysięgłem. Powtarzam: przysięgam.

— Nie — powiedziała. — Niech pan przysięgnie.

— Przysięgam.

— Nawet gdyby pana nie chciała. Nawet wtedy, nawet jeśli nie ze... jeśli pan nie będzie mógł jej poślubić.

— Jakże mogłaby mnie wtedy potrzebować? — odparłem. — Jeżeli pani ojciec nie zechce raz na zawsze przeciąć tego wrzodu i nie wypędzi go z miasta, Flem zachowa bank i nie będzie potrzebował jej na nic wymienić, sprzedawać, handlować nią. Może więc będzie wolał wysłać ją do szkół do Nowej Anglii albo jeszcze dalej, o ile mu się to uda.

— Niech pan przysięgnie.

— Dobrze — powiedziałem. — W każdych okolicznościach. Zawsze. Wszędzie. Cokolwiek się stanie.

— Niech pan przysięgnie.

— Przysięgam.

— Teraz muszę iść — powiedziała wstając i sięgnęła po papierosa, zgniotła go dokładnie w popielniczkę: wstałem także.

— Oczywiście — powiedziałem. — Nawet uciekając z domu trzeba zapakować walizkę. Odwiozę panią.

— Nie trzeba.

— Dama samotnie wracająca do domu

o tej... przecież już minęła północ. Cóż by pomyślał Otis Harker? Widzi pani, ja też muszę być mężczyzną, nie mógłbym spojrzeć w oczy Otisowi Harkerowi, bo pani dla niego pozostanie damą. dopóki nie odejdzie ranny pociąg na południe... Pani zdaje się wspomniała Teksas, czy tak? — Ale tym razem Otis nie pokazał się w pobliżu. Z ołówkiem, kartką i zegarkiem w ręku mogłem przecież wyliczyć, gdzie znajduje się w tej chwili, jednakże mogłem się też w rachunku pomylić. a wprawdzie Otisa nie było widać, lecz my byliśmy dobrze widoczni, gdy wyprzedzani światłem reflektorów mojego wozu, od- błyskującym w oszklonych wystawach sklepów. jechaliśmy przez Rvnek poszatkownnr cieniami liści i zanurzaliśmy się w prawdziwie wiosenne ciemności ulic, gdzie latarnie były rozsiane rzadziej niż gwiazdy na niebie. Moglibyśmy rozmawiać, gdybyśmy mieli coś do powiedzenia, a może mielibyśmy coś do powiedzenia, gdybyśmy rozmawiali. Wreszcie mała brama u wylotu krótkiej alejki prowa

dzającej do małego ciemnego domu, już nie wynajętego.' oczywiście, i oczywiście jeszcze nie do wynajęcia przez pewien czas, jakiego wymagać będą pozory przyzwoitości. Przyszło mi na myśl pytanie: ..Czy Manfred razem z bankiem sprzeda także swój dom? Czy też jedno i drugie po prostu odstąpi Flemowi... jeśli stary Will Varner zestawi mu dość czasu na objęcie banku i domu w posiadanie..." Zatrzymałem wóz.

— Niech pan nie wysiada — powiedziała. Wysiadła, zatrzasnęła drzwiczki i pochylając się, żeby zajrzeć do wnętrza samochodu, rzekła: — Niech pan jeszcze raz przysięgnie.

— Przysięgam.

— Dziękuję — powiedziała. — Dobranoc — i odwróciła się. Patrzałem, jak weszła przez furtkę, jak szła alejką, coraz to mniejsza, wstępowała na werandę, a raczej rozplywała się w cieniu, jak jej sylwetka już nie tylko malała, lecz roztapiała się w nocy. Usłyszałem odgłos zamykanych drzwi i nagle wydało mi się, że jej nigdy nie było. Nie nie że jej nie było, ale że jej już nie ma. To, że była, miało na zawrże, wiecznie pozostać i trwać, tak jak to. co ma się człowiekowi zdarzyć dopiero jutro, jest dzisiaj już obecne, dzisiaj już mgliście widzialne "dla świadka, który by miał dość mądrości, czy może po prostu odwagi, żeby to dostrzec.

Wiosenna noc teraz pochłodziła, jak gdyby na krótki czas, do świtu następnego dnia i do now*ego początku zasnęła gdzieś, przyga

snął wreszcie stłumiony, olśniewający płó- mień nadziei i marzeń bijący od splecionych ze sobą parami kochanków. O świcie, przede dniem, miało się zrobić wręcz zimno. Ale nie tak jeszcze zimno, by zmrozić, uciszyć i uśpić przekłętą drozda, który od trzech nocy nieustannie hałasował w ogrodzie Maggie, na różowo kwitjącym krzaku dereniu, tuż pod moim oknem. Sztuka więc polegała na tym, żeby się pozbyć nie ptaka, lecz tego hałasu, żeby go nie słyszeć; żeby Gavin Stevens także przeszedł przez ciemną werandę do domu i po schodach na piętro, schował się razem z głową pod kołdrę, także malejąc i także rozpluwając się w ciemności, stając się już tylko ektoplazmą Gavina Stevensa, nieczułą na zimno, głuchą, zdolną udźwignąć prócz własnego połowę cudzego brzemienia, każdego ciężaru, jaki ktoś inny zechce z nim podzielić i na niego zrzucić, skoro wziął na siebie przed chwilą odpowiedzialność za opuszczoną młodą dziewczynę.

Któż bowiem odczułby brak tracąc własne wymiary? Któż nie czułby się lepiej pozbywając się ich, jeśli nie ma do ofiarowania prócz wyrzeczenia, prócz osiemnastu lat uczucia, ektoplazmy uczucia tak nikłej, że nie zasługiwała na wzgardę, na przepalenie nienawiścią, na zniszczenie przez ból. Właśnie tego trzeba: wypruć, wyzbyć się, zrzucić z siebie ostatki niewygodnych, dręczących wymiarów i uzyskać wolność. Wypruć — na tym polega sztuka, przypomnijmy sobie, co mówił Władimir Kiryłyucz: „On jeszcze nie wypruł tej złotej dwudziestodolarówki”, monety zaszytej w koszuli wiejskiego chłopaka, który po raz pierwszy w życiu jedzie do Memphis, który tam nigdy jeszcze nie był i ma tyleż prawa co każdy do nadziei, że może zostanie znęcony czy wciągnięty do burdelu, zanim będzie musiał wrócić do domu. „Tym razem wypruł swoją dwudziestodolarów- kę” — pomyślałem.

XXI. CHARLES MALLISON

iecie, jak to jest: budzi się człowiek rano i natychmiast wie, że już się stało, że już się spóźnił. Nie wiedział, co to będzie, dlatego musiał tak pilnie wypatrywać, starając się patrzeć jednocześnie we wszystkie strony. Na chwilę tylko osłabła jego czujność, przymknął oczy na sekundę i masz! Stało się, już po wszystkim, nie ma już nawet tyle czasu, żeby się rozbudzić, opamiętać, przeciągnąć i pomyśleć: „Dlaczego to dzisiejszy dzień miał być taki dobry?” I przypomnieć sobie: „Aha, nie idziemy dzisiaj do szkoły”. I jeszcze: „Czwartek, kwiecień, ale nie ma lekcji”.

Ale tego ranka było inaczej. Zszedłem dopiero do połowy schodów, gdy już usłyszałem, jak zamykają się drzwi spiżarni, i niemal rozróżniałem słowa matki, która mówiła do Guster: „Już idzie. Prędko. Wyjdź stąd” —

(w

W i wszedłem do jadalni, gdzie ojciec już zdążył zjeść śniadanie, fco nawet jeśli Guster sprzątnęła talerz i filiżankę, i spodeczek. można było zawsze poznać, gdzie ojciec jadł. Wystarczyło też spojrzeć na miejsce wuja Gavina, żeby wiedzieć, że nie siadał wcale do śniadania, a matka na swoim miejscu piła tylko kawę. ^liła na głowie kapelusz, płaszcz czekał przewieszony przez poręcz krzesła wuja Gavina, torebka i rękawiczki leżały obok jej nakrycia, a także ciemne okulary, które zawsze kładła, jeśli miała jechać samochodem poza granice Jefferson, jak gdyby światło dopiero o milę za miastem nabierało blasku. Myślę, że przez chwilę żałowała, że nie mam już trzech albo czterech lat, bo wtedy mogłaby mnie objąć ramieniem, przytulić do swoich kolan i drugą rękę położyć mi na karku. Ale pottrzymała tylko przez chwilę moją rękę w swojej i musiała podnieść na mnie wzrok.

— Pani Snopes tej nocy odebrała sobie życie — powiedziała. — Jadę z wujem Gavinem do Oxfordu po Lindę.

— Odebrała sobie życie? Jak? — spytałem.

— Co? — powiedziała matka. Eo miałem wtedy dwanaście lat, dopiero zacząłem trzynasty rok.

— Jak to zrobiła? — spytałem. I teraz matka przypomniała sobie o moim wieku. Już wstawiała z krzesła.

— Strzałem z pistoletu — powiedziała.

Szkoda, że nie spytałem, z czyjego. Już prawie włożyła płaszcz. Wzięła ze stołu rękawiczki, torebkę i okulary.

— Może wrócimy na obiad, ale nie jest to pewne. Postaraj się siedzieć w domu. a przynajmniej nie chodź na Rynek, najlepiej baw się z Aleckiem San- derem w ogrodzie. Guster nie pozwoli dzisiaj Aleckowi kręcić się po mieście, czemu nie miałbyś razem z nim zcsać koło domu?

— Dobrze — powiedziałem. Bo miałem dopiero dwanaście lat. Dla mnie wspaniały, ogromny pęk czarnej krepy zwisającej nad drzwiami banku pana de Spain oznaczał tylko stratę: wolny dzień, gdy i tak lekcje w szkole były przerwane na nieokreślony czas: wolny dzień przypadający na dzień naszych wakacji, a przecież nawet chłopcy najlepiej umiejący wykorzystywać swobodę nie mogli w jednym dniu zmieścić dwóch, wolny cii z różnych powodów: o ileż lepiej byłoby ten dzień zachować na później, gdy już mały Ridell umrze albo wyzdrowieje i gdy lekcje rozpoczną się znowu. Albo, co byłoby jeszcze lepsze, odłożyć to święto na któryś z beznadziejnych dni, kiedy wakacje gwiazdkowe są już bardzo daleko za nami. a lato. jak się zdaje, przepadło gdzieś i nigdy już chyba nie wróci.

Bo miałem wówczas dwanaście lat. Musiałby mi ktoś przypomnieć, że nawet najdłuższe szkolne wakacje nic by nie znaczyły dla ludzi, których kir na drzwiach banku wyzwolił na jeden dzień od pracy. I musiał

bym mieć znacznie więcej niż dwanaście lat, żeby zrozumieć, że ten wieniec nie był upleciony z żalobnego mirtu, lecz z laurów zwycięstwa; że w tej zwisającej girlandzie z czarnego tiulu, sztucznych kwiatów i fioleto- wych wstęg ogłaszała publicznie swój tryumf nieśmiertelna, wieczna cnota, manifestując raz jeszcze swoją wyższość i niezwyciężoną siłę.

Wtedy nie rozumiałem nawet, na co patrzę. Bo oczywiście pobiegłem do miasta, nie w tej samej minucie, gdy matka i wuj Gavin zniknęli z pola widzenia, ale w chwilę potem. Aleck Sander także. Już skręcaliśmy za róg ulicy, ale dość długo jeszcze słyszeliśmy nawołujący nas głos Guster, obaj chcieliśmy jednak zobaczyć wieniec nad zamkniętymi drzwiami banku i wielu innych ludzi również przyszło na to popatrzeć, a ja teraz już wiem, że nie ściągnęły ich bardziej szlachetne powody niż nas. A gdy przyjechał do miasta pan de Spain, jak zawsze trochę przed dziewiątą, i jak zawsze odebrał korespondencję na pocztę, i jak zawsze otworzył swoim kluczem boczne drzwi banku — bo to wejście było stale zamknięte — nie wiedzieliśmy... nie wiedziałem, że pan de Spain wyglądał tak, jak gdyby nic się nie stało, ponieważ właśnie po to tego ranka musiał przybyć do miasta, żeby pokazać się jak zawsze i jakby się nic nie stało. Że musiał wstać, ogolić się, ubrać, może nawet przez chwilę ćwiczył się przed lustrem, by stawić się na Rynku o zwykłej porze i by wszyscy mieszkańcy Jefferson zobaczyli, że zachowuje się tego ranka zupełnie tak samo jak w inne dni i że jeśli tego ranka jest gdzieś w Jefferson smutek i troska, nie jest to jego smutek ani jego troska, skoro on jest sierotą i kawalerem; posunął się nawet tak daleko, że wszedł bocznymi drzwiami do zamkniętego banku, jak gdyby nadal miał do tego prawo.

Bo, jak teraz wiem, wszyscy w Jefferson już wtedy wiedzieli, że pan de Spain stracił swój bank. Wiedzieli, że czy pan Will Varner wypędzi również Flema Snopesa po tej całej historii z miasta, czy nie — pan de Spain na pewno już w Jefferson nie zostanie. W pewnym sensie należało się to od niego nie tylko pamięci zmarłej miłości, lecz także miastu. Ponieważ wszystkich nas znieważył. Nie tylko podeptał moralność małżeństwa, głosząc, że mężczyźni i kobiety nie wolno spać z sobą bez odpowiedniego zaświadczenia z urzędu cywilnego, ale podeptał także ekonomię małżeństwa, opartą na płodzeniu dzieci, publicznie demonstrując fakt, że związek dwojga ludzi może pozostać z własnej woli bezpłodny i bezkarny. Znieważył instytucję małżeństwa podwójnie, osobiście i przez Sno- pesów. Toteż nienawidzono go podwójnie, za jego postępkę i za to, że dopiero po osiemnastu latach je zdemaskowano. Ale ta nienawiść była niczym wobec nienawiści, jaką by wzbudził, gdyby teraz, gdy jego współniczka zapłaciła życiem za swój udział w grzechu,

nie zapłacił ze swej strony nawet stratą klucza od bocznych drzwi banku.

Wszyscy to wiedzieliśmy. On także wiedział. I wiedział, że my wiemy. A my z kolei wiedzieliśmy, że on wie, że wiemy. Wszystko więc było w porządku. To znaczy, że de Spain był skończony, jego sprawa przesądzona. Rola skończona. Nie, dobrze powiedziałem: to on był skończony; dzisiaj wiem to także. Był pokonany, skończony. Ta kula jego również zabiła i nic z tego, co potem robił lub czego nie robił, riie miało już znaczenia. Teraz obchodziła nas tylko Linda. I gdy podrosłem, zrozumiałem, dlaczego nikt z nas wówczas nie spodziewał się zobaczyć starego pana Varnera wybiegającego z domu Snopesa z tym samym pistoletem, • gotowego wytoczyć więcej jeszcze krwi; choćby dlatego, że nie miałyby to już celu. I nie zdziwiliśmy się wcale, gdy (po upływie pewnego czasu, oczywiście, jak nakazywała dyskrecja, przyzwoitość i szacunek należny śmierci i żałobie) usłyszeliśmy, że „ze względu na stan zdrowia oraz interesów” pan de Spain zrezygnował ze stanowiska w banku i wyjedzie na zachód (wyjechał w rzeczywistości po południu w dzień pogrzebu, podczas którego stał nad grobem — samotny, nikt się do niego nie odezwał, co najwyżej skłaniano przed nim głowy — z żalobną opaską na ramieniu, co było zrozumiałe, skoro chowano żonę wiceprezesa jego banku, a potem odszedł od grobu tak samo jak my wszyscy, lecz wcześniej niż inni i w godzinę później przemknął w swoim Buicku przez Rynek ku szosie prowadzącej do Memphis z walizkami spiętrzonymi we wnętrzu samochodu) i usłyszano, że portfel jego akcji bankowych — ale nie dom; Ratliff mówił, że nawet Flem Snopes nie zdobył się na taką bezczelność, by tego samego dnia kupić prócz udziałów banku również dom — jest do nabycia; tym bardziej nie zdziwiliśmy się, że nabył go (w sposób jeszcze dyskretniejszy) pan Snopes.

Teraz chodziło o Lindę. I dzisiaj już wiem, że ludzie, dorośli, którzy przyszli popatrzeć na wieniec wiszący nad drzwiami banku z tych samych dokładnie powodów co ja i Aleck Sander, mimochodem tylko patrzyli na wieniec, bo naprawdę ściągnął ich dokładnie ten sam powód, co Alecka Sandera i mnie; żeby zobaczyć Lindę Snopes, gdy ją matka i wuj Gavin przywiozą do domu. Tylko że Aleck Sander i ja chcieliśmy przede wszystkim przekonać się, czy Linda zmieniła się bardzo po samobójstwie pani Snopes, bo interesowało nas, jak my wyglądalibyśmy, gdyby Guster i moja matka zastrzeliły się pewnego dnia. Chodziło o Lindę, bo już teraz wiem, co wówczas myślał wuj Gavin (myślał, lecz nie wiedział; nie mógł wiedzieć, bo nikt nie mógł mu tego powiedzieć prócz samej pani Snopes, a gdyby to powiedziała w liście, który mu doręczyłem po południu przed nocą, gdy miała się zabić, wuj Gavin powstrzymałby ją lub przynajmniej usiłowałby ją po

wstrzymać, a moja matka w każdym razie wiedziałaby, gdyby rzeczywiście tego próbował, chociaż nadaremnie) i nie tylko wuj Gavin, ale także wszyscy inni ludzie z Jefferson. Teraz więc przebaczyli pani Snopes osiemnaście lat grzechu cielesnego, teraz byli gotowi nawet sobie przebaczyć osiemnaście lat tolerancji dla cudzołóstwa rozgrzeszając je, przypominając sobie (i innym, jak sądzę), że gdyby przez osiemnaście lat nie obrażała Pana Boga, nie doszłaby do tego momentu, w którym musiała wybrać śmierć, żeby zostawić po sobie córkę samobójczyni, a nie córkę ladacznicy.

Tak, teraz chodziło o Lindę. Teraz całe miasto stało po jej stronie, miasto i okręg, i każdy, ktokolwiek kiedykolwiek słyszał o niej i o panu de Spain albo też wiedział czy choćby podejrzewał, czy po prostu domyślał się czegoś przez tych osiemnaście lat, wszyscy postanowili nie dopuścić, żeby choć cząstka tych informacji (jeśli je ktoś miał, jeśli ktoś znał prawdę), podejrzeń lub domysłów doszła do uszu Lindy. Bo teraz już wiem, że ludzie są dobrzy, naprawdę dobrzy. Zdarza się wiele razy, że przestają się nawzajem ranić i to pomimo że mają ochotę zadawać rany, a nawet pomimo że trudno im tego uniknąć; nawet najbardziej zawzięci metodyści i baptyści, i presbiterianie — no, niech będzie: episkopaliańskie także. Wreszcie nadjechał samochód, a w nim Linda siedziała na przednim siedzeniu między moją matką a wujem Gavinem. Minęli Rynek i skręcili ku domowi Snopesów, więc Aleck Sander i ja czekaliśmy na rogu ulicy dość długo, zanim zjawił się wuj Gavin i mogliśmy go zagadnąć.

— Zdawało mi się, że Guster i twoja matka kazały wam dzisiaj przed południem siedzieć w domu — powiedział.

— Tak — przyznaliśmy. Wróciliśmy do domu. Wuj Gavin nie tknął obiadu, starał się tylko namówić mnie do jedzenia, nie wiem dlaczego. Nie wiem, dlaczego wszyscy dorośli, jakich znam, zawsze usiłują namawiać cię do jedzenia, czy masz ochotę, czy nie. Nie wiem nawet, czy rzeczywiście im na tym zależy. W końcu ojciec zauważył, co się święci.

— Mój chłopcze — powiedział do mnie — albo jedz, albo wstań od stołu. Nie chcę być zmuszony do okłamywania twojej matki, jak wróci do domu i spyta, dlaczego nie jadłeś. Mógłbym jej odpowiedzieć, że zwiąłeś do Teksasu. — I nagle zwrócił się do wuja Gavina: — A tobie co się stało? — bo wuj Gavin zerwał się z miejsca, powiedział: — Przepraszam — i wyszedł; tak, wuj Gavin także. Bo teraz, gdy pan de Spain był skończony, przynajmniej tutaj, w Jefferson, mogliśmy całą uwagę poświęcić następnym osobom na widowni, które błysk tego pistoletowego wystrzału oświetlił nagle, jakby ktoś podpalił magnezję w piwnicy; do tych osób należał wuj Gavin. Teraz już wiem, że niejeden czło

wiek w Jefferson myślał, że wuj Gavin także był jej kochankiem albo że powinien być, a jeśli nie był, jest to wstyd dla wszystkich mężczyzn w Jefferson, a nawet dla wszystkich przedstawicieli rodzaju męskiego uważających się za ludzi.

Bo wszyscy znali historię tego gwiazdkowego balu, z czasów, gdy mnie jeszcze nie było na świecie, całe miasto widziało wtedy i słyszało o tym, a później każdy mógł przypadkiem przechodząc zobaczyć u Christiana na własne oczy wuja Gavina i Lindę, pijących mrożone napoje, i tomik poezji na stoliku między nimi. Ale naprawdę wiadano, że wuj Gavin nie był kochankiem pani Snopes, bo jeżeli nawet jej rzeczywiście pragnął i jeśli próbował ją zdobyć, nigdy mu się to nie udało, wynikało to przecież z samej logiki faktów. A gdyby nieprawdopodobny uśmiech szczęścia lub przypadek dał mu zwycięstwo ■ nad panem de Spain, zdradziłby się z tym na pewno, bo wuj Gavin był niezdolny do prowadzenia podwójnego życia i zachowania go w sekrecie; jak mówił Ratliff, należał do ludzi, którym nawet wrośnięty paznokieć wylezie zawsze z buta na wierzch.

A skoro wuj Gavin nie miał tego szczęścia, był bez winy, on jeden tylko, nie zaś pan Snopes, jej mąż, który, gdyby był mężczyzną, chwyciłby pistolet — choćby go musiał w tym celu kupić — i dawno by wypędził z Jefferson żonę i jej kochankę, bankiera. A więc wuj Gavin. To on był wdowcem, zdradzonym mężem, który przebaczył dla dobra dziecka, pół-sieroty teraz. Tego popołudnia natychmiast po opuszczeniu jadalni wyszedł na miasto, potem matka sama wróciła samochodem, a koło trzeciej on nadjechał taksówką i powiedział (No, tak, byliśmy wtedy obaj z Alekiem Sanderem w domu, bo zatrzymała nas Glister, nie mówiąc już o matce.):

— Przyjdą do mnie na rozmowę czterej panowie. Pastorzy, więc wypada ich przyjąć w salonie. — Tam więc ich wprowadziłem: metodystę, baptystę, prezbiterianina i naszego proboszcza, episkopalianina. Wyglądali zwyczajnie, jak bankierzy, lekarze czy kupcy, tylko pan Thorndyke wyróżniał się, ale jedynie fasonem kołnierzyka, zapinanego z tyłu. Wszyscy czterej bardzo poważni, z długimi jak końskie pyski twarzami, nie mieli nieszczęśliwych min, po prostu twarze wydłużone jak końskie pyski. Podali mi rękę i coś między sobą mruzczyli wchodząc do salonu, gdzie wuj Gavin stał i witając się wymówił nazwisko każdego z nich, a oni jemu także podali rękę tytułując go panem doktorem i znów wszyscy czterej coś mruzczyli, aż w końcu -najstarszy, prezbiterianin, zabrał głos w imieniu całej czwórki; oznajmił, że przyszli, by ofiarować udział w pogrzebie pojedynczo lub wspólnie; pan Snopes jest baptystą, pani Snopes była metodystką z urodzenia, lecz ani on, ani ona nie uczęszczali na nabożeństwa i nie przystępowali do komunii w żadnym z kościołów w Jefferson; skoro

jednak pan Stevens podjął się... zaofiarował... słowem, poradzono im zwrócić się w tej sprawie do pana Stevensa.

— Innymi słowy ktoś panów tutaj przysłał — powiedział wuj Gavin. — Przysłała panów banda starych bab obojga płci, a także bez płci. Nie żeby ją pogrzebać, ale żeby jej przebaczyć. Dziękuję panom. Zamierzam sam odprawić nabożeństwo. — Ale wkrótce potem ojciec wrócił na kolację do domu i matka posłała go do wuja Gavina. Bo wszyscy myśleliśmy, wydawało nam się oczywiste, że Varnerowie (a może również pan Flem Snopes) zechcą ją pochować w Sadybie Francuza; że pan Varner zabierze ją ze sobą wracając do domu razem z tym wszystkim, co przywiózł do miasta (Ratliff mówił, że niewiele tego było, bo z mniejszym bagażem niż wuj Billy Varner tylko kruk zwykł podróżować). Ale wuj Gavin powiedział: „Nie” — w imieniu Lindy, chociaż wiele osób twierdziło, że wuj Gavin powiedział: „Nie” — także Lindzie. W każdym razie uparł się i pogrzeb miał odbyć się nazajutrz, gdy samochód Jody’ego zdąży wrócić z Sadyby Francuza przywożąc Jody’ego i panią Varner. Ojciec także usiłował to wujowi Ga vino wi wybić z głowy.

— Bój się Boga, Gavinie! — rzekł. — Nie możesz tego zrobić. Przyznajemy ci mnóstwo różnych tytułów i funkcji, ale nie jesteś przecież osobą duchowną.

— Cóż z tego? — odparł wuj Gavin.

— Jak myślisz, czy ktokolwiek w tym mieście wierzy, że jest pod słońcem taki duchowny, który by mógł ją wprowadzić do nieba inną drogą niż przez Jefferson, ale samemu Chrystusowi też by się to nie udało, jeśliby trzymał się tej marszruty?

— Chwileczkę — powiedziała matka. — Bądźcie cicho obaj. — Patrzała na wuja Gavina. — Gavinie, z początku zdawało mi się, że nigdy nie zrozumie, dlaczego Eula to zrobiła. Ale teraz mam wrażenie, że może ją rozumiem. Czy chcesz, żeby Linda musiała kiedyś przyznać, że trzeba było pomocy drugiego nieznanego mężczyzny, aby pochować jej matkę?

Na tym się skończyło. Nazajutrz przyjechała pani Varner z Jody’em i przywiozła starego pastora metodystów, który ochrzcił Eulę przed trzydziestu ośmiu laty, starego człowieka, który był kaznodzieją przez cały swój wiek dojrzały (ale prócz tego ciężko pracował na farmie, miał kręgosłup wykrzywiony i ręce sękaty jak chłop), a my — całe miasto — zgromadziliśmy się przed małym domkiem Snopesów, kobiety weszły do wnętrza, mężczyźni zostali na dziedzińcu i na ulicy., wszyscy starannie ubrani, schludni, w marynarkach. Nie patrzyli nawzajem na siebie, rozmawiali z cicha o zbiorach i pogodzie. Potem poszliśmy na cmentarz, do nowej kwatery, jeszcze pustej, gdzie był tylko jeden jedyny świeżo wykopany grób, ale i ten zaraz szybko zniknął pod stosami kwiatów, także

skazanych na śmierć w swym symbolicznym kształcie wieńców, harf, urn, godel śmiertelności, której trupią woń miały zagłuszyć, złagodzić. De Spain stał nie oddzielnie, lecz po prostu samotnie, z krepową opaską na rękawie; taki wyraz musiała mieć jego twarz niegdyś, gdy jako porucznik był na wojnie kubańskiej, tak wyglądał tego dnia, w tej chwili, gdy ludzi, którzy mu ufali czy w każdym razie musieli iść za nim, bo byli obowiązani ufać mu, właśnie poprowadził tam, skąd, jak wszyscy wiedzieli, wielu miało nigdy nie wrócić, ponieważ z góry było przesądzone, że nie wszyscy wrócą, i tak być powinno, mieli na to słowo porucznika.

Potem wróciliśmy do domu i ojciec powiedział:

— Niech to diabli, Gavinie, może się czegoś napijemy?

— Oczywiście, czemuż by nie? — odparł wuj Gavin nie podnosząc nawet wzroku znad gazety. Później nadszedł czas na kolację i zastanawiałem się, dlaczego matka nie gniewa się, że wuj nic nie je. Ale bądź co bądź, póki nie myślała o jedzeniu, nie rozglądała się i nie groziło, że na mnie napadnie. Po kolacji wuj Gavin, matka i ja przeszliśmy do kancelarii. Do tego pokoju, który matka przez czas jakiś po śmierci dziadka tisiłowała przechrzcie na bibliotekę, ale teraz, tak samo jak kiedyś dziadek, nawet ona nazywała kancelarią. Wuj Gavin siedział pod lampą z książką w ręku, a nawet przewracał od czasu do czasu kartki, aż w pewnej chwili odezwał się dzwonek u drzwi frontowych.

— Ja pójdę — powiedziała matka. Nikt inny zresztą nie ruszył się ani nie okazał ochoty czy ciekawości, by ją wyręczyć. Wróciła zaraz i stojąc w drzwiach między hallem a kancelarią powiedziała: — To Linda. Wejź, kochanie — i odsunęła się dając jej ruchem głowy znak, a gdy Linda weszła i wuj Gavin wstał, raz jeszcze powtórzyła ten gest i powiedziała: — Chick! — Linda zatrzymała się tuż przy drzwiach, a matka tym razem powiedziała: — Charles! — więc wstałem i wyszedłem, a matka zamknęła za mną i za sobą drzwi. Trudno, byłem już wtedy do tego przyzwyczajony. A nawet spodziewałem się tego, od chwili gdy zobaczyłem, że to Linda przyszła.

XXII. GAVIN STEVENS

reszcie Maggie wyprowadziła Chicka i zamknęła drzwi.

— Siądź, Lindo — powiedziałem. Ale ona stała nadal. — Płacz — powiedziałem. — Pozwól sobie zapłakać.

— Nie mogę — odparła. — Próbowałam. — Spojrzała na mnie. — On nie jest moim ojcem — powiedziała.

— Oczywiście, że jest twoim ojcem — rzekłem. — Na pewno. Skąd ci coś podobnego przyszło do głowy?

— Nie — powiedziała.

— Tak — odparłem. — Czy chcesz, żebym przysiągł? Dobrze. Przysięgam, że on jest twoim ojcem.

— Pana tam wtedy nie było. Pan nie wie. Pan jej przecież nigdy nie widział, dopóki nie przyjechała... dopóki nie przyjechaliśmy do Jefferson.

— Ratliff widział, Ratliff tam był wtedy. Ratliff wie, kto jest twoim ojcem. A ja wiem od Ratliffa. Jestem pewny. Czy ci kiedy kłamałem?

— Nie — odpowiedziała. — Pan jeden na świecie. Wiem, że pan mnie nigdy nie okłamię.

— Dobrze. Więc przysięgam. Flem Snopes jest twoim ojcem. — Nie poruszyła się, nie drgnęła, tylko łyzy, jak woda, nie trysnęły, lecz płynęły spokojnie i cicho po jej twarzy. Zrobiłem krok w jej stronę.

— Nie — powiedziała. — Niech mnie pan teraz jeszcze nie dotyka. — Ujęła, chwyciła mnie za ręce w przegubach, mocno przycisnęła moje dłonie do swojej piersi. — Póki myślałam, że on nie jest moim ojcem, nienawidziłam jej i Manfreda, ich obojga. Tak, wiedziałam, czym był dla niej Manfred. Wiedziałam... widziałam, jak na siebie patrzą, słyszałam ich głosy, kiedy z sobą rozmawiali, i nie mogłam tego znieść, nienawidziłam ich. Ale teraz, kiedy wiem, że on jest moim ojcem, wszystko inaczej wygląda. Cieszę się, to dobrze, że kochała, że była szczęśliwa... Teraz mogę płakać.

XXIII. V. K. RATLIFF

o był jak gdyby mecz, jak gdyby prokurator Stevens wsunął ładunek dynamitu do tylnej kieszeni w spodniach, podpalił długi lont i czekał z zainteresowaniem, czy ktoś zjawi się w porę, żeby zdeptać płomień, czy nie. Albo jak wyścig, co stanie się prędzej: czy uda mu się w końcu wyprowadzić Lindę z Jefferson i przynajmniej pozbędzie się na zawsze całego plemienia Snopesów, czy też przedtem sam siebie i razem z sobą wszystko dokoła wysadzi w powietrze.

Ale nie, to nie był mecz. A w każdym razie nie z Flemem Snopesem, bo do gry trzeba co najmniej dwóch partnerów, a Flem Snopes nie mógł być partnerem. Jeśli w ogóle brał udział w grze, to tylko jako rozjemca. Ale nie, rozjemcą także nie był. Jak gdyby sam z sobą i dla zabawy prowadził jakąś niewinną grę, coś w rodzaju pasjansa. Miał już wszystko, co przyjechał zdobywać w Jefferson. Nawet więcej. Rzeczy, o których nie wiedział, że ich zapragnie, dopóki nie osiadł w Jefferson, bo nawet nie wiedział przedtem, czym one są. Miał swój bank i pieniądze w banku, sam był jego prezesem i mógł osobiście pilnować, żeby mu pieniędzy nie ukradł inny łajdak tego kalibru co Byron; nikt mu nie mógł ukraść szacunku należnego prezesowi jednego z dwóch banków w Yoknapa-tawpha. Wkrótce też miał objąć najwspaniał

sza siedzibę w okręgu czy może nawet w Missisipi, bo już cieśle na jego polecenie odnawiali stary dom Manfreda de Spain. I pozbył się dwóch na wskroś nikczemnych, najbardziej kompromitujących Snopesów wypędzając z miasta raz na zawsze Montgomery'ego Warda i I. O., tak że został, przynajmniej na razie, tylko hurtownik artykułów spożywczych, człowiek nie tylko szanowany, ale zapewne także lepiej zaopatrzony w gotówkę niż zwykły bankier. Można by więc myśleć, że jest już zadowolony. Ale nie był. Chciał jeszcze zmusić dziewczynę — dorosłą kobietę już teraz — która nawet nie była jego córką, żeby powiedziała: „Dziękuję ci pokornie, tatusiu, że byłeś dla mnie taki dobry”.

A więc tak, mecz. Nie przeciw Lindzie i na pewno nie przeciw prokuratorowi Gavinowi Stevensowi, skoro z niego wycisnął już wszystko, czego potrzebował, to znaczy przyzwoity, zgodny z obyczajami pogrzeb żony, nie zakłócony przez hałaśliwych manifestantów żadnym niestosownym występem. On grał tę swoją samotną grę przeciw całemu miastu. Jak gdyby chciał przekonać się dokładnie, ile jeszcze Jefferson zniesie, z czym jeszcze gotowe jest się pogodzić. Jak gdyby rozumiał, że cała jego pozycja zależy teraz od tego, czy Jefferson nie poprzestając na tolerancji oswoi się z tym, że on nie tylko wywłaszczył Manfreda de Spain z jego banku, ale w dodatku przebudowuje jego dom rodzinny, żeby się w nim osiedlić. Jak gdyby teraz obawiał się już jedynie tego, co może się zdarzyć, jeśli młoda dziewczyna, która dotychczas uważała go za swego ojca, zetknie się z kimś, kto powie jej, że to nieprawda. Mogłaby przecież jakimś trafem odkryć, że człowiek, przynajmniej w pewnym stopniu związany z samobójstwem jej matki, czy ją do tego czynu popchnął, czy nie, nie jest nawet jej ojcem; a jeśli ktoś jest w jakikolwiek sposób odpowiedzialny za samobójczą śmierć twojej matki, niechże to przynajmniej będzie ‘człowiek bliski tobie krwią, a nie zupełnie obcy mężczyzna.

Można więc było spodziewać się, że gdy ucichną echa pogrzebu, Flem Snopes przede wszystkim postara się wyprawić Lindę jak najprędzej, jak najdalej, zwłaszcza że mógł jej łatwo podsunąć życzenie wyjazdu. Ale nie zrobił tego. A jako powód podawał sprawę nagrobka. I oczywiście znów prokurator Stevens maczał w tym palce. Nie wiem, kto go do zajęcia się sprawą nagrobka powołał, czy mu ją kto powierzył, czy też on sam ją podchwycił, czy też między nim a Snopesami w ogóle, czy też tymi Snopesami w szczególności (ale nie: dla niego Eula Varner nigdy nie umarła i nigdy nie umrze, to także wiem) panował już wtedy taki stosunek, jak między człowiekiem wędrującym przez szerokie, otwarte pole a ulewą: nie ma co zastanawiać się, czy deszcz mu wodę ofiarowuje, czy też on sam ją przyjmuje, dość że moknie.

W każdym razie właśnie on, prokurator Stevens, pomógł Lindzie wyszukać wśród rzeczy po matce najlepszą jej fotografię i dał do powiększenia — sam obraz twarzy — a potem to powiększenie posłał do Włoch, gdzie według tego wzoru wyrzeźbiono... tak, wyrzeźbiono medalion, który miał ozdobić pomnik. Do niego nadsyłano próbne szkice, on decydował, jakie trzeba zrobić poprawki, i odsyłał rysunki ze swoimi uwagami do Włoch. Przyznałby sobie sam prawo do tego, choćby nawet Flem usiłował protestować i powstrzymać go, bo bardziej niż komukolwiek zależało mu na tym, żeby ten pomnik stanął, żeby Flem miał już to za sobą, ponieważ wtedy musiał pozwolić Lindzie wyjechać. Ale to był pomnik Flema, co do tego nie ma wątpliwości. On za niego zapłacił, on pierwszy wpadł na ten pomysł, zaplanował i zaprojektował wszystko, zdecydował o rozmiarach, ułożył napis — wybrał krój liter — i ani razu nie napomknął o kosztach. Co do tego nie ma wątpliwości. Flem. Bo to także było częścią celu, dla którego osiadł w⁷ Jefferson i dla którego tyle się trudził, byle dopiąć swego.

Tak, tak, prokurator Stevens przygotował wszystko do wyjazdu Lindy, żeby wreszcie mogła opuścić Jefferson. Pozostawiała tylko sprawa nagrobka, bo Flem przyrzekł, że pozwoli Lindzie wyjechać, gdy postawi ten pomnik. Miała wyjechać do nowojorskiej dzielnicy zwanej Greenwich Village. Prokurator wszystko zorganizował, jego przyjaciele z czasów studiów w^r Harvard mieli po nią przyjść na dworzec i zaopiekować się nią, znaleźć mieszkanie i tak dalej.

— Czy to jest college? — spytałem — Czy coś w rodzaju Seminary Hill?

— Nie, nie — odparł. — Czy też może tak. Ale nie w tym rodzaju, jaki masz na myśli.

— Zdawało mi się, że życzyłeś sobie dla niej studiów⁷ w college'u.

— Dawniej, tak — odparł. — Ale od tego czasu za wiele się zdarzyło. Za wiele, za szybko, za nagle.

Przed' dwoma tygodniami w ciągu jednej doby wyrosła z wszystkich college'ow. Może znów wróci do odpowiedniego na studentkę wieku za rok, za dwa. Teraz jeszcze nie. Teraz najlepsze będzie dla niej Greenwich Village.

— Co to za miejsce? — spytałem. — Wciąż jeszcze tego mi nie powiedziałaś.

— Miejsce wyznaczone nieważną linią graniczną, ale dające nieograniczone możliwości młodym ludziom, niezależnie od ich wieku, jeśli szukają swoich marzeń.

— Nigdy nie słyszałem, że tego trzeba szukać w jakimś określonym miejscu — powiedziałem. — Zdawało mi się, że na tę zwierzynę można polować wszędzie.

— Nie zawsze tak jest. I nie dla Lindy. Czasem potrzebny jest sprzyjający teren, las, miejsce, gdzie innym ludziom udało się już wytropić tę samą zwierzynę, której ty szukasz. Czasem niektórzy ludzie nic nie znajdują

bez pomocy. Czasem tę zdobycz, której pragnie?', musisz najpierw stworzyć. A do tego trzeba dwojga.

— Jak to dwojga? — spytałem.

— No, dwojga — odparł.

— Masz na myśli męża?

— Można i tak to nazwać — powiedział. — Nazwa nie ma znaczenia.

— No, no — powiedziałem. — Wiele osób, może większość, może nawet jednomyślnie wszyscy obrońcy chrześcijaństwa w naszym bogobojnym mieście i w całym Yoknapawtapha, cnotliwi ludzie, którzy chętnie się, że nigdy ani przez chwilę w swoim życiu nie zabawiali się tak, by niewinne dziecko nie mogło być tego świadkiem, ci wszyscy pewnie by uznali, że pan prokurator z zimną krwią prowokuje i zachęca samego diabła.

Ale prokurator nie roześmiał się. Ja też nie.

— Tak — powiedział. — Tak to dla niej będzie. Trudno jej będzie. Będzie musiała przyglądać się wielu ludziom i przez długi czas. Bo ten ktoś znajdzie się wobec zadania, któremu niemal nie sposób podołać. Będzie mu potrzebna odwaga, bo czeka go na pewno ciężka próba, może wręcz klęska. Takie jest jej przeznaczenie. Sądzone jej jest cierpienie

i znoszenie męki, sądzone jej jedna namietność i jedna, udręka, a potem dźwiganie tego ciężaru przez resztę życia, tak jak innym od urodzenia przeznaczone jest, że zostaną okradzeni, zdradzeni albo zamordowani.

— Ożeń się z nią — powiedziałem. — Ożeń

się z nią. Oczywiście tobie to nigdy nie przyszło do głowy.

— Ja? — odparł. Bardzo spokojnie, bez zdziwienia, bez wyrazu. — Zdawało mi się, że o niczym innym nie mówiłem przez ostatnie dziesięć minut. — Jej się należy ktoś najlepszy. I nawet dla niego będzie to ponad siły.

— Ożeń się z nią — powtórzyłem.

— Nie — odparł. — Mnie małżeństwo zaw- j sze omija, takie jest moje przeznaczenie.

— To znaczy, że ty go unikasz, tak?

— Nie, nie. Ja się nie uchylam. Małżeństwo

i wciąż jest koło mnie, tuż, tuż. Ale los chce,

że zawsze albo ja go wyminę o włos i zachowuję wolność, albo ono mnie wymija, bez szkody dla siebie.

Wszystko więc było przygotowane i pozostawało mu tylko czekać na ten jej portret rzeźbiony we Włoszech, przynagłając dostawców telefonicznie i telegraficznie prawie co dzień, w sposób jak najgrzeczniejszy, uprzejmy i legalny, za pośrednictwem włoskiego konsula w Nowym Orleanie, a potem umieścić medalion na grobowcu, wziąć Flema za kołnierz (jeśli okaże się to konieczne), wpakować do samochodu, zawieźć na cmentarz i odsłonić pomnik jedną ręką, w drugiej trzymając bilet do Nowego Jorku dla Lindy. (Zapłaciłby chętnie za ten bilet, ale nie było to potrzebne, bo wuj Billy przed powrotem do domu po pogrzebie zdążył jeszcze wstąpić do banku i w obecności prokuratora, jako

jednego z wykonawców jego ostatniej woli, wpłacił pokaźną część sumy, przeznaczoną w spadku Euli Varner na mocy testamentu do tej pory nie zmienionego, ponieważ stary Varner nie chciał w nim wspomnieć nawet nazwiska Snopes.)

Musieliśmy więc czekać. Nikt się zresztą przy tym nie nudził. Mam na myśli, że prokurator miał pełne ręce roboty poszturchując rząd włoski, a mnie zawsze wystarcza do szczęścia, jeśli mam na co patrzeć, co obserwować, pod warunkiem oczywiście, że w grę wchodzi ludzie. Flem i Linda nadal mieszkali w małym domku, który Flem od dawna kupił, chociaż ludzie długo potem jeszcze myśleli, że go tylko wynajmuje. Wkrótce Flem nabył też samochód. To znaczy wkrótce po wywłaszczeniu de Spaina z jego banku, ale po taktownej zwłoce, żeby nie wyglądało, że mu Święty Mikołaj przyniósł wszystkie te dary naraz. Nie był to samochód luksusowy, po prostu solidny wóz, najstosowniejszych, dyskretnych rozmiarów, solidnego, dyskretnego czarnego koloru; nauczył się też prowadzić samochód, może mu to nawet było potrzebne, bo musiał co dzień po południu, po zamknięciu banku, jeździć do swojego nowego domu i kontrolować robotę cieśli (miały tam być kolumny wzdłuż całej frontowej fasady, i to tak potężne, że nawet ktoś, kto nigdy w życiu nie widział kolumn, musiał poznać, co to takiego, przypominając sobie obrazki, na których panna w krynoli

sSÄC±iS223k
nie i z magnolią we włosach żegna się z narzeczoną — konfederatem wyruszającym na wojnę, aby się w końcu poddać generałowi Grantowi). Flem musiał tam jeździć sam, bo Linda wprawdzie prędko nauczyła się prowadzić samochód i od czasu do czasu go prowadziła, a każdą kobietę interesuje budowa lub przebudowa domów, niezależnie od tego, do kogo należą, tak jak ptaka interesuje ścielenie gniazda, lecz tylko raz zawiozła tam ojca, żeby zobaczyć dom, nie chciała jednak wejść do wnętrza i nigdy już potem nie zgodziły się tam wrócić.

Ale, jak już mówiłem, byliśmy wszyscy zapracowani czy przynajmniej zajęci, czy chociaż zainteresowani, więc czekanie nam się nie dłużyło. Wszystko ma swój koniec, każde oczekiwanie także, byle czekać cierpliwie. Wreszcie więc medalion przysłano. Był właśnie październik, pora roku bardzo stosowna, może najlepsza. Oczywiście nie kto inny, lecz prokurator Stevens pojechał na dworzec towarowy i odebrał przesyłkę, chociaż koszt transportu z pewnością zapłacił Flem, choćby dlatego, że prokurator Stevens nie miałby cierpliwości czekać, aż urzędnik wszystko podliczy. Poszedł zaraz przez peron do swojego samochodu zaganiając niby parę gęsi dwóch Murzynów, którzy nieśli rzeźbę, opakowaną w słomę i w zabity gwoździami skrzynię. Przez następne trzy dni widywano go w jego biurze tylko w przelocie, można by rzec z daleka, przechodzącego ulicą.

Szczęście, że właśnie wtedy żadna Szajka zbójców czy bandytów, czy przedsiębiorców, czy choćby prawników nie przypuściła skoncentrowanego ataku na finanse Yoknapatawphy, bo okręg' musiały się bronić sam, bez pomocy swojego prokuratora. Murarze, już z góry najęci do tej roboty, czekali i może nawet wapno było rozrobione, zanim medalion nadszedł. Pewnego ranka przyłapałem go, położyłem rękę na drzwiczkach samochodu

i powiedziałem:

— Pojadę z tobą na cmentarz — ale on tylko rękę do mnie wyciągnął — silnik już włączony grał — stracił moją rękę z drzwiczek, powiedział:

— Nie przeszkadzaj — i ruszył w swoją drogę, a ja wszedłem do biura, bo drzwi bywały nie zamknięte nawet wtedy, kiedy prokurator Stevens był w normalnym usposobieniu i pomimo że większość czasu spędzał poza biurem. Otworzyłem dolną szufladę, gdzie trzymał butelkę, ale nawet nie pachniała alkoholem, jakby w niej nigdy nie było whisky. Poczekałem więc na ulicy na koniec lekcji w szkole i wreszcie przyłapałem tego malca, Chicka.

— Czy twój wuj nie ma w domu trochę whisky? — spytałem.

— Nie wiem. Zobaczą — powiedział. — Chce pan, żebym nalał do jakiejś szklanki i przyniósł tutaj?

— Nie. Jemu nie szklaneczki potrzeba, ale całej butelki, i to dużej, i pełnej. Przynies wszystko, co znajdziesz. Ja tutaj z nim zostanę i przypilnuję.

Nagrobek był gotów, Flem mógł wreszcie z tym skończyć, a prokurator przysłał mi polecenie, zwięzłe jak rozkaz generała, który ma za chwilę zdobyć twierdzę: „Bądź w moim biurze o trzeciej trzydzieści, weźmiemy z sobą Chicka. Pociąg odchodzi z Memphis o ósmej, nie ma więc czasu do stracenia”.

Stawiłem się punktualnie. Ale nie w biurze, bo prokurator już siedział w samochodzie i silnik miał zapuszczony. — Co to za pociąg o ósmej, dokąd odchodzi i kogo ma zabrać? — spytałem.

— Lindę — odparł. — W sobotę rano Linda będzie już w Nowym Jorku. Jest zapakowana, gotowa do podróży. Flem odeśle ją samochodem do Memphis natychmiast po ceremonii.

— Flem ją odeśle? — powiedziałem.

— Czemu nie? — odparł. — Jest jego córką. Bądź co bądź coś się należy dzieciom, nawet jeśli się wobec nich nie zawiniło. Wsiadaj, Chick już nadchodzi!

Pojechaliśmy na cmentarz, a tam zobaczyliśmy kolumnę, która wcale nie głosiła, ile za nią Flem zapłacił, lecz mówiła, ile jest dla Flema Snopesa warta; stała pośrodku nowej kwatery grobów, nad tym jedynym grobem, na którym ziemia jeszcze dobrze nie obeschła, kamienna, marmurowa, biała, bielsza niż sama biel w tym październikowym ciepłym słońcu, na tle jaskrawożółtych, czerwonych

wonych i purpurowych liści orzechów, sumaków, figowców i dębów odcinających się jak ogniste plamy od ciemnej zieleni cedrów. Nadjechał drugi samochód, Linda i Flem na tylnym siedzeniu, a przy kierownicy Murzyn, który ją miał odwieźć do Memphis, i obok niego spiętrzone walizki (także nowiuteńkie); wóz zbliżył się i stanął, ale Flem nie ruszył się z miejsca, w swoim czarnym kapeluszu wciąż jeszcze nowiuteńkim, jak gdyby pożyczonym od kogoś innego, z muszką, która nigdy nie wyglądała i nigdy nie będzie wyglądała bardziej nowa. Żuł bez przerwy tytoń, a dziewczyna siedziała przy nim sztywna, milcząca, nawet nie oparta o poduszki samochodu, w ciemnym podróżnym kostiumie, z woaleczką na kapeluszu; ręce w białych rękawiczkach złożyła na kolanach nieruchome, zwinięte w pięści i nie spojrzała nawet na kamienny pomnik i na białą twarz w marmurowym medalionie, wyrzeźbioną wedle fotografii, którą prokurator Stevens wybrał. W pierwszej chwili ta twarz wydawała się wcale niepodobna do Euli, a nawet niepodobna do nikogo w świecie, ale potem zrozumiałem swoją pomyłkę: ta twarz nie była podobna do żadnej innej kobiety w świecie, bo to była twarz tej jedynej, którą każdy mężczyzna, jeśli miał szczęście naprawdę być mężczyzną, musiał poznać: „Tak, to ona. Znałem ją pięć albo dziesięć, albo pięćdziesiąt lat temu i myślałem, że zasłużyłem już sobie, by mi nigdy więcej o niej nie przypomiano”.

Pod medalionem wyryty był napis, który także on sam (a w tym wypadku nie prokuratora Stevensa mam na myśli) wybrał:

EULA VARNI5R SNOPE5 1889 1927

'Zona cnotliwa jest koroną małżonka swego,

A dzieci jej powstaną i błogosławioną zwać ją będą.

Flem siedział, powoli i nieustannie żując tytoń, a dziewczyna obok niego sztywna jak słup, nie patrząc na nic, z rękoma, niby dwa białe kłębki, zaciśniętymi na kolanach. Potem Flem poruszył się wreszcie, wychylił się, splunął przez okno i znów wsunął się w głąb wozu.

— Teraz możesz jechać — powiedział.

XXIV. CHARLES MALLISON

Samochód ruszył. Odwróciłem się

i chciałem pójść do naszego wozu, ale Ratliff idąc za mną powiedział: — Chwileczkę! Czy masz czystą chustkę do nosa? — I wtedy spostrzegłem, że wuj Gavin oddala się od nas, idzie po prostu przed siebie; Ratliff wziął ode mnie chusteczkę i dogoniliśmy wuja Gavina, ale on był już spokojny.

— O co chodzi? — spytał. I zaraz dodał: — No, dobrze, jedziemy z powrotem. Wy obaj jesteście wolni, możecie próżnować przez

resztę dnia, ale mnie bądź co bądź okrąg płaci, muszę kręcić się w pobliżu biura na wypadek, gdyby mnie szukał ktoś, kto żywi jakieś przestępcze zamiary.

Wsiadliśmy do samochodu i ruszyli z powrotem do miasta. Wuj mówił teraz o rugby

i pytał mnie: — Kiedy wreszcie obudzisz się

i wyrwiesz z tej freblówki do szkoły średniej, żeby dostać się do drużyny? Chciałbym mieć kogoś znajomego wśród graczy, bo zdaje mi się, że wiem, na czym polegają błędy tego sportu takiego, jak się go obecnie uprawia.

—

I dalej gadał w tym duchu, a nawet usiłował poprzeć swoje argumenty gestami i na chwilę wypuścił z rąk kierownicę. Jego zdaniem tylko rzeczoznawcy mogą śledzić grę, przeciętny widz nie może zorientować się w tym, co się dzieje na boisku; w baseballu wszyscy stoją na swoim miejscu, a jedynie piłka się rusza, można więc patrząc na nią zrozumieć grę, ale tutaj i piłka, i wszyscy gracze jednocześnie są w ruchu, w dodatku zwykle zbici w kupe, a piłki, o którą się biją, między nimi nie widać, nie wiadomo, kto ją trzyma, a tym bardziej, kto powinien ją mieć. Nie mówiąc już o tym, że piłka jest brunatna jak ziemia a gracze tłuką się i tarzają w błocie, aż wreszcie wszyscy są tego samego koloru. Tak rozprawiając gestykulował obu rękami, aż w końcu Ratliff i ja krzyknęliśmy: — Trzymaj kierownicę! Trzymaj kierownicę! — a wuj Gavin mówił do Ratliffa: — Ty oczywiście- jesteś innego zdania — czy też: —

Ty naturalnie ze mną się nie zgadzasz! — albo: — Mów sobie, co chcesz, ale... — a Ratliff odpowiadał: — Czy ja co mówię? — albo: — Nie, wcale nie! — albo: — Nie pisałem przecież ani słowa na ten temat — aż wreszcie Ratliff zwrócił się do mnie:

— Znalazłeś tę butelkę?

— Nie — odparłem. — Zdaje się, że ojciec wszystko wypił. Pan Gowrie dopiero w przyszłą niedzielę wieczorem przyniesie nową baryłkę.

— To ja tutaj wysiądę — powiedział Ratliff do wuja Gavina. Wuj Gavin przerwał swoje wywody, żeby spytać:

— Co mówisz?

— Chcę tutaj wysiąść — rzekł Ratliff. — Zobaczmy się znów za minutkę.

Więc wuj Gavin zatrzymał samochód (właśnie wjeżdżaliśmy na Rynek), Ratliff wysiadł, a my pojechaliśmy dalej, wuj Gavin znów zaczął mówić, a raczej mówił w dalszym ciągu, bo przerwał tylko po to, żeby spytać Ratliffa: „Co mówisz?”, zaparkował wóz, wszedł na górę do biura, wciąż gadając o głupstwach, tak że nie wiadomo było, czy jest w tym jakiś sens, czy nie, wyjął z kubka jedną ze swoich fajek i rozglądał się po biurku, dopóki mu nie podsunąłem puszki z tytoniem, a wtedy popatrzył na nią, uśmiechnął się, powiedział: — Ach, tak, dziękuję ci — i odłożył fajkę, wciąż gadając. Wreszcie zjawił się Ratliff, podszedł do lodówki, wyjął z szafy szklanek, łyżeczkę i cukierniczkę, wyciągnął

rz. a pazuchy butelkę białego whisky. i gdy wuj Gavin wciąż mówi, Ratliff przygotował grog * podał wujowi szklanę.

— Masz? — powiedział.

— O, dziękuję uprzejmie — rzekł wuj Gavin, — Wygląda to bardzo ponętnie. — Ale nie tknął trunku. Nawet wtedy, gdy Ratliff postawił szklanę na biurku, gdzie pewnie stała do następnego ranka i doczekała się Clotusa, który przyszedł zamieścić biurko i może byłby jej zawartość wylał, gdyby w ostatniej chwili nie powstrzymał się, żeby ją powąchać, poznać i wypić. Teraz wuj Gavin wziął fiolkę z biurka, napoiał ty teriera i zaczął szperać po kieszeniach, ale Ratliff podał mu zapalniczkę i wuj Gavin przerywając gadanie spojrzął na nią i spytał: — Co? — a potem dodał: — Dziękuję. — Wziął zapalniczkę, potarł ją ostrożnie o spód biurka, zdmuchnął płomyk, odłożył zapalniczkę porządnie do popielniczki. fajkę także, zaplął rękę na biurku i powiedział do Ratliffa:

— Może ty mi wytłumaczysz, bo ja ani w żąb nie rozumiem. Dlaczego ona to zrobiła? Dlaczego? Frzecież na ogół kobiety nie interesują się faktami, byleby fakty zgadzały się z sytuacją. To tylko mężczyźni gwizdzą na to, czy fakty się zgadzają, kto zostanie zraniony, ile osób ucierpi, byle rany były dostatecznie ciężkie. Chcę usłyszeć twoje zdanie. Ty znasz kobiety, podróżując po całym kraju i obracając się całymi dniami wśród kobiet, od jednego saloniku do następnego, od rana do

◆ -
wieczora, królujesz tu? y nimi szarmancki
i wymowny, zawsze i wszędzie mile widział - jak jaki ros...

— Co za ros?

— Powiedziałem: ros? — rzekł wuj Gavin. — Nie, nie. Pytałem: dlaczego? Zmartwienia. lęk młodej dziewczyny, ale młode dziewczęta lubią smutki i lęki. zresztą potrafią je przezwyciężyć. Przewyciężyć ją i cni- serzi. I w dodatku na tydzień przed jej urodzinami, chociaż to już wina Flema, żeby na tydzień przed terminem zniszczyć coś tak wspaniałego jak dziewiętnaste urodziny córki. Ale nie mówmy o tym. Czyż nie powiedział ktoś przed chwilą, że młode dziewczęta w gruncie rzeczy lubią smutki i lęki? Nie, nie, chodziło mi o coś innego. Dlaczego? — Patrzył na Ratliffa. — Dlaczego? Dlaczego musiała to zrobić? Dlaczego to zrobiła? Takie marnotrawstwo. Zniszczyła coś, co nie było jej własnością, czego nie miała prawa niszczyć, bo jest zbyt cenne, należało do wielu ludzi, jest tak rzadkie, że nie wolno tego niszczyć, marnować, unicestwiać. — Spojrzył na Ratliffa. — Powiedz mi, V. K., dlaczego?

— Może się znudziła — rzekł Ratliff.

— Znudziła się — powtórzył wuj Gavin.

I raz jeszcze cichym głosem: — Zręduła się. — I wtedy zaczął płakać, siedząc spokojnie w swoim fotelu za biurkiem, z rękoma splecionymi na jego blacie, nie kryjąc nawet twarzy. — Tak — powiedział. — Znudziła się. Kochała, miała dar miłości, umiała dawać

i przyjmować miłość. Ale dwa razy próbowała i dwa razy się zawiodła, nie znalazła człowieka dość silnego, by godny był, zasłużył, sprostał miłości, czy chociaż dość odważnego, żeby ją przyjąć. Tak. — Siedział tak płacząc i nawet nie usiłując ukryć przed nami twarzy. — Oczywiście, znudziła się.

Jeszcze jedno zostało do powiedzenia. Pewnego ranka — znów było lato, lipiec — pociąg idący z Nowego Orleanu na Północ zatrzymał się w Jefferson: zwykle pierwszy wysiadał z niego Murzyn, pomocnik konduktora, ale nie konduktora wagonów pullmanowskich, które zawsze stają daleko od dworca, na końcu pociągu, tak że ich nigdy nie widzimy, lecz konduktora wagonu bez miejsc sypialnych, jednego z pierwszych za lokomotywą; zwykle wysiadał z ważną miną, zagadywał do robotników drogowych i innych Murzynów, którzy gromadzą się wokół pociągów osobowych. Tym razem sam konduktor wyskoczył, niemal zanim pociąg się zatrzymał, a po nim zaraz biały kolejarz z chorągiewką; pomocnik nie wysiadł, tylko głowę wytknął przez okno mniej więcej w połowie wagonu.

Wtedy wysiadło ich czworo. Dzieci. Najwyższa była dziewczynka, ale nigdy nie dowiedziałem się, czy była najstarsza, czy też tylko największa; potem dwaj chłopcy, wszyscy troje w kombinezonach, a wreszcie Inalec w dziwnym stroju sięgającym mu do pięt, podobnym do męskiej koszuli i uszytym z worka po mące czy z płótna namiotowego. Każde z nich miało na piersi przyczepioną nalepkę bagażową, a na niej ołówkiem wypisano:

NADAWCA: BYRON SNOPE, EL PASO, TEKSAS.

ADRESAT: WP. FLEM SNOPE, JEFFERSON, MISSISSIPPI

Ale pan Snopes nie wyszedł po nich na dworzec. Za bardzo był zajęty jako bankier

i 'diakon kościoła baptystów', samotny wdowiec, zamieszkujący w starym domu de Spainów, który przebudował na wzór południowych dworców sprzed wojny domowej; nie przyszedł więc po dzieci na dworzec. Zastępował go Dink Quistenberry, mąż jednej z siostrzy czy może siostrzenic pana Snopesa, czy innej kuzynki z Sadyby Francuza. Gdy pan Snopes odesłał swego krewniaka I. O., z powrotem na wieś, Quistenberry'owie sprządzili się do miasta i kupili czy też wydzierżawili hotel Snopesa, a w każdym razie objęli nad nim zarząd; to przedsiębiorstwo nie nazywało się już hotel Snopesa, lecz hotel Jefferson, klientami jednak nadal byli handlarze koni i bydła oraz członkowie objazdowego sądu okręgowego, których tutaj odosobniano. Dink był w takim wieku, w jakim mógł być szwagier czy inny powinowaty pana Snopesa, ale nikomu nie przychodziło do głowy, żeby się do niego zwracać per „pan”.

A więc Dink był na dworcu.

Zapewne przysłał go pan Snopes. A gdy Dink zobaczył tę czwórkę, zapewne doznał takiego samego wrażenia, jak my na ten widok

i jak konduktor, i kolejarz z chorągiewką,

i pomocnik konduktora już chyba od chwili, gdy pociąg wyruszył z Nowego Orleanu. Bo te dzieci-nie wyglądały jak ludzkie dzieci. Wyglądały jak węże. To może wyda się komuś przesadne. Ale w każdym razie nie wyglądały jak dzieci, do niczego w świecie nie były mniej podobne niż do dzieci, z tymi ciemnymi, nalanyimi twarzami, z czarnymi włosami ostrzyżonymi tak, jakby ktoś włożył na głowę garnek i równo z brzegiem obciął tępym nożem wszystko, co spod niego wystawało, z bardzo czarnymi, bardzo nieruchomymi oczyma. Nikt w Jefferson (ani też w okręgu Yoknapatawpha) nigdy nie widział, żeby te oczy -choć raz mrugnęły.

- Nie wiem, jak Dink z nimi się porozumiał, bo konduktor już poinformował każdego, kto chciał go słuchać (tymczasem zebrał się już spory tłum), że dzieci nie mówią żadnym językiem, z jakim się w życiu spotkał, i radził nam mieć się na baczności, ponieważ jedno z nich ma przy sobie nóż sprężynowy z ostrzem długości sześciu cali, ale które to było, nie wiedział i wołał osobiście nie sprawdzać. W każdym razie Dink wpakował tę czwórkę do samochodu, a pociąg ruszył dalej.

Może w ten sam sposób porozumiewały się w drugstworze czy dogadywały przynajmniej

2 Skeetsem McGowanem, bo w niespełna tydzień później już weszły do lokalu pana Christiana, we czworo (zawsze we czworo, nigdy się nie rozstawały, jak gdyby lekarz czy osoba, która je przy urodzeniu przyjmowała, przecinając między dzieckiem a matką pępowinę, wiązał ją natychmiast z pępowiną poprzedniego brata lub siostry. Wtedy już wiedzieliśmy, co to za jedni: dzieci Byrona Sno- pesa i jego indiańskiej żony z plemienia Apaczów, urodzone w Starym Meksyku), i po dwóch minutach wyszły jedząc lody w waflach.

Zawsze widywano je razem w mieście czy pod miastem, o wszystkich godzinach dnia, ja jak wkrótce dowiedzieliśmy się, również "w nocy, bo kiedyś o drugiej nad ranem Otis Harker przyłapał je wychodzące gęsiego zza budynku rozlewni coca-coli. Otis opowiadał, że chociaż nie ma pojęcia, jak się dostały do wnętrza, bo drzwi były zamknięte i żadne okno nie wybite, ale z daleka czuł zapach ciepłego syropu coca-coli, którym najmłodsze z dzieci połało sobie cały przód koszuli czy worka, czy jak tam ten jego strój nazwać. Czuł z daleka, z odległości kilku stóp, bo bliżej nie podszedł, krzyknął na nie tylko, żeby wracały do domu, do Snopesów, a raczej do hotelu Jefferson, ale one stały jak wryte i patrzyły na niego. Otis Harker mówił, że nie zamierzał im nic złego zrobić, chciał tylko, żeby sobie poszły, a myślał, że nie rozumieją, co do nich mówi; dlatego zamachnął się ra-

mieniem i niby to skoczył ku nim, wciąż krzyząc. Na szczęście zdążył w porę się pohamować, bo już w garści jednego z nich błysnął nóż z otwartym ostrzem, co najmniej sześciocalowym. Stało się to tak prędko, że nawet nie spostrzegł, skąd się ten nóż wziął, a zniknął znów tak błyskawicznie, że nigdy już potem Otis nie wiedział, które z trojga odzianych w kombinezony dzieci nóż schowało, czy dziewczynka, czy jeden z dwóch chłopców. Nazajutrz pan Connors udał się do Dinka Quistenberry'ego i oświadczył mu, że nie powinien dzieci w nocy wypuszczać na ulicę.

— Pewnie — odparł Dink. — Ale niech pan spróbuje. Niech pan spróbuje nie puścić ich na miasto czy też zabronić czegokolwiek. - Proszę bardzo. Będę się cieszył, jeżeli panu się to uda.

Kiedy więc zdarzyła się ta historia z psem, nawet pan Hub Hampton wołał się do nich nie zbliżać. A było to tak: W Jefferson wtedy asfaltowano ulice, więc zjechało kilka nowych rodzin, inżynierowie, przedsiębiorcy i tym podobni, jak przedtem Riddellowie, których syn swoją chorobą dostarczył nam dwa lata temu nadzwyczajnych wakacji. Jedna z tych rodzin nie miała dzieci, ale za to pan miał Cadillaka, a pani pieska, o którym mówiono, że jest wart pięćset dolarów. W Jefferson nigdy przedtem nie widziano takiego okazu; a nawet nie słyszano, żeby pies mógł kosztować więcej niż pięćdziesiąt do-

larów, chyba że chodziło o wyżła czy setera¹ ułożonego do polowania (albo o airdale'a tresowanego do polowania na niedźwiedzie, który wabił się Lew i był własnością majora de Spain, ojca naszego pana de Spain; o tym psie wszyscy myśliwi w północnej części Missisipi dotychczas opowiadali); ale to był pekińczyk ze złotą plakietką na obroży i pewnie sam nawet się za psa nie uważał, jeździł Ca-dillakiem i szczyrzył zęby, przez okno, a jadał tylko specjalne gatunki mięsa, specjalnie przez

¹ sprowadzane z Kansas City, za kosztowne, żeby zwykli ludzie mogli je kupować dla sie-

¹ bie do jedzenia.

Pewnego dnia pekińczyk zniknął. Nikt nie wie, jakim sposobem, ponieważ widywało się go tylko szczyrzyącego zęby zza szyby, jeżeli nie Cadillaka, to mieszkania swoich właścicieli. Ale zniknął i nigdy chyba nie widziałem kobiety tak wzburzonej, jak była wówczas pani Widrington; wszędzie, w Memphis, w całym północnym Missisipi, w zachodnim Tennessee i wschodnim Arkansas ogłoszono o tej zgubie i o nagrodzie za jej odnalezienie, pan Hampton i pan Connors nie sypiali po nocach, bo pani Widrington ustawicznie do nich telefonowała; przedstawiciel towarzystwa ubezpieczeń (pekińczyk był ubezpieczony, możliwe że w Jefferson więcej ludzi niż psów miało polisy, ale z pewnością też więcej było ludzi nie ubezpieczonych niż psów w mieście), a także sama pani Widrington

O różnych porach dnia i nocy wpadali na dudze podwórka wołając coś, co zdaniem Alecka Sandera i moim brzmiało: „jau, jau”, lecz wuj Gavin wytłumaczył nam, że pekińczyk wabił się Lao-tse ku czci wielkiego chińskiego poety. Wreszcie pewnego dnia zauważono czworo indiańskich Snopesów wychodzących z drugstore'u Christiana i jeden z przechodniów na ulicy, pokazując ich palcem, krzyknął: — Patrzcie!

Była to obroża ze złotą plakietką. Najmniejsze z dzieci nosiło ją na szyi nad tą swoją nocną koszulą. Nadbiegł pan Connors

I posłał co prędzej po pana Hamptona. I właśnie wtedy pan Hampton wołał się do nich nie zbliżać, a my wszyscy pewnie myśleliśmy

o tym samym, co i on: jak okropnie wyglądałby jego potężny brzuch wypatroszony na chodniku, gdyby pan Connors nieostrożnie naraził się na cios sześciocalowego noża. Czworo snopesowych Indian czy też indiańskich Snopesów stało rżędem i śledziło jego ruchy, ale nie wyglądało groźnie ani niewinnie, w ogóle nic po nich poznać nie było można; nikt by ich nie nazwał miłymi dziećmi, ale też nie zdawały się bardziej niebezpieczne niż cztery zamknięte scyzoryki. Tak właśnie wyglądały: jak cztery zamknięte scyzoryki, ale nie mordercze. W końcu pan Hampton powiedział:

— Co one robią, jeśli nie jedzą tutaj lodów ani nie włamują się do rozlewni coca-coli o drugiej nad ranem?

— Mają swoje obozowisko czy schron, czy jak to tam nazwać, w jamie, którą wykopały w ścianie parowu za gmachem szkoły — rzekł pan Connors.

— A zaglądałeś tam? — spytał pan Hampton.

— Rozumie się — odparł pan Connors. — Nic tam nie'ma prócz śmieci i kości, i jakichś gratów, którymi one się bawią.

— Kości? — powiedział pan Hampton. — Jakie kości?

— Zwyczajne kości — rzekł pan Connors. — Kurcze, żeberka, obgryzione resztki po mięsie, jak mi się zdaje.

Pan Hampton wsiadł do swojego samochodu, a pan Connors do swojego, z czerwonym światłem i syreną, parę innych osób, ile się zmieściło, wpakowało się z nimi razem, i dwa wozy pojechały w stronę szkoły; my — reszta świadków — poszliśmy piechotą za nimi, bo chcieliśmy zobaczyć, czy pan Hampton z tym swoim potężnym brzuchem naprawdę zamierza spuszczać się na dno parowu, a jeśli się na to odważy, jak stamtąd potem wylezie. Ale zrobił to z pomocą pana Connorsa, który mu wskazał, gdzie jest jaskinia, puścił go jednak przodem, jako szeryfa. Za paleniskiem piętrzył się stosik kości, pan Hampton trącił je czubkiem buta i kilka sztuk odgarnął na bok. Był myśliwym, leśnym człowiekiem, zanim dorobił się takiego brzucha, że już nie mógł przedzierać się przez gąszcze.

•— Macie tu swojego psa — powiedział.

Pamiętam ten dzień sprzed pięciu lat, gdy siedzieliśmy przy stole, a wyścigowy wóz Matta Lewitta przejechał ulicą przed naszym domem i ojciec spytał wuja Gavina: „Czym mi ten hałas zalatuje?” Przypominam, że historia z miedzią znikającą z elektrowni za rządów pana Snopesa zdarzyła się jeszcze przed moim urodzeniem. Ale tego ranka, kiedy u wuja Gavina w biurze siedziała pani Widrington i przedstawiciel towarzystwa ubezpieczeń (przebywał chyba w Jefferson dość długo, żeby rozmawiać z Ratliffem, bo to musiało się zdarzyć każdemu przyjezdnemu, jeśli zatrzymał się choćby na pół dnia w mieście, a co dopiero, jeśli był tu przez cały tydzień), tłumacząc, że pies był ubezpieczony od chorób, nieszczęśliwych przypadków i klęsk żywiołowych, a czworo pół-Snopesów, pół-Apaczów do żadnej z tych kategorii nie da się zaliczyć, więc nie kto inny, tylko prokuratura miasta musi wystąpić do sprawców o odszkodowanie. A więc, chociaż historię miedzi znałem tylko z opowieści wuja Gavina, przypominały mi się słowa ojca, które już na własne uszy słyszałem pięć lat temu: „Czym mi ten hałas zalatuje?” — gdy wszedł pan Snopes, zdjął kapelusz i powiedział: — Dzień dobry — zwracając się do wszystkich w ogóle i do nikogo w szczególności, a potem już wyraźnie do agenta ubezpieczeń i spytał: — Ile za tego psa?

— Pełną wartość rasowego psa z rodowodem, panie Snopes. Pięćset dolarów — odparł agent, a pan Snopes (któremu agent wstając i obchodząc wkoło biurko podał krzesło), usiadł, wyjął z kieszeni książeczkę czekową, wypisał sumę na czeku, posunął go po blacie biurka przed oczy wuja Gavina, wstał, powiedział „do widzenia” wszystkim i nikomu specjalnie, włożył kapelusz i wyszedł.

Ale na tym nie poprzestał. Nazajutrz Indianie spłodzeni przez Byrona Snopesa zniknęli z miasta. Ratliff opowiedział nam, jak się to stało.

— Rozumie się — rzekł. — Flem wyprawił ich do Sadyby Francuza. Żadna z dwóch babuń, czyli żon I. O. Snopesa, nie chciała ich przyjąć, aż wreszcie wziął ich Dewitt Binford — Dewitt Binferd ożenił się z jedną z córek I. O. Snopesa i mieszkał w pobliżu sklepu Varnera. — Na mocy umowy: Snopesowie mają się składać i płacić Dewittowi po dolarze od łebka tygodniowo, o ile on z nimi chociaż przez tydzień wytrzyma. Pierwsze cztery dolary musieli oczywiście wpłacić z góry, tytułem, że tak powiem, wiążącej zaliczki.

Zgadł. To znaczy, że nie trwało to rzeczywiście wiele dłużej niż jeden tydzień. Znów zjawił się Ratliff, a było to rano. — Właśnie wczoraj w południe wyczerpała się cierpliwość Sadyby Francuza i teraz już pozbędziemy się ich z okręgu. Nasza czwórka jest już na dworcu, zapakowana, zaadresowana do

wysyłki, bilety zapłacone, czekamy już tylko na numer dwadzieścia trzy czy też na jakikolwiek pociąg idący na południe mniej więcej w kierunku El Paso w Teksasie. — I opowiadał dalej: — Kombinacja, że tak powiem, interesująca z punktu naukowego i tego, jak się nazywa? — urwał i wuj Gavin musiał mu podsunąć: „atropologicznego” — i antropologicznego: czworo tych przedstawicieli ginącego plemienia pierwotnych Amerykanów omal nie uśmierciło nocą białego człowieka. Matka Clarence’a Snopesa z pomocą sąsiadów w ostatniej chwili temu zapobiegła.

I Ratliff opowiedział całą historię. Dewitt Binford po przybyciu tych dzieci do jego domu zaraz odkrył, że one nie śpią w łóżku, lecz rozkładają koc na podłodze i tam śpią pokotem; nazajutrz rano Dewitt i jego żona zastali łóżko rozmontowane, kawałki oparte

o ścianę w kącie, żeby nie zajmowały miejsca. Ale nie słyszeli najłżejszego szmeru, tak się ta robota cicho odbyła. Dewitt mówił, że zanim jeszcze najmłodszy malec napędził mu stracha, najbardziej niepokoiło go właśnie to, że nim sposób było ich usłyszeć, nigdy się nie j wiedziało, czy są w domu, czy nie, kiedy wyszli i kiedy wrócili; nigdy nie byłś pewny, czy nie siedzą po ciemku w twojej własnej sypialni i nie patrzą na ciebie.

— Więc Dewitt chciał to zbadać — mówił Ratliff. — Poszedł do Tulla, pożyczył latarkę kieszonkową i czekał do północy. Powiada, że nigdy w życiu nie przemykał ciszej przez hall do drzwi ich pokoju usiłując nawet oddech powstrzymać w miarę możliwości. Przedtem już wyciął w drzwiach otwory, tak żeby nawet po omacku świecąc latarką trafić wprost na środek, gdzie powinny znajdować się głowy na posłaniu. Wstrzymał oddech, chwilę nasłuchiwał, a że cicho było jak makiem zasiał, błysnął latarką. Cztery pary otwartych już szeroko oczu spojrzały prosto w jego twarz.

Dewitt mówi, że już wtedy gotów był dać za wygraną. Ale odtąd najmniejszy już mu nie dawał spokoju. Dewitt nie wiedział, co robić, bo słyszał o tym nożu, chociaż go jeszcze na oczy nie widział. Przypomniał sobie o flakonie pigułek z opium, które podobno najsilniejszego człowieka uspią na amen, a które doktor Peabody dał jego żonie, kiedy lampa w wylegarni wybuchła i spaliła jej włosy nad czołem. Kupił w sklepie cztery butelki lemoniady, wpuścił do każdej po dwie pigułki, założył z powrotem kapsle i schował butelki w takim miejscu, gdzie, jak sobie wyobrażał, dzieci na pewno je wyniuchają bez wielkiego trudu. Wieczorem rzeczywiście cztery butelki znikły, więc Dewitt doczekał znów do północy, żeby mieć na pew⁷no dość czasu na załatwienie sprawy, wziął latarkę Vernona Tulla, przeszedł przez hall, na czworakach lał od drzwi do legowiska — wiedział, jak się zwykle układają i gdzie powinien by znaleźć najmłodszego — wyciągnął

ramię i zmacał kraj koszuli jedną ręką, podczas gdy w drugiej trzymał w pogotowiu latarkę.

— Po prostu płakał, jak mi o tym opowia-- dał, nie tyle ze strachu, ile ze zdumienia. Nie chciał — powiada — zrobić mu żadnej krzywdy. Chciał tylko przekonać się, „któ- ren” to...

— Który — rzekł wuj Gavin.

— Właśnie tak mówię •— powiedział Ratliff. — Więc Dewitt nie zdążył nawet nacisnąć wyłącznika latarki. Poczul na policzkach jakby dwa smagnięcia ogniem. Mówi, że kiedy na czworakach umykał w stronę drzwi, wiedział, że nie ma czasu, by się obejrzeć, a już tym bardziej, by podnieść się na nogi czy też zamknąć za sobą drzwi. A kiedy wpadł do pokoju, który dzielił z żoną, także czuł, że nie ma czasu na zamykanie drzwi, ale nie mógł też zostawić ich otwartych, więc zatrzasnął je, krzyknął na żonę, zastawił drzwi biurkiem, a tymczasem pani Dewitt zapaliła lampę i chciała mężowi pomóc w barykadowaniu wejścia, ale on huknął, żeby przede wszystkim zamknęła okna. Prawie płakał, dwie szramy przecinały mu policzki od skroni tuż koło oka aż do kącika warg,

- wyglądało to jak szyderczy uśmiech, a rana otwierała się na nowo, ilekroć poruszył mięśniami twarzy.

Opowiadał, że uradzili z żoną zgasić lampę i przycząić się w ciemnościach, ale potem przypomniał sobie, jak te dzieci włamały się do zamkniętej rozlewni coca-coli nie trącając nawet patentowego urządzenia alarmowego.

Więc tylko zamknęli okna, a lampę zostawili zaświeconą, dusząc się w tym zamkniętym pokoju, bo noc była parna, aż wreszcie rozwidniło się na tyle, że pani Dewitt odważyła się wyskoczyć i drugim wejściem zakradła się do kuchni, gdzie rozpałiła ogień

i ugotowała śniadanie. Ale dom był już wtedy pusty. Nie bezpieczny, oczywiście, lecz pusty, nie licząc państwa Dewittów, rozumie się, gdy zaczęli naradzać się, czy dać znać Flemo- wi, czy Hubowi Hamptonowi, żeby ktoś przyjechał i zabrał tę czwórkę, czy też nie zmywając nawet po śniadaniu przenieść się z własnego domu do Tullów. W każdym razie, mówi Dewitt, oboje mieli już tego dość, nie nęciły ich nawet te cztery dolary tygodniowo. Tak więc około dziewiątej rano Dewitt był już w drodze do sklepu, żeby stamtąd zatelefonować do Jefferson, gdy nagle wybawiła go z rozterki pani I.O. Sno- pes — mam na myśli żonę I.O. Snopesa numer drugi, tę, która została zdetronizowana, zanim I.O. przeniósł się do miasta.

Oczywiście zналиśmy Clarence'a Snopesa. Przyjeżdżał do miasta co sobota albo częściej, ilekroć mu się trafiła okazja, jak twierdził Ratliff; wyrósł na dużego, tęgiego chłopaka, miał osiemnaście czy dziewiętnaście lat i był cały szary, miał szare konopiaste włosy, szarą, kłajstrowatą cerę, wyglądał tak, jakby w jego żyłach zamiast krwi płynęła jakaś

bezbarwna ciecz, coś w rodzaju rzadkiego kleiku owsianego; on jeden spośród Snopesów i w ogóle spośród mieszkańców Sadyby Francuza, a nawet całego okręgu Yoknapawtapha, przyjął życzliwie czwórkę kuzynów z Teksasu. — Można by powiedzieć, że ich zaadoptował — mówił Ratliff. — Od pierwszego dnia. Twierdził nawet, że udaje mu się z nimi rozmawiać i że ich tresuje do polowania jak sforę gończych. Spodziewał się, że będą lepsi od najlepszych psów, bo psy prędzej czy później męczą się i wracają do domu, ale tym dzieciom jest obojętne, gdzie się znajdują.

Ćwiczył więc swoich kuzynów. Zaczął od tego, że stawiał na pniaku przed sklepem butelkę z lemoniadą uwiązaną na sznurku, którego drugi koniec trzymał w ręku siedząc na werandzie; dzieci wypełzały z kryjówek i manewrowały koło pnia, aż wreszcie jedno wyciągało rękę po butelkę, ale w tym momencie Clarence szarpał za sznurek i butelka wymykała się z zasięgu ich rąk. Ale sztuka udała mu się tylko raz, więc potem wypijał zawartość, butelki, a nalewał do niej wodę zmieszaną z błotem czy inne paskudztwo; inną metodą tresury było 'podrzucanie grudek gliny owiniętych w papierki po czekoladkach, a dzieci, zanim się zniechęciły, dość długo dały się na ten kawał nabierać, zwłaszcza że od czasu do czasu w papierku znajdowały prawdziwą czekoladkę, a w butelce sok malinowy czy pomarańczowy.

W każdym razie wciąż z nimi przestawał, pokrzykiwał na nie, wymachiwał rękami na oczach ludzkich komenderując, gdzie mają iść, jakby to były psy. Urządzili sobie nawet coś w rodzaju własnego domu czy jaskini w innym parowie około pół mili od drogi. No, tak. Mógłby ktoś śmiać się, że taki duży, prawie dorosły chłopak jak Clarence bawi się w ten sposób, ale nagle odkryłbyś, że śmiać się trzeba z pomyłki, jaką popełniłeś nazywając zabawą to, co mogło interesować tę czwórkę.

A więc Dewitt był już blisko sklepu, gdy drogą nadbiegła matka Clarence'a krzycząc: „Ci Indianie! Ci Indianie!” Nic więcej. Po prostu doskonały przykład macierzyńskiej miłości i instynktu. Bo prawdopodobnie o niczym jeszcze nie wiedziała, a gdyby nawet wiedziała, nie była w tym wzburzeniu zdolna nic opowiedzieć. Stała tylko pośrodku drogi przed sklepem łamiąc ręce i krzycząc: „Ci Indianie!” aż wreszcie mężczyźni siedzący w kucki na werandzie zaczęli się podnosić

i ruszać, zwłaszcza że w tej samej chwili nadszedł Dewitt, który od razu zrozumiał, o co chodzi. Wprawdzie nigdy nie pałał macierzyńską miłością ani też nie był obdarzony macierzyńskim instynktem, ale za to pani Snopes nie miała na policzkach świeżych jeszcze szram od cięcia nożem.

— Ci Indianie? — powiedział. — Na litość boską, ruszcie się, chłopaki! Bo za chwilę może być już za późno.

Ale nie było za późno. Zdążyli. Wkrótce usłyszeli ryk Clarence'a i wrzask, a potem już go zaraz zobaczyli i. co mocniejsi w nogach puścili się pędem w głąb parowu, gdzie Clarence stał przywiązany do pnia młodego dębu, a wokół niego niewiele mniej niż sąg drzewa ułożony był w stos, który już zaczynał palić się na dobre.

Zdążyli. Jody zatelefonował natychmiast do Flema i wszystko skończyłoby się pewnie już wczoraj wieczorem, gdyby nie to, że sfera Clarence'a odnalazła się dopiero nazajutrz rano, bo kiedy Dewitt uchylił żaluzji w oknie, zobaczył na werandzie całą czwórkę czekającą na śniadanie. Dom był wtedy zawczasu zabezpieczony, bo Dewittowie zabarykadowali się jeszcze przed nocą. Samochód Jody'ego stał, jak to mówią, w pogotowiu, a dzieci dały się zapakować do niego bez oporu, bo, jak słusznie zauważył Clarence, im było wszystko jedno, gdzie się znajdują.

No i w ten sposób są teraz na dworcu. Może któryś z panów miałby chęć razem ze mną pójść tam i popatrzeć na ten, że tak powiem, zmierzch epoki, jeśli się dobrze wyrażam. Pożegnalny i nieodwołalny ostatni występ Snopesów w Jefferson, jeśli rozumiecie, co mam na myśli.

Pojechałem z Ratliffem na dworzec i po drodze opowiedział mi resztę tej historii. Panna Emily Habersham osobiście zatelefonowała do biura opieki nad podróżnymi w Nowym Orleanie prosząc, żeby ktoś tam

j

przyszedł po dzieci i wyprawił je dalej do El Paso, a potem zatelefonowała do biura opieki nad podróżnymi w El Paso, prosząc, żeby dzieci przeprowiono przez granicę

i przekazano policji meksykańskiej z poleceniem odstawienia do ojca, Byrona Snopesa, albo do rezerwatu czy gdziekolwiek indziej. W tym momencie zauważyłem paczkę i spytałem, co w niej jest, ale Ratliff nic nie odpowiedział. Zaparkował swój wóz, wziął paczkę pod pachę i wyszliśmy na peron, gdzie zobaczyliśmy całą czwórkę, troje w kombinezonach i jednego w czymś, co Ratliff nazywał nocną koszulą, a każde miało na piersiach przymocowaną tabliczkę z adresem, tym razem wymalowanym wielkimi grubymi literami, które jak gdyby krzyczały:

NADAWCA: FLEM SNOPEs, JEFFERSON, MISS. ADRESAT: BYRON SNOPEs, EL PASO, TEKSAS.

Zbiegowisko koło nich było dość duże, ale ludzie trzymali się przezornie z dala, gdy nadeszliśmy i Ratliff otworzył swoją paczkę. Było w niej wszystkiego po cztery sztuki: pomarańcze, jabłka, batony czekoladowe, torebki z fistaszkami, paczuszki z gumą do żucia. — Uważaj! — rzekł Ratliff. — Może lepiej byłoby położyć to na ziemi i popchnąć ku nim jakimś długim kijem czy coś w tym rodzaju. — Ale żartował. W każdym razie postąpił inaczej. Powiedział do mnie tylko: —

Chodź, jesteś nieduży, więc ciebie nie zaatakują. — Przysunęliśmy się bliżej, wyciągając przed siebie ręce z pomarańczami; ośmioro oczu nie patrzyło ani na nas, ani na pomarańcze, ani na nic takiego, co by i dla nas było widoczne. Aż w pewnej chwili dziewczynka, najwyższa z czworga, zagadała szybko, ostro, dziwnie brzmiącym wysokim, dziecinnym głosem. Pierwsza ręka wysunęła się i chwyciła pomarańczę, potem druga, trzecia, spokojnie, wcale nie ukradkiem, lecz szybko. Obaj z Ratliffem podawaliśmy owoce, czekoladę, torebki, a zawsze pusta wyciągnięta ręka już czekała, wszystko znikало tak prędko, że nie zdążyliśmy zaobserwować, gdzie się podziewa, tylko najmłodszy, który najwidoczniej nie miał w koszuli kieszeni, zbierał łupy w podolek, dopóki dziewczynka nie schyliła się i nie uwolniła go od kłopotu.

Nadszedł pociąg, zatrzymał się, drzwi wagonu bez miejsc sypialnych otwarto ze szczękiem, wąskie schodki zwisały pod zięjącym otworem niby opuszczona szczeka. Okazało się, że panna Habersham zatelefonowała także do kierownika pociągu czy do kontrolera (może nawet do wiceprezesa), bo i konduktor, i jego pomocnik, rzuciwszy okiem na cztery tabliczki z adresem, podeszli i skierowali całą czwórkę do wagonu, a my — reprezentacja miasta Jefferson — patrzyliśmy, jak wchodzi, znikają jedno po drugim w zachłannej żelaznej paszczy: dziewczynka i dwaj chłopcy w kombinezonach, a na końcu ten, którego Ratliff nazwał „maluchem”, w długim do kostek stroju, podobnym do starej męskiej koszuli uszytej z worka czy może z resztki starego namiotu. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, z czego.

Oxford-Charlottesville-Washington-New York Listopad 1955 — wrzesień 1956